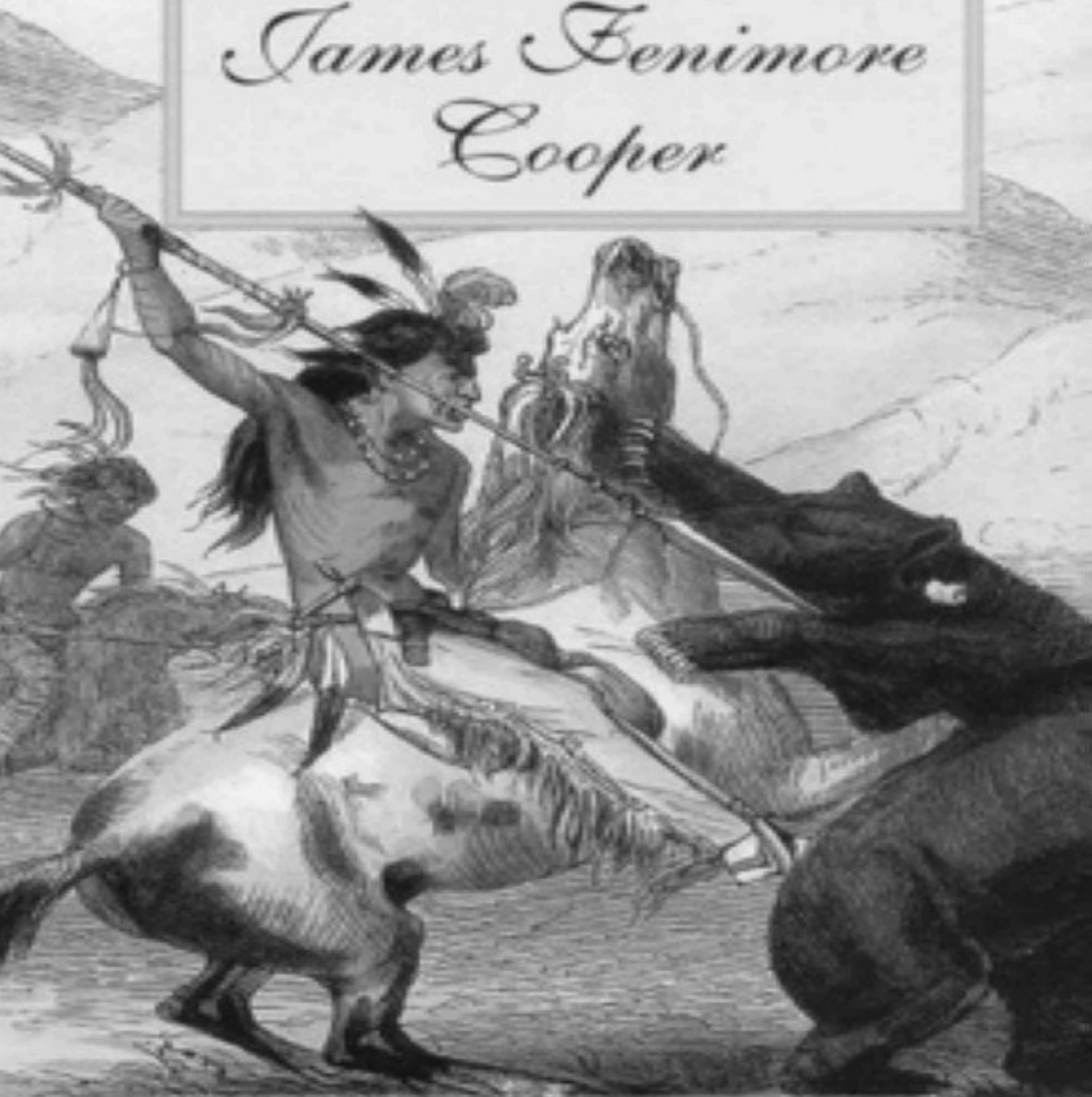




POGROMCA ZWIERZĄT

*James Fenimore
Cooper*



Wydawnictwo Dolnośląskie

COOPER JAMES

FENIMORE

Sokole Oko #1 Pogromca

zwierzat

JAMES FENIMORE COOPER

czyli pierwsza ścieżka wojenna

ROZDZIAŁ 1

Mila zaprawdę jest puszcza bezdrożna,

Zachwycające samotne pobraże,

A towarzystwo bez ludzi mieć można

Na morskich falach, muzyką – w ich

szmerze

Do miłowania bliźnich się poczuwam,

Lecz nade wszystko naturą miłują;

Z nią w obcowaniu z siebie się wyzuwam,

Z tego, czym jestem lub byłem, i czują,

Z wszechświatem zlany, rozkosze tak błogie,

Ze ich wyrazić ani skryć nie mogą.

Byron „Wędrówki Childe-Harolda”

Wydarzenia działają na wyobraźnię ludzką podobnie jak czas. Kto więc odbył dalekie podróże i wiele widział, może sobie wyobrazić, że długo żył, a historia, która obfituje w ważne zdarzenia, niezmiernie szybko nabiera pozoru dawnych dziejów. Tylko w ten sposób możemy wyjaśnić atmosferę czcigodnej starości, która zaczyna już otaczać kroniki amerykańskie. Kiedy wracamy myślą do pierwszych dni dziejów kolonialnych, okres ten wydaje się nam daleki i mroczny, tysiące bowiem przemian, wiążąc się w gęsty łańcuch wspomnień, cofa początki narodu do chwili tak odległej, że – rzekłbyś – chwila ta ginie we mgle czasu. A przecież cztery życia ludzkie normalnej długości wystarczyłyby do przekazania – z ust do ust, w postaci tradycji – wszystkiego, co człowiek cywilizowany osiągnął w czasach republiki. Choć dzisiaj sam Nowy Jork ma więcej ludności niż którekolwiek z czterech najmniejszych królestw w Europie i więcej niż cała Federacja Szwajcarska, to przecież zaledwie dwa wieki minęły od czasu, kiedy Holendrzy zaczęli osiedlać się w Ameryce,.

przynosząc z sobą cywilizację europejską. Widzimy tedy, że to, co dzięki bogactwu zmian wydaje się czcigodną starością, staje się nam bliskie, jeżeli przystąpiwszy poważnie do rozważania dziejów, mamy na uwadze jedynie czas, jaki upłynął.

To spojrzenie z perspektywy przeszłości ustrzeże czytelnika przed nadmiernym zdziwieniem, gdy będzie patrzył na malowane przez nas obrazy, parę zaś dodatkowych wyjaśnień pozwoli jego wyobraźni przenieść się w przeszłość i wyraźnie ujrzeć stan społeczeństwa, którego życie pragniemy odmalować. Faktem historycznym jest, że sto lat temu takich osad na wschodnim brzegu Hudsonu, jak na przykład Claverack, Kinderhook, a nawet Poughkeepsie, nie uważało się wcale za bezpieczne od napadów Indian. Na brzegu tej rzeki, w odległości strzału z rusznicy od przystani okrętowej w Albany*[\[1\]](#), [stoi dziś jeszcze dom młodszej linii Van Rensselaerów\[2\]](#), który ma w murach otwory strzelnicze, zrobione dla obrony przed tym samym podstępny [nieprzyjacielem, a przecież dom ten zbudowano wcale nie tak dawno. Dużo innych podobnych pamiątek z okresu dzieciństwa naszego kraju można znaleźć w okolicach uważanych dzisiaj za ośrodki amerykańskiej cywilizacji. Świadczą one niezbitnie, że od najazdów i gwałtów nieprzyjaciela uwolniliśmy się niewiele wcześniej niż przed tylu laty, ile zazwyczaj wypełnia jedno życie ludzkie.](#)

Wypadki, które opowiemy, zdarzyły się w latach 1740-1745, kiedy to zaludnioną część kolonii Nowy Jork stanowiły jedynie cztery hrabstwa atlantyckie. Były to wąskie pasy ziemi po obu brzegach Hudsonu, ciągnące się od ujścia tej rzeki do wodospadów niedaleko jej źródeł. Poza tym było jeszcze kilka wysuniętych osad „sąsiedzkich” nad rzekami Mohawk i Schoharie. Szerokie pasy dziewiczej puszczy nie tylko sięgały brzegów Hudsonu, lecz nawet przekraczały tę rzekę i wdzierały się do Nowej Anglii, dając leśną osłonę cichym mokasynom tubylczego wojownika, kiedy skradał się krwawą ścieżką wojenną. Kraina leżąca na wschód od Missisipi, gdyby spojrzeć na nią z lotu ptaka, zapewne przedstawiała wówczas rozległy obszar leśny – nad morzem ustępujący miejsca stosunkowo wąskiemu pasmu ziemi uprawnej, obszar nakrapiany lśniącymi zwierciadłami jezior i poprzecinany falistymi liniami rzek. W tak rozległym obrazie uroczystego pustkowiecia okolica, którą zamierzamy odmalować, gubi się jako szczegół bez większego znaczenia. Zabieramy się jednak do jej opisu ośmieleni przekonaniem, że ten, komu się uda ukazać trafny obraz skrawka tego dziewiczego kraju, da tym samym dostatecznie poprawne pojęcie o całości, różnice zaś między obu obrazami nie będą ani wielkie, ani istotne. Człowiek może w różny sposób zmieniać świat, ale wieczne koło pór roku toczy się nieprzerwanie. Lato i zima, czas siewów i zbiorów – wracają w ustalonym porządku i z największą precyzją, otwierając przed człowiekiem wspaniałe pole do wykazania siły jego dalekosiężnego umysłu, który z radością poznaje prawa rządzące niezmiennym powrotem pór roku i oblicza ich nigdy nie ustające przemiany. Od wieków słońce letnie ogrzewało wierzchołki tych samych dębów i sosen śląc swój żar aż do spoistych korzeni, zanim dały się słyszeć głosy nawołujące się wzajemnie w głębi puszczy, której listne sklepienie kąpało się w blasku czerwcowego dnia bez

chmurki na niebie, a niżej posepnie wyniosłe pnie drzew tonęły w cieniu. Nawoływały się dwa głosy, najwidoczniej pochodzące od dwóch mężczyzn, którzy zabłądzili i teraz w różnych kierunkach szukali zgubionej ścieżki. Wreszcie okrzyk obwieścił pomyślny wynik poszukiwań, po czym mężczyzna olbrzymiego wzrostu wynurzywszy się z labiryntu gęstwiny pokrywającej trzęsawisko zjawiał się na polanie, która najprawdopodobniej zawdzięczała swoje istnienie po części zniszczeniom dokonanych przez wiatry, po części zaś spustoszeniom ognia. Chociaż na polance pełno było martwych drzew, widać było nad nią spory kawał nieba. Znajdowała się ona na zboczu jednego ze wzgórz, a raczej gór, których pasma wzdłuż i wszerz przecinały dookólną krainę.

–Tutaj odetchniemy! – zawołał ocalony leśny człowiek stanąwszy pod gołym niebem, przy czym otrząsnął się jak brytan, który wy dostał się z zasy śnieżnej. – Hura! Pogromco Zwierząt! Nareszcie ujrzeliśmy światło dzienne, a tam widać jezioro.

Ledwie powiedział te słowa, drugi leśny człowiek gwałtownie odgarnął krzaki bagniska i ukazał się na polance. Spiesznie poprawił broń i ubranie, które było w nieładzie, i podszedł do swego towarzysza. Ten zaczął już przygotowania do postoj.

–Czy znasz to miejsce – zapytał przybysz nazwany Pogromcą Zwierząt – czy też krzyknąłeś na widok słońca?

–Jedno i drugie, chłopcze. Tak jest, znam to miejsce i miło mi powitać przyjaciela tak uczynnego jak słońce. Teraz znów mamy w głowie wszystkie kierunki kompasu i sami będziemy sobie winni, jeśli pozwolimy, żeby się znów pokręciły, jak to nam się właśnie przytrafiło. Nie nazywam się Hurry Harry, jeżeli nie tutaj ostatniego lata rozbili obóz pionierzy i spędzili w nim tydzień. Patrz! Tam widać zeschnięte gałęzie ich szałas, a tu jest źródło. Chociaż bardzo lubię słońce, mój chłopcze, i bez niego wiem, że jest południe. Mój żołądek jest takim zegarkiem, że lepszego nie znajdziesz w całej kolonii – wskazuje już pół do pierwszej. Otwórz torbę, nakręcimy nasze zegarki na dalsze sześć godzin.

Po tej aluzji obydwaj myśliwi zabrali się do przygotowania swego zwykłego posiłku, prostego, lecz obfitego. Skorzystamy z przerwy w ich rozmowie, aby czytelnikowi opisać pokrótce, jak wyglądali ci mężczyźni, obaj bowiem mają odegrać w naszym opowiadaniu niemałą rolę.

Nie łatwo byłoby znaleźć godniejszy okaz silnego mężczyzny niż osoba tego, który sam siebie nazywał Hurry Harry. Nazywał się właściwie Henry March, ludzie pogranicza jednak, którzy przejęli od Indian zwyczaj dawania przezwisk, wołali na niego częściej Hurry niż po nazwisku, a nierzadko nazywali go Hurry Skurry. Przydomek ten zawdzięczał swemu postępowaniu – pełnemu rozmachu – oraz jakiemuś fizycznemu niepokojowi, który sprawiał, że nie mógł usiedzieć na miejscu, i stąd znały go wszystkie osady rozrzucone wzdłuż szlaku między prowincją

amerykańską a Kanadą. Hurry Harry miał ponad sześć stóp i cztery cale wzrostu, a że był nader proporcjonalnie zbudowany, jego siła całkowicie odpowiadała temu, czego można się było spodziewać po jego olbrzymim wzroście. Twarz Hurry'ego harmonizowała z całą jego postacią, była bowiem pogodna i przystojna. Wyglądał na człowieka szczerego, a chociaż był szorstki w obejściu, czego nauczyło go twarde życie pogranicza, szlachetna natura, wyrażająca się w jego postaci, ustrzegła go przed prostactwem.

Pogromca Zwierząt, jak go nazywał Hurry, wyglądał zupełnie inaczej i charakter miał odmienny. Gdy stał w mokasynach, sięgał sześciu stóp; kształtów był raczej lekkich, i smukłych, chociaż wyraźnie zarysowane mięśnie świadczyły o niezwyklej zwinności, a może nawet niepospolitej sile. Nie było w nim nic szczególnie pociągającego poza młodością, chociaż wyraz twarzy zjednywał tych, którzy uważnie jej się przyjrzeni, i budził zaufanie. Oblicze Pogromcy Zwierząt zwracało uwagę po prostu prawdomównością, wypływającą z powagi myśli i szczerości uczuć. Czasem ten wyraz prawości robił wrażenie czegoś tak naiwnego, że budził podejrzenie, czy odróżnienie podstępu od prawdy nie sprawia Pogromcy nadmiernego trudu. Wszakże niemal każdy, kto bliżej z nim się zetknął, wyzbywał się podejrzeń względem jego myśli i pobudek.

Obydwaj mieszkańcy pogranicza byli jeszcze młodzi: Hurry miał lat dwadzieścia sześć lub dwadzieścia osiem, a Pogromca Zwierząt był młodszy od niego o kilka lat. Nie będziemy szczegółowo opisywać ich stroju, powiemy tylko tyle, że stanowiły go w głównej mierze wyprawione skóry jelenie, po czym łatwo było poznać, iż są to ludzie, którzy spędzają czas między pograniczem cywilizowanego społeczeństwa a niezmiernymi puszcami. Strój Pogromcy Zwierząt wskazywał jednak na pewną dbałość o dobry wygląd, dotyczyło to zwłaszcza broni i ekwipunku myśliwskiego. Strzelba Pogromcy była świetnie utrzymana, rękojeść jego myśliwskiego noża zdobiły udatne rzeźby, a róg na proch – dobrze dobrane i lekką ręką wyrzeźbione emblematy, miszek zaś na kule przystrojony był wampumem. Natomiast Hurry Harry – czy to z wrodzonego niedbalstwa, czy też z ukrytego przekonania, że jego wygląd nie wymaga sztucznych upiększeń – nosił się nieporządnie i niechlujnie, jakby żywił wyniosłą pogardę dla błahych przydatków i ozdób stroju. Może zresztą szczególne wrażenie, jakie wywoływała piękną postać i wysoki wzrost Hurry'ego, nie malało, lecz zwiększało się dzięki jego naturalnej i pogardliwej obojętności w sprawach stroju.

–Chodź tu, Pogromco Zwierząt, i do dzieła! Pokaż, że masz żołądek Delawara, skoro mówisz, żeś się wychował u Delawarów! – zawołał Hurry i dał dobry przykład, otwierając usta na przyjęcie kawała zimnej dziczyzny, który europejskiemu chłopu starczyłby na cały obiad. – Do dzieła, chłopcze! Pokaż, że jesteś mężczyzną, i rozpraw się własnymi zębami z tą biedną łanią, podobnie jak już urządziłeś ją za pomocą strzelby.

–Nie, nie, Hurry, niewielkie to męstwo zabić łanię, i to jeszcze w czasie ochronnym.

Położyć panterę lub lamparta – to już prędzej byłoby męstwem – odparł tamten zabierając się do jedzenia. – Delawarzy tak mnie nazwali nie tyle dlatego, że serce moje jest mężne, ile, że mam bystre oko i szybkie nogi. Może i nie jest tchórzem ten, kto kładzie jelenia, ale też na pewno nie jest to bohaterstwo.

–Delawarzy też nie są bohaterami – mruknął Hurry przez zęby, gdyż usta miał tak pełne, że nie mógł ich dobrze otworzyć – inaczej nie pozwoliliby Mingom, tym podskakującym włóczęgom, zrobić z siebie uległych bab.

–W tej sprawie panują niesłuszne poglądy i nikt jej nie wyjaśnił w sposób właściwy – rzekł z powagą Pogromca Zwierząt, był bowiem równie oddany jako przyjaciel, jak jego towarzysz niebezpieczny jako wróg. – Lasy pełne są kłamstw Mingów, łamią oni przyrzeczenia i traktaty. Przez dziesięć ostatnich lat żyłem z Delawarami i wiem, że szczerp ten jest nie mniej mężny od innych, niech tylko nadejdzie pora walki.

–Słuchaj, Wielki Pogromco Zwierząt, kiedy już o tym mówimy, możemy być wobec siebie szczerzy jak mężczyzna z mężczyzną. Odpowiedz mi na jedno pytanie. Miałeś, zdaje się, tyle szczęścia na łowach, żeś zdobył zaszczytny tytuł. Ale czyś trafił kiedy kulą istotę rozumną, człowieka? Czy pociągnąłeś kiedy za cyngiel celując w nieprzyjaciela, który też mógł strzelić do ciebie?

Pytanie to wywołało u młodzieńca szczególnego rodzaju walkę wewnętrzną, w której ambicja starła się z prawdomównością. Przebieg tej walki można było łatwo obserwować w grze uczciwej twarzy Pogromcy. Nie trwało to długo.

Szczere serce szybko pokonało fałszywą dumę i chełpliwość ludzi pogranicza.

–Wyznam szczerze, nigdy tego nie zrobiłem – odparł Pogromca Zwierząt – nigdy bowiem nie znalazłem się w położeniu, które by tego wymagało. Delawarzy przez cały czas mego pobytu u nich żyli na stopie pokojowej, a odebrać życie człowiekowi, jeśli nie dzieje się to na wojnie otwartej i szlachetnej, uważam za rzecz niegodną.

–Jak to! Nigdy nie złapałeś złodziejaszka, który dobierał się do twych siodeł i skór, i nie wymierzyłeś mu sprawiedliwości własnymi rękami, aby sędziom oszczędzić fatygi rozstrzygania sprawy, a hultajowi kosztów procesu?

–Nie poluję za pomocą siodeł – dumnie odparł młodzieniec. – Żyję ze strzelby i z tą bronią w ręku nie pokażę pleców żadnemu rówieśnikowi, jakiego mogę spotkać między Hudsonem a rzeką św. Wawrzyńca. Nie mam zwyczaju sprzedawać skór, które miałyby w głowie więcej niż jedną dziurę, nie licząc tych, jakie natura dała zwierzętom, aby mogły widzieć i oddychać.

–Tak, tak, bardzo to pięknie, jeśli chodzi o zwierzęta. Ale to jest tyle co nic w porównaniu ze skalpami i zasadzkami. Zastrzelić Indianina z zasadzki – oto czyn zgodny z jego własnymi zasadami, a przecież mamy z nimi teraz otwartą wojnę, jak to

nazywasz. Im wcześniej zmażesz plamę, która przynosi ci ujmę, tym zdrowszy będziesz miał sen, bo będziesz wiedział, że ilość wrogów grasujących po lasach zmniejszyła się o jednego. Nie będę zadawał się z tobą, miły Natanie, jeśli nie będziesz szukał celu dla twojej strzelby wyżej poziomu czworonożnych zwierząt.

–Podróż nasza, jak sam mówisz, panie March, ma się ku końcowi, możemy więc rozstać się dziś wieczór, jeśli masz ochotę. Czeka na mnie przyjaciel, który nie będzie uważał za hańbę zadawać się z takim, co nie zabił jeszcze swego bliźniego.

–Chciałbym wiedzieć, co tego skradającego się Delawara sprowadza w te strony o tak wczesnej porze roku – mruknął do siebie Hurry w sposób okazujący zarówno nieufność, jak i brak chęci jej ukrycia. – Gdzież to ten młody wódz wyznaczył ci spotkanie?

–Przy małej, okrągłej skale, niedaleko od brzegu jeziora, gdzie – jak mi mówiono – szczepy indiańskie zbierają się, aby zawrzeć przymierze i zakopać topory. Często słyszałem, jak Delawarzy o niej wspominali, lecz dotąd nie zetknąłem się ani z jeziorem, ani ze skałą. Do tych okolic roszczą sobie pretensje Mingowie i Mohikanie, jedni bowiem i drudzy uważają je za swoje tereny rybackie i myśliwskie. Tak jest w czasie pokoju, ale co się tu dzieje w czasie wojny, Bóg raczy wiedzieć.

–Swoje tereny! – zawołał Hurry śmiejąc się głośno. – Chciałbym wiedzieć, co by na to powiedział Pływający Tom. Uważa on jezioro za swoją własność, posiada je bowiem od piętnastu lat. Śmiem wątpić, czyby je oddał bez walki Mingowi albo Delawarowi.

–A cóż by na taki spór powiedziała kolonia? Kraj ten musi do kogoś należeć, bo nienasycone apetyty panów sięgają w głąb puszczy nawet tam, gdzie panowie szlachta nie śmieliby się pokazać, aby spojrzeć na ziemię, która do nich należy.

–Władza ich może rozciągnąć się na inne obszary należące do kolonii, ale nie tutaj, Pogromco Zwierząt. Żadna istota, z wyjątkiem Boga, nie posiada piędzi ziemi w tej części kraju. Nigdy nie przyłożono pióra do papieru w związku z którymkolwiek wzgórzem czy doliną w tych stronach. Powtarzał mi to nieraz stary Tom i dlatego żadna żywa dusza nie ma tu lepszych praw od niego, a Tom umie postawić na swoim.

–Z tego, co słyszę, Hurry, ten Pływający Tom musi być niezwykłą osobą. Nie jest Mingiem ani Delawarem, nie jest też bladą twarzą. Posiada te ziemie, jak mówisz, od dawna, dłużej, niż istnieje pogranicze. Jakie są jego dzieje i jaki jest on sam?

–Cóż, natura starego Toma niewiele ma wspólnego z naturą człowieka, a bardziej jest naturą piźmoszczura, gdyż jego zwyczaje więcej przypominają to zwierzę niż jakiegokolwiek inne stworzenie. Niektórzy mówią, że za młodu żył sobie samopas na

słonych wodach i był towarzyszem niejakiego Kidda, powieszono go za korsarstwo znacznie wcześniej niż ty i ja urodziliśmy się i zawarliśmy znajomość. Mówią też, że przybył w te strony uważając, że królewskie krążowniki nie przepłyną przez góry i będzie mógł w tych lasach spokojnie nacieszyć się łupami.

–Był więc w błędzie, Hurry, w grubym błędzie. Człowiek nigdzie nie może spokojnie nacieszyć się łupami.

–A on ma właśnie tego rodzaju usposobienie. Znałem takich, którym łupy nie sprawiały przyjemności, jeśli jej nie

dzielili z wesołą kompanią, i takich, którzy, by się nimi nacieszyć, zaszywali się w kącie. Jedni nie zaznają spokoju, jeśli nie będą grabić, innym, na odwrót, grabież odbiera spokój. Pod tym względem natura ludzka jest skomplikowana. Stary Tom nie należy ani do jednych, ani do drugich. Z niezmaconym bowiem spokojem korzysta wraz z córkami ze swych łupów, jeśli jego majątek rzeczywiście pochodzi z rabunku, prowadzi wygodne życie i niczego więcej nie pragnie.

–To ma i córki? Delawarzy, którzy polowali w tych stronach, wiele opowiadali o tych młodych kobietach. A matki one nie mają, Hurry?

–Miały kiedyś matkę, rozumie się. Umarła i poszła na dno, dobre dwa lata temu.

–Jak to? – zapytał Pogromca Zwierząt patrząc na towarzysza nieco zdziwiony.

–Umarła i poszła na dno, mówię, i mam nadzieję, że wyrażam się poprawnie i zrozumiale. Stary pochował żonę na dnie jeziora o czym mogę zaświadczyć, gdyż byłem naocznym świadkiem tej ceremonii. Czy jednak Tom zrobił to, aby oszczędzić sobie kopania grobu, co nie jest lekką pracą ze względu na korzenie drzew, czy też. postąpił tak w przekonaniu, że woda zmywa grzech prędzej niż ziemia, na to pytanie nie umiałbym odpowiedzieć.

–Czy biedaczka była aż taką grzesznicą, że jej mąż musiał zadać sobie tyle trudu z jej ciałem?

–Nie było tak źle, chociaż nie była wolna od wad. Uważam, że Judyta Hutter była więcej warta i zasługiwała na lepszy koniec niż inne kobiety, które tak długo żyły poza zasięgiem dzwonów kościelnych. Sądzę więc, że stary Tom utopił ją po prostu, aby oszczędzić sobie trudu kopania grobu. Było coś ze stali w jej usposobieniu, to prawda, a że stary Hutter jest znów twardy jak krzemień, nie raz i nie dwa krzesali iskry. Razem jednak wzięwszy, można powiedzieć, że żyli na stopie przyjaznej. Ale gdy zapłonęli gniewem, słuchacze mogli wejrzeć w ich przeszłość, jak ten, kto zagląda w mroczną gęstwinę lasu, kiedy zbłąkany promień słońca przeniknie aż do korzeni drzew. Judytę będę zawsze szanował choćby dlatego, że była matką tak uroczej istoty jak jej córka, Judyta Hutter!

–Tak, imię Judyty wymieniali Delawarzy, choć wymawiali je po swojemu. Z tego, co mówili, nie sądzę, aby ta dziewczyna była w moim guście.

–W twoim guście! – zawołał March dotknięty do żywego zarówno obojętnością, jak i zuchwalstwem swego towarzysza. – Cóż ty, u diabła, możesz mówić o guście, i to wtedy, gdy idzie o taką kobietę jak Judyta? Jesteś jeszcze chłopcem, drzewiną, która ledwo zapuściła korzenie. Judyta od piętnastego roku życia miała mężczyzn wśród swych wielbicieli. Od tego czasu minęło pięć lat i dzisiaj nie raczyłaby nawet spojrzeć na takiego młokosa!

–Jest czerwiec, Hurry, nie ma nawet chmurki między nami a niebem, jest gorąco, po cóż jeszcze się gorączkować -odparł Pogromca Zwierząt, bynajmniej nie zmieszany. – Każdy może mieć swój gust, a wiewiórka ma prawo mieć swoje zdanie o lamparcie.

–Tak, ale nie byłoby wcale mądrze powtórzyć to zdanie lampartowi – mruknął March. – Jesteś młody i bezmyślny, puszczę więc płazem twą ignorancję. Słuchaj, Pogromco Zwierząt – dodał po chwili namysłu, uśmiechając się dobrodusznie – słuchaj, Pogromco Zwierząt, przysięgliśmy sobie przyjaźń, nie będziemy się więc kłócić z powodu jednej lekkomyślnej, zalotnej kobietki tylko dlatego, że jest akurat ładna, tym bardziej żeś jej nigdy nie widział. Judyta jest dla mężczyzny, który nie ma mleka pod nosem, i tylko głupiec bałby się młokosa jako rywala. Co Delawarzy mówili o tej dziewczynie?. Indianin przecież, tak samo jak biały, ma swoje zdanie o płci niewieściej.

–Mówili, że ładna, aż miło popatrzeć, i że mowa jej jest przyjemna; zbyt jednak zajęta swymi wielbicielami i lekkomyślna.

–A to diabły wcielone! Zresztą, żaden nauczyciel nie dorówna Indianinowi w znajomości natury ludzkiej. Niektórzy uważają, że Indianie są dobrzy tylko na tropie i ścieżce wojennej, a ja mówię, że to są filozofowie. Znają się na ludziach niegorzej niż na bobrach, a o kobietach też wiele mogliby powiedzieć. To właśnie jota w jotę charakter Judyty. Indianie przejrzeni ją na wylot. Wyznam ci szczerze, Pogromco Zwierząt, ożeniłbym się z tą dziewczyną dwa lata temu, gdyby nie dwie rzeczy, z których jedną jest właśnie jej lekkomyślność.

–A co stanowi drugą przeszkodę? – zapytał myśliwy nie przestając jeść, jak ktoś, kogo mało zajmuje temat rozmowy.

–Niepewność, czyby mnie chciała. Dzierlatka jest ładna i wie o tym. Słuchaj, wśród drzew rosnących na tych pagórkach nie ma bardziej prostego niż ona i żadne z nich wdzięczniej niż ona nie przegina się z wiatrem. Nie widziałeś też skaczącej łani, która w ruchach miałaby więcej naturalnego uroku. Gdyby na tym się kończyło, każdy język musiałby głosić jej chwałę. Judyta ma jednak wady, o których trudno byłoby mi zapomnieć. Nieraz już przysięgałem sobie, że nie pokażę się więcej nad jeziorem.

–I dlatego ciągle tu wracasz? Przysięga nie dodaje mocy słowom ludzkim.

–Ach, Pogromco Zwierząt, nic jeszcze nie wiesz o tych sprawach, trzymasz się wiadomości szkolnych, jak gdybyś nigdy nie porzucił osad ludzkich. Ze mną jest inaczej: niczego nie postanawiam, jeśli czegoś gorąco nie pragnę. Gdybyś wiedział o Judycie tyle co ja, to byś zrozumiał dlaczego diabli mnie czasem biorą. Otóż oficerowie z fortów nad Mohawkim zapędzają się czasem nad jezioro na ryby i na polowanie, a wtedy stworzenie to zupełnie traci głowę! Zobaczysz, jak obnosi swe piękne stroje i jaką damę kroi wobec tych elegantów.

–To nie przystoi córce biedaka – z powagą powiedział Pogromca Zwierząt. – Oficerowie to szlachta i wobec takiej Judyty mogą mieć tylko złe intencje.

–Stąd właśnie moja niepewność i to powściąga moje zamiary! Mam poważne obawy co do pewnego kapitana. Judytka może mieć pretensje tylko do własnej głupoty, jeśli moje podejrzenia są słuszne. Krótko mówiąc, chciałbym widzieć w niej skromną i przyzwoitą dziewczynę, ale chmury, które wiatr pędzi ponad tymi wzgórzami, nie są tak zmienne jak ona. Od czasu, gdy przestała być dzieckiem, niewiele spotkała mężczyzn, a przecież wobec niektórych oficerów zachowuje się jak młoda uwodzicielka.

–Przestałbym myśleć o takiej kobiecie i zwróciłbym oczy ku puszczy, bo puszcza nie zdradzi, dopóki ręka, która ma nad nią władzę, nie zadrży.

–Gdybyś znał Judytę, przekonałbyś się, o ile łatwiej jest tak mówić, niż postąpić. Gdybym przestał myśleć o oficerach, uprowadziłbym dziewczynę nad Mohawk i ożenił się z nią nie zważając na jej grymasy. A starego Toma zostawiłbym pod opieką Hetty, jego drugiej córki, nie takiej ładnej i bystrej jak jej siostra, lecz bardziej posłusznej.

–Czyżby jeszcze drugi ptaszek był w tym gniazdku? – zapytał Pogromca Zwierząt podnosząc wzrok z na pół rozbudzona ciekawością – Delawarzy mówili mi tylko o jednej córce.

–To rzecz naturalna, gdy idzie o Judytę i Hetty. Hetty jest niebrzydka. Ale jej siostra, mówię ci, chłopcze, to coś zupełnie niezwykłego. Drugiej takiej nie znajdziesz w całym kraju, stąd aż do morza. Judyta błyszczy dowcipem, wymową i sprytem jak stary mówca indiański, a biedna Hetty to w najlepszym razie taki „mętny kompas”.

–Co takiego? – zapytał Pogromca Zwierząt.

–Tak to nazywają oficerowie, co ja rozumiem w ten sposób: Hetty chce zawsze iść we właściwym kierunku, ale nie wie, którędy. Ja to określam inaczej: biedna Hetty idzie skrajem niewiedzy i raz potyka się o linię graniczną z tej, a drugi raz z tamtej strony.

–Są istoty, które Bóg darzy swą szczególną opieką – powiedział uroczystym tonem Pogromca Zwierząt. – Bóg czuwa nad tymi wszystkimi, którym mniej dostało się rozumu, niż na nich przypadało. Czerwonoskórzy czczą i szanują takich ludzi, bo wiedzą, że Zły Duch woli zamieszkać w ciele filuta, niż opętać człowieka niezdolnego do podstępu.

–Wobec tego powiem, że Zły Duch nie zabawiałby dłużej u biednej Hetty, bo ta dziewczyna, jak ci mówiłem, ma właśnie „mętny kompas”. Stary Tom ma do niej słabość, podobnie jak i Judyta, choć sama ma cięty język i jest wielką damą. Inaczej nie ręczyłbym za całość Hetty wśród tego pokroju ludzi, jacy pokazują się czasem na brzegu jeziora.

–Myślałem, że to wielkie lustro wody jest nie znane i rzadko odwiedzane przez ludzi – zauważył Pogromca Zwierząt, któremu najwidoczniej nie w smak było, że znalazł się za blisko cywilizowanego świata,

–Miałeś słuszość, chłopcze, oczy mniej niż dwudziestu białych widziały to jezioro. Ale dwudziestu ludzi urodzonych i wychowanych na pograniczu – myśliwych, traperów, zwiadowców i tym podobnych – może zrobić wiele złego, jeśli tylko przyjdzie im chęć. Byłoby dla mnie strasznym ciosem, Pogromco Zwierząt, gdybym po sześciu miesiącach nieobecności zastał Judytę mężatką.

–Dlaczego spodziewasz się czegoś lepszego, czy masz jej słowo?

–Wcale nie. Nie wiem, jak to się dzieje. Wyglądam nieźle, co mogę stwierdzić W każdym źródle błyszczącym w słońcu – a mimo to nie mogę wyjednać u tej dziewczyny ani jej słowa, ani nawet serdecznego uśmiechu, choć lubi śmiać się całymi godzinami. Jeśli ważyła się wyjść za mąż w czasie mej nieobecności, pozna rozkosze stanu wdowiego, zanim skończy dwadzieścia lat!

–Myślę, że nie zrobiłbyś krzywdy mężczyźnie, którego by wybrała, tylko dlatego, że bardziej jej się spodobał niż ty. – Czemu nie? Kiedy wróg zagradza mi ścieżkę, czyż mi nie wolno usunąć go z drogi? Spójrz na mnie! Czy wyglądam na takiego, co ścierpl, aby jakiś skradający się chyłkiem, pelzający po ziemi handlarz skór ubiegł mnie w sprawie, która obchodzi mnie tak żywo jak względy Judyty Hutter? Zresztą żyjąc w stronach, do których prawo nie dociera, sami musimy być sędziami i wykonawcami wyroków. Gdyby w lasach znaleziono martwego mężczyznę, kto wskaże mordercę, jeśli nawet przyjąć, że kolonia weźmie tę sprawę w swe ręce i narobi koło niej szumu?

–Gdyby to był mąż Judyty Hutter, ja sam mógłbym powiedzieć wiele, co najmniej zaś tyle, żeby sprowadzić kolonię na ślady zbrodniarza.

–Ty?! Wyrostek, smarkacz polujący na jelenie! Ty śmiałybyś myśleć o donosie, na

Hurry Harry'ego, jakby chodziło o bobra lub świstaka?!

–Śmiałym powiedzieć prawdę o tobie lub każdym innym mężczyźnie.

March patrzył przez chwilę na swego towarzysza z wyrazem niemego osłupienia. Potem chwycił go oburącz za gardło i potrząsnął swym raczej szczupłym przyjacielem tak gwałtownie, jakby naprawdę chciał mu połamać kości. Nie były to żarty, gdyż gniew płonął w oczach olbrzyma, który brał sprawę poważniej i zachowywał się groźniej, niż miał do tego powody. Jakiegokolwiek były istotne intencje Marcha (nie jest wykluczone, że działał bez żadnych określonych zamiarów), pewne jest, że był niezwykle wzburzony.

Na pewno większość mężczyzn, których rozgniewany olbrzym chwyciłby za gardło, i to jeszcze w tak beznadziejnym pustkowiu, uległaby trwodze i odstąpiła nawet swych słusznych praw. Pogromca Zwierząt postąpił jednak inaczej. Twarz jego pozostała niewzruszona, ręka mu nie zadrżała. Odpowiedział głosem wcale nie podniesionym, choć mógł w ten sposób dać wyraz swej stanowczości:

–Możesz, Hurry, trząść tak górą, aż się zawali – powiedział spokojnie. – Ze mnie nic oprócz prawdy nie wytrzesiesz. Prawdopodobnie Judyta Hutter nie wyszła jeszcze za mąż, nie ma więc kogo zabijać. Może też nigdy nie będziesz miał okazji czyhać na cudze życie, inaczej bowiem powiedziałbym jej o twych pogroźkach w pierwszej rozmowie, jaką będę miał z tą dziewczyną.

March uwolnił przyjaciela z uścisku i usiadł patrząc na niego z niemym zdziwieniem.

–Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi – powiedział po chwili; – Była to chyba ostatnia z moich tajemnic, jaką usłyszały twoje uszy.

–Nie chcę znać twych tajemnic, jeśli mają być tego rodzaju. Wiem, Hurry, że żyjemy w lasach, że uważają nas za ludzi poza prawem i może tak jest istotnie, cokolwiek mówi o tym prawo. Ale jest prawo i prawodawca; którego władza obejmuje cały kontynent. Kto jawnie buntuje się przeciw niemu, niech nie nazywa mnie swym przyjacielem.

–Niech mnie diabli wezmą, Pogromco Zwierząt, jeśli nie wierzę, że w sercu jesteś bratem morawianinem, ale nie szczerym i rzetelnym myśliwym, za jakiego się podawałeś.

–Zobaczysz, Hurry, że jestem tak szczery i rzetelny w mych postępkach, tak samo jak w słowach. Ale tylko głupiec może ulec nagłemu gniewowi. Twoje zachowanie dowodzi, jak mało przebywałeś wśród czerwonoskórych. Judyta z pewnością nie wyszła jeszcze za mąż, ty zaś mówiłeś, co ślina przyniosła ci na język, a nie – co czuło twe serce. Oto moja ręka i więcej nawet nie myślmy o tym.

Nigdy jeszcze Hurry nie był tak zdziwiony. Nagle parsknął śmiechem tak głośnym i wesołym, że aż oczy zaszczyły mu łzami. Potem uścisnął wyciągniętą doń rękę i znów byli przyjaciółmi.

–Trzeba nie mieć rozumu, żeby kłócić się o to, co komu przyszło do głowy! – zawołał March zabierając się znów do jedzenia. – Taka kłótnia przystoi bardziej miejskim prawnikom, niż rozsądnym leśnym ludziom. Słyszałem, Pogromco Zwierząt, jakoby w południowych hrabstwach ludzie tak się różnili w swych myślach, że aż krew się w nich burzyła i dochodziło do walki na śmierć i życie.

–To prawda, tak, to prawda. Ludzie spierają się też o takie sprawy, które lepiej byłoby zostawić w spokoju. Słyszałem, że są kraje, gdzie ludzie kłócą się nawet o religię. No, jeśli takie sprawy wywołują gniew ludzki, to niechże Bóg zlituje się nad nimi. Nie ma jednak żadnego powodu, abyśmy szli w ich ślady i gniewali się na męża owej Judyty Hutter, którego ona może nigdy nie ujrzy ani też pragnie zobaczyć. Mnie jednak ciekawi więcej od twej piękniś jej słabogłowa siostra. Chwyta nas coś za serce, gdy spotkamy stworzenie, które zdaje się być istotą rozumną, a jednak nie jest tym, na co wygląda, nie staje mu bowiem rozumu. Źle jest, jeśli to się zdarzy mężczyźnie, lecz jeśli słabość ta dotknie kobietę, i to młodą i powabną, budzą się w nas wszystkie uczucia litości, jakie drzemią w naturze człowieka. Bóg wie, że kobiety, biedule, są dość bezbronne, nawet gdy mają rozum. Los ich jest jednak naprawdę okrutny, jeśli brak im tego wielkiego obrońcy i przewodnika człowieka.

–Słuchaj Pogromco Zwierząt, wiesz, jakimi ludźmi są' myśliwi, traperzy i handlarze skór. Ich najlepsi przyjaciele nie zaprzeczają, że są to ludzie uparci i że lubią postawić na swoim niewiele myśląc o prawach i uczuciach innych ludzi – a mimo to nie sądzę, aby w całym tym kraju znalazł się choćby jeden mężczyzna, który by skrzywdził Hetty Hutter. Nie – nawet czerwonoskóry.

–Tym samym, mój miły Hurry, oddajesz tylko sprawiedliwość Delawarom i wszystkim sprzymierzonym z nimi szczepom, albowiem czerwonoskóry uważa, że istotę upośledzoną z woli Boga winien otoczyć szczególną opieką. W każdym razie cieszy mnie to, co mówisz, cieszy mnie bardzo. No, ale słońce przechyliła się na zachodnią stronę nieba, czy nie lepiej więc stanąć znów na szlaku naszej drogi i ruszyć tęgo naprzód, abyśmy wcześniej mogli zobaczyć owe zadziwiające siostry?

Harry March chętnie się na to zgodził. Szybko tedy zebrali resztki jedzenia, po czym obydwaj wędrowcy zarzucili na ramiona torby myśliwskie, podjęli broń i opuściwszy polankę, znów zanurzyli się w głębokim mroku puszczy.

ROZDZIAŁ 2

Choć płoną ogniska nad brzegiem jeziora,

Ku ziemi pochyla się skroń –

To lato jest winne, córeczko, żeś chora,

To kwiatów zabija cię woń.

„Z notatnika kobiety”

Nasi dwaj łowcy przygód nie mieli przed sobą dalekiej drogi. Hurry, gdy znalazł polankę i źródło, znał już właściwy kierunek, prowadził więc dalej pewnym krokiem człowieka, który wie, dokąd idzie... Puszcza była, oczywiście, mroczna, ale nie była już podszyta zaroślami, które by tamowały drogę. Stąpali więc pewną nogą po suchej ziemi. Kiedy przeszli około raili, March stanął i zaczął rozglądać się bystro, badając starannie otoczenie, a nawet przyglądając się pniom zwalonych drzew, których leżało tu sporo, jak to bywa w lasach amerykańskich, zwłaszcza w tych stronach, gdzie drzewo nie ma jeszcze swej wartości.

–To musi być tu, Pogromco Zwierząt – powiedział wreszcie March. – Oto buk obok świerka, trochę dalej trzy sosny, a tam biała brzoza ze złamanym wierzchołkiem. Nie widzę tylko skały ani zwisających gałęzi, o których ci mówiłem.

–Złamane gałęzie nie pomagają zorientować się w okolicy. Nawet mało doświadczony myśliwy wie, że gałęzie rzadko łamią się same – odparł Pogromca Zwierząt. – Natomiast złamane gałęzie nasuwają podejrzenia i prowadzą do ciekawych odkryć. Delawarzy nigdy nie wierzą złamanym gałęziom, chyba że jest to w czasie pokoju i nie potrzeba maskować swych śladów. Mówisz o bukach, sosnach i świerkach; no cóż, widzimy ich dużo wokół siebie, nie tylko po dwa lub trzy, ale po czterdzieści, pięćdziesiąt, całymi setkami.

–Wszystko to prawda, Pogromco Zwierząt, lecz nie bierzesz pod uwagę sytuacji. Tu jest buk i świerk.

–Tak, a tam jest drugi buk i świerk, kochający się jak dwaj bracia, lub – jeśli już o tym mowa – bardziej niż niejedno rodzeństwo; a tam znów buk i świerk, gdyż oba drzewa nie należą do rzadkości w tych lasach. Obawiam się, Hurry, że lepiej zastawiasz sidła na bobry i strzelasz niedźwiedzie, niż prowadzisz ukrytym śladem. O! A jednak jest to, czego szukasz!

–Widzisz! Pogromco Zwierząt, zdaje się, słusznie uważasz się trochę za Delawara. Niech mnie kaci, jeśli widzę coś więcej niż te dwa drzewa, które chyba rozmnożyły

się i otaczają nas w sposób przedziwny i niepokojący.

–Spójrz tu, Hurry – tu, w prostej linii za tym czarnym dębem – czy widzisz krzywe drzewko, które kryje się w gałęziach lipy? Otóż drzewko to ugięło się kiedyś pod ciężarem śniegu; nie wyprostowało się o własnych siłach i nie samo znalazło oparcie w gałęziach lipy, tak jak to widzisz. Ręka ludzka oddała mu tę przysługę.

–To była moja ręka! – zawołał Hurry. – Spotkałem tego smukłego młodzika, zgiętego do ziemi niczym człowiek złamany nieszczęściem. Wyprostowałem drzewko i oto je widzisz. Co tu gadać, Pogromco Zwierząt, muszę przyznać, że oczy twoje są doskonale obeznane z lasem.

–Wzrok poprawia mi się, Hurry, to prawda, przyznaję ale moje oczy są oczami dziecka w porównaniu ze wzrokiem niektórych moich znajomych. Na przykład taki Tamenund, człowiek tak stary, że niewielu już pamięta go jako młodzieńca, a jednak nic nie ujdzie jego oku; wzrok jego bardzo przypomina węch psa. Dalej Unkas*[\[3\]](#), [ojciec Chingachgooka i zarazem prawowity wódz Mohikanów – daremnie próbowałbyś ukryć się przed jego wzrokiem. Mój wzrok wyrabia się, nie przeczę, ale daleko mi jeszcze do doskonałości. – Kto jest ten Chingachgook, o którym mówisz bez przerwy, Pogromco Zwierząt? – zapytał Hurry ruszając w stronę drzewka, które kiedyś wyprostował. – W najlepszym razie jakiś czerwonoskóry włóczęga.](#)

–Nie, Hurry, najlepszy spośród czerwonoskórych włóczęgów, jak ich nazywasz. Gdyby wrócił do swych praw, byłby wielkim wodzem. Tak jak sprawy stoją obecnie, jest tylko dzielnym i prawym Delawarem; szanowanym i nawet mającym posłuch w pewnych sprawach, to prawda. Cóż, niestety, należy do upadłej rasy, należy do zlikwidowanego szczepu. Ach, Harry March, serce by ci rośło, gdybyś tak siedział w ich wigwamie w noc zimową i słuchał starych opowiadań o dawnej wielkości i potędze Mohikanów!

–Słuchaj, przyjacielu – powiedział przystając Hurry. Spojrzał w twarz towarzysza, aby słowa, które miał wypowiedzieć, łatwiej doniosły swój wielki ciężar – kto by wierzył w to, co innym podoba się mówić o sobie, nabrałby o nich zbyt dobrego mniemania, a zbyt lichego o sobie. Czerwonoskórzy to znane samochwały, więcej niż połowę ich opowieści uważam za puste gadanie.

–Jest dużo prawdy w tym, co mówisz, Hurry, nie przeczę, przekonałem się o tym sam i zgadzam się z tobą. Lubią się chełpić, ale takimi stworzyła ich natura i grzechem byłoby jej się sprzeciwiać. Patrz, oto miejsce, którego szukałeś.

Na tym rozmowa się urwała i obaj mężczyźni zwrócili swą uwagę ku temu, co zobaczyli przed sobą. Pogromca Zwierząt pokazał swemu towarzyszowi pień ogromnej lipy, drzewa łykowego, jak nazywają w tym kraju lipą amerykańską, która dopełniła swego życia i zwała się pod własnym ciężarem. Drzewo, jak miliony jego

braci, leżało tam, gdzie padło, i gniło pod powolnym, lecz nieuniknionym wpływem pór roku. Kiedy jeszcze stało w całej chwale wegetacji, rozkład zaatakował je od środka, drążąc serce drzewa, tak jak choroba niszczy organizm zwierzęcia, gdy na zewnątrz przedstawia jeszcze piękny widok. Leżące drzewo miało około stu stóp długości. Nie uszło to bystremu oku myśliwego. Pogromca z tego faktu i innych okoliczności doszedł do wniosku, że March szukał tego właśnie drzewa.

–Tak, teraz mamy to, czego nam trzeba! – zawołał Hurry oglądając korzenie lipy. – Wszystko tu jest tak bezpieczne, jakby było schowane w kredensie u babci. Jazda, pomóż mi, Pogromco Zwierząt, a za pół godziny będziemy na wodzie.

Myśliwy podszedł do swego towarzysza i we dwójkę zaczęli pracować z namysłem i sprawnie jak ludzie, którym ta praca nie była pierwszozną. Hurry najpierw usunął stos kory leżący przed wielką dziuplą drzewa. Pogromca stwierdził, że kora była ułożona tak, iż zamiast zamaskować nakrycie dziupli, mogła raczej zwrócić uwagę włóczęgi, który by tędy przechodził. Potem wyciągnęli z dziupli czółno zrobione z kory, zaopatrzone w ławki, wiosła i cały niezbędny sprzęt, a nawet wędki. Łódka nie była mała, ale stosunkowo lekka, Hurry zaś był tak niepospolitej siły, że bez wysiłku wziął ją na plecy i nie przyjął pomocy Pogromcy nawet wtedy, gdy podnosił łódkę z ziemi, ani też gdy trzymał ją na plecach w niewygodnej pozycji.

–Prowadź, Pogromco Zwierząt – powiedział March – i toruj drogę wśród krzaków, resztę biorę na siebie.

Pogromca wyszedł na czoło i ruszyli w dalszą drogę. Myśliwy torował drogę towarzyszowi i skręcał to w prawo, to w lewo wedle wskazówek Marcha. Po upływie około dziesięciu minut znaleźli się nagle w jaskrawym świetle słońca na niskim, piaszczystym cyplu, którego skraj do połowy oblany był wodami jeziora.

Gdy Pogromca Zwierząt stanął na brzegu jeziora i objął wzrokiem nieoczekiwany widok, okrzyk zdumienia wyrwał mu się z ust, okrzyk cichy i ostrożny, gdyż przyzwyczajony był do znacznie większej rozwagi i opanowania niż jego porywczy towarzysz. Widok był istotnie tak uderzający, że zasługuje na krótki opis.

Na tym samym niemal poziomie co cypel rozpościerało się wielkie zwierciadło jeziora, tak spokojne i przeźroczyste, że wyglądało jak dno czystej górskiej atmosfery, wciśniętej w oprawę wzgórz i lasów. Jezioro miało około dziewięciu mil długości, szerokość jego była nieregularna, dochodziła naprzeciw cypla do półtorej mili czy nawet więcej, a ku południowi zwężała się co najmniej o połowę. Brzeg jeziora był oczywiście nierówny, postrzępiony zatokami i przerywany wielu wystającymi niskimi cyplami. Północny, najbliższy naszym wędrowców brzeg jeziora zamykała samotna góra, której zbocza, opadające na wschód i zachód, wdzięcznie łagodziły linie jej sylwetki. Cała okolica miała charakter górzysty, wysokie wzgórza wznosiły się stromo tuż nad wodą jeziora na dziewięciu dziesiątych jego obwodu.

Skrawki "niskiego brzegu służyły jedynie do urozmaicenia obrazu; nawet za pasmami łądu, które były stosunkowo niskie, wznosiły się góry, tylko nieco dalej.

Najbardziej jednak uderzającą osobliwością okolicy była uroczysta pustka i kojący spokój. W którąkolwiek stronę zwróciliby się oczy, widać było tylko lustrzaną tafłę jeziora, czyste niebo i gęsty wieniec lasów. Puszcza tak bujnie okryła ziemię, że nie było widać ani jednej polany, a od zaokrąglonego wierzchołka góry do brzegu jeziora słała się jednostajna, niczym nie zmacona zieleń.

Jakby roślinności mało jeszcze było tego pełnego zwycięstwa, drzewa zwisały tuż nad powierzchnię jeziora, wyciągając gałęzie do słońca. Wzdłuż wschodniego brzegu całymi milami łódź mogła płynąć pod gałęziami ciemnych, jakby rembrandtowskich świerków, drżących osik i smętnych sosen. Słowem, ręka ludzka niczego jeszcze nie tknęła i nie zniekształciła w tym obrazie stworzonym przez przyrodę, w tym zakątku skąpanym w słońcu, we wspaniałym widoku bujnej i majestatycznej puszczy, któremu słodczy przydawało balsamiczne powietrze czerwca. Krajobraz łągodziły, upiększały i wzbogacały szeroko rozlane wody jeziora.

–Cóż za wspaniałe widoki Jak dziwnie uroczyste! I jakże podnosi nas na duchu! – zawołał Pogromca Zwierząt wspierając się na strzelbie i patrząc w prawo i w lewo, na północ i na południe, w górę i w dół, wszędzie gdzie tylko mógł sięgnąć wzrokiem. Jeżeli dobrze widzę, żadnego drzewa nie dotknęła tu nawet ręka Indianina. Wszystko zostało w ręku Boga, by żyło i umierało zgodnie z jego wolą i prawem! Hurry, twoja Judyta musi być panną uczciwą i dobrą, jeśli spędziła choćby tylko połowę czasu, o którym mówiłeś, w miejscu tak hojnie obdarzonym przez naturę.

–To święta prawda! A jednak dziewczyna ma swoje kaprysy. Dawniej nie mieszkała tu stale, stary Tom bowiem, zanim go poznałem, zwykł był przenosić się na zimę w okolice zamieszkałe przez osadników lub pod ochronę dział fortecznych. Niestety, Judytka od osadników, a jeszcze bardziej od nadskakujących jej' oficerków nauczyła się znacznie więcej, niż mogło jej wyjść na dobre.

–Jeśli... jeśli nawet tak było, okolica ta jest szkołą, która może wyprostować jej charakter. Ale cóż to widzę przed nami? Za małe to na wyspę, a za duże na łódź, choć znajduje się na środku jeziora.

–To jest właśnie to, co bawidamki z fortów nazywają Zamkiem Piżmoszczura. Nawet stary Tom śmieje się z tej nazwy, choć jest to złośliwy przytyk do jego charakteru.

To właśnie jego baza, Tom ma bowiem dwa domy: ten, który nigdy nie rusza się z miejsca, i drugi, który pływa po wodzie i raz jest tu, a drugi raz tam. Drugi dom nazywa się „arka”, ale co znaczy to słowo, tego już nie umiałbym ci powiedzieć.

–Słowo to pochodzi na pewno od misjonarzy. Słyszałem, jak mówili i czytali o czymś

takim. Misjonarze powiadają, że ziemię kiedyś zalała woda i że Noe ze swymi dziećmi byłby utonął, gdyby nie zbudował sobie statku, zwanego arką, i w samą porę się na nim nie schronił. Jedni Delawarzy wierzą w tę legendę, inni ją odrzucają. Tobie i mnie, jako że urodziliśmy się białymi, wypada dać wiarę tej opowieści. Czy widzisz gdzie arkę?

–Jest chyba w południowej części jeziora albo leży na kotwicy w jakiejś zatoce. Ale czó!no czeka, w ciągu piętnastu minut zanieśe dwu takich wiosłarzy jak ty i ja do zamku Toma.

Pogromca Zwierząt pomógł tedy swemu towarzyszowi znieść rzeczy do łódki, która czekała już na wodzie. W chwilę potem dwaj przyjaciele weszli do łodzi i mocno odbijając wiosłami od dna, odepchnęli ją na jakieś osiem lub dziesięć prętów od brzegu. Hurry usiadł z tyłu, a Pogromca Zwierząt z przodu i wolno, lecz miarowo zaczęli uderzać wiosłami. Łódka pomknęła po gładkiej tafli jeziora ku niezwyklej budowli, nazwanej przez Hurry'ego Zamkiem Piżmoszczura. Kilka razy młodzi mężczyźni przestawali wiosłować, aby przyjrzeć się nowemu widokowi, jaki ukazywał się, kiedy minęli cypel. Odkrywały się wtedy przed nimi dalsze części jeziora lub bardziej rozległe widoki lesistych gór. Atoli zmiany te polegały jedynie na innym kształcie, jakie przybierały góry, na urozmaiceniu falistych linii zatok i rozszerzaniu się doliny ku południu, cała bowiem okolica przybrana była w strojne szaty listowia.

–Oto widok porywający serce! – zawołał Pogromca Zwierząt, gdy tak zatrzymali się po raz czwarty czy piąty. – Jezioro wydaje się stworzone po to, aby lepiej ukazać nam widok wspaniałych lasów. Ziemia i woda przepojone są tutaj pięknem Opatrzności boskiej! Mówisz, Hurry, że nikt nie nazywa się prawowitym właścicielem tych wszystkich bezcennych skarbów?

–Nikt prócz króla, mój chłopcze. Może on rościć sobie pewne prawa do tego zakątka, ale jest tak daleko, że jego roszczenia nigdy nie zaszkodzą staremu Tomowi Hutterowi, który włada tą okolicą i zatrzyma ją w posiadaniu aż do swej śmierci. Tom nie jest osadnikiem, bo nie mieszka na lądzie. Ja nazywam go pływakiem.

–Zazdroszczę temu człowiekowi! Wiem, że to brzydko, i walczę z tym uczuciem, ale zazdroszczę Tomowi! Nie myśl, Hurry, że knuję coś przeciw niemu, aby wleźć w jego mokasyny. Myśl taka nawet nie zaświtała w mej głowie, ale nie mogę oprzeć się zazdrości. Jest to uczucie wrodzone człowiekowi, nawet najlepsi z nas dają mu czasem folgę.

–Ożeń się więc z Hetty – odziedziczysz połowę tego majątku! – zawołał śmiejąc się Hurry. – Dziewczyna jest niebrzydka, ba, gdyby nie uroda jej siostry, byłaby nawet ładna. Rozumu nie ma za wiele, możesz tedy z łatwością sprawić, że będzie myślała o wszystkim to samo, co ty. Jeśli weźmiesz Hetty, ręczę, że Tom da ci „udział w zarobku na każdym jeleniu, którego położysz w promieniu pięciu mil od jego jeziora.

–Czy dużo tu jest zwierzyny? – zapytał nagle tamten niewiele sobie robiąc ze złościwości Marcha.

–To jest królestwo zwierzyny. Rzadko się tu strzela do niej; nie są to również okolice często odwiedzane przez traperów. Ja też bym nie bywał tu często, ale bóbr ciągnie w jedną stronę, a Judytka w drugą. Ponad sto dolarów hiszpańskich kosztowało mnie to stworzenie w ciągu ostatnich dwóch lat, a mimo to nie mogę oprzeć się pragnieniu zobaczenia jeszcze raz jej twarzy.

–Czy czerwonoskórzy często pokazują się nad jeziorem? – zapytał Pogromca Zwierząt, który trzymał się własnego biegu myśli. – Przychodzą i odchodzą, czasem gromadnie, kiedy indziej pojedynczo. Okolica nie należy właściwie do żadnego szczepu tubylców. Dlatego dostała się w ręce szczepu Huttera. Stary mówił mi, że byli tacy filuci, którzy zawracali głowę Mohawkom, aby wydostać od nich dokument indiański i na tej podstawie otrzymać od kolonii tytuł własności. Nic jednak z tego nie wyszło, bo nie znalazł się jeszcze taki, co by miał mocną głowę do tego interesu. Myśliwi więc korzystają z dożywotniej bezpłatnej dzierżawy tych lasów.

–Tym lepiej, Hurry, tym lepiej. Gdybym był królem angielskim, człowieka, który by powalił jedno z tych drzew bez wyraźnej potrzeby, wygnałbym na daleką pustynię, gdzie w ogóle nie ma czworonożnych zwierząt. Jestem bardzo rad, że Chingachgook na miejsce spotkania ze mną wybrał brzeg tego właśnie jeziora, gdyż dotąd oko moje nie widziało tak wspaniałego widowiska.

–Bo długo przebywałeś wśród Delawarów, w których kraju nie ma jezior. Otóż, na północ i zachód jest więcej takich jezierek. Jesteś młody, jeszcze je zobaczysz. Ale choć jest tyle innych jezior, nie ma drugiej Judyty-Hutter!

Uwaga ta wywołała uśmiech Pogromcy Zwierząt, który znów zanurzył wiosło w wodzie, jakby miał na względzie, że kochankowi spieszy się do dziewczyny. Obaj wiosłowali żywo, aż zbliżywszy się na' odległość stu jardów od zamku – jak Hurry zwykł był nazywać dom Huttera – znów odłożyli wiosła. Wielbicielowi Judyty łatwiej przyszło pohamować niecierpliwość, kiedy' zobaczył, że nikogo nie ma w, domu. Wolna chwila pozwoliła Pogromcy Zwierząt obejrzeć osobiwą budowlę o tak niespotykanej konstrukcji, że zasługuje na osobny opis.

Zamek Piżmoszczura. stał na środku jeziora, oddalony o dobre ćwierć mili od najbliższego brzegu. Z pozostałych stron woda rozpościerała się znacznie dalej: od północnego krańca jeziora dom był oddalony około dwóch mil, a od wschodniego – prawie milę. Nie było tu ani śladu wyspy, dom stał na palach wystających z wody. Pogromca Zwierząt zauważył już przedtem, że jezioro jest bardzo głębokie, wielce był zatem ciekawe wyjaśnienia tego dziwnego faktu. Rozwiązanie zagadki dał mu Hurry: w tym miejscu, jedynym na jeziorze, znajduje się długa i wąska mielizna, biegnąca z północy na południe, długości paruset jardów, sześć do ośmiu stóp poniżej

powierzchni jeziora, Hutter wbił więc pale w tę mieliznę i na nich zbudował bezpieczną siedzibę.

–Staremu w czasie walk między Indianami i myśliwymi trzy razy spalono dom, gdy zaś w potyczce z czerwonoskórymi stracił jedyne go syna, schronił się na wodę, zapewniającą większe bezpieczeństwo. Ktokolwiek chciałby go tu zaatakować, musiałby podpłynąć łodzią; łup zaś i skalpy nie bardzo są warte mozolnego drążenia czołen w drzewie. Poza tym nigdy nie wiadomo, kto kogo położy trupem w takiej awanturze, bo staremu Tomowi nie brak broni i amunicji, a ściany zamku, jak widzisz, stanowią niezawodną osłonę przed kulami.

Pogromca Zwierząt posiadał trochę teoretycznych wiadomości o sposobie prowadzenia wojny na pograniczu, chociaż nie miał jeszcze okazji podnieść gniewnej ręki na bliźniego. Z łatwością więc stwierdził, że Hurry nie przecenia siły pozycji Toma, jeśli, oceniając ją z punktu widzenia wojskowego, wziąć pod uwagę, że nie łatwo byłoby zaatakować zamek tak, aby napastnicy nie byli wystawieni na ogień oblężonych. Drzewem, z którego zbudowano zamek, posłużono się z wielką sztuką, dzięki czemu budowla ta dawała znacznie lepszą osłonę niż zwykle drewniane domy na pograniczu. Wszystkie ściany domu Toma zbudowane były z grubych pni sosnowych, przyciętych do dziewięciu stóp długości, ustawionych pionowo, a nie położonych poziomo jak zwykle w tych stronach. Kloce te ociosane zostały z trzech stron, a wielkie czopy stanowiły ich oba końce. Na palach ułożono masywne belki, starannie wygładzone, z odpowiednimi otworami na wierzchu. Dolne czopy kłoców stanowiących ściany weszły w te otwory dając w ten sposób ścianom mocną podstawę. Podobne belki ułożono na wierzchu stojących kłoców i umocowano je tak samo jak belki na dole; węgły budowli umocnione były zamkami i fugami w dolnych i górnych belkach. Podłogę zrobiono z mniejszych pni, podobnie ociosanych, dach zaś stanowiły paliki, przylegające ściśle do siebie i starannie pokryte korą. Celem wszystkich tych pomyłkowych rozwiązań było zbudowanie domu, do którego można by było dostać się tylko wodą. Kloce tworzące ściany zostały ściśle dopasowane do siebie, a najszersze z nich były grube na dwie stopy. Rozdzielić te kloce mogła tylko umiejętna i mozolna praca rąk ludzkich lub powolne działanie czasu. Ściany domu na zewnątrz były toporne i nierówne, pnie bowiem były różnej grubości; wewnętrzną stronę ścian belki podłogi ociosano tak gładko, że odpowiadały wszystkim wymaganiom: stały się zarówno wygodne, jak ładne. Kominek należał do niemałych osobliwości zamku, na co Hurry zwrócił uwagę towarzyszowi, wyjaśniając mu, w jaki sposób go zbudowano. Jako materiał posłużyła tu gęsta glina, odpowiednio urobiona, którą w drewnianych formach układano warstwami grubości stopy lub dwóch, w miarę jak twardniała. Kiedy w ten sposób wyrósł kominek i został od dołu podparty słupami, rozpalono wielki ogień, który podtrzymywano tak długo, aż kominek wypalił się na kolor cegły. Nie było to łatwe zadanie i nie wszystko się udało. Gdy jednak szczeliny zostały zalepione świeżą gliną, powstało wreszcie palenisko i kominek – zdatne do bezpiecznego użytku. Kominek stanął na podłodze z belek i

został podparty z dołu dodatkowym palem.

Dom Huttera krył jeszcze inne osobliwości, które lepiej przedstawią się w ciągu dalszego opowiadania.

–Stary Tom ma głowę pełną pomysłów – dodał Hurry. – Całą duszę włożył w ten kominek, no, i udało mu się, choć zrazu wydawało się, że nic z tego nie będzie; upór ludzki daje sobie radę nawet z dymem. Teraz Tom ma wygodne mieszkanie, choć swego czasu zanosilo się na to, że popękany kominek będzie tylko kopcił i buchał ogniem na izbę.

–Zdaje się, że dobrze znasz historię tego zamku, Hurry, razem z kominkiem i ścianami – powiedział uśmiechając się Pogromca Zwierząt. – Czyżby potęga miłości była aż tak wielka, że skłania do zagłębiania się w Historię mieszkania ukochanej?

–Po części miłość, chłopcze, a po części widziałem to na własne oczy – odparł śmiejąc się dobroduszny olbrzym.– Była nas cała paczka na brzegu jeziora owego lata, kiedy stary budował swój zamek, i pomogliśmy mu w tej pracy. Niemalą część pni tworzących dziś ściany przyniosłem na własnych barkach, a siekiery śmigaly w powietrzu wśród drzew na brzegu, kiedyśmy znosili budulec; tyle mogę ci powiedzieć, paniczu Natanielu. Stary frant nie skąpi jadła i nieraz podjedliśmy jego dziczyzny. Nim więc poszliśmy ze skórą do Albany, myślimy sobie – trzeba urządzić "mu wygodne mieszkanie. Tak, nieraz dobrze najadłem się w domu Toma Huttera. Hetty, choć główkę ma słabą, świetnie obraca patelnią i różnem!

Gdy tak rozmawiali, łódka pomału zbliżała się do zamku i wreszcie znalazła się na odległości jednego uderzenia wiosłem od drewnianego pomostu. Znajdował się on przed wejściem do domu i mógł mieć jakieś dwadzieścia stóp kwadratowych.

–Stary Toni nazywa to swego rodzaju molo podwórzem – powiedział Hurry umocowując łódkę, kiedy, już wysiadł z niej wraz ze swym towarzyszem. – Panowie oficerowie z fortów nazwali je „dziedzińcem zamkowym". No tak, stało się to, czego się obawiałem. Nie ma w domu żywej duszy, cała rodzina wybrała się w podróż – pewnie chcą odkryć Amerykę!

Gdy Hurry kręcił się po podwórzu, oglądając oszczepy rybackie, wędki, sieci i tym podobny sprzęt, jaki można znaleźć w każdym domu na pograniczu, Pogromca Zwierząt, zachowujący się na ogół poprawniej i spokojniej niż jego towarzysz, wszedł do domu okazując ciekawość rzadko spotykaną u ludzi, którzy przez dłuższy czas znajdowali się pod wpływem obyczajów indiańskich. Wnętrze zamku było tak nienagannie schludne, jak dziwny był jego wygląd zewnętrzny. Mieszkanie miało około czterdziestu stóp długości i dwudziestu szerokości i podzielone było na małe sypialnie. Pierwsza izba, do której wszedł, służyła równocześnie za pokój mieszkalny i kuchnię. Umeblowanie stanowiło dziwną mieszaninę, jaką nierzadko spotyka się w

domach z drzewa ciosanego, daleko w głębi kraju. Większość mebli odznaczała się surowością kształtów i skrajną prostotą. Jednak piękny zegar z ciemnego drzewa, który wisiał w rogu, a także dwa czy trzy krzesła, stół i biurko pochodziły najwidoczniej z mieszkania, którego właściciel miał większe pretensje, niż to bywa normalnie. W pokoju słychać było mozolne tykanie zegara, które sprawiało wrażenie, jakby jego wskazówki były z ołowiu. Rzeczywiście, posuwały się tak ociężale, jak wyglądały, wskazywały bowiem godzinę jedenastą, chociaż wedle słońca było najwidoczniej już dobrze po południu. Była tam jeszcze ciemna, masywna skrzynia. Naczyń kuchennych, bardzo zresztą prymitywnych, było niewiele, ale każde z nich znajdowało się na swoim miejscu, a stan ich świadczył, że stanowiły przedmiot troskliwych starań.

Pogromca Zwierząt, kiedy już rozejrzał się po pierwszym pokoju, podniósł drewnianą klamkę i "wszedł do wąskiego korytarza dzielącego resztę mieszkania na dwie równe części. Zwyczaje pogranicza pozwalają wejść do cudzego domu pod nieobecność właściciela, poza tym Hurry podniecił ciekawość młodego człowieka. Pogromca otworzył więc drzwi i znalazł się w sypialni. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby zauważył, że w pokoju mieszkały niewiasty. Łóżko stanowiła pierzyna nabita pierzem dzikich gęsi, leżała zaś na zwykłej pryczy, wznoszącej się zaledwie jedną stopę ponad podłogę. Z jednej strony łóżka wisiały na kołkach różne sukienki, znacznie lepsze niż te, jakich można się było spodziewać w tym miejscu, przybrane wstążkami i tym podobnymi faramuszkami. Nie brakło też ślicznych bucików, zdobnych w srebrne sprzączki, jakie nosiły wówczas niewiasty żyjące w dostatku. Dalej leżało tam nie mniej niż sześć na pół otwartych wachlarzy w dość pstrych kolorach, rzucających się w oczy dzięki pomysłowości swych barwnych malowideł. Nawet poduszka z tej strony łóżka miała poszewkę z delikatniejszego płótna niż jej „koleżanka” po drugiej stronie i przybrana była wąską, marszczoną koronką. Nad wezłowiem wisiał czepek przystrojony zalotnie wstążkami, z ostentacyjnie przypiętą do niego parą długich rękawiczek, rzadko w owych czasach noszonych przez osoby należące do klas pracujących. Widocznie szło o to, aby wystawić te rękawiczki na widok, kiedy nie można ich było pokazać na rękach właścicielki. Wszystko to ujrzał Pogromca Zwierząt i zanotował w pamięci z dokładnością, która przyniosłaby zaszczyt nawet jego spostrzegawczym przyjaciółom, Delawarom. Nie uszła też jego uwagi różnica między wyglądem dwu stron łóżka, którego głowa opierała się o ścianę. Po drugiej stronie łóżka wszystko było skromne i niczym nie nęciło oka, wyróżniało się jednak niezwykłą czystością. Na kołkach wisiało parę sukni z najbardziej prostego materiału i nader pospolitego kroju, bynajmniej nie uszytych na pokaz. Nie było tam wstążek ani czepka, a chustki były tylko takie, jakie przystało nosić córkom Huttera.

Od wielu lat Pogromca Zwierząt nie był w pokoju oddanym do wyłącznego użytku kobiet tego samego co on koloru skóry i tejże rasy. Widok pokoju dziewcząt przywołał ciżbę wspomnień z lat dziecięcych. Zatrzymał się tutaj, opanowany tkliwym

uczuciem od dawna mu nie znanym. Myślał o matce, przypomniał sobie, że kiedyś widział jej skromne suknie, tak samo zawieszane na kołkach jak dziś suknie należące zapewne do Hetty Hutter. Myślał o swej siostrze. Podobnie jak Judyta, choć w znacznie mniejszym stopniu, zdradzała słabość do pięknych strojów. Pod wpływem tych drobnych skojarzeń dał upust długo tłumionym uczuciom; odwracając wzrok, wyszedł smutny z pokoju i zamyślony, wolnym krokiem wrócił na podwórze.

–Widzę, że stary Tom znalazł sobie nowe zajęcie i próbuje swej ręki w zastawianiu sideł! – zawołał Hurry, który dokładnie obejrzał sprzęt Huttera. – Skoro stary zabawia się teraz sidłami, a ty masz ochotę zatrzymać się w tych stronach, możemy bardzo przyjemnie spędzić lato. Gdy stary i ja będziemy starali się pokazać bobrom, że jesteśmy mądrzejsi od nich, ty możesz łowić ryby i tłuc jelenie. W ten sposób zarobisz na kawałek chleba. Nawet najbardziej kiepskim myśliwym dajemy zawsze połowę udziału w zdobyczy, strzelec zaś tak bystry i tak pewnej ręki jak ty może liczyć na cały udział.

–Dziękuję, Hurry, dziękuję z całego serca. Ja, też czasem; gdy nadarzy się sposobność, stawiam sidła na bobry. Co prawda, Delawarzy nazywają mnie Pogromcą Zwierząt, ale nie tyle dlatego., że sieję zniszczenie wśród zwierzyny, lecz dlatego że choć ubiłem tyle rogaczy i sarn, nigdy jeszcze nie odebrałem życia bliźniemu. Mówią, że ich tradycja nie wspomina o kimś, co by przelał tyle krwi zwierzęcej, a oszczędził ludzkiej.

–Chyba, mój chłopcze, nie uważają cię za serce zajęcze? Mężczyzna bez męznego serca jest jak bóbr bez ogona.

–Sądzę, Hurry, że nie uważają mnie za zbyt trwożliwego, choć może nie mają mnie za nadmiernie odważnego. Nie jestem awanturnikiem, dzięki czemu nie splamiłem rąk krwią ani myśliwych, ani czerwonoskórych. Nie mam, Harry March, krwi ludzkiej na swym sumieniu.

–Ja tam jelenia, czerwonoskórego czy Francuza uważam za to samo, choć podobnie jak ty nie jestem skory do zwady i nie znajdziesz w żadnej kolonii człowieka bardziej zgodnego niż ja: Gardzę zawalidrogami jak kundlami, ale nie można mieć za wiele skrupułów, gdy nadejdzie czas, że trzeba pokazać pazury.

–Dla mnie, Hurry, prawdziwym mężczyzną jest ten, kto postępuje sprawiedliwie. Cóż za wspaniały zakątek, nie mogę się napatrzeć!

–Po raz pierwszy zetknąłeś się z jeziorem. W podobnych chwilach zawsze przychodzą nam takie myśli. Wszystkie jeziora są takie same, mówię ci, dużo wody i brzeg, cyple i zatoki.

Określenie to zupełnie nie godziło się z uczuciami, które owładnęły młodym

myśliwym, nic więc nie odpowiedział i dalej patrzył w niemym zachwycie to na ciemnozielone wzgórza, to na szklistą wodę.

–Czy gubernator albo ludzie królewscy dali jakąś nazwę temu jezioru? – zapytał nagle, jakby nowa myśl przyszła mu do głowy. Jeśli nie zaczęli znaczyć drzew, nie wyciągnęli kompasów i nic nie kreślą na mapach, to pewnie nie pomyśleli jeszcze o zmączeniu nazwą spokoju natury.

–Jeszcze nie doszli do tego, a jednak kiedy ostatni raz poszedłem ze skórą do kolonii, jeden królewski geometra wypytywał mnie o te okolice. Słyszał, że w tych stronach jest jezioro, i coś mu tam świtało w głowie: tyle, że jest tu woda i pagórki. Wiedział jednak o tym jeszcze mniej niż ty o języku Mohawków. Nie odkryłem kart więcej, niż trzeba, i nie robiłem mu nadziei co do możliwości zakładania farm i karczowania lasów. Słowem, po rozmowie ze mną miał takie pojęcie o tych stronach, jakie podróżny ma o mętym źródle, do którego prowadzi grząska ścieżka, i biedak tylko się zabłoci, a wody się nie napije. Geometra mówił mi, że nie mają tego jeziora na mapie. Sądzę, że się mylił, gdyż pokazał mi mapę z pergaminu, na której jest jezioro, ale nie w tym miejscu, tylko o pięćdziesiąt mil stąd, jeśli w ogóle miało to być to jezioro. Nie sądzę, aby na podstawie mych informacji mógł zaznaczyć na mapie drugie jezioro, tym razem we właściwym miejscu.

Tu Hurry roześmiał się szczerze, były to bowiem ulubione sztuczki tych, którzy bali się przyścia cywilizacji, uszczuplającej obszar ich królestwa, nie podległego prawu. Co więcej, rażące błędy na ówczesnych mapach amerykańskich, sporządzanych jedynie w Europie, były stałym przedmiotem kpin tych ludzi. Choć bowiem nie byli wykształceni i dlatego nie mogli sami zrobić lepszych map, znali swe własne strony na tyle dobrze, aby wykryć poważne błędy na istniejących mapach. Kto zadałby sobie trud porównania dowodów nieodpowiedzialnej wiedzy topograficznej naszych ojców sto lat temu z dokładniejszymi mapami współczesnymi, mógłby od razu zauważyć, że ludzie z lasów mieli dostateczne podstawy do krytyki wiadomości z geografii, jakie miała administracja kolonialna, która bez wahania umieszczała na mapie rzekę czy jezioro o jeden lub dwa stopnie geograficzne od ich właściwego położenia, choć leżały o dzień marszu od zamieszkałych części kraju.

–Rad jestem, że jezioro nie ma nazwy -. podjął Pogromca Zwierząt – a przynajmniej, że nie ma nazwy nadanej przez blade twarze; ich chrzest zawsze bowiem oznacza zniszczenie. Nie ulega jednak wątpliwości, że czerwonoskórzy, a także myśliwi i traperzy jakoś je określają.

Dali zapewne temu jezioru jakąś rozsądną i podobną do niego nazwę.

–Každy szczep ma swój język i własny sposób nadawania nazw rzeczom. Ten zakątek traktują oni jak każdy inny. Między sobą nazywamy jezioro „Lśniącym Zwierciadłem”, gdyż odbija otaczające je sosny strzelające ku niebu tuż nad

brzegiem, jakby chciało w ten sposób odepchnąć napierające nań wzgórze.

–Musi mieć odpływ. Wiem, że każde jezioro ma odpływ, a poza tym skała, przy której mam się spotkać z Chingachgookiem, znajduje się nie opodal odpływu. Czy koloniści nie nadali mu nazwy?

–Pod tym względem górują nad nami, bo mają w swych rękach jeden koniec tego odpływu, i to większy. Nadali mu nazwę, która dotarła aż do źródła rzeki, nazwy bowiem płyną także pod prąd. Niewątpliwie widziałeś, Pogromco Zwierząt, rzekę Susquehanna, płynącą w dolinie, zamieszkałej przez Delawarów?

–Oczywiście, sto razy polowałem na jej brzegach.

–To jest ta sama rzeka i chyba tak samo brzmi jej nazwa. Rad jestem, że biali musieli zachować nazwę nadaną rzece przez Indian, bo obdrzeć ich nie tylko z ziemi, ale i z nazw – to by już było za wiele!

Pogromca Zwierząt nic na to nie odpowiedział. Stał oparty o strzelbę i patrzył na urzekający widok. Czytelnik niech jednak nie sądzi, że sam malowniczy krajobraz tak mocno przyciągnął uwagę myśliwego. Okolica była cudowna, to prawda, i o tej porze wyglądała najkorzystniej. W wodach jeziora, gładkich jak lustro i przezroczystych jak powietrze, wzdłuż wschodniego brzegu odbijały się góry pokryte ciemnozieloną szatą sosen, na cyplach drzewa rosły niemal poziomo, tworząc tu i tam sklepienie z gałęzi i liści nad zatokami, które przeświecały przez zieleń. Głęboka cisza odludnej pustki, wymowny obraz okolic i lasów nie tkniętych ręką ludzką – słowem, królestwo natury napełniało słodyczą i zachwytem serce takiego człowieka, jakim dzięki swym zwyczajom i skłonnościom był Pogromca Zwierząt. Przyrodę odczuwał, nie zdając sobie z tego sprawy, tak – jak poeta. Jeśli znajdował przyjemność patrząc w tę otwartą i nową dlań księgę tajemnic puszczy – podobnie jak ten, co raduje się, gdy zyskał szerszy pogląd na sprawy, które od dawna zaprzętały jego umysł – nie był nieczuły na naturalne piękno tego krajobrazu, lecz doznawał ukojenia, jakie przynosi obraz przepojony dostojeństwem i spokojem natury.

ROZDZIAŁ 3

Cóż, wybierzemy, się razem na lowy?

Gniewa mnie jednak, że zwierz różnoraki,

Który w tej paszczy mieszka od dzieciństwa.

We własnym gnieździe naraża swe boki Na ciosy wideł.

Szekspir

Hurry Harry więcej interesował się wdziękami Judyty Hutter niż pięknem Lśniącego Zwierciadła i jego okolicy. Dlatego gdy już dokonał szczegółowego przeglądu wyposażenia Pływającego Toma, zawołał swego towarzysza do czółna, aby razem udać się na poszukiwanie rodziny Hutterów. Zanim jednak wsiedli do łódki, Hurry starannie obejrzał całą północną stronę jeziora przez lunetę okrętową, dość zresztą kiepską, należącą do ruchomego majątku Huttera; Nie pominął w tych poszukiwaniach żadnej części wybrzeża, zwłaszcza zatokom i przylądkom przyjrzał się uważniej niż zalesionym brzegom.

–Tak też myślałem – powiedział odkładając lunetę.– Stary, korzystając z pięknej pogody, pływa sobie na południowych krańcach jeziora, a zamek zostawił, na los szczęścia. Dobra jest, wiemy, że nie ma go na północy, nic więc łatwiejszego, jak popłynąć na południe i upolować Toma w jego kryjówce.

–Czy pan Hutter uważa ukrywanie się za konieczne? – zapytał Pogromca Zwierząt wchodząc za Hurrym do łodzi. – Z tego, co widzę, tu jest takie odludzie, iż można odsłonić swą duszę bez obawy, że ktoś zmąci nasze myśli lub wiarę.

–Zapominasz o swych przyjaciółach, Mingach i innych dzikich sprzymierzeńcach Francuzów. Czy jest takie miejsce na ziemi, gdzie nie wetknęłyby nosa te psy, które nigdy nie zaznały spokoju? Gdzie jest jezioro lub choćby wodopój jeleni, którego by nie znalazły te szelmy? A jak już znajdą – prędzej czy później zafarbują wodę krwią.

–Nie słyszałem nic dobrego o nich, to prawda, a sam jeszcze nie miałem okazji ich spotkać na ścieżce wojennej, jak zresztą żadnych innych śmiertelników. Śmiem twierdzić, że mało jest prawdopodobne, aby ci rabusie pominęli tak piękny zakątek. Chociaż sam nie miałem zatargów z tymi szczepami, Delawarzy takie dali mi świadectwo o Mingach, że mam o nich najgorszą opinię – uważam ich za łotrów.

–Z czystym sumieniem możesz, jeśli już o tym mowa, uważać za łotra każdego dzikusa, jakiego zdarzy ci się spotkać.

Tutaj Pogromca Zwierząt zaprotestował, wobec czego, wiosłując na południe jeziora, wdali się w gorący spór na temat zalet bladych twarzy i czerwonoskórych. Hurry żywił wszystkie uprzedzenia i antypatie białego myśliwego, który z zasady uważa Indianina za naturalnego rywala, a nierzadko za naturalnego wroga. Rzecz jasna, mówił głośno, hałaśliwie, dogmatycznie i wcale nie argumentował. Natomiast Pogromca Zwierząt okazał w dyskusji zupełnie inny charakter. Umiarem języka, słuszością poglądów i prostotą myśli dowiódł, że zdolny jest iść za głosem rozsądku, że ożywia go mocne wrodzone pragnienie sprawiedliwego postępowania i że jest usposobienia szczerego, co nie pozwala mu uciekać się do wykrętów dla poparcia swych twierdzeń lub obrony uprzedzeń. Nie był atoli całkiem wolny od przesądów. Przesady – ten tyran ludzkiego umysłu, który rzuca się na swoją ofiarę ze wszystkich stron niemal od chwili, gdy człowiek zaczyna myśleć i czuć, i który żelazną różgą chłoscze umysł ludzki aż do dnia śmierci – wywarły wpływ nawet na najlepsze skłonności Pogromcy, niezawodnie pięknego okazu młodzieńca, nie znającego złego przykładu ani pokus i z natury dobrego.

–Przyznasz, Pogromco Zwierząt, że Mingo jest gorszy od półdiabła! – wołał Hurry podejmując dyskusję z gwałtownością, która graniczyła z okrucieństwem – choć chciałbyś mi wmówić, że Delawarzy to szczep niemal aniołów. Otóż twierdzę, że nawet biali nie są aniołami. Nie mają białych bez skazy, tym samym również Indianie nie mogą być bez skazy. Dlatego twoje rozumowanie jest od początku kulawe. Oto, co ja nazywam rozumowaniem. Są trzy kolory na świecie: biały, czarny i czerwony. Biały kolor jest najlepszy, to samo dotyczy białego człowieka. Dalej idzie kolor czarny, dlatego czarnym wolno żyć w pobliżu białych, czarni mogą też służyć białym; na końcu idzie czerwony, co dowodzi, że ten, co ich stworzył, nigdy nie liczył na to, że ktoś mógłby Indianina uważać za więcej niż półczłowieka.

–Bóg ich wszystkich tak stworzył, że są do siebie podobni.

–Podobni! Czy uważasz, że Negr jest podobny do białego człowieka, a ja do Indianina?

–Strzelasz, choć nie nabiłeś, i nie chcesz wysłuchać mnie do końca. Bóg stworzył nas wszystkich: białych, czarnych i czerwonych. Bez wątpienia, Bóg wiedział, co robi, gdy malował nas na różne kolory. Ale – w zasadzie – dał nam te same uczucia; nie przeczę jednak, że każdą rasę obdarzył czym innym. Dary, które otrzymał biały człowiek, są chrześcijańskie, a dary czerwonoskórego pomagają mu żyć w puszczy. Gdyby biały oskalpował zmarłego, byłoby to wielkim grzechem – u Indianina jest to wybitna cnota. A dalej, biały w czasie wojny nie czyha na życie kobiet i dzieci, u czerwonoskórych jest to, dozwolone.

Okrutne, przyznaję, ale ich prawo na to pozwala; u nas byłoby to przestępstwo.

–To zależy, kto jest naszym wrogiem. Skalpowanie, a nawet obdzieranie ze skóry

dzikich uważam za mniej więcej to samo, co obcięcie uszu wilkowi dla nagrody wyznaczonej przez kolonię albo obdarcie ze skóry niedźwiedzia. Mylisz się tedy grubo w sprawie obcinania czerwonoskórym włosów wraz ze skórą, skoro sama kolonia wyznaczyła za to nagrodę taką samą, jaką płaci za uszy wilka lub głowę kruka!

–Tak, ale to jest godne potępienia, Hurry. Nawet Indianie krzyczą, że to hańba, gdyż to jest przeciw darom, które biały człowiek otrzymał od nieba. Nie twierdzę, że biali zawsze postępują naprawdę po chrześcijańsku i że zawsze przyświeca im rozum dany przez Boga – byliby wtedy tym, czym powinni być, a wiemy, że tak nie jest – ale obstaję przy tym, że tradycja, zwyczaj, kolor skóry, prawo są przyczyną niemniejszych różnic między rasami niż różnice wrodzone. Nie przeczę, że są szczepy wśród Indian przewrotne i bezecne, jak i niektóre narody wśród białych. Otóż, do pierwszych zaliczam Mingów, a do drugich Francuzów z Kanady. Kiedy jest jawna wojna tak jak obecnie, naszym obowiązkiem jest tłumić wszelkie uczucia litości, gdy idzie o życie ludzkie. Ale to jeszcze nie znaczy, abyśmy mieli skalpować.

–Słuchaj głosu rozsądku, proszę cię, Pogromcą Zwierząt. Powiedz mi, czy kolonia może wydawać bezprawne prawa? Czy takie prawo nie byłoby bardziej przeciw naturze niż skalpowanie dzikich? Prawo nie może być bezprawne, podobnie jak prawda nie może być kłamstwem. – To brzmi rozsądnie, Hurry, ale prowadzi do wniosków najbardziej nierozsądnych. Nie wszystkie prawa pochodzą z jednego źródła. Bóg dał nam swoje prawo, inne prawa pochodzą od kolonii, od króla i parlamentu. Gdy prawa kolonii a nawet królewskie są sprzeczne z prawami boskimi, stają się bezprawiem i nie należy ich słuchać. Uważam, że biały człowiek winien szanować prawa białych dopóty, dopóki nie staną na drodze praw pochodzących od wyższej władzy; czerwonoskóry zaś winien przestrzegać zwyczajów swej rasy na tych samych warunkach. Zresztą, co tu dużo gadać, każdy myśli po swojemu i mówi to, co miłe jest jego myślom. Wypatrujmy dobrze naszego przyjaciela, Pływającego Toma, aby nie uszedł naszym oczom, schowany w przybrzeżnych zaroślach.

Pogromcą Zwierząt słusznie wspomniał o brzegu jeziora, wzdłuż niego bowiem małe drzewa pochylały się tuż nad wodą, a ich gałęzie często zanurzały się w przezroczystym żywiole. Brzegi jeziora były strome nawet tam, gdzie nie były wysokie. Nieustanny pęd roślinności ku słońcu nadał im wygląd tak piękny, że nie zrobiłby tego lepiej miłośnik malowniczych krajobrazów, gdyby skomponowanie tej wspaniałej leśnej panoramy było w jego mocy. Poza tym linię brzegu wzbogacały i urozmaicały liczne cyple i przylądki. Łódź trzymała się zachodniego brzegu jeziora, aby – jak Hurry wyjaśnił swemu towarzyszowi – rozpoznać, czy nie ma nieprzyjaciela, zanim odważą się wypłynąć na otwarte wody. Utrzymywało to uwagę obu przyjaciół w stałym napięciu, nie można bowiem było odgadnąć, co kryje się za najbliższym cyplem, który mieli minąć. Szybko posuwali się naprzód. Dla Hurry'ego, przy jego olbrzymiej sile, lekkie czółno nie znaczyło więcej niż piórko. Pogromca, dzięki swej zręczności, wiosłował nie mniej wydajnie, choć fizycznie był słabszy.

Za każdym razem, gdy łódka mijała cypel, Hurry oglądał się w nadziei, że zobaczy arkę w zatoce na kotwicy lub przycumowaną do brzegu. Stale jednak spotykał go zawód. Byli już o milę od południowego krańca jeziora i o dwie mile bez mała od zamku, zasłoniętego teraz przed ich wzrokiem przez pół tuzina przylądków, które minęli – gdy nagle Hurry przestał wiosłować, jakby nie wiedział, w jakim kierunku ma się zwrócić.

–Możliwe, że stary zapędził się na rzekę – rzekł po dokładnym przejrzeniu całego wschodniego brzegu, który, oddalony od nich o milę, leżał, co najmniej w połowie swej długości, w jego polu widzenia – bo ostatnio ogromnie zapalił się do sideł. Wprawdzie drzewa leżące na rzece zagradzają drogę, Tom jednak mógł spłynąć milę lub więcej w dół rzeki; musiałby tylko wtedy dobrze popracować, aby płynąc pod prąd wrócić na jezioro.

–Gdzie jest odpływ? – zapytał Pogromca Zwierząt. – Nie widzę przerwy w brzegu i w lasach, przez którą mogłaby przepłynąć taka rzeka jak Susquehanna,

–Ach, Pogromco Zwierząt, rzeki są jak ludzie; najpierw są maleńkie, a potem mają szerokie ramiona Nie widzisz rzeki wypływającej z jeziora, gdyż przeciska się między wysokimi i stromymi brzegami. Sosny, świerki i lipy zasłaniają ją tak, jak dach okrywa dom. Jeśli starego Toma nie ma w Zatoce Szczurzej, musiał schować się na rzece; poszukamy go najpierw w zatoce, a potem wypłyniemy na rzekę. Gdy ruszyli ku brzegowi, Hurry wyjaśnił Pogromcy, że płyną ku płytkiej zatoce, utworzonej przez długi i niski przylądek a nazywanej Zatoką Szczurzą dlatego, że jest to zakątek chętnie odwiedzany przez piżmoszczury. W zatoce tej arka może schować się tak bezpiecznie, że jej właściciel chętnie zarzuca tu kotwicę, ilekroć znajdzie się w tej części jeziora.

–W tych stronach nigdy się nie wie, kto nas odwiedzi – ciągnął Hurry – stąd wielce jest pożądane, aby móc zobaczyć gości, zanim zbytnio zbliżą się do nas. Obecnie, gdy mamy wojnę, taki środek ostrożności jest jeszcze bardziej potrzebny niż zwykle, skoro Kanadyjczyk lub Mingo może wleźć do naszego domu, zanim zdążymy go poprosić do środka. Nasz Hutter jednak wie, co w trawie piszczy, i umie zwęszyć niebezpieczeństwo – podobnie, jak pies czuje jelenia.

–Moim zdaniem, zamek jest tak widoczny, że musiałby zwrócić uwagę nieprzyjaciół, którzy by odkryli to jezioro, co jednak wydaje mi się nieprawdopodobne, bo jezioro nie leży na szlaku wiodącym do fortów i osad.

–Widzisz, Pogromco Zwierząt, doszedłem do przekonania, że łatwiej jest spotkać wrogów niż przyjaciół. Strach pomyśleć, jak wiele jest powodów, dla których ktoś może stać się naszym wrogiem, a jak mało powodów do przyjaźni. Jedni wykopują topór wojenny, bo nie myślisz akurat tak jak oni; inni zaś czynią to dlatego, że wyprzedzasz ich w tych samych poglądach. Znałem kiedyś włóczęgę, który pokłócił

się z przyjacielem o to, że tamten nie uważał go za przystojnego chłopca. Ty, uważasz, też nie jesteś pomnikiem urody męskiej, ale nie jesteś taki niemądry, żebyś stał się mym wrogiem, gdybym ci to powiedział.

–Jestem taki, jakim mnie Bóg stworzył; nie pragnę uchodzić za coś lepszego albo gorszego. Może nie wyglądam tak ładnie, jakby chcieli wyglądać ludzie lekkomyślni i próżni; zdaje się jednak, że dobrze się prowadzę i że to jest godne uwagi. Trudno o męczyznę bardziej wspaniałego wyglądu niż ty, Hurry. Wiem, że nikt nie spojrzy na mnie, gdy może patrzeć na ciebie. Nie Wydaje mi się jednak, żeby myśliwy mniej wprawnie władał strzelbą i żeby mu było trudniej o pożywienie, jeśli nie ciągnie go, aby przystawać przy każdym połyskującym źródle, na jakie się natknie, i zachwycać się odbiciem własnej twarzy.

Hurry wybuchnął głośnym śmiechem. Był zbyt leniwy, aby zajmować się swą wyraźną przewagą fizyczną, ale był jej świadom i jak wielu ludzi, którzy wykorzystują swe pochodzenie lub cechy wrodzone, będące przecież dziełem przypadku, skłonny był do zadowolenia z samego siebie, ilekroć myślał na ten temat.

–Nie, nie, Pogromco Zwierząt! – zawołał. – Nie jesteś piękny, co sam przyznasz, jeśli pochylisz się i spojrzysz w wodę. Judytka powie ci to w oczy, jeśli ją o to zapytasz. Nie znajdziesz bowiem dziewczyny z bardziej niewyparzonym językiem ani w osadach, ani gdzie indziej "- spróbuj ją tylko zaczepić. Radzę ci; abyś jej nigdy nie rozgniewał. Natomiast Hetty możesz powiedzieć wszystko – przyjmie to ze słodyczą jagniątka. Chociaż – nie sądzę, żeby Judyta ci powiedziała, co myśli o twym wyglądzie.

–Jeśli nawet powie, Hurry, to nie więcej, niż ty mi już powiedziałeś.

–Chyba nie gniewasz się, Pogromco Zwierząt, o tych parę słów. Rozumiesz przecież, że nie chciałem sprawić ci przykrości. Musisz wiedzieć, że nie jesteś piękny. Dlaczego przyjaciele nie mieliby powiedzieć sobie tego lub owego? Gdybyś był przystojny lub mógł wyładnieć, pierwszy bym ci o tym powiedział. To ci powinno wystarczyć. Ale gdyby Judytka mi powiedziała, że jestem brzydki jak grzech śmiertelny, uznałbym to za nieszczerę i postarałbym się nie uwierzyć.

–Uprzywilejowanym przez naturę łatwo żartować na ten temat, choć dla innych może to być niemile. Kiedyś, nie przeczę, pragnąłem być ładny. Udawało mi się jednak pohamować to pragnienie, gdy pomyślałem, ilu znałem takich, co mieli miłą powierzchowność, ale nie mogliby się pochwalić żadną zaletą wewnętrzną. Nie przeczę, Hurry, często żałuję, że natura poskąpiła mi urody, że nie jestem bardziej podobny do ciebie. Wyzbywam się jednak tego żalu, gdy pomyślę, o ile lepiej pod różnymi względami jest mi na tym świecie niż wielu mym bliźnim. Mógłbym urodzić się kulawy i niezdolny do zapolowania nawet na wiewiórkę albo ślepy, co uczyniłoby mnie ciężarem dla samego siebie i mych przyjaciół, albo głuchy – a tym samym do

niczego niezdatny w bitwie czy na zwiadach. Byłbym wtedy niezdolny do spełnienia tego, co uważam za obowiązek mężczyzny w tych niepewnych czasach, Tak, tak, przyznaję, nie jest przyjemnie widzieć, że inni są przystojniejsi, mają powodzenie i cieszą się większym szacunkiem, łatwiej wszakże znieść to wszystko, gdy się złu spojrzy w oczy i zna się własne zalety i powinności.

Hurry w gruncie rzeczy był młodzieńcem zacnego serca i poczciwym, dlatego też pokora towarzysza zupełnie rozbroiła jego, przelotne zresztą, uczucie osobistej próżności. Żałował teraz, że wspomniał o kiepskim wyglądzie zewnętrznym Pogromcy i chciał to naprawić, ale żal swój wyraził w sposób nieokrzesany, właściwy zwyczajom i po- głądom ludzi pogranicza.

–Nie miałem złych intencji, Pogromco Zwierząt – odezwał się tonem pojednawczym – i mam nadzieję, że zapomnisz, co powiedziałem. Chociaż nie jesteś zabójczo przystojny, masz coś w twarzy, co wyraźniej niż słowa mówi, że nie brak ci wewnętrznego piękna. Poza tym nie przywiązujesz znaczenia do wyglądu zewnętrznego, łatwiej tedy wybaczysz lekką obrazę twej urody. Nie powiem, że Judytka będzie tobą zachwycona, bo miałbyś nadzieje, które musiałyby cię zawieść. Ale, uważasz, jest tam Hetty – ta zapewne z przyjemnością będzie patrzeć na ciebie, jak zresztą na każdego innego. Poza. tym jesteś zbyt poważny i zrównoważony, abyś wiele dbał o Judytę. Choć jest to dziewczuszka niepospolita, tylu mężczyzn wprawia ją w zachwyt, że ten i ów nie powinien od razu się przejmować, jeśli przypadkiem obdarzy go. uśmiechem. Myślę sobie czasem, że ta szelma siebie kocha więcej niż wszystko w świecie.

–Gdyby tak było, Judyta, sądzę, – postępowałyby niegorzej niż większość królowych na tronach i dam w miastach – odparł. z uśmiechem Pogromca Zwierząt odwracając się do towarzysza, a na jego poczciwej i szczerzej twarzy nie było śladu niezadowolenia. – Nie znałem nawet Delawarki, o której nie można by powiedzieć tego samego.

Oto cypel długiego przylądka, o którym mówiłeś. Zatoka Szczurza musi być niedaleko.

Przylądek ten nie wysuwał się w linii prostej od brzegu jeziora jak inne, lecz biegł równolegle do brzegu, zamykając głęboką i zaciszną zatokę, która zataczała półkole na przestrzeni ćwierć mili i przylegała do doliny leżącej na południowym brzegu jeziora. Hurry był niemal pewny, że w tej zatoce znajdzie arkę, gdyż zakotwiczona za drzewami rosnącymi na wąskim pasie przylądka mogła przez całe lato pozostawać w ukryciu przed najbardziej przenikliwymi oczami. Zamaskowanie było tak zupełne, że łódź, przycumowana do wewnętrznego brzegu przylądka w głębi zatoki, mogła być dostrzeżona tylko z gęsto zarośniętego brzegu zatoki, gdzie dostać się obcym byłoby niezmiernie trudno.

–Zaraz zobaczymy arkę – powiedział Hurry, gdy łódka szybko minęła cypel; woda w tym miejscu była tak głęboka, że wydawała się niemal czarna. – Stary lubi się zaszyć w sitowiu. Za pięć minut będziemy w jego gniazdku, choć on sam pewnie poszedł do swoich siedel.

March okazał się fałszywym prorokiem. Czólno minęło już cypel, dwaj podróżni mogli więc objąć wzrokiem całą przystań, a raczej zatokę (to drugie określenie jest bowiem bardziej odpowiednie), ale nic więcej nie można tam było ujrzeć poza tym, co sama natura w zatoce umieściła. Spokojna woda zataczała wokół czólno wdzięczne łuki, trzciny łagodnie chyliły się nad powierzchnią wody, a także i drzewa skłaniały się ku jezioru. Cała okolica tchnęła kojącą i wzniosłą pustką dziewiczej przyrody. Krajobraz ten byłby rozkoszą dla poety i malarza, nie miał jednak uroku dla Hurry Harry'ego, którego trawiło pragnienie widoku lekkomyślnej piękności.

Czólno płynęło cicho, niemal bezszelestnie – ludzie pogranicza przywykli do ostrożnych ruchów – sunęło po szklistej wodzie, jakby płynęło w powietrzu, nie mącąc ciszy, której oddech przepajał całą okolicę. Wtem zatrzeszczała sucha gałązka na wąskim skrawku lądu zasłaniającym zatokę przed widokiem z otwartego jeziora. Obydwaj wędrowcy zadrżeli i sięgnęli po strzelby, broń bowiem zawsze trzymali pod ręką.

–To było za ciężkie na małe zwierzę – szepnął Hurry – to był chyba odgłos kroków człowieka!

–Nie, to nie to – odparł Pogromca Zwierząt – to było za ciężkie, jak mówisz, na małe zwierzę, ale za lekkie na człowieka. Opuść wiosło na wodę i przybij do brzegu, do tego pnia. Wyjdę na brzeg i odetnę temu stworzeniu odwrot, czy to jest Mingo, czy piżmoszczur.

Hurry posłuchał. W chwilę potem Pogromca Zwierząt znalazł się na brzegu i posuwał się w głąb gęstwiny, a że obuty był w mokasyny i zachowywał się nader ostrożnie – uniknął najmniejszego szmeru. W minutę później był już na środku wąskiego pasa ziemi i pomału przedzierał się ku końcowi przez zarośla, w których musiał zachować największą ostrożność. I właśnie w chwili gdy znalazł się w środku gęstwiny, znów zatrzeszczały zeszcłe gałązki, po czym trzask powtarzał się w równych odstępach czasu, jakby jakaś żywa istota szła wolno ku cypelowi przylądka. Hurry też usłyszał te odgłosy, wpłynął więc czólnem w zatokę, chwycił strzelbę i czekał, co będzie dalej. Minęła minuta oczekiwania z zapartym oddechem, po czym wspaniały jeleni wyszedł z gęstwiny i z wielką powagą skierował się ku piaszczystemu krańcowi przylądka, gdzie zaczął gasić pragnienie wodą jeziora.

Hurry zawahał się, potem szybkim ruchem przyłożył strzelbę do ramienia, zmierzył się i strzelił. Nagłe zerwanie uroczystej ciszy, zalegającej okolicę, wywołało osobliwe skutki. Huk strzału był jak zwykle ostry i krótki, nastąpiła po nim chwila ciszy, w

czasie której głos przepłynął w powietrzu ponad jeziorem i dotarł do skał góry leżącej na przeciwległym brzegu, gdzie skupiły się drgania powietrza i potoczyły daleko wzgórzami, wypełniając echem kotliny. Rzekłbyś, że zbudziły się gromy śpiące w lasach. Na odgłos strzału i gwizd kuli jelen tylko potrząsnął głową – było to jego pierwsze spotkanie z człowiekiem. Dopiero echa oddane przez wzgórze obudziły jego nieufność. Skoczył, zbierając nogi pod sobą, wpadł prosto w głęboką wodę i popłynął ku krańcowi jeziora. Hurry krzyknął i ruszył czółnem w pościg. Przez parę minut woda pieniała się dookoła czółna i ściganego zwierzęcia. Hurry mijał właśnie cypel, gdy na piasku ukazał się Pogromca Zwierząt i dał mu znak, aby wracał...

–Postąpiłeś nierozważnie, strzelając, zanim rozpoznaliśmy brzegi jeziora i nim upewniliśmy się, że wróg nie ukrywa się w pobliżu – powiedział Pogromca, gdy jego towarzysz, ociągając się nieco, posłuchał wezwania do powrotu. – Tego nauczyłem się już od Delawarów, słuchając ich nauk i opowiadań, choć nie byłem jeszcze na ścieżce wojennej. Co więcej, nie nadeszła jeszcze pora polowań, a pożywienia też nam nie brakuje. Przyznaję, nazywają mnie Pogromcą Zwierząt; może zasługuję na to nazwisko, skoro znam zwyczaje zwierzyny i rękę mam pewną; nikt jednak nie może mi zarzucić, że zabijam zwierzęta, gdy nie potrzebuję mięsa lub skóry. Mogę być pogromcą, ale nigdy nie będę mordercą zwierząt.

–Jak mogłem tak strasznie spudłować do tego jelenia! – zawołał Hurry zdejmując czapkę i zanurzając palce w swej pięknej, acz zwichrzonej czuprynie, jakby w ten sposób chciał się uwolnić od równie splątanych myśli. – Podobnej niezręczności nie popełniłem, od czasu, gdy ukończyłem piętnaście lat.

–Nie ma się czym martwić; śmierć tego stworzenia nie przyniosłaby nic dobrego, a nam mogłaby tylko zaszkodzić. Te echa brzmią w mych uszach na pewno groźniej niż twój chybiony strzał; jest to jak gdyby głos natury, który woła o pomstę za postępek szkodliwy i bezmyślny.

–Jeżeli dłużej zostaniesz w tych stronach, usłyszysz wiele takich głosów – odparł śmiejąc się Hurry. – Echa powtarzają niemal wszystko, co się mówi lub robi na Lśniącym Zwierciadle w cichą letnią pogodę. Jeżeli upadnie ci wiosło, odgłosy nastąpią jeden po drugim, Jakby pagórki śmiały się złośliwie z twej niezręczności; zaśmiejesz się lub zagwizdziesz, odpowiedzą ci sosny, jeżeli tylko zechce im się mówić, i dałbyś wtedy głowę, że istotnie mogą z tobą rozmawiać.

–Jeszcze jeden powód, aby zachować rozwagę i milczenie... Nie sądzę, aby nieprzyjaciel dotarł już do tych pagórków, gdyż wątpię, czy miałby tu czego szukać. Ale Delawarzy stale mi powtarzali, że jeśli odwaga jest pierwszą cnotą wojownika, rozwaga jest drugą. Jeden taki odgłos gór wystarczy, aby cały szczepek poznał tajemnicę naszego przybycia w te strony.

–Jeśli te echanie przyniosą nam innych korzyści, przypomną staremu Tomowi, że

pora postawić garnek na ogniu, i oznajmią mu, że goście są blisko. Nuże, chłopcze, włącz w czołno, zapolujemy na arkę, póki jest dzień.

Pogromca Zwierząt usłuchał tego wezwania i czołno ruszyło w dalszą drogę. Hurry skierował dziób łodzi na ukos, ku południowo-wschodniemu zakolu jeziora. Od brzegu, a raczej od krańca jeziora, ku któremu płynęli teraz obydwaj młodzieńcy, byli oddaleni o niecałą milę. Odległość ta szybko się zmniejszała, gdyż prędko posuwali się naprzód, umiejętnie i lekko obracając wiosłami. Kiedy znaleźli się w połowie drogi, jakiś szmer dobiegł ich od strony wybrzeża, do którego się zbliżali. Gdy zwrócili tam wzrok, ujrzeli, jak jeleń wynurzył się z głębin i poszedł w bród ku brzegowi. Szlachetne zwierzę otrząsnęło się z wody, spojrzało w górę na sklepienie z gałęzi drzew, skoczyło na skarpę i zanurzyło się w puszczy.

–Stworzenie to odchodzi z sercem pełnym wdzięczności – rzekł Pogromca Zwierząt – gdyż głos natury mówi mu, że uszło wielkiemu niebezpieczeństwu. Ty, Hurry, gdy pomyślisz, że oko zawiodło cię, a ręka okazała się nie dość pewna, powinienesz doznać podobnych uczuć co ten jeleń, skoro nic dobrego nie mógł przynieść strzał oddany bez powodu i bezmyślnie.

–Nie zgadzam się. z tym, co mówisz o moim oku i ręce! – zawołał podniecony March. – W czasie pobytu u Dęła warów zdobyłeś sobie markę łowcy jeleni bystrego i pewnej ręki, ale chciałbym cię zobaczyć za jedną z tych sosen, a za drugą Minga z twarzą umalowaną na wojnę – obu czyhających na siebie z podniesionymi strzelbami! W takich sytuacjach, Natanielu, można wypróbować wzrok i rękę, bo to się zaczyna od próby nerwów. Wcale nie uważam, że zabić zwierzę to wielka rzecz, ale zabić dzikiego- to czyn bohaterski. Zbliża się pora próby twej ręki, gdyż znów narażeni jesteśmy na ciosy wroga i niebawem zobaczymy, co sława myśliwego warta jest na polu bitwy. Nie zgadzam się, że moja ręka i oko zawiodły. Nie mogłem przecież przewidzieć, że jeleń zatrzyma się, kiedy powinien biec dalej. No i kula go wyprzedziła.

–Mów o tym, co chcesz, Hurry. Ja tylko tyle powiem, że miałeś szczęście. Śmiem twierdzić, że nie mógłbym strzelić do istoty ludzkiej z takim spokojem i lekkim sercem, jak strzelam do jelenia.

–Któż mówi o ludziach, Pogromco Zwierząt? Cały czas mam na myśli Indianina. Wierzę, że każdy czuje się nieswojo, gdy walczy na śmierć i życie z innym człowiekiem. Ale nie można mieć takich skrupułów, gdy rzecz ma się z Indianinem. Wtedy idzie tylko o to, kto pierwszy zdoła zadać śmiertelny cios.

–Uważam czerwonoskórych za takich samych ludzi jak my, Hurry. Mają swe właściwości i własną religię, to prawda. Ale ostatecznie to nic nie znaczy, gdyż każdy będzie kiedyś sądzony wedle swych postępów, a nie wedle koloru skóry.

–Mówisz całkiem jak misjonarz, ale te poglądy nie mogą być życzliwie przyjęte w tych stronach. Braci morawian tutaj nie znają. Skóra, uważasz, stanowi o człowieku. I tak powinno być, inaczej ludzie nie wiedzieliby, co mają sądzić o innych. Zwierzęta i ludzie noszą na sobie skórę po to, abyś na sam ich widok wiedział, z czym lub z kim masz do czynienia. Po skórze odróżnisz niedźwiedzia od dzikiej świni, a szarą wiewiórkę od czarnej.

–Dobrze, Hurry – odparł Pogromca odwracając się do niego z uśmiechem – szara czy czarna, ale zawsze wiewiórka.

–Kto mówi, że nie? Ale nie chcesz chyba powiedzieć, że zarówno czerwonoskóry jak białą są Indianami?

–Nie, tylko twierdzą stanowczo, że obaj są ludźmi. Ludźmi różnych ras i kolorów skóry, różnych właściwości i tradycji, ale w gruncie rzeczy – tej samej natury. Obaj mają dusze; obaj też odpowiedzą kiedyś za swe postęпки na tym świecie.

Hurry był jednym z tych teoretyków, którzy wierzą święcie w niższość wszelkich ras kolorowych. Jego pojęcia w tej mierze nie były zbyt jasne, a definicje wyraźnie sformułowane, niemniej poglądy Hurry'ego były dogmatyczne i uparte. Sumienie oskarżało go o różne akty bezprawia wobec Indian, znalazł więc niezmiernie wygodny sposób uciszenia głosu sumienia w wyrzuceniu całego rodu czerwonoskórych poza granice praw ludzkich. Nic nie gniewało go bardziej niż sprzeciwienie się jego poglądom w tej sprawie, zwłaszcza jeśli protest poparty był trafnymi argumentami; stąd Hurry słuchając uwag towarzysza nie mógł zapanować ani nad swym zachowaniem, ani nad swymi uczuciami.

–Jesteś dzieckiem, Pogromco Zwierząt, które zwiody z drogi i wprowadziły w błąd przewrotność Delawarów i ignorancja misjonarzy! – zawołał nie zważając, jak zwykle, gdy był podniecony, na niedelikatność tego, co mówił. – Możesz sam uważać się za brata Delawarów, ale ja mam ich wszystkich za zwierzęta; nie znajduję w nich nic ludzkie go – poza chytrnością. Przyznaję, że sprytu im nie brak; ale lis i niedźwiedź też mają swój spryt. Jestem starszy od ciebie i dłużej żyję w lasach – a właściwie zawsze tu żyłem i niemnie uczyć, czym jest albo nie jest Indianin. Chcesz, żeby cię uważano za Indianina, to powiedz, a przedstawię cię jako dzikiego Judycie i jej ojcu – zobaczysz, jakie miłe spotka cię przyjęcie.

W tym miejscu wyobraźnia pomogła Hurry'emu odzyskać dobry humor, gdy bowiem wystawił sobie przyjęcie, jakie jego panna wodna zgotowałyby osobie przedstawionej w ten sposób, wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem. Pogromca Zwierząt zbyt dobrze wiedział, że na nic zdałyby się próby przekonania takiego człowieka, iż ulega przesądom, aby chciał podjąć tę próbę. Rad był tedy, że czołno zbliżyło się do południowo-wschodniego zakola jeziora i że jego myśli zwróciły się w innym kierunku. Byli teraz istotnie blisko miejsca, które March wskazał jako odpływ rzeki.

Obaj szukali wzrokiem odpływu, a ciekawość ich była tym większa, że spodziewali się znaleźć tam arkę.

Czytelnikowi może wydać się nieco dziwne, że podróżni znajdując się nie dalej niż dwieście jardów od tego miejsca, mogli mieć wątpliwość co do położenia rzeki, która była dość szeroka i przepływała między brzegami wznoszącymi się na dwadzieścia stóp ponad powierzchnię jeziora. Trzeba wszakże pamiętać, że drzewa i krzaki, zarówno w tym miejscu, jak i nad całym jeziorem, chyliły się nisko ku wodzie, stanowiąc jakby grzywę nad wodą i zasłaniając przed oczyma wszystko, co mogło stanowić urozmaicenie ogólnych zarysów linii brzegu.

–Dwa lata nie byłem na tym krańcu jeziora – powiedział Hurry stając w czółnie, aby lepiej się rozejrzeć. – Tak, oto skała, której podbródek wystaje z wody, wiem, że niedaleko od tej skały rzeka wypływa z jeziora.

Znów chwycili za wiosła; chwilę potem zaniechali wysiłku: czółno samo płynęło ku skale, od której dzieliło je teraz zaledwie parę jardów. Skała nie była duża, miała pięć lub sześć stóp wysokości, z czego tylko połowa wystawała ponad powierzchnię jeziora. Od setek lat woda nieustannie obmywała tę skałę i zaokrągliła jej górną część nadając jej kształt bardziej niż zwykle regularny i gładki, tak że podobna była do dużego ula. Gdy łódź wolno mijiała skałę, Hurry powiedział, że Indianie z tej części kraju dobrze ją znają, gdyż posługują się nią jako znakiem określającym miejsce spotkania, kiedy rozłączą ich łowy lub wędrówki.

–Oto rzeka, Pogromco Zwierząt – dodał Hurry – ale tak ukryta wśród drzew i krzaków, że miejsce to bardziej wygląda mi na zasadzkę niż na odpływ tak wielkiego jeziora jak Lśniące Zwierciadło.

Hurry nienajgorzej określił to miejsce – wyglądało istotnie, jakby rzeka ukryła się tam w zasadzce. Wysokie brzegi były oddalone od siebie o jakieś sto stóp, lecz występ niskiego lądu po zachodniej stronie zmniejszył szerokość rzeki do połowy. Krzaki zwisały nad wodą, a kolumny sosen wysokich jak dzwonnice, strzelając ku słońcu, splątały w górze ramiona gałęzi. Dlatego też oku ludzkiemu nawet z bliska nie łatwo było wykryć na brzegu jeziora ujście, przez które wypływała rzeka. Patrząc z jeziora na las, nie widać było ani śladu odpływu; las ten wyglądał jak nieprzerwany i nie mający końca dywan z liści. Czółno, płynąc wolno, wciągane przez prąd znalazło się pod sklepieniem drzew; światło dzienne, przeciskające się przez nieliczne szczeliny, trochę rozjaśniało mroczne wnętrze lasu.

–To miejsce natura przeznaczyła na zasadzki – powiedział Hurry niemal szeptem, poddając się tajemniczemu i zmuszającemu do czujności nastrojowi, panującemu, w lesie. – Możesz być pewny, że stary Tom gdzieś tutaj zaszył się ze swoją arką. Popłyniemy trochę z prądem i wykurzymy go z kryjówki.

– Nawet mały stateczek tędy się nie prześliźnie – odparł Pogromca. – Zdaje mi się, że miejsca ledwie starczy na czółno.

Hurry roześmiał się na to i jak się niebawem okazało, miał słuszność. Zaledwie bowiem nasi przyjaciele minęli grzywę krzaków na brzegu jeziora, znaleźli się na dość głębokiej, przeźroczystej wodzie wąskiej rzeki, unoszeni rwącym prądem, pod baldachimem liści podtrzymywanym przez kolumny sędziwych drzew. Krzaki jak zwykle wytyczały linie brzegów, pozostawiały jednak dość miejsca, aby mogła przejść łódź nie przekraczająca dwudziestu stóp szerokości, i pozwalający płynącym ujrzeć przed sobą perspektywę rzeki osiem do dziesięciu razy dłuższą niż jej szerokość.

Nasi łowcy przygód używali wiosł jedynie do utrzymania lekkiego czółna na środku rzeki, natomiast z największą uwagą przyglądali się każdemu zakątkowi, a minęli ich dwa czy trzy na przestrzeni pierwszych stu jardów. Minęli więcej takich zakątków i łódź spłynęła z prądem spory kawał, gdy nagle Hurry bez słowa chwycił za gałąź i zatrzymał czółno dając w ten sposób do zrozumienia, że ma do tego szczególne powody. Pogromca Zwierząt, gdy tylko ujrzał, co robi Hurry, położył rękę na kolbie strzelby. Był to tylko odruch myśliwego, Pogromca bowiem wcale się nie przestraszył.

– Tutaj musi być nasz stary – szepnął Hurry pokazując palcem i śmiejąc się serdecznie, przy czym baczył jednak, aby nie wywołać hałasu. – Węszy nosem, tak jak przypuszczałem; po kolana w błocie i wodzie sprawdza sidła i przynętę. Ale, jak mi życie miłe, nie widzę ani śladu arki. Stawiam jednak o zakład wszystkie skóry, jakie upoluję w tym sezonie, że śliczna nóżka Judyty nie zawrze bliższej znajomości z tym czarnym błotem. Dziewczyna pewnie zaplata włosy u źródła, gdzie może ujrzeć swą piękną buzię i uzbrajać się w pogardę wobec nas, mężczyzn.

– Zbyt surowo sądzisz młode kobiety. Tyle samo myślisz o ich błędach, ile one myślą o swych zaletach. Ta Judyta zapewne ani nie zachwyca się sobą, ani też nie gardzi naszą płcią tak bardzo, jak ci się zdaje. Sądzę, że usługuje ojcu w domu, gdziekolwiek się znajdują, podobnie jak on pracuje dla niej przy sidłach.

– Miło jest usłyszeć prawdę z ust mężczyzny, choćby to się zdarzyło dziewczynie tylko raz w życiu! – zawołał miły, pełny, ale i miękki głos kobiety tak blisko czółna, że obydwaj słuchacze zadrżeli. – Pana, panie Hurry, miłe słowa tak dławią, że wcale się ich nie spodziewam z pańskich ust; gdyś ostatni raz je wymawiał, uwięzły ci w gardle i o małoś od tego nie umarł. Cieszy mnie jednak, gdy widzę, że obracasz się w lepszym towarzystwie niż dawniej i że ci, co umieją szanować kobiety i wiedzą, jak się do nich odnosić, nie wstydzą się podróżować w twym towarzystwie.

Po tych słowach wśród rozchylonych liści ukazała się nad wyraz ładna i świeża buzia dziewczęca – tak blisko, że Pogromca Zwierząt mógłby dosięgnąć jej wiośłem.

Właścicielka tej buzi uśmiechnęła się wdzięcznie do młodzieńca, a zmarszczona brew, którą ukazała Hurry'emu, acz był to gniew udany, podkreśliła tylko urodę jej twarzy, pełnej wyrazu, ale i kapryśnej. Twarz ta z łatwością grała zmiennymi uczuciami wyrażając to słodycz, to znów surowość, radość lub niezadowolenie.

Dopiero gdy się przyjrżeli, zrozumieli, w czym rzecz. Niczego się nie domyślając zatrzymali się obok arki, starannie ukrytej w przybrzeżnej gęstwinie i zamaskowanej przyciętymi i odpowiednio ułożonymi gałęziami. Judycie wystarczyło usunąć liście zasłaniające okno, aby ukazać twarzyczkę i odezwać się do przybyszów.

ROZDZIAŁ 4

I zwierza w puszczy nie ogarnie trwoga

Ani go krok mój nie spłoszy,

I woń fiołków tak bardzo mi droga,

Ze nad strumykiem w znajomych rozłogach

Szukam lej skromnej rozkoszy,

Bryant

Arka, jak powszechnie nazywano pływające mieszkanie Huttera, była bardzo prostej konstrukcji. Duża łódź o płaskim dnie, czyli rodzaj promu, stanowiła kadłub unoszący się na wodzie; na środku promu, zajmując całą jego szerokość i około trzech czwartych długości, stał niski domek, konstrukcją przypominający zamek Toma, ale zbudowany z drzewa tak lekkiego, że ledwie odpornego na kule. Boki promu były nieco wyższe niż zwykle, a w środku domku zaledwie można się było wyprostować; razem więc wzięwszy niezwykła nadbudowa nie wydawała się niezgrabna ani nie rzucała się w oczy. Słowem, był to jakby większy nowoczesny prom, tylko bardziej prymitywnej konstrukcji i szerszy niż zwykle; przy czym kora okrywająca ściany z pali i dach nadawała mu piętno puszczy. Sam prom zbudowany był zręcznie: jak na swą wielkość, był stosunkowo lekki i dość obrotny. Domek dzielił się na dwie izby, jedna z nich służyła za jadalnię oraz sypialnię ojca, druga przeznaczona była dla córek. Kuchnię zastępowało bardzo prymitywne urządzenie, ustawione na wolnym powietrzu na końcu promu, arka bowiem służyła tylko jako letnie mieszkanie. Nie trudno wyjaśnić, dlaczego Hurry odpływ rzeki nazwał zasadzką. W wielu miejscach jeziora i rzeki, tam gdzie brzegi były strome i wysokie, małe drzewa i większe krzaki, jak już wspomnieliśmy, zwisały tuż nad wodą, a ich gałęzie nierzadko zanurzały się w wodzie. Tu i ówdzie drzewa i krzaki rosły niemal poziomo sięgając w ten sposób trzydziestu do czterdziestu stóp. Wszędzie tam, gdzie brzegi były najwyższe i spadały w linii niemal pionowej, woda przy brzegu była głęboka. Hutter więc bez trudności wprowadził arkę pod jedno z owych naturalnych sklepień i w tym ukryciu zarzucił kotwicę; uważał bowiem, że w sytuacji, w jakiej się znalazł, względy bezpieczeństwa wymagają tych środków ostrożności. Gdy arka znalazła się już pod osłoną drzew i krzaków, na końcach gałęzi umocowano kamienie, co sprawiło, że zgięły się i zanurzyły w wodzie. Kilka ściętych krzaków odpowiednio ułożonych dokonało reszty. Czytelnik przekonał się, że kryjówka musiała być dobra, jeśli zmyliła dwóch mężczyzn obytych z lasami i do tego szukających tych, którzy się ukryli. Zrozumie to łatwo ten, kto zna splątana, dziką i bujną amerykańską puszcę, i to puszcę rosnącą na tak żyznej glebie.

Odkrycie arki wywarło niejednakowe wrażenie na naszych podróżnych. Gdy tylko udało im się wprowadzić czółno pod zasłonę, Hurry wskoczył na pokład arki i z miejsca wdał się w ożywioną, wesołą, pełną wzajemnych oskarżeń rozmowę z Judytą, wyraźnie zapominając o istnieniu reszty świata. Inaczej – Pogromca Zwierząt. Wolnym i ostrożnym krokiem wszedł na arkę, po czym ciekawie i badawczo obejrzał wszystko, czym się posłużono do jej zamaskowania. Rzucił co prawda pełne zachwyty spojrzenie na Judytę, uderzyła go bowiem jej olśniewająca i niepospolita uroda. Ale nawet Judyta tylko na krótką chwilę zdołała oderwać jego uwagę, całkowicie pochłoniętą pomysłowymi wynalazkami Huttera. Jak najdokładniej obejrzał konstrukcję dziwnego domu, zbadał, czy jest dość solidny, sprawdził jego obronność i wyjaśnił sobie wszystko, co mogło przyjść na myśl człowiekowi żywo zainteresowanemu tymi sprawami. Nie pominął też ukrycia arki. Zbadał je drobiazgowo, przy czym kilkakrotnie głośno wyraził swe uznanie. Przeszedł przez mieszkanie, podobnie jak to przedtem uczynił w zamku, zwyczajnie bowiem pogranicza pozwalały na tę poufałość; otworzył drzwi i wyszedł na pokład po stronie przeciwnej do tej, na której zostawił Hurry'ego i Judytę. Znalazł tu drugą siostrę – siedziała pod baldachimem z liści stanowiących zasłonę arki, zajęta zwyczajnym szyciem.

Ukończywszy oględziny Pogromca Zwierząt oparł kolbę strzelby o pokład, wsparł się oburącz na lufie i zwrócił wzrok ku dziewczynie z zainteresowaniem, jakiego nie wywołała niezwykła uroda jej siostry. Z uwag Hurry'ego wywnioskował, że Hetty uważano za osobę, która mniej ma rozumu, niż zwykle przypada w udziale istocie ludzkiej. Wychowany wśród Indian, nauczył się osobom w ten sposób dotkniętym przez Opatrzność okazywać więcej serca niż innym. Jak to się często zdarza, w wyglądzie Hetty Hutter nie było nic takiego, co by osłabiałoby zainteresowanie wywołane jej stanem umysłu. Nie można było nazwać jej idiotką, miała tylko głowę na tyle słabą, że pozbawiona była tych cech, które wiążą się ze sprytem, zachowała natomiast szczerą i umiłowaną prawdę. Ci, którzy widzieli tę dziewczynę (nie było ich wielu), a przy tym byli zdolni do wydania sądu, zauważyli, że jej wyczucie tego, co dobre, było niemal intuicyjne, odraza zaś złego była tak wyraźną cechą jej umysłu, że otaczała ją atmosfera czystości moralnej. Są to właściwości nierzadko spotykane u osób zwanych słabymi na umyśle; zdawałoby się, że to Bóg – w błogosławionej intencji otoczenia bezpośrednią opieką tych, którzy ostali się bez zwykłych ludziom środków- obrony – zakazał złym duchom nawiedzać bezbronne obszary. Powierzchnowości ujmującej, uderzająco podobna do siostry- stanowiła bladą kopię jej urody. Chociaż twarzyczka Hetty nie miała blasku oblicza Judyty, spokojny, cichy, pełen słodczy i niemal święty jej wyraz prawie zawsze zjednywał każdego, kto się jej przyjrzał, a przy bliższym poznaniu nikt nie mógł oprzeć się żywej i stałej sympatii do tej dziewczyny. Nie miała rumieńców, a jej prosty umysł nie znał obrazów, które by wyróżniły jej policzki; natomiast tyle w niej było naturalnej skromności, że to ją wznosiło na wyżyny nieskazitelnej czystości istoty wyższej ponad ludzkie słabostki. Hetty była prostoduszna, – niewinna i ufna. Te jej wrodzone zalety rozwinęły się jeszcze dzięki jej prawemu życiu. Opatrzność otoczyła ją aureolą światła moralnego,

która osłaniała ją przed złem; podobnie jak „wiatry łagodnieją dla strzyżonych jagniątek”.

–Ty jesteś Hetty Hutter – powiedział Pogromca Zwierząt w sposób, w jaki czasem, nie zdając sobie z tego sprawy, mówimy sami do siebie. Myśliwy przybrał ton dobrotliwy, aby wzbudzić zaufanie dziewczyny. – Harry Hurry mówił mi o tobie, od razu cię poznałem.

–Tak, jestem Hetty Hutter – odparła dziewczyna cichym i pełnym słodczy głosem, który natura a po części i wychowanie ustrzegły od wulgarnego brzmienia i wymowy.
– Jestem Hetty, siostra Judyty Hutter i młodsza córka Tomasza Huttera.

–Wiem wszystko o tobie, bo Hurry Harry dużo mówi i wcale nie trzyma języka za zębami, gdy tylko może coś powiedzieć o cudzych sprawach. Życie swe spędzasz przeważnie na jeziorze, prawda, Hetty?

–Tak jest. Matka umarła, ojciec zastawia sidła, Judyta i ja siedzimy w domu. Jak się pan nazywa?

–Łatwiej o to zapytać, niż odpowiedzieć, panienko. Chociaż jestem jeszcze bardzo młody, nosiłem już więcej imion niż najwięksi wodzowie w całej Ameryce.

–Ale teraz masz jakieś nazwisko – nie rzucasz chyba jednego imienia, zanim w uczciwy sposób nie zdobędziesz drugiego.

–I ja tak myślę, dziewczyno. Moje nazwiska powstały w sposób naturalny; sądzę, że to, które noszę obecnie, nie potrwa długo, gdyż Delawarzy zwykle nadają mężczyźnie prawdziwe nazwisko dopiero wtedy, gdy nadarzy mu się sposobność ukazania swej prawdziwej natury, na naradzie lub ścieżce wojennej. Jeszcze nie miałem takiej okazji, gdyż po pierwsze, nie urodziłem się czerwonoskórym i nie mam prawa zasiadać w ich radach, a jestem zbyt skromnym człowiekiem, aby wielcy panowie mej własnej barwy skóry pytali mnie o zdanie; po drugie zaś – jest to pierwsza wojna w moim życiu i jeszcze nieprzyjaciel nie zapędził się tak daleko w głąb kolonii, aby dosięgła go ręka nawet dłuższa od mojej.

–Proszę powiedzieć mi swoje nazwiska – odparła Hetty patrząc nań niewinnymi oczami – a może powiem ci, jaki jesteś.

–Coś w tym jest, nie przeczę, chociaż to często zawodzi. Ludzie myślą się co do charakteru innych i często nadają im nazwiska zupełnie nie zasłużone. Możesz się o tym przekonać po nazwiskach Mingów, które w ich języku znaczą to samo, co nazwiska Delawarów – tak mi przynajmniej mówiono, sam bowiem niewiele wiem o tym szczepie i tylko ze słyszenia – nikt zaś nie powie, że Mingowie są narodem równie uczciwym i prawym jak Delawarzy. Stąd nie przywiązuję wielkiej wagi do nazwisk.

–Powiedz mi wszystkie swoje nazwiska – powtórzyła dziewczyna z powagą. Umysł jej był zbyt prosty, aby mógł oddzielać rzeczy od nazw, i dlatego właśnie przywiązywała znaczenie do nazwisk. – Chcę wiedzieć, co mam o tobie myśleć.

–Dobrze, nie będę się opierał, usłyszysz wszystkie moje nazwiska. Przede wszystkim jestem chrześcijaninem, urodziłem się białym podobnie jak ty, rodzice moi mieli nazwisko, które przechodziło z ojca na syna razem z resztą spadku. Ojciec nazywał się Bumpo i ja po nim, rzecz jasna, też się tak nazywałem. Na chrzcie dano mi imię Nataniel albo Natty, jak potem wszyscy mnie wołali, bo to krótsze. – O tak, Natty i Hetty – przerwało mu nagle dziewczę. Spojrzała nań znad roboty z uśmiechem i dodała: – Ty jesteś Natty, a ja Hetty – choć tyś jest Bumpo, a ja Hutter. Bumpo nie brzmi tak ładnie, jak Hutter, prawda?

–Cóż, to rzecz gustu. Bumpo nie brzmi dumnie, przyznaję; a jednak mój ojciec i dziadek radzili sobie i jakoś przebumpowali swe życie. Niedługo jednak nosiłem to nazwisko; Delawarzy odkryli – albo tak im się zdawało – że nie umiem kłamać, i dali mi pierwsze nazwisko: Prosty Język.

–To dobre nazwisko – przerwała Hetty tonem poważnym i stanowczym. – Proszę mi nie mówić, że nazwisko nic nie znaczy!

–Nie mówię tego, bo może zasłużyłem, aby mnie tak nazywano, skoro nie lubię kłamać jak tylu innych. Potem zauważyli, że mam rącznie nogi, i nazwali mnie Gołębkiem, ptak ten bowiem, jak wiesz, ma bystre skrzydła i leci prosto przed siebie.

–To było ładne imię! – zawołała Hetty. – Gołębki to ładne ptaki!

–Wiele rzeczy stworzonych przez Boga jest pięknych po swojemu, moja dobra panienko, chociaż ludzie je zniekształcili, a nawet zmienili nie tylko ich wygląd, ale i naturę. Potem biegałem z wiadomościami i tropiłem ukryte ślady, aż wreszcie doszedłem do tego, że towarzyszyłem myśliwym. Gdy Delawarzy spostrzegli, że szybciej i pewniej tropię zwierzynę niż inni chłopcy, nazwali mnie: Kłapouch, gdyż – powiadali – byłem czujny jak pies myśliwski.

–To niezbyt ładne – odparła Hetty. – Spodziewam się, że niedługo zachowałeś to nazwisko.

–Nie, straciłem je, gdy tylko było mnie stać na kupno strzelby – odparł Pogromca, a w jego głosie, wbrew zwykłej mu skromności, zabrzmiała nuta dumy. – Okazało się wtedy, że mogę zaopatrzyć w dziczyznę cały wigwam, nazwano mnie więc Pogromcą Zwierząt i to nazwisko noszę do tej chwili; niektórzy je lekceważą, ponieważ znacznie wyżej cenią skalp ludzki niż rogi jelenia.

–Ja nie należę do takich, Pogromco Zwierząt – powiedziała Hetty z prostotą. – Judyta lubi żołnierzy, mundury czerwone jak maki, piękne pióra; dla mnie to nic

niewarte. Ona mówi, że oficerowie to wielcy ludzie, wytworni i że mowa ich jest gładka. Mnie dreszcz przejmuje na ich widok – przecież zajęcie ich polega na zabijaniu bliźnich. Wolę twój zawód. Bardzo dobre jest twoje ostatnie nazwisko – lepsze niż Natty Bumppo.

–To rzecz naturalna u osób twego usposobienia, Hetty;

spodziewałem się tego po tobie. Słyszałem, że twoja siostra jest kobietą niepospolitej urody, nie dziw więc, że pragnie być uwielbiana.

–Czy nie widziałeś jeszcze Judyty? – żywo zapytała dziewczyna, – Jeśli nie widziałeś, idź zaraz i popatrz na nią. Nawet Hurry Harry nie wygląda tak ładnie, choć ona jest kobietą, a o n mężczyzną.

Pogromca Zwierząt przyjrzał się Hetty ze współczuciem. Gdy mówiła, blada jej twarz zarumieniała się nieco, a oczy, zazwyczaj łagodne i czyste, zabłyszczały zdradzając ukryte uczucia.

–Ach, to tak, Hurry Harry – szepnął do siebie Pogromca przechodząc przez mieszkanie na drugą stronę promu. – Oto co może sprawić męska uroda, jeśli tylko zbyt długi język nie stanie na przeszkodzie. Nie trudno odgadnąć, dokąd zmierzają uczucia tego biednego stworzenia, choć nie wiadomo jeszcze, co o tym wszystkim powie Judyta.

Umizgi Hurry'ego, kokieterię damy jego serca, myśli Pogromcy Zwierząt i łagodne wzruszenie Hetty przerwało nagle pojawienie się czołna właściciela arki w wąskim otworze wśród krzaków, spełniającym podobną rolę jak fosa fortecy. Hutter, czyli Pływający Tom, tak poufale nazywany przez myśliwych, którzy znali jego zwyczaje, widocznie poznał czołno Hurry'ego, bo nie okazał zdziwienia, gdy ujrzał go na promie. Wprost przeciwnie, przyjął gościa z wyraźnym zadowoleniem i radością, do której przyłączył się żal, że Hurry nie przybył parę dni wcześniej.

–Czekałem na ciebie w zeszłym tygodniu – rzekł tonem, który wyrażał i wyrzut, i serdeczne powitanie. – Sprawileś mi wielki zawód. Był tu goniec z ostrzeżeniem do wszystkich traperów i myśliwych, że znów wisi w powietrzu wojna między kolonią a Kanadą. Poczulem się samotny w tych górach, mając pod opieką trzy skalpy i jedną parę rąk do ich obrony.

–Słusznie się obawiałeś – odparł March. – To są naturalne uczucia ojca. Gdybym miał dwie takie córki, jak Judyta i Hetty, też czułbym się tutaj nieswojo, aczkolwiek na ogół wolę, aby najbliższy sąsiad był o pięćdziesiąt mil ode mnie, niż żeby mieszkał na odległość ludzkiego głosu.

–A jednak nie ośmieliłeś się wejść w puszcę sam, wiedząc, że dzicy z Kanady w każdej chwili mogą na nas ruszyć – odpowiedział Hutter rzucając nieufne, a zarazem

badawcze spojrzenie na Pogromcę Zwierząt.

–Po cóż ryzykować? Powiadają, że i zły towarzysz podróży skraca drogę; tego młodzieńca zaś nie uważam wcale za najgorszego. To jest Pogromca Zwierząt, mój stary; myśliwy dobrze znany wśród Delawarów, chrześcijanin od urodzenia i po chrześcijańsku wychowany jak ty i ja. Może nie jest ideałem mężczyzny, ale w kraju, z którego przybywa, są gorsi od niego, a może i w tych stronach spotka ludzi nielepszych od siebie. Jeśli przyjdzie nam bronić naszych siodeł i terenów, młodzieniec może okazać się pożyteczny – będzie nas żywił, jest bowiem świetnym myśliwym.

–Witaj, młodzieńcze – mruknął Tom wyciągając twardą i kościstą rękę jako rękojmię swych szczerych intencji. – W takich czasach każda biała twarz jest twarzą przyjaciela; liczę na twoją pomoc. I najmężniejsze serce zadrży czasem na myśl o dzieciach. Moje dwie córki więcej mnie martwią niż wszystkie sidła, skóry i moje prawa do tej okolicy.

–To całkiem naturalne! – zawołał Hurry. – Tak, Pogromco Zwierząt, ty i ja nie mamy jeszcze doświadczenia pod tym względem, ale wydaje mi się to całkiem naturalne. Gdybyśmy mieli córki, zapewne doznawalibyśmy tych samych obaw; szanuję mężczyznę, który przyznaje się do uczuć rodzinnych. Od razu, mój stary, zaciągam się jako żołnierz Judyty, a Pogromca Zwierząt pomoże ci w obronie Hetty.

–Stokrotne dzięki, panie March – odparła piękność głosem pełnym i dźwięcznym. Wspólna obu siostronom poprawna wymowa świadczyła, że otrzymały lepsze wykształcenie, niż można by się spodziewać sądząc po trybie życia i samym wyglądzie ich ojca. – Stokrotne" dzięki. Judyta Hutter ma jednak dość odwagi i doświadczenia, aby więcej liczyć na siebie niż na dwóch przystojnych włóczęgów. Czy, jeśli trzeba będzie stawić czoło dzikim, wyjdiesz na ląd zamiast kryć się w domu i udawać, że bronisz nas, niewiast...

–Ejże, dziewczyno – przerwał jej ojciec – przestań mleć jęzorem i słuchaj, co powiem. Dzicy są już na brzegu jeziora i nikt nie wie, jak blisko nas mogą być w tej chwili i kiedy zechcą powiedzieć nam nieco więcej o sobie!

–Jeśli to prawda, panie Hutter – rzekł Hurry z twarzą zmienioną, co świadczyło, że wiadomość przyjął bardzo poważnie, choć nic nie wskazywało, aby uległ niemęskim obawom – jeśli to prawda, położenie twej arki jest bardzo niefortunne. Jej ukrycie mogło zwieść mnie i Pogromcę Zwierząt, ale nie ujdzie oku Indianina pełnej krwi, który się wybrał na połów skalpów!

–Jestem tego samego zdania, Hurry, i z całego serca pragnąłbym być gdzie indziej, a nie na tej wąskiej i krętej rzece. Co prawda, można się tutaj dobrze ukryć, ale biada tym, których wróg w tym miejscu wytropi. Na domiar złego, dzicy są niedaleko.

Największa trudność polega na tym, że trzeba się stąd wydostać i nie dać się zastrzelić jak jeleń przy lizawce.

–Czy jesteś pan pewny, panie Hutter, że czerwonoskórzy, których się obawiasz, rzeczywiście przyszli z Kanady? – zapytał Pogromca Zwierząt skromnie, lecz z powagą. – Czyś pan ich widział i czy może pan powiedzieć, jak są umalowani?

–Natknąłem się na ślady ich pobytu w tych stronach, lecz nie widziałem ani jednego. Mniej więcej o milę stąd w dół rzeki, kiedy sprawdzałem sidła, zobaczyłem świeży ślad ścinający róg bagna i idący na północ. Przeszedł tam człowiek najwyżej przed godziną; poznałem ślad Indianina – duża stopa i wielki palec zwrócony do środka – zanim znalazłem znoszony mokasyn, rzucony przez właściciela jako niepotrzebny. Otóż, parę jardów od miejsca, gdzie Indianin porzucił stary mokasyn, znalazłem miejsce, w którym zatrzymał się, aby zrobić sobie nowy.

–To mi nie wygląda na czerwonoskórego na ścieżce wojennej! – zauważył Pogromca potrząsając głową. – Doświadczony wojownik spaliłby, zakopał lub utopił w rzece taki ślad swej drogi. Ślad jest najprawdopodobniej pokojowy, nie wojenny. Mokasyn wielce by pomógł moim myślom, jeśli panu przyszło do głowy zabrać go z sobą. Przeszedłem tu, aby spotkać się z pewnym młodym wodzem. Jego droga biegnie właśnie w kierunku, o którym pan mówił. Może to jego ślad.

–Spodziewam się, Hurry Harry, że dobrze znasz tego młodzieńca, co się umawia z dzikimi w okolicach, w których nigdy jeszcze nie był? – zapytał Hutter takim tonem i w taki sposób, że nie trudno było domyślić się jego intencji; nieokrzesani mieszkańcy pogranicza rzadko przez delikatność nie mówią tego, co myślą.-Zdrada u Indian jest cnotą. Biali, którzy długo żyli wśród czerwonoskórych, łatwo nasiąkają ich, zwyczajami i praktykami.

–Prawda, święta prawda, stary Tomie. Ale to nie dotyczy Pogromcy Zwierząt, który jest młodzieńcem prawdomównym, jeśli nie mógłby pochwalić się czymś więcej. Ręczę, że jest uczciwy, cokolwiek myślę o jego męstwie na polu bitwy.

–Chciałbym wiedzieć, czego on szuka w stronach tak dalekich od świata.,

–Dowiesz się o tym za chwilę, panie Hutter – rzekł młody myśliwy z miną człowieka o czystym sumieniu. – Co więcej, uważam, że masz prawo o to pytać. Ojciec dwóch córek i po swojemu władający jeziorem ma takie samo prawo zainteresować się, co obcego mu człowieka sprowadza w jego strony, jak kolonia mogłaby zapytać, z jakich powodów Francuziki postawili na granicy więcej pułków niż zwykle. Nie, nie mam zamiaru odmawiać panu prawa pytania, po co obcy przybył do twego domu lub w ogóle w te strony w tak niepewnych czasach.

–Jeśli tak myślisz przyjacielu, niech usłyszę twe dzieje bez niepotrzebnego gadania.

–Dowiesz się pan o tym za chwilę, jak już powiedziałem, dowiesz się uczciwej prawdy. Jestem młody i jeszcze nie byłem na ścieżce wojennej, lecz gdy do Delawarów nadeszła wieść, że ich szczep ma otrzymać wampum i topór wojenny, postanowili posłać mnie do ludzi koloru mej skóry, abym się dowiedział, co się święci. Zrobiłem to i gdy już omówiłem sprawę z białymi wodzami, w drodze powrotnej spotkałem na brzegu Schoharie oficera królewskiego, który chciał wysłać pieniądze zaprzyjaźnionym z Anglikami szczepom, mieszkającym dalej na zachodzie. Chingachgook, młody wódz, który jeszcze nie zmierzył się z nieprzyjacielem, i ja pomyśleliśmy, że nadarza się okazja, byśmy razem weszli na naszą pierwszą ścieżkę wojenną.

Pewien stary Delawar wskazał nam jako miejsce spotkania skałą na skraju tego jeziora. Nie przeczę, że Chingachgook ma jeszcze inny cel na oku, nie dotyczy to jednak nikogo z obecnych i jest jego, nie moja, tajemnicą, dlatego o tym nic więcej nie powiem.

–To dotyczy młodej kobiety – przerwała mu porywczo Judyta i zaśmiała się z własnej gwałtowności i nawet trochę się zarumieniła na myśl, że w ten sposób zdradza skłonność do przypisywania innym tego rodzaju pobudek. – Jeśli nie idzie tu o wojnę ani polowanie – to musi być chyba miłość.

–Tak, łatwo przychodzi młodej i ładnej kobiecie, która wciąż słyszy o miłości, dopatrywać się tych uczuć na dnie każdego postępkę mężczyzny. Nic o tym więcej nie powiem. Z Chingachgookiem mam się spotkać przy skale jutro wieczór, godzinę przed zachodem słońca, po czym pójdziemy razem i nikogo nie tkniemy po drodze z wyjątkiem wrogów króla, którzy tym samym są naszymi wrogami. Z Hurrym znamy się od dawna, gdyż swego czasu zastawiał sidła na naszych terenach łowieckich. Kiedy więc spotkałem go na brzegu Schoharie i okazało się, że właśnie rusza na letnie łowy, postanowiliśmy odbyć drogę we dwójkę – nie tyle z obawy przed Mingami, ile jako dobrzy znajomi – żeby, jak powiada Hurry, skrócić sobie drogę.

–Uważa pan, że ślad, który widziałem, może należeć do pańskiego przyjaciela, przybyłego dzień przed terminem? – zapytał Hutter.

–Tak myślę. Może się mylę, a może tak jest istotnie. Gdybym jednak zobaczył ten mokasyn, zaraz bym powiedział, czy zrobił go Delawar czy nie.

–Oto on – powiedziała domyślna Judyta, która tymczasem poszła do czółna i przyniosła mokasyn. – Przyjaciel czy wróg? Wygląda pan na uczciwego człowieka. Wierzę w to, co mówisz, choć ojciec, zdaje się, myśli inaczej.

–Z tobą zawsze tak, Judytko. Znajdujesz przyjaciół tam, gdzie ja podejrzewam wrogów – burknął Tom. – Mów młodzieńcze, powiedz, co myślisz o mokasynie.

–To nie jest robota Delawara – powiedział Pogromca Zwierząt po dokładnym obejrzeniu zdartego mokasyna. – Nie mam jeszcze doświadczenia na ścieżce wojennej i nie jestem pewien, ale powiedziałbym, że mokasyn wygląda, jakby pochodził z północy, z tamtej strony wielkich jezior.

–Jeśli tak, to nie powinniśmy tu zostać ani chwili dłużej – rzekł Hutter wyglądając poprzez liście osłaniające arkę, jakby podejrzewał, że wróg już się znajduje na drugim brzegu wąskiej i krętej rzeki. – Za godzinę zapadnie noc, w ciemności nie damy rady ruszyć się stąd tak cicho, aby się nie zdradzić. Czy słyszeliście pół godziny temu w górach echo strzału?

–Tak, mój stary, słyszeliśmy nawet sam strzał – odparł Hurry rozumiejąc, teraz, że popełnił nieostrożność. – Padł on z mej własnej ręki.

–Obawiałem się, że to strzelają francuscy Indianie. Twój strzał mógł obudzić ich czujność i przyczynić się do wykrycia naszej kryjówki. Źle zrobiłeś strzelając bez potrzeby w czasie wojny.

–Teraz i ja tak myślę, wuju Tomie, ale jeśli człowiek nie może sobie strzelić w puszczy, która ma tysiąc mil kwadratowych, bo się boi, że wróg może usłyszeć, to po co właściwie nosić strzelbę?

Następnie Hutter odbył z obu gośćmi długą naradę, w czasie której dobrze uprzytomnili sobie położenie, w jakim się znaleźli. Hutter wskazał na trudność wyprowadzenia arki z bystrej i wąskiej rzeki w ciemną noc bez wywołania hałasu, który musiałby dojsć uszu Indian. Jeśli ktoś kręci się niedaleko stąd, na pewno trzyma się brzegów rzeki lub jeziora. Brzegi są na ogół bagniste, rzeka zaś jest tak kręta i zakryta gęstymi krzakami, że za dnia można przeprowić się do jeziora i nie być dostrzeżonym z brzegu. Należy więcej bać się ucha niż oka nieprzyjaciela, zwłaszcza póki arka jest na krętej i wąskiej rzece, okrytej baldachimem zieleni.

–Zawsze, kiedy zapuszczam się w dół rzeki do tej kryjówki, z której łatwo mi dojrzeć sideł i gdzie lepiej jestem ukryty przed ciekawymi oczami ludzkimi niż na jeziorze, wpięrw zabezpieczam sobie odwrót – mówił dalej ten dziwny człowiek. – A wydostać się stąd łatwiej, kiedy się arkę ciągnie, niż gdy się ją pcha. Moja kotwica leży teraz poza zasięgiem prądu rzeki, na otwartym jeziorze. Oto, uważacie, lina, na której wyholujemy arkę na jezioro. Bez tego ułatwienia wyciągnąć prom pod prąd na jezioro – za pomocą jednej pary rąk – byłoby bardzo ciężko. Mam także coś w rodzaju lewara, który w razie potrzeby ułatwia pracę ciągnącemu linę. Judytka umie niegorzej ode mnie sterować wiosłem z tyłu arki. Zwykle gdy nie obawiamy się nieprzyjaciela, wydostanie się na jezioro nie sprawia nam trudności.

–Co nam da, panie Hutter, zmiana położenia arki? – zapytał z wielką powagą Pogromca Zwierząt. – Kryjówka jest bezpieczna, a z tego domku można się dzielnie

bronić. Walkę znam tylko z opowiadań, lecz wydaje mi się, że zza tej palisady można by przepędzić dwudziestu Mingów.

–Otóż to. Walkę znasz tylko z opowiadania, to widać, młody człowieku! Czy widziałeś kiedy tyle wody, nim przybyłeś z Hurry'm nad to jezioro?

–Nie mogę powiedzieć, że widziałem – skromnie odparł Pogromca Zwierząt. – Młodość jest czasem nauki. Nie ośmieliłbym się zabierać głosu na radzie, zanim doświadczenie da mi do tego prawo.

–Wobec tego pouczę cię, dlaczego nie byłoby dobrze walczyć tutaj i czemu lepiej będzie wydostać się na otwarte jezioro. Tu, widzisz, dzicy mogą każdą kulę posłać do celu. Lekkomyślnością byłoby liczyć na to, że żadna kula nie trafi w szczelinę między kłocami. My zaś moglibyśmy strzelać tylko do lasu. Dalej, nie jesteśmy tu bezpieczni od ognia, bo dach kryty korą jest właściwie drzewem na podpałkę. Wreszcie, w czasie mej nieobecności wróg może wtargnąć na zamek i splądrować, zrabować i zniszczyć cały mój majątek. Gdy zaś znajdziemy się na jeziorze, nieprzyjaciel może nas zaatakować tylko na łodziach lub tratwach. Wtedy szanse będą równe. Z arki możemy również bronić i zamku. Czy moje rozumowanie jest dla ciebie jasne, mój synu?

–To dobrze brzmi, tak, to brzmi rozsądnie. Nic nie mógłbym zarzucić temu rozumowaniu.

–Dobra jest, mój stary! – zawołał Hurry. – Jeśli mamy stąd ruszyć – im wcześniej to zrobimy, tym prędzej będziemy wiedzieć, czy nasze skalpy posłużą nam jeszcze za czepki nocne czy nie.

Propozycja Hurry'ego była tak oczywiście słuszna, że nikt jej nie poddał w wątpliwość. Trzej mężczyźni szybko porozumieli się, co trzeba zrobić, i nie zwlekając zabrali się ostro do przygotowań do – odwrotu. Szybko odwiązali lekkie liny, którymi ciężki statek przycumowany był do brzegu, i holując go na linie, pomału wyprowadzili z ukrycia. Uwolniwszy się od zatrzymujących ją gałęzi arka wy płynęła na rzekę, gdzie prąd zniósł ją na brzeg zachodni. Gdy prom z szelestem otarł się o krzaki i drzewa na zachodnim brzegu, wszystkim na pokładzie zrobiło się nieswojo. Nikt bowiem nie wiedział, kiedy i gdzie krwiożerczy wróg wyjdzie z ukrycia. Może skąpe światło, przenikające przez gęsty baldachim liści oraz przez wąski, podobny do wstążki pas nieba, który znaczył bieg płynącej na dole rzeki, zwiększało wrażenie niebezpieczeństwa. W świetle tym bowiem przedmioty były ledwie widoczne, a ich kontury rozplływały się w mroku. Choć słońce jeszcze nie zaszło, rzucało już na dolinę skośne promienie zachodu. Cienie wieczorne zbierały się wokół najbliższych przedmiotów, co sprawiało, że przedmioty tonące w mroku puszczy stały się jeszcze bardziej ciemne i posępne.

Arka, holowana na linie przez mężczyzn, bez przeszkód sunęła w górę rzeki. Dzięki swej szerokości prom nie zanurzał się zbyt głęboko, lecz ślizgał się po powierzchni żywołu rwącego pod nim. Hutter zastosował też pewne środki ostrożności, które podsunęło mu jego doświadczenie, a które przyniosłyby zaszczyt marynarzowi. Środki te zupełnie usunęły trudności i przeszkody, jakie mogły wywołać ostre zakręty rzeki. Gdy arka płynęła w dół rzeki Hutter, pośrodku jej strumienia opuszczał na dno ciężkie kamienie, przywiązane do liny holowniczej. Tworzyły one pośrednie kotwice i nie dały się pociągnąć przez arkę. Każdy z nich znajdował oparcie w kamieniach leżących wyżej, ostatni zaś kamień wzmocniała kotwica rzucona na otwartym jeziorze. Dzięki temu pomysłowi arka płynęła środkiem rzeki, inaczej bowiem na każdym zakręcie niechybnie zawadzałyby o brzeg wywołując trudności, które Hutterowi w pojedynkę bardzo trudno byłoby pokonać.

Korzystając teraz z przezorności Toma i nagleni obawą wykrycia przez dzikich Pływający Tom i jego dwaj towarzysze, silni jak atleci, ciągnęli arkę tak szybko, jak na to pozwalała wytrzymałość liny. Na każdym zakręcie wyciągali kamień leżący na dnie i kierowali prom na następny kamień w górze rzeki. W ten sposób – mając drogę wyznaczoną bojami, jakby to nazwał marynarz – Hutter poruszał się naprzód. To cichym, stłumionym głosem przynaglał swych przyjaciół do zwiększenia wysiłku, to znów, kiedy ciągnęli linę zbyt gwałtownie, przestrzegał ich przed nadmiernym wysiłkiem, gdyż zbyt ni zapał mógł ich narazić na niebezpieczeństwo. Mimo że od dawna zżyli się z lasami, posępny wygląd mrocznej rzeki zwiększał ich niepokój. Gdy wreszcie arka dotarła do pierwszego zakrętu Susquehanna i ujrzeli szeroko rozlane jezioro, wszyscy doznali ulgi, choć żaden z nich do tego by się nie przyznał. W miejscu tym wyciągnęli ostatni kamień; pozostała już tylko lina prowadząca prosto do kotwicy rzuconej, jak to Hutter wyjaśnił towarzyszom, poza zasięgiem prądu rzeki.

–Bogu dzięki! – zawołał Hurry – nareszcie światło dzienne! Niebawem, jeśli poczujemy naszych nieprzyjaciół, będziemy też mogli ich ujrzeć.

–Mówisz więcej, niż wolno o tym powiedzieć – burknął Hutter. – Nie ma lepszego miejsca na zasadzkę niż brzegi jeziora, tam gdzie wypływa rzeka gdy wypłyniemy spod drzew i dostaniemy się na otwartą wodę, nastąpi bardzo groźna chwila, bo wróg pozostanie w ukryciu, a my się odsłonimy. Judyto, kochanie, zostawcie w spokoju wiosła i wejdźcie do domu. Uważajcie, żeby nie pokazać głowy w oknie, bo ci, co was ujrzą, nie poprzestaną na pochwałach waszej urody. Teraz, Hurry, wejdziemy do pierwszej izby i będziemy ciągnąć linę przez drzwi; w ten sposób zabezpieczymy się przynajmniej przed jedną niespodzianką. Ty mój przyjacielu, Pogromco Zwierząt, widzisz, że prąd jest słaby, a lina jest naciągnięta jak się patrzy. Schowaj się więc i wyglądaj przez okna z jednej i drugiej strony, strzeż się jednak, aby ktoś nie zobaczył twej głowy, jeśli ci życie miłe.

Pogromca Zwierząt posłuchał, przy czym doznał uczucia, które nie miało nic wspólnego ze strachem, lecz było po prostu ciekawością zupełnie dla niego nowej i

podniecającej sytuacji. Po raz pierwszy w życiu znajdował się w pobliżu wroga, a przynajmniej miał powody tak sądzić; tym samym mógł się spodziewać, że spotkanie nastąpi w mrozących krew w żyłach okolicznościach, na które złożą się indiańskie podstępny i sztuczki. Kiedy zajmował stanowisko przy oknie, arka mijała właśnie najwęższe miejsce na rzece, która właściwie dopiero tu się zaczynała. Drzewa w górze tak się splątały, że rwąca rzeka wpadała tutaj pod sklepienie z zieleni. Ten rys krajobrazu jest tak właściwy temu krajowi i tak niezwykły, jak w Szwajcarii rzeki wypływające dosłownie wprost z lodowców.

Arka mijała właśnie ostatni zakręt pod sklepieniem z liści, kiedy Pogromca Zwierząt po zbadaniu tego, co mógł ujrzeć na wschodnim brzegu rzeki, przeszedł przez izbę, aby z okna naprzeciw popatrzeć na brzeg zachodni. Zjawił się tam w samą porę, ledwie bowiem przytknął oko do szpary, ujrzął widok, który mógłby napędzić tęgiego strachu wartownikowi tak młodemu i niedoświadczonemu. Nad wodą pochylało się młode drzewko zgięte niemal w półkole; widocznie kiedyś rosnęło ku słońcu, a potem ciężar śniegów nadał mu obecny kształt. Zdarza się to często w lasach amerykańskich. Nie mniej niż sześciu Indian znajdowało się już na tym drzewie, a inni czekali, gotowi pójść w ich ślady, gdy tamci ustąpią im miejsca. Było jasne, że mają zamiar przebiec po pniu drzewa i skoczyć na dach arki, gdy będzie przepływała pod drzewem. Nie była to wielka sztuka, ponieważ na pochyłe drzewo łatwo było wejść, gałęzie sąsiednich drzew mogły służyć za uchwyty dla rąk, sam zaś upadek nie był groźny. Pogromca Zwierząt ujrzął Indian w momencie, gdy wyszli z ukrycia i zaczęli wdrapywać się na pionową część drzewa, co było najtrudniejszą częścią ich przedsięwzięcia; znajomość zwyczajów Indian pozwoliła mu od razu stwierdzić, że byli umalowani na wojnę i należeli do wrogiego szczepu.

–Cięgnij, Hurry! – zawołał. – Cięgnij, jeśli ci życie miłe i jeśli kochasz Judytę Hutter! Cięgnij, człowieku, cięgnij!

Wezwanie skierowane było do mężczyzny, o którym Pogromca wiedział, że ma siłę olbrzyma. Było tak poważne i uroczyste, że Hutter i March zrozumieli, że coś się stało. Ze wszystkich sił przyłożyli się obaj do liny w najbardziej krytycznym momencie. Prom zdwoił szybkość i wymknął się spod drzewa, jakby wiedział, jakie zagraża mu niebezpieczeństwo. Indianie, spostrzegłszy, że ich odkryto, wydali straszliwy okrzyk wojenny, po czym śpiesznie wspinali się na drzewo i z rozpaczliwą odwagą skakali na upragniony łup. Na drzewie było ich sześciu i wszyscy skoczyli. Wszyscy, z wyjątkiem pierwszego, wpadli do rzeki w różnych odległościach od arki, zależnie od kolejności skoku. Wódz, który był pierwszy na niebezpiecznym stanowisku i miał większe widoki powodzenia niż inni, skoczył na tył statku. Upadek nastąpił jednak z większej wysokości, niż przypuszczał, co go nieco oszołomiło; Indianin przez chwilę leżał skulony na pokładzie, nie wiedząc, co się z nim dzieje. Judyta wybiegła na pokład. Odważny ten krok wielce ją podniecił – szkarłatny rumieniec oblał policzki dziewczyny przydając blasku jej urodzie. Zebrawszy wszystkie siły Judyta wypchnęła nieproszonego gościa za burtę, głową na dół. Po

dokonaniu tego bohaterskiego czynu szybko ochłonęła i zaraz wyjrzała za burtę rufy, aby zobaczyć, co się stało z Indianinem. Oczy jej nabrały znów łagodnego wyrazu, rumieniec wstydu i zdziwienia z własnej odwagi okrył jej policzki, aż wreszcie dziewczyna roześmiała się radośnie i wdzięcznie jak zwykle. Wszystko to nie trwało dłużej niż minutę, po czym ramię Pogromcy Zwierząt objęło ją wpół i szybko wciągnęło pod osłonę domu. Odwrót nastąpił w ostatniej chwili. Ledwie bowiem znaleźli się w bezpiecznym miejscu, las zabrzmiał wyciem dzikich, a kule posypały się gradem na ściany domu.

Arka tymczasem szybko posuwała się naprzód i zanim skończył się opisany przez nas epizod, uszła niebezpieczeństwa pogoni. Dzicy, gdy minął im pierwszy wybuch gniewu, przestali strzelać widząc, że tylko marnują amunicję. Gdy arka zbliżyła się do miejsca zakotwiczenia, Hutter nie zatrzymując jej podniósł kotwicę. Znalazłszy się poza działaniem prądu statek płynął dalej, aż znalazł się na pełnym jeziorze; ląd jednak był jeszcze tak blisko, że kula z brzegu mogła dosięgnąć osoby na pokładzie. Hutter i March dobyli dwóch małych wiosł i pod osłoną domu szybko odpłynęli na taką odległość od brzegu, że wróg nie był już wystawiony na pokusę ponownej napaści.

ROZDZIAŁ 5

Niech ryczy z bólu ranny łoś,

Zwierz zdrów przebiega knieje).

Ktoś nie śpi, aby spać mógł ktoś,

To są zwyczajne dzieje.

Szekspir

Następna narada, z udziałem Judyty i Hetty, odbyła się na przednim pomoście promu. Nie groziło im już niebezpieczeństwo napaści znienacka, niepokój więc, jaki zrazu wszystkich ogarnął, ustąpił miejsca poczuciu niepewności wypływającemu z przekonania, że znaczne siły nieprzyjacielskie znajdują się na brzegach jeziora i że wróg za wszelką cenę zechce ich zniszczyć. Położenie, w jakim się znaleźli, najlepiej rozumiał, oczywiście, Hutter. Jego córki przywykły polegać na ojcu i za mało wiedziały, aby w pełni ocenić niebezpieczeństwo, na jakie były narażone, zwłaszcza że obaj mężczyźni mogli w każdej chwili opuścić Toma. Pierwsze słowa Huttera dowiodły, że liczył się z możliwością odejścia obu myśliwych. Bystry obserwator zauważyłby, że Hutter tego właśnie najwięcej się obawiał.

–Mamy tę wielką przewagę nad Irokezami i każdym innym nieprzyjacielem, że jesteśmy na wodzie – powiedział. – Nie ma na jeziorze ani jednego czółna, o którym nie wiedziałbym, gdzie jest ukryte. W tej chwili, gdy twoja łódka, Hurry, jest tutaj, na łądzie pozostały jeszcze trzy czółna, tak dobrze schowane w dziuplach drzew, że nie wierzę, aby Indianie mogli je znaleźć, choćby nie wiem jak długo szukali.

–Ja bym tego nie powiedział – zauważył Pogromca Zwierząt. – Pies nie ma takiego węchu jak Indianin, kiedy go ńęci zdobycz. Niech tylko dzikie bractwo ujrzy przed sobą skalpy, grabież lub to, co oni uważają za honor, nawet najszczelniej zakryta dziupla z czółnem nie ujdzie ich oczom.

–Racja, Pogromco Zwierząt – zawołał Hurry March – święte słowa! Dobrze, że moja łupinka jest bezpieczna i pod ręką. Tomie! Na mój rozum, Indianie, jeżeli rzeczywiście mają cię zamiar stąd wykurzyć, będą mieli pozostałe czółna najpóźniej jutro wieczór. Nie pozostaje nam zatem nic innego, jak tylko zabrać się do wiosł.

Hutter zrazu nie odpowiedział. Chwilę rozglądał się w milczeniu; patrzył na niebo, wodę i pas lasów obejmujący jezioro; patrzył, jakby tam szukał odpowiedzi. Nie znalazł nic podejrzanego. Bezkresna puszcza pogrążona była w głębokim śnie, ciche niebo jaśniało w blasku zachodzącego słońca, jezioro wyglądało jeszcze piękniej i spokojniej niż w ciągu dnia. Krajobraz działał kojąco, uśmierzał namiętności, tchnął

błogosławioną ciszą. Czy nastrój ten udzielił się ludziom na arce, okaże się w dalszym ciągu opowiadania.

–Judyto – zawołał ojciec, gdy skończył badawczy, choć krótki przegląd znaków na niebie i ziemi – noc za pasem, przygotuj kolację dla naszych przyjaciół, długa droga zaostrza apetyt.

–Nie umieramy jeszcze z głodu, panie Hutter – powiedział March. – Podjedliśmy sobie zaraz po przybyciu nad jezioro, a poza tym wolę towarzystwo Judytki niż nawet kolację z jej ręki. Jakże miło będzie usiąść przy niej w ciszy wieczoru.

–Natury nie oszukasz – odparł Hutter – trzeba się pożywić. Judyto, przygotuj kolację i niech ci pomoże Hetty. Chciałbym z wami pogadać, moi drodzy – podjął stary Tom, gdy tylko córki wyszły i nie mogły go słyszeć. Przy nich nie mógłbym mówić. Znacie moje położenie, chciałbym tedy usłyszeć, co waszym zdaniem należałoby zrobić. Już trzy razy mnie spalono, lecz stało się to na lądzie. Potem czułem się dość pewnie, kiedy zbudowałem sobie zamek, i spuściłem na wodę arkę. Poprzednie moje złe przygody zdarzyły się w czasie pokoju. Były to zwyczajne awantury, jakich nie można uniknąć, kiedy mieszka się w lasach. Obecna sytuacja wygląda mi poważnie, rad bym więc posłuchać waszego zdania.

–Uważam, mój stary, że ty, obie twoje chałupy, sidła i cały twój majątek znaleźliście się w poważnym niebezpieczeństwie – wypalił Hurry nie widząc potrzeby ukrywania prawdy. – Wedle mojego pojęcia o wartości rzeczy, cały twój majątek nie jest dziś wart połowy tego co wczoraj i nie dałbym zań więcej, gdybym miał płacić skórami.

–Widzicie, ja mam dzieci! – dodał ojciec takim tonem, że nawet obojętny obserwator mógłby tę uwagę zrozumieć albo jako zachętę dla kawalerów, albo jako wyraz ojcowskiej troski o dzieci. – Dwie córki, jak wiesz, Hurry, dobre dziewczęta, powiem, choć jestem ich ojcem.

–Człowiek dużo może powiedzieć, panie Hutter, zwłaszcza gdy czas go nagli i okoliczności przyciskają do ściany. Masz, jak powiadasz, dwie córy, a jedna z nich nie ma sobie równej urodą na całym pograniczu, cokolwiek by się rzekło o jej postępowaniu. Co się tyczy biednej Hetty – to jest Hetty Hutter i tyle, nic więcej o tej bieduli nie można by powiedzieć. Sto razy wolałbym Judytę, gdyby prowadziła się tak dobrze, jak jest ładna!

–Widzę, Harry March, żeś pan jest taki przyjaciel, na którego można liczyć tylko przy pięknej pogodzie. Przypuszczam, że twój kolega myśli podobnie – odparł Tom, a w jego głosie zabrzmiała nuta dumy, nie pozbawionej godności. – Trudno, została mi tylko Opatrzność, która może nie będzie głucha na modlitwy ojca.

–Jeśli pan tak rozumiał Hurry'ego, że chciałby cię opuścić – powiedział Pogromca

Zwierząt z powagą i prostotą, co ponad wszelką wątpliwość świadczyło o jego szczerości – sędzę, że jest pan niesprawiedliwy dla niego, a wiem, że krzywdzisz mnie przypuszczając, że poszedłbym w jego ślady, gdyby miał serce pozostawić własnemu losowi rodzinę białych, która' znalazła się w opałach. Przybyłem nad jezioro, panie Hutter, aby spotkać się z przyjacielem, i chciałbym, żeby mój przyjaciel już był tutaj, jak będzie z pewnością jutro o zachodzie słońca. Zyskałbyś do pomocy o jedną strzelbę więcej; niedoświadczoną, wyznam szczerze, podobnie jak moja – ale nie zawiodła ona na polowaniu na grubego i małego zwierza, ręczę więc za jej usługi na wojnie.

–Mogę tedy liczyć na ciebie, że staniesz ze mną w obronie moich córek, Pogromca Zwierząt? – zapytał starzec, a jego oblicze wyrażało ojcowską troskę o dzieci.

–Możesz, Pływający Tomie, jeśli pozwolisz tak się nazywać; będę ich bronił jak brat siostry, mąż żony i kawaler swej panny. W biedzie, w jakiej się znalazłeś, możesz liczyć na mnie- cokolwiek się stanie. Myślę, że Hurry postąpiłby wbrew sobie i swoim chęciom, gdyby cię zawiódł.

–Každy, ale nie on! – zawołała Judyta ukazując swą ładną buzię w drzwiach. H a r r y nie będzie harował za innych i ani mu się śni nadstawić za nas swej pięknej głowy. Ani „stary Tom”, ani jego „dziewczęta” nie liczą teraz na pana Marcha. Poznaliśmy dziś. tego przyjaciela, ufamy za to panu, Pogromco Zwierząt. Twoja zacna twarz i dobre serce mówią nam, że dotrzymujesz swych obietnic.

W tym, co powiedziała Judyta, tyle było, zdaje się, udanej, ile szczerej pogardy do Hurry'ego. W każdym razie powiedziała to z przejęciem, które dostatecznie jasno malowało się na jej pięknej twarzy. Jeśli March zdawał sobie sprawę, że nigdy jeszcze nie widział w jej oczach większej pogardy (uczucia, któremu ta piękna kobieta łatwo ulegała) niż ta, z jaką dopiero co na niego spojrzała, to mógł również zauważyć, że rzadko twarz jej wyrażała tyle kobiecej słodyczy i tkliwości, jak w chwili, gdy jej wymowne niebieskie oczy zwróciły się do jego towarzysza podróży.

–Zostaw nas samych, Judyto – surowo nakazał Hutter, zanim któryś z młodzieńców zdążył odpowiedzieć. – Odejdź i wracaj dopiero z dziczyzną i rybą. Dziewczynę zepsuły pochlebstwa oficerów, którzy czasem tutaj się zapędzają. Niechże pan, panie March, nic sobie nie robi z jej paplaniny. – Trafiłeś pan tym razem w samo sedno, stary Tomie – odparł Hurry, któremu słowa Judyty dobrze przypiekły. – Przeklęte języki garnizonowych; smarkaczy zupełnie ją zepsuły! Nie poznaję Judytki i chyba zacznę uwielbiać jej siostrę, która coraz bardziej mi się podoba.

–Rad jestem to słyszeć, Hurry, i uważam to za znak, że wracasz do zdrowych zmysłów. Hetty będzie znacznie wierniejszą i rozsądniejszą towarzyszką życia niż Judytka i chyba nie da ci kosza. Obawiam się poważnie, że jej siostrze oficerowie zupełnie przewrócili w głowie.

–Nie sposób znaleźć wierniejszą połowicę niż Hetty – powiedział śmiejąc się Hurry – choć nie dałbym głowy, że będzie najmądrzejszą z żon. Ale mniejsza o to. Pogromca Zwierząt nie pomylił się, gdy mówił, że stanę przy twym boku. Nie opuszczę cię, wuju Tomie, w takiej chwili, bez względu na to, jakie są moje uczucia i zamiary względem twej starszej córki.

Męstwo Hurry'ego było znane i cenione przez jego znajomych, Hutter tedy z nie ukrywaną radością słuchał jego zapewnień. Wielka siła fizyczna takiego sprzymierzeńca bardzo mogła się przydać zarówno w obsłudze arki, jak i w walce wręcz, nie należącej do rzadkości w lasach. Dowódca, który znalazł się w ciężkiej potrzebie, nie ucieszyłby się więcej wiadomością o nadejściu posiłków niżli mieszkaniac pogrnicza, któremu tak dzielny obrońca jak Hurry oświadczył, że nie zamierza go opuścić. Przed chwilą Hutter byłby zadowolony, gdyby mógł zażegnać niebezpieczeństwo zawierając układ obronny. Gdy jednak poczuł się nieco bezpieczniej, jego niespokojny duch natychmiast podsunął mu myśl, jakby przenieść wojnę na terytorium nieprzyjacielskie.

–Obie strony wojujące wyznaczyły wysokie ceny za skalpy – powiedział ze złym uśmiechem, jakby ulegał przemożnej pokusie, a jednocześnie chciał okazać, że nie

zależy mu na pieniądzach, jakie można zdobyć w sposób, do którego ludzie uważający się za cywilizowanych odnoszą się z pogardą, chociaż nie postępują inaczej. – Może źle jest brać złoto za ludzką krew; chociaż gdy ludzie mordują się wzajemnie, nie jest chyba wielkim występkiem rzucić na stos łupów kawałek skóry zdartej z głowy. Jakie jest pańskie zdanie w tej sprawie, Hurry?

–Popelniasz, ojczulku, gruby błąd nazywając krew dzikusa krwią ludzką. Dla mnie skalp czerwonoskórego nie znaczy więcej niż para uszu wilka; z równą przyjemnością zgarnę pieniądze za jedno, jak i za drugie. Z białymi rzecz ma się inaczej, bo oni tacy już są, że bardzo nie lubią być skalpowani. Natomiast nasz Indianin goli głowę, żeby była gotowa pod nóż, i zostawia zadzierzysty czubek, aby w razie czego było za co chwycić.

–Tak mówi mężczyzna. Od początku wiedziałem, że byle przeciągnąć cię na naszą stronę, oddasz nam swe serce i rękę – odparł Tom, który zupełnie zmiękł, gdy odzyskał zaufanie do intencji swych gości. Ten najazd Indian może jeszcze przyjąć obrót zupełnie przez nich nie zamierzony. Pogromco Zwierząt, sądzę, że podzielasz pan sposób myślenia Hurry'ego i że pieniądze uzyskane -w ten sposób uważasz za niegorsze niż zarobione na sidłach i polowaniu.

–Nie, ani tak nie myślę, ani nie pragnę zmienić swych poglądów – odparł Pogromca. – Nie uznaję skalpowania, gdyż nie byłoby to w zgodzie z moją religią i kolorem skóry. Stanę przy tobie, Tomie Hutter, na arce czy w zamku, w czólnie czy w lesie; byłoby jednak wbrew mej ludzkiej naturze, gdybym miał wejść na drogę, którą Bóg

wyznaczył innej rasie. Jeśli pan i Hurry myślicie o nagrodach w złocie wyznaczonych przez kolonię za skalpy, idźcie sami na tę wyprawę, a mnie pozostawcie opiekę nad niewiastami. Mimo wielkiej różnicy zdań między wami a mną co do natury białego człowieka, zgodzimy się, że obowiązkiem silnego jest bronić słabszych, zwłaszcza jeśli są to osoby, które zrzędzeniem natury mężczyzna winien osłaniać i podtrzymywać na duchu, udzielając im swego serca i siły.

–Hurry Harry, mógłbyś wiele skorzystać z tej lekcji, gdybyś ją przyjął i zastosował w życiu – powiedziała z mieszkania Judyta głosem miłym, choć śmiałym. Najwidoczniej słyszała wszystko, o czym mówili mężczyźni.

–Dość tego, Judytko! – zawołał z gniewem ojciec. – Wynoś się stamtąd! – Mówimy o sprawach, o których kobieta nie powinna słyszeć.

Hutter nic jednak nie zrobił, aby sprawdzić, czy Judyta usłuchała go. Zniżył tylko głos i mówił dalej:

–Ten młodzieniec ma słuszość, możemy pozostawić dziewczęta pod jego opieką. Zaraz wam powiem, jaką mam myśl; na pewno zgodzicie się, że jest rozsądna i trafna. Na brzegu jeziora jest spora gromada dzikich; znajdują się wśród nich kobiety. Nie mówiłem o tym przy dziewczętach, bo niewiasty zawadzają tylko, gdy trafia się robota. O tym, że są tam kobiety, powiedziały mi ślady mokasynów; mam przy tym wrażenie, że nasi Indianie to myśliwi; którzy dawno wyszli na łowy i dlatego nic nie wiedzą o wojnie ani o nagrodach pieniężnych za skalpy.

–Jeśli tak jest, mój stary – zapytał Hurry – to czemu na powitanie chcieli poderżnąć nam gardła?

–Nie wiemy, czy mieli takie krwiożercze zapędy. Zasadzki i fortele to chleb powszedni Indianina; chcieli pewnie najpierw dostać się na pokład, a potem podyktować warunki. Gdy podstęp się nie udał, zaczęli do nas strzelać; to rzecz całkiem naturalna u dzikich i nie ma o czym mówić. Zresztą, ileż mnie razy spalili, zrabowali moje sidła – ba, strzelali do mnie w czasach najbardziej spokojnych?

–Te szelmy robią takie kawały, to prawda, ale my z nawiązką odpłacamy im pięknym za nadobne. Gdyby weszli na ścieżkę wojenną, nie zabieraliby ze sobą kobiet, to też prawda; twoja myśl zatem jest wcale niegłupia.

–Myśliwy nie maluje się na wojenną modłę – powiedział Pogromca Zwierząt. – Widziałem Mingów i wiem, że wybrali się tropić ludzi, a nie bobry czy jelenie.

–Znów ci się dostało, staruszkę – powiedział Hurry do Toma. – Oku tego młodzieńca wierzę jak najstarszemu koloniście; kiedy on mówi, że się umalowali, to na pewno byli umalowani..

–Wobec tego pewnie spotkały się dwie gromady – myśliwych i wojowników, faktem jest bowiem, że są z nimi kobiety. Zaledwie parę dni temu był tu goniec z wieścią o wojnie; może wojownicy przybyli zabrać kobiety i dzieci do domu, aby jak najprędzej uderzyć.

–Nawet sąd przyznałby, że mówisz prawdę! – zawołał Hurry. – Tym razem trafiłeś, mój stary, w sedno. Chciałbym więc wiedzieć, co chcesz na tym zyskać.

–Nagrodę za skalpy – odparł tamten i spojrzał na wpatrzonego weń towarzysza zimnym i ponurym wzrokiem, w którym okrutna żądza zysku i obojętność na sposób jego zdobycia przeważała nad uczuciem gniewu i chęcią zemsty. – Jeżeli są tam kobiety, to są i dzieci. Dorośli i dzieci – wszyscy mają skalpy; kolonia płaci bez różnicy płci i wieku.

–Tym większa hańba dla kolonii – przerwał mu Pogromca Zwierząt. – Hańba dla kolonii, która nie rozumie, jakie dary otrzymała od nieba, i nie szanuje woli boskiej.

–Posłuchaj, młokosie, głosu rozsądku i nie krzycz, póki nie zrozumiesz, o co chodzi – powiedział Hurry niewzruszony. – Dzicy skalpują twych przyjaciół, Delawarów, Mohikanów i jak im tam jeszcze, czemuż więc my mielibyśmy ich oszczędzać? Przyznaję, że postąpilibyśmy źle, gdybyśmy obaj poszli do osad białych i wynieśli stamtąd skalpy, ale skalpować Indian – to zupełnie co innego. Mężczyzna nie powinien skalpować, jeśli sam w razie czego nie jest gotów nadstawić pod nóż własnej głowy. Jak Kuba Bogu tak Bóg Kubie – oto zasada, którą wyznaje cały świat. To jest rozsądne sądzę, że to jest też niezła religia.

–Ach tak, panie Hurry – dał się znów słyszeć wdzięczny głos Judyty – a czy religia nakazuje, by złem odpłacać za złe?

–Ciebie nie będę przekonywał, Judytko, bo ty przekonasz mnie swą urodą, jeśli nie stanie ci argumentów. Kanadyjczycy płacą swym Indianom za skalpy, czemu więc my nie mielibyśmy płacić...

–Naszym Indianom! – zawołała dziewczyna śmiejąc się, choć w śmiechu jej więcej było smutku niż radości. – Ach, ojczu, ojczu! Nie myśl o tym więcej, lecz posłuchaj rady Pogromcy. Zwierząt, który ma sumienie; nie mogłabym tego powiedzieć lub pomyśleć o Hurry'm Marchu.

Hutter wstał, wszedł do domu, zapędził córki do drugiej izby, zamknął jedne i drugie drzwi i wrócił. Następnie zabrał się wraz z Hurry'm do dalszych rozważań na ten sam temat, ponieważ jednak to, wokół czego obracała się ich rozmowa, ukaże się w dalszym ciągu naszego opowiadania, nie będziemy teraz przytaczać szczegółów ich narady. Czytelnik łatwo zrozumie, jakie zasady moralne określały treść tej rozmowy. Była to prawdę mówiąc moralność, jaka – w tej czy innej postaci – rządzi większością

postępków ludzkich i której główna zasadą brzmi: oko za oko. Ich wrogowie płacili za skalpy, oto dostateczne usprawiedliwienie odwetu kolonii. Prawdą jest, że tym samym argumentem posługiwali się Francuzi, co przemawiało za jego słusnością (jak to skwapliwie podniósł Hurry w odpowiedzi na zarzuty Pogromcy Zwierząt), gdyż mało prawdopodobne jest, aby śmiertelni wrogowie posługiwali się tym samym rozumowaniem, gdyby nie było ono słuszne. Ani Hutter, ani Hurry nie byli ludźmi, którzy by spierali się o drobnostki w sprawach dotyczących praw tubylców; wiadomo, że akcja napastnicza pociąga za sobą przytępienie sumienia i stłumienie jego głosu. Nawet w czasach najbardziej spokojnych istniał swego rodzaju stan wojenny między Indianami, zwłaszcza kanadyjskimi, a białymi. Kiedy więc wojna została wypowiedziana, Hutter i Hurry uznali ją za okazję do legalnego odwetu za tysiące krzywd, prawdziwych i urojonych. Oto ile prawdy i słusności było w zasadzie odwetu, na którą obydwaj się powoływali, odpowiadając na zarzuty swego towarzysza, który był od nich uczciwszy i więcej miał skrupułów.

–Wroga należy bić jego własną bronią, Pogromco Zwierząt! – Krzyczał Hurry, jak zwykle po grubiańsku w dyskusji, odrzucając wszelkie skrupuły moralnej miał zwyczaj argumentować w sposób nie znoszący sprzeciwu. – Jeśli twój przeciwnik jest okrutny, ty musisz być okrutniejszy od niego, jeśli jego serce jest zimne, twoje niech będzie z kamienia. Oto droga do zwycięstwa nad chrześcijaninem i nad dzikim; trzymając się tego śladu, prędzej dojdiesz do celu wędrówki.

–Bracia morawianie mówią co innego; uczą, że wszyscy, będą sędzeni wedle swych talentów i wiedzy, Indianin – jak Indianin, biały – jak biały. Niektórzy ich nauczyciele mówią, że jeśli ktoś da ci w twarz, masz nadstawić drugi policzek i dać się uderzyć jeszcze raz, a nie brać odwetu, co rozumiem w ten sposób...

–Dosyć! – zawołał Hurry.– To mi wystarczy, żeby zrozumieć twoją naukę! Ile czasu trzeba by wedle twej zasady, żeby częstując kogoś kopniakami poniżej krzyża, przegnać go z jednego końca kolonii na drugi?

–Źle mnie zrozumiałeś, March – z godnością odparł młody myśliwy. – Chciałem tylko powiedzieć, że tak należy postępować, jeśli to jest możliwe. Żądza odwetu jest cechą Indian, przebaczenie – cechą białych. To wszystko. Puść płazem zniewagę, jeśli możesz, a nie mścij się, ilekroć możesz to zrobić – oto zasada. Co się tyczy kopniaków, panie Hurry – spalona słońcem twarz Pogromcy Zwierząt pociemniała, gdy to mówił.– i gonienia kogoś przez całą kolonię, to uwaga twoja jest ni przypiętą, ni przyłatała, bo nie ma tu takiego, co by się na to ważył, ani takiego, co by mu uległ. Chciałem tylko powiedzieć, że jeśli czerwonoskórzy skalpują, to jeszcze nie powód, aby blade twarze robiły to samo.

–Płać pięknym za nadobne. Pogromco Zwierząt, to jest zasada, którą głoszą pastory chrześcijańscy.

–Nie, Hurry, pytałem o to braci morawian, zasada brzmi zupełnie inaczej. „Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło” -powiedzieli mi morawianie – oto prawdziwa zasada, ludzie zaś postępują inaczej. Morawianie uważają, że kolonie, które obiecują nagrody za skalpy, postępują niesłusznie i że niebo nie błogosławi ich postępkiem. Morawianie nade wszystko zakazują odwetu.

–Gwiżdżę na twoich morawian! – krzyknął March trzaskając palcami. – Nielepsi oni od kwaków. Gdybyś słuchał wszystkiego, co ci mówili, nie zdjąłbyś skóry z piżmoszczura, bo żal by ci było zwierzęcia. Kto słyszał, żeby litować się nad piżmoszczurem!

Pogardliwe zachowanie Hurry'ego sprawiło, że Pogromca nic nie odpowiedział. March i stary omawiali dalej swe plany przyciszonym głosem i w sposób bardziej poufny. Konspirowali tak do chwili, gdy zjawiała się Judyta wnosząc skromną, lecz smaczną kolację.

March z pewnym zdziwieniem zauważył, że dziewczyna postawiła najsmaczniejsze kąski przed Pogromcą Zwierząt i że świadczyła mu różne drobne względy, na jakie mogła się zdobyć, okazując w ten sposób wyraźną ochotę, aby wszyscy ujrzeli, że Pogromcę uważa za gościa zasługującego na szczególne honory. Przyzwyczajony jednak do kaprysów i kokieterii piękniś, March nie bardzo się zmartwił tym odkryciem i jadł z apetytem nie zmąconym żadnymi skrupułami moralnymi. Lekko strawny posiłek leśnych ludzi zachęcał do jedzenia, tej prawdziwie zwierzęcej przyjemności, toteż Pogromca Zwierząt, mimo że w lesie obaj najedli się do syta, nie ustępował kroku swemu przyjacielowi w pałaszowaniu kolacji.

W godzinę później obraz okolicy zupełnie się zmienił. Jezioro było wciąż spokojne i szklane, po łagodnym zmierzchu letniego wieczoru nastąpił mrok – i cała okolica w ciemnej oprawie lasów pogrążyła się w cichym śnie nocy. Z puszczy nie dobiegał ani śpiew, ani krzyk, ani najmniejszy szelest. Lasy patrzyły ze wzgórz na leżący w ich objęciach piękny basen jeziora, spowity uroczystą ciszą. Słysząc tylko szmer miarowych uderzeń wiosła, którymi ospale obracali Hurry i Pogromca Zwierząt kierując arkę ku zamkowi. Hutter wyszedł na rufę promu i chciał sterować, lecz gdy zobaczył, że obaj młodzieńcy wiosłują w takt i sami trzymają się kierunku, położył wiosło na wodę, usiadł w tyle statku i zapalił fajkę. Po paru minutach Hetty wymknęła się z kajuty (czy też domu, tak bowiem zwykli nazywać tę część arki) i usiadła u stóp ojca na stołku, który przyniosła z sobą. Nie było to czymś niezwykłym u tego trochę upośledzonego na umyśle dziecka, starzec więc niemal nie zwrócił na nią uwagi, tylko delikatnie i z ojcowską miłością położył jej rękę na głowie; dziewczyna w milczeniu przyjęła tę pieśczętę.

W chwilę potem Hetty zaczęła śpiewać. Głos miała słaby i drżący, śpiewała z uroczystą powagą. Słowa i melodie były nader proste, pierwsza pieśń była hymnem, którego nauczyła ją matka, a ostatnia jedną z tych zwykłych piosenek, które

podobają się ludziom wszystkich klas i w każdym czasie, gdyż płyną z serca i przemawiają do uczucia. Hutterowi zawsze, gdy słuchał tych prostych melodii, miękło serce i stary dziwnie łagodniał. Córka dobrze wiedziała o tej słabości ojca i często ją wykorzystywała, wiedzona świętym instynktem, jaki oświeca osoby słabe na umyśle, zwłaszcza jeśli zmierzają do tego, co dobre.

Ledwie zabrzmiał cichy i słodki głos Hetty, ustał szmer wioseł i nabożna pieśń, wzniosła się samotnie ku niebu w niczym nie zmaconej ciszy pustkowie. Zdawać się mogło, że treść pieśni dodaje odwagi śpiewaczce, gdyż głos jej przybierał na sile i chociaż pospolite lub hałaśliwe dźwięki nie zmały melodii, śpiew brzmiał coraz donośniej i barwił się tkliwym smutkiem, aż prosty hymn duszy bez skazy wypełnił ciszę wieczoru. Obaj mężczyźni na przedzie arki zastygli w bezruchu, dając tym dowód, że nie pozostali obojętni na wzruszający śpiew Hetty; dopiero gdy ostatnie dźwięki pieśni zamarły na brzegu, który o tej godzinie czarów niósł więcej niż milę najdrobniejszą modulację ludzkiego głosu, młodzieńcy znów zanurzyli wiosła w wodzie. Hutter był bardzo wzruszony. Proceder, który kiedyś uprawiał, nauczył go brutalności, potem przez wiele lat ulegał wpływom zwyczajów ludzi z puszczy, co uczyniło go człowiekiem bezwzględnym, w sumie jednak natura starca była ową przerażającą mieszaniną dobrego i złego, jaka tak często stanowi o moralnym obliczu człowieka.

–Smutne jest dzisiaj moje dziecko – powiedział do Hetty. Gdy rozmawiał z córką, zachowanie i język starca łagodniały! wznosiły się na wyżyny życia cywilizowanego, jakie pędził za młodu. – Uszliśmy dzisiaj wrogom i powinniśmy się z tego cieszyć.

–Ty tego nie zrobisz, ojcze! – powiedziała Hetty głosem cichym i pełnym wyrzutu, biorąc w obydwie ręce jego dłoń szorstką i kościstą. – Długo rozmawiałeś z Harry Marchem ale żaden z was nie będzie tak okrutny, aby to zrobić!

–Ty nie możesz tego zrozumieć, niemądry dzieciaku; pewnie byłaś niegrzeczna i podsłuchiwałaś nas, inaczej nie wiedziałabyś, o czym mówiliśmy.

–Czemu ty i Hurry chcecie zabijać ludzi – i to kobiety i dzieci?

–Cicho, dziewczyno, uspokój się. Jest wojna i musimy tak postępować z nieprzyjaciółmi, jak oni postępowaliby z nami.

–To nie jest tak, ojcze! Słyszałam, że Pogromca Zwierząt mówił o tym co innego niż wy. Powinieneś być wobec wrogów taki, jakimi chciałbyś, żeby oni byli dla ciebie. Nikt nie chce, aby wrogowie go zabili.

–Zabijamy na wojnie wrogów, moje dziecko, aby oni nas nie wytłukli. Ktoś musi zacząć; kto pierwszy ruszy na wroga, może prędzej zwyciężyć. Nic nie wiesz o tych sprawach, aniołku, i lepiej nic o tym nie mów.

–Judyta mówi, że to jest złe, ojczy, a ona ma rozum, którego ja nie mam.

–Judytką ma rozum, jak mówisz, i dlatego dobrze wie, że nie może nic powiedzieć, bo bym nie ścierpiał, żeby wtrącała się do nie swoich spraw. Co byś wolała, Hetty – żeby zdjęto ci skalp i sprzedano go Francuzom, czy żebyśmy zabili naszych wrogów i w ten sposób nie pozwolili zrobić sobie krzywdy?

–To nie jest tak, ojczy! Nie zabijaj ich i nie daj im zabić nas. Sprzedaj skóry i postaraj się o nowe jeśli możesz; ale nie sprzedawaj krwi ludzkiej.

–Dajmy temu pokój, moje dziecko; mówmy o sprawach, które rozumiesz. Czy cieszysz się, że znów zobaczyłaś Marcha, naszego starego przyjaciela? Lubisz go i wiedz, że któregoś dnia może zostać twym bratem, jeśli nie kimś bliższym.

–To niemożliwe, ojczy – powiedziała dziewczyna po dłuższej chwili. – Hurry miał już ojca i matkę; nikt nie może mieć dwóch ojców lub dwóch matek.

–Widzisz, jaką słabą masz główkę! Kiedy Judytką wyjdzie za mąż, ojciec męża będzie jej ojcem, a siostra męża będzie jej siostrą. Jeśli wyjdzie za Hurry'ego, on będzie twoim bratem.

–Judyta nigdy nie wyjdzie za Hurry'ego, Judyta go nie lubi – odparło dziewczę łagodnie, lecz stanowczo.

–Nic ó tym nie wiesz, Hetty. Harry March jest najprzystojniejszym, najsilniejszym i najodważniejszym spośród wszystkich młodzieńców, jacy pokazali się nad naszym jeziorem; gdy zaś Judytką jest najpiękniejszą kobietą na całym pograniczu – nie widzę przeszkód, aby się pobrali. Hurry przyrzekł, że pójdzie ze mną na wyprawę, jeśli zgodzę się dać mu Judytę.

Hetty zaczęła się kiwać na wszystkie strony, co oznaczało, że jest wzburzona. Dość długo jednak nic nie mówiła. Ojczy, przyzwyczajony do jej sposobu bycia i nie podejrzewając, aby dziewczyna miała bezpośrednie powody do zaniepokojenia, palił dalej fajkę z wyraźną flegmą, która zdaje się, jest nieodłącznie związana z tą szczególnego rodzaju przyjemnością.

–Hurry jest przystojny, ojczy – powiedziała Hetty z pełnym prostoty przejęciem, którego byłaby się ustrzegła, gdyby jej rozum powiedział, że wzruszenie to daje pole do domysłów.

–Powtarzasz moje słowa, dziecko – mruknął stary Hutter nie wyjmując fajki z zębów. – Harry to najładniejszy chłopak w tych stronach, a Judytką najładniejsza panna, jaką widziałem od czasów młodości jej matki.

–Czy to grzech być brzydką, ojczy?

–Człowiek może mieć na sumieniu rzeczy znacznie gorsze – ale ty wcale nie jesteś brzydka, choć Judytka jest ładniejsza.

–Czy Judyta jest bardziej szczęśliwa, dlatego że jest taka ładna?

–Może tak, a może nie, moje dziecko. Ale mówmy o czym innym, bo to są sprawy zbyt trudne dla ciebie, biedna Hetty. Jak ci się podoba nasz nowy znajomy, Pogromca Zwierząt?

–Nie jest przystojny, ojcze. Hurry jest o wiele ładniejszy od Pogromcy Zwierząt.

–To prawda. Mówią jednak, że jest świetnym myśliwym! Sława Pogromcy doszła do mnie, zanim go ujrzałem; mam nadzieję, że okaże się równie dzielnym wojownikiem, jak jest zręcznym myśliwym. Atoli ludzie nie są wszyscy na jedno kopyto i trzeba czasu, moje dziecko, wiem to z własnego doświadczenia, aby serce mężczyzny stało się godne puszczy, w której żyje.

–Czy ja mam takie serce, ojcze, i czy serce Hurry'ego jest godne puszczy?

–Dziwne czasem zadajesz pytania, Hetty! Masz dobre serce, moje dziecko, które bardziej nadaje się do życia w osadzie niż w lasach, a rozum twój lepiej pasuje do lasów.

–Czemu Judyta ma więcej rozumu ode mnie, ojcze?

–Niech cię Bóg ma w swej opiece, moje dziecko. Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Bóg daje rozum, wygląd zewnętrzny i tym podobne rzeczy, dzieląc je tak, jak mu się podoba. Czy chciałabyś mieć więcej rozumu?

–Wcale nie. Nawet z moim malutkim rozumem mam kłopot; im więcej myślę, tym bardziej czuję się nieszczęśliwa. Nie wierzę, aby myślenie mogło mi przynieść coś dobrego, chciałabym za to być taka ładna, jak Judyta!

–Czemuż to, dziecino? Uroda twej siostry może jej steru. Dzięki tej zamianie, gdy młody myśliwy przeszedł na drugi koniec arki, starzec i Hurry zostali sami.

Hetty zniknęła, gdy tylko Pogromca Zwierząt zajął stanowisko przy sterze. Pogromca przez chwilę sam sterował statkiem, wolno posuwającym się naprzód. Nie trwało to długo, gdyż z domu wyszła Judyta. Mogłoby się zdawać, że chce pełnić honory domu wobec przybysza, który zaciągnął się w służbę dla jej rodziny. Światło gwiazd pozwalało rozróżniać bliskie przedmioty. Młodzieniec tedy z łatwością spostrzegł, że błyszczące oczy dziewczyny wyrażały sympatię, gdy się spotkały z jego wzrokiem. Mimo zmroku bujne włosy rzucały cień na jej żywą i słodką twarzyczkę, co czyniło ją jeszcze piękniejszą; podobnie kwiat róży najwdzięczniej wygląda w cieniu soczystej zieleni listowia. Stosunki towarzyskie w puszczy nie są

bynajmniej ceremonialne. Judyta, podziwiana przez wszystkich, nabrała pewności siebie, która jeśli nawet nie przechodziła w zuchwalstwo, z pewnością wcale nie przydawała jej wdziękowi owej powściągliwej skromności, nad jaką rozplywają się poeci.

–Myślałam, że pękne ze śmiechu, Pogromco Zwierząt – zaczęła piękność prosto z mostu, ale i zalotnie – kiedy ujrzałam, jak ten Indianin daje nurka do rzeki! Dzikus był wcale niebrzydki – o urodzie mówiła zawsze jak o osobistej zasłudze. – Nie mogłam jednak zaczekać i – zobaczyć, czy mu malowidło nie puściło w wodzie!

–A ja się bałam, że panią zastrzelą, Judyto – odparł Pogromca Zwierząt. – Wybiegając z domu na oczach tuzina Mingów, narażała pani swe życie!

–Czy dlatego wybiegł p a n z kajuty, nie zważając na ich strzelby? – zapytała dziewczyna z zainteresowaniem, którego nie udało jej się pokryć obojętnym tonem, choć zwykle przychodziło jej to łatwo dzięki dużej wprawie i wrodzonemu sprytowi.

–Mężczyzna, gdy ujrzy kobietę w niebezpieczeństwie, nie może nie przyjść jej z pomocą. Wiedzą o tym nawet Mingowie.

Pogromca Zwierząt powiedział to z taką prostotą i tak szczerze, a Judyta odpłaciła mu uśmiechem tak słodkim, że – wbrew uprzedzeniu, jakiego nabrał do niej pod wpływem zarzutów Hurry'ego, podejrzewającego ją o płochę usposobienie – uległ czarowi uśmiechu dziewczyny, mimo że uśmiech ten w szarym świetle gwiazd stracił połowę swej urzekającej siły. W ten sposób od razu powstała między nimi atmosfera zaufania. Myśliwy w dalszej rozmowie z Judytą nie myślał już, że ma do czynienia z nimfą leśną, choć zrazu uległ takiemu wrażeniu.

–Pan jest człowiekiem czynu, a nie słów; od razu to poznałam, Pogromco Zwierząt – powiedziała piękność siadając obok myśliwego, który stał z wiosłem w ręku. – Wiem, że będziemy przyjaciółmi. Hurry Harry ma długi język i choć jest olbrzymem, więcej mówi, niż robi.

–March jest pani przyjacielem, Judyto; o nieobecny przyjacielu należy mówić dobrze.

–Wiemy wszyscy, co to jest przyjaźń Hurry'ego! Ustępuj mu we wszystkim, a będzie najlepszym chłopcem w całej kolonii, ale spróbuj mu się „postawić”, jak wy mówicie o jeleniu, stanie się panem wszystkiego, co mu wpadnie w rękę, ale nie będzie panował nad samym sobą. Hurry nie jest moją sympatią, Pogromco Zwierząt. Śmiem twierdzić, że gdyby prawda wyszła na wierzch, gdyby powtórzono mi, co Hurry opowiada o mnie, okazałoby się, że nie myśli o mnie lepiej niż, wyznam szczerze, ja o nim.

Ostatnie słowa Judyta wymówiła z pewnym zakłopotaniem. Gdyby młodzieniec

dotrzymujący jej towarzystwa nie był człowiekiem tak prostodusznym, byłby spostrzegł, że odwróciła twarz i nerwowo poruszała piękną nóżką. Zauważyłby też inne znaki, które świadczyły, że z jakichś nieznanых powodów zdanie Marcha nie było jej tak obojętne, jak udawała. Czy działała tu tylko próżność kobiety, która udaje, że nie doznaje żadnych uczuć, chociaż kocha gorąco; czy też zachowanie Judyty wynikało z głęboko zakorzenionej świadomości dobrego i złego, czytelnik zrozumie lepiej w dalszym ciągu opowiadania. Pogromca Zwierząt bardzo się stropił. Pamiętał dobrze ciężkie zarzuty, jakie podejrzliwy Hurry stawiał Judycie. Z jednej strony nie chciał wywołać niechęci do swego towarzysza i w ten sposób przeszkodzić mu w konkurach, z drugiej zaś – nie umiał kłamać. Odpowiedzieć Judycie i nic nie dodać ani nie ująć z tego, co chciał powiedzieć, było dla niego zadaniem niezmiernie trudnym.

–March lubi mówić byle co tak o swych przyjaciółach, jak i wrogach – powiedział z namysłem. – Należy do tych, którzy mówią, co im ślina przyniesie na język, gdyby zaś trochę pomyślał, powiedziałby co innego. Stokroć wolę Delawara, Judyto – ten dopiero rozważa i przeżuwa swe myśli! Niebezpieczeństwa nauczyły go rozwagi, a długi język nie znajdzie posłuchu u jego braci gdy przy ognisku zasiądą na naradę.

–Mam wrażenie, że March wcale się nie krępuje, gdy zaczyna mówić o Judycie Hutter i jej siostrze – powiedziała dziewczyna z jawną pogardą. – Dobre imię młodej kobiety jest wdzięcznym tematem rozmów dla pewnych ludzi, którzy trzymaliby język za zębami, gdyby ta kobieta miała brata. Pan March znajduje przyjemność w obmawianiu nas, lecz jeszcze tego pożałuje!

–Ależ, Judyto, zbyt poważnie bierze pani te sprawy. Harry nie pisnął ani słówka przeciw Hetty, a po drugie...

–Wiem, wiem, o co chodzi – porywczo przerwała mu Judyta. – Hurry tylko mnie upatrzył sobie na ofiarę swego jadowitego języka! Cóż, Hetty! Biedna Hetty! – mówiła dalej niskim, nieco ochrypłym głosem, który z trudem przechodził jej przez gardło. – Hetty nie dotkną jego złośliwe plotki, nie sięgną tak wysoko! Biedna Hetty! Bóg stworzył ją słabą na umyśle. Niedostatek rozumu chroni ją od błędów, o których istnieniu nawet nie wie. Nie było jeszcze na świecie istoty bardziej niewinnej niż Hetty Hutter, Pogromco Zwierząt.

–Wierze, zaiste, wierzę, Judyto, i mam niepłonną nadzieję, że to samo można by powiedzieć o jej pięknej siostrze.

W głosie Pogromcy tyle było szczerości i słodyczy, że dziewczyna bardzo się wzruszyła. Aluzja zaś do jej urody zwiększyła jeszcze wrażenie, jakie wywarły na Judycie słowa myśliwego, znała bowiem doskonale wartość swych wdzięków. Niemniej cichy głos sumienia nie zamilkł, lecz podszeptał jej odpowiedź, której udzieliła Pogromcy po chwili namysłu:

–Hurry zapewne powtórzył swe nikczemne oskarżenia, dotyczące oficerów z garnizonu – powiedziała. – Wie, że to są dżentelmeni, i nie może im wybaczyć, że są tym, czym on nigdy nie będzie.

–Nie może być oficerem królewskim, to pewne, gdyż nie ma na to żadnych danych; ale czemu łowca bobrów nie miałby być równie godnym szacunku jak rządca kolonii? Skoro sama pani o tym wspomniała, nie przeczę, że Hurry istotnie żalił się, iż osoba tak skromnego stanu jak pani tyle czasu spędza w towarzystwie szkarłatnych mundurów i jedwabnych szarf. Ale to zazdrość mówiła przez niego i chyba smucił się swymi myślami, jak matka rozpacza nad grobem dziecka.

Pogromca Zwierząt chyba nie zdawał sobie sprawy z pełnego znaczenia swych słów. Pewne jest, że nie spostrzegł rumieńca, który oblał szkarłatem piękną twarz Judyty, ani też nie mógł zauważyć nieodpartego smutku, jakiś z kolei sprawił, że zbladła jak płótno. Minuta lub dwie minęły w głębokim milczeniu i słychać było tylko plusk wioseł. Judyta wstała i kurczowo uścisnęła rękę myśliwego.

–Pogromco Zwierząt – powiedziała gwałtownie – cieszy mnie, że pierwsze lody między nami zostały przełamane. Mówi się, że nagła przyjaźń prowadzi do długiej nienawiści, ale nie wierzę, aby tak było z nami. Sama nie wiem, jak to się dzieje, ale ze wszystkich mężczyzn, jakich spotkałam, pan pierwszy, zdaje się, nie chce mi schlebiać, nie chce mej zguby i nie jest zamaskowanym wrogiem. Mniejsza o to, nie mów nic Hurry'emu, porozmawiamy jeszcze kiedy indziej.

Dziewczyna puściła rękę myśliwego i zniknęła w domu. Pogromca Zwierząt stał przy wiosle sterowym zdumiony i nieruchomy jak sosna na wzgórzu. Myśli jego błądziły gdzieś daleko, aż Hutter zawołał nań, by utrzymywał dziób promu we właściwym kierunku. Dopiero wtedy miody myśliwy przypomniał sobie, gdzie się znajduje.

ROZDZIAŁ 6

**W mące przemawia! Anioł apostata,
głośno się chełpiąc, choć dręczon rozpaczą.**

Milton

W chwilę po zniknięciu Judyty powiał lekki wiatr południowy. Hutter wyciągnął wielki, kwadratowy żagiel, który kiedyś jako topsel powiewał nad pewnym kutrem z Albany, a że potem stargały go wiatry Tappanu, wycofano go więc z użytku i sprzedano. Do dyspozycji miał lekką, lecz mocną reję z drzewa tamaraku, którą mógł podnieść w razie potrzeby. Za pomocą prostego urządzenia rozpostarł tedy na rei płótno żaglowe i dość fachowo nastawił je pod wiatr. Skutek był taki, że już nie trzeba było wiosłowe, a po upływie dwóch godzin w odległości około stu jardów ujrzeli w mroku zamek wynurzający się z wody. Spuszczono żagiel i prom dryfował powoli ku siedzibie Toma. Kiedy podpłynął do pomostu, przymocowano go liną do pala.

W domu nie było gości od czasu wizyty Hurry'ego i jego towarzysza. O północy panowała tu cisza, która ogarnęła całe pustkowie. Wiedząc, że nieprzyjaciel jest blisko, Hutter zabronił córkom zapalić światło (co zresztą było zbytkiem, na jaki rzadko sobie pozwalano w czasie letnich miesięcy) obawiając się, że światło, niczym latarnia morska, mogłoby wrogom wskazać drogę do zamku.

–Przy świetle dziennym nie boję się nawet całej zgrai dzikusów, bo ja siedzę sobie za tymi grubymi pniami, a oni – gdzie się ukryją? – powiedział Hutter, gdy już wyjaśnił gościom, dlaczego nie pozwolił zapalić światła. – Trzymam tu stale nabite trzy albo cztery niezawodne strzelby. Jedna z nich, „Postrach Zwierząt” – nigdy nie chybia. Ale co innego w nocy. Pod osłoną ciemności czółno może podpłynąć niepostrzeżenie, a dzicy znają tyle podstępów, że mieć z nimi do czynienia nawet w jasny dzień, już jest ciężkim orzechem do zgryzienia. Zbudowałem ten dom, aby mieć ich co najmniej na odległość ramienia, gdybyśmy znów mieli spróbować swych sił. Niektórzy są zdania, że zamek jest zbyt odsłonięty i wystawiony na ataki, ja jednak jestem zdania, że kotwicę należy zarzucić właśnie tutaj, gdzie nie ma zarośli, i tym samym zając stanowisko najbezpieczniejsze.

–Słyszałem, że byłeś kiedyś marynarzem, stary Tomie, czy to prawda? – zapytał jak zwykle obcesowo Hurry, uderzyło go bowiem, że stary używa czasem wyrażeń marynarskich. – Niektórzy uważają, że mógłbyś opowiedzieć wiele niezwykłych historii o walkach i katastrofach na morzu, gdyby tylko rozwiązał ci się język.

–Są tacy ludzie na świecie – odparł stary wymijająco, którzy żyją tym, co myślą inni; niektórzy z nich zapędzają się nawet do lasów. Kim byłem albo co widziałem za

młodu, jest teraz mniej ciekawe, niż kim są i co robią dzicy. Lepiej byłoby pomyśleć, co może zdarzyć się w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin, niż gadać o tym, co było dwadzieścia cztery lata temu.

–Oto głos rozsądku, Pogromco Zwierząt, oto, co się nazywa zdrowym rozsądkiem. Trzeba nam zaopiekować się Judytą i Hetty, nie mówiąc już o naszych czubkach głowy. Ja tam mogę spać po ciemku tak samo jak w słońcu południa. Mnie mało obchodzi, czy słońce albo lampa na mnie patrzy, gdy zamykam oczy.

Na tej uwadze rozmowa się urwała, gdyż Pogromca Zwierząt nie zwykł był odpowiadać, gdy Hurry'emu zebrało się na żarty, a Hutter wyraźnie nie miał ochoty przedłużać rozmowy na temat swej przeszłości i co innego miał w głowie niż wspomnienia. Stąd, ledwie córki powiedziały, że idą spać, i wyszły, poprosił gości, aby przeszli za nim na prom. Kiedy się tam znaleźli, starzec wyjawiał im swój plan, przemilczał jednak tę jego część, którą zachował dla siebie i Hurry'ego.

–Głównym zadaniem. ludzi w naszym położeniu jest utrzymać panowanie nad wodą – zaczął Hutter. – Póki na jeziorze nie ma innego statku, czółno z kory jest tyle warte co okręt wojenny, bo przecież wpław nikt zamku nie zdobędzie. W okolicy jeziora jest wszystkiego pięć czółen, z czego dwa mam z sobą, a trzecie należy do Hurry'ego. Mamy więc tutaj trzy czółna: jedno stoi umocowane w doku pod domem, dwa są przywiązane do promu. Pozostałe dwa czółna znajdują się na brzegu, schowane w dziuplach drzew. Dzicy, nasi zajadli wrogowie, jutro rano przetrząsną całą okolicę, jeśli rzeczywiście chcą zdobyć nagrody za skalpy...

–Nic podobnego, bracie – przerwał mu Hurry. – Nie ma na świecie takiego Indianina, który by znalazł

czółno dobrze ukryte. Znam się na tych sprawach nie od dziś i spytaj się obecnego tu Pogromcy Zwierząt, czy nie umiem tak schować łódki, że sam jej potem nie mogę znaleźć.

–To się zgadza – rzekł ten, na którego się Hurry powołał – ale zapomniałeś powiedzieć, że choć ty nie mogłeś znaleźć własnego śladu, ja go jednak znalazłem. Jestem tego samego zdania co pan Hutter, że mianowicie znacznie rozsądniej jest obawiać się sprytu dzikich, niżli pokładać wielkie nadzieje w ich ślepotie. Jeśli więc można ściągnąć te dwa czółna do zamku, należy to zrobić jak najrychlej.

–Czy wzięłby pan udział w wyprawie po czółna? – zapytał Hutter tonem wyrażającym zdziwienie i zadowolenie z propozycji Pogromcy Zwierząt.

–Oczywiście. Jestem gotów wziąć udział w każdym przedsięwzięciu, które nie sprzeciwia się prawom białego człowieka. Natura nakazuje nam bronić naszego życia, a także życia innych ludzi, jeżeli zajdzie potrzeba. Pójdę za tobą, Pływający

Tomie, nawet do obozu Mingów, gdy będzie tego wymagała obrona naszego życia, i postaram się spełnić swój obowiązek, gdyby doszło do walki. Będzie to jednak pierwsza próba mych sił i nie chciałbym obiecywać więcej, niż mogę zdziałać. Wszyscy wiemy, czego chcemy, ale nikt nie zna swych sił, póki nie wystawi ich na próbę.

–Jesteś skromnym i grzecznym chłopcem! – zawołał Hurry. – Ale jeszcze nie słyszałeś grzechotu rozgniewanej strzelby, a muszę ci powiedzieć, że to jest tak niepodobne do miłych rozmówek twojej pukawki ze zwierzyną, jak nie można porównać śmiechu rozbawionej Judyty Hutter z pyskowaniem holenderskiej paniusi nad Mohawkiem. Nie spodziewam się wiele po tobie jako wojowniku, Pogromco Zwierząt, choć jako łowca jeleni i saren nie masz równego sobie w tych stronach. Mam wrażenie, że w prawdziwej walce pozostaniesz na tyłach.

–Zobaczymy, Hurry, zobaczymy – łagodnie odparł Pogromca Zwierząt. Oko ludzkie nie dostrzegłoby na jego obliczu śladu zmieszania pod wpływem jawnych wątpliwości Hurry'ego, które uraziłyby ambicję każdego mężczyzny, tym boleśniej – im lepiej znałby swą słabą stronę. – Nie byłem jeszcze wystawiony na próbę i dlatego nic nie mogę o sobie powiedzieć; chcę mieć pewność, nie znoszę pustych przechwałek. Słyszałem już o takich, którzy byli mężni przed walką, a gdy do niej doszło, wcale się nie popisali; słyszałem też o innych, którzy chcieli sami zobaczyć, do czego są zdolni, a gdy nadszedł dzień próby, okazali się lepsi, niż się innym zdawało.

–W każdym bądź razie wiemy, że umiesz posłużyć się wiosłem – powiedział Hutter – a to jest wszystko, czego chcemy od ciebie tej nocy. Nie traćmy więc czasu, siadajmy do łódki i zamiast gadać po próżnicy, weźmy się do roboty.

Co powiedziawszy Hutter zaprowadził ich do czółna. W chwilę potem łódź była gotowa do drogi, a Hurry i Pogromca Zwierząt zasiedli przy wiosłach. Stary, nim wszedł do czółna, wrócił do domu i odbył z Judytą kilkuminutową rozmowę, po czym wrócił i siadł u steru. Łódka natychmiast odbiła od arki.

Gdyby na tym pustkowiu istniała świątynia, zegar na niej wybiłby północ, gdy trzej mężczyźni ruszali na wyprawę. Ciemność się wzmogła, ale niebo było jasne, a światło gwiazd sprzyjało zamiarom naszych łowców przygód. Tylko Hutter znał miejsca, w których ukryte były czółna, sterował więc łodzią, podczas gdy dwaj siłacze wznosili wiosła i zanurzali je w wodzie z największą ostrożnością, aby w głębokiej ciszy nocy żaden szmer nie prześliznął się do uszu wroga po nieruchomej płaszczyźnie jeziora. Czółno z kory było tak lekkie, że nie wymagało wielkiego wysiłku. Po upływie pół godziny, więcej dzięki zręczności niż sile wiosłarzy, zbliżali się już do przylądka, odległego o trzy mile od zamku.

–Przestańcie wiosłować, chłopcy – szepnął Hutter – trzeba się trochę rozejrzeć. Musimy teraz zamienić się w oczy i uszy, bo te ścierwa mają nosy jak ogary.

Przyjrżeli się dokładnie brzegom jeziora spodziewając się, że może jeszcze zamigocą światełka obozuj natężyli wzrok w ciemnościach – szukali bodaj nitki dymu, który by wymknął się z dogasającego ogniska i ukazał się na tle zbocza. Nie zauważyli niczego podejrzanego, a że znajdowali się dosyć daleko od odpływu Susquehanna, to jest miejsca, w którym spotkali dzikich, uznali, że można bez obawy wylądować. Parę uderzeń wiosła i dziób czółna lekko i niemal bezgłośnie osiadł na piaszczystym brzegu. Hutter i Hurry natychmiast wyskoczyli na brzeg. Stary niósł obie strzelby. Pogromca Zwierząt został na straży czółna. Niedaleko od brzegu, na zboczu góry, leżał wydrążony pień drzewa. Hutter prowadził ku niemu Marcha, tak dalece zachowując ostrożność, że co trzeci lub czwarty krok przystawał i nasłuchiwał, czy nic nie zdradza bliskości nieprzyjaciela. Ta sama co przedtem grobowa cisza północy zalegała okolicę. Hutter i Hurry niczym nie zaniepokojeni doszli do celu wyprawy.

–Tutaj – szepnął Hutter stawiając nogę na pniu zwalonej lipy. – Podaj mi najpierw wiosła, a potem ostrożnie wyciągnij czółno, bo te szelmy mogły zostawić łódź na przynętę.

–Trzymaj mą strzelbę w pogotowiu, mój stary, kolbą do mnie – powiedział March. – Jeżeli napadną na mnie, gdy będę miał łódkę na plecach, chciałbym przynajmniej wystrzelić. Sprawdź, czy jest proch na panewce.

–Wszystko w porządku – szepnął stary. – Z łódką na plecach idź wolno, a mnie puść przodem.

Z największą ostrożnością wyciągnęli czółno, Hurry wziął je na plecy i zaczęli schodzić ku brzegowi krok za krokiem, aby nie stoczyć się po stromym zboczu. Do brzegu nie było daleko, ale zejście było niezwykle trudne; kiedy zbliżyli się do brzegu, Pogromca Zwierząt musiał wyjść im naprzeciw i pomóc w przeniesieniu czółna przez krzaki. Przy jego pomocy powiodło im się wykonać to zadanie. W chwilę potem lekkie czółno znalazło się na wodzie obok łódki, którą przy płynęli. Trzej mężczyźni zwrócili wzrok ku lasowi i górze w obawie, że wróg wynurzy się z lasu i zboczem góry zbiegnie ku brzegowi. Nic jednak nie zmąciło ciszy, wsiedli więc do czółna z tą samą ostrożnością, z jaką wyszli na brzeg.

Hutter sterował teraz ku środkowi jeziora. Kiedy znaleźli się w dostatecznej odległości od brzegu, Tom puścił wolno odnalezione czółno wiedząc, że niesione lekkim wiatrem z południa samo pomału popłynie na północ, i zamierzając je zabrać w drodze powrotnej. Zwolnwszy czółno z liny holowniczej, skierował teraz łódź na południe i sterował ku temu samemu cyplowi, gdzie Hurry dokonał nieudanego zamachu na życie jelenia. Odległość od cypla do, odpływu Susquehanna wynosiła niecałą milę, wkroczyli więc niejako na tereny nieprzyjacielskie i trzeba było zdwoić czujność. Dotarli jednak do krańca cypla i bezpiecznie wylądowali na wąskim piaszczystym brzegu, o którym już była mowa. Tutaj, inaczej niż w poprzednim

miejscu lądowania, nie trzeba już było wspinać się pod górę. Dopiero w odległości ćwierć mili na zachód majaczyły w ciemności góry, między nimi zaś a brzegiem biegł pas równiny. Sam cypel, długi i porośły wysokimi drzewami, był niemal zupełnie płaski, a jego najdalej wysunięta część miała zaledwie parę jardów szerokości. Hutter i Hurry znów wyszli na brzeg pozostawiając czólno pod opieką Pogromcy.

Tym razem martwe drzewo, kryjące czólno, którego szukali, leżało mniej więcej w połowie drogi z końca wąskiego przylądka do miejsca, w którym przylądek łączył się z brzegiem jeziora. Stary wiedząc, że z lewej strony ma blisko wodę, prowadził dość pewnie swego towarzysza wzdłuż wschodniego brzegu przylądka. Maszerował śmiało, nie zaniehbując jednak środków ostrożności.. Wylądował na końcu przylądka, aby mieć wgląd w całą zatokę i upewnić się, że nie ma na brzegu nieprzyjaciół, inaczej bowiem przybiłby do brzegu na wysokości kryjówki. Bez trudu odnaleźli wydrążone drzewo i tak samo jak przedtem wyciągnęli czólno z dziupli, lecz zamiast nieść je do miejsca, gdzie czekał Pogromca Zwierząt, od razu spuścili na wodę. Hurry wszedł do czólna i powiosłował ku cyplowi przylądka, Hutter zaś podążył tam brzegiem. Trzej mężczyźni mieli teraz w swych rękach wszystkie łodzie, jakie znajdowały się w okolicy jeziora, co znacznie ich uspokoiło; ziemia już nie paliła im się pod nogami i mogli zachowywać się nieco swobodniej. Poczucie bezpieczeństwa zwiększał fakt, że znajdowali się na krańcu długiego i wąskiego pasma lądu i że wróg mógł nadejść tylko z jednej strony, mianowicie od przodu, a przy zwykłej im czujności nie mógł tego uczynić niepostrzeżenie. Wszyscy trzej zeszli się tedy na piaszczystym brzegu, aby się wspólnie naradzić.

–Aleśmy wystrychnęli tych łotrzyków na dudków – powiedział Hurry chichocząc, zadowolony, że im się udało. – Jeśli chcą złożyć wizytę na zamku, niechże szukają brodu albo pokażą, jak umieją pływać! Mój stary Tomie, schowałeś się na samym środku jeziora i to był świetny pomysł. Tylko dobry myśliwy może tak strzelić, jak to mówią, dowcipem. Niektórzy uważają, że ląd jest pewniejszy niż woda, ale widzisz, sam rozum mówi, że nie. Bóbr, piźmoszczur i inne mądre stworzenie ucieka na wodę, gdy mu się nadepnie na pięty. Powiedziałbym, żeśmy się teraz okopali na naszych pozycjach i że możemy gwizdać na Kanadyjczyków.

–Popłyniemy wzdłuż południowego brzegu – rzekł Hutter i zobaczymy, czy nie ma tam śladu obozu. Wpierw jednak muszę się dobrze przyjrzeć zatoce, bo żaden z nas nie był tak daleko na wewnętrznym brzegu przylądka, byśmy mogli być pewni tego, co się tam dzieje.

Gdy Hutter skończył, wszyscy trzej ruszyli we wskazanym kierunku. Ledwie doszli do miejsca, z którego ujrzeli brzeg zatoki – zadrżeli wszyscy trzej, równocześnie bowiem zobaczyli coś nowego. Była to ni mniej, ni więcej tylko dogasająca głownia, która rzucała drżący i coraz słabszy odblask. O tej godzinie i w tym miejscu było to zjawisko równie niezwykle jak „dobry postępek na tym zepsutym świecie”. Nie było ani cienia wątpliwości, że ujrzeli resztki ogniska zapalonego w obozie Indian. Wybór

tęgo miejsca widocznego tylko z jednej strony, i to jedynie z bliska, dowodził, że tym razem Indianom bardziej niż zwykle zależało na ukryciu obozu. Hutter, który wiedział, że w pobliżu znajduje się źródło i że jest to jeden z zakątków na jeziorze najbardziej dogodny dla rybołówstwa, zaraz się domyślił, że jest to obóz kobiet i dzieci.

–To nie jest obóz wojowników – mruknął do Hurry'ego. – Wokół tego ogniska śpi mnóstwo nagród za skalpy – ciężkie pieniądze do podziału. Odeślij chłopaka do czółen, nic tu po nim, a my bierzmy się żywo do roboty godnej prawdziwych mężczyzn.

–Myśl jest przednia, mój stary, aż chwyta za serce. Pogromco Zwierząt, siadź, proszę, w czółnie i wypłynij na jezioro, holując drugą łódkę; puść ją luzem, tak jak zrobiliśmy z pierwszą. Potem wrócisz na brzeg przylądka, możliwie najbliżej wejścia do zatoki, ale trzymaj się zewnętrznego brzegu i unikaj nadbrzeżnych zarośli. Usłyszysz nas, gdybyśmy cię potrzebowali. Jeśli nie będziemy mogli wrócić, zawołam głosem nurka – tak, to dobre, sygnałem będzie głos nurka. Gdybyś usłyszał strzały i poczuł w sobie serce żołnierza, możesz podejść bliżej i spróbować, czy twoja ręka będzie równie pewna wobec dzikich, jak była wobec jeleni.

–Gdybyście chcieli posłuchać mej rady, dalibyście temu spokój, Hurry...

–Masz rację – nikt nie przeczy, synu. Ale nie możemy pójść za twoją radą, szkoda każdego słowa. Płynij z dwiema czółnami na środek jeziora. Nim wrócisz, zrobi się ruch w tym obozie!

Młodzieniec usłuchał Hurry'ego niechętnie i z ciężkim sercem. Zbyt dobrze jednak znał złe skłonności ludzi pogranicza, przeto nie próbował nawet przekonywać swych towarzyszy. W okolicznościach, w jakich się znaleźli, każda próba przekonania dwóch awanturników mogła okazać się niebezpieczna, a na pewno z góry skazana była na niepowodzenia. Wiosłował więc cicho i z zachowaniem dotychczasowych ostrożności, kierując łódź ku środkowi jeziora. Gdy się tam znalazł, puścił luzem drugie czółno, aby pod podmuchem lekkiego wiatru z południa samo popłynęło ku zamkowi. W ten sposób puścili już drugą łódkę, wiedząc na pewno, że czółno z lekkiej kory samo nie popłynie dalej niż milę lub dwie, zanim wzejdzie słońce, a wtedy łatwo będzie można je schwytać. Aby zaś dziki, który by o tej porze wałęsał się nad brzegiem jeziora, nie mógł podplynąwszy do czółna z niego skorzystać – co nie było wykluczone, choć mało prawdopodobne – Pogromca zabrał z sobą obydwie wiosła.

Pogromca Zwierząt, kiedy już puścił wolno odzyskane czółno, skierował dziób swej łódki ku miejscu wskazanemu przez Hurry'ego. Łódka z kory była tak lekka, ramię zaś wiosłarza tak silne, że nie minęło dziesięć minut, a przebyła pół mili i znów zbliżała się do brzegu. Wzrok Pogromcy Zwierząt padł na sitowie, które na sto stóp od brzegu gęsto porastało wodę chyląc się nad jej powierzchnią. Zatrzymał czółno i ręką pochwycił trzcinę, wążką, lecz mocno zakorzenioną, która zastąpiła mu kotwicę.

Tak czekał ze zrozumiałym niepokojem na wynik niebezpiecznej wyprawy swych towarzyszy.

Tym, którzy nie widzieli na własne oczy podobnego widoku, trudno będzie wyobrazić sobie przeraźliwą ciszę głuchej pustki, jaka zapanowała nad Lśniącym Zwierciadłem. Wrażenie to potęgowała ciemna noc, rzucając swe fantastyczne cienie na jezioro, lasy i wzgórza. Miejsce, w którym znalazł się Pogromca Zwierząt, zdało się jakby stworzone, aby wzmóc osobliwy nastrój, jaki owładnął myśliwym. Jezioro nie było wielkie, człowiek mógł je objąć wzrokiem i słuchem, a jedno spojrzenie, wystarczyło, aby ujrzeć wspaniały obraz i ulec jego nieodpartemu urokowi. Jak już wspominaliśmy, było to pierwsze jezioro, jakie Pogromca widział w swym życiu. Przedtem spotykał rzeki i strumienie, nigdy jednak nie widział jeszcze równie rozległego obszaru pierwotnej natury, którą tak uwielbiał. Oswojony z puszcza, umiał patrząc na jej powłokę z listowia ujrzeć oczyma wyobraźni tajemnice ukryte w zielonej głębi. Dziś jednak po raz pierwszy szedł śladem, który mógł doprowadzić do śmierci człowieka. Często z zachwytem słuchał opowiadań o wojnie na pograniczu, nigdy wszakże sam nie spotkał się z nieprzyjacielem.

Czytelnik tedy łatwo zrozumie, jak niecierpliwie młody myśliwy oczekiwał dalszego biegu wypadków, gdy siedział sam w czólnie i starał się złowić uchem choćby najśłabszy szmer, który mógłby mu zdradzić, co się dzieje na brzegu. Wyszkolony był doskonale, przynajmniej teoretycznie, panował zaś nad sobą w sposób, który przyniósłby zaszczyt staremu wojakowi, mimo że nie znane mu dotąd przeżycie wielce go podniecało. Z miejsca, w którym znajdowała się łódka, nie było widać nic takiego, co by świadczyło o istnieniu obozu lub choćby ogniska, Pogromca musiał więc polegać jedynie na swym słuchu. Nie gorączkował się, gdyż nauki, jakie pobrał u Delawarów, wpoily mu cnotę cierpliwości i wdroszyły do ostrożności, niezbędnej, gdy się chce skrycie napaść na Indian. Raz zdało mu się, że słyszy trzask suchej gałęzi, lecz mogło to być złudzenie wywołane napięciem nerwów. Tak mijała minuta za minutą, aż upłynęła cała godzina od chwili, gdy rozstał się z towarzyszami. Pogromca Zwierząt nie wiedział, czy cieszyć się, czy martwić tą zwłoką, choć jemu osobiście niczym nie groziła. Jeśli bowiem zapowiadała, że jego towarzysze wrócą cało, tym samym wróżyła zgubę istotom słabym i niewinnym.

Upłynęło chyba półtorej godziny od chwili ich rozstania, gdy nagle usłyszał głos, który go zaniepokoił i zdziwił. Był to drżący głos nurka dochodzący z drugiej strony jeziora, z miejsca najwyraźniej niedalekiego od odpływu rzeki. Był to niechybnie krzyk nurka, tak dobrze znany tym, którzy zetknęli się z ptakami amerykańskich jezior. Ostry, drżący, donośny i przeciągły krzyk nurka brzmi jak głos ostrzegawczy. Daje się często słyszeć nocą wbrew zwyczajom reszty skrzydlatych mieszkańców puszczy. Z tego właśnie względu Hurry wybrał go jako sygnał. Dwaj awanturnicy mieli wprawdzie dość czasu, aby- przejść lądem z miejsca, gdzie się rozstali z Pogromcą, do miejsca, skąd dał się słyszeć krzyk nurka, było jednak mało prawdopodobne, aby tam poszli. Gdyby obóz był opuszczony, zawołaliby chyba

Pogromcę na brzeg. Jeśli zaś ludzie są w obozie, nie ma go po co okrażać, by wsiąść do łodzi tak daleko od miejsca jej postoju. Jeśli posłucha sygnału i opuści miejsce ich zejścia na ląd, narazi na niebezpieczeństwo życie dwóch ludzi, którzy liczą na jego pomoc. Jeśli zlekceważy sygnał uważając go za głos ptaka, skutki mogą być równie zgubne, chociaż z innych powodów. Nie mogąc się zdecydować czekał, licząc na to, że krzyk nurka, udany czy prawdziwy, powtórzy się niebawem. Nie omylił się. Po paru minutach powtórzył się ten sam ostry krzyk ostrzegawczy, znów z tego samego miejsca. Tym razem czujność Pogromcy tak była zaostrzona, że ucho nie mogło go zwieść. Choć wiele razy słyszał takich, którzy świetnie naśladowali głos nurka, a i sam posiadał tę sztukę, wiedział, że Hurry (nieraz słyszał jego nieudolne próby) nigdy nie potrafi udatnie naśladować głosu natury. Postanowił tedy nie zwracać uwagi na wołanie nurka i zaczekać na głos mniej doskonały i bliższy.

Zaledwie Pogromca Zwierząt uczynił to postanowienie, gdy nagle głęboką ciszę nocy na pustkowiu rozdarł krzyk tak przeraźliwy, że myśliwy zupełnie zapomniał o smutnym wołaniu nurka. Był to przedśmiertny krzyk kobiety lub chłopca, któremu głos jeszcze nie zmęźniał. Tym razem nie można się było pomylić.

W głosie tym brzmiał potworny strach, a może męka człowieka rozstającego się z życiem. Najwidoczniej krzyczał ktoś, kto doznał przejmującego, nagłego i straszego bólu. Pogromca Zwierząt puścił trzcinę, której się trzymał, i szybko zanurzył wiosło; chciał coś zrobić – nie wiedział co, chciał ruszyć na ratunek – nie wiedział dokąd. Rozterka ta nie trwała jednak długo. Wyraźnie dało się słyszeć łamanie gałęzi, trzask chrustu i stąpanie kroków; odgłosy te zdawały się zbliżać do jeziora, ale w kierunku ukośnym i nieco bardziej na północ od miejsca, gdzie Pogromca Zwierząt miał czekać w czólnie. Kierując się tymi odgłosami młody myśliwy szparko ruszył czólnem przed siebie, nie bacząc, że może w ten sposób zdradzić swą obecność. W chwilę potem znalazł się w miejscu, w którym brzeg jeziora był dość wysoki i bardzo stromy. Jacyś ludzie wyraźnie przedzierali się górą wśród zarośli i drzew, wzdłuż linii brzegu, – jakby uciekali i szukali miejsca, w którym łatwiej byłoby zejść nad wodę. Nagle błysnęło pięć czy sześć strzałów. Krótki, urwany huk przeciągłym, toczącym się echem powtórzyły jak zwykle wzgórze po przeciwnej stronie jeziora. Ktoś raz czy dwa razy krzyknął. Był to krzyk, jaki może się wyrwać człowiekowi nawet najbardziej mężnemu pod wpływem nagłego ostrego bólu lub przerażenia. Nastąpiło szamotanie się wśród zarośli, świadczące o tym, że doszło do walki wręcz.

–A to śliski szatan! – wołał Hurry, wyraźnie wściekły, że nie może z czymś dać sobie rady. – Wysmarował się tłuszczem! Nie mogę go złapać! Masz za to, żeś taki chytry!

Po tych słowach coś ciężkiego runęło w lesie na ziemię. Pogromca Zwierząt pomyślał, że to pewnie jego przyjaciel-olbrzym zrzucił z siebie wroga w tak bezceremonialny sposób. Nastąpiła znowu ucieczka i pogoń. Młody myśliwy zobaczył postać ludzką, która szybko zbiegła po stromym brzegu i zapędziła się parę jardów w wodę. W tym krytycznym momencie czólno było na tyle blisko, że

Pogromca Zwierząt mógł dosłyszeć ten manewr uciekającego, któremu towarzyszył niemały hałas. Zdając sobie sprawę, że właśnie teraz może zabrać swego towarzysza, pośpieszył czółnem na ratunek. Nie ruszył jednak wiosłem dwa razy, gdy powietrze wypełniło się przekleństwami Hurry'ego, on sam zaś potoczył się po wąskim brzegu, dosłownie, oblepiony nieprzyjaciółmi. Rozciągnięty na ziemi i niemal uduszony przez Indian, nasz siłacz zawołał głosem nurka, ale tak, że w mniej żalonych okolicznościach naraziłby się tylko na śmieszność. Mężczyzna w wodzie, jakby nagle pożałował swej ucieczki, pośpieszył na pomoc swemu towarzyszowi na brzegu, ale spotkał tam z pół tuzina nowych prześladowców, którzy właśnie wyskoczyli na brzeg i powalili uciekiniera na ziemię.

–Puście, malowane padalce, puście! – wołał Hurry, za bardzo przyciśnięty do ziemi, aby liczyć się ze słowami. – Nie dość, żeście związali mnie jak barana, jeszcze musicie mnie dusić?

Z tych słów Pogromca Zwierząt dowiedział się, że Hurry i Hutter dostali się do niewoli i że gdyby teraz wyszedł na ląd, podzieliliby los swych przyjaciół. Był już o sto stóp od brzegu. Zatrzymał czółno w ostatniej chwili i silnymi uderzeniami wiosel oddalił się od nieprzyjaciela na odległość sześć do ośmiu razy większą. Na jego szczęście Indianie rzucili w pośpiechu strzelby, inaczej bowiem odwrót Pogromcy nie odbyłby się bezkarnie, mimo że w zamieszaniu walki wręcz nikt zrazu nie zauważył czółna.

–Trzymaj się, chłopcze, z dala od brzegu! – zawołał Hutter. – Teraz ty tylko ostałeś się mym córkom; musisz dobrze uważać, żeby się wymknąć z rąk dzikich. Uciekaj i niech ci Bóg błogosławi, gdy staniesz w obronie mych dzieci!

Pogromca Zwierząt nie bardzo lubił Huttera, tyle jednak bólu było w słowach starca, że młody myśliwy zapomniał o jego winach i postanowił mu przyrzec, że dotrzyma słowa i będzie bronił jego córek.

–Bądź pan spokojny, panie Hutter! – krzyknął. – Zajmę się twymi córkami i będę bronił zamku. Wróg zdobył brzegi jeziora, nie ma na to rady, ale nie panuje na wodzie. Wszystko jest w ręku Opatrzności i nikt nie wie, co się z nim stanie. Jeśli jednak, moje dobre chęci mogą się na coś przydać tobie i twoim córkom, możesz na mnie liczyć. Nie mam wielkiego doświadczenia, ale mam dobre chęci.

–Tak, tak, Pogromco Zwierząt! – zawołał Hurry swym donośnym głosem, choć nie tak już dziarskim jak zwykle. – Tak, tak, Pogromco Zwierząt, chęci masz dobre, ale co ty możesz zrobić? Niewiele jesteś wart na wozie, jakże więc wymagać, żebyś cudów dokonał pod wozem? Jeśli na brzegu jeziora jest jeden Indianin, zaraz będzie ich czterdziestu, a to już armia, której ty nie dasz rady. Najlepiej by było, moim zdaniem, gdybyś nie zwlekając popłynął do zamku i wziął dziewczęta do czółna. Zabrałbyś trochę żywności, dostał się do tego miejsca nad jeziorem, w którym

przyszliśmy nad nie, i ruszył z nimi najkrótszą drogą na Mohawk. Te diabły przez parę godzin nie będą wiedziały, gdzie cię szukać, a gdyby nawet wiedzieli i zaraz ruszyli w pościg, musieliby na piechotę okrążyć jezioro, żeby was złapać. Oto moje zdanie w tej sprawie. Jeśli obecny tu stary Tom zamierza wyrazić swoją ostatnią wolę, czyli ogłosić swój testament, i ma przy tym na względzie dobro swych córek – powie ci to samo.

–Diabła wart ten cały plan – odparł Hutter. – Nieprzyjaciel wysłał już zwiadowców, którzy szukają czólen. Zobaczą cię i złapią. Możesz liczyć tylko na zamek; za nic w świecie nie zbliżajcie się do brzegu. Jeśli wytrzymacie tydzień, oddziały garnizonowe przepędzą stąd dzikich.

–W ciągu dwudziestu czterech godzin te szczerwane lisy przypuszczą szturm do zamku na tratwach, mój stary – przerwał Hutterowi Hurry zdradzając więcej zapału do kłótni, niż można było się spodziewać po jeńcu, który był skrępowany od stóp do głów, a zachował jedynie wolność myśli i języka. – Twoja rada tylko brzmi dobrze, jej skutki będą okropne. Gdyby jeden z nas był w domu, mógłby bronić się przez parę dni. Zapominasz, że ten chłopak dziś po raz pierwszy w życiu ujrzał wroga na własne oczy i ma, jak powiadasz, sumienie ludzi osiadłych, choć ja uważam, że na ogół koloniści w niczym nie ustępują mieszkańcom lasów. Pogromco Zwierząt, oni dają mi znaki, żebym ściągnął cię tutaj wraz z czólnem; ani mi się śni, byłoby to przeciw rozsądkowi i naturze. Co się tyczy starego i mnie – to, czy zaraz nas oskalpują, czy też potem będą przypiekać na ogniu albo zabiorą do Kanady – tylko wie sam diabeł, który jest ich doradcą. Ja mam na głowie takie zarośla, że pewnie spróbują zrobić z nich dwa skalpy, bo nagroda to rzecz ponętna – inaczej stary Tom i ja nie wpadlibyśmy w biedę. Słuchaj, oni znów dają mi znaki. Niech mnie upieką i zjedzą, jeżeli ci poradzę, abyś przybił do brzegu. Nie, nie, Pogromco Zwierząt – zostań tam, gdzie jesteś, a gdy nadejdzie dzień, trzymaj się w odległości co najmniej? dwustu jardów od brzegu...

Przestrogom Hurry'ego położyło kres brutalne uderzenie ręką w usta. Był to niewątpliwy znak, że któryś Indianin na tyle znał angielski, iż wreszcie zrozumiał, do czego Hurry zmierza. Zaraz potem dzicy wrócili do lasu, zabierając z sobą Huttera i Hurry'ego bez oporu z ich strony. Gdy trzask gałęzi już się oddalał, dał się słyszeć głos nieszczęsnego ojca:

–Bądź dobry dla moich dzieci i niech ci Bóg błogosławi, młodzieńcze! – Były to ostatnie słowa, jakie dobiegły uszu Pogromcy Zwierząt. Młody myśliwy mógł odtąd liczyć tylko na własny rozsądek.

Minęło kilka minut grobowej ciszy od chwili, gdy Indianie i jeńcy zniknęli w głębi lasu. Z odległości ponad dwustu jardów Pogromca Zwierząt ledwie dostrzegł w ciemności odchodzącą grupę ludzi; jednak nawet te słabo widoczne sylwetki ludzkie jakoś ożywiały obraz, po ich zaś odejściu nad jeziorem zapanowała znów

beznadziejna pustka. Młody myśliwy pochylił się naprzód, wstrzymał oddech, nastawił uszu i cały zamienił się w słuch – nie doszedł go jednak żaden odgłos, który by zdradzał bliskość istot ludzkich. Mogło się zdawać, że cisza panująca nad jeziorem nigdy nie została zmacona. Nawet rozziewający krzyk, jaki przed chwilą rozległ się w ciszy lasów, i przekleństwa Marcha przyniosłyby teraz ulgę młodemu myśliwemu w przygniatającym go uczuciu osamotnienia.

Ten bezwład ducha i ciała nie mógł jednak trwać długo u człowieka tego pokroju co Pogromca Zwierząt. Zanurzył wiosło w wodzie, zawrócił czołno i powoli, podobnie jak zamyślony przechodzień, popłynął ku środkowi jeziora. Z kierunku, w jakim puścił przed chwilą drugie czołno, skręcił na północ i tak sterował, aby lekki wiatr południowy wiał mu prosto w plecy. Po przebyciu ćwierci mili w kierunku północnym, ujrzał na wodzie, nieco w prawo, jakiś ciemny przedmiot. Skręcił i w chwilę potem przywiązał drugie czołno do swej łodzi. Pogromca Zwierząt spojrział teraz bystro na gwiazdy, sprawdził kierunek wiatru i położenie łodzi. Nie znalazł nic takiego, co by przemawiało za zmianą planu. Położył się tedy, aby przespać się parę godzin i nabrać sił do tego, co mogło go czekać rano.

Człowiek silny i zmęczony śpi snem głębokim nawet w pobliżu niebezpieczeństwa. Pogromca Zwierząt nieprędko jednak uwolnił się od myśli o tym, co przeżył. W półśnie przesuwają mu się przed oczami wydarzenia tej nocy. Nagle zerwał się zupełnie przytomny, zdawało mu się bowiem, że usłyszał umówiony sygnał Hurry'ego, wzywający go na brzeg jeziora. Grobowa cisza panowała nad wodą. Czołna dryfowały wolno na północ, zamyślane gwiazdy świeciły blado nad głową myśliwego, a jezioro wśród lasów i gór spało jak dziecko w kołysce, ciche i smutne, jak gdyby nigdy wiatry nie zmały jego powierzchni ani słońce południa nie odbiło się w jego zwierciadle. Jeszcze raz dał się słyszeć drżący głos nurka na skraju jeziora i tajemnica jego pierwszego krzyku wreszcie się wyjaśniła. Pogromca Zwierząt poprawił twardą poduszkę, rozciągnął się na dnie czołna i zasnął.

ROZDZIAŁ 7

Jasny Lemanie, w twoich wód spokoju,
Od wiru świata różnym nieskończenie,
Czyż się nie mieści dla mnie zapomnienie,
Bym zamiast piany z czystego pił zdroju?

Ten z dala biały żagiel rozwinięty
Zda mi się niby cichym skrzydłem, które
Uniosłoby mnie nad błahe przynęty.

Lubiłem dawniej huczenie ponure
Bałwanów morskich, lecz twój szmer pogodny

To jak głos siostry, jej wyrzut łagodny,

Żem się w światowe mógł pograżać męty.

Byron „Wędrówki Childe-Harolda”

Dobrze już świtało, kiedy młody myśliwy, który na końcu poprzedniego rozdziału zasnął w czólnie, znów otworzył oczy. Zerwał się natychmiast i szybko rozejrzał się wokół, chciał bowiem dokładnie ustalić, gdzie się znajduje. Spał snem twardym i niczym nie zmaconym, zbudził się rześki, wypoczęty i gotów do podjęcia wysiłków, jakie z pewnością czekały go. Co prawda, słońce jeszcze nie wzeszło, lecz sklepienie nieba okryło się już owymi wdzięcznymi i łagodnymi rumieńcami, które „zwiastują i żegnają dzień”, a ptactwo napełniało powietrze swymi pieśniami – hymnami porannymi skrzydlatego narodu. Głosy ptaków pierwsze powiedziały Pogromcy Zwierząt, jakie mu grozi niebezpieczeństwo. Wiał ciągle lekki wietrzyk, który w nocy nieco przybrał na sile i zaniósł czółna, lekkie jak piórka, dwa razy dalej, niż to Pogromca przypuszczał – aż prawie do stóp góry stromo wznoszącej się nad wschodnim brzegiem. Dzięki właśnie tej górze śpiew ptaków słycać było tak dobrze. Trzecie czółno popłynęło w tym samym kierunku i wolno dryfując ku cypłowi, będzie musiało tam przybić do brzegu, o ile wiatr nie zmieni kierunku lub ręka ludzka nie zawróci go z drogi. Poza tym nic nie zwracało uwagi ani nie budziło podejrzeń. Zamek wznosił się na mieliźnie, niemal wprost na zachód od czółen, które w ciągu nocy zrobiły kawał drogi, a arka stała przy zamku, przymocowana do pali. Obydwa domy Huttera wyglądały tak, jak je zostawili o północy.

Pogromca Zwierząt, rzecz jasna, zwrócił najpierw uwagę na samotne czółno. Było już blisko cypla. Po kilku uderzeniach wiosłem Pogromca zrozumiał, że czółno przybije do brzegu, zanim zdąży je dogonić. Na domiar złego wiatr właśnie przybrał na sile i gwałtownie pchnął lekką łódkę ku brzegowi. Młody myśliwy widząc, że nie może już zapobiec zetknięciu się czółna z łądem, mądrze postanowił nie gorączkować się i nie podejmować zbędnych wysiłków. Sprawdzał więc najpierw strzelbę, a potem łukiem, wolno i ostrożnie ruszył ku cyplowi, aby zbliżając się do brzegu, tylko z jednej strony być narażonym na obstrzał.

Czółno, którym nikt nie kierował, szło prosto, tak jak pchał je wiatr, aż zatrzymało się na małej skale podwodnej, trzy czy cztery jardy od brzegu. Pogromca Zwierząt znalazł się właśnie na wysokości cypla i skierował dziób swego czółna ku brzegowi, rzucając na wodę linę, na, której holował drugie czółno, aby zyskać w ten sposób zupełną swobodę ruchów. Czółno siadło na chwilę na skale, potem woda pod nim widocznie troszkę przybrała, bo zakręciło się wokół skały, popłynęło przed siebie i uderzyło o brzeg. Pogromca widział to wszystko, ale ani puls nie zabił mu szybciej, ani ręka nie przyspieszyła obrotów wiosłem.

Jeśli ktoś czeka w ukryciu na bezpańskie czółno – myślał Pogromca – musi mnie widzieć, trzeba więc, zbliżając się do brzegu, zachować jak największą ostrożność. Jeśli nikt nie czyha na brzegu, nie ma po co się śpieszyć.

Ze względu na to, że cypel znajdował się po drugiej stronie jeziora, niemal naprzeciw obozu Indian, Pogromca przypuszczał, że nie ma tu nikogo, ale mogło też być inaczej. Po dzikich bowiem można się było spodziewać, że prowadząc wojnę na swój sposób, będą się chwytać najrozmaitszych sztuczek. Mogli więc wysłać licznych zwiadowców, aby przetrząsnęli brzegi jeziora w poszukiwaniu łodzi, które zaniósłoby ich pod zamek. Jeden rzut oka z któregokolwiek wzniesienia lub przylądka wystarczył, aby ujrzeć każdy, choćby najmniejszy przedmiot na powierzchni jeziora, niewielka więc była nadzieja, że któreś z czółen mogło ujść oczu Indian. Za mądrzy byli na to, aby znając kierunek wiatru nie wiedzieli, dokąd podryfuje łódź czy też pień drzewa. Im bardziej Pogromca Zwierząt zbliżał się do brzegu, tym wolniej uderzał wiosłem, tym bardziej natężał wzrok, nastawiał uszu i węszył rozszerzonymi nozdrzami, gdzie czai się niebezpieczeństwo. Była to chwila ciężkiej próby dla nowicjusza, tym bardziej że nikt nie dodawał mu ducha, a jak wiadomo, nawet człowiek bojaźliwy nabiera odwagi, gdy wie, że ludzie na niego patrzą, i gdy nie szczędzą mu słów zachęty. Był zupełnie sam, zdany na własne siły; ani przyjazne spojrzenie, ani żaden głos ludzki nie dodawały mu otuchy. A jednak najbardziej doświadczony weteran walk leśnych nie zachowałby się lepiej. Nie ponosiło go zuchwalstwo ani nie wstrzymywały wahania, gdy zmierzał do brzegu z dojrzałym namysłem, dzięki któremu całą uwagę skupił wyłącznie na wykonaniu swego zamiaru. Taki był początek jego walecznych przygód w lasach. Przyniosły mu one (oczywiście w miarę jego możliwości i wśród ludzi, którzy mogli o nim słyszeć) rozgłos nie mniejszy niż sława wielu bohaterów, których imiona zdobią karty dzieł

cieszących się znacznie większym uznaniem niż to, jakie może kiedyś zyskają nasze skromne opowiadania.

Pogromca Zwierząt, gdy tylko znalazł się w odległości około stu jardów od brzegu, stanął w czólnie, trzy albo cztery razy silnie uderzył wiosłem, co wystarczyło, aby łódka dobiła do brzegu, po czym szybko odłożył wiosło i chwycił za strzelbę.

Właśnie brał ją do ręki, gdy rozległ się ostry huk wystrzału i kula gwizdnęła tak blisko, że mimo woli zadrżał. Pogromca Zwierząt zachwiał się i runął jak długi na dno czólna. W tej chwili dał się słyszeć przeraźliwy krzyk (był to głos jednego człowieka) i z zarośli na otwartą przestrzeń przylądka wyskoczył Indianin, wielkimi skokami zmierzając ku łódce. Na to tylko czekał młody myśliwy. Zerwał się i wycelował w bezbronного wroga. Już miał pociągnąć za spust – lecz zadrżała mu ręka, nie chciał bowiem strzelać do wroga, który był zdany na jego łaskę. Krótka zwłoka ocaliła zapewne życie Indianinowi, który skrył się w zaroślach tak szybko, jak z nich wyskoczył. Tymczasem Pogromca Zwierząt podpływał ku przylądkowi i przybił do brzegu w tej samej chwili, w której Indianin zniknął w zaroślach. Nie kierowane przez Pogromcę czółno płynęło siłą rozpędu i dlatego przybiło do brzegu w odległości paru jardów od pierwszego czólna. Nieprzyjaciel musiał co prawda nabić swą strzelbę, ale Pogromca nie miał dość czasu, by zabrać łódkę i oddalić się na odległość strzału, zanim Indianin weźmie go na cel po raz drugi. Bez chwili wahania wyskoczył więc z czólna, pobiegł do lasu i tam się ukrył.

Brzeg przylądka był wąskim pasem nie zalesionej ziemi, po części zarośniętej trawą, a po części piaszczystej. Nieco wyżej biegło gęste pasmo zarośli. Wystarczyło przejść przez zarośla, aby od razu znaleźć się pod wysokim sklepieniem mrocznej puszczy. Równina sięgała paruset stóp od brzegu i kończyła się stromym zboczem góry. Las nie miał podszycia. Grube pnie wysokich drzew podobne były do wielkich kolumn, rozrzuconych nieregularnie i podtrzymujących kopułę z liści. Choć stare i rozłożyste drzewa rosły blisko siebie, można było sięgnąć wzrokiem dość daleko, a dwaj ludzie ukryci za tymi drzewami mogli się wyzwać na pojedynek.

Pogromca Zwierząt wiedział, że jego przeciwnik, jeśli nie uciekł, musi nabić swą strzelbę. Drugie przypuszczenie okazało się słuszne, ledwie bowiem Pogromca stanął za drzewem, ujrzał, jak ręka Indianina schowanego za dębem ładuje do lufy kulę owiniętą w skórę. Nic łatwiejszego, jak wyskoczyć z ukrycia i załatwić sprawę bezpośrednim natarciem na nie przygotowanego wroga. Pogromca Zwierząt nie zrobiłby tego za nic w świecie, mimo że Indianin przed chwilą godził na jego życie. Nie znał jeszcze z własnego doświadczenia okrutnych sposobów prowadzenia wojny przez dzikich (znał je tylko z opowiadań) i uważał, że napaść na bezbronного wroga byłaby nieuczciwym wykorzystaniem przewagi. Rumieńce wystąpiły mu na policzkach, zmarszczył brwi, zacisnął usta, zebrał wszystkie siły – był gotów do walki. Zamiast jednak wychylić się i strzelić, opuścił strzelbę jak myśliwy, gdy wypatruje celu, i – nie zdając sobie sprawy – zaczął mówić do siebie: – Nie, nie – tak

może walczą Indianie, ale to byłoby sprzeczne z naturą chrześcijanina. Niechże ten gałgan nabije najpierw strzelbę, a wtedy rozstrzygniemy spór jak mężczyzna z mężczyzną. W każdym razie czółna nie może dostać i nie będzie go miał. Nie, nie, trzeba mu dać czas do nabicia strzelby, a potem niech Bóg rozstrzygnie na rzecz sprawiedliwego!

Przez cały ten czas Indianin tak był zajęty, że nawet nie zauważył obecności swego przeciwnika w lesie. Obawiał się tylko jednego – żeby biały człowiek nie uprowadził łodzi, zanim będzie mógł temu przeszkodzić. Z przyzwyczajenia schronił się w lesie, ale znajdował się o parę stóp od krzaków – więc w każdej chwili mógł podbiec do ich skraju i strzelić do białego człowieka. Odległość między nim a przeciwnikiem wynosiła około pięćdziesięciu jardów. Natura tak rozstawiła drzewa, że między pniami, za którymi stali przeciwnicy, nic nie zasłaniało widoku.

Dziki, gdy tylko nabiał strzelbę, rozejrzał się i zaczął się skradać ku miejscu, w którym, jego zdaniem, ukrył się przeciwnik, lecz Pogromca Zwierząt stał gdzie indziej. W ten sposób Indianin sam wystawił się na cel. Pogromca wyszedł z ukrycia i zawołał na Indianina:

–Tutaj, czerwonoskóry, tutaj, jeśli mnie szukasz! – krzyknął. – Jestem młodym wojownikiem, lecz nie takim znów żółtodziobem, żeby stać na odsłoniętym brzegu i dać się zastrzelić jak sowa w biały dzień. Od ciebie zależy, czy między nami będzie pokój czy wojna; ja mam naturę białego człowieka i nie należę do tych, co uważają za męstwo mordowanie ludzi po lasach.

Indianin zupełnie osłupiał, gdy nagle ujrzał, w jakim znalazł się niebezpieczeństwie. Znał jednak trochę angielski i domyślił się znaczenia tego, co powiedział Pogromca Zwierząt. Za dobrą miał szkołę, aby zdradzić niepokój, opuścił więc kolbę strzelby ku ziemi z miną wyrażającą zaufanie do białego i wykonał gest uprzejmy i zarazem dumny. Zachował przy tym swobodę i opanowanie człowieka, który przywykł nie mieć nad sobą żadnego pana. Mimo że doskonale odegrał tę rolę, płonął w nim wulkan, błyskający mu z oczu i rozdmymający nozdrza jak u dzikiej bestii, której coś przeszkodziło skoczyć i rozszarpać ofiarę.

–Dwa czółna – powiedział głębokim, gardłowym głosem swej rasy podnosząc dwa palce, aby nie było wątpliwości. – Jedno dla ciebie, drugie dla mnie.

–Nie, nie, Mingo, nie da rady. Żadne z nich twoje nie jest ani nie będzie, póki ja tu jestem. Wiem, że jest wojna między twoim narodem i moim, ale to jeszcze nie powód, aby ludzie wzajemnie się mordowali jak dzikie zwierzęta, kiedy spotkają się w lesie. Idź tedy swoją drogą i pozwól mi iść moją. Świat jest dość wielki dla nas obu. Gdy zaś spotykamy się na polu bitwy, trudno, niech Bóg decyduje o naszych losach.

–Dobrze! – zawołał Indianin. – Mój brat – misjonarz – wielka mowa, wszystko o

Manitou.

–Nie tak, wojowniku, nie tak. Nie jestem dostatecznie dobry w oczach braci morawian, ale dla innych włóczęgów, którzy głoszą swe nauki po lasach, jestem chyba za dobry. Nie, nie, jestem myśliwym, przynajmniej do tej chwili nim byłem, ale zanim nastąpi pokój, prawdopodobnie będę miał sposobność dać łupnia niektórym z twoich rodaków. Chciałbym wszakże, aby się to stało w uczciwej walce, a nie w kłótni o to, kto jest właścicielem nędznego czółna.

–Dobrze! Mój brat bardzo młody – ale bardzo mądry. Mały wojownik – wielki mówca. Wódz na radzie wojennej.

–Nic o tym nie wiem ani nie twierdzę, że tak jest, Indianinie – odparł Pogromca Zwierząt rumieniąc się trochę, gdyż zrozumiał źle ukrytą złośliwość dzikiego. – Pragnę spędzić życie w lasach i chciałbym żyć w spokoju. Wszyscy młodzi muszą wejść na ścieżkę wojenną, gdy zajdzie potrzeba, ale wojna nie musi być rzezią. Ostatniej nocy dość napatrzyłem się gwałtów i wiem, że Opatrzność je potępia. A teraz wzywam cię, byś poszedł swoją drogą, a ja pójdę swoją. Wierzę, że możemy rozstać się przyjaciółmi.

–Dobrze! Mój brat ma dwa skalpy – pod swoimi włosami ma siwe. Stara głowa – młody język.

Indianin z wyciągniętą ręką śmiało podszedł do Pogromcy. Uśmiechnięta twarz i cała postawa wojownika wyrażały przyjaźń i szacunek. Pogromca Zwierząt przyjął serdecznie zaofiarowaną mu przyjaźń, ścisnęli sobie mocno ręce i zapewnili się wzajemnie o szczerości swych uczuć i pokojowych intencjach.

–Każdy ma swoje – rzekł Indianin – ja mam swoje czółno, ty masz twoje. Idź, zobacz, jeśli twoje – ty wzięć, jeśli moje – ja wzięć.

–Słusznie, czerwonoskóry; ale mylisz się, jeśli uważasz, że czółno należy do ciebie. Zobaczysz i przekonasz się. Chodźmy na brzeg, sam obejrzysz łódkę, bo może nie dowierzasz moim oczom.

Indianin powtórzył swój ulubiony okrzyk: „Dobrze!” i poszli razem na brzeg. Żaden z nich nie okazywał drugiemu nieufności, Indianin szedł pierwszy, jakby chciał pokazać swemu towarzyszowi plecy na znak, że nie boi się napaści z tyłu. Gdy wyszli na odsłonięte miejsce, Indianin wskazał palcem czółno Pogromcy i powiedział z naciskiem:

–Nie moje – czółno bladej twarzy. Tamto czerwonoskórego. Nie chcę cudze czółno – chcę swoje.

–Mylisz się, czerwonoskóry, jesteś w grubym błędzie. Czółno to znajdowało się pod

opieką starego Huttera i wedle prawa, zarówno prawa białego człowieka, jak czerwonoskórego, należy do niego, póki nie zgłosi się właściciel. Zobacz ławki i wiązania, same mówią za siebie. Żaden Indianin nie zbuduje takiego czółna.

–Dobrze! Mój brat krótkie życie – długi rozum, Indianin nie zrobił. Robota białego człowieka.

–Cieszy mnie to, co mówisz, gdybyś bowiem upierał się przy swoim, nie byłoby zgody między nami i obaj chcielibyśmy zabrać łódkę. Zaraz pchnę czółno tak, żebyśmy nie musieli spierać się o nie – oto najlepszy sposób usunięcia przeszkód do zgody.

Mówiąc to Pogromca Zwierząt oparł nogę o brzeg łódki i silnym pchnięciem wyprawił ją na odległość ponad stu stóp. Czółno, niesione prądem, przepłynęło obok cypla i nie mogło już wrócić na brzeg jeziora. Zdumiony tym nagłym i stanowczym krokiem Pogromcy Zwierząt, Indianin zachnął się, a młody myśliwy, podchwycił krótkie i złe spojrzenie Minga na pozostałe czółno. Był to tylko przelotny odruch – Irokez znów przybrał przyjazną minę i uśmiechnął się życzliwie.

–Dobrze! – powiedział z jeszcze większym naciskiem niż zwykle. – Młoda głowa – stary rozum. Wiedział, jak zrobić koniec spór. Żegnaj, biały brat. Ty pójdiesz do domu na wodzie – domu piżmoszczura. Indianin pójdzie do obozu – powiedziec wodzom, że. nie znalazł czółna.

Pogromca Zwierząt nie miał nic przeciw temu, bo śpieszył się do córek Huttera, chętnie więc uściśnął wyciągniętą rękę Indianina. Rozstali się wśród zapewnień o wzajemnej przyjaźni. Gdy czerwonoskóry ze strzelbą pod pachą odszedł wolno w stronę lasu – i nawet się nie obejrzał, a całe jego zachowanie świadczyło, że ufa białemu człowiekowi – Pogromca Zwierząt ruszył ku łodzi; strzelbę trzymał co prawda w sposób równie pokojowy, ale Indianina nie spuszczał z oka. Nieufność ta wydała mu się jednak nieuzasadniona, młody myśliwy więc, jakby zawstydzony swym postępowaniem, odwrócił wzrok od Indianina i beztróska wszedł do czółna. Odepchnął łódkę od brzegu i gotował się do odjazdu. Zajęło mu to może minutę. Nagle, kiedy przypadkiem popatrzył na ląd, jedno spojrzenie bystrego i pewnego oka wystarczyło, aby zrozumieć, że życiu jego grozi niebezpieczeństwo. Spośród rozchylonych gałęzi zarośli patrzyły na niego czarne, okrutne oczy dzikiego, jak ślepie czającego się do skoku tygrysa, a wylot lufy mierzył prosto w Pogromcę Zwierząt.

Teraz wielkie doświadczenie myśliwskie oddało Pogromcy Zwierząt ogromną przysługę. Nieraz strzelał do jelenia w skoku lub. musiał, nie widząc zwierza, domyślić się, gdzie on jest – to mu się teraz przydało. Błyskawicznym ruchem podniósł strzelbę i przyłożył ją do ramienia; zmierzył się niemal na ślepo i strzelił w to miejsce w zaroślach, w którym – poniżej głowy śmiertelnego wroga, jedynej

widocznej części jego ciała – powinien był znajdować się tułów. Nie zdążyłby już podnieść strzelby wyżej lub wycelować dokładniej. Uwinął się tak szybko, że obaj przeciwnicy strzelili równocześnie i dał się słyszeć jeden huk strzału, któremu góry odpowiedziały jednym echem. Pogromca Zwierząt opuścił strzelbę. Stał ze wzniesioną głową, nieruchomy jak sosna w cichy ranek czerwcowy, i czekał na wynik strzału. Indianin wydał dziki okrzyk, tak dobrze znany, straszny okrzyk wojownika, przeskoczył przez krzaki i biegł wielkimi susami przez otwartą przestrzeń, wywijając tomahawkim. Pogromca Zwierząt nawet nie drgnął. Stał opierając się o nie nabitą strzelbę, a ręka odruchowo szukała rogu z prochem i stempla. Dziki, gdy znalazł się o czterdzieści stóp od swego przeciwnika, rzucił tomahawkim. Oko Indianina było już błędne, ręka niepewna i słaba – toteż młody myśliwy chwycił tomahawk w locie. W tej samej chwili Indianin zachwiał się i padł jak długi na ziemię.

–Wiedziałem, wiedziałem, że tak będzie! – zawołał Pogromca Zwierząt, który właśnie miał po raz wtóry załadować strzelbę. – Wiedziałem, że dojdzie do tego, gdy tylko zobaczyłem, gdzie patrzą jego oczy. Człowiek celuje błyskawicznie i szybko strzela, gdy idzie o życie, tak, tak. O jedną setną sekundy byłem szybszy od niego, inaczej byłoby ze mną źle! Kula tego padalca tylko otarła się o mnie. Mówcie o czerwonoskórym, co chcecie, nie ma on do prochu i kuli takiej ręki jak biały. Widocznie, ma inne zalety. Nawet strzał Chingachgooka, chociaż to wielki człowiek, nie zawsze jest śmiertelny.

Mówiąc to Pogromca Zwierząt nabił strzelbę, rzucił tomahawk do czółna i podszedł do swej ofiary. Stanął nad umierającym, oparł się o strzelbę i zaczął mu się przyglądać ze smutkiem. Pierwszy raz w życiu widział mężczyznę, który padł w walce – sam po raz pierwszy podniósł rękę przeciw swemu bliźniemu. Doznawał nie znanych mu dotąd uczuć; szlachetne uczucie litości, której się jeszcze nie wyzbył, mieszało się z radością zwycięstwa. Indianin żył jeszcze, choć kula przeszła go na wylot. Leżał na plecach bez ruchu, ale zupełnie przytomnymi oczami śledził ruchy zwycięzcy; podobnie jak zestrzelony ptak wodzi wzrokiem za myśliwym obawiając się każdego jego ruchu. Czekał pewnie na cios śmiertelny, po którym nastąpi zderzenie skalpu, a może myślał, że okrutny ten czyn zostanie spełniony przed jego śmiercią. Pogromca Zwierząt odgadł myśl Indianina; rad był, że może rozproszyc obawy bezbronnego przeciwnika.

–Nie, nie, czerwonoskóry – powiedział – nic złego już ci nie zrobię. Mój ród jest chrześcijański, ja nie skalpuję. Pójdę teraz odnaleźć twą strzelbę i wrócę, aby w miarę mych sił udzielić ci pomocy. Długo nie mogę tu zostać, bo odgłos trzech strzałów może mi ściągnąć na kark twych braci – szatanów.

Ostatnie słowa Pogromca Zwierząt powiedział do siebie, idąc po strzelbę. Znalazł broń tam, gdzie ją rzucił właściciel. Natychmiast ją zaniósł do czółna, położył obok własną strzelbę, po czym wrócił i znów stanął nad Indianinem.

–Wojna między tobą i mną skończona – powiedział. – Możesz być spokojny o swój skalp, nie zrobię ci też innej krzywdy. Mam naturę białego człowieka, jak ci już mówiłem, i tak też postępuję.

Gdyby Pogromca zrozumiał wszystko, co mówiło spojrzenie dzikiego, naiwna duma z koloru skóry byłaby nieco ucierpiała; odczytał jednak tylko wdzięczność w oczach umierającego, a nie dostrzegł w nich gorzkiej ironii, jaka przezierała przez uczucie bardziej szlachetne.

–Wody! – zawołał umierający. – Wody dla biedny Indianin.

–Tak, dostaniesz wody, choćbyś miał wysuszyć całe jezioro. Zaraz zaniosę cię na brzeg, żebyś mógł pić, ile zechcesz. Słyszałem że tak jest z każdym rannym – woda jest jego największą pociechą i rozkoszą.

Mówiąc to Pogromca Zwierząt wziął Indianina w ramiona i zaniósł nad jezioro. Pomógł mu najpierw ułożyć się tak, aby mógł ugasić pragnienie, które paliło mu gardło, potem siadł na kamieniu, oparł głowę rannego na swych kolanach i starał się, jak mógł, złagodzić jego cierpienia.

–Byłoby grzechem, gdybym ci powiedział, że jeszcze nie czas na ciebie, wojowniku – zaczął. – Minęły ci męskie lata, a jeśli zważyć, jaki wiodłeś tryb życia, już się dopełniały twoje dni. Najważniejsze teraz dla ciebie jest pomyśleć, co się z tobą stanie. Na ogół ani czerwonoskóry, ani biała twarz nie chce spać snem wiecznym, lecz obaj pragną żyć na tamym świecie. Znajdziesz się szczęśliwy na polach łowieckich, jeśli byłeś sprawiedliwym Indianinem, a jeśli nie byłeś – dostanie ci się to, na co sobie zasłużyłeś. Mam swój pogląd na te sprawy, ty jednak jesteś za stary i zbyt doświadczony na to, żeby człowiek tak młody jak ja musiał ci tłumaczyć, co z tobą będzie.

–Dobrze! – zawołał Indianin, którego głos zachował swą siłę, choć życie go już opuszczało. – Młoda głowa – stary rozum!

–Gdy zbliża się koniec, jest czasem pociechą wiedzieć, że przebaczą nam ci, którym wyrządziliśmy lub chcieliśmy wyrządzić krzywdę. Otóż, co się tyczy mnie, daruję ci, żeś dybał na moje życie. Po pierwsze, bo nic z tego nie wyszło, po drugie, bo taka jest twoja natura, tak cię wychowano i nie powinienem być w ogóle ci ufać, a wreszcie, co najważniejsze, nie mogę zachować urazy do umierającego, wszystko jedno – poganina czy chrześcijanina. Niech więc twe serce uspokoi się co do mej osoby; sam wiesz najlepiej, z jakich innych powodów możesz doznawać niepokoju i co mogłoby ci przynieść ulgę w tak ciężkiej chwili.

Indianin może ujrzał już w strasznym olśnieniu obraz życia po śmierci, obraz ten odpowiadał zapewne jego zwyczajom i przesądom. Jak wielu jego braci i wielu z nas,

Indianin myślał więcej o tym, aby śmierć przyniosła mu poklask tych, których zostawił na świecie, niż o lepszym życiu po śmierci. Gdy Pogromca Zwierząt do niego mówił, Indianin był trochę oszołomiony, ale zrozumiał, że intencje zwycięzcy są dobre. Kiedy Pogromca skończył, żał się zrobiło wojownikowi, że żaden z jego braci nie widzi, z jakim spokojem znosi największe cierpienia i jak mężnie patrzy w oczy nadchodzącej śmierci. Z wrodzoną uprzejmością, pełną godności (jaką często wyróżniają się indiańscy wojownicy, zanim zepsuje ich obcowanie z mętami cywilizowanego społeczeństwa), starał się wyrazić wdzięczność za dobre chęci przeciwnika i powiedzieć mu, że ocenia je należycie.

–Dobrze! – powiedział jeszcze raz, gdyż to słowo angielskie było najchętniej używane przez dzikich. – Dobrze! młoda głowa – i młode serce. Stare serce twarde – nie płacze. Słuchaj, Indianin, który umiera i nie kłamie – jak ty się nazywasz?

–Pogromca Zwierząt, oto imię, jakie noszę obecnie, ale Delawarzy powiedzieli, że gdy wrócę z tej ścieżki wojennej, otrzymam imię bardziej godne mężczyzny, jeśli na to zasłużę.

–To dobre imię dla chłopiec – kiepskie dla wojownik. Wnet dostaniesz lepsze. Nie ma trwoga w to serce – podniecenie dodało sił dzikiemu, podniósł rękę i poklepał Pogromcę po piersi. – Oko pewne, palec – błyskawica cel – śmierć, wkrótce wielki wojownik. Nie Pogromca Zwierząt – Sokole Oko, Sokole Oko, Sokole Oko. Daj rękę.

Pogromca Zwierząt, czyli Sokole Oko, jak młodzieńca wtedy po raz pierwszy nazwano (potem znany był w całym kraju pod tym imieniem), przyjął wyciągniętą rękę dzikiego. W tej pozycji Indianin wyzionał ducha rzucając ostatecznie, pełne podziwu spojrzenie nieznanemu, który okazał tyle zimnej krwi, zręczności i siły w tak ciężkiej sytuacji. Jeśli czytelnik zważy, że największą satysfakcją dla Indianina jest ujrzeć, jak wróg okaże swa słabość, lepiej zrozumie, czym była pochwała Pogromcy, na jaką zdobył się umierający wojownik.

–Duch jego uleciał! – powiedział Pogromca smutnym; zdławionym głosem. – Niestety! Oto co czeka nas wszystkich, prędzej czy później. I ten jest szczęśliwszy, jakiegokolwiek koloru jest jego skóra, kto lepiej potrafi spojrzeć w oczy śmierci. Tu leży ciało bez wątpienia dzielnego wojownika, a jego dusza leci już do jego nieba lub piekła: czy to będą pola szczęśliwych łowów lub lasy pozbawione zwierzyny, czy też – jak uczą bracia morawianie – królestwo chwały lub płomienie ognia piekielnego. Jak to się plecie na tym bożym świecie! Stary Hutter i Hurry Harry wpadli w biedę, a może nawet narazili się na tortury i śmierć, a wszystko to dla nagrody pieniężnej, którą los ofiarowuje właśnie mnie, i to w sposób, jaki wielu uznałoby za prawy i godny człowieka. Ale ja nie chcę takich pieniędzy. Urodziłem się białym i białym chcę umrzeć. Będę się trzymał praw białego człowieka, choćby sam Król Jegomość, jego namiestnicy i wszystkie rady królewskie w kraju i w koloniach zapomnieli, skąd się wzięli na tym świecie i gdzie chcieliby iść po śmierci, a wszystko dla drobnej

przewagi na wojnie. Nie, nie, wojownik, ręka moja nie tknie twego skalpu, niech twoja dusza odpoczywa w spokoju: będziesz wyglądał przyzwoicie, gdy ciało przyjdzie połączyć się z duszą w twojej własnej krainie duchów. Co powiedziawszy Pogromca Zwierząt wstał i ułożył ciało zmarłego w pozycji siedzącej, oparł je plecami o skałę i zabezpieczył przed upadkiem lub taką zmianą pozycji, która, wedle pojęć dzikich, mogłaby być uznana za nieprzystojną. Po oddaniu tej posługi zmarłemu, młody myśliwy stanął i patrzył smutnie zamyślony w ponurą twarz zabitego wroga. Żyjąc samotnie w lasach nabrał zwyczaju mówienia do siebie, znów tedy zaczął głośno wypowiadać swe myśli i uczucia.

–Nie chciałem zabrać ci życia, czerwonoskóry – powiedział – ale nie dałeś mi innego wyboru, musiałem cię zabić, abyś ty mnie nie zabił. Obie strony, zdaje się, działały zgodnie ze swą naturą i nic nam nie można zarzucić. Napadłeś mnie podstępnie, takie są bowiem twoje obyczaje na wojnie, a ja byłem trochę nieostrożny, bo skłonny jestem ufać innym. Otóż była to moja pierwsza walka z człowiekiem, ale pewnie nie ostatnia. Położyłem wiele zwierząt leśnych, jak na przykład niedźwiedzi, wilków, panter i lampartów, a oto mój pierwszy krok w walce z Indianami. Gdybym, widzisz, urodził się Indianinem, mógłbym o tym opowiadać, zabrać skalp i chełpić się swym czynem przed całym plemieniem mych braci. Gdyby mym przeciwnikiem był niedźwiedź, byłoby rzeczą naturalną i właściwą powiedzieć wszystkim, co się stało, ale nie wiem, czy mogę zwierzyć się nawet Chingachgookowi, gdyż byłyby to przechwałki mego białego języka. Zresztą, czym miałbym się chwalić? Zabiłem dzikiego, ale zawsze człowieka; nie wiem, czy był to sprawiedliwy Indianin, może więc wcale nie wysłałem go na pola szczęśliwych łowów, lecz całkiem gdzie indziej. Jeśli zaś wcale nie wiadomo, czy był to postępek dobry czy zły, najmądrzej będzie nie chwalić się tym – chociaż chciałbym, żeby Chingachgook wiedział, że nie zawiodłem Delawarów i skorzystałem z nauk, jakich mi nie szczędzili!

Część swego monologu Pogromca Zwierząt wypowiedział głośno, a część półgębkiem. Głośno mówił to, czego był pewny, ściszał zaś głos, gdy wypowiadał swe wątpliwości. Monolog i rozmyślenia Pogromcy przerwało nagle pojawienie się na brzegu, w miejscu oddalonym o paręset jardów od przylądka, drugiego Indianina. Był to niewątpliwie również zwiadowca, zwabiony odgłosami strzałów. Wyszedł z lasu tak nieostrożnie, że Pogromca Zwierząt ujrzał go pierwszy. Indianin spostrzegłszy Pogromcę wydał dziki okrzyk, na co odpowiedziało około tuzina głosów z różnych stron zbocza. Nie było na co czekać. W chwilę potem czólno Pogromcy oddalało się od brzegu, popędzane długimi i silnymi uderzeniami wiosła.

Pogromca Zwierząt, skoro tylko znalazł się w bezpiecznym miejscu, przestał wiosłować. Czólno płynęło siłą rozpędu, młody myśliwy zaś zastanawiał się spokojnie, co robić. Łódka, którą puścił luzem, gdy zbliżał się do brzegu, płynęła z wiatrem, oddalona o jakieś ćwierć mili od czółna myśliwego. Pogromca Zwierząt wiedział, że w pobliżu jest większa ilość dzikich, i zdawał sobie sprawę, iż łódka znalazła się za blisko brzegu. Czólno, odepchnięte od brzegu w czasie rozmowy z

Indianinem, znajdowało się teraz, kiedy ku niemu podpłynął, w odległości paru jardów od łódki Pogromcy. Trup Indianina leżał tam, gdzie Pogromca go zostawił. Wojownik, który wyszedł z lasu, zdążył już zniknąć, a w lesie panowała głęboka cisza i – rzekłbyś – taka sama pustka jak w dniu, w którym Stwórca ukończył swe dzieło. Cisza ta nie trwała jednak długo. Zwiadowcy po przeprowadzeniu rozpoznania okolicy wypadli z gęstwiny na odkryty cypel, a ujrawszy zabitego towarzysza, wypełnili powietrze gniewnymi okrzykami. Zaraz potem nastąpiły okrzyki zachwytu – gdy zwiadowcy dobiegli do trupa i otoczyli go zwartym kołem. Pogromca Zwierząt znał dobrze zwyczaje tubylców, odgadł więc przyczynę tej naglej zmiany ich uczuć. Przeciągłe wycie było uświęconą zwyczajem skargą po stracie wojownika. Okrzyki, które nastąpiły potem, wyrażały radość, że zwycięzca nie miał czasu oskalpować zmarłego, skalp bowiem uważali za trofeum, bez którego zwycięstwo nie może być pełne. Czółna znajdowały się za daleko, aby wojownikom, chciało się zaatakować zwycięzcę. Amerykański Indianin, podobnie jak pantera, która żyje w tych samych lasach, rzadko rzuca się na swe- go wroga, jeśli nie ma pewności zwycięstwa. – Młodego myśliwego nic już tutaj nie zatrzymywało, zaczął więc zbierać swe czółna, aby ruszyć z nimi do zamku. Szybko wziął na linę bliższe czółno i puścił się za drugim, które przez cały czas płynęło ku brzegowi. Ledwie jednak rzucił na nie okiem, zmiarkował, że było bliżej brzegu, niż to mógł sprawić lekki wietrzyk. Przypuszczając, że działa tu jakiś niewidoczny prąd, zdwoił wysiłki, aby złapać czółno, zanim znajdzie się za blisko lasu. Gdy zbliżył się do ściganej łódki, zrozumiał, że jakaś siła pcha ją wyraźnie ku brzegowi, mimo że leży bokiem do wiatru. Parę silnych uderzeń wiosłem jeszcze bardziej zbliżyło go do łódki i tajemnica się wyjaśniła. Coś poruszało się po drugiej, to znaczy dalszej od Pogromcy, stronie łódki. Po bliższym przyjrzeniu się Pogromca stwierdził, że było to nagie ramię ludzkie. Na dnie czółna leżał Indianin i wolno, lecz pewnie popędzał je ku brzegowi używając ręki jako wiosła. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby Pogromca Zwierząt przejrzał ten indiański podstęp: kiedy myśliwy zajęty był swym przeciwnikiem na brzegu, drugi Indianin podpłynął do czółna, schował się w nim i własnym przemysłem próbował doprowadzić je do brzegu.

Pogromca Zwierząt, pewny, że Indianin w czółnie nie może mieć broni, bez wahania ruszył naprzód i zrównał się z uciekającym, przy czym nawet nie podniósł strzelby. Gdy dziki, wyciągnięty na dnie czółna, usłyszał plusk wiosła Pogromcy, zerwał się na równe nogi i wydał okrzyk, który świadczył, jak bardzo go to zaskoczyło.

–Jeśli czerwonoskóry- ma już dość tej przejażdżki – spokojnie powiedział Pogromca Zwierząt przestając wiosłować, aby czółna nie zderzyły się – jeśli już dość masz tej zabawy, mądrze byś zrobił, gdybyś znów skoczył do wody. Mam dużo umiaru w tych sprawach i nie jestem żądny twej krwi, choć wiem, że wielu białych widziałyby w tobie nie człowieka, lecz bon na pieniądze za skalp. Jazda do wody, bo ci powiem brzydkie słowo!

Dziki był z tych, co ani w ząb nie znają angielskiego, i tyle zrozumiał Pogromcę, ile

wyrażały jego gesty i oczy (a oczy rzadko zawodzą). Może poza tym widok strzelby leżącej pod ręką białego człowieka przyspieszył decyzję Indianina. W każdym bądź razie przyczał się do skoku jak tygrys, wydał przeciągły okrzyk i nagle jego ciało zniknęło w wodzie. Kiedy się wynurzył, aby zaczerpnąć powietrza, był już daleko od czółna. Niespokojne spojrzenie, jakie rzucił za siebie, dowodziło, że bardzo się bał, aby strzelba wroga nie posłała za nim zwiastuna śmierci. Młody myśliwy nie uczynił jednak nic takiego, co by świadczyło o jego złych zamiarach wobec Indianina. Spokojnie, przywiązał czółno do swej łodzi, po czym oddalił się od brzegu. Gdy Indianin wylądował i otrząsnął się z wody, jak wyżeł po kąpieli, jego groźny nieprzyjaciel znajdował się już poza zasięgiem strzału – w drodze do zamku. Pogromca, jak to było w jego zwyczaju, nie omieszkał wygłosić monologu o ostatnich wydarzeniach, nie przestając przy tym tęgo wiosłować. – No tak – zaczął – źle byłoby, gdybym niepotrzebnie zabił człowieka. Skalpowanie zupełnie mi nie odpowiada. Życie miłe jest człowiekowi i nie należy okrutnie zabierać go innym, jeśli ma się naturę białego człowieka. Dziki był, co prawda, Mingiem; nie Wątpię, że jest i całe życie będzie padalcem i włóczęgą – ale to jeszcze nie powód, abym zapomniał o swej naturze i barwie skóry. Nie, nie – poszedł, to poszedł. Jeśli kiedyś spotkamy się z bronią w rękę, zobaczymy, kto ma mężniejsze serce i pewniejsze oko. Sokole Oko! To niezłe imię dla wojownika, brzmi bardziej po męsku i znacznie waleczniej niż Pogromca Zwierząt! To nienajgorsze imię jak na początek i uczciwie na nie zasłużyłem. Gdyby to się zdarzyło Chingachgookowi, mógłby wrócić do swoich i opiewać swe czyny, a wodzowie od razu nadaliby mu imię: Sokole Oko. Białemu nie przystoi chełpić się, nie wiadomo więc, jak ludzie dowiedzą się o moich czynach, jeśli sam nic im nie powiem. Tak, tak, wszystko jest w rękę Opatrzności, ta sprawa i wszystkie inne; wierzę, że Opatrzność ześle mi to, czego pragnę.

Odkrywszy w ten sposób swą słabą stronę (tak chyba można by to określić) młody myśliwy zamilkł i przykładał się do wiosł w milczeniu, podążając ku zamkowi z szybkością, na jaką pozwalały mu holowane czółna. Tymczasem słońce nie tylko wstało, lecz zdążyło wznieść się ponad góry na wschodzie. Strumienie olśniewającego blasku spływały na jezioro, którego biali nie zdążyli jeszcze ochrzcić.. Cała okolica promieniowała pięknem przyrody – człowiek nie obyty z codziennym życiem lasów nie dałby wiary, że tak niedawno ta piękna okolica była widownią wydarzeń okrutnych i barbarzyńskich. Zbliżając się do domu starego Huttera, Pogromca Zwierząt pomyślał, a raczej, odczuł, że wygląd zewnętrzny siedziby Toma dziwnie zgadza się z otoczeniem. Stary budując ten dom miał na względzie jedynie jego siłę obronną i własne bezpieczeństwo, niemniej proste i grube pnie, nie obdarte z kory, wystający dach i inne właściwości zamku sprawiały, że zawsze wyglądał malowniczo, w obecnej zaś sytuacji robił wrażenie jeszcze bardziej interesujące niż zwykle.

Gdy jednak Pogromca Zwierząt podpłynął do zamku, co innego zwróciło jego uwagę i przesłoniło mu piękno okolic jeziora i urok tej dziwnej budowli. Judyta i Hetty stały

przed drzwiami na pomoście (dziedzińcu, jak mówił Hurry), czekając na Pogromcę z wyraźnym zaniepokojeniem. Judyta co chwilę przyglądała się myśliwemu i jego czółnom przez starą lunetę okrętową (o której już wspomnieliśmy). Dziewczyna chyba nigdy nie wyglądała tak pięknie jak dzisiaj; niepokój i trwoga okryły jej policzki gorącymi rumieńcami a głęboka troska zwiększyła urok jej słodkich oczu. Nie pora teraz na przerwanie naszego opowiadania i próby rozważenia pobudek ożywiających naszych bohaterów albo też przeprowadzenia subtelnych różnic między przyczynami i skutkami. Dość więc powiedzieć, że takie było zdanie młodego myśliwego o wdziękach sióstr, gdy przybił ze swymi trzema czółnami do arki i starannie przywiązał je do pala – zanim wstąpił na pomost.

ROZDZIAŁ 8

Słowa – wiązami, wyrocznią – przysięgi,

Kochanie godne i myśli bez plamy,

Łzy – czyste posły wysyłane z serca,

Co tak dalekie od zdrady jak niebo.

Szekspir

Dziewczęta nie odezwały się słowem, kiedy Pogromca stanął przed nimi sam, a oblicze jego zdradzało niepokój o los dwóch nieobecnych członków wyprawy.

–Ojciec! – krzyknęła wreszcie Judyta, która z największym trudem dobyte głosu ze ściśniętego gardła.

–Nie powiodło mu się, nie ma co ukrywać – odparł Pogromca Zwierząt jak zwykle prosto z mostu. – Jest wraz z Hurry'm w rękach Mingów i jeden Bóg wie, jak to się skończy. Udało mi się uratować czółna i to jest pewna pociecha, gdyż teraz te nygusy mogą zbliżyć się do zamku tylko wplaw lub na tratwach. O zachodzie słońca załoga zamku zwiększy się, przybędzie tu Chingachgook, jeśli tylko uda mi się go zabrać z brzegu do czółna. Myślę, że we dwójkę będziemy mogli wziąć odpowiedzialność za arkę i zamek do chwili, kiedy oficerowie z garnizonów usłyszą, że Indianie wyszli tutaj na ścieżkę, wojenną. Prędzej czy później muszą się o tym dowiedzieć, a wtedy możemy liczyć na ich pomoc, jeśli odsiecz nie przyjdzie przedtem skądinąd.

–Oficerowie! – porywczo zawołała Judyta. Rumieńce wystąpiły jej na policzkach, a w oczach błysnął gniew. – Któż by teraz myślał o tych gogusiach bez serca? O czym tu mówić? Sami damy sobie radę, sami obronimy zamek. Ale mów, co z ojcem i biednym Hurry Harry'm!

–Naturalna to rzecz, że żywi pani troskę o ojca, Judyto, i sądzę również, że nie mniej niepokoi się pani o Hurry'ego.

Pogromca Zwierząt po tym wstępie przystąpił do zwięzłej, lecz jasnej relacji o tym, co się stało w nocy, nie ukrywając ani jaki los spotkał jego towarzyszy, ani swego zdania o dalszych następstwach ich klęski. Dziewczęta słuchały z wielką uwagą, ale żadna z nich nie okazała obawy, a nawet zaniepokojenia, jakie by podobna wiadomość wywołała u niewiast mniej przywykłych do niebezpieczeństw i złych przygód życia na pograniczu. Ku wielkiemu zdziwieniu Pogromcy Judyta wyglądała na bardziej przygnębioną niż Hetty, która pilnie słuchała, lecz zdawała się w

smutnym milczeniu rozmyślać o wypadkach nie okazując swych uczuć. Poruszenie Judyty młody myśliwy przypisał w równej mierze jej sympatii do Hurry'ego i miłości do ojca, a wyraźną obojętność Hetty – przyćmieniu umysłu, które zapewne nie pozwalało jej ujrzeć zgubnych następstw niepowodzenia wyprawy. Obie wszakże nie powiedziały wiele i zajęły się przygotowaniem śniadania, jakby przywykły do spełniania swych obowiązków mimo dotkliwego bólu i cierpienia. W ponurym milczeniu zjedli proste, lecz pożywne śniadanie. Dziewczęta jadły mało, Pogromca Zwierząt natomiast dowiódł, że ma jedną cechę dobrego żołnierza: zachowuje apetyt w okolicznościach najbardziej niepokojących i kłopotliwych. Do końca posiłku nie padło ani słowo. Pierwsza przemówiła Judyta. Mówiła głosem zdławionym i z pośpiechem, świadczącym, że nie może już powściągnąć swych uczuć, gdyż panowanie nad sobą stało się bardziej bolesne niż odkrycie własnego serca.

–Ojcu smakowałaby bardzo ta ryba! – zawołała. – Mówił nieraz, że łosoś z jeziora niewiele ustępuje morskiemu.

–Słyszałem, Judyto, że pani ojciec dobrze znał morze – powiedział młody myśliwy nie mogąc powstrzymać się od badawczego spojrzenia na dziewczynę. Jak wszyscy, którzy znali Huttera, i on ciekaw był dziejów młodości Toma, – Hurry Harry powiada, że ojciec pani był kiedyś marynarzem.

Judyta zrazu wydała się zmieszana tym pytaniem; potem jednak pod wpływem zawiłych uczuć, nie znanych jej dotąd, stała się nagle rozmowna i okazała wielkie zainteresowanie tematem poruszonym przez młodzieńca.

–Jeśli Hurry wie coś o przeszłości mego ojca, chciałabym, żeby mi to powiedział! – zawołała. – Mnie także zdaje się czasem, że ojciec był kiedyś marynarzem, a potem dochodzę do wniosku, że to nieprawda. Gdyby ta skrzynia była otwarta lub mogła mówić, pewnie wiele byśmy się dowiedzieli o życiu ojca. Zamki jej są jednak za mocne, aby je można było zerwać jak sznurek z paczki.

Pogromca Zwierząt odwrócił się ku skrzyni i po raz pierwszy dobrze się jej przyjrzał. Chociaż straciła swą barwę i no. siła liczne ślady poniewierki, stwierdził, że materiał i robota znacznie przewyższyły wszystko, co w tej dziedzinie widział w swym życiu. Drzewo było ciemne, wysokiego gatunku, kiedyś pokryte świeżą politurą, lecz widocznie tak źle obchodzono się ze skrzynią, że niewiele zostało jej z dawnego połysku. W wielu miejscach była podrapana i poszczerbiona, co świadczyło, że ulegała ostrym zderzeniom z przedmiotami jeszcze twardszymi od siebie. Rogi skrzyni miały stalowe okucia, starannie wykończone i ozdobne, zamki zaś (było ich nie mniej niż trzy) i zawiasy były dziełem sztuki, który zwracałby uwagę nawet w najlepszym sklepie z wykwintnymi meblami. Skrzynia była bardzo duża; kiedy Pogromca Zwierząt wstał i chciał podnieść jeden jej koniec za ciężki uchwyt, przekonał się, że jest to mebel, którego ciężar odpowiada jego wyglądowi zewnętrznemu.

–Czy widziała pani kiedy tę skrzynię otwartą? – zapytał młody myśliwy po prostu, tak jakby to zrobił każdy mieszkaniec pogranicza. Ludzie żyjący na krańcach cywilizowanego świata nie uważali wówczas takich pytań za niedelikatne i pod tym względem do dziś chyba niewiele się zmienili.

–Nigdy. Ojciec nigdy nie otwierał tej skrzyni w mojej obecności, jeśli w ogóle ją otwierał. Nikt z nas nie widział podniesionego jej wieka. – Mylisz się, Judyto – spokojnie powiedziała Hetty. – Ojciec podnosił wieko i ja to widziałam.

Poczucie przyzwoitości zamknęło usta Pogromcy Zwierząt. Aczkolwiek nie zawahałby się w bezceremonialny sposób wypytywać starszą siostrę, nie chciał wykorzystać prostoty ducha młodszej córki Huttera. Judyta, która nie miała tych skrupułów, szybko odwróciła się do siostry i podjęła rozmowę:

–Kiedy i gdzie widziałaś otwartą skrzynię, Hetty?

–Tutaj, i to wiele razy. Ojciec często otwiera skrzynię, gdy ciebie nie ma w domu. Natomiast wcale mu nie przeszkadza, że ja jestem przy tym, widzę, co robi, i słyszę, co mówi.

–A cóż on robi i co mówi?

–Tego tobie nie mogę powiedzieć, Judyto – odparła Hetty głosem cichym, lecz stanowczym. – To są tajemnice ojca, nie moje.

–Tajemnice! Czy nie byłoby dziwne, Pogromco Zwierząt, gdyby ojciec powierzał swe tajemnice Hetty, a mnie nic nie chciał powiedzieć?

–Miał do tego powody, Judyto, ale ty nie powinnaś ich znać. Nie ma tu ojca, który mógłby ci odpowiedzieć, a ja nie powiem ani słowa więcej.

Judyta i Pogromca Zwierząt zdziwili się bardzo, a Judytę wiadomość ta wyraźnie dotknęła. Szybko jednak wróciła do siebie, odwróciła się od siostry, jakby litując się nad jej kalectwem umysłowym, i powiedziała do młodego myśliwego:

–Przerwał pan swe opowiadanie w połowie, zatrzymałeś się w chwili, gdyś zasnął w czólnie – nie, gdy zerwałeś się na krzyk nurka. My także słyszałyśmy wołanie nurków i myślałyśmy, że przyniesie burzę, choć o tej porze roku burze nieczęsto nawiedzają okolice jeziora.

–Wiatry i burze szaleją, gdy tak podoba się Bogu; raz w tej, drugi raz w innej porze roku – odparł Pogromca Zwierząt – a nurki wołają, bo taka jest ich natura. Lepiej byłoby na świecie, gdyby ludzie byli uczciwi i szczerzy jak ptaki. Wstałem tedy, aby posłuchać głosu ptaków, i stwierdziłem, że to nie może być sygnał Hurry'ego, położyłem się więc i zasnąłem. O świecie byłem już na nogach i krzątałem się jak

zwykle, a potem pośpieszyłem łowić czółna, aby Mingowie nie położyli na nich ręki.

–Nie powiedziałaś nam wszystkiego, Pogromco Zwierząt – rzekła z powagą Judyta.
– Słyszałyśmy strzały koło góry na wschodnim brzegu; donośne i długie echa nastąpiły tak szybko po odgłosie strzałów, że na pewno strzelano na brzegu lub w jego pobliżu. Nasze uszy przywykły do tego i nie dadzą się zmylić.

–Tym razem uszy twe, dziewczyno,, dobrze spełniły swą powinność. Dziś rano ludzie wycelowali do siebie i pociągnęli za spusty, tak jest; chociaż strzałów mogło paść znacznie więcej. Jeden wojownik oszczędził na pola szczęśliwych łowów, i to wszystko. Nie można wymagać od czło wieka białej rasy, aby wywijając skalpem chełpił się swymi czynami.

Judyta słuchała myśliwego z zapartym oddechem. Kiedy Pogromca Zwierząt, cichy i skromny jak zwykle, chciał już poniechać tego tematu, Judyta wstała, przeszła przez pokój i siadła obok niego. W jej zachowaniu nie było nadmiernej śmiałości, ale widać było, że dziewczynę ogarnęło wzruszenie, a serce jej zabiło żywą sympatią do myśliwego. Ujęła szorstką rękę Pogromcy i ścisnęła ją w swych dłoniach, nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi. Z powagą i wyrzutem patrzyła w ogorzałą twarz Pogromcy Zwierząt.

–Sam, w pojedynkę, walczyłeś z dzikimi, Pogromco Zwierząt? – zapytała. – W naszej obronie, za Hetty, a może i za mnie, mężnie walczyłeś z wrogiem i nikt nie zagrzewał cię do boju, i nikt by nie ujrzał twej klęski, gdybyś padł, gdyby Opatrzność dopuściła do tak straszego nieszczęścia!

–Walczyłem. Tak, Judyto, po raz pierwszy w mym życiu walczyłem z nieprzyjacielem. Tak musi być. Walka przynosi uczucie żalu zmieszane z radością zwycięstwa. Człowiek jest stworzony do walki, tak mi się zdaje. Każdy naród zabija swych wrogów w walce. Musimy być wierni prawom białego człowieka i jego naturze. Nic wielkiego jeszcze nie zrobiłem, jeśli jednak Chingachgook zjawi się dziś wieczór na skale, tak jak się umówiliśmy, i uda mi się wziąć go do czółna po kryjomu, a dzicy nas wyśledzą – wbrew ich woli – wtedy pomyślimy o czymś w rodzaju wojny. Niełatwo przyjdzie Mingom dostać w swe ręce zamek, arkę czy nas samych.

–Kto jest ten Chingachgook? Skąd przybywa i czego t u szuka?

–Pytania te uważam za naturalne i słuszne, chociaż młodzieniec ten zdobył już wielkie imię w swych stronach. Płynie w nim krew Mohikanów, przyłączył się jednak do Delawarów, podobnie jak większość pozostałych, przy życiu członków jego plemienia, które dawno już zostało niemal doszczętnie wytępione przez białych. Pochodzi z rodziny wielkich wodzów; jego ojciec, Unkas, był najsłynniejszym wojownikiem i najtęższą głową całego szczepu. Nawet stary Tamenund ceni Chingachgooka, choć mój przyjaciel jest jeszcze za młody, aby mógł dowodzić na

wojnie. Naród Mohikanów tak zmałał i rozproszył się, że miano wodza stało się tylko tytułem i niemal niczym więcej, Otóż, gdy wojna rozgorzała na dobre, umówiłem się z Delawarem, że dziś wieczór o zachodzie słońca spotkamy się na skraju tego jeziora przy skale, znanej jako miejsce schadzek. Postanowiliśmy bowiem wspólnie wyruszyć na naszą pierwszą wyprawę wojenną przeciw Mingom. Dlaczego idziemy na wojnę właśnie wtedy, to już nasza tajemnica; aliści rozsądni młodzieńcy, którzy weszli na ścieżkę wojenną, jak się pani zapewne domyśla, nie robią nic bez namysłu i bez powodu.

–Delawar nie ma chyba wobec nas nieprzyjaznych zamiarów – zapytała Judyta po krótkim wahaniu. – Wiemy, że pan jest naszym przyjacielem.

–Zdrada jest zbrodnią, o którą nigdy nie mógłbym być posądzony – odparł Pogromca Zwierząt, dotknięty cieniem nieufności ze strony Judyty – a tym bardziej zdrada ludzi mej własnej rasy.

–Pana nikt nie podejrzewa, Pogromco Zwierząt! – porywczo zawołała Judyta. – Nie, nie, pańska uczciwa twarz mogłaby być dostateczną rękojmią szczerości uczuć nie jednego, lecz tysiąca serc! Gdyby mowa wszystkich była tak uczciwa jak pańska i gdyby każdy obiecywał tylko tyle, ile zamierza dotrzymać, mniej byłoby krzywdy na świecie, a piękne pióra i szkarłatne mundury nie osłaniałyby podłości i oszustwa.

Dziewczyna powiedziała to z głębokim przekonaniem i zapalczywością, a gdy skończyła, w jej pięknych oczach, zwykle tak słodkich i miłych, płonął ogień wzburzenia. Pogromca Zwierząt łatwo zauważył niezwykle poruszenie Judyty; wszakże z taktem godnym rycerza nie tylko słowem o tym nie wspomniał, ale nie dał po sobie poznać, że odkrycie, jakiego dokonał, wielce go zastanowiło. Judyta pomału się uspokoiła, a że najwidoczniej zależało jej bardzo na tym, aby dobrze wypaść w oczach młodego myśliwego, rychło opanowała się i mogła podjąć rozmowę z takim spokojem, jakby nic nie zaszło.

–Nie mam prawa wnikać w tajemnice pańskie lub twego przyjaciela, Pogromco Zwierząt – powiedziała – i wierzę we wszystko, co pan mówi. Jeśli rzeczywiście jeszcze jeden sprzymierzeniec przyłączy się do nas w tej ciężkiej chwili, będzie to dla nas wielka pomoc. Nie tracę nadziei, że dzicy, gdy tylko przekonają się, że możemy utrzymać jezioro w swych rękach, zaproponują nam wymianę jeńców za skóry albo w najgorszym razie za baryłkę prochu, jaką mamy w domu.

Młody myśliwy już miał na ustach słowa: „skalpy” i „nagroda”, lecz nie chciał niepokoić córek Huttera i nie wspomniał o tym, co może spotkać ich ojca. Tak jednak słabo znał sztukę udawania, że domyślna Judyta (której wrodzoną bystrość umysłu rozwinęło życie, jakie wiodła, i niebezpieczeństwa, na jakie była narażona) wyczytała myśli Pogromcy z jego pełnej wyrazu twarzy.

–Wiem, co pan myśli – śpiesznie dodała – i czego pan nie mówi tylko dlatego, aby nie sprawić mi przykrości. To znaczy nam obu, bo Hetty kocha ojca tak samo jak ja. Nie podzielamy jednak pańskiego zdania o Indianach. Nigdy nie skalpują jeńca, jeśli nie jest ranny, lecz wolą go zabrać żywcem; chyba że owładnie nimi okrutne pragnienie zadania mu męczarni. Jestem zupełnie spokojna, że nie oskalpują ojca, i nie chcę wierzyć, że mogliby go zabić. Gdyby podkradli się tutaj w nocy – nas właśnie spotkałby pewnie okrutny los: Indianie mężczyznom wziętym do niewoli w otwartej walce zazwyczaj nie robią krzywdy – przynajmniej do chwili, gdy wezmą ich na tortury.

–Taka jest ich tradycja, przyznaję, i tak też postępują, ale... czy pani wie, w jakim celu pani ojciec i

poszli do obozu?

–Tak, wiem. Okrutne były ich zamiary! Ale cóż! Ludzie są tylko ludźmi. Nawet ci, którzy paradują ze złotymi i srebrnymi galonami, a w kieszeni noszą królewskie patenty oficerskie, dopuszczają się podobnych okrucieństw. – Oczy Judyty znowu błysnęły gniewem, lecz dziewczyna opanowała się, chociaż przyszło jej to wcale niełatwo. – Krew burzy się we mnie, kiedy pomyślę, ile krzywd mają ci ludzie na sumieniu- dodała próbując się uśmiechnąć, co nie bardzo jej się udało – Jakie to wszystko głupie. Co się stało, to się nie odstanie, nie pomogą tu nic próżne żale. Indianie jednak za nic mają krew ludzką, a cenią ludzi za śmiałość ich poczynań. Gdyby więc wiedzieli, po co nasi przyszli do ich obozu, może odnieśliby się do nich z szacunkiem i nie zrobili im nic złego.

–Do czasu, Judyto, do czasu. Gdy bowiem minie im podziw dla jeńców, ogarnie ich żądza zemsty. Musimy, to znaczy Chingachgook i ja, musimy pomyśleć, co dałoby się zrobić, żeby wydostać na wolność Hurry'ego i pani ojca. Mingowie na pewno jeszcze parę dni będą wałęsać się nad jeziorem, aby wyciągnąć największe korzyści ze swego zwycięstwa.

–Uważasz, Pogromco Zwierząt, że można ufać twemu Delawarowi? – zapytała Judyta z wyrazem troski na twarzy. – Tak samo jak mnie. Mówiłaś, Judyto, że do ranie masz zaufanie.

–Do pana? – wzięła jego rękę i ścisnęła w swych dłoniach z zapalem, który wbiłby w dumę mężczyznę mniej skromnego i mającego o sobie lepsze wyobrażenie. – Ufam ci jak bratu! Znam pana jeden dzień, a ufam ci, jakbyśmy znali się od roku. Nazwisko twoje nie było mi obce – panicze z garnizonów często wspominali, że uczyłeś ich sztuki łowieckiej, i wychwalali twoją uczciwość.

–Czy mówili o polowaniach, panienko? – żywo zapytał Pogromca śmiejąc się cicho i szczerze. – Czy mówili o polowaniach? Nie chcę wiedzieć, co mówili o mnie, jeśli

bowiem do dziś nie jestem znany w tych stronach, nie warto być dobrym myśliwym. Ale co oni mówili o sobie? Broń, jak oni to nazywają, to narzędzie ich pracy, a przecież są wśród nich tacy, którzy nie bardzo wiedzą, jak się obchodzić ze strzelbą!

–Mam nadzieję, że pański przyjaciel, Chingachgook, jak pań go nazywa, to zupełnie co innego. – Co znaczy jego indiańskie nazwisko?

–Wielki Wąż. Nazwano go tak za jego rozum i spryt. Prawdziwe jego nazwisko to Unkas. Tak nazywali się wszyscy członkowie jego rodziny, póki swymi czynami nie zasłużyli na inne imiona.

–Jeśli Wielki- Wąż jest taki mądry, możemy zyskać w jego osobie bardzo przydatnego przyjaciela, chyba że jego własne sprawy w tych stronach nie pozwolą mu służyć nam pomocą.

–Właściwie mogę pani i pannie Hetty powiedzieć, po co Wielki Wąż tu przybył. Nie jest wykluczone, że będzie pani mogła nam pomóc. Powiem wam więc, o co idzie, ufam, przy tym, że dochowacie tajemnicy jak własnej. Trzeba wam wiedzieć, że Chingachgook jest ładnym chłopcem i że dziewczęta jego szczepu wielce się do niego garną – i ze względu na nazwisko, i ze względu na jego osobę. Otóż, był pewien wódz, który miał córkę imieniem Wah-ta-Wah, co się tłumaczy Cyt-o-Cyt. Była to najpiękniejsza dziewczyna z całego szczepu; wszyscy młodzi wojownicy ubiegali się o nią i chcieli ją wziąć za żonę. Otóż, uważacie, Chingachgook także zakochał się w Wah-ta-Wah, a ona była mu wzajemna. – Pogromca Zwierząt przerwał na chwilę, gdy bowiem doszedł do tego miejsca, Hetty Hutter wstała, podeszła i stanęła przy nim z uważną miną – jak dziecko, które przysuwa się do matki, aby lepiej usłyszeć bajkę. – Tak, pokochał ją, a ona była mu wzajemna – podjął swą opowieść Pogromca Zwierząt rzucając przyjazne spojrzenie zaciekawionej dziewczynce. – Gdy zaś młodzi kochają się, a rodzice obojga dają swe przyzwolenie, nic nie stoi na przeszkodzie, aby się pobrali. Chingachgook, gdy zdobył taki skarb, musiał wzbudzić zawiść wśród tych, co pożąдали dziewczyny nie mniej niż on. Niejaki Cierń Głogu, po naszymu, a Yocommon po indiańsku, bardzo wziął sobie to wszystko do serca. Podejrzewamy, że to on właśnie maczał palce w historii, która się potem wydarzyła. Dwa miesiące temu, Wah-ta-Wah poszła ze swym ojcem i matką na połów łososi w rzekach na zachodzie, gdzie jak to powszechnie wiadomo, jest ich po prostu w bród. Wtedy to właśnie dziewczyna przepadła jak kamień w wodę. Przez parę tygodni nie mieliśmy o niej żadnych wiadomości. Aż tu nagle dziesięć dni temu goniec, który przebiegał przez kraj Delawarów, przyniósł nam wieść, że Wah-ta-Wah została porwana. Podejrzewamy, choć nie wiemy na pewno, że jest to sprawka Ciernia Głogu, który przystał do wrogiego plemienia. Mingowie zaś, bo o nich tu chodzi, przyjęli dziewczynę do swego szczepu i chcą ją wydać za jednego spośród swej młodzieży. Z wiadomości, jaką otrzymaliśmy, wynika, że Mingowie zamierzają polować i zbierać zapasy" w tych stronach przez miesiąc lub dwa, a potem wrócić do Kanady. Doszliśmy więc do wniosku, że jeśli uda nam się w tych stronach trafić na ślad

dziewczyny, przypadek może nam przyjść z pomocą i odbijemy ją z rąk wroga.

–A cóż to wszystko pana obchodzi? – zapytała Judyta z pewnym zaniepokojeniem.

–To mnie bardzo obchodzi, bo to jest sprawa mego przyjaciela. Przyszedłem tu pomóc i wesprzeć Chingachgooka. Jeśli uda się nam odbić jego dziewczynę, będzie to dla mnie niemal taką samą radością, jakbym odzyskał własną ukochaną.

–A gdzie jest twoja najdroższa, Pogromco Zwierząt?

–Moja miłość jest w lesie, Judyto – widzę ją w kroplach deszczu na gałęziach drzew... w rosie na łąkach... w chmurach, które płyną wysoko błękitem nieba... w ptakach rozśpiewanych w puszczy... w przejrzystych źródłach, w których gaszę pragnienie – we wszystkich wspaniałych cudach przyrody!

–Chcesz powiedzieć, żeś dotąd nie kochał kobiety i że uwielbiasz nade wszystko polowania i życie w lasach.

–Otóż to. właśnie. Jestem biały, mam serce białego człowieka i nie mogę, zaiste, pokochać czerwonoskórej dziewczyny, która ma indiańskie serce. Nie, nie, jakoś dotąd ustrzegłem się miłości do kobiety i mam nadzieję, że tak zostanie, przynajmniej do końca tej wojny. Za dużo czasu zabiera mi historia Chingachgooka, abym chciał jeszcze zaprzętać sobie głowę własną sprawą podobnego rodzaju, zanim tamta się skończy.

–Dziewczyna, która pozyska kiedyś twą miłość, Pogromco Zwierząt, zdobędzie co najmniej zacne serce – bez fałszu i zdrady; będzie to zwycięstwo, jakiego mogłoby pozazdrościć jej wiele kobiet.

Gdy Judyta wymawiała te słowa, piękna jej twarz nabrała wyrazu goryczy, a blady uśmiech pojawił się na ustach, które, nawet kiedy się skrzywiła, nie przestawały być urocze. Jej towarzysz zauważył tę zmianę wyrazu twarzy dziewczyny i chociaż, nie był biegły w arkanach serc niewieścich, miał dość wrodzonej delikatności, aby zrozumieć, że trzeba zmienić temat rozmowy.

Daleko jeszcze było do godziny, o której miał przybyć Chingachgook, Pogromca Zwierząt miał więc dość czasu na sprawdzenie środków obrony zamku i podjęcie kroków, jakie były w jego mocy i jakich wymagały potrzeby chwili. Dzięki doświadczeniu i przezorności Huttera niewiele pozostało do zrobienia. Pewne wszakże środki ostrożności same nasunęły się młodemu myśliwemu, który przecież studiował sztukę prowadzenia wojny na pograniczu i poznał ją z ustnej tradycji i opowiadań ludzi, wśród których spędził tyle lat. Odległość między zamkiem a najbliższym brzegiem wykluczała obawę, że może ich dosięgnąć kula strzelby. Zamek był wystawiony na kule rusznicy, to prawda, ale nie mogło być mowy o celowaniu na taką odległość i nawet Judyta oświadczyła, że tego rodzaju niebezpieczeństwo

zupełnie sobie lekceważy. Dopóki więc byli panami fortecy, byli bezpieczni, chyba żeby napastnicy znaleźli sposób podejścia pod twierdzę i zdobycia jej ogniem lub szturmem albo też jakimś innym sposobem wziętym z arsenału indiańskich podstępów i zdrad. Przeciw ogniewi Hutter podjął liczne środki ostrożności; sam dom, wyjąwszy dach pokryty korą, nie był zbudowany z materiału łatwopalnego. W podłodze zrobiono kryte otwory, przez które wiadrami na linach codziennie czerpało się wodę: było to stałe pogotowie przeciwpożarowe. W razie podpalenia domu jedna z dziewcząt mogła z łatwością zgasić ogień, jeśli oczywiście nie rozszerzył się nadmiernie. Jak się okazało, Judyta знаła dobrze wszystkie plany obronne ojca. Nie brakowało jej odwagi, mogła więc! wziąć niemały udział w wykonaniu tych planów. Wyjaśniła Pogromcy Zwierząt wszystko, co dotyczyło obrony zamku. W ten sposób młody myśliwy nie stracił wiele czasu ani pracy na sprawdzanie pogotowia obronnego twierdzy Huttera.

W ciągu dnia nie było się właściwie czego obawiać. Mieli w swych rękach arkę i czółna, innych statków na jeziorze nie było. Niemniej Pogromca Zwierząt dobrze wiedział, że Indianie, jeśli rzeczywiście będą chcieli wziąć zamek szturmem, szybko zbudują tratwę, co nie napotka większych trudności, skoro na brzegu jeziora można znaleźć mnóstwo zwalonych drzew. Słynna siekiera amerykańska, narzędzie, które jest niezrównane w swym rodzaju, nie była wówczas szeroko rozpowszechniona, a dzicy wcale nie celowali w posługiwaniu się toporkami zastępującymi im siekiery. Indianie mieli jednak dosyć doświadczenia w przeprawach przez rzeki na tratwach, pewne więc było, że zbudują tratwę, jeśli się tylko ważą na ryzyko szturmowania zamku. Śmierć wojownika mogła ich podniecić albo też nakłonić do ostrożności. W każdym razie Pogromca Zwierząt uważał za więcej niż prawdopodobne, że najbliższa noc będzie bardzo niebezpieczna i że należy spodziewać się ataku właśnie na tratwach. Dlatego gorąco pragnął przybycia i pomocy swego mohikańskiego przyjaciela i z wzrastającą niecierpliwością czekał zachodu słońca.

W ciągu dnia opracowali plan obrony zamku i dokonali niezbędnych przygotowań. Judyta okazała wiele inicjatywy i chętnie radziła się swego nowego znajomego oraz sama udzielała mu rad. Odwaga Pogromcy, jego męska troskliwość o obie siostry, prostota i szczerść jego serca szybko przemówiły do wyobraźni i uczuć młodej kobiety. Godziny oczekiwania dłużyły się Pogromcy Zwierząt. Judycie natomiast wydawały się zbyt krótkie. Gdy więc słońce zaczęło zniżać się nad wzgórzami na zachodzie, okrytymi sosnowym lasem, wyraziła zdziwienie, że dzień tak szybko się kończy. Hetty siedziała markotna i nic nie mówiła. Nigdy nie była rozmowna, mówiła tylko wtedy, gdy chwilowa podnieta pobudziła jej główkę do myślenia. Dzisiaj, w dniu, w którym decydowały się ich losy, całymi godzinami nie odzywała się słowem, jakby jej odebrało mowę. Zresztą obie siostry nie żywiły poważnych obaw o los ojca. Żadna z nich nie obawiała się, że ojca może spotkać większe nieszczęście niż sama niewola. Hetty raz czy dwa razy przemówiła, aby wyrazić nadzieję, że ojciec sam wydobędzie się z niewoli. Judyta, choć nie żywiła tak pochopnych nadziei, powiedziała, że

Indianie prawdopodobnie zażądają okupu, kiedy przekonają się, że zamek nic sobie nie robi z ich sztuczek i podstępów. Pogromca Zwierząt traktował uwagi sióstr jako pomysły zgoła niedowarzone i dziewczęce. Nie przywiązywał też do nich znaczenia, lecz starannie przygotowywał obronę i poważnie rozmyślał nad dniem jutrzejszym.

Wreszcie nadeszła godzina wyjazdu na miejsce spotkania z Mohikaninem, a raczej Delawarem, gdyż tak częściej nazywano Chingachgooka. Plan wyprawy dojrzał w głowie. Pogromcy Zwierząt, który podzielił się nim z siostrami, po czym wszyscy troje zgodnie z namysłem zabrali się do jego wykonania. Hetty weszła na arkę, związała dwie łodzie razem, usiadła w jednej z nich i przez swego rodzaju bramę wypłynęła z łódkami za palisadę otaczającą zamek, po czym przymocowała je pod domem łańcuchami, których końce zaczepione były wewnątrz zamku. Palisada składała się z pni drzew mocno, obsadzonych w mieliźnie i spełniała dwa zadania: stanowiła zagrodę przystani dla łodzi, a nieprzyjacielowi, który by przyplłynął na czółnach, nie pozwalała zbliżyć się do zamku. Czółna umieszczone w tym doku były dość dobrze ukryte, a gdyby nawet nieprzyjaciel je dostrzegł, niełatwo by mu przyszło je opanować, gdyż brama była zabarykadowana i umocniona. Zanim zamknięto bramę, Judyta wpłynęła za palisadę na trzecim czółnie. W tym samym czasie Pogromca Zwierząt zajęty był na górze, nad głową Judyty, zamykaniem drzwi i okien. Gdy tego dokonał, trzeba by było godziny lub dwóch godzin pracy, aby się włamać do zanku – nawet gdyby napastnicy użyli narzędzi prócz siekiery i gdyby nikt zamku nie bronił – tak masywne były umocnienia i tak mocno trzymały drągi, którymi zaryglowano drzwi i okna. Hutter włożył tyle wysiłku w zabezpieczenie zamku przed włamaniem, ponieważ już dwa razy, gdy nie było go w domu, co mu się często zdarzało, obrabowali go bezecni biali ludzie z pogranicza. Gdy drzwi i okna zostały już zabezpieczone od wewnątrz, Pogromca Zwierząt przez lukę zlął pod podłogę, wsiadł do łódki Judyty, zaryglował klapę luki solidnym skoblem i zamknął go na wielką kłódkę. Potem wzięli do czółna Hetty i wypłynęli poza palisadę. Bramę ogrodzenia zamknęli, a klucze zabrali na arkę, W ten sposób zostali odcięci od domu, do którego można się było teraz dostać tylko siłą albo tą samą drogą, którą Pogromca wyszedł. Przedtem jeszcze zabrali na arkę lunetę. Pogromca Zwierząt, posługując się nią, dokładnie obejrzał cały brzeg jeziora, to znaczy tyle, ile widać było z arki: ani żywej duszy. Tylko parę ptaków kręciło się w cieniu drzew, widocznie chowały się tam przed słońcem, przypiekającym w duszne popołudnie. Pogromca Zwierząt chcąc się upewnić, że Indianie nie budują jeszcze tratwy, ze szczególną uwagą przyjrzał się najbliższemu przylądkom. Wszędzie brzeg przedstawiał ten sam obraz głuchoj pustki. Jedno zdanie wystarczy, aby wyjaśnić, na czym polegała największa niedogodność położenia naszej trójki: sami wystawieni byli na widok i przez cały czas mogły ich śledzić czujne oczy. nieprzyjaciół – natomiast ruchy przeciwnika osłaniały gęste lasy. Wyobraźnia białych była skłonna do zaludnienia puszczy większą ilością wojowników, niż ich było w rzeczywistości, natomiast słabość sił białych mogło odkryć jedno przypadkowe spojrzenie z brzegu.

–Ani żywej duszy! – zawołał Pogromca Zwierząt, gdy wreszcie opuścił lunetę i miał już wejść na arkę. – Jeśli te łazęgi knują zdradę, maskują się tak sprytnie, że nic nie widać. Po prawdzie, może budują tratwę w lesie i jeszcze jej nie przynieśli na brzeg. Ale nie zgadną, że teraz właśnie opuszczamy zamek, a jeśli nas nawet zobaczą, w żaden sposób nie mogą wiedzieć, dokąd się wybieramy.

–Masz rację, Pogromco Zwierząt – odparta Judyta – i dlatego teraz, gdy wszystko jest gotowe, możemy śmiało i bez obawy pościgu ruszyć na miejsce spotkania, inaczej się spóźnimy.

–Nie, nie, sprawa wymaga wielkiej ostrożności. Wprawdzie dzicy są ciemni jak tabaka w rogu, jeśli idzie o Chingachgooka i skałę, ale mając oczy i nogi, zobaczą, dokąd sterujemy, i na pewno będą nas ścigali. Spróbuję jednak wywieść ich w pole i będę kluczył arką; raz tu a drugi raz tam, aż im nogi spuchną i odechce im się uganiania za nami.

Pogromca Zwierząt, w miarę swych możliwości, słowa dotrzymał. W ciągu pięciu minut wszyscy byli na arce i ruszyli w drogę.

Z północy wiał lekki wiatr. Młody myśliwy śmiało podniósł żagiel i tak skierował dziób swego nieco przyciężkiego statku, aby – uwzględniając dość znaczne, lecz konieczne zboczenie z drogi – dopłynąć do wschodniego brzegu, oddalonego od zamku o jakieś dwie mile. Jako statek żaglowy arka nigdy nie była szybka, dziś jednak, dzięki małemu zanurzeniu, nie trudno było ruszyć z miejsca i tak ją popędzić, aby robiła trzy do czterech mil na godzinę. Od zamku do skały było dobre dwie mile. Znając punktualność Indian Pogromca Zwierząt dokonał dokładnych obliczeń i przeznaczył na drogę trochę więcej czasu, niż trzeba było, aby móc, zależnie od okoliczności, przyśpieszyć albo, opóźnić przyjazd na miejsce spotkania. Gdy wciągał żagiel, słońce stało nad wzgórzami na zachodzie tak wysoko, że można jeszcze było liczyć więcej niż dwie godziny dnia. Po paru minutach drogi myśliwy stwierdził, że prom posuwa się z przewidzianą przez niego szybkością.

Było cudowne popołudnie. Odludne jezioro zupełnie nie wyglądało na to, że jeszcze dziś może się stać areną krwawych zapasów. Lekki wietrzyk nie zniżał się do wody jeziora, lecz unosił się nad nią, jakby nie chciał zakłócić spokoju ani musnąć powierzchni gładkiej jak lustro. Nawet lasy drzemały w słońcu, a wzdłuż północnej części horyzontu od kilku godzin zawisły wełniste chmury, jakby umieszczono je tam tylko po to, by upiększyły krajobraz. Ptaki wodne tu i ówdzie muskały skrzydłami powierzchnię jeziora, samotny kruk żeglował wysoko ponad drzewami, wypatrując łupu ukrytego w lesie.

Czytelnik zauważył zapewne, że Judyta, bezpośrednia i niemal szorstka w obejściu, czego nauczyło ją życie napograniczu, mówiła językiem gładszym niż mężczyźni, których spotykała, nie wyłączając jej ojca. Różnica zaznaczała się w wymowie oraz w

dobrze słów i zwrotów. Nic tak nie świadczy o wykształceniu i towarzystwie, w jakim ktoś się obracał, jak jego język. Rzadko który talent dodaje tyle uroku pięknej kobiecie, co wdzięczna i gładka wymowa, nic zaś nie wywołuje większego rozczarowania (jakie nieuchronnie przynosi różnica między wyglądem a obejściem) niż pospolita wymowa i wulgarne słowa. Judyta i jej siostra wyróżniały się pod tym względem spośród wszystkich dziewcząt ich stanu na całym pograniczu. Oficerowie z najbliższego garnizonu często pochlebiali Judycie zapewniając, że niewiele pań z miasta mogłoby iść z nią o lepsze w sposobie wysławiania się. Może nie było to ścisłą prawdą, ale komplementy te nie były pozbawione podstaw. Swą wielką zaletę dziewczęta zawdzięczały matce, ona to bowiem nauczyła je mowy ojczyściej, gdy były małe. Jak wiadomo, kto zaniedba języka w dzieciństwie, braku tego nie nadrobi później tak łatwo ani studiami, ani pracą nad sobą. Kim była ich matka, wiedział tylko Hutter. Umarła przed dwoma laty i (jak o tym wspomniał już Hurry) została pochowana na dnie jeziora; czy tak się stało, bo Hutter uległ przesądowi, czy też nie chciało mu się kopać grobu – oto pytanie, które często roztrząsali gruboskórni mieszkańcy tych stron. Judyta nigdy nie odwiedzała „grobu” swej matki, natomiast Hetty często o zachodzie słońca lub przy świetle księżyca płynęła czołnem na miejsce, w którym Hutter pochował swą żonę, i wpatrywała się w przezroczystą wodę w nadziei, że ujrzy postać tej, którą tak gorąco kochała od dzieciństwa aż, do smutnej chwili rozstania.

–Czy musimy się znaleźć przy skale dokładnie o zachodzie słońca? – zapytała Judyta stojąc na pokładzie u boku młodego myśliwego. Pogromca sterował wiosłem, a ona zajęta była przystrajaniem sukni, tak bogatej, że zupełnie nie odpowiadała jej stanowi i była czymś niezwykłym w lasach odległych od świata. – Co by się stało, gdybyśmy przybyli parę minut wcześniej lub później? Jeśli zatrzymamy się tak blisko brzegu, narazimy się przecież na poważne niebezpieczeństwo.

–W tym sęk, Judyto, i na tym polega cała trudność! Skala leży bardzo blisko brzegu i niedobrze byłoby kręcić się w jej pobliżu lub dłużej się zatrzymywać. Gdy ma się do czynienia z Indianinem, trzeba bardzo uważać, bo czerwonoskóry kocha się w podstępach. Widzisz, Judyto, że wcale nie steruję ku skale, lecz na wschód, a skutek będzie taki, że Indianie pobiegną w tamtym kierunku i zedrą sobie nogi, a wszystko na nic.

–Uważasz więc, Pogromco Zwierząt, że dzicy nas widzą i śledzą nasze ruchy? Ja spodziewam się, że znów zapadli, w lasy i że przynajmniej na parę godzin dadzą nam spokój.

–Tak może myśleć tylko niewiasta. Nic nie uśpi czujności Indianina, gdy wszedł na ścieżkę wojenną. Dzicy nie spuszczają nas z oczu, choć na jeziorze nic nam nie mogą zrobić. Musimy się chytrze zbliżyć do skały, a równocześnie wyprowadzić w pole tych hultajów. Powiadają, że Mingowie mają dobre nosy; biały człowiek musi swym rozumem dorównać instynktowi dzikiego.

Judyta wdała się z Pogromcą w pogawędkę na różne tematy nie mogąc przy tym ukryć, że młody myśliwy coraz bardziej jej się podoba. Prostota młodzieńca i jej śmiałość (była świadoma swych wdzięków, które budziły powszechne uznanie) sprawiły, że Judyta tym razem mniej niż kiedy indziej starała się ukryć swą sympatię do młodego mężczyzny. Nie można powiedzieć, żeby zachowywała się wyzywająco, lubo chwilami jej spojrzenia były tak swobodne, że musiała je wesprzeć niepospolita uroda, aby zachowanie to nie wzbudziło podejrzeń rzucających cień na powagę, jeśli nie obyczaje, panny Hutter. Atoli spojrzenia, jakie rzucała Pogromcy. Zwierząt, nie mogły wywołać niemiłych domysłów, gdyż rzadko patrzyła nań inaczej niż w szczyry i naturalny sposób, wyrażający najczystsze uczucia kobiety. Było nieco dziwne, że mimo przedłużania się pobytu Huttera w niewoli żadna z dziewcząt nie okazywała większego zaniepokojenia o los ojca. Jednakże, jak już wspomnieliśmy, życie, jakie wiodły, zahartowało je, a nadto liczyły, że wykupią ojca z niewoli, liczyły na to z pewnością, która w znacznej mierze usprawiedliwiała ich pozorną obojętność. Hutter był już raz w rękach. Irokezów i za cenę paru skór odzyskał wolność. Siostry nie wiedziały jednak, że zdarzyło się to w czasie pokoju między Anglią i Francją, kiedy polityka obu rządów kolonialnych zmierzała do trzymania dzikich w ryzach, a nie zachęcania ich do wybryków.

Kiedy Judyta, przymilając się trochę do Pogromcy Zwierząt, roztaczała czary swojej wymowy, Hetty siedziała zamyślona i milcząca. Raz tylko podeszła do Pogromcy i zapytała go, co i jak zamierza zrobić, ale nie zdradziła ochoty do dalszej rozmowy. Kiedy uzyskała odpowiedź na swe proste pytania – odpowiedź wyczerpującą i bardzo uprzejmą -wróciła na swe miejsce, usiadła i dalej szyła ubranie robocze dla ojca. Czasem tylko zanuciła smętną piosenkę i raz po raz wzdychała.

Tak mijał czas, gdy zaś słońce schowało się za zasłonę z sosen porastających wzgórze na zachodzie i zaczęło słać swe promienie zza drzew, a do zachodu brakowało około dwudziestu minut, arka znalazła się na wysokości cypla, na którym Hutter i Harry dostali się do niewoli. Pogromca Zwierząt, kierując arkę to w jedną, to w drugą stronę jeziora, starał się tym sposobem wywołać niepewność Indian co do swych zamiarów. Dzicy, którzy niewątpliwie śledzili jego ruchy, musieli dojść do przekonania, że chce się z nimi spotkać na przylądku lub w jego pobliżu, i na pewno tam pośpieszyli, aby skorzystać z okazji. Podstęp był dobrze pomyślany. Brzeg zatoki zataczał szeroki łuk, grunt na brzegu był niski i bagnisty. Gdyby więc Indianie uganiający się za arką rzeczywiście zebrali się w miejscu, gdzie dwaj biali Wpadli im w ręce, arka mogłaby osiągnąć skałę przed ścigającymi ją Indianami, którzy, biegnąc tam łądem, musieli okrążyć zatokę. Aby jeszcze bardziej zwiść Indian, Pogromca Zwierząt zbliżył się, ile tylko mógł, do zachodniego brzegu. Judycie i Hetty polecił wejść do domu (czyli kabiny), po czym pochylił się tak, aby zakryły go boki promu. Nagle zawrócił dziób arki i całą parą ruszył ku odpływowi Susquehanna. Wiatr przybrał właśnie na sile, dzięki czemu arka posuwała się tak szybko, że zwiększyły się widoki na powodzenie planu Pogromcy. Trudność polegała na tym, że arka

płynęła jak rak, tyłem, co zmuszało sternika do utrzymywania jej dziobu w kierunku odwrotnym do kursu.

ROZDZIAŁ 9

Twoje uśmiechy na błękitu tle

Milsze są niżli pomarszczone lica –

Ziemia z tysiąca wysp ku tobie śle

Krzyki radości, tobą się zachwyca.

Twa chwała, która promieniami gorze,

Spływa z weselem na ląd i na morze.

„Niebiosa”

Aby dopomóc czytelnikowi w zrozumieniu wypadków, jakie zamierzamy opowiedzieć, kreślimy ten oto migawkowy szkic, który pozwoli mu jednym spojrzeniem ogarnąć scenę wydarzeń. Proszę zapamiętać sobie, że jezioro stanowiło basen o kształtach nieregularnych i że linia jego konturu była, z grubsza biorąc, owalna, z tym jednak, że zatoki i przylądki urozmaicały i upiększały brzegi jeziora. Zwierciadło wody świeciło teraz jak klejnot w blaskach zachodzącego słońca, a całą okolicę – i wzgórza przystrojone w najbardziej sutą zieleń lasów – rozjaśniał jakby promienny uśmiech, najlepiej opisany w pięknym wierszu, który umieściliśmy jako motto tego rozdziału. Brzeg, z wyjątkiem paru miejsc, wznosił się stromo nad wodą, nawet tam gdzie góra nie przesłaniała widoku. Stąd nad cichymi wodami jeziora zwiślał niemal nieprzerwany wieniec listowia, drzewa bowiem, które rosły na zboczach wzgórz, pochylały się ku słońcu nad wodą i nierzadko wyciągały swe długie konary i proste pnie na czterdzieści do pięćdziesięciu stóp poza prostopadłą linię brzegu. Mówimy tu o olbrzymach leśnych – sosnach sięgających stu i stu pięćdziesięciu stóp wysokości, bo wiele mniejszych drzew pochyliło się tak, że dolne swe gałęzie zanurzały w wodzie.

Z miejsca, gdzie arka teraz się znajdowała, nie widać było zamku, ponieważ zasłaniał go przylądek, jak zresztą cały północny kraniec jeziora. Wyniosła góra, okryta lasem, o kształtach okrągłych jak wszystkie wzgórza w tych stronach, przesłaniała widok na północy, rozciągając się na całą szerokość pięknego krajobrazu. Jedynie na zachodnim jej skraju zatoka wcisnęła się głęboko w ląd i wydłużyła basen wód jeziora więcej niż na milę. Wspomnieliśmy już, w jaki sposób rzeka, pod sklepieniem liściastych drzew rosnących na obu jej brzegach, wypływała z jeziora. Powiedzieliśmy też, że skała – ulubione przez mieszkańców tych stron miejsce spotkań, gdzie Pogromca Zwierząt oczekiwał właśnie swego przyjaciela – znajdowała się niedaleko odpływu Susquehanna i blisko brzegu jeziora. Był to duży, samotny głaz, który leżał na dnie jeziora od czasu, gdy woda torując sobie drogę do rzeki

obmyła go z ziemi. Kształt nadało mu oddziaływanie żywiołów w ciągu wielu stuleci. Wysokość skały nie przekraczała sześciu stóp. Swym wyglądem, jak już się rzekło, skała najwięcej przypominała kształt zwykle nadawany ulom albo stogom siana. Rozmiarami bliższa była tym drugim. Leżała (i do dziś dnia leży, opisujemy bowiem krajobraz istniejący w rzeczywistości) w odległości pięćdziesięciu stóp od brzegu. W miejscu tym woda miała zaledwie dwie stopy głębokości, w deszczowych jednak porach roku pokrywała okrągły wierzchołek skały. Liczne drzewa sięgały daleko swymi konarami, wskutek czego nawet patrzącemu z bliska mogło się zdawać, iż skała leży na brzegu. Zwłaszcza jedna wysoka sosna rozpostarła nad skałą gałęzie niczym wspaniałe baldachim, godny wielu wodzów leśnych, którzy siadywali tu od niepamiętnych czasów, kiedy to Ameryka była odległą, tajemniczą głuszą, światem zamkniętym w sobie – i nie mającym swej historii ojczystej ani początków dostępnych kronikom ludzkim.

Kiedy arka znalazła się o dwieście czy trzysta stóp od skały, a Pogromca Zwierząt stwierdził, że statek idzie prosto pod wiatr wiejący od brzegu, ściągnął żagiel i zarzucił kotwicę. Arkę, płynącą pod lekkim wiatrem od jeziora, zatrzymał podmuch wiatru od brzegu. Pogromca Zwierząt zluźnił tedy linę łączącą arkę z kotwicą – i statek, pod lekkimi podmuchami wiatru od jeziora, znów zbliżył się do skały. Odkryło się to szybko, statek bowiem ślizgał się po samej powierzchni wody. Młody myśliwy, kiedy Judyta powiedziała mu, że rufę dzieli piętnaście stóp od celu ich wyprawy, zatrzymał arkę.

Pogromca Zwierząt wykonał ten manewr z wielkim pośpiechem, gdyż był zupełnie pewny, że nieprzyjaciel go śledzi i ściga. Niemniej sądził, że klucząc po jeziorze pomieszał szyki Indian, którzy w żaden sposób nie mogli znać istotnego celu jego podróży, jeśli oczywiście któryś z jeńców nie dopuścił się zdrady, co znowu było zbyt nieprawdopodobne, aby się o to martwić. Pogromca Zwierząt wążąc się na zbliżenie do brzegu nie tylko wykonał swój manewr szybko i sprawnie, lecz równocześnie na wszelki wypadek zabezpieczył sobie odwrót. Sam trzymał w ręku linę, a Judycie polecił czuwać przy szparze w ścianie kajuty, przez którą mogła obserwować brzeg i skałę i w porę dać mu znać, że zbliża się wróg lub przyjaciel. Hetty również postawił na czatach i kazał jej nie spuszczać oka z gałęzi nad ich głowami, by wróg nie wdrapał się na drzewo i nie wtargnął na arkę, wtedy bowiem obrona jej nie byłaby już możliwa.

Kiedy Pogromca Zwierząt zatrzymał arkę w opisany przez nas sposób, nie było już słońca nad jeziorem i doliną, do zachodu jednak brakowało jeszcze kilka minut. Pogromca Zwierząt zbyt dobrze znał punktualność Indian, aby podejrzewać swego przyjaciela o pośpiech niegodny mężczyzny. Natomiast można się było obawiać, czy Mohikaninowi, otoczonemu zewsząd przez nieprzyjaciół, uda się wymknąć z ich sieci. Chingachgook nie znał wydarzeń ostatnich dwudziestu czterech godzin, a sam, podobnie jak Pogromca Zwierząt, był nowicjuszem na ścieżce wojennej. Co prawda, przybywając tu, musiał być przygotowany na spotkanie z grupą Indian, którzy wzięli

jego narzeczoną, ale nie mógł znać ani niebezpieczeństw, jakie mu groziły, ani pozycji zajmowanych przez przyjaciół i wrogów. Słowem, wśród niebezpieczeństw, na jakie się narażał, mógł liczyć jedynie na swą wyćwiczoną bystrość i niestrudzoną czujność Indianina.

–Czy nikogo nie ma na skale, Judyto? – zapytał Pogromca Zwierząt, gdy tylko zatrzymał arkę uważając, że byłoby nierozsądnie zbytnio się zbliżyć do brzegu bez wyraźnej potrzeby. – Czy nie widać delawarskiego wodza?

–Nie, Pogromco Zwierząt. Wygląda na to, jakby ani na skale, ani na brzegu, drzewie i jeziorze nigdy jeszcze nie powstała noga ludzka.

–Schowaj się, Judyto, schowaj się, Hetty. Strzelba ma bystre oko, zwinne nogi, a mowa jej niesie śmierć. Schowajcie się tedy, lecz patrzcie dobrze i miejcie się na baczności. Bardzo bym się zmartwił, gdyby którejs z was stało się co złego.

–A pan, Pogromco Zwierząt – zawołała Judyta odwracając swą piękną buzię od szpary w ścianie, aby obdarzyć młodego mężczyznę miłym i pełnym wdzięczności spojrzeniem – pan także niech się schowa i dobrze uważa, żeby dzicy pana nie dostrzegli! Kula może przynieść śmierć tak samo panu, jak jednej z nas; cios, który pana dotknie, uderzy i w nas.

–Nie bój się o mnie, Judyto, nie trzeba, moja. miła. Nie patrz się tutaj, choć jesteś miła i ładna; nie spuszczaaj oka ze skały, brzegu i...

Przerwał mu cichy okrzyk dziewczyny, która, posłuszna jego gwałtownym gestom i słowom, natychmiast zwróciła oczy w stronę brzegu.

–Co tam jest? Co jest, Judyto?! – porywczco zapytał Pogromca. – Czy coś widać?

–Człowiek na skale! Indiański wojownik – umalowany i uzbrojony!

–Gdzie ma sokole pióro? – zapytał niecierpliwie Pogromca Zwierząt zwalniając linę, gotów podплыnąć do miejsca spotkania. – Czy pióro ma przy czubie wojennym, czy też nosi je nad lewym uchem?

–Tak, jak mówisz, nad lewym uchem. Uśmiecha, się i szepcze: Mohikanin.

–Bogu niech będzie chwała, nareszcie Wąż! – zawołał młody myśliwy. Potem przepuszczał linę przez palce tak długo, aż usłyszał, że ktoś lekko skoczył na drugi koniec statku. Wówczas zatrzymał linę i zaczął ją ciągnąć do siebie, teraz już pewny, że cel wyprawy został osiągnięty.

W tej chwili ktoś otworzył gwałtownie drzwi kajuty. Młody wojownik wpadł do małej izby, stanął obok Pogromcy Zwierząt i krzyknął jedno słowo: Hugh! Tuż po nim

krzyknęła Judyta i Hetty. Powietrze zabrzmiało wyciem dwudziestu dzikich, którzy właśnie wyskakiwali z zarośli na brzeg, przy czym niektórzy z nadmiernego pośpiechu wpadali do wody głową na dół.

–Cięgnij, Pogromco Zwierząt! – zawołała Judyta, śpiesznie ryglując drzwi, aby Mingowie nie wtargnęli do kajuty tak samo, jak wszedł do niej Delawar. – Cięgnij! Tu idzie o nasze życie lub śmierć... Jezioro jest pełne dzikich... Biegną w bród za nami!

–Młodzieńcy – bo Chingachgook natychmiast przyszedł z pomocą swemu przyjacielowi – nie czekali na drugie wezwanie, lecz przyłożyli się do pracy z zapalem, który najlepiej świadczył, że uważają sytuację za niezmiernie poważną. Cała trudność polegała na przewyciężeniu siły bezwładu wielkiej masy, jaką przedstawiała arka; trzeba było tylko ruszyć ją z miejsca, potem ślizgała się po powierzchni wody z wystarczającą szybkością.

–Cięgnij, Pogromco Zwierząt, na miłość boską! – znów krzyknęła Judyta ze swego stanowiska. – Te gałgany rzucają się do wody jak sfera za ściganym zwierzem! Ach! Arka rusza! Teraz już woda sięga pod pachy tym, którzy się wysforowali; mimo to biegną dalej i zaraz dosięgną arki!

Dziewczyna jeszcze krzyknęła, a potem radośnie roześmiała się. Okrzyk wywołały rozpaczliwe wysiłki prześladowców, a śmiech – zawód, jaki ich spotkał. Prom nabrał już rozpędu i pruł głęboką wodę z szybkością niweczającą zamiary nieprzyjaciela. Obaj mężczyźni znajdowali się w izbie, z której nie było widać, co się dzieje na tyle statku, musieli więc zapytać dziewczęta, jak daleko jest pościg.

–Co tam, Judyto, co nowego? Czy Mingowie jeszcze nas gonią, czy też na razie dali nam spokój? – spytał Pogromca Zwierząt poznając po ustępowaniu liny, że prom szybko płynie przed siebie, i słysząc równocześnie okrzyk i śmiech Judyty.

–Zniknęli! Właśnie ostatni chowa się w zaroślach na brzegu! O! Już zniknął w cieniu drzew! Ty masz swego przyjaciela, a my wszyscy jesteśmy uratowani!

Obaj mężczyźni znów wytężyli siły, aby podciągnąć arkę do kotwicy. Podnieśli ją szybko, a kiedy arka popłynęła, jeszcze trochę i zatrzymała się, znów zarzucili kotwicę. Od chwili spotkania dopiero teraz przyjaciele mogli trochę odetchnąć. Ich pływający dom znajdował się o paręset stóp od brzegu i nie groziły mu kule. Nic w tej chwili nie zmuszało ich do natychmiastowego działania.

Sposób, w jaki teraz przyjaciele przywitali się, był niezmiernie charakterystyczny. Chingachgook – młody wojownik indiański, szlachetnej postawy, wysoki, przystojny, atletycznej budowy – najpierw dokładnie obejrzał strzelbę i otworzył panewkę, aby sprawdzić, czy proch mu nie zamókł; gdy już upewnił się co do tej ważnej okoliczności, ukradkiem, lecz bystro rozejrzał się po dziwnym mieszkaniu i rzucił

okiem na dziewczęta. Nic jednak nie mówił ani, broń Boże, o nic nie pytał, aby nie okazać w ten sposób kobiecej ciekawości.

–Judyto i Hetty – powiedział Pogromca Zwierząt z nie wyuczoną naturalną uprzejmością – oto wódz mohikański, o którym już wam mówiłem. Nazywają go Chingachgook, co znaczy Wielki Wąż. Imię to zawdzięcza swej mądrości, rozsądkowi i sprytowi. To mój najbliższy przyjaciel. Wiedziałem, że to on, poznałem go po sokolim piórze nad lewym uchem – inni wojownicy noszą je nad czubem wojennym.

Po tych słowach Pogromca Zwierząt serdecznie się roześmiał. Był to wyraz radości, że ma przy sobie przyjaciela zdrowego i całego po przejściu tak ciężkiej próby, gdyż poza tym nic wesołego nie przyszło mu do głowy. Uczucia swe wyraził w sposób o tyle szczególny, że bez hałaśliwej radości. Chingachgook rozumiał i mówił po angielsku, lecz – jak większość Indian – nie kwapił się do wyrażania swych myśli w tym języku. Judyta serdecznie uścisnęła mu rękę, a Hetty skinęła łaskawie głową, co przyjął z uprzejmością, jak przystało wodzowi, i zaraz usunął się na bok, aby poczekać, aż przyjaciel uzna za stosowne wyłożyć mu swe plany na przyszłość i zdać sprawę z tego, co zaszło od chwili ich rozstania. Pogromca Zwierząt dobrze go zrozumiał i przedstawił swój punkt widzenia zwracając się do dziewcząt w te słowa:

–Wiatr ten ucichnie zaraz po zachodzie słońca, nie warto więc teraz wiosłować pod wiatr. Za pół godziny albo nastanie zupełna cisza, albo powieje wiaterek od południowego brzegu, i wtedy ruszymy w drogę powrotną do zamku. Tymczasem Delawar i ja naradzimy się i wspólnie ustalimy, co robić dalej.

Nikt nie sprzeciwił się tej propozycji. Dziewczęta poszły do kajuty przygotować wieczerzę, a dwaj młodzieńcy siedli na przedzie promu i zaczęli rozmowę. Mówili między sobą po delawarsku. Mając na względzie, że jest to narzecze mało znane nawet uczonym, postaramy się nie tylko teraz, ale i w przyszłości rozmowy w języku delawarskim, istotne dla toku naszego opowiadania, oddać możliwie ściśle i płynnie w języku angielskim, zachowując jednak w miarę możliwości idiomy i szczególne właściwości języka osób mówiących, aby obrazy mowy dotarły do czytelnika i nie zostały po drodze pozbawione swej siły plastycznej.

Nie będziemy powtarzać tego, co powiedział Pogromca" Zwierząt, gdyż zdał on sprawę swemu przyjacielowi z wydarzeń znanych już czytelnikowi. Może jednak warto podkreślić, że myśliwy starał się, aby jego opowiadanie było jak najbardziej zwarte, i nic nie wspominał ani o spotkaniu z Irokezem i odniesionym zwycięstwie, ani o swej opiece nad bezbronnymi dziewczętami. Gdy skończył, z kolei głos zabrał Delawar. Mówił zwarte i z wielką powagą. Jego opowiadanie było jasne i krótkie. Nie upiększał go szczegółami nie związanymi bezpośrednio ze sprawami opuszczenia przez niego wiosek delawarskich i przybycia w dolinę Susquehanna. Gdy dotarł do tej rzeki, zaledwie o pół mili na południe od jeziora, zaraz natknął się na ślad, który go ostrzegł, że nieprzyjaciel jest blisko. Był na to przygotowany, gdyż cel jego

wyprawy wymagał zetknięcia się z oddziałem Irokezów, którzy wyruszyli w drogę. Odkrycie swe uznał więc za pomyślne i aby należycie je wykorzystać, podjął zwykłe w takim wypadku środki ostrożności. Wpierw poszedł w górę rzeki, aż do jej źródła, i tam sprawdził położenie skały. Trafił wówczas na drugi ślad, po czym całymi godzinami podchodził nieprzyjaciela, szukając sposobności spotkania swej dziewczyny lub wzięcia skalpu (trudno byłoby powiedzieć, czego więcej pragnął). Trzymał się niedaleko brzegu i co jakiś czas ośmiewał się podejść tak blisko, że mógł zobaczyć, co się dzieje na jeziorze. Arkę ujrzał, jak tylko się pokazała, i śledził jej ruchy, choć oczywiście nie wiedział, że właśnie ona pomoże mu w upragnionym spotkaniu z przyjacielem. To, że arka kluczy i że niewątpliwie kierują nią biali, pozwoliło mu domyślić się prawdy; czekał więc tylko sposobności, aby dostać się na jej pokład. Kiedy słońce schyliło się nad horyzontem, wrócił nad skałę, a kiedy wyszedł z lasu, z radością stwierdził, że statek wyraźnie na niego czeka. Wiemy już, w jaki sposób znalazł się na arce.

Chociaż Chingachgook śledził nieprzyjaciela od wielu godzin, nagłe pojawienie się Mingów i ich zawzięty pościg, gdy tylko znalazł się na promie, był dla niego taką samą niespodzianką, jak dla Pogromcy Zwierząt. Mógł sobie to wytłumaczyć tylko w ten sposób, że widocznie Mingów było znacznie więcej, niż mu się z początku zdawało, i że rozesłali oddziały, o których istnieniu nie wiedział. Regularny i stały obóz Mingów (jeśli słowem „stały” można określić obozowisko grupy Indian, która wyruszyła ze swej wioski najprawdopodobniej tylko na parę tygodni) znajdował się niedaleko miejsca, gdzie Hutter i Hurry wpadli w ich ręce, i oczywiście blisko źródła.

–No dobrze, Wężu – powiedział Pogromca Zwierząt, kiedy Indianin skończył swe krótkie, lecz ciekawe opowiadanie. Mówił cały czas po delawarsku i tylko gwoli wygody czytelnika przetłumaczyliśmy opowiadanie Węża na język ojczysty Pogromcy Zwierząt. Słuchaj, Wężu, skoro śledziłeś Mingów, może mógłbyś powiedzieć nam coś o ich jeńcach – o ojcu tych dziewcząt i jednym takim, który, coś mi się zdaje, jest kochankiem jednej z nich.

–Chingachgook ich widział. Stary człowiek i młody wojownik – powalony świerk i wysoka sosna.

–Wcale nieźle trafiłeś, Delawarze, wcale nieźle. Stary Hutter chylił się już do upadku, pewnie, chociaż sporo solidnych belek można by jeszcze wyciąć z jego pnia; co się tyczy Hurry Harry'ego, gdyby szło tylko o wzrost, siłę i urodę, można by nazwać go chlubą ludzkiego lasu. Czy jeńcy byli związani i czy brano ich na tortury? Pytam się, ze względu na dziewczęta, bo wiem, że bardzo chciałyby się czegoś dowiedzieć.

–Nie, Pogromco Zwierząt. Mingów jest za dużo, aby musieli upolowaną zwierzynę zamykać w klatkach. Jedni czuwają, inni śpią, jedni czatują, inni polują. Dziś blade twarze są traktowane jak bracia, jutro stracą skalpy.

–Tak, taka już jest natura czerwonoskórych, trzeba się z tym pogodzić! Judyto i Hetty, mam dla was dobrą nowinę. Delawar powiada, że waszemu ojcu ani Hurry Harry'emu nic się nie stało poza tym, że są w niewoli; mają się niegorzej od nas. Oczywiście, Indianie trzymają ich w obozie, zresztą jeńcy robią, co im się żywnie podoba.

–Ciesz się mną to bardzo, Pogromco Zwierząt – odparła Judyta. – Teraz, kiedy dołączył się do nas twój przyjaciel, nie wątpię, że znajdziemy sposób wykupienia jeńców, Jeśli w obozie są kobiety, mam dla nich takie suknie, że im się na pewno spodoba. W najgorszym razie otworzymy pocziwą skrzynię i myślę, że tam znajdziemy rzeczy, które skuszą wodzów.

–Judyto – powiedział młody myśliwy patrząc, na nią z uśmiechem i wyrazem poważnego zaciekawienia, co mimo wzrastających ciemności nie uszło bystrym oczom dziewczyny – czy serce nie będzie cię bolało, gdy oddasz swe piękne stroje na wykup jeńców, chociażby jednym z nich był twój ojciec, a drugim zawzięty wielbiciel i ukochany?

Rumieniec oblał policzki dziewczyny – trochę z oburzenia, ale chyba więcej pod wpływem nowego, słodkiego uczucia, które dzięki kapryśnej zmienności gustu dziewczyny nagle sprawiło, że stała się bardziej czuła na to, co myśli o niej młody myśliwy, niż na opinię kogokolwiek innego. Tłumiąc gniew z instynktownym pośpiechem, dała odpowiedź tak przytomną i szczerą, że aż siostra przysunęła się bliżej, choć główkę miała zbyt słabą, aby zrozumieć, co działo się w zdradliwym, niestałym i pochopnym w swych uczuciach sercu pięknej panny, którą zepsuły pochlebstwa.

–Pogromco Zwierząt – odparła Judyta po chwili milczenia – z tobą będę zupełnie szczerą. Przyznaję, był czas, że to, co nazywasz pięknymi strojami, było mi najdroższe w świecie; teraz zaczynam inaczej o tym myśleć. Choć Hurry Harry jest dla mnie niczym i pozostanie mi obojętny, oddam wszystko, co mam, by go uwolnić z rąk Indian. Jeśli gotowa jestem zrobić to dla tego natrętnego krzykacza i gaduły, Hurry'ego, który, poza tym, że jest przystojny, niczym nie mógłby się pochwalić – możesz się sam domyślić, co zrobiłabym dla ojca.

–To brzmi dobrze i odpowiada naturze kobiety. Słowo daję! Z podobnymi uczuciami można się spotkać u młodych kobiet delawarskich. Ileż razy widziałem, jak dla miłości poświęcały swą próżność. Takie powinny być, rzecz naturalna, kobiety jednej i drugiej rasy. Kobieta została stworzona po to, aby mieć serce, i ono też kieruje jej postępkami!

–Czy dzicy uwolnią ojca, jeśli Judyta i ja damy im wszystko, co mamy najlepszego?
– zapytała Hetty z miną jak zwykle słodką i niewinną.

–Ich kobiety mogą się do tego wtrącić, o tak, miła Hetty, mogą się wtrącić, jeśli zobaczą, że im się to opłaci. Ale, powiedz, Wężu, jak tam u tych łotrów z żonami, czy dużo jest kobiet w obozie?

Delawar wszystko słyszał i rozumiał, choć siedział z indiańską powagą i delikatnością, odwróciwszy twarz, jakby nie zwracał uwagi na rozmowę, która bezpośrednio go nie dotyczyła. Gdy jednak przyjaciel zwrócił się do niego z pytaniem, odparł jak zwykle krótko i węzłowato:

–Sześć – powiedział podnosząc wszystkie palce jednej ręki i kciuk drugiej – bez tej. – Ta oznaczała jego narzeczoną... Mówiąc to, romantycznym gestem pierwotnego człowieka przyłożył rękę do serca.

–Czy widziałeś ją, wodzu, czy ujrzałeś jej miłe oblicze i czy zbliżyłeś się na tyle do ucha swej panny, aby zaśpiewać jej ulubioną piosenkę?

–Nie, Pogromco Zwierząt – za dużo było drzew, a liście okryły ich gałęzie, jak chmury przesłaniają niebo podczas burzy. Ale – młody wojownik zwrócił do przyjaciela swą ciemną twarz z uśmiechem, który promieniem ludzkiego uczucia rozjaśnił groźne malowidło i z natury surowe rysy jego oblicza – Chingachgook słyszał śmiech Wah-ta-Wah; rozpoznał go wśród śmiechu kobiet Irokezów. Śmiech, który zabrzmiał w jego uszach jak świr mysikrólika.

–Tak, tak, ufaj uchu kochanka, a nade wszystko uchu Delawara – rozpozna ono każdy dźwięk, jaki można usłyszeć w lasach. Nie wiem, jak się to dzieje, Judyto, ale gdy się młody kawaler zakocha – a myślę, że i każda panna – jakże miłe mu są śmiech i mowa ukochanej osoby. Tak, to bardzo dziwne. Słyszałem, jak posępni wojownicy słuchali szczebiotu i śmiechów dziewcząt niczym muzyki kościelnej, takiej, jaką można usłyszeć w starym holenderskim kościele na głównej ulicy w Albany w mieście, w którym nieraz bywałem, bo. sprzedawałem tam futra i dziczyznę.

–A ty, Pogromco Zwierząt – zapytała nagle Judyta. z większym uczuciem, niż można się było spodziewać po dziewczynie zazwyczaj usposobionej lekkomyślnie i beztrosko – czyś nigdy nie zauważył, jak słodko brzmi śmiech kochanej dziewczyny?

–A niechże cię wszyscy święci mają w swojej opiece, dziewczyno! Toć nigdy nie mieszkałem tak długo wśród białych, abym mógł się zakochać. Nie, nigdy! Myślę, że są to uczucia naturalne. Dla mnie jednak nie ma piękniejszej muzyki nad westchnienia wiatru kołyszącego wierzchołkami drzew i szmer strumyka, który wypływa ze źródła wodą spienioną, czystą i chłodną... „choć nie... – mówił dalej, opuściwszy głowę w zamyśleniu – nie... Jest muzyka jeszcze miłsza memu uchu – to ujadanie ogara, kiedy jesteśmy na tropie tłustego kozła. Ale ogara pewnego, bo co mi po szczekaniu niepewnego psa, który gada byle co, czy czuje jelenia czy nie.

Judyta odeszła wolnym krokiem, pogrążona w myślach. Wymknęło jej się ciche westchnienie, w którym nie było śladu jej zwykłej, świadomej zalotności. Pozostała Hetty, zasłuchana w słowa młodego myśliwego. Jakoś nie mogło się pomieścić w jej słabej główce, że młodzieniec ten woli muzykę lasów od pieśni dziewczęcych, a nawet od niewinnego i radosnego śmiechu. Przywykła jednak do oglądania się we wszystkim na siostrę, wnet więc poszła za Judytą do kabiny, gdzie siadła i długo coś ważyła, jakąś decyzję czy myśl, znaną tylko jej jednej. Pogromca Zwierząt i jego przyjaciel zostali sami. Delawar uprzejmie milczał chwilę, aby jego przyjaciel mógł przemówić pierwszy, po czym zapytał:

–Czy młoda blada twarz od dawna jest nad jeziorem?

–Przyszedłem dopiero wczoraj w południe, Wężu; ale dużo przez ten czas można było zobaczyć i wiele zdziałać.

Indianin utkwiał w swym towarzyszu spojrzenie tak przenikliwe, jakby gęstniejące ciemności nie były dla niego żadną przeszkodą. Kiedy biały zerknął w jego stronę, ujrzał wpatrzoną w siebie parę czarnych oczu błyszczących jak ślepia pantery lub zgłodniałego wilka. Zrozumiał mowę jarzących się oczu i odpowiedział wymijająco, gdyż uważał, że tak wypada uczynić, jeśli ma się naturę białego człowieka.

–Dobrze się, Wężu, domyślasz, tak, coś w tym rodzaju. Spotkałem się z nieprzyjacielem i można by powiedzieć że go pokonałem.

Okrzyk zachwytu i triumfu wyrwał się z piersi Indianina; uradowany położył mocną rękę na ramieniu przyjaciela i zapytał, czy były wzięte skalpy.

–Oświadczę przed całym szczepem Delawarów, starym Tamenundem, twoim ojcem, wielkim Unkasem i wszystkimi innymi, że branie skalpów jest przeciw naturze białego człowieka! Mam swój skalp na głowie, jak widzisz, Wężu, a tylko temu skalpowi groziło niebezpieczeństwo, kiedy po jednej stronie walczył chrześcijanin i biały.

–Czy nie padł żaden wojownik? Pogromca Zwierząt nie otrzymał swego imienia za słaby wzrok i niecelny strzał!

–Teraz, wodzu, mówisz rozsądniej i dlatego bliższy jesteś prawdy. Mogę powiedzieć, że padł jeden Mingo.

–Wódz? – zapytał Indianin niezwykle gwałtownie.

–Ba, tego ci nie powiem, bo sam nie wiem. Był podstępny, pełen zdrady i męstwa, mógł więc zdobyć u swoich takie uznanie, że nadano mu godność wodza. Walczył dobrze, ale jego oko nie było tak bystre jak tego, który wprawiał się przy twym boku, Delawarze.

–Mój brat i przyjaciel powalił Minga?

–Nie było to potrzebne, bo Mingo umarł w mych ramionach. Trzeba od razu powiedzieć prawdę: mój przeciwnik walczył jak czerwonoskóry, ja walczyłem, jak przystało białemu człowiekowi. Bóg stworzył mnie białym, takim będę żył i umrę.

–Dobrze! Pogromca Zwierząt jest bladą twarzą i białe ma ręce. Delawar poszuka skalpu, zatknie go na pal i zaśpiewa pieśń na chwałę bladej twarzy, kiedy wrócimy do swoich. Zaszczyt należy do mego plemienia i nie wolno go stracić.

–Łatwo powiedzieć, trudniej będzie to zrobić. Trup Minga jest w rękach jego przyjaciół, na pewno dobrze go schowali i nawet chytry Delawar nie będzie mógł zdjąć mu skalpu.

Młody myśliwy zdał teraz swemu przyjacielowi w krótkich i jasnych słowach sprawę z wydarzeń ostatniego poranka. Niczego nie ukrywając, zachował jednak skromność i pilnie baczył, aby się nie przechwalać, jak to było w zwyczaju u Indian. Chingachgook jeszcze raz wyraził swą radość z zaszczytu, jaki zdobył jego przyjaciel, po czym obaj powstali, gdyż nadeszła pora, w której rozsądek nakazywał oddalić się od brzegu.

Było już zupełnie ciemno; gwiazdy schowały się, a chmury okryły niebo. Wiatr z północy ustał, jak zwykle po zachodzie słońca, i powiał lekki wietrzyk z południa. Zmiana ta sprzyjała zamiarom Pogromcy Zwierząt, podniósł więc kotwicę i prom zaczął wyraźnie dryfować w głąb jeziora. Po wciągnięciu żagla – statek nabrał szybkości dochodzącej dwóch mil na godzinę. Przy takiej szybkości nie trzeba było wiosłować (jest to zajęcie, którego Indianie bardzo nie lubią). Pogromca Zwierząt, Chingachgook i Judyta siedli z tyłu promu. Młody myśliwy sterował za pomocą wiosła. Rozprawiali o planach na najbliższą przyszłość i o tym, co trzeba zrobić, aby wydostać przyjaciół z niewoli.

W rozmowie tej żywy udział wzięła Judyta. Delawar rozumiał wszystko bez trudu, jego zaś odpowiedzi i uwagi, zresztą nieczęste i zawsze zwięzłe, Pogromca w miarę potrzeby tłumaczył na angielski. W ciągu pół godziny rozmowy Judyta urosła w oczach swych przyjaciół. Decydowała się szybko, umiała bronić swego zdania, jej rady i propozycje świadczyły, że dziewczynie nie brak odwagi i dowcipu, a więc zalet wysoko cenionych przez ludzi pogranicza. Wypadki, które nastąpiły od chwili ich spotkania, fakt, że została sama i bezbronna – wszystko to sprawiło, że odnosiła się do Pogromcy Zwierząt nie jak do osoby poznanej wczoraj, lecz jak do starego przyjaciela. Po raz pierwszy w życiu spotkała tak prawego mężczyznę, urzekła ją otwarta natura i szczerłość uczuć Pogromcy, zaciekały nieco dziwne poglądy młodzieńca. Nabrała do niego zaufania, jakiego nie miała jeszcze do żadnego mężczyzny. Dotąd w spotkaniach z mężczyznami musiała przyjmować postawę obronną; jak jej się to udawało – sama wiedziała najlepiej. Teraz nagle dostała się w

towarzystwo i pod opiekę młodzieńca, który najwyraźniej nie miał wobec niej żadnych złych zamiarów i zachowywał się, jakby był jej bratem. Niezwykła uczciwość Pogromcy, urok i szczerłość jego uczuć, a nawet osobliwy sposób wypowiedzania myśli – wszystko to wywarło na niej wrażenie i wzbudziło zaciekawienie, które wydało się jej równie bezinteresowne, jak było niespodziewane i głębokie. Piękna twarz i męska postać Hurry'ego nie mogły naprawić złego wrażenia, jakie sprawiało jego hałaśliwe i pospolite zachowanie się; znajomość z oficerami pozwoliła Judycie na porównania niekorzystne, dla tego prostaka, mimo całej jego urody. Ale właśnie spotkania z oficerami, którzy czasem przybywali nad jezioro na ryby i na polowanie, zwiększyły jej sympatię do nieznanego młodzieńca. Chociaż oficerowie schlebiali jej próżności i podsycali miłość własną, miała wiele powodów, aby gorzko żałować, że ich poznała – a nawet popłakiwać po kątach. Bystra dziewczyna musiała zauważyć, jak oschłe były jej stosunki z ludźmi należącymi do wyższej warstwy społecznej, musiała odczuć, że nawet ci wielbiciele w szkarłatnych mundurach, którzy mieli wobec niej najlepsze intencje, traktują ją raczej jak zabawkę w chwilach beztróskiego odpoczynku, a nie jak równą sobie znajomą. Pogromcy Zwierząt można było zajrzeć w serce jak przez szkło, za którym świeciło światło jego uczciwości. Nawet obojętność Pogromcy na jej wdzięki, które dotąd nigdy jej nie zawiodły, drażniła teraz jej ambicję i zwiększała zainteresowanie jego osobą, jakiego nie. wywołałby inny mężczyzna, choćby był hojniej obdarzony przez naturę.

Minęło pół godziny. Arka płynęła wolno, wokół niej zapadał zmrok coraz gęstszy. Tyle było widać, że ciemna plama lasu na południowym krańcu jeziora coraz bardziej się oddala, a góry, otaczające ten piękny basen, niemal zupełnie okrywają go cieniem. Środkiem jeziora z północy na południe biegł wąski pas bladej poświaty, jaka jeszcze spływała z nieba na powierzchnię wody. Tym słabo widocznym szlakiem – jakby odbiciem w jeziorze Mlecznej Drogi – na którym ciemność nie była tak gęsta jak gdzie indziej, podążała arka, sternik bowiem dobrze wiedział, że droga ta prowadzi do zamku. Czytelnik niechaj jednak nie sądzi, że trudno było ustalić kurs statku. Kiedy nie można było dostrzec gór na horyzoncie, drogę wyznaczał lekki wiatr oraz nieco jaśniejsza przestrzeń na południu, oznaczająca położenie doliny i widoczna ponad ciemnym masywem wysokopiennego lasu. Osobliwy obraz nocy zwrócił wreszcie uwagę Judyty i Pogromcy Zwierząt. Przeszali rozmawiać i wsłuchiwali się w uroczystą ciszę przyrody pogrążonej w głębokim śnie.

–Ciemna noc – powiedziała dziewczyna po chwili milczenia – mam jednak nadzieję, że trafimy do zamku.

–O to nie ma obawy, jeśli tylko będziemy płynęli środkiem jeziora, trzymając się tej ścieżki – odparł młody myśliwy. – Natura wytknęła nam drogę, dość ciemną co prawda, ale trudno byłoby zablądzić.

–Czy nic pan nie słyszy, Pogromco Zwierząt? Zdawało mi się, że coś pluszcze w wodzie tuż obok arki.

–Coś wyraźnie poruszyło wodę, na pewno ryba. Stworzenia te pożerają się wzajemnie, jak ludzie i zwierzęta na ziemi. Ryba skoczyła ponad wodę i ciężko opadła pogrążając się w swym żywiole. Widzisz, Judyto, na nic zdają się próby wydostania się z własnego żywiołu, natura nie pozwala nikomu wyjść ze środowiska, w którym go umieściła. Ejże! To mi wygląda na szmer wiosła poruszanego z niezwykłą ostrożnością!

W tej chwili Delawar pochylił się naprzód i wymownym gestem pokazał miejsce, gdzie zaczynała się zupełna ciemność, jak gdyby dostrzegł jakiś przedmiot na wodzie. Pogromca Zwierząt i Judyta spojrzeli we wskazanym kierunku i oboje równocześnie zobaczyli czółno. Niepokojący gość ukryty był w mroku i mniej wprawne oczy w ogóle by go nie dostrzegły. Ludzie na arce ujrzeli jednak czółno, w którym ktoś stał wyprostowany i wiosłował. Oczywiście, nikt nie wiedział, ilu ludzi leży ukrytych na dnie czółna. Wykluczone było, aby arka, nawet gdyby przyłożyli się do wiosel, mogła uciec przed lekkim czółnem, w którym siedział zapewne silny i zręczny wiosłarz. Mężczyźni chwycili tedy za strzelby gotując się do walki.

–Mogę bez trudu położyć wiosłarza – szepnął Pogromca Zwierząt – ale najpierw zawołamy na niego i zapytamy, czego tu szuka. – Po czym zawołał uroczystym głosem: – Stój! Jeśli się zbliżysz, będę musiał strzelić, choć wcale tego nie pragnę, a wtedy na pewno zginiesz. Przestań wiosłować i odpowiedz!

–Strzelaj i zabij biedną, bezbronną dziewczynę! – odpowiedział miły i drżący głos kobiety. – Bóg nigdy ci tego nie wybaczy! Idź swoją drogą, Pogromco Zwierząt, i pozwól mi zrobić to samo.

–Hetty! – zawołali równocześnie Pogromca i Judyta, która natychmiast skoczyła do miejsca, gdzie przywiązana była łódź holowana na linie. Czółno zniknęło, Pogromca zrozumiał wszystko. Zbieg, przestraszony groźbą Pogromcy, przestał wiosłować. Widać go było niewyraźnie, jakby widmo ludzkie stało na wodzie. Spuścili zaraz żagiel, aby arka nie minęła czółna. Ale było już za późno, ciężki statek, pchany siłą rozpędu i wiatrem, szybko minął Hetty i zostawił ją za sobą. Było ją widać, gdyż znalazła się teraz na swego rodzaju Mlecznej Drodze, o której już wspomnieliśmy.

–Co to ma znaczyć, Judyto? – zapytał Pogromca Zwierząt. – Czemu twoja siostra zabrała czółno i opuściła nas?

–Wie pan, że ona nie jest mądra, biedna Hetty! Widocznie ma własne zdanie o tym, co należy zrobić. Kocha ojca bardziej, niż dzieci miłują swych rodziców, a poza tym...

–Co poza tym, dziewczyno? Sytuacja jest bardzo ciężka – trzeba powiedzieć prawdę!

Judyta czuła szlachetną kobietą niechęć do zdrady tajemnicy siostry i zawahała się, nim przemówiła po raz wtóry, lecz przynaglona jeszcze raz przez Pogromcę i zdając sobie sprawę, na jakie niebezpieczeństwo naraził ich nierozważny, krok Hetty, nie opierała się dłużej.

–Otóż, obawiam się, że biedna Hetty nie umiała dostrzec próżności, głupoty i szaleństwa, jakie kryją się za piękną twarzą i postacią Hurry Harry'ego. Mówi o nim przez sen i nieraz na jawie zdradza się ze swego uczucia.

–Czy pani sądzi, Judyto, że siostra chce wykonać jakiś szalony plan uwolnienia jeńców, który jak widać, od- dałby czołno w ręce tych padalców, Mingów?

–Boję się, że tak się stanie, Pogromco Zwierząt. Biedna Hetty jest za mało. sprytna, by mogła oszukać dzikich.

Czołno z Hetty stojącą na jednym jego końcu było jeszcze widoczne, ale ruch arki sprawiał, że powoli rozplywało się w mroku. Oczywiście było, że nie można tracić czasu, gdyż za chwilę łódka zupełnie zniknie. Mężczyźni odłożyli więc strzelby, jako niepotrzebne, a chwycili za wiosła i zawrócili arkę w kierunku czołna... Judyta, przywykła do tej pracy, skoczyła na drugą stronę i stanęła przy sterze. Hetty, zaniepokojona tymi przygotowaniami, które nie mogły się obejść bez hałasu, zaczęła uciekać jak ptak, który zerwał się do lotu, gdyż nagle ujrzał, że zbliża się nieoczekiwane niebezpieczeństwo.

Pogromca Zwierząt i jego towarzysze wiosłowali z energią ludzi zdających sobie sprawę z konieczności wyłożenia wszystkich sił, natomiast Hetty osłabiała nerwowa chęć ucieczki, pościg więc szybko by się skończył ujęciem zbiega, gdyby dziewczyna nie wykonała kilku nagłych i nieprzewidzianych zwrotów. W ten sposób zyskała na czasie, a poza tym arka i czołno coraz bardziej pogrążyły się w cieniu rzucanym przez wzgórze. Odległość między zbiegiem a pościgiem zwiększała się, aż wreszcie Judyta wezwała towarzyszy, aby przestali wiosłować, bo zupełnie straciła czołno z oczu.

Kiedy Judyta podawała swym towarzyszom do wiadomości tę smutną nowinę, Hetty była tak blisko, że mogła zrozumieć każde słowo siostry, chociaż Judyta zachowując ostrożność, jakiej wymagało ich położenie, mówiła tak cicho, aby tylko mężczyźni mogli ją dosłyszeć. Hetty również przestała wiosłować i czekała, co będzie dalej, dysząc ciężko zarówno ze zmęczenia, jak i podniecenia, nie mogła się bowiem doczekać chwili wyjścia na brzeg. Grobowa cisza zaległa teraz jezioro. Troje ludzi na arce w różny sposób natężyło swe zmysły starając się znaleźć ukryte czołno. Judyta wychyliła się za burtę i nasłuchiwała w nadziei, że dojdzie ją odgłos, który zdradzi, w jakim kierunku umyka siostrzyczka; obaj mężczyźni pochylili się, tak nisko, jak tylko mogli, nad powierzchnię jeziora i wytyżali wzrok starając się ujrzeć cokolwiek na powierzchni wody. Wszystko nie zdało się jednak na nic – niczego nie usłyszeli ani

nie ujrzeli. Przez cały czas Hetty, która nie była na tyle sprytna, aby położyć się w czółnie, stała wyprostowana, z palcem przyciśniętym do ust i patrzyła w stronę, skąd dobiegały ją głosy – podobna do posągu wyobrażającego niecierpliwe i niespokojne oczekiwanie. Wystarczyło jej rozumu tylko na to, aby zabrać czółno i po cichu opuścić arkę, na tym jednak dowcip jej zupełnie się wyczerpał. Nawet manewry czółnem raczej wywołane były niepewnością jej ręki i nerwowym podnieceniem niż świadomym podstępem.

Przerwa w pościgu trwała kilka minut. Pogromca Zwierząt i Wąż rozmawiali po delawarsku. Potem wiosła znów zanurzyły się cichutko w wodzie i arka ruszyła. Sterowali na zachód z lekkim odchyleniem na południe – w kierunku nieprzyjacielskiego obozu. Dotarłszy do przylądka, niedaleko od brzegu, stali tam około godziny w gęstym mroku, wywołanym bliskością lądu, czekając na przybycie Hetty, która jak sądzili, pośpieszy tu, przekonana, że już jej nie grozi pościg arki. Nic jednak nie wyszło z tej małej blokady; ani nie zobaczyli, ani nie usłyszeli czółna. Pogromca Zwierząt zawiedziony w swych nadziejach, świadom, że należy wziąć w posiadanie twierdzę, zanim zdobędzie ją nieprzyjaciel, ruszył w drogę ku zamkowi. Towarzyszyła mu obawa, że cała jego przezorność, jakiej użył zabezpieczając czółna, nie zdała się na nic wskutek nieostrożnego i niepokojącego postępu Hetty.

ROZDZIAŁ 10

Ale kto w tej puszczy

Może zawierzyć oczom albo uszom?

Puste jaskinie i skalne przepaście

Wśród tajnych szumów szeleszczących liści,

Trzaskań gałęzi i powrzasków ptactwa –

Wtórzą echem odzewu.

Joanna Baillie

Trochę ze strachu, a trochę z rozmysłu Hetty przestała wiosłować, gdy się spostrzegła, że ścigający ją nie wiedzą, w jakim kierunku mają płynąć. Pozostała bez ruchu aż do chwili, gdy arka podążyła w stronę obozu, o czym pisaliśmy w poprzednim rozdziale. Wówczas podjęła wiosło i z wielką ostrożnością ruszyła ku zachodniemu brzegowi. Aby uniknąć spotkania z arką, która jak Hetty słusznie przypuszczała, musiała niebawem przepłynąć wzdłuż zachodniego brzegu, skierowała dziób czółna bardziej na północ, by dotrzeć do przylądka wybiegającego w jezioro w odległości około mili od odpływu Susquehanna. Manewr ten nie był wcale owocem pragnienia ucieczki; słaba na umyśle Hetty Hutter miała sporo tej instynktownej ostrożności, jaka często chroni istoty dotknięte przez Boga kalectwem umysłowym. Hetty doskonale wiedziała, że w żadnym razie czółno nie powinno się dostać w ręce Irokezów. Dawna i dokładna znajomość jeziora podsunęła jej bardzo prosty sposób, dzięki któremu mogła pogodzić to ważne zadanie ze swymi własnymi zamiarami.

Przylądek był pierwszym występem lądu po tej stronie jeziora. Czółno puszczone stąd z wiatrem wiejącym z południa nie zawadziłoby o brzeg i można było z dużym prawdopodobieństwem liczyć na to, że samo dotrze do zamku, który leżał dokładnie na kierunku wiatru. Tak też zamyślała postąpić Hetty. Wylądowała na piaszczystym cyplu przylądka pod zwisającym nad wodą dębem, zamierzając odepchnąć czółno od brzegu, aby popłynęło z wiatrem ku wysepce, na której stał dom jej ojca. Przyglądała się nieraz pniom, które pływały po jeziorze, i stąd wiedziała, że jeśli nawet czółno minie zamek i jego przyległości, wiatr zmieni kierunek, zanim dopłynie do północnego krańca jeziora, więc Pogromca Zwierząt będzie mógł je odzyskać, kiedy rankiem będzie bacznie przeszukiwał za pomocą lunety zarówno jezioro, jak i jego zalesione brzegi. W tym wszystkim Hetty kierowała się raczej siłą przyzwyczajenia niż logicznym rozumowaniem. Przyzwyczajenie często bowiem zastępuje braki ludzkiego umysłu, podobne przysługi oddając zwierzętom niższego rzędu.

Dziewczyna wędrowała do przylądka niemal godzinę. Trwało to tak długo zarówno ze względu na odległość, jak i ciemności. Na piaszczysty brzeg wyszła dopiero wtedy, gdy przygotowała łódkę do puszczenia jej z wiatrem. Właśnie odpychała ją od brzegu, gdy usłyszała ciche głosy, które, zdawało się jej, dobiegały z tyłu, spośród drzew. Wystraszona tym niespodziewanym niebezpieczeństwem, Hetty już chciała znów wskoczyć w łódkę i szukać ratunku w ucieczce, gdy zdało się jej, że poznaje melodyjny głos Judyty. Pochyliła się w przód, aby lepiej słyszeć, i zrozumiała, że głosy dobiegają od wody. Domyśliła się, że arka płynie z południa, i to tak blisko brzegu, że pewnie minie przylądek w odległości około dwudziestu jardów. Niczego więcej nie pragnęła; silnie pchnięte czółno poszło na wodę, pozostawiając wioślarkę samą na wąskim brzegu.

Hetty nie uciekła po dokonaniu tego aktu poświęcenia. Listowie drzew i krzaków zwisających nad wodą byłoby dla niej niezłą kryjówką nawet przy świetle dziennym; teraz zaś było tak ciemno, że ktokolwiek by się tu schował, nie dostrzegłbyś go nawet z odległości paru stóp. ' Ucieczka też nie przedstawiała najmniejszej trudności, bo wystarczyło przebiec dwadzieścia kroków, aby zaszyć się w lesie. Hetty została więc na miejscu, czekając z biciem serca na wynik swego manewru, zdecydowana zawołać i zwrócić ich uwagę na czółno, gdyby go nie zauważyli. Tymczasem arka, znowu pod żaglem, zbliżała się do brzegu. Pogromca z Judytą stali na przedzie statku, Delawar sterował. Można się było domyślić, że w zatoce poniżej przylądka arka podpłynęła do samego brzegu. Widocznie jej pasażerowie nie stracili jeszcze nadziei schwytania zbiega. Gdy byli już blisko, Hetty wyraźnie usłyszała głos młodego myśliwego, który z przodu statku dawał wskazówki swemu przyjacielowi, jak ma wyminąć przylądek.

–Kieruj się na jezioro, Delawarze – już po raz trzeci powiedział Pogromca Zwierząt. Mówił po angielsku, aby piękna towarzyszka też mogła go zrozumieć. – Trzymaj się dziobem od brzegu! Wpakowaliśmy się w zatokę, trzeba teraz uważać, aby maszt nie zawadził o gałęzie. Judyto – czółno!

Ostatnie słowa wymówił z wielkim przejęciem. Nim zdążył skończyć, już trzymał w ręce strzelbę. Bystra dziewczyna błyskawicznie odgadła, co się stało, i zaraz powiedziała swemu towarzyszowi, że to na pewno czółno, w którym uciekła jej siostra...

–Steruj prosto, Delawarze, prosto, jak leci kula, którą posłałeś jeleniowi. Czekaj – już mam!

Rzeczywiście złapał łódkę i zaraz przywiązał ją do boku arki. Ściągnęli teraz żagiel i za pomocą wiosel zatrzymali statek.

–Hetty! – zawołała Judyta, a w głosie jej zabrzmiała troska i miłość do siostry – jeśli słyszysz mnie, siostro – na miłość boską, odpowiedz, niech jeszcze raz usłyszę twój

głos! Hetty! kochana Hetty!

–Jestem tu, Judyto, tutaj na brzegu. Nawet nie próbujcie mnie gonić, bo zaraz schowam się w lesie.

–O, Hetty, co ty robisz! Pomyśl, zbliża się północ, a lasy pełne są Indian i dzikich zwierząt!

–Nic nie zrobią biednej, niemądrej dziewczynce, Judyto. Bóg jest tutaj ze mną, jak był na arce i w domu. Idę na pomoc ojcu i biednemu Hurry Harry'emu; będą ich męczyć i zabijają, jeśli ktoś się za nimi nie ujmie.

–Wszyscy myślimy o nich; chcemy jutro wysłać do Indian posła z białą chorągwią, abyśmy mogli zawrzeć rozejm i wykupić jeńców. Wracaj, siostrzyczko! Zaufaj nam, mamy głowy mocniejsze od twojej – zrobimy dla ojca wszystko, co będzie w naszej mocy.

–Wiem, że masz, Judyto, głowę mocniejszą niż moja. Choć moja taka słabiotka i tak pójdę do ojca i biednego Hurry'ego. Ty, siostrzo, wraz z Pogromcą Zwierząt broń zamku, a mnie pozostawcie w rękach Boga.

–Bóg jest z nami wszystkimi, Hetty; w zamku – tak samo jak na brzegu, z ojcem i z nami. To grzech nie ufać Jego dobroci. Nic w tych ciemnościach nie zrobisz, zabłądzisz w lesie i zginiesz z głodu!

–Bóg, siostrzo, nie pozwoli, żeby się stała krzywda biednemu dziecku, które idzie pomóc swemu ojcu. Muszę odnaleźć dzikich.

–Wróć tylko na jedną noc! Rano wysadzimy cię na brzeg i zrobisz, co będziesz chciała.

–Tak mówisz, Judyto, i tak myślisz, ale tak nie zrobisz. Serce ci zmięknie, a przed oczyma zjawią się tomahawki i noże do skalpowania. A zresztą, powiem wodzowi Indian coś takiego, że spełnią się wszystkie nasze pragnienia; boję się, że zapomnę, co mam powiedzieć, jeśli zaraz mu tego nie powiem. Zobaczysz, wypuści ojca natychmiast, jak tylko to usłyszy!

–Biedna Hetty! Cóż ty możesz powiedzieć okrutnemu Indianinowi, co by zmieniło jego krwiożercze zamiary!

–Powiem mu coś takiego, co go przestraszy i skłoni do uwolnienia ojca – odparła z przekonaniem uboga duchem dziewczyna. – Zobaczysz, siostrzo, zobaczysz sama, od ra. zu stanie się grzeczny jak małe dziecko.

–A mnie mogłabyś wyznać, Hetty, co chcesz powiedzieć? – zapytał Pogromca

Zwierząt. – Znam dobrze dzikich i mógłbym się zorientować, czy i o ile piękne słowa mogłyby wpłynąć na ich okrutną naturę. Jeśli twoje słowa nie będą odpowiadały naturze czerwonoskórego, szkoda każdego gadania, bo – uważasz – rozum i postępowanie człowieka podlegają zawsze jego naturze

–No, dobrze – odparła Hetty ścisząc głos i przybierając tajemniczy ton. Mimo to słyhać ją było dobrze, noc bowiem była cicha, a arka stała tuż przy brzegu. No, dobrze, Pogromco Zwierząt, wyglądasz mi na młodzieńca dobrego i zacnego, tobie mogę powiedzieć. Zamierzam nie odezwać się ani słowem do dzikich, póki nie stanę twarz w twarz z ich naczelnym wodzem; mogą mnie zanudzać swymi pytaniami, jak długo im się będzie podobało, a ja nic nie odpowiem, tylko każę się zaprowadzić do najmądrzejszego z nich. Wtedy, Pogromco Zwierząt, powiem mu, że Bóg nie przebaczy im mordów i kradzieży i że ojciec poszedł z Hurry'm do Irokezów po skalpy, a oni mają za złe odpłacić dobrem, bo tak nakazuje Biblia, a jak nie – to będą potępieni na wieki. Kiedy on to usłyszy i zrozumie, że to wszystko prawda – a musi zrozumieć – zaraz odeśle ojca i Hurry'ego, i mnie na brzeg naprzeciw zamku i powie nam, żebyśmy odeszli w pokoju, prawda? Ostatnie zdanie dziewczyna wypowiedziała tonem triumfu i roześmiała się na myśl o wrażeniu, jakie jej pomysł niechybnie zrobił na słuchaczach. Pogromca aż oniemiał na ten dowód świętej naiwności. Judyta jednak szybko za stanowiała się, jakby tu zaradzić dzikiemu pomysłowi siostry i zniweczyć go przez oddziaływanie na te same uczucia, które go zrodziły. Jakby nie dosłyszała ostatniego zdania i głupiego śmiechu siostry, szybko zawołała ją po imieniu tonem, który wskazywał, że ma coś ważnego do powiedzenia. Głos jej pozostał bez odpowiedzi.

Trzask gałęzi i szelest liści świadczyły, że Hetty opuściła brzeg i zaszła się w lesie. Pościg był bezcelowy, gdyż mrok i gęsta osłona; jaką las dawał uciekającej, niemal wykluczały możliwość pojmania zbiega nie mówiąc już o poważnym niebezpieczeństwie dostania się w ręce wroga. Po krótkiej i smętnej naradzie żagiel znów poszedł w górę i arka ruszyła do swej przystani. Pogromca Zwierząt złożył sobie nieme gratulacje z powodu odzyskania czółna, po czym zamyślił się nad planami na dzień następny. Kiedy opuszczali przylądek, podniósł się wiatr – w niecałą godzinę dopłynęli do zamku. Zastali tu wszystko bez zmian. Do domu weszli tak samo, jak wyszli; tylko kolejność zabiegów była odwrotna niż przy opuszczaniu zaniku. Tej nocy Judyta znalazła się w łóżku sama, bez siostry. Łzami zraszała poduszkę myśląc o niewinnej i dotąd zaniebawianej przez nią istocie, która od dzieciństwa była jej towarzyszką. Gorzkie wyrzuty (z wielu powodów) dręczyły ją w ciągu nieznośnie długich godzin, aż wreszcie

nad ranem sen odegnał złe wspomnienia. Pogromca Zwierząt i Delawar położyli się w arce i tam ich też zostawimy, zażywających głębokiego snu, jak przystało ludziom uczciwym, zdrowym i nieustraszonym, a sami wrócimy do

dziewczyny, którą ostatnio widzieliśmy samą wśród lasu. Hetty, opuściwszy brzeg,

bez wahania pogrążyła się w lesie, drżąc na myśl, że ją ścigają. Na szczęście, poszła w kierunku, który mógł ją zaprowadzić do celu wyprawy. Było to zresztą jedyne wyjście z przylądka. Noc była czarna, pod gałęziami drzew panował mrok tak gęsty, że posuwała się naprzód pomału i już po kilku jardach drogi szła zupełnie na oślep. Jednakże ukształtowanie terenu nie pozwalało jej zejść z kierunku, jaki obrała. Po chwili zbocze wzgórza zagrodziło jej drogę z jednej strony, a z drugiej przewodnikiem stał się brzeg jeziora, szła więc między wzgórzem a jeziorem. Przez dwie godziny ta dziewczyna prostego serca i umysłu przedzierała się przez leśny labirynt; czasem zatrzymywała się na krawędzi brzegu, to znów zaczynała się wspinać pod górę, co było ostrzeżeniem, że zmyliła drogę i że poszła pod kątem prostym do właściwego kierunku. Nieraz pośliznęła się i wiele razy upadła, ale nic się jej nie stało. Po dwóch godzinach ogarnęło ją takie zmęczenie, że nie miała już siły iść dalej. Trzeba było odpocząć. Zabrała się więc do siania legowiska z zaradnością i spokojem osoby, dla której puszcza to nic strasznego. Wiedziała, że w tych lasach pełno jest dzikich zwierząt, lecz rzadko spotyka się takie, które rzucają się na ludzi, a niebezpiecznych węży w ogóle tu nie ma. Wiedziała o tym od ojca. Jeśli zaś coś raz już trafiło do jej słabej głowy, przyjmowała to z taką ufnością, że żadne niepokojące wątpliwości nie miały do niej dostępu. Pełna wzniosłości głusza, w jakiej się znalazła, miała dla niej coś kojącego i bynajmniej jej nie przerażała. Zrobiła sobie postanie z liści, tak obojętna na otoczenie, które spędziłoby sen z powiek każdej innej kobiety, jakby słała sobie łóżko pod ojcowskim dachem.

Ziemia była wilgotna, Hetty nazbierała więc suchych liści. Gdy skromne postanie było już gotowe, uklękła obok, wzniosła złożone pobożnie ręce i słodkim, cichym, lecz wyraźnym głosem powtarzała słowa „Ojcze nasz”. Potem odmówiła krótką, prostą modlitwę, w której poleciła Bogu swą duszę, gdyby powołał ją na tamten świat, zanim nadejdzie dzień. Po odmówieniu pacierza ułożyła się do snu. Jej sukienka była dość ciepła, w lesie jednak zawsze jest chłodno, a noce w tych górzystych okolicach nawet w lecie są dość zimne. Hetty pamiętała o tym, zabrała więc ze sobą gruby i ciężki kaftan, którym nakryła się jak kocem. Tak osłonięta przed zimnem, spokojnie – jakby czuwała nad nią matka, którą niedawno straciła na zawsze – zasnęła na nędznym postaniu, jakże niepodobnym do poduszki, na której w domu nie mogła znaleźć snu jej siostra.

Godziny mijały w niczym nie zmaćconej ciszy. Hetty Hutter spała tak słodko, jakby niebo zesłało anioła, aby czuwał nad jej postaniem. Przez całą noc nie otworzyła oczu – aż dopiero szary brzask dnia przeniknął przez korony drzew, padł na jej powieki i wraz z chłodem letniego poranka dał znać śpiącej, że pora się obudzić. Zazwyczaj Hetty wstawała, zanim promienie słońca zdążyły dotknąć wierzchołków gór, dziś jednak była tak zmęczona i spała tak smacznie, że zwykła pobudka nic nie pomogła. Dziewczyna zamruczała coś przez sen, wyciągnęła rękę, uśmiechnęła się słodko jak dziecko w kołysce i spała dalej. Ręka, którą poruszyła przez sen, dotknęła czegoś ciepłego; na pół przebudzona dziewczyna pomyślała, że to jej kaftan. W tej chwili coś

silnie uderzyło ją w bok, jakby jakieś zwierzę ryjące w ziemi wystawiło pysk i chciało wydostać się na wierzch. Hetty zawołała: „Judyto!” i obudziła się. Przerazona usiadła i zobaczyła, że coś czarnego szybko z niej zeskoczyło sypiąc liśćmi i łamiąc pod sobą suche gałęzie. Hetty szeroko otworzyła oczy i ochłonawszy z pierwszego wrażenia ujrzała młodego misia (z rodziny często spotykanych w Ameryce niedźwiedzi brunatnych), kołyszącego się na tylnych łapach, jakby się zastanawiał, czy może jej zaufać i wrócić. Pierwszą myślą Hetty, która miała już kilka takich niedźwiadków, było podbiec i wziąć na ręce małe stworzenie jako zdobycz tego ranka, lecz głośny pomruk ostrzegł ją, że byłoby to niebezpieczne. Cofnęła się parę kroków, szybko obejrzała się wokół i zobaczyła niedźwiedzicę, która z dość bliska, świecącymi oczami, śledziła ruchy dziewczyny. Wydrążone drzewo, kiedyś mieszkanie pszczół, musiało się niedawno zwalić. Matka, korzystając z tej okazji, wraz z dwoma misiami zajadała się wybornym miodem wodząc niespokojnym wzrokiem za trzecim dzieckiem, które lekkomyślnie od niej odeszło.

Zbyt mało jeszcze wiemy o zwierzętach, abyśmy mogli analizować pobudki ich postępów. W naszym przypadku niedźwiedzica, choć przysłowiowo zła na widok swego dziecka w niebezpieczeństwie, wcale nie objawiała ochoty, by zaatakować dziewczynę. Zostawiła miód, podeszła do Hetty na odległość dwudziestu stóp, stanęła na tylnych łapach i kiwała się mrużąc z wyraźną niechęcią, ale bardziej się nie zbliżała. Na całe szczęście, Hetty nie próbowała uciec. Ukłękła, choć nie bez strachu, z twarzą zwróconą ku zwierzęciu, złożyła ręce, wzniosła oczy ku niebu i zmówiła tę samą modlitwę co w nocy. Ten pobożny akt nie był jednak podyktowany strachem; kiedy szła spać i kiedy budziła się rano do zajęć dziennych – nigdy nie zaniebdywała modlitwy. Gdy się podniosła z klęczek, niedźwiedzica znowu stanęła na czterech łapach, zebrała misie i pozwoliła im ssać ich naturalny pokarm. Hetty była zachwycona tym dowodem czułości zwierzęcia, które nie cieszy się opinią zdolnego do tkliwych uczuć. Gdy więc jeden z misiów odłączył się od matki i zaczął swawolnie podskakiwać i fikać koziołki, Hetty miała ogromną ochotę wziąć go na ręce i pobawić się z nim. Ostrzegło ją mruczenie starej, zaniechała więc tego ryzykownego pomysłu. Przypomniała sobie, po co tu przyszła, odłączyła się więc od niedźwiedziej rodziny i ruszyła w drogę wzdłuż brzegu jeziora, które przeświecało teraz przez drzewa. Ku jej zdziwieniu rodzinka też wstała i szła za nią dość blisko, śledząc najwyraźniej każdy jej ruch, tak jakby wszystko, co robi dziewczyna, ogromnie interesowało mamę i jej troje niedźwiadków. Hetty nie bała się już swego towarzystwa.

W ten sposób, eskortowana przez niedźwiedzicę i jej dzieci, Hetty przeszła około mili – czyli trzy razy tyle, ile w tym samym czasie zrobiła nocą – aż zatrzymała się nad strumykiem, który wyłobił sobie koryto w ziemi i z wysokości stromego brzegu, w cieniu drzew, z szumem wpadał do jeziora. Hetty umyła się, wypila trochę czystej wody górskiej i odświeżona, raźniejsza ruszyła dalej, ciągle prowadząc za sobą swych niezwykłych towarzyszy. Droga szła teraz szerokim i niemal równym tarasem, rozciągającym się między brzegiem jeziora a niewysokim zboczem, które wznosiło

się ku drugiej, podobnej płaszczyźnie, bardziej jednak nierównej. Linia wzgórz opadała tutaj ku położonej na południowym brzegu jeziora równinie, otoczonej wzgórzami. Z ukształtowania terenu Hetty domyśliła się, że obóz jest niedaleko, a zresztą zachowanie się niedźwiedzi wskazywało, że wietrzą ludzi. Niedźwiedzica węsząc powietrze nie zgodziła się iść dalej, chociaż dziewczyna, co chwilę się oglądając, w dziecinny sposób dawała jej znaki zachęcające do dalszej drogi, a nawet przemawiała do niej swym miłym głosem. Gdy tak szła wolno wśród zarośli, z odwróconą głową i oczami utkwionymi w nieruchomej gromadce niedźwiedzi, nagle zatrzymała ją czyjaś ręka, która lekko dotknęła jej ramienia.

–Dokąd iść? – zapytał łagodny głos kobiety tonem wyrażającym pośpiech i zaniepokojenie – Indianin... czerwony człowiek... dziki... zły wojownik... tam...

To nieoczekiwane powitanie nie przestraszyło Hetty, podobnie jak nie zatrwożyło jej spotkanie dzikich mieszkańców lasów. Trochę ją to, co prawda, zdziwiło, ale właściwie była przygotowana na tego rodzaju spotkania, a poza tym osoba, która ją zatrzymała, wyglądała chyba najmniej groźnie z całego indiańskiego rodu. Była to dziewczyna niewiele od niej starsza; w uśmiechu jej było tyle słońca, ile jaśniało na obliczu Judyty w najbardziej radosnych chwilach, głos miała niezwykle melodyjny, a w jej mowie i obejściu zebrała się cała trwożliwa słodycz kobiet indiańskich, traktowanych jak sługi i niewolnice wojowników. Kobiety należące do tubylczych plemion amerykańskich nierzadko bywają piękne – póki nie zniszczą ich ciężkie obowiązki żon i matek. Pod względem stosunku do kobiet pierwsi panowie tego kraju nie różnią się od swych bardziej cywilizowanych następców. Natura obdarzyła indiańskie dziewczęta ową subtelnością rysów i kształtów, która stanowi o wdzięku młodej kobiety. Niestety, Indianki szybko więdną: winne są temu głównie ciężkie obowiązki domowe.

Indianka, która tak niespodziewanie zatrzymała Hetty, miała na sobie bawełniany kaftanik. Resztę jej stroju stanowiła krótka, sięgająca po kolana spódniczka z niebieskiego sukna, z brzegiem lamowanym złotem, pończochy z tego samego materiału i mokasyny z jeleniej skóry. Włosy długimi, czarnymi warkoczami opadały jej na ramiona i plecy, a przedział nad niskim i gładkim czołem łagodził wyraz jej oczu, pełnych sprytu i naturalnego wdzięku. Twarz miała owalną, rysy delikatne, zęby równe i białe. Usta wyrażały łagodny smutek – jakby zapowiedź przeczuwanego losu istoty, której od urodzenia pisana jest ciężka dola kobiety, znajdującej ukojenie swych cierpień we własnym, kobiecym sercu. Głos dziewczyny, jak już wspomnieliśmy, był łagodny jak tchnienie nocnego wietrzyka. Jest to cecha właściwa kobietom indiańskim, jej głos był jednak tak. niezwykle cichy i łagodny, że zawdzięczała mu swe imię: Wah-ta-W-ah, co znaczy Cyt-o-Cyt.

Słowem, była to narzeczona Chingachgooka. Udało się jej uśpić czujność tych, którzy ją wzięli i uzyskała pozwolenie na przechadzki w pobliżu obozu. Indianie na ogół pobłażliwie odnoszą się do jeńców i branek, w tym zaś przypadku wiedzieli

dobrze, że w razie ucieczki, pościg śladem dziewczyny nie byłby trudny. Musimy też wziąć pod uwagę, że Irokezi, czyli Huroni (ta druga nazwa jest bardziej odpowiednia), nie mieli pojęcia o przybyciu narzeczonego Wah-ta-Wah, zresztą i ona sama też o tym nic nie wiedziała.

Trudno byłoby powiedzieć, kto okazał więcej opanowania przy tym niespodziewanym spotkaniu – blada twarz czy czerwonoskóra dziewczyna. Wah-ta-Wah jednak, choć nieco zdziwiona, więcej okazywała chęci do rozmowy, a poza tym znacznie lepiej niż Hetty zdawała sobie sprawę, że ich spotkanie może mieć przykre następstwa, myślała więc, jak im zapobiec. Gdy była mała, władze kolonialne nieraz powoływały do wojska jej ojca; mieszkając przez kilka lat w pobliżu fortów, Wah-ta-Wah nauczyła się angielskiego i mówiła tym językiem z indiańska, w sposób uproszczony, lecz płynnie i bez zwykłej u Indian odrazy do obcej mowy.

–Dokąd iść? – powtórzyła Wah-ta-Wah, miłym i ujmującym uśmiechem odpowiadając na uśmiech Hetty. – Tutaj zły wojownik – dobry wojownik daleko.

–Jak się nazywasz? – zapytała Hetty z dziecinną naiwnością.

–Wah-ta-Wah. Ja nie Mingo... Dobra Delawarka... Przyjaciel Jankesów. Mingo okrutny, lubi skalp, bo krew... Delawar lubi. skalp, bo zaszczyt. Chodź tam, gdzie nie ma oczu.

Wah-ta-Wah poprowadziła swą towarzyszkę w kierunku jeziora. Gdy zeszły na brzeg, zwisające nad wodą drzewa i krzaki zasłoniły dziewczęta przed oczami, które by chciały je śledzić. Siadły obok siebie na pniu drzewa, jednym końcem zanurzonego w wodzie.

–Po co przyjść? – niecierpliwie zapytała młoda Indianka. – Skąd przyjść?

Hetty opowiedziała swą historię ze zwykłą sobie prostotą i szczerością, to znaczy wyjaśniła Indiance, jaka przygoda spotkała jej ojca, i wyraziła pragnienie przyścia mu z pomocą i wydostania go z niewoli, jeśli to będzie możliwe.

–Czemu twój ojciec przyszedł w nocy do obozu Mingów? – zapytała indiańska dziewczyna nie mniej szczerze. – On wiedział, że jest wojna, on nie być dziecko. Nie brak mu broda... Nie trzeba mu mówić, że Irokezy noszą tomahawk, nóż, strzelba. Czemu przyszedł w nocna pora, chwycił mnie za włosy i próbował zdjąć skalp delawarska dziewczyna?

–Tobie! – zawołała Hetty zdjęta przerażeniem – ciebie chwycił za włosy i chciał skalpować?

–Czemu nie? Skalp Delawara ma ta sama cena co Mingo. Rządca kolonii nie rozpozna. 2le, gdy blada twarz bierze skalpy. To nie jego natura, jak zawsze mówi mi

dobry Pogromca Zwierząt.

–Ty znasz Pogromcę Zwierząt? – zapytała Hetty rumieniając się z radości i zdziwienia. Pod wpływem nowego uczucia zapomniała o swym zmartwieniu. – Ja też go znam. Jest teraz na arce z Judytą i Delawarem, który nazywa się Wielki Wąż. Ten Wąż to także dzielny i piękny wojownik!

Aczkolwiek natura obdarzyła tę indiańską piękność bardzo ciemną cerą, zdradliwy rumieniec oblał policzki dziewczyny i jeszcze bardziej ożywił jej mądre oczy, czarne jak węgiel. Podniosła palec ostrzegawczym gestem, ścisząc do szeptu głos i tak już cichy i słodki.

–Chingachgook! – imię brzmiące tak szorstko wymówiła miękko, gardłowym i melodyjnym głosem. – Jego ojciec, Unkas – wielki wódz Mohikanów, pierwszy po starym Tamenund! Więcej wojownik – mało siwe włosy – mniej przy ognisku na radzie. Znasz Wąż?

–Przybył do nas wczoraj wieczór i był ze mną na arce przez parę godzin, potem uciekłam. Obawiam się, Cyt... – Hetty nie mogła wymówić indiańskiego imienia swej nowej przyjaciółki, ale słyszała, jak Pogromca Zwierząt mówił, co ono znaczy, powtórzyła więc w swym języku imię Indianki nie oglądając się na formy przyjęte w świecie cywilizowanym. – Obawiam się, Cyt, że on przyszedł tu po skalpy, tak samo jak mój biedny ojciec i Hurry Harry!

–Czemu nie? Chingachgook czerwony wojownik, bardzo czerwony... Skalp wielki zaszczyt dla niego... Bądź pewna, że weźmie skalp.

–Wobec tego – z powagą odparła Hetty – Chingachgook jest tak samo zły jak inni. Bóg nie przebaczy czerwonoskóremu tego, czego nie daruje białemu.

–Nieprawda – odparła delawarska dziewczyna gorąco; niemal z gniewem. – Mówię ci, nieprawda! Manitou uśmiechać i cieszyć, gdy widzi, jak młody wojownik wraca ze ścieżki wojennej z dwa, dziesięć, sto skalp na palu! Ojciec Chingachgook brać skalp, dziadek brać – wszystkie stare wodzowie brać, Chingachgook też brać, ile tylko unieść!

–W takim razie musi mieć w nocy straszne sny! Nie można być okrutnym i liczyć na przebaczenie.

–To nie okrutne. My już za dużo przebaczyli – odparła Wah-ta-Wah tupiąc nóżką po kamienistym brzegu i potrząsając głową, co oznaczało, że podziw dla narzeczonego stłumił w niej delikatne uczucia kobiece. – Mówię ci, Wąż dzielny wojownik, tym razem wróci do domu z cztery, niech będzie dwa skalp.

–I po to tu przyszedł? Czy naprawdę szedł tu z daleka, przez góry i 'doliny, rzeki i

jeziora, aby zadawać męczarnie swym bliźnim, aby dopuścić się takiego bezceństwa?

Pytanie to od razu uśmierzyło wzrastający gniew trochę obrażonej indiańskiej piękności. Okrutne przesady, które wpoily jej wychowanie, ustąpiły miejsca delikatnym uczuciom kobiecym. Wah-ta-Wah wpierywając się wokół, jakby podejrzewała, że ktoś je podsłuchuje, potem uważnie przyjrzała się skupionej twarzy swej towarzyszki. Te objawy zalotności dziewczęcej i kobiecej czułości skończyły się w ten sposób, że Indianka zakryła twarz rękami i zaśmiała się tak szczerze, że śmiech jej można by śmiało nazwać melodią lasów. Jednakże obawa, że ktoś może je usłyszeć, szybko powstrzymała te naiwne objawy radości.' Impulsywna dziewczyna odjęła więc ręce od twarzy i znów wpatrywała się w oczy swej towarzyszce, jak gdyby chciała z nich wyczytać, czy może nieznanemu powierzyć swą tajemnicę. Chociaż Hetty daleko było do niezwykłej, urody Judyty, wielu uważało, że ma twarzyczkę bardziej pociągającą niż siostra. Na buzi młodszej córki Huttera malowała się cała naturalna szczerłość jej charakteru i żadne niemiłe znamiona fizyczne, tak częste w podobnych przypadkach, nie zdradzały niedorozwoju umysłowego. Co prawda, bystry obserwator mógł odkryć ślady umysłowego niedostatku w wyrazie oczu Hetty, niekiedy błędnych, ale w oczach tych tyle było naiwnej szczerłości, że i one zjednywały sympatię. Również i na Indiance Hetty zrobiła korzystne wrażenie. Cyt w przystępie czułości otoczyła ramionami Hetty i uściskała ją szczerze i gorąco.

–Ty dobra – szeptała – wiem, ty dobra; od tak dawna Wah-ta-Wah nie ma przyjaciółka... siostra... ktoś, komu mogłaby otworzyć swe serce! Ty przyjaciółka Cyt. Czy ja mówię prawda?

–Nigdy nie miałam przyjaciółki – - odparła Hetty, z szczerym zapalem odwzajemniając gorący uścisk Indianki. Mam siostrę, nie mam przyjaciółki. Judyta mnie kocha i ja ją kocham, ale to jest naturalne, tak każe Biblia. Chciałabym mieć przyjaciółkę! Będę twą przyjaciółką z całego serca, bo lubię twój głos i uśmiech, a zgadzam się z tobą we wszystkim, z wyjątkiem skalpów...

–Nie myśl już o tym... Nie mów słowa o skalp – przerywa pojednawczo Cyt. – Ty blada twarz, ja czerwonoskóra – nas różnie wychowali. Pogromca Zwierząt i Chingachgook – wielcy przyjaciele, a kolor skóry różny. Cyt i... Jak na imię piękna blada twarz?

–Wołają na mnie Hetty, ale w Biblii moje imię pisze się Estera.

–No to co? Ani grzać, ani ziębić. Po co pisać imię? Morawianie próbowali uczyć Wah-ta-Wah pisać, ja nie pozwoliłam. Niedobrze, gdy delawarska dziewczyna za dużo wie, więcej niż niejeden wojownik – to wielki wstyd. Moje imię Wah-ta-Wah, w twoim języku Cyt; ty nazywaj go Cyt, ja nazywać go Hetty.

Kiedy w ten sposób wstępne rokowania zostały zakończone ku obopólnemu zadowoleniu, dwie przyjaciółki wszczęły rozmowę o swych planach i nadziejach na przyszłość. Hetty dokładnie zapoznała swą nową przyjaciółkę z zamiarami, jakie miała względem ojca; Cyt gotowa była dziewczynie, najmniej ciekawej cudzych spraw, wyjawić uczucia, jakie żywiła wobec młodego wojownika swego szczeru, i nadzieje, jakie wiązała, z jego osobą. Dość powiedzieć, że wyznały sobie tyle, ile trzeba było, aby jedna wiedziała, co myśli druga; to zaś, czego nie powiedziały, wyjaśniły dodatkowo pytania i odpowiedzi. Cyt, znacznie bystrzejsza od Hetty, pierwsza zadawała pytania. Objęła ramieniem kibić Hetty, przekręciła główkę i filuternie zajrzała w oczy przyjaciółce, zaśmiała się, jakby samo jej spojrzenie zdradziło, co chce powiedzieć, po czym już wprost zapytała:

–Hetty ma ojca i brata? Czemu mówi tylko o ojcu?

–Nie mam brata, Cyt. Słyszałam, że mój brat dawno już nie żyje i leży obok matki, na dnie jeziora.

–Jeśli nie brat, to młody wojownik. Kocha go prawie tak jak ojca, nie? Bardzo przystojny, wygląda na dzielnego, może być wodzem, jeśli taki zuch, na jakiego wygląda.

–To grzech kochać obcego mężczyznę tak, jak kocham ojca. Bronię się przed tym, Cyt – odparła prawdomówna. Hetty nie mogąc ukryć zmieszania na myśl, że dając odpowiedź wymijającą, nieco oddaliła się od prawdy, choć znowu wstyd dziewczęcy ciągnął ją do wyraźnego kłamstwa. – Czasem jednak zdaje mi się, że grzeszna pokusa zwycięży, jeśli Hurry będzie częściej do nas przychodził. Muszę powiedzieć ci prawdę, kochana Cyt, skoro o to pytasz, ale padłabym na ziemię i umarłabym ze wstydu w tym lesie, gdyby on się o tym dowiedział.

–Czemu on sam nie zapyta? Wygląd dzielny – czemu jego mowa nie jest odważna? Młody wojownik powinien zapytać młodą dziewczynę, trudno, żeby ona mówiła pierwsza. Dziewczęta Mingów też się tego wstydzą.

Cyt powiedziała to z oburzeniem i szlachetnym zapalem, jaki zawsze odczuwa młoda kobieta, jeśli uważa, że ktoś chce się targnąć na najcenniejsze przywileje jej płci. Nie zrobiło to wielkiego wrażenia na Hetty, była bowiem ograniczona, lecz szczerą, i więcej ulegała pobudkom kobiecego, serca niż konwenansom, chroniącym delikatne uczucia płci niewieściej.

–O c o miałby mnie zapytać?! – zawołała wystraszona Hetty tak gwałtownie, że świadczyło to, jak bardzo się złąkła. – Czy lubię go tak jak własnego ojca? Och, mam nadzieję, że nigdy mnie o to nie zapyta, bo musiałabym odpowiedzieć, a to by mnie zabiło!

–Nie, nie, nie zabiłoby od razu – odparła Indianka i mimo woli się uśmiechnęła. – Zarumieni się i zawstydzi, ale nie na długo, a potem bardzo szczęśliwa. Młody wojownik musi powiedzieć dziewczynie, że chce wziąć żona, inaczej sam będzie żyć w swój wigwam.

–Hurry nie chce ożenić się ze mną. Nikt nie chce, Cyt.

–Skąd ty możesz wiedzieć? Może wszyscy chcą żenić się z tobą, pomalutku język powie, co czuje serce. Czemu nikt nie chce ciebie za żona?

–Jestem słaba na umyśle, powiadają. Ojciec często mi to mówi, a czasem Judyta, gdy jest zła; ale najwięcej wierzę matce. Powiedziała mi to raz i potem płakała, jakby serce jej pękło. Stąd wiem, że jestem niespełna rozumu.

Cyt przez chwilę przyglądała się w milczeniu słodkiej i naiwnej twarzyczce dziewczyny; nagle, jakby olśniła ją prawda, wszystko zrozumiała. Litość, szacunek i tkliwe uczucia wypełniły jej serce. Szybko wstała i oświadczyła swej przyjaciółce, że chętnie zaprowadzi ją do obozu, który znajduje się niedaleko. Niespodziewaną zmianę w zachowaniu Cyt, która przed chwilą uczyniła wszystko, aby ukryć swą towarzyszkę, a teraz chciała ją pokazać, wywołało głębokie przekonanie, że żaden Indianin nie robi krzywdy istotcie, którą Wielki Duch rozbroił pozbawiając ją najskuteczniejszej obrony – rozumu. Pod tym względem niemal wszystkie pierwotne ludy są do siebie podobne: z własnej woli, kierując się uczuciem, które przynosi zaszczyt rodzajowi ludzkiemu, odnoszą się wyrozumiale do osób pozbawionych rozumu i udzielają im ochrony, jakiej pozbawiły je niezbadane wyroki Opatrzności. Wah-ta-Wah wiedziała, że wiele szczepów otacza idiotów i wariatów swego rodzaju czciami religijną. Rzeczywiście, pierwotni mieszkańcy puszczy odnoszą się z wielkim szacunkiem do tych nieszczęśliwych istot, które są znieważane i pozbawione opieki w społeczeństwach mających pretensje do cywilizacji, a w gruncie rzeczy bardziej zepsutych niż ludy pierwotne.

Hetty chętnie i bez obawy szła za swą nową przyjaciółką. Chciała przecież dostać się do obozu Mingów; dodawało jej to odwagi i nie obawiała się żadnych następstw swej wyprawy, podobnie jak jej przyjaciółka nie bała się o los Hetty, odkąd wiedziała, jaką tarczę blada twarz niesie z sobą. Gdy tak szły brzegiem jeziora wśród splątanych gałęzi krzaków Hetty z kolei podjęła rozmowę i sama zaczęła zadawać pytania. Indianka, gdy tylko dowiedziała się, z kim ma do czynienia, ó nic już nie pytała.

–Ale ty nie jesteś głupkowata – powiedziała Hetty – i nie ma przeszkód, aby Wąż z tobą się ożenił.

–Cyt jest branka, Mingo ma długie ucho. Ty nie mów przy Mingo o Chingachgook. Obiecay to Cyt, dobra Hetty.

–Wiem, wiem – odparła Hetty półszepem, chciała bowiem, aby przyjaciółka wiedziała, że zdaje sobie sprawę, jak bardzo trzeba być ostrożną. – Wiem, Pogromca Zwierząt i Wąż chcą porwać cię Irokezom, a ty boisz się, abym nie zdradziła tej tajemnicy.

–Skąd ty wiesz? – gwałtownie zapytała Cyt, tknięta obawą, że Hetty jest jeszcze głupsza, niż jej się zdawało. – Skąd ty wiesz? Lepiej mów tylko o ojciec i Hurry; Mingo to zrozumie, a tamtego – nie. Przrzeknij, że nie mówić o tym, czego nie rozumiesz.

–Ależ ja to rozumiem, Cyt, i muszę o tym mówić. Pogromca Zwierząt wszystko opowiedział memu ojcu. Byłam przy tym, nikt mi nie mówił, żebym nie słuchała,, więc słyszałam wszystko, a także, jak Hurry rozmawiał z ojcem o skalpach.

–Bardzo źle, jak blada twarz mówi o skalpach, i bardzo źle, jak młoda kobieta słucha! Wiem, Hetty kocha Cyt, a u Indian, gdy mocno kochać – mało mówić.

–U białych jest inaczej, u nas dużo się mówi o tym, kogo się kocha. Pewnie dlatego, że mam słabą głowę, nie wiem, dlaczego u czerwonoskórych miałyby być inaczej.

–Pogromcą Zwierząt nazywa to natura. Jeden ma natura gadać, drugi – trzymać język. Twoja natura wśród Mingów – trzymać język. Wąż chce zobaczyć Cyt, Hetty chce zobaczyć Hurry. Dobra dziewczyna nigdy nie mówi tajemnica swojej przyjaciółki.

Hetty zrozumiała to wezwanie, przrzekła więc delawarskiej dziewczynie, że nie wspomni o przybyciu w te strony Chingachgooka ani o tym, po co tu się zjawił.

–Może być, Wąż wydostanie z niewoli Hurry i ojca, a także Cyt, jeśli będzie mógł działać – szepnęła Wah-ta-Wah swej przyjaciółce tonem poufnym i przymilnym. Były już tak blisko obozu, że słyszały głosy kobiet, zapewne zajętych zwykłą pracą Indianek. – Pomyśl o tym, Hetty, i połóżyc dwa, dwadzieścia palców na usta. Przyjaciele nie wyjdą z obozu, jeśli Wąż im nie pomoże.

Lepiej nie można było nakłonić Hetty do milczenia i zachowania tajemnicy. Uwolnienie ojca i Hurry'ego było wielkim celem jej wyprawy, a zdawała sobie sprawę ze związku między tym celem i osobą Delawara. Z niewinnym uśmiechem kiwnęła głową i z tą samą dyskrecją przrzekła, że postara się spełnić życzenia swej przyjaciółki. Po otrzymaniu tego zapewnienia Cyt, nie zwlekając, śmiało weszła do obozu Mingów.

ROZDZIAŁ 11

Wszak wielki Król królów

Kazał wypisać w tablicach przykazań,

Byś nie zabijał.

Strzeż się, bo zemsta czeka w jego dłoni.

By spaść na głowę, która lamie prawa.

Szekspir

O tym, że grupa Indian, do której Cyt siłą została wcielona, nie wyruszyła na wojnę, świadczyła obecność kobiet w ich obozie. Grupę tę, stanowiącą małą część szczepu, początek wojny zaskoczył na terytorium angielskim, gdzie polowała i łowiła ryby. Mingowie spędzili w tych stronach zimę i wiosnę żyjąc właściwie z tego, co należało do nieprzyjaciela, a teraz postanowili zadać mu cios i wycofać się z jego terenów. Manewr, który zawiódł Mingów tak daleko w głąb nieprzyjacielskiego terytorium, podyktowany był istic indiańskim sprytem. Gdy przybył goniec z wieścią, że wybuchła wojna między Anglikami a Francuzami – wojna, do której musiały być wciągnięte wszystkie szczepy znajdujące się pod wpływami jednej ze stron walczących – nasz oddział Irokezów stał obozem nad jeziorem Oneida, które leży o pięćdziesiąt mil bliżej granicy Kanady niż jezioro, nad którym rozgrywają się wypadki naszego opowiadania. Uciekając w kierunku granicy Kanady naraziliby się na niebezpieczeństwo bezpośredniego pościgu; wodzowie indiańscy postanowili więc wykonać manewr polegający na przeniknięciu w głąb kraju, w którym groziło im teraz niebezpieczeństwo, przy czym mieli nadzieję, że uda im się wycofać na tyły nieprzyjaciela i nie dopuścić, aby im deptał po piętach. Do tego podstępu nakłoniła ich obecność kobiet, zbyt słabych, żeby podołać ucieczce przed pościgiem wojowników. Jeśli czytelnik uprzytomni sobie, na jak olbrzymich obszarach rozciągała się amerykańska puszcza w owych odległych czasach, zrozumie, że nawet cały szczep mógł miesiącami ukrywać się w lasach. Niebezpieczeństwo zaś spotkania wroga w lasach, jeśli zachowało się zwykłe środki ostrożności, było mniejsze niż w czasie wojny na pełnym morzu.

Obozowisko było tymczasowe i nie wyglądało o wiele lepiej niż zwykły biwak, chociaż wprowadzono w nim pewne pomysłowe ulepszenia, jakie nasunęły się mieszkańcom obozu, przywykłym do życia koczowniczego. Jedno ognisko, rozpalone wśród korzeni zielonego dębu, wystarczało całemu obozowi, gdyż przy ciepłej pogodzie ogień służył tylko do gotowania. Wokół ogniska rozrzuconych było piętnaście do dwudziestu chatek (należałoby raczej powiedzieć: psich bud), do których ich właściciele wpełzali na noc i gdzie chronili się w czasie burzy. Chatki te

zbudowano z gałęzi drzew, dość pomysłowo splecionych; wszystkie jednakowo pokryte były korą, zdartą z leżących drzew, jakich nigdy nie brak w dziewiczej puszczy. Mebli niemal nie było. Najbardziej prymitywny sprzęt kuchenny leżał koło ogniska; nieco odzieży można było ujrzeć w chatkach lub obok nich; strzelby, rogi i sakwy leżały oparte o drzewa lub wisiały na niższych gałęziach; dwa czy trzy zabite jelenie zwisały z drzew, stanowiących naturalne jatki.

Nie można było ogarnąć obozu jednym spojrzeniem, leżał bowiem w gęstym lesie; chatki wynurzały się jedna po drugiej, w miarę jak oczy oswajały się z mrokiem, jaki tu panował. Ognisko mogło uchodzić za środek obozu, ale w całej tej nędznej wiosce nie było otwartego miejsca, na którym mogliby się zbierać jej mieszkańcy. Przyczajona w mroku osada niczym nie różniła się od swych panów – ponurych, skrytych, podstępnych Mingów. Garstka dzieci plątała się między chatkami, co trochę przypominało życie osiadłe. Czasem głęboką ciszę mrocznego lasu przerywał stłumiony śmiech i ciche głosy kobiet. Mężczyźni jedli, spali lub oglądali broń. Rozmawiali niewiele. Zazwyczaj zbierali się w tym celu w grupy, możliwie najdalej od kobiet. Niestrudzona, wrodzona im czujność i obawa niebezpieczeństwa nie opuszczała ich, można by rzec, nawet w czasie snu.

Gdy obie dziewczyny podeszły do obozu, Hetty wydała cichy okrzyk, ujrzała bowiem ojca. Siedział na ziemi, oparty o drzewo. Obok niego stał Hurry i bezmyślnie strugał gałązkę. Na pozór korzystali z takiej samej wolności, co inni mieszkańcy obozu; ktoś nie znający dobrze zwyczajów Indian wziąłby ich za gości, a nie jeńców. Wah-ta-Wah przyprowadziła do nich Hetty, po czym skromnie odeszła, aby swą obecnością nie krępować uczuć przyjaciółki. Hetty jednak nie była przyzwyczajona do pieśczoł i czułości i umiała zapanować nad swymi uczuciami. Po prostu podeszła i stanęła obok ojca bez słowa – podobna do niemego posągu kochającej córki. Starzec nie okazał ani niepokoju, ni zdziwienia z powodu nagłego pojawienia się Hetty. Przyjął stoicką postawę Indian, dobrze bowiem wiedział, że panowanie nad sobą jest niezawodnym sposobem pozyskania ich szacunku. Dzicy także nie okazali śladu zdziwienia, że nagle obca osoba znalazła się w obozie. Słowem, przybycie Hetty, choć nastąpiło w tak szczególnych okolicznościach, nie wywołało większego wrażenia niż przyjazd zwyczajnego podróżnego przed wiejską gospodę w Europie. Jednakże paru wojowników przystanęło w pobliżu, a ze spojrzeń, jakie rzucali Hetty w czasie rozmowy, można się było domyślić, że mówią o niej i zastanawiają się, po co tak niespodziewanie zjawiała się w obozie. Flegmatyczne obejście jest cechą Indian z Ameryki Północnej (niektórzy mówią to samo o białych następcach Indian). Tym razem spokój dzikich w dużej mierze należało przypisać ich szczególnie bezpiecznej sytuacji. Stan załogi arki, wyjąwszy obecność Chingachgooka, był im dobrze znany, w najbliższej okolicy nie było ani innych szczepów indiańskich, ani oddziałów wojskowych, a przenikliwe oczy czujek rozstawionych wokół całego jeziora śledziły każde poruszenie tych, o których można bez przesady powiedzieć, że byli oblężeni.

Hutter był bardzo wzruszony postępkami Hetty, chociaż zachował wszystkie pozory

obojętności. Przypomniał sobie cichą prośbę dziewczęcia, aby został na arce, a niepowodzenie wyprawy dodało wagi jej przestrodze, o której na pewno by zapomniał, gdyby mu się powiodło. Wiedział, jak to niemądre i naiwne dziecko jest mu oddane, rozumiał, po co tu przyszła, zdawał sobie sprawę, że we wszystkich swych postępkach zupełnie nie dbała o swą własną osobę.

–Źle zrobiłaś, Hetty – powiedział, więcej obawiając się o nią niż o siebie. – To są zawzięci Irokezi; nie zapominają łatwo ani krzywdy, ani przysługi.

–Powiedz mi, tatusiu – odparła dziewczyna rozglądając się ukradkiem, czy nikt nie podsłuchuje – czy Bóg pozwolił ci spełnić okrutny zamiar, z jakim tu przyszedłeś? Muszę to wiedzieć, bo tylko wtedy będę mogła szczerze mówić z Indianami, jeśli Bóg nie dopuścił do tej zbrodni.

–Nie powinnaś tu była przychodzić, Hetty; to by było nie zrozumie ani ciebie, ani twych intencji!

–Jak to było, ojcze? Ani ty, ani Hurry nie macie nic takiego, co by wyglądało na skalpy.

–Jeśli to cię może uspokoić, dziecko, mogę powiedzieć, że nie zdobyliśmy skalpów. Złapałem młode stworzenie, które tu przyszło z tobą, ale jej krzyki ściągnęły mi na kark taką zgraję tych lampartów, że żaden chrześcijanin sam nie dałby im rady. Jeśli ci to może sprawić przyjemność, dowiedz się, że tym razem i my jesteśmy niewinni: nie wzięliśmy skalpów. I kolonia nie jest winna... nam pieniędzy, nie maco gadać.

–Dziękuję ci, tatusiu! Teraz mogę śmiało i z czystym sumieniem mówić z Irokezami. Czy Hurry'emu także nie udało się zrobić krzywdy Indianom?

–No cóż, tym razem, Hetty – odparł Hurry – trafiłaś w sedno, święte twoje słowa – jak z Biblii. Hurry'emu nie udało się i tyle. Przeszedłem już niejedną zawieruchę, na lądzie i na morzu, ale takiej gwałtownej, jaka runęła na nas przedwczoraj w nocy w postaci indiańskich zuchów – jak żyję, jeszcze nie widziałem! No cóż, Hetty, z rozumem u ciebie nie jest najlepiej i takiej trochę głębszej myśli to już nie zrozumiesz, ale zawsze jesteś człowiekiem i coś ci tam świta w głowie. A teraz posłuchaj, co ci powiem. Stary Tom, twój ojciec, i ja wybraliśmy się na całkiem legalną operację indiańskich pałek, zgodną z literą prawa, jako też z odezwą kolonii. Nie mieliśmy więc złych zamiarów. Aż tu nagle rzuciło się na nas stado już nie dzikich ludzi, lecz zgłodniałych wilków. Związali nas jak dwa barany prędezej, niż mogę ci o tym opowiedzieć.

–Ale teraz nie jesteś związany, Hurry – powiedziała Hetty, nieśmiało spoglądając na niczym nie skrępowane, potężne członki młodego olbrzyma. – Ani sznury, ani łyko nie rani teraz twych ramion i nóg.

–To prawda, Hetty. Natura jest naturą, a wolność to też natura człowieka. Moje członki wyglądają na wolne, ale na tym też kończy się ta wolność, bo nie mogę ich użyć tak, jakbym chciał. Tutaj nawet drzewa mają oczy – tak – i języki. Widzisz, gdyby ten oto starzec albo ja, gdyby któryś z nas przekroczył o łokieć granice naszego więzienia, wzięliby go za kark, zanim by sam wziął nogi za pas, i chcesz czy nie – kilka kul poleciałoby za nami z zaproszeniem, abyśmy nie byli tacy nerwowi. W całej kolonii nie ma lepiej zamkniętego więzienia. Sam próbowałem już, co są warte dwa albo trzy, i wiem, z jakiego materiału są zbudowane. Poznałem też tych, co je stawiali, i wiem, że są to budowle, które jedni budują, a inni potem rozwalają.

Aby czytelnik na podstawie przechwałek i niemądrych wynurzeń Hurry'ego nie wyrobił sobie zbyt ujemnego sądu o jego przewinieniach, może nie od rzeczy będzie zauważyć, że przestępstwa Marcha ograniczały się do burd i bijatyk, za które nieraz siedział w więzieniu, skąd też nierzadko – jak to przed chwilą powiedział – uciekał dowodząc słabej budowy aresztu w ten sposób, że otwierał sobie drzwi tam, gdzie architekci wcale ich nie umieścili. Ale Hetty nic nie wiedziała o więzieniach i nie bardzo rozumiała, co to jest zbrodnia; tyle że w sposób prymitywny i niemal instynktowny odróżniała dobro od złego. Dowcipy młodego prostaka i zabijaki wcale też do niej nie dotarły. Ogólny jednak sens słów Hurry'ego zrozumiała i taką dała odpowiedź:

–Tym lepiej, że was pilnują, Hurry. Najlepiej będzie, jeśli ty i ojciec zachowacie się cicho i spokojnie, póki nie pomówię z Irokezami, a wtedy wszystko skończy się dobrze i szczęśliwie. Nie chcę, żeby któryś z was poszedł za mną, chcę iść sama. Gdy tylko załatwię sprawę i będziecie mogli wrócić do zamku, przyjdę was o tym zawiadomić.

Hetty mówiła z taką naiwną powagą, tak była pewna powodzenia i tak przekonana o słuszności swych słów, że obaj słuchacze byli skłonni uwierzyć w skuteczność jej pośrednictwa. Kiedy więc oświadczyła, że teraz musi się z nimi rozstać, nie zatrzymywali jej, chociaż wiedzieli, że zmierza ku grupie wodzów, którzy naradzali się na boku, zapewne rozważając, w jaki sposób i po co dziewczyna tak niespodziewanie zjawiała się w obozie.

Gdy Cyt – bo tak wolelibyśmy nazywać indiańską dziewczynę – rozstała się ze swą towarzyszką, podeszła do dwóch najstarszych wojowników, którzy okazali jej najwięcej serca w czasie jej pobytu w niewoli. Jeden z nich, wojownik, który cieszył się wielkim szacunkiem, chciał ją nawet adoptować, gdyby zgodziła się zostać Huronką. Sprytna dziewczyna podeszła do wojowników po to, aby zapytali ją o Hetty. Zbyt dobrze znała obyczaje indiańskie, by – jako kobieta, i to młoda – chciała narzucić swe zdanie mężczyznom i wojownikom. Miała jednak tyle wrodzonego taktu i dowcipu, że umiała, gdy było jej to potrzebne, zwrócić na siebie uwagę nie raniąc dumy tych, którym winna była posłuszeństwo i szacunek. Właśnie ta jej udana obojętność wywołała zainteresowanie. Zaledwie Hetty stanęła obok swego ojca, już

delawarską dziewczynę wezwano nieznacznym, lecz wymownym gestem do koła wojowników. Zapytano ją, co sprowadziło jej towarzyszkę do obozu. Cyt na to tylko czekała. Najpierw więc wyjaśniła, w jaki sposób przekonała się, że Hetty jest niespełna rozumu, wyolbrzymiając raczej jej braki umysłowe, następnie opowiedziała pokrótce, w jakim celu dziewczyna ta odważyła się przyjść do nieprzyjacielskiego obozu. Słowa jej odniosły taki skutek, jakiego się spodziewała: gość był osobą świętą i godną szacunku, co – jak dobrze wiedziała – zapewniało Hetty nietykalność. Osiągnąwszy swój cel Cyt odeszła na bok i tam z kobiecą starannością, jak gdyby była siostrą Hetty, zabrała się do przygotowywania 'posiłku, aby w stosownej chwili podać go swej nowej przyjaciółce. Cały czas jednak bystra dziewczyna zachowywała największą czujność i obserwowała grę twarzy wodzów, każdy ruch Hetty i wszystko, co tylko mogło mieć wpływ na jej własne położenie lub los przyjaciółki.

Gdy Hetty podeszła do wodzów, ich kółko otwarło się na jej przyjęcie z uprzejmością tak swobodną, że nie przyniosłaby ujmy nawet towarzystwu osób wysoko urodzonych. Najstarszy z wojowników łagodnym gestem wskazał dziewczynie miejsce na pniu drzewa i sam usiadł przy niej z miną dobrotliwą i prawdziwie ojcowską. Inni wodzowie usadowili się wokół z wielką powagą i godnością. Hetty, która wiedziała, czego od niej oczekują, zaczęła mówić o celu swej wizyty. Ledwie jednak otwarła usta, stary wódz dał jej uprzejmy znak, by się wstrzymała, powiedział parę słów do młodszego wodza i w milczeniu czekał cierpliwie, aż tamten przyprowadzi Cyt. Wódz spostrzegł się, że potrzebny jest tłumacz: zaledwie bowiem dwóch czy trzech spośród Huronów obecnych przy rozmowie znało angielski, i to słabo.

Wah-ta-Wah wcale się nie zmartwiła, gdy zawołano ją, aby była obecna przy rozmowie z Hetty, a nawet ucieszyła się, że będzie tłumaczem. Wiedziała, co jej grozi, gdyby chciała wprowadzić w błąd któregoś z wodzów, niemniej była zdecydowana użyć wszystkich sposobów i chwycić się każdego podstępku, jakich ją nauczono, aby zataić obecność narzeczonego w tych stronach i cel jego przybycia. Kto z bliska nie poznał życia ludów pierwotnych, ich poglądów i pomysłów, ten nigdy by się nie domyślił, ile dowcipu, ostrożności, śmiałości decyzji, szlachetnych pobudek, samozaparca i poświęcenia zakochanej kobiety kryło się pod chłodnym spojrzeniem łagodnych oczu i promiennym uśmiechem młodej indiańskiej piękności. Starzy, posępni wojownicy z przyjemnością patrzyli na idącą ku nim dziewczynę, gdyż z ukrytą dumą żywili nadzieję, że zaszczepią ten piękny pęd na pniu własnego plemienia. Trzeba powiedzieć, że szczepy amerykańskie równie dobrze znają i często stosują adoptację jak narody, u których sprawy te reguluje prawo cywilne.

Gdy Cyt usiadła, obok Hetty, stary wódz poprosił ją, aby zapytała „piękną młodą bladą twarz”, co sprowadziło ją do Irokezów i w czym mogliby jej pomóc.

–Powiedz im, Cyt, że jestem – młodszą córką Tomasza Huttera, starszego ich jeńca, który jest panem zamku i arki i który ma najwięcej praw, aby uchodzić za pana tych

wzgórz i Jeziora, bo od dawna tu mieszka, poluje i łowi ryby. Będą wiedzieć, o kim mówię, gdy im to wszystko powiesz. Powiedz im dalej, że przyszedłam tu przekonać ich, że nie powinni zrobić nic złego ojcu i Hurry'emu, ale – pozwolić im odejść w pokoju i traktować ich jak braci, nie jak wrogów. To wszystko powiedz im wprost, Cyt, i nie bój się o siebie lub o mnie – Bóg nas obroni! Wah-ta-Wah spełniła życzenie Hetty. Starła się słowaswej przyjaciółki możliwie najdokładniej przełożyć na język irokezki, którym mówiła niemal tak biegle jak po delawarsku. Wodzowie z godnością i powagą słuchali tych wstępnych wyjaśnień; dwaj Mingowie, którzy coś niecoś rozumieli po angielsku, dyskretnymi, lecz wymownymi spojrzeniami dawali do zrozumienia, że są zadowoleni z tłumaczki.

–A teraz, Cyt- podjęła Hetty, gdy dano jej znak, że może mówić dalej – a teraz, Cyt, chcę, żebyś tym czerwonoskórym powtórzyła słowo w słowo to, co powiem. Najpierw powiedz im, że... ojciec i Hurry przyszli tu z zamiarem wzięcia tylu skalpów, ile tylko będą mogli... bo rządca kolonii, bezecnik, wyznaczył cenę za skalpy... Wszystko jedno: wojowników, kobiet, mężczyzn, dzieci...

A złoto było zbyt drogie ich sercu, aby oparli się tej pokusie. Powtórz im, droga Cyt, to wszystko, słowo w słowo. Wah-ta-Wah zawahała się, czy powtórzyć to przemówienie dosłownie, jak tego życzyła sobie Hetty; zauważyła jednak, że dwaj wodzowie, którzy znali język angielski, zrozumieli Hetty i podejrzewając ich o lepszą znajomość tego języka, niż to było istotnie, uznała, że trzeba spełnić życzenie przyjaciółki. Wbrew temu, czego oczekiwaby człowiek cywilizowany, przyznanie, czym. kierowali się i do czego zmierzali jeńcy, nie wywołało żadnego widocznego wrażenia na słuchaczach. Zapewne uważali postępek bladych twarzy za chwalebny, żaden z nich bowiem nie zawahałby się tak postąpić, a tym samym nie mógł zganić za to drugiego.

–A teraz, Cyt – ciągnęła Hetty, gdy zauważyła, że wodzowie ją zrozumieli – możesz powiedzieć im więcej. Wiedzą, że ojcu i Hurry'emu wcale się nie powiodło, nie mogą więc mieć do nich urazy, skoro obaj biali nie wyrządzili im krzywdy. Ale gdyby obaj wymordowali dzieci i kobiety indiańskie, sprawa wcale nie wyglądałaby inaczej: a nawet, zdaje mi się, że to, co im teraz powiem, miałoby większe znaczenie, gdyby rzeczywiście biali wyrządzili im krzywdę. Ale najpierw zapytaj ich, Cyt, czy wiedzą, że jest Bóg, który panuje nad całym światem, jest panem i władcą wszystkich ludzi bez wyjątku – białych, czerwonych i jeszcze innych.

Wah-ta-Wah wydała się zdziwiona tym pytaniem (każda niemal starsza dziewczyna indiańska wie o istnieniu Wielkiego Ducha). Przetłumaczyła jednak dokładnie pytanie Hetty. Wodzowie z powagą odpowiedzieli, że wiedzą o istnieniu Wielkiego Ducha.

–To dobrze – powiedziała Hetty – teraz już moje zadanie będzie łatwe. Ten Wielki Duch, jak wy nazywacie naszego Boga, kazał napisać książkę, którą my nazywamy Biblią. W tej książce zebrano wszystkie Jego przykazania, Jego świętą wolę i

upodobania oraz prawidła, wedle których ludzie powinni żyć, wskazówki, jak należy kierować nawet swymi myślami, pragnieniami i wolą. Oto jedna z tych świętych ksiąg. Ty, Cyt, musisz wodzom przetłumaczyć to, co zaraz przeczytam:

To powiedziawszy, Hetty z nabożeństwem wyjęła z grubego płótna małą Biblię angielską; zrobiła to z oznakami takiej czci, jaką katolicy okazują relikwiom. Posępni wojownicy śledzili jej powolne ruchy nie spuszczać z niej oczu, a jednemu czy dwóm na widok książeczki wymknął się cichy okrzyk zdziwienia. Hetty triumfalnie wyciągnęła do nich Biblię, jakby się spodziewała, że sam jej widok dokona cudu, po czym, nie zdradzając zdziwienia ani zmartwienia obojętnością Indian, zwróciła się ponownie do swej przyjaciółki i mówiła dalej.

–To jest święta książka, Cyt – powiedziała. – Słowa, wiersze, wersety i rozdziały – wszystko pochodzi od Boga.

–A czemu Wielki Duch nie posłał ta książka również Indianom? – zapytała Cyt ze szczerością zupełnie pierwotnego umysłu.

–Czemu? – powtórzyła Hetty, trochę zmieszana tym nieoczekiwanym pytaniem. – Czemu? Ach, naturalnie! Wiesz, że Indianie nie umieją czytać.

Aczkolwiek wyjaśnienie to nie zadowoliło Cyt, nie uważała sprawy za tak ważną, aby dalej nastawać na Hetty. Skłoniła się skromnie, co miało w uprzejmy sposób wyrazić, że uważa za prawdę to, co usłyszała i cierpliwie czekała na dalsze argumenty bladolicej entuzjastki.

–Możesz powiedzieć wodzom, że cała ta książka nakazuje ludziom, aby przebaczały swym nieprzyjaciółom, traktowali ich jak braci, nigdy bliźnim nie czynili zła, a tym bardziej – z zemsty lub pod wpływem innych grzesznych namiętności. Czy możesz, Cyt, powiedzieć im to tak, aby zrozumieli?

–Ja przetłumaczę dobrze, ale oni zrozumieć niełatwo. Cyt powtórzyła, jak umiała najlepiej, słowa Hetty, a Indianie słuchali pilnie, ale z takim zdziwieniem, jakie by okazał dzisiejszy Amerykanin, gdyby ktoś twierdził, że wielka, nowoczesna, choć niestała władczyni spraw ludzkich, opinia publiczna, może się mylić. Jednakże kilku Wodzów, którzy zetknęli się z misjonarzami, w paru słowach wyjaśniło innym, o co chodzi, po czym całe zebranie pilnie nadstawiało uszu, czekając, co będzie dalej. Hetty, zanim przystąpiła do dalszych wywodów, zapytała Cyt z wielką powagą, czy wodzowie zrozumieli ją, na co otrzymała odpowiedź wymijającą, którą przyjęła za dobrą monetę.

–Teraz przeczytam wojownikom parę wersetów, które bardzo im się mogą przydać – powiedziała Hetty przybierając ton coraz bardziej poważny i uroczysty. – Niech tylko pamiętają, że będą to słowa Wielkiego Ducha. Po pierwsze: Kochaj bliźniego swego

jak siebie samego. Powiedz im to, droga Cyt.

–Dla Indianin blada twarz nie jest bliźniego swego – odparła Delawarka ze stanowczością, jakiej dotąd nie okazywała. – Bliźni to Irokez dla Irokez. Mohikanin dla Mohikanin i blada twarzą dla druga taka sama. Nie ma po co mówić wozom co innego.

–Zapominasz, Cyt, że to są słowa Wielkiego Ducha, wozowie muszą im być posłuszni tak – jak wszyscy inni. Oto następne przykazanie: Jeśli cię ktoś uderzy w prawy policzek, nadstaw mu lewy.

–A to co znowu znaczy? – zapytała Cyt szybko. Hetty wyjaśniła, że nie wolno mścić się za krzywdę, lecz należy się poddać nowym razem napastnika.

–I jeszcze tego posłuchaj, Cyt – dodała Hetty. – Miłujcie nieprzyjacioły wasze, błogosławcie tych, którzy was przeklinają, czyńcie dobro tym, którzy was nienawidzą, i módlcie się za tych, którzy wami gardzą i was prześladują.

Hetty bardzo się podnieciła. Oczy wzruszonej dziewczyny błyszcząły, policzki płonęły rumieńcem, a głos, zwykle cichy i drżący, brzmiał silnie i dobitnie. Wah-ta-Wah, gdyby nawet chciała, nie mogłaby przetłumaczyć ani połowy tego, co Hetty powiedziała w pobożnym uniesieniu. Zarówno Indiance, jak wozom zdumienie odebrało mowę. Nim Delawarka zdążyła otworzyć usta, młoda naiwna entuzjastka osłabła z wielkiego wysiłku. Teraz Cyt pokrótce przetłumaczyła treść tego, co Hetty przeczytała lub powiedziała, ograniczając się do najbardziej charakterystycznych wersetów, zwłaszcza takich, które przemówiły do jej wyobraźni, jako najbardziej dziwne, i które mogłyby znaleźć zastosowanie w sprawie jeńców.

Chyba nie trzeba mówić czytelnikowi, jakie wrażenie wywarł na indiańskich wojownikach wykład o nowych powinnościach moralnych, kiedy ich własna religia uczyła, że nigdy nie należy zapominać o dobrodziejstwie, jakiego się doznało, ani darowywać krzywdy, jaką ktoś nam wyrządził, Na szczęście, pierwsze wyjaśnienia Cyt przygotowały umysły Huronów na to, że usłyszą coś bardzo dziwnego; większość tego, w czym nie mogli znaleźć ani ładu, ani składu, przypisali faktowi, że osoba przemawiająca do nich ma inny porządek w głowie niż reszta ludzi. Jednakże było tam paru starców, którzy słyszeli podobne nauki od misjonarzy, i ci nabrali ochoty poświęcenia wolnej chwili tej, zdaniem ich, tak ciekawej sprawie.

–To jest dobra książka białych twarzy – zauważył jeden z tych wozów biorąc Biblię z rąk Hetty bez sprzeciwu z jej strony. Kiedy przerzucał kartki książki, Hetty z zaniepokojeniem wpatrywała się w jego oblicze, jak gdyby chciała ujrzeć widoczne skutki zetknięcia się Indianina z Biblią.

–To jest prawo, wedle którego żyją moi biali bracia prawda?

Cyt, do której pytanie było zwrócone, jeśli w ogóle było skierowane do jakiejś określonej osoby, odpowiedziała twierdząco. Delawarka dodała, że zarówno Francuzi z Kanady, jak i Jankesi z prowincji brytyjskich uznają powagę tej książki i twierdzą, że szanują jej zasady.

–Powiedz mojej młodej siostrze – rzekł Huron patrząc na Cyt – że chcę otworzyć usta i powiedzieć kilka słów.

–Wódz Irokezów chce mówić, moja przyjaciółka, blada twarz słuchać – powiedziała Cyt.

–Cieszę się bardzo! – zawołała Hetty. – Bóg wzruszył jego serce: wypuści ojca i Hurry'ego na wolność!

–To jest prawo bladych twarzy – zaczął wódz. – Prawo to mówi im, żeby czynili dobrze tym, którzy ich krzywdzą. Jeśli brat prosi bladą twarz o strzelbę, trzeba mu dołożyć jeszcze róg na proch. Takie jest prawo bladych twarzy?

–Nie, nie tak – z powagą odparła Hetty. – W całej Biblii nie ma słowa o strzelbach, a proch i kule – to obraza Wielkiego Ducha.

–Czemuż więc biała twarz ich używa? Jeśli przykazano jej dać w dwójnasób temu, który o coś prosi, to czemu zabiera podwójnie biednym Indianom, którzy o nic bladej twarzy nie proszą?

Przychodzi z tamtej strony wschodzącego słońca z książką w ręce i na niej uczy czerwonoskórego czytać, ale dlaczego sama zapomina, co mówi ta książka? Gdy Indianin daje, blada twarz nigdy nie ma dosyć; a teraz obiecuje złoto za skalpy naszych kobiet i dzieci, choć nas nazywa dzikimi zwierzętami, jeśli zdejmujemy skalp wojownikowi zabitemu w otwartej walce. Nazywam się Rozdarty Dąb.

Kiedy to straszne pytanie dotarło do Hetty w dokładnym tłumaczeniu, a tym razem Cyt wykonała swe zadanie z większym niż dotąd zapalem, dziewczyna, rzecz jasna, doznała bolesnego rozczarowania i bardzo się zmieszła. Tego rodzaju pytania wpędzały w kozi róg znacznie cięższe umysły niż słaba główka biednego dziewczęcia nic więc dziwnego, że mimo całej swej dobrej woli i szczerości nie wiedziała, co odpowiedzieć.

–Co im powiedzieć, Cyt? – zapytała błagalnym tonem Indiankę. – Wiem, że wszystko, co przeczytałam im z książki, to prawda, a jednak wydaje się to nieprawdą, jeśli sądzić wedle postępów tych, którzy otrzymali tę książkę. Więc jakże to?

–Twoja prawda jest prawda bladej twarzy – odparła ironicznie Cyt. – Dobra tylko dla jedna strona, zła dla druga.

–Nie, nie, Cyt, prawda jest jedna dla wszystkich. A jednak to bardzo dziwne!... Jestem pewna, że dobrze przeczytałam słowa Biblii... A chyba nie ma człowieka tak podłego, żeby źle wydrukował słowa Boga. To niemożliwe, Cyt.

–Cóż, biedna indiańska dziewczyna myśli, że dla blade twarze wszystko jest możliwe. Raz mówią białe, drugi raz mówią czarne. Czemu, mówisz, niemożliwe?

Hetty była coraz bardziej zmartwiona, aż wreszcie ogarnęło ją przerażenie, że pokpiła sprawę, że ojciec i Hurry życiem zapłacą za jakiś błąd, który musiała popełnić, i zalała się łzami. Cyt natychmiast porzuciła ton ironiczny i chłodną obojętność – i znowu stała się dla Hetty czułą przyjaciółką. Objęła zgnębiającą dziewczynę starając się uśmierzyć jej ból swym kobiecym współczuciem, środkiem, który niemal nigdy nie zawodzi.

–Przestać... nie płakać – mówiła ocierając Hetty łzy z policzków jak małemu dziecku i co chwilę przerywając to zajęcie, aby przycisnąć dziewczynę do piersi niby najdroższą siostrę. – Czego się martwić? Ty nie zrobiłaś ta książka, jeśli ona zła, i ty nie zrobiłaś blada twarz, jeśli ona podła. Być zły czerwony człowiek i być zły biały. Żaden kolor cały dobry, żaden kolor cały zły. Wodzowie dobrze to wiedzą.

Hetty szybko się opanowała i znów z całą naiwną powagą wróciła myślą do celu swej wizyty. Kiedy ujrzała, że posępni wodzowie ciągle otaczają ją kołem, stojąc z poważnymi i skupionymi minami, nabrała nadziei, że może za drugim razem uda się jej przekonać Indian o słuszności swej sprawy.

–Słuchaj, Cyt – zaczęła starając się opanować łkanie i mówić wyraźnie – powiedz wodzom, że to, co robią źli ludzie, nie ma żadnego znaczenia, co jest słuszne, pozostanie słuszne... Słowa Wielkiego Ducha pozostaną jego słowami... I nikt nie ujdzie kary za zły postępek, choćby ktoś inny zrobił przedtem to samo! Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem – powiada ta książka; a to jest prawem tak samo dla czerwonoskórego, jak dla białego człowieka.

–Ja nigdy nie słyszeć o takie prawo u Delawarów lub Irokezów – łagodnie odparła Cyt. – Na nic mówić wodzom o takie prawo. Powiedz im coś takiego, w co oni uwierzą.

Mimo to Cyt chciała przetłumaczyć słowa Hetty, gdy najstarszy wódz dotknął palcem jej ramienia... Obejrzała się i zobaczyła, że jeden z wojowników odszedł i właśnie wracał z Hutterem i Hurry'm. Zrozumiała, że obaj mężczyźni będą teraz przesłuchiwanymi, i zamilkła ze ślepym posłuszeństwem indiańskiej kobiety. Jeńcy stanęli twarzą w twarz z wodzami zwycięzców.

–Córko – powiedział najstarszy wódz do młodej Delawarki – zapytaj tę siwą brodę, po co przybyła do naszego obozu.

Cyt powtórzyła pytanie po angielsku. Jej angielszczyzna była dość kiepska, ale rozumiała. Hutter był z natury człowiekiem zbyt twardym i upartym, aby bał się następstw swych postępów, a poza tym zbyt dobrze znał sposób myślenia dzikich i wiedział, że nic tu nie pomogą wykręty lub niemęska obawa przed ich gniewem. Dlatego bez wahania przyznał się, w jakim celu wysiadł na brzeg, usprawiedliwiając swój postępek tym tylko, że rząd prowincji wyznaczył za skalpy wysoką cenę. Irokezi przyjęli otwarte przyznanie się Huttera z wyraźnym zadowoleniem, nie tyle jednak dlatego, że przyniosło im to korzyść moralną, ile że wzięli do niewoli mężczyznę, nad którego losem warto się zastanowić i który wart jest zemsty. Hurry, gdy przyszła na niego kolej, wyznał prawdę, acz łatwiej niż jego hardemu towarzyszowi przyszłoby mu nie przyznać się do niczego, gdyby tylko okoliczności na to pozwalały. Był jednak dość sprytny, aby się spostrzec, że tutaj wykręty na nic by się zdały. Musiał powiedzieć prawdę, ale udawał, że robi to, bo taki już jest – szczery i otwarty. Natomiast szczerość Huttera wynikała z jego usposobienia: postępował bezwzględnie i zupełnie się nie przejmował karą, jaka może go za to spotkać.

Wodzowie po otrzymaniu odpowiedzi na swoje pytania, odeszli w milczeniu, jak mężowie, którzy uważają sprawę za skończoną (wszystkie dogmaty Hetty, niczym groch rzucony o ścianę, nie zrobiły wrażenia na tych, którzy od dziecka wychowywani byli w zasadach siły i przemocy). Hetty i Cyt pozostały teraz same z Hutterem i Hurry'm. Zdawałoby się, że nic nie krępuje ich ruchów, w gruncie rzeczy jednak wszyscy czworo byli pilnie i nieustannie śledzeni. Co się tyczy mężczyzn, Indianie pilnowali tylko tego, aby w ich ręce nie dostały się strzelby, które, nie wyłączając broni jeńców, leżały rozrzucone na ziemi – i na tym kończył się jawny dozór. Ale obaj biali doskonale znali indiańskie zwyczaje i zbyt dobrze wiedzieli, że to są tylko pozory, by się dać wyprowadzić w pole udaną beztroską dzikich. Obaj bez przerwy myśleli nad sposobami ucieczki z obozu, chociaż, o tym nie rozmawiali. Obaj zdawali sobie sprawę, że szkoda nawet próbować sposobu, którego gruntownie nie przemyśla i szybko nie wykonają. Byli już dość długo w obozie i mieli tyle zmysłu obserwacyjnego, by zauważyć, że Cyt też chyba jest w niewoli; z tego względu Hutter mówił przy niej otwarcie, inaczej bowiem uważałby, że rozsądniej byłoby milczeć, a Hurry, idąc za jego przykładem, też wcale się nie krępował.

– Nie będę ci robił wyrzutów, Hetty, żeś przyszła tu w naszej sprawie; intencje miałaś dobre, ale twój pomysł nie był zbyt mądry – zaczął ojciec siadając obok córki i biorąc ją za rękę. Był to objaw czułości, na jaki ten prostak nie zdobyłby się wobec Judyty.
– Widzisz, kazanie i Biblia to nie są sposoby, które mogłyby zawrócić z drogi Indianina. Czy Pogromca Zwierząt nic ci nie kazał nam powiedzieć? Czy ma jakiś plan wydostania nas z niewoli?

– O, o, w tym rzecz! – wtrącił Hurry. – Gdybyś, dziewczyno, mogła pomóc nam w uzyskaniu pół mili wolności, a nawet, na dobry początek, ćwiartuchny mili – resztę biorę na siebie. Może staruszek potrzebuje trochę więcej, ale przy moim wzroście i w moim wieku taki kawałek wystarczy, żeby dać sobie radę.

Hetty z rozpaczą w oczach patrzyła to na jednego, to na drugiego, ale nie miała odpowiedzi na pytanie beztroskiego młodzieńca.

–Tatusiu – powiedziała – ani Pogromca Zwierząt, ani Judyta nie wiedzieli, że udaję się do was, zanim opuściłam arkę. Boją się, że Irokezi zbudują tratwę i będą próbowali dostać się do naszego domu, dlatego więcej myślą o obronie zamku, niż o przyjsciu wam z pomocą.

–Nie, nie, nie – zaprzeczyła Cyt gwałtownie. Mówiła ściszym głosem, nisko pochylona ku ziemi, wiedziała bowiem, że są śledzeni, i bała się, aby nie zauważono, że w ogóle odzywa się do jeńców. – Nie, nie, nie, Pogromca Zwierząt nie jest taki. On nie myśleć o własna obrona, gdy przyjaciel w niebezpieczeństwo. Pomagać jeden drugiemu, a wszyscy znajdują się w domu.

–To nieźle brzmi, mój stary – rzekł Hurry mrużąc oko i śmiejąc się, lecz i on zachował ostrożność i mówił cicho. – Dajcie mi sprytną squaw za przyjaciółkę, a gwizdźę na Irokezów i samego diabła.

–Nie mówić głośno – powiedziała Cyt – niektóre Irokezi znają język, a wszystkie mają ucho Jankesów.

–Czy jesteś naszą przyjaciółką, młoda kobieto? – zapytał Hutter, którego ta rozmowa coraz bardziej interesowała. – Jeśli tak, to możesz liczyć na to, że ci dobrze zapłacimy; nic łatwiejszego, jak odesłać cię do twego szczepu, byleśmy dostali się z tobą do zamku. Mając arkę i czółna będziemy panować nad jeziorem i wszyscy dzicy z całej Kanady nic nam nie zrobią. Jeśli tylko dostaniemy się do zamku, jedynie artyleria będzie mogła nas stamtąd wykurzyć.

–Mnie się zdaje, że wyście wyjść na brzeg po skalp, nieprawdaż? – odpaliła Cyt z chłodną ironią, co tej dziewczynie przychodziło znacznie łatwiej niż innym osobom płci niewieściej. – No tak – to był błąd; ale nie pora teraz na płacz, a jeszcze mniej na złośliwe uwagi, moja panno.

–Tatusiu – powiedziała Hetty – Judyta chce rozbić wielką skrzynię, gdyż spodziewa się znaleźć tam rzeczy, za które, będzie mogła wykupić cię z rąk dzikich.

Hutter nachmurzył się na tę wiadomość i coś mruknął, z czego można się było domyślić, że jest niezadowolony.

–Czemu nie rozbić skrzynia? – zapytała Cyt, – Życie słodsze i skalp droższy niż stare pudło. Jeśli nie powiesz córka, żeby rozbić, Wah-ta-Wah nie pomoże go uciekać.

–Co wy tam wiecie, smarkule! Najlepiej, żebyście mówiły tylko o tym, co rozumiecie, i ani słowa więcej. Słuchaj, Hurry, wcale mi się nie podoba ta chłodna obojętność

dzikich; to dowód, że coś knują; jeśli więc mamy coś zrobić, trzeba się śpieszyć. Jak myślisz, możemy liczyć na tę dziewczynę?

–Słuchaj – powiedziała Cyt szybko, – najwidoczniej bardzo podniecona – Wah-ta-Wah nie Irokezka, od góry do dołu Delawarka, delawarskie serce. Ona też w niewoli. Jeden jeniec pomaga drugiemu. Teraz nic więcej nie mówić. Córka zostanie z ojciec, Wah-ta-Wah przyjsć do przyjaciółka i jeśli wszystko dobrze, powie go, co robić. Cyt powiedziała to po cichu, lecz wyraźnie i w sposób, który wzbudzał zaufanie, po czym wstała i wolnym krokiem poszła do swej chatki, jakby nie była ciekawa, o czym białe twarze będą rozmawiać między sobą.

ROZDZIAŁ 12

Mówi o ojcu, o różnych na świecie

Zdradach. To chrząka, to bije się w piersi,

Wybucho gniewem i plecie na poły

Z sensem i nedorzecznie. Sens jej mowy

Jest niczym, jednak niezwykłość wyrazu

Skłania słuchaczy do pilnej rozwagi.

Szekspir

Zostawiliśmy załogę zamku i arki pogrążoną we śnie. Co prawda raz czy dwa razy w ciągu nocy Pogromca Zwierząt i Delawar wstawali, aby wyrzeć na spokojne jezioro, lecz upewnieni, że nic im nie grozi, wracali na swe sienniki i spali dalej, snu bowiem nigdy chętnie się nie wyrzekali. Jednakże gdy tylko zaczęło świtać, Pogromca Zwierząt wstał, umył się i ubrał. Natomiast jego towarzysz, który w drodze nie miał spokojnych nocy, spał wyciągnięty na kocu, choć słońce wzniosło się już dosyć wysoko. Judyta też wstała tego ranka później niż zwykle, gdyż w nocy długo nie mogła zasnąć. Kiedy jednak słońce ukazało się ponad wzgórzami na wschodzie, oboje byli już na nogach. W tych stronach nawet śpiochy rzadko wylegają się po wschodzie słońca.

Chingachgook zajęty był właśnie swą toaletą leśnego człowieka, gdy do kabiny wszedł Pogromca Zwierząt i rzucił mu letnie ubranie, z grubego płótna, lecz lekkie, stanowiące własność Huttera.

–Judyta dała mi to dla ciebie – powiedział rzuciwszy Indianinowi pod nogi marynarkę i spodnie – gdyż byłoby wbrew rozsądkowi i ostrożności, gdybyś pokazał się tutaj w stroju wojennym i umalowany na wojnę. Zmyj ogniste pręgi z policzków i włóż to ubranie. Oto kapelusz, jaki jest, taki jest, ale będziesz w nim wyglądał na... jak mówią misjonarze, cywilizowanego człowieka, pożałuj się Boże. Pamiętaj, że Cyt jest niedaleko i że musimy przyjść jej z pomocą, nie zapominając o dwóch białych jeńcach. Wiem, że ta nie-indiańska odzież sprzeciwia się twojej naturze, ale musisz włożyć to zaraz, choć pewnie będziesz się czuł nieswojo.

Chingachgook, czyli Wąż, patrzył na ubranie z wyraźnym niesmakiem, lecz zrozumiał potrzebę, a nawet konieczność takiego przebrania. Gdyby Irokezi wykryli obecność czerwonoskórego na zamku lub w jego pobliżu, mogłoby to zaostriżyć ich czujność i wzbudzić podejrzenia wobec delawarskiej branki. Wąż zgodziłby się na

wszystko dla dobra swej narzeczonej, przez chwilę tedy obracał ubranie na wszystkie strony, przyglądał mu się ze smutnym i ironicznym uśmiechem, potem udawał, że wkłada je do góry nogami, i na inne sposoby okazywał odrazę młodego Indianina do nałożenia swym członkom więzów życia cywilizowanego, aż wreszcie zastosował się do wskazówek swego towarzysza i stanął przed nim w ubraniu Huttera – Indianin już tylko z koloru skóry. Nie było jednak obawy, aby Mingowie dostrzegli, że jest Indianinem. Brzeg był daleko, Mingowie nie mieli szkieł powiększających, nie mogli więc dobrze mu się przyjrzeć, a Pogromca Zwierząt, choć cerę miał jaśniejszą, tak był opalony, że jego oblicze było niemal tak czerwone jak Mohikanina. Niezgrabny wygląd Delawara w nowym stroju wywołał tego dnia niejeden uśmiech jego przyjaciela, ale Pogromca Zwierząt wystrzegał się żartów, na jakie biali pozwalaliby sobie w podobnym wypadku; zarówno bowiem zwyczaj wodza i powaga wojownika na pierwszej ścieżce wojennej, jak i niebezpieczeństwo, w jakim się znajdowali, przemawiały przeciw niewczesnym żartom.

Trójka wyspiarzy, jeśli można ich tak nazwać, siedziała przy śniadaniu milcząca, poważna i zamyślona. Wygląd Judyty świadczył, że noc miała niespokojną; mężczyźni myśleli o tym, jakie też nieprzewidziane wydarzenia przyniesie im najbliższa przyszłość. W czasie śniadania Pogromca Zwierząt i Judyta wymienili parę uprzejmych słów nie wspominając o sytuacji, w jakiej się znaleźli. Wreszcie Judyta, z sercem pełnym niepokoju – pod wpływem nowego uczucia bardziej niż zwykle skłonna do czułości – poruszyła sprawę, o której najwidoczniej długo myślała w czasie bezsennej nocy.

–Byłoby to straszne, Pogromco Zwierząt – nagle zawołała – gdyby ojcu i Hetty stało się coś złego! Nie możemy tu siedzieć spokojnie i nie wolno nam pozostawić ich w rękach Irokezów, lecz trzeba pomyśleć, w jaki sposób moglibyśmy przyjść im z pomocą.

–Jestem gotów, Judyto, przyjść im z pomocą, jak zresztą każdemu, kto znalazł się w opałach, żebym tylko wiedział, co mam zrobić. To nie są żarty wpaść w ręce czerwonoskórych, gdy się w takim celu jak Hutter i Hurry wyszło na brzeg; o tym wie każdym nie tylko ja. Nie życzylbym takiego nieszczęścia największemu wrogowi, a cóż dopiero ludziom, z którymi odbywałem drogę, jadłem i spałem. Czy ma pani jakiś plan, który Wąż i ja moglibyśmy wykonać?

–Zdaje mi się, że jest tylko jeden sposób wydostania ich z niewoli: przekupić Irokezów. Dzicy są łasi na podarunki. Może zaofiarujemy im tyle, aby doszli do przekonania, że lepiej zabrać z sobą to, co uważają za hojne dary, niż wlec do Kanady biednych jeńców; jeśli dzicy w ogóle zamierzają zabrać ich z sobą!

–Myśl nie jest zła, Judyto, oczywiście, jeśli nieprzyjaciel da się przekupić, a my będziemy mieli coś do zaofiarowania. Pani ojciec ma ładny dom, bardzo dowcipnie zbudowany, ale nie widzę tu nadmiaru bogactw, które mogłyby posłużyć jako okup.

Jest tu strzelba, ojciec pani nazywa ją Postrachem Zwierząt, na pewno jest coś warta. Słyszę też, że macie beczkę prochu, która, bez wątpienia, zaważyłaby na szali. Ale dwóch chłopów na schwał nie można kupić za strzelbę, zresztą...

–Co, zresztą? – niecierpliwie zapytała Judyta widząc, że młody myśliwy zawahał się nie chcąc zapewne jej zmartwić.

–Widzisz, Judyto, Francuzi płacą za skalpy tak samo jak nasi; za cenę dwóch skalpów można kupić beczkę prochu i strzelbę, choć nie powiem, że taką dobrą jak „Postrach Zwierząt”, którą twój ojciec chwali, jako niezrównaną. Ale zawsze mogą dostać beczkę zacnego prochu i wcale celną strzelbę. A czerwonoskórzy nienajlepiej znają się na broni palnej i nie zawsze wiedzą, co jest naprawdę dobre, a co tylko na to wygląda.

–To straszne! – szepnęła dziewczyna, dotknięta tym, że Pogromca Zwierząt mówi o tych sprawach, jak zwykle nazywając rzeczy po imieniu.

–Zapominasz jednak o mych sukniach, Pogromco Zwierząt; myślę, że mogłyby zrobić wielkie wrażenie na irokezkich kobietach.

–Tak, zapewne, Judyto – odparł młodzieniec patrząc na nią badawczo, jakby chciał sprawdzić, czy byłaby zdolna do takiego, poświęcenia. – Czy jednak jesteś pewna, dziewczyno, że potrafiłabyś rozstać się ze swymi strojami? Wielu mężczyzn uważało się za dzielnych, póki niebezpieczeństwo nie zajrzało im w oczy. Znałem też takich, co uważali się za dobrych, i byli gotowi dać biednemu wszystko, co mieli, kiedy słyszeli o nieczułych sercach innych ludzi, ale dłonie ich zacisnęły się w pięści jak orzechy, gdy przyszło im dać ze swego. Zresztą, Judyto, jesteś ładna, niezwykle ładna – można by powiedzieć i nie skłamać; osoby zaś, którym nie brak urody, nie lubią, gdy brak im tego, w co mogłyby swą urodę przystroić.

Czy jesteś pewna, że możesz wyrzec się swych pięknych strojów?

Aluzja do wdzięków Judyty miała złagodzić wrażenie wywołane wątpiwościami młodego myśliwego, co do uczuć Judyty wobec ojca. Gdyby kto inny powiedział tyle, co Pogromca Zwierząt, dziewczyna, oburzona, że nie ma do niej zaufania, zapewne nie zwróciłaby uwagi na komplement. Ale surowa szczerość, z jaką prostoduszny myśliwy często odkrywał swe myśli, urzekła Judytę, choć więc zaczerwieniła się i w oczach jej błysnął gniew, nie mogła żywić urazy do człowieka, w którego sercu tyle było prawdy i męskiej dobroci. Spojrzała nań wprawdzie z wyrzutem i miała ochotę dać mu ostrą odprawę, lecz opanowała się i odpowiedziała w sposób miły i serdeczny.

–Jeśli rzeczywiście takie jest pańskie zdanie o białych kobietach, pochwały chowa pan pewnie dla młodych Delawarek – powiedziała z wymuszonym uśmiechem. –

Chętnie poddam się próbie. Jeśli okaże się, że żałuję wstążki, pióra, jedwabiu lub muślinu, to możesz myśleć o mnie, co ci się podoba, i mówić to, co myślisz.

–Słusznie! Najtrudniej jest znaleźć na świecie człowieka naprawdę sprawiedliwego. Tak mówi Tamenund, najmędrszy prorok delawarski; tak też powinni myśleć wszyscy, którzy patrzą, mówią i działają wśród ludzi. Uwielbiam człowieka sprawiedliwego: gdy patrzy na nieprzyjaciół, oczu nie przesłania mu chmura, gdy widzi przyjaciół, w oczach błyszczy mu słońce. Rozumu, który otrzymał od Boga, używa, aby widzieć świat takim, jakim j e s t, a nie – jakim chciałby go widzieć. Nie trudno o takich, którzy mówią, że są sprawiedliwi, ale niezmiernie rzadko można spotkać ludzi naprawdę sprawiedliwych. Jakże często, dziewczyno, spotykałem Indian, którzy uważali, że robią coś miłego Wielkiemu Duchowi, a tymczasem postępowali wedle swej własnej woli i swych upodobań i często kusiło ich do złego, którego sami. nie dostrzegali, podobnie jak my nie widzimy strumienia, płynącego w dolinie za tą górą, chociaż, kto umie patrzeć, ujrzałby go tak wyraźnie, jak my widzimy okonie pływające dokoła tego domu.

Bardzo słusznie, Pogromco Zwierząt – odparła Judyta. Pogodny uśmiech stał z jej twarzy ostatnie ślady niezadowolenia. – Bardzo słusznie. Mam nadzieję, że pan okaże takie właśnie umiłowanie sprawiedliwości w stosunku do mnie. Przede wszystkim mam nadzieję, że będziesz miał własny sąd i nie będziesz wierzył złośliwym plotkom, opowiadanych przez tego gadatliwego próżniaka, Hurry Harry'ego, który gotów jest wytrzeć sobie buzię o dobre imię każdej młodej kobiety, jeśli ona nie podziela zdania, jakie ten samochwał ma o własnej urodzie.

–Co mówi Hurry, nie jest dla mnie Ewangelią, Judyto, ale nawet gorsi od niego mogą mieć oczy i uszy – odpowiedział poważnie Pogromca Zwierząt.

–Dosyć już o tym! – zawołała Judyta z ogniem w oczach, zaczerwieniona po uszy. – Mówmy o ojcu i okupie. Masz rację, Pogromco, Indianie zapewne nie wydadzą jeńców, jeśli nie dostaną w zamian czegoś więcej niż moje suknie i ojca strzelbę i proch. Jest. jeszcze skrzynia.

–Tak, jest jeszcze, jak mówisz, skrzynia, Judyto. Gdy trzeba wybierać między tajemnicą i skalpem, myślę, że większość ludzi wolałaby zachować swój skalp. Czy ojciec kiedykolwiek wyraźnie zabronił pani otwierać tę skrzynię?

–Nigdy. Zawsze uważał, że zamki, stalowe okucia i wytrzymałość samej skrzyni stanowią najlepszą ochronę tajemnicy.

–To rzadki i bardzo ciekawy okaz skrzyni – powiedział Pogromca Zwierząt, po czym wstał, podszedł do skrzyni i usiadł na niej wygodnie, aby tym łatwiej przyjrzeć się temu meblowi. – Chingachgook, to drzewo nie pochodzi z lasów, jakie przemierzyliśmy w swym życiu! To nie jest czarny orzech; ale drzewo to byłoby

równie piękne, jeśli nie piękniejsze, gdyby nie zaszkodził mu dym i gdyby go nie sponiewierano.

Delawar podszedł, dotknął drzewa, przyjrzał się jego słojom, spróbował porysować go paznokciem, z zaciekawieniem przesunął dłonią po stalowych okuciach, ciężkich kłódkach i innych nie znanych mu częściach masywnej skrzyni.

–Nie, nic takiego nie rośnie w tych stronach – podjął Pogromca Zwierząt. – Widziałem wszelkiego rodzaju dęby, klony, wiązy, lipy, orzechy, wszystko, co ma kolor i daje drewno i czemu nadawano najrozmaitsze kształty, ale takiego drzewa jeszcze nie widziałem! Judyto, sama skrzynia wystarczyłaby, żeby kupić wolność pani ojca; chyba że Irokezi nie są tacy ciekawi jak inni czerwonoskórzy, zwłaszcza jeśli idzie o drzewo.

–Czy nie dałoby się dobić targu nieco taniej, Pogromco Zwierząt? Skrzynia jest pełna i może lepiej byłoby rozstać się z częścią jej zawartości niż z całą skrzynią. Poza tym ojciec – nie wiem, dlaczego – ceni tę skrzynię bardzo wysoko.

–Pewnie wyżej ceni to, co ona zawiera, niż samą skrzynię, jeśli mamy sądzić wedle tego, jak traktował jej część zewnętrzną i jak zabezpieczył jej zawartość. Tu są trzy zamki, Judyto, czy nie ma do nich klucza?

–Nigdy go nie widziałam; ale musi być klucz, jeśli Hetty mówi, że często widziała skrzynię otwartą.

–Klucze nie mogą unosić się w powietrzu ani pływać po wodzie, jak to się zdarza ludziom; jeśli jest klucz, musi być miejsce, gdzie się go przechowuje.

–To prawda. Chyba nie trudno będzie go znaleźć, jeśli dobrze poszukamy.

–To już należy do pani, Judyto, tylko do pani. Skrzynia stanowi twoją, a właściwie twego ojca, własność; Hutter jest ojcem pani, nie moim. Ciekawość to słaba strona kobiet, nie mężczyzn. Tym razem wszystko przemawia za tym, żebyś zaspokoila swą ciekawość. Jeśli są tam przedmioty, które mogą stanowić okup, uważam, że będą mądrze użyte, gdy uratują życie lub choćby tylko skalp ich właściciela; lecz o tym nie my, lecz pani sama musi zdecydować. Gdy nie ma, prawowitego właściciela siedel, jelenia lub czólna, zastępuje go najbliższy krewniak; tak jest wedle wszelkich praw puszczy. Dlatego pozostawiamy pani odpowiedź na pytanie, czy skrzynia ma być otwarta, czy nie.

–Nie sądzi pan chyba, że mogę się wahać, gdy chodzi o życie mego ojca, Pogromco Zwierząt!

–Cóż, na dobrą sprawę, jest to wybór między burą a łzami i żalobą. Nie trudno przewidzieć, że stary Tom będzie miał pretensje o to, co pani robi, gdy tylko

znajdzie się na własnych śmieciach; ale to rzecz zwyczajna, że ludzie mają za złe to, co się zrobiło dla ich dobra. Myślę, że nawet księżyc wyglądałby inaczej, gdyby tak spojrzeć na niego z drugiej strony.

–Pogromco Zwierząt, jeśli uda nam się znaleźć klucz, upoważniam pana, abyś otworzył skrzynię i wziął z niej to co twoim zdaniem może stanowić okup wolności ojca.

–Najpierw znajdź klucz, dziewczyno, o reszcie pomówimy potem. Ty, Wężu, masz oczy rysia i sąd, który rzadko chybia; czy zechciałbyś pomóc nam zgadnąć, gdzie Pływający Tom może przechowywać klucz od skrzyni, do której jest tak bardzo przywiązany?

Delawar nie brał dotąd udziału w rozmowie, gdy jednak zwrócono się do niego wprost, odszedł od skrzyni, która bardzo go interesowała, i rozglądał się za miejscem, gdzie w takich okolicznościach klucz mógł być ukryty. Judyta i Pogromca Zwierząt też nie próżnowali, w chwilę więc potem cała trójka zajęta była pilnym i energicznym poszukiwaniem. Skoro pewne było, że upragnionego klucza nie znajdzie się po prostu w szufladzie lub szafce (było ich kilka w domu), nikt do nich nie zaglądał, lecz wszyscy przeszukiwali te miejsca, które wydały im się najbardziej dowcipnymi skrytkami, najlepiej nadającymi się do schowania klucza. W ten sposób dokładnie, lecz bezowocnie przeszukano pierwszą izbę, po czym wszyscy przeszli do sypialni Huttera. Był to pokój lepiej umeblowany niż reszta domu; znajdowało się tu trochę przedmiotów, które służyły kiedyś nieboszczce żonie właściciela zamku. Judyta miała wszystkie inne klucze, szybko więc przetrząsnęli i ten pokój; ale klucza jak nie było, tak nie było.

Z kolei weszli do sypialni córek Huttera. Chingachgooka od razu uderzył kontrast między sukniami i urządzeniem tej części pokoju, którą można by nazwać kącikiem Judyty, a częścią, w której mieszkała Hetty. Wymknął mu się cichy okrzyk; pokazał palcem dwie części pokoju i w języku delawarskim po cichu powiedział coś na ten temat do swego przyjaciela.

–Nie omyliłeś się, Wężu – odparł Pogromca Zwierząt (wszystko, co mówi młody myśliwy do Delawara, podajemy w tłumaczeniu, zachowując w miarę możliwości charakterystyczne zwroty). – Jest tak, jak mówisz, każdy to przyzna, a wszystko wynika z natury tych dziewcząt. Jedna siostra kocha się w pięknych strojach, niektórzy powiadają, że nadmiernie, a druga jest potulna i dobra jak żadne inne stworzenie 'boskie. Ale mimo wszystko, uważam, że Judyta też ma swoje zalety, a Hetty wady.

–Czy to Słaba Głowa widziała otwartą skrzynię? – zapytał Chingachgook, a jego spojrzenie mówiło, że bardzo go to interesuje.

–Tak jest; wiem o tym z jej własnych ust, ty też słyszałeś. Zdaje się, że ojciec wierzy

Hetty, a nie ufa starszej córce.

–Klucz więc schował tylko przed Dziką Różą? – Tak rycerski Chingachgook nazywał Judytę w poufnych rozmowach z przyjacielem.

–Otóż to, to właśnie! Jednej ufa, drugiej nie. Czerwoni i biali są pod tym względem podobni do siebie, Wężu; wszystkie szczepy i narody jednym jakoś wierzą, a innym nie. To zależy od charakteru osoby i od tego, co się o niej sądzi.

–Byłoby mało prawdopodobne, żeby Dzika Róża znalazła klucz schowany wśród skromnych sukienek, prawda?

Zaskoczony tą uwagą, Pogromca Zwierząt odwrócił się ku przyjacielowi. Wyraz wielkiego podziwu dla Delawara malował się, na jego twarzy. Zaśmiał się, jak zwykle cicho i szczerze, ucieszony tym szybkim i sprytnym rozwiązaniem zagadki.

–Jesteś wart swego imienia, Wężu! Czy strojnisi chciałoby się szukać czegokolwiek wśród tak pospolitych szmatek jak sukienki biednej Hetty? Myślę, że odkąd Judyta poznała się z oficerami, jej paluszki nawet nie tknęły takiej biedy z nędzą jak ta spódniczka! Zresztą, kto wie?

Klucz może znajdować się na tym kołku albo też gdzie indziej. Zdejmij sukienkę, Delawarze, zobaczymy, czy jesteś prawdziwym prorokiem.

Chingachgook usłuchał, lecz klucza nie znalazł. Na sąsiednim kołku wisiał zwyczajny woreczek; wyglądał na pusty. Chingachgook chciał zajrzeć do niego, ale zauważyła to Judyta i szybko, jakby w celu oszczędzenia mu zbędnej fatygi, powiedziała:

–Tutaj są tylko sukienki biednej Hetty, kochanego dziewczątka! Nic tu nie znajdziemy.

Ledwo te słowa padły z pięknych ust Judyty, Chingachgook wyciągnął klucz z woreczka. Bystra dziewczyna od razu zrozumiała, dlaczego ojciec wybrał schowek tak prosty i rzucający się w oczy. Zrobiło jej się przykro i wstyd. Pod wpływem tych uczuć rumieniec oblał jej policzki, zagryzła więc wargi i nic nie powiedziała. Pogromca Zwierząt i jego przyjaciel dali dowód wrodzonej delikatności, gdyż ani się nie uśmiechnęli, ani nawet spojrzeniem nie zdradzili, że dobrze rozumieją, co było powodem tej sprytnej sztuczki Huttera. Pogromca wziął klucz z ręki Indianina, przeszedł do sąsiedniego pokoju, włożył klucz w kłódkę i stwierdził, że znaleźli to, czego szukali. Były trzy kłódki, ale wszystkie dały się z łatwością otworzyć znalezionym kluczem. Pogromca zdjął kłódki, odczepił skoble, uchylił wieka, aby sprawdzić, czy jest otwarte, po czym odstąpił od skrzyni parę kroków i dał znak przyjacielowi, by zrobił to samo.

–To jest familijna skrzynia, Judyto – powiedział – i pewnie kryje rodzinne tajemnica. Wąż i ja pójdziemy teraz do arki rzucić okiem na czółna i wiosła, a pani tymczasem sprawdzi, co tam jest i czy coś z tego nadawałoby się na okup. Gdy pani skończy, proszę nas zawołać – zastanowimy się wspólnie nad wartością tych rzeczy.

–Zaczekaj, Pogromco Zwierząt! – zawołała dziewczyna, gdy ten wychodził już z izby. – Niczego nie tknę, nawet nie podniosę wieka, jeśli pana przy tym nie będzie. Ojciec i Hetty uważali za stosowne ukrywać przede mną zawartość skrzyni, a ja jestem zbyt ambitna, żeby się tknąć ich ukrytych skarbów, choć teraz muszę to zrobić dla ich dobra. Za nic w świecie sama nie otworzę skrzyni. Zostańcie więc, proszę, ze mną, muszę mieć świadków tego, co robię.

–Moim zdaniem, Wężu, dziewczyna ma rację! Wzajemne zaufanie jest matką pewności, podejrzenia nakazują nam wszystkim ostrożność. Judyta ma prawo wymagać naszej obecności. Jeśli zaś skrzynia kryje jakieś tajemnice pana Huttera, dwaj młodzieńcy, którzy je poznają, potrafią zamknąć swe usta jak nikt inny. Zostaniemy przy tobie, Judyto, lecz wprawdzie musimy rzucić okiem na jezioro i brzeg, bo opróżnienie skrzyni zajmie nam trochę czasu.

Obaj mężczyźni wyszli na pomost. Pogromca Zwierząt obejrzał przez lunetę brzegi, a Indianin z wielką powagą przepatrzył wody, jeziora i lasy szukając śladu, który by zdradzał podstępne działania wroga. Nie zobaczyli jednak nic podejrzanego.– Spokojni, że na razie nic im nie grozi, wszyscy troje zebrali się przy skrzyni z nieodwołalnym postanowieniem jej otwarcia.

Judyta, jak daleko sięgała jej pamięć, zawsze żywiła do tej skrzyni i jej tajemniczej zawartości pewnego rodzaju szacunek. O meblu tym ani ojciec, ani matka nigdy przy niej nie wspominali, jakby istniała między nimi cicha umowa, że – nawet kiedy się będzie mówiło o różnych przedmiotach w jej pobliżu czy też leżących na wieku – wszyscy będą się pilnie wystrzegali wzmianki o samej skrzyni. Tak im to weszło w krew i stało się tak naturalne, że dopiero ostatnio dziewczyna zaczęła myśleć o tym zwyczaju domowym jako o czymś niezwykłym. Zresztą stosunki między Hutterem a starszą córką nigdy nie były tak serdeczne, aby zachęcały do zwierzeń. Stary umiał być miły, lecz na ogół, a zwłaszcza wobec Judyty, był surowy i zgryźliwy. Sposób, w jaki wykonywał władzę ojcowską, bynajmniej nie zachęcał córki do otwarcia skrzyni bez jego zgody.

Jeśli tedy pragnąc przyjść ojcu z pomocą ważyła się na ten śmiały krok, bardzo się bała jego następstw. Nadto stosunek Judyty do skrzyni miał w sobie coś z przesądu, dziewczyna bowiem od dzieciństwa przywykła patrzeć na ten mebel jak na swego rodzaju nietykalną relikwię. Niemniej nadeszła chwila, w której tajemnica miała się wyjaśnić, i to w okolicznościach, nie cierpiących zwłoki.

Widząc, że obaj mężczyźni z powagą i w milczeniu śledzą jej ruchy, Judyta położyła

rękę na wieku i spróbowała je podnieść. Okazało się, że jest na to za słaba. Dziewczynie, która dobrze wiedziała, że wszystkie kłódki i skoble zostały zdjęte, zdawało się, że jakaś nadprzyrodzona siła sprzeciwia się jej zamachowi na świętą skrzynię.

–Nie mogę podnieść wieka, Pogromco Zwierząt – powiedziała. – Może damy temu spokój i poszukajmy innego sposobu wydostania jeńców z niewoli.

–Nie, nie, Judyto. Żaden sposób nie jest tak pewny jak dobry okup – odparł Pogromca. – A co się tyczy wieka, nic go nie trzyma poza własnym ciężarem, rzeczywiście dziwnie wielkim jak na taki mały kawałek drzewa, nawet okuty żelazem.

Mówiąc to Pogromca Zwierząt spróbował swych sił: podniósł wieko, oparł je o ścianę i zabezpieczył podpórką, aby nie upadło. Judyta, drżąc na całym ciele, zajrzała do środka; uspokoiła się trochę, gdy ujrzała na wierzchu płótno żaglowe, które, starannie podwinięte wzdłuż krawędzi skrzyni, zupełnie zakrywało jej zawartość. Skrzynia była pełna, płótno leżało tuż pod wiekiem.

–Pełna po brzegi – rzekł Pogromca Zwierząt zaglądając do skrzyni. – Pomalutku i wygodnie zabierzemy się do roboty. Wężu, przynieś parę stołków, a ja rozłożę koc na podłodze; będzie wygoda i porządek.

Delawar wykonał polecenie przyjaciela. Pogromca Zwierząt uprzejmie przysunął stółek Judycie, sam też usiadł i przystąpił do dzieła. Z namysłem ostrożnie zdjął płótno z wierzchu, jakby pod nim znajdowały się przedmioty kruche i delikatne. Gdy ściągnął płótno, ujrzeli kilka ubrań męskich. Uszyte z wykwinnych materiałów ubrania – wedle mody swych czasów – były barwne i bogate. Wyróżniał się szkarłatny surdut, z dziurkami na guziki obszytymi złotem. Nie był to jednak mundur wojskowy, tylko część ubioru jakiejś osobistości z czasów, kiedy ubranie ściśle odpowiadało pozycji społecznej tego, który je nosił. Gdy Pogromca Zwierząt rozłożył surdut i pokazał go swym towarzyszom, Chingachgookowi wyrwał się okrzyk zachwytu; był to bowiem strój tak wspaniały, że zawiodła tu indiańska sztuka panowania nad sobą i cała jego filozofia życiowa. Pogromca Zwierząt szybko odwrócił się do przyjaciela, który dał dowód chwilowej słabości, i spojrzał na niego z niezadowoleniem. Potem wygłosił monolog, jak to zwykle czynił, gdy nagle uległ silnemu wzruszeniu.

–Taka już jego natura! Cóż, w naturze czerwonoskórego leży zamiłowanie do pięknych szat i nie można go za to ganić. Strój ten jak każda niezwykła rzecz wywołuje niezwykle uczucia. Myślę, Judyto, że trzeba się z tym pogodzić, bo nie znajdziesz w całej Ameryce Indianina, którego serce nie rwałoby się do takich kolorów i takiego blasku, jaki bije od tego stroju. Jeśli uszyto go dla pani ojca, wiem już, po kim ma pani zamiłowanie do pięknych szatek.

–Surdut nie był zrobiony na ojca – szybko odparła dziewczyna. – Jest za długi; ojciec jest niski i krępy.

–Widocznie materiałów było wtedy w bród, a złoto było tanie – odparł Pogromca Zwierząt śmiejąc się jak zwykle cicho i wesoło. – Wężu, ubranie to wygląda, jakby uszyte na twoją miarę, chciałbym je ujrzeć na tobie.

Chingachgook zgodził się na to bardzo chętnie, rzucił grubą i wytartą kurtkę Huttera i wystroił się w surdut, który kiedyś uszyto dla dżentelmena. Wyglądał śmiesznie w tym przebraniu, ale ludzie na ogół nie dostrzegają niewłaściwości swego wyglądu, podobnie jak nie widzą niedorzeczności własnego postępowania, Delawar więc z powagą i zainteresowaniem przyglądał się sobie w lusterku, przed którym Hutter zwykł był się golić. Myślał o Cyt. Aby nie minąć się z prawdą, musimy powiedzieć, choć może to trochę zaszkodzić opinii surowego wojownik, że bardzo pragnął, aby narzeczona zobaczyła go w tym pięknym stroju.

–No już, zdejm to, Wężu – powiedział nieugięty Pogromca Zwierząt. – To nie dla ciebie, tak samo jak i nie dla mnie. Jesteś stworzony do malowidła, sokolich piór, koców i wampumów, mnie zaś pasują skórzane kaftany i pończochy, a do tego mocne mokasyny. Mówię: mokasyny, Judyto, bo chociaż białe – żyję w lasach i muszę stosować się do leśnych zwyczajów. Tak jest wygodniej i taniej.

–Nie widzę, nic złego, Pogromco Zwierząt, w tym, że ktoś chodzi w szkarłatnym surducie, tak samo jak w innym ubraniu – powiedziała dziewczyna. – Chciałabym zobaczyć pana w tej pięknej marynarce.

–Mnie zobaczyć w stroju lorda! Cóż, Judyto, musisz poczekać, aż stracę rozum i pamięć, wtedy może zobaczysz mnie w tym przebraniu. Nie, dziewczyno, moja natura to moja natura, tak będę żył i tak umrę, choćbym miał nie położyć ani jednego jelenia i nie przebić oszczepem łososia. Cóż takiego zrobiłem, że właśnie mnie chciałaby pani zobaczyć w tym paradnym stroju?

–Uważam, Pogromco Zwierząt, że jeśli garnizonowe fircyki, których usta i serca pełne są kłamstwa i fałszu, mogą się stroić w piękne piórka, tym bardziej prawda i uczciwość winny być przedmiotem szacunku i admiracji.

–Nie wiem, czy byłbym wart admiracji, Judyto (czytelnik zechce zauważyć, że Pogromca Zwierząt nie zgłębił do dna słownika wyrazów obcych), gdybym wystrychnął się w szkarłatny jak wódz Mingów, który właśnie otrzymał prezenty z Quebec. Nie i nie; jestem w sam raz taki, jak jestem, a jeśli nie – to lepszy nie będę. Połóż surdut na kocu, Wężu, zajrzemy nieco głębiej do tej skrzyni.

Kuszący strój, który z pewnością nie był uszyty dla Huttera, odłożono na bok i podjęto dalsze poszukiwania. Odzież męska, której dalsze sztuki nie były mniej warte

od pierwszej, szybko się wyczerpała i pokazały się suknie. Pogromca wyjął ze skrzyni piękną suknię z brokatu, która nieco ucierpiała, gdyż widocznie nie obchodzono się z nią jak należy. Tym razem okrzyki zachwytu wymknęły się z ust Judyty. Chociaż dziewczyna miała niemałą słabość do strojów i nieraz zdarzyło się jej widzieć owoce pretensji do elegancji żon komendantów fortów i innych tamtejszych dam, nigdy jeszcze nie spotkała się z materiałem tak pięknym i barwnym jak ten, który teraz nagle ukazał się jej oczom. Oczarowana suknią jak mała dziewczynka, nie zgodziła się na dalsze poszukiwania. Najpierw musiała włożyć tę suknię, jakże inną od tego wszystkiego, co ją otaczało w domu. Wyszła do swego pokoju i zrzucając wprawnyh rękami swą czystą lnianą sukienkę stanęła w blasku barwnego brokatu. Suknie przylegała do pięknych i pełnych kształtów Judyty, jakby była dla niej uszyta; nigdy zapewne nie zdobiła osoby, której wrodzone wdzięki lepiej uwydatniałyby przepych jej barwy i świetność tkaniny. Kiedy wróciła, Pogromca Zwierząt i Chingachgook, którzy w czasie jej krótkiej nieobecności jeszcze raz obejrzelh męskie ubrania, wstali zdumieni i obydwaj krzyknęli z podziwu i radości. Zachwyh obu młodzieńców był tak niewątpliwym, że dodał jeszcze blasku oczom Judyty, a na jej policzkach wywołał gorące rumieńce dumy z odniesionego zwycięstwa. Dziewczyna udała jednak, że nie zauważyła wrażenia, jakie zrobiła, usiadła z godnością królowej i wyraziła życzenie, aby dalej sprawdzano zawartość skrzyni.

–Najlepszym sposobem rokowań z Mingami, dziewczyno – zawołał Pogromca Zwierząt – byłoby wysadzić cię w tym stroju na brzeg i powiedzieć dzikim, że przyjechała do nich królowa! Gdy ujrzą takie widowisko, uwolnią starego Huttera, Harry'ego i Hetty!

–Myślałam, że usta twoje są niezdolne do pochlebstw, Pogromco Zwierząt – odparła dziewczyna, której zachwyh młodego myśliwego sprawił więcej radości, niż okazała. – Jednym z głównych powodów mego szacunku dla ciebie była twa prawdomówność.

–Ależ to prawda, święta prawda, Judyto; nic więcej. Nigdy oczy moje nie widziały istoty, która by wyglądała wspanialej niż pani w tej chwili. Widziałem swego czasu sporo pięknych kobiet, białych i czerwonych, znanych ze swej urody i blisko, i daleko; ale nigdy nie widziałem takiej, która mogłaby zmierzyć się z tobą w tej szczęśliwej chwili, Judyto – nigdy.

Spojrzenie pełne zachwytu, jakim dziewczyna obdarzyła myśliwego za to szczere wyznanie, wcale nie ujęło jej wdzięku; chyba nigdy Judyta nie wyglądała tak pięknie jak w chwili, gdy wilgotne jej oczy patrzyły czule na Pogromcę, w chwili, którą on nazwał szczęśliwą. Młody myśliwy potrząsnął głową, pochylił się nad otwartą skrzynią, jakby się zawahał – i przystąpił do dalszych poszukiwań.

Pojawiły się teraz drobne części damskiej garderoby, równie wykwintne jak brokatowa suknia. Pogromca Zwierząt złożył je bez słowa u stóp Judyty jako należne jej z samej natury rzeczy. Parę z nich, jak rękawiczki i koronki, dziewczyna podniosła

i uzupełniła nimi swą toaletę i tak już bogatą. Uczyniła to niby żartem, ale w gruncie rzeczy, aby przystroić się we wszystko, co tylko na niej się zmieści. Po wyjęciu tych wspaniałych strojów męskich i damskich znaleźli drugie płótno żaglowe, oddzielające górną część skrzyni od reszty jej zawartości. Pogromca Zwierząt zatrzymał się nie wiedząc, czy można posunąć się dalej w poszukiwaniach.

–Każdy ma swoje tajemnice – powiedział – i to jest jego prawo. Moim zdaniem, znaleźliśmy już tyle, ile nam trzeba; chyba należy na tym poprzestać i pozostawić panu Hutterowi to, co jest pod tym płótnem.

–Czy chcesz, Pogromco Zwierząt, ofiarować te suknie Irokezom jako okup? – żywo zapytała Judyta.

–Oczywiście. Czyż nie po to wetknęliśmy nosy w cudzą skrzynię, aby jak umiemy, najlepiej pomóc jej właścicielowi? Sam surdut wystarczy, aby pozyskać głównego wodza tych padalców; jeśli zaś jest z nim jego żona lub córka – na widok tej sukni z brokatu zmięknie serce każdej kobiety od Albany do Montrealu. Uważam, że te dwie sztuki zupełnie wystarczą, aby dobić targu z Mingami.

–Tak się panu tylko zdaje – odparła rozczarowana dziewczyna – ale co przyjdzie z takiej sukni indiańskiej kobiecie? Nie może nosić jej w lesie, bo będzie nią zaczepiać o gałęzie, w wigwamie zniszczy suknię, brud i dym. Nie mówię już o tym, jak będzie wyglądała para czerwonych ramion w tych krótkich rękawach z koronkami!

–Wszystko to prawda, dziewczyno; może pani jeszcze powiedzieć, że ta suknia w ogóle nikomu i na nic nie może się przydać w tych stronach. Ale co nam do tego, jak ktoś obejdzie się z suknią, jeśli sama wymiana nam odpowiada? Wątpię, aby pani tatuś mógł zrobić użytek z tych sukien; szczęśliwie się złożyło, że ma rzeczy dla niego bez wartości, a cenne dla innych. Najlepszym interesem, jaki możemy zrobić w jego imieniu, jest oddać te szmaty za jego wolność. Dorzucimy parę drobnych gałganków i na dodatek do ojca dostaniemy Hurry'ego!

–Uważa pan zatem, Pogromco Zwierząt, że Tomasz Hutter nie ma nikogo w swej rodzinie... nie ma dziecka, córki, której byłoby do twarzy w tej sukni? Może i pan chciałby czasem zobaczyć córkę Huttera dobrze ubraną, choćby to było bardzo rzadko i tylko dla zabawy?

–Rozumiem cię, Judyto... Tak, zrozumiałem, co chciałaś powiedzieć, i chyba znam też twoje pragnienia. Jestem gotów przyznać, że w tej sukni wyglądasz wspaniale jak słońce, gdy wschodzi albo zachodzi w pogodny dzień października; pewny też jestem, że to ty dodajesz blasku tej sukni, a nie na odwrót. Suknie, jak wszystko w świecie, też mają swoją naturę. Widzisz, moim zdaniem, wojownik na pierwszej ścieżce wojennej nie może umalować się tak groźnie jak wódz, który już dał dowody swego męstwa... i wie z doświadczenia, że nie robi sobie wstydu.

To samo z nami, czerwonymi i białymi. Jesteś córką Tomasza Huttera, a przecież ta suknia była uszyta dla córki rządcy kolonii lub innej wielkiej damy, która miała ją nosić wśród pięknych mebli i wśród bogatych ludzi. W moich oczach, Judyto, skromne dziewczę najlepiej wygląda w skromnej sukience. Nie może natomiast być do twarzy kobiecie w tym, co nie odpowiada jej charakterowi. Zresztą, dziewczyno, jeśli jest w kolonii istota, która może obejść się bez pięknych sukni i zdać się na swą urodę i słodką buzię – to jesteś nią ty!

–Zaraz zdejmę te śmiecie, Pogromco Zwierząt! – zawołała Judyta, zerwała się i wychodząc dodała: – i nie chcę ich więcej widzieć, nawet na kimś innym.

–Takie są wszystkie kobiety, Wężu – rzekł młody myśliwy zwracając się z uśmiechem do przyjaciela, gdy piękna dziewczyna wyszła z pokoju. – Lubią piękne stroje, ale najczęściej kochają się we własnych wdziękach. Rad jestem, że dziewczyna zgodziła się rzucić tę suknię, bo byłoby wbrew rozsądkowi, gdyby się tak ubierała osoba jej stanu, a sama jest dość ładna, by obejść się bez upięknień. Także i Cyt wyglądałaby przepięknie w tej sukni, Delawarze!

–Wah-ta-Wah jest czerwonoskórą dziewczyną, Pogromco Zwierząt – odparł Indianin. – Poznaje się ją, jak młodego gołąbka, po jej własnych piórkach. Poszedłbym sobie i nie chciałbym jej znać, gdyby przywdziała taką skórę. Najlepiej jest tak się ubierać, aby nasi przyjaciele nie musieli nas pytać, jak się nazywamy. Dzika Róża jest bardzo miła, ale wszystkie te kolory nie dodają jej uroku.

–Otóż to! Taka jest natura, naturalny kolor służy miłości i ochronie stworzenia. Gdy ktoś się schyli, aby zerwać poziomkę, nie spodziewa się znaleźć melona, a gdy chce zerwać melon, dziwi się, jeśli melon okaże się dynią, chociaż dla oka dynia bywa często bardziej żółta niż melon. Znaczy to: trzymaj się swej natury, a wtedy i ona będzie ci wierna.

Obaj mężczyźni odbyli teraz krótką rozmowę, w której zastanawiali się, czy należy dalej przetrząsać skrzynię Huttera. Tymczasem weszła Judyta, przebrana w swą własną, skromną Inianą sukienkę.

–Dziękuję, Judyto – powiedział Pogromca Zwierząt biorąc ją delikatnie za rękę. – Wiem, że odkładając na bok tak piękne stroje postąpiłaś wbrew naturalnym pragnieniom kobiety. Ale wyglądasz ładniej, niż gdybyś miała na głowie koronę i włosy obsypane klejnotami. Teraz należy się zdecydować, czy zdjąć to płótno i zobaczyć, co byłoby najkorzystniej dać w imieniu pana Huttera na wymianę, musimy bowiem postąpić tak, jak, naszym zdaniem, zrobiłby on, gdyby był na naszym miejscu.

Judyta była szczęśliwa. Przyzwyczała się do pochlebstw, ale skromny hołd, złożony jej przez Pogromcę Zwierząt, ucieszył ją więcej niż wszystkie pochwały, jakie słyszała

z ust mężczyzn. Wielkie wrażenie zrobiły naniej nie same słowa, które były bardzo proste, a przy tym ani nowe, ani gorące i pozbawione tych wszystkich cech, które zwykle zwiększają wartość pochwały. Do serca słuchaczki trafiła przede wszystkim niezwykła szczerość, z jaką zostały wypowiedziane. Oto jedna z największych korzyści szczerego i otwartego postępowania. Nałogowemu i zręcznemu pochlebcy wiedzie się tak długo, póki jego własna broń nie obróci się przeciw niemu, póki zbytek uprzejmości nie znudzi się jak nadmiar słodczy. Kto zaś postępuje uczciwie, często drugiemu sprawia przykrość, ale jego pochwały mają wartość, jaką dać może tylko szczerość; jego słowa bowiem trafiają do serca i spotykają się ze zrozumieniem. Tak też było z Pogromcą Zwierząt i Judytą. Kto tylko poznał tego skromnego myśliwego, szybko nabierał głębokiego przekonania o jego niewzruszonej uczciwości, stąd też każdą pochwałę Pogromcy przyjmowano z radością. Jeśli zaś kogoś zganiał, uwaga jego jątrzyła i budziła nienawiść; ale ci, którzy szanowali i lubili Pogromcę za jego prawy charakter, jego naganę odczuwali jeszcze boleśniej. Kiedy późniejsze koleje życia zetknęły tego prostaczka z wyższymi oficerami i ludźmi, którym powierzono troskę o interesy państwa – Pogromca Zwierząt wywierał na nich taki sam wpływ, tylko w szerszym zakresie. Nawet generałowie słuchali jego pochwał z wielką przyjemnością, jaką nie zawsze wywoływały pochwały ich przełożonych. Judyta była chyba pierwszą osobą tego samego koloru skóry co myśliwy, którą urzekła jego prawdomówność i rzetelność postępów. Gorąco pragnęła pochwały z jego ust – te raz ją otrzymała, i to w słowach najbardziej jej miłych, bo nie ganiły słabostek ani poglądów, do których przywykła. Skutki tego okażą się w dalszym ciągu naszego opowiadania.

–Gdy będziemy wiedzieli, co zawiera cała skrzynia, Pogromco Zwierząt – powiedziała ochłonawszy nieco z wrażenia, jakie wywołały pochwały jej wdzięków – łatwiej nam będzie na coś się zdecydować.

–Mówisz wcale rozsądnie, dziewczyno, chociaż trzeba powiedzieć, że tylko blade twarze lubią wtykać nos w cudze tajemnice; czerwonoskórzy tak nie postępują.

–Ciekawość jest rzeczą naturalną i trzeba się z tym pogodzić, że wszyscy ludzie mają ludzkie wady. Gdy mieszkaliśmy w osadach garnizonowych, przekonałam się, że wszyscy byli tam niezmiernie ciekawi tajemnic sąsiadów.

–Tak, a gdy tych tajemnic nie mogli poznać, zmyślali plotki! Na tym właśnie polega różnica między dżentelmenem indiańskim i białym. Ten oto Wąż odwróciłby głowę, gdyby mimo woli zajrzał do wigwamu innego wodza; a tymczasem w osadach białych wszyscy uważają się za wielkich ludzi, ale z tego, jak interesują się cudzymi, sprawami, wynikałoby, że są ludzie jeszcze więksi od nich. Idę o zakład, Judyto, że Wąż nigdy nie uzna drugiego swego rodaka za tyle lepszego od siebie, aby myśleć o nim i strzępić sobie język w rozmowach o tym, co robi, jak się zachowuje, co je, i o innych głupstwach, które zajmują ludzi nie mających większych zmartwień. Kto tak postępuje, jest zwykłym gałganem, a kto go do tego namawia, nie jest lepszy od

niego, choćby ubrany był nie wiem. jak świetnie i barwnie.

–Ale to nie jest cudzy wigwam; jesteśmy w domu mego ojca, rzeczy te należą do niego i chcemy ich użyć dla jego dobra. – Tak, dziewczyno, to prawda; to, co mówisz, ma swoją wagę. Gdy ujrzymy całą zawartość skrzyni, istotnie, będziemy mogli lepiej ocenić, co zaofiarować na okup, a co zatrzymać.

Judyta nie była znów tak bezinteresowna, za jaką chciała uchodzić. Pamiętała, że ciekawość Hetty została zaspokojona i że jej siostra wiedziała, co zawiera skrzynia, jej zaś ciekawość ojciec zlekceważył; chciała więc skorzystać z okazji i zrównać się pod tym względem z siostrą, która nie dorównywała jej rozumem. Gdy więc okazało się, że wszyscy są za dalszym sprawdzaniem zawartości skrzyni, Pogromca Zwierząt zdjął drugie płótno żaglowe.

Kiedy podniosła się druga kurtyna, zasłaniająca tajemnice skrzyni, ukazała się na wierzchu para pistoletów, pięknie wykładanych srebrem. W mieście wartość ich byłaby znaczna, w lasach jednak ten rodzaj broni rzadko był używany; czasem tylko jakiś oficer z Europy, który zwiedzał jak wielu innych kolonie, tak był przekonany o wyższości zwyczajów londyńskich, że się ich nie mógł wyrzec na granicy Ameryki. Co wynikło z odkrycia tej broni, zobaczymy w rozdziale następnym.

ROZDZIAŁ 13

Dębowy fotel – stary gruchot,
Dzbanek, któremu zbił ktoś ucho,
Rozklekotane wiekiem łoże,
Pudło (nikt zamknąć go nie może).
Szczypcy (ktoś łapki poutrać),
Tęgi pogrzebacz – też bez końca,
Talerz, co nieraz dania zmieniał,
I Owidiusza Księgi Przemian.

„Inwentarz dziekana Swifta”

Pogromca Zwierząt odwrócił się do Delawara i pokazał mu wyjęte ze skrzyni pistolety, jako godne podziwu.

–Dziecięca broń – z uśmiechem powiedział Wąż obracając pistolet w ręce jak zabawkę.

–O nie, Wężu, nie. To jest męska broń, która dobrze użyta może zadowolić olbrzyma. Zaczekaj: biali ludzie często nieostrożnie rzucają broń palną do skrzyni lub do kąta. Muszę zobaczyć, czy pistolety nie są nabite.

Mówiąc to Pogromca Zwierząt wziął pistolet z ręki przyjaciela i otworzył panewkę. Był tam proch, pod wpływem czasu i wilgoci zbity w grudkę podobną do kawałka żużlu. Za pomocą stempla myśliwy stwierdził, że obydwa, pistolety są nabite, chociaż Judyta zapewniała, że musiały od dawna leżeć w skrzyni. Nie łatwo byłoby opisać, jak to odkrycie zadziwiło Indianina, który zwykł był codziennie zmieniać proch na panewce i często doglądał swej strzelby.

–Oto niedbalstwo białych – powiedział Pogromca Zwierząt potrząsając głową. – Z tego powodu niemal co roku zdarzają się w osadach nieszczęśliwe wypadki. Dziwna rzecz, Judyto, bardzo dziwna, że właściciel takiej broni strzeli do jelenia lub innej zwierzyny, albo nawet do wroga i dwa razy na trzy spudłuje; ale niech, mu się zdarzy wypadek z bronią, gdy zapomni, że jest nabita, na pewno uśmierci dziecko brata lub przyjaciela! Wobec tego oddamy przysługę właścicielowi tych pistoletów, jeśli wystrzelimy ich ładunki, że zaś jest to broń nowa dla mnie i dla ciebie, Wężu, spróbujemy ręki i strzelimy do celu. Podsyp prochu, ja zrobię to samo i zobaczymy,

kto lepiej strzela z pistoletu, bo kto lepiej włada strzelbą, to już dawno wiadomo.

Pogromca Zwierząt sam uśmieł się serdecznie ze swego dowcipu. W chwilę później obydwaj stali na pomoście, szukając celu na arce. Ciekawa Judyta przyszła za nimi.

–Cofnij się, dziewczyna, cofnij się trochę: pistolety nabite zostały dawno – powiedział Pogromca Zwierząt – nie trudno o wypadek.

–Proszę, niech pan nie strzela! Daj obydwia pistolety Delawarowi; a najlepiej rozładować je i nie strzelać.

–Byłoby to wbrew zwyczajowi i – niektórzy mówią, że byłby to dowód braku odwagi, co jednak uważam za głupie. Musimy wystrzelić ładunki, Judyto, musimy, choć wiem, że żaden z nas nie będzie mógł pochwalić się swą zręcznością.

Judyta była dziewczyną bardzo odważną i nie bała się huku strzału tak jak inne kobiety. Strzelała już nieraz i wiadomo było, że raz zabiła jelenia w okolicznościach, które przynosiły jej zaszczyt. Usłuchała jednak wezwania myśliwego, trochę się cofnęła i stanęła obok niego. Indianin stał sam na przedzie pomostu. Podnosił i opuszczał pistolet, podpierał go drugą ręką, zmieniał postawę z niezgrabnej na jeszcze gorszą i w końcu, zrezygnowany, pociągnął za spust na chybił trafił. Wynik był taki, że kula nie tylko nie trafiła w sęk obrany za cel, lecz w ogóle ominęła arkę i skakała po jeziorze jak kamyk rzucony przez chłopca.

–Świetnie, Wężu! W sam raz! – zawołał Pogromca Zwierząt śmiejąc się jak zwykle wesoło i dyskretnie. – Trafiłeś w jezioro, a to już jest coś! Wiedziałem, że tak będzie, i nawet mówiłem to Judycie; krótka broń nie odpowiada naturze czerwonoskórych. Trafiłeś w jezioro, a to jest lepiej, niż trafić w powietrze! A teraz cofnij się! Pokażę wam, czego biały człowiek potrafi dokonać krótką bronią. Pistolet nie strzelba, a kolor to zawsze kolor.

Pogromca Zwierząt wycelował szybko i gdy tylko podniósł rękę, padł strzał. Ładunek prochu rozsadził pistolet, którego drobne kawałki upadły na dach zamku i arkę, a jeden wpadł do wody. Judyta krzyknęła przeraźliwie. Obydwaj mężczyźni zaniepokojeni odwrócili się do niej – była blada jak śmierć i drżała na całym ciele.

–Jest ranna! Tak, Wężu, biedne dziewczę jest ranne, chociaż stała w bezpiecznym miejscu. Trzeba zaprowadzić ją na krzesło i udzielić jej pomocy, na jaką możemy się zdobyć.

Judyta dała się zaprowadzić do krzesła, łyknęła wody z tykwy, którą podał jej Delawar, po czym dostała tak silnego ataku dreszczów, że robiły wrażenie śmiertelnych drgawek, aż wreszcie wybuchnęła płaczem.

–Ból trzeba przecierpieć, biedna Judyto, tak, musisz to znieść – pocieszał ją

Pogromca Zwierząt. – Ale wcale nie odradzam ci płaczu; wiadomo, że płacz przynosi ulgę niewiastom. Gdzież ona jest ranna, Wężu? Nie widzę śladu krwi ani zadraśnięcia skóry, sukienka też jest cała.

–Nic mi się nie stało, Pogromco Zwierząt – wykrztusiła dziewczyna przez łzy. – To tylko ze strachu, słowo daję. Zdaje się, że dzięki Bogu nikt nie ucierpiał w tym wypadku.

–A to dziwne! – zawołał poczciwy młodzian, niczego nie podejrzewając. – Myślałem, Judyto, że nie jesteś taka słaba jak kobiety z osad i że dziewczyna twojego pokroju nie boi się huku broni palnej. Nie, nie myślałem, że jesteś taka strachliwa! Hetty mogłaby się przestraszyć, ale ty jesteś za rozsądna, aby się bać wtedy, gdy niebezpieczeństwo już minęło. Pomyśl, wodzu, jak miło spojrzeć na te niewiasty; ale jakież one zmienne i niestałe w swych uczuciach!

Judyta, zawstydzona, milczała. Wcale nie udawała przerażenia – ogarnął ją nagły i nieodparty strach, niezrozumiały dla niej tak samo jak dla obu mężczyzn. Teraz otarła ślady łez z policzków, znowu się uśmiechnęła i przyłączyła się do żartów ze swej własnej głupoty.

–A ty, Pogromco Zwierząt? – zapytała wreszcie – naprawdę nie jesteś ranny? To cud prawdziwy, że pistolet rozleciał ci się w ręce, a ty wyszedłeś z tego cało; przecież mogłeś stracić rękę, a nawet życie!

–Takie cuda zdarzają się często ze starą bronią! Kiedy dostałem, mą pierwszą strzelbę, spłatała mi takiego samego figla, ale wyszedłem z tego zdrowy, chociaż niezupełnie tak jak dzisiaj. Tomasz Hutter ma teraz o jeden pistolet mniej, niż miał dzisiaj rano. Zdarzyło się to w związku z ratowaniem jego życia, nie może więc mieć do nas pretensji. A teraz chodźmy zajrzeć nieco głębiej do skrzyni.

Judyta opanowała już wzruszenie, usiadła tedy przy skrzyni i znów zabrali się do roboty. Następny przedmiot, jaki znaleźli, był owinięty w płótno. Po jego wyjęciu ujrzeli jeden, z owych przyrządów do liczenia, jakich wówczas używali marynarze; miał jak zwykle mosiężne okucia i ozdoby. Pogromca Zwierząt i Chingachgook wyrazili zachwyt i zdziwienie na widok nieznanego przyrządu, który błyszczał i lśnił na dowód, że dobrze go pielęgnowano.

–Mierniczowie tego nie używają, Judyto! – zawołał Pogromca Zwierząt, gdy już dobrze poobracał instrument w rękach. – Często widziałem ich przyrządy. Są to ludzie źli i bez serca, do lasu bowiem przychodzą tylko po to, aby torować drogę szkodnictwu i zniszczeniu. Żaden z ich przyrządów nie miał jednak wyglądu tak podejrzanego jak ten, który mamy przed sobą! Obawiam się, że Tomasz Hutter przywędrował do puszczy wcale nie jako jej przyjaciel. Czy zauważyłaś, dziewczyno, żeby ojcu zachciewało się zostać geometrą?

–Ojciec nie jest mierniczym, Pogromco Zwierząt, ani nie umie obchodzić się z tym instrumentem, choć, zdaje się, jest jego właścicielem. Czy sądzi pan, że Tomasz Hutter nosił kiedykolwiek tamten surdut? O wiele za duży na starego Huttera, tak jak ten instrument jest dla niego za mądry.

–Otóż to... tak to jest, Wężu, stary jakimś nie znanym nam sposobem odziedziczył cudzy majątek! Słyszałem, że był kiedyś marynarzem, zapewne ta skrzynia i cała jej zawartość... O! A to co? Oto coś znacznie lepszego niż mosiądz i czarne drzewo tamtego przyrządu!

Pogromca Zwierząt otworzył mały worek, z którego wyjmował, po jednej, figury szachowe. Znacznie większe niż zazwyczaj, zrobione były z kości słoniowej w sposób bardzo misterny. Każda figura przedstawiała osobę lub rzecz odpowiadającą jej nazwie: na koniach siedzieli rycerze, wieże stały na słoniach, a nawet pionki wyobrażały popiersia mężczyzn. Gra nie była kompletna, figury doznały uszkodzeń, co świadczyło, że źle się z nimi obchodzono; na ogół jednak figury były w dobrym stanie. Nawet Judyta wyraziła zachwyt, gdy Pogromca ustawił przed nią nieznane jej figury, Chingachgook zaś z zachwytu i radości zupełnie zapomniał o swej indiańskiej powadze. Brał w rękę figury i z niewyczerpanym zadowoleniem oglądał je, pokazując Judycie najcelniejsze szczegóły wykonania. Najwięcej jednak ucieszyły go słonie. Co chwilę dawało się słyszeć „hugh!”, kiedy dotykał palcami ich trąb, uszu lub ogonów; nie pominął też pionków wyobrażających łuczniczków. Pokaz trwał kilka minut. Judyta i Indianin byli oczarowani ostatnią zdobyczą. Pogromca Zwierząt siedział milczący, zamyślony, nawet ponury, ale śledził tak pilnie każdy ruch dwojga głównych aktorów, że żaden szczegół figury, którą podnosili i oglądali, nie uszedł jego uwagi. Ani jeden okrzyk radości, ani słowo pochwały nie wyszło z jego ust. Wreszcie tamci dwoje zauważyli milczenie Pogromcy i wtedy, po raz pierwszy od chwili znalezienia figur szachowych, przemówił:

–Judyto – zapytał poważnie, lecz z taką troską w głosie, że graniczyła z czułością – czy rodzice mówili z tobą o religii.

Dziewczyna zaczerwieniła się, a szkarłatne rumieńce, które przebiegły po jej pięknej twarzy, podobne były do zmiennych kolorów kapryśnego nieba neapolitańskiego w listopadzie. Pogromca Zwierząt nauczył ją jednak takiej szczerości, że nie zawahała się i odparła po prostu:

–Matka tak, ojciec nigdy. Zdawało mi się, że matka z przykrością mówiła o naszych modlitwach i praktykach religijnych, ojciec nigdy nawet słowem nie odezwał się na ten temat; ani przed jej śmiercią, ani potem.

–Aha, tak też mi się zdawało. No tak, on nie ma Boga w sercu; ani takiego, jakiego przystoi czcić człowiekowi białemu, ani nawet Boga czerwonoskórych. Te figurki to – bożki pogańskie!

Judyta zadrżała i przez chwilę czuła się naprawdę obrażona. Gdy pomyślała trochę, zaczęła się śmiać.

–Uważasz, Pogromco Zwierząt, że te zabawki z kości słoniowej są bogami mojego ojca? Słyszałam o bożkach i wiem, co to jest.

–To są bożki! – z uporem powtórzył myśliwy. – Po co twój ojciec trzymałby je, gdyby ich nie czcił?

–Czyżby ojciec trzymał swych bogów w worku i zamykał ich w skrzyni? Nie, nie, Pogromco Zwierząt, mój biedny ojciec zawsze nosi swego boga z sobą, są nim jego własne pragnienia. Może te figurki rzeczywiście są bożkami; sądząc z tego, co słyszałam i czytałam o bałwochwalstwie, są to istotnie bożki, ale pewnie przybyły z dalekiego kraju razem z innymi rzeczami i wpadły w ręce Tomasza Huttera, kiedy był marynarzem.

–Cieszy mnie to, bardzo mnie to cieszy, Judyto, bo chyba nie wytrwałbym w postanowieniu przyjscia z pomocą białemu bałwochwalcy. Stary jest tego samego koloru co ja, jest moim rodakiem i chcę mu pomóc, ale trudno by mi to przyszło, gdyby wyrzekł się swej religii. To zwierzę bardzo ci się podoba, Wężu, chociaż to jest, w najlepszym razie, bałwan pogański.

–To jest słoń – przerwała mu Judyta. – W garnizonie widywałam takie zwierzęta na obrazkach; mama miała książkę, w której była wydrukowaną bajka o tym zwierzęciu, Ojciec spalił tę książkę razem z innymi, bo jak mówił, mamusia za dużo czytała. Było to krótko przed śmiercią matki i nieraz myślałam, że ta strata wpędziła ją do grobu.

Powiedziała to z powagą, ale dość chłodno; z powagą, gdyż zrobiło jej się smutno na myśl o matce, za bardzo jednak zajęta była sobą i zbyt próżna, aby przejmować się wyrządzoną jej krzywdą. Trzeba było dopiero niezwykłych wydarzeń, żeby piękna, lecz zbłąkana dziewczyna nabrała rozumu i doznała bardziej szlachetnych uczuć; wydarzenia te jeszcze nie nastąpiły w jej krótkim życiu.

–Słoń, nie słoń, ale zawsze bożek – powiedział myśliwy – i nie powinien pozostać w rękach chrześcijanina.

–Dobry dla Irokezów! – odezwał się Chingachgook, niechętnie rozstając się z wieżą, którą przyjaciel mu zabrał, aby ją włożyć do worka. – Słoń kupi cały szczep – nawet kupi Delawar!

–Tak, na pewno. Wie o tym każdy, kto zna naturę czerwonoskórego – odparł Pogromca Zwierząt – ale kto płaci fałszywą monetą, Wężu, jest nielepszy od tego, co ją zrobił. Czy znałeś uczciwego Indianina, który by się ośmielił sprzedać skórę kuny za sobola albo borsuka za bobra? Wiem, że parę tych bożków, może nawet jeden słoń wystarczyłby, żeby kupić wolność Tomasza Huttera ale byłoby wbrew sumieniu

płacić Indianom fałszywą monetą. Może żaden z tutejszych szczepów nie uprawia bałwochwalstwa, ale niektóre są tego bliskie, biali więc powinni bardzo uważać, żeby ich nie utrzymywać w błędach.

–Jeśli bałwochwalstwo jest naturą człowieka, Pogromco Zwierząt, i jeśli naturą jest to, co ty za naturę uważasz, bałwochwalstwo tych ludów nie może być grzechem – powiedziała Judyta z większym wdziękiem niż złościwością.

–Bóg nie daje takiej natury żadnemu ze swych stworzeń, Judyto – poważnie odparł myśliwy. – Boga trzeba- czcić, pod takim albo. innym imieniem, ale nie jako istotę z mosiądzu lub kości słoniowej. Nie jest ważne, czy Ojca wszechrzeczy nazywa się Bogiem czy Manitou, Bóstwem czy Wielkim Duchem – zawsze pozostanie On naszym Stwórcą i Panem; nie ma też znaczenia, czy duszę sprawiedliwych idą do raju, czy na pola szczęśliwych łowów, bo Bóg może posłać każdego, gdzie chce i gdzie mu się podobaj ale krew stygnie mi w żyłach, gdy widzę ludzi tak pogrążonych w mrokach niewiedzy i własnej pysze, że z ziemi, drzewa lub kości własnymi rękami robią martwe, bezduszne figury, padają przed nimi plackiem i czczą je jako bóstwo!

–A może te figurki z kości słoniowej w ogóle nie są bożkami? Teraz przypomniało mi się, że u jednego oficera w garnizonie widziałam coś podobnego: mianowicie – lisa i gęsi; a tutaj jest jeszcze coś twardego, owiniętego w płótno, co pewnie należy do twoich bożków.

Pogromca Zwierząt wziął zawiniątko podane przez Judytę, rozwinął je i wyjął szachownicę. Podobnie jak figury była duża, zdobna, wykładana hebanem i kością słoniową. Myśliwy połączył w myśli figury z szachownicą i pomału, choć nie bez wahań, zgodził się ze zdaniem Judyty, a wreszcie przyznał, że widocznie domniemane bożki są tylko misternie wyrzeźbionymi figurami jakiejś nieznaney gry. Judyta przyjęła swe zwycięstwo z wielkim umiarem i ani razu, nawet pośrednio, nie napomknęła o śmiesznej pomyłce Pogromcy.

Odkrycie, do czego służą niezwykle figurki, rozwiązało sprawę okupu. Wszyscy zgodzili się – a dobrze znali słabe strony i upodobania Indian – że nic tak nie skusi chciwych Irokezów, jak właśnie słonie. Na szczęście, wieże były w komplecie, ostatecznie więc postanowiono, że te cztery zwierzęta z wieżami na plecach zaofiaruje się jako okup. Pozostałe figury oraz reszta zawartości skrzyni miały być schowane przed Mingami; postanowiono użyć ich tylko w ostateczności. Gdy tylko zapadły te wstępne decyzje, wszystko z wyjątkiem czterech wież zostało starannie ułożone w skrzyni i okryte płótnem tak samo dokładnie jak przedtem. Gdyby Hutter znów objął zamek w posiadanie mógłby spędzić w nim resztę swych dni i nawet nie podejrzewać, że dokonano zamachu na tajemniczą skrzynię. Tylko pęknięty pistolet mógł zdradzić tajemnicę (położyli go obok kolegi). Wszystko przycisnęli jak przedtem. Około sześciu paczek na dnie skrzyni w ogóle nie ruszyli. Opuścili wieko, założyli kłódki i przekręcili klucz, który schowali w tym samym woreczku, z którego

został wyjęty.

Rozważania, co należy zrobić, i wkładanie rzeczy na swoje miejsca w skrzyni zajęło im więcej niż godzinę. W czasie tej pracy dość często następowały przerwy na rozmowę. Judycie wielką przyjemność sprawiał szczery i jawny podziw, z jakim Pogromca Zwierząt patrzył swymi pocztowymi oczami na jej piękną buzię. Dziewczyna umiała przedłużać rozmowę ze zręcznością wrodzoną zalotnym kobietom. Pierwszy Pogromca Zwierząt spostrzegł się, ile czasu stracili, i zwrócił uwagę swych przyjaciół, że trzeba pomyśleć o wykupieniu jeńców z niewoli. Chingachgook pozostał w sypialni Huttera, gdzie zostawiono słonie, i napawał się widokiem cudownych, nieznanych zwierząt. Może instynkt podszeptał Indianinowi, że jego obecność nie byłaby tak mile widziana przez parę przyjaciół, jak właśnie brak jego osoby przy ich rozmowie. Judyta bowiem wcale nie ukrywała, kto jej się spodobał, a Delawar za długo był zaręczony, by nie znać objawów najsilniejszego z uczuć ludzkich.

–No tak, Judyto – powiedział Pogromca Zwierząt wstając na zakończenie rozmowy, która trwała znacznie dłużej, niż mu się zdawało – miło się z panią rozmawia o tych sprawach, ale nie zapominajmy o naszych obowiązkach. Gdy my tu rozmawiamy, Hurry i pani ojciec, nie mówiąc już o Hetty...

Myśliwy przerwał nagle, gdyż w tej samej chwili dały się słyszeć na pomoście lekkie kroki i postać ludzka ukazała się w drzwiach. Przed Pogromcą stanęła Hetty. Ledwie Pogromca Zwierząt i Judyta zdążyli krzyknąć – on cicho, ona nieco głośniej – gdy nagle indiański chłopiec, lat około szesnastu, stanął przy dziewczynie. Oboje byli w mokasynach i dlatego weszli tak cicho. Niespodziewane wejście gości, którzy zakradli się na zamek, wcale nie zbiło z tropu Pogromcy Zwierząt. Pierwszym krokiem myśliwego było błyskawiczne ostrzeżenie rzucone przyjacielowi po delawarsku, aby się nie pokazywał i miał się na baczności; następnie Pogromca podszedł do drzwi, aby się zorientować, jak wielkie grozi im niebezpieczeństwo. Nie było nikogo więcej; zwykła tratwa, kołysząca się na wodzie obok arki, wyjaśniła wszystko. Dwa wyschłe pnie sosny, tak lekkie, że unosiły się na wodzie, zbito kołkami i związane wikliną, a na wierzchu położono po prostu kawał odłupanego drzewa kasztanu, co miało stanowić rodzaj pomostu. Hetty usiadła na polanie, a młody Irokez wiosłował; i w ten sposób, na prymitywnym i powolnym, lecz zupełnie bezpiecznym statku, przebyli drogą od brzegu do zamku. Gdy Pogromca Zwierząt przyjrzał się bacznie tratwie i stwierdził, że nikogo nie ma w pobliżu, potrząsnął głową i zamruczał do siebie:

–To są skutki wścibiania nosa w cudzą skrzynię! Gdybyśmy lepiej czuwali i patrzyli, nie dalibyśmy się tak zaskoczyć. Oto nauczka: jeśli chłopiec mógł tak z nas zakpić, możemy sobie wyobrazić, co nas czeka, gdy starzy wojownicy ruszą głowami. No, ale przynajmniej otwiera się przed nami droga do rokowań w sprawie okupu. Muszę posłuchać, co Hetty ma do powiedzenia.

Judyta ochłonawszy ze zdziwienia i strachu dała wyraz swej szczerzej radości z powodu powrotu siostry. Ścisła ją i całowała jak dawniej, gdy były małymi, niewinnymi dziewczynkami. Hetty mniej była wzruszona spotkaniem, gdyż dla niej nie była to niespodzianka, a święty cel podtrzymywał ją na duchu. Na prośbę siostry usiadła i opowiedziała o swych przygodach od chwili rozstania. Właśnie zaczęła swą opowieść, gdy wszedł Pogromca Zwierząt. Myśliwy słuchał uważnie opowiadania Hetty, a młody Irokez natomiast stał pod drzwiami z miną tak obojętną na wszystko wokół niego, jak gdyby był pniem drzewa, podtrzymującym dach zamku.

Dziewczę w' swej dosyć jasnej relacji doszło do chwili, w której zostawiliśmy ją w obozie, mianowicie, gdy po rozmowie z wodzami Cyt nagle odeszła, o czym już mówiliśmy. Dalszy ciąg niechaj opowie sama.

–Kiedy czytałam wodzom Biblię, nie poznałybyś po nich, Judyto, żadnej zmiany w ich umysłach, ale rzucone ziarno musi wzejść. Bóg posiał nasiona wszystkich drzew...

–Oj, posiał – szepnęła Pogromca Zwierząt – i ile tego wyrosło!

–Bóg posiał nasiona wszystkich drzew – podjęła po krótkiej przerwie Hetty – i sami widzicie, jak wyrosły i ile dają cienia! Tak samo rzecz ma się z Biblią. Przeczytasz werset w tym roku i zapomnisz, a za rok słowa Biblii -wrócą do ciebie, choć zdawałoby się, żeś dawno je zapomniała.

–Czy zauważyłaś coś podobnego u Indian, biedna Hetty?

–Tak, Judyto, prędzej i więcej, niż się spodziewałam. Zatrzymałam się chwilę z ojcem i Hurry'm, potem poszłam na śniadanie do Cyt. Ledwie zjadłyśmy, przyszli do nas wodzowie i od razu okazało się, że ziarno, które zasiałam, już wydało owoce. Wodzowie powiedzieli, że to, co im przeczytałam z dobrej książki, jest prawdą... i musi być prawdą... bo brzmi prawdziwie, i że te słowa jeszcze dźwięczą im w uszach, jak słodki śpiew ptaszka. Powiedzieli też, żebym wróciła do domu i powtórzyła to wielkiemu wojownikowi, który zabił jednego z ich dzielnych mężów, a także tobie. I jeszcze kazali mi powiedzieć, że byliby bardzo szczęśliwi, gdyby mogli przyjść tutaj, na zamek, do kościoła albo na pomost i w blasku słońca posłuchać, jak będę im czytała świętą książkę, i wreszcie, że bardzo cię proszą, abyś pożyczyła im paru członów, aby mogli przywieźć na zamek ojca, Hurry'ego oraz swoje kobiety i posłuchać śpiewu Manitou bladych twarzy. A widzisz, Judyto! Czy słyszałaś już o czymś, co by tak dobitnie ukazywało potęgę Biblii?

–Gdyby to była prawda, byłby to zaiste prawdziwy cud, Hetty. Ale to są tylko indiańskie podstępny i indiańska zdrada, które zmierzają do tego, żeby nas podejść, skoro siłą nie mogą nam dać rady.

–Czyżbyś, siostrze, wątpiła w Biblię, że tak źle mówisz o dzikich?

–Nie wątpię w Biblię, biedna Hetty, ale zupełnie nie wierzę Indianom i do tego Irokezom. Co pan na to, Pogromco Zwierząt?

–Wpierw muszę pomówić z Hetty – odparł myśliwy. – Czy tratwę Indianie zbudowali po twym śniadaniu i czy szłaś na piechotę z obozu na miejsce, z którego odbiliście od brzegu?

–O, nie! Pogromco Zwierząt. Tratwa już była gotowa i spuszczone na wodę. Czy to był cud, Judyto?

–Tak... tak... to są indiańskie cuda – odparł myśliwy. – Indianie to cudotwórcy. A więc ujrzałaś gotową tratwę, już na wodzie, czekającą na ładunek, to znaczy na ciebie?

–Tak było, jak mówisz. Tratwa czekała niedaleko obozu, Indianie posadzili mnie na niej... Mieli takie liny uplecione z kory... i na nich zaciągnęli tratwę do miejsca naprzeciw zamku... i kazali temu młodzieńcowi, żeby zawiózł mnie tutaj.

–A teraz w lesie pełno jest tych włóczęgów, czekających, co wyniknie z ich cudu. Jasna sprawa, Judyto, ale muszę jeszcze pozbyć się tego młodego krwiopijcy z Kanady, a dopiero potem zastanowimy się, co robić dalej.

Judyto i Hetty, zostawcie nas samych, lecz wprzód przynieście mi słońce, którym Wąż jeszcze się nie napatrzył. Nie można ani na chwilę zostawić samemu sobie rączego jelenia, inaczej bez pytania pożyczycy sobie czółna.

Judyta wykonała prośbę Pogromcy; przyniosła figurki i wraz z siostrą wyszła do swego pokoju. Pogromca Zwierząt dość dobrze znał większość narzeczy Indian z tych stron i mógł porozumieć się z Irokezem w jego języku. Dał chłopcu znak, żeby się zbliżył, posadził go na skrzyni i nagle postawił przed nim dwie wieże. Do tej chwili chłopak nie okazał ani śladu zainteresowania otoczeniem. Było tu wiele rzeczy nowych dla niego, lecz chłopak był opanowany i zachowywał spokój godny mędrca. Co prawda, Pogromca Zwierząt zauważył, że ciemne oczy młodego Indianina śledzą urządzenia obronne zamku i zahaczają o strzelby, ale wywiad ten prowadzony był z miną tak niewinną, a chłopiec tak wyglądał na młodego, niemrawego gapia, że tylko ten, kto kształcił się w podobnej szkole jak on, mógł się domyślić, o co tu idzie. Gdy jednak wzrok dzikiego padł na rzeźby z kości słoniowej, wyobrażające przedziwne, nieznane zwierzęta, zdziwienie i zachwyty opanowały chłopca. Opisywano często wrażenie, jakie robiły na mieszkańcach wysp na Morzu Południowym zabawki ludzi cywilizowanych; czytelnik zechce wziąć pod uwagę, że amerykański Indianin zupełnie inaczej zachowywał się w podobnych okolicznościach. W naszym jednak przypadku młodemu Irokezowi czy też Huronowi wymknął się okrzyk zachwyty, lecz chłopak

zaraz się opanował, jakby dopuścił się czegoś nieprzyzwoitego. Oczy dzikiego przestały teraz błędzić po izbie i nie mogły oderwać się od figurek słoni. Po krótkim wahaniu chłopiec odważył się wziąć jednego słonia do ręki. Pogromca Zwierząt nie przeszkadzał mu przez dziesięć minut; dobrze wiedział, że Indianin stara się zapamiętać wygląd tych niezwykłych przedmiotów, by po powrocie opisać je jak najdokładniej starszym wojownikom. Myśliwy, gdy już uznał, że dziki, miał dosyć czasu, aby wbić sobie w, głowę szczegóły wyglądu słoni, dotknął palcem gołego kolana chłopca i w ten sposób przypomniał mu o swej obecności.

–Słuchaj – powiedział – chciałbym pomówić z mym młodym przyjacielem z Kanady. Niechże on zapomni na chwilę o tym cudzie.

–Gdzie jest drugi blady brat? – zapytał chłopiec podnosząc wzrok i mimo woli zdradzając myśl, która nie dawała mu spokoju, póki nie ujrzał figur szachowych.

–Śpi... a jeśli nawet nie zasnął, to jest w sypialni – odparł Pogromca Zwierząt. – Skąd mój młody przyjaciel wie, że jest tu jeszcze ktoś?

–Widziałem go z brzegu. Irokezi mają długie oczy... Widzą przez chmury... Widzą dno wielkiego źródła!

–Dobra jest, kłaniam się nisko Irokezom. Dwie blade twarze przebywają jako jeńcy w obozie twych ojców, chłopcze.

Chłopak kiwnął głową w sposób świadczący, że uważa tę sprawę za całkiem nieciekawą; ale zaraz roześmiał się, co było chyba wyrazem dumy, że jego współplemieńcy okazali się zręczniejsi od białych.

–Czy możesz mi powiedzieć, chłopcze, co wasi wodzowie zamierzają zrobić z tymi jeńcami? A może jeszcze się nie zdecydowali?

Chłopak popatrzył na myśliwego nieco zdziwiony; potem spokojnie dotknął końcem palca wskazującego swej głowy, tuż ponad lewym uchem, i zatoczył krąg wokół ciemienia tak dokładnie i szybko, że widać było, jak dobrze wyuczono go tej osobliwej sztuki indiańskiej.

–Kiedy?– zapytał Pogromca Zwierząt, któremu gardło ścisnęło się wobec tej chłodnej i jawnej obojętności na życie ludzkie, – Czy nie chcecie ich wziąć do waszych wigwamów?

–Droga daleka i pełno na niej bladych twarzy. W wigwamie ciasno, skalpy drogie. Mały skalp, dużo złota.

–No tak, to jasne, zupełnie jasne. Wyraźniej nie można by tego powiedzieć. Otóż, chłopcze, wiesz zapewne, że starszy wasz jeniec jest ojcem tych dwóch młodych

kobiet, a drugi jeniec stara się o względy jednej z nich. Oczywiście, dziewczęta chciałyby ocalić skalpy swych bliskich i dadzą jako okup dwa zwierzęta z kości słoniowej, po jednym za każdy skalp. Wróć do obozu, powiedz o tym waszym wodzom i przynieś mi odpowiedź, zanim słońce zajdzie.

Chłopak zgodził się na tę propozycję z zapalem i tak szczerze, że nie było wątpliwości, iż zadanie wykona dobrze i szybko. Na chwilę zapomniał o poczuciu godności, o nienawiści plemiennej do Anglików i sprzymierzonych z nimi Indian... – tak gorąco pragnął, aby jego szczerp zdobył taki skarb. Pogromca Zwierząt był bardzo zadowolony z wrażenia, jakie słonie zrobiły na chłopcu. Młody Irokez, co prawda, zaproponował, że weźmie jednego słonia, aby wodzowie wiedzieli, jak wygląda drugi, ale jego biały brat był za mądry, aby się na to zgodzić, wiedział bowiem, że słoń nigdy nie trafi do obozu, jeśli odda go w niepowołane ręce. Po wyjaśnieniu tej sprawy chłopak zabrał się w drogę. Gdy stanął na pomoście i miał już wejść na tratwę, zawahał się, zawrócił i poprosił, żeby mu pożyczyć czółna, gdyż w ten sposób przyśpieszy się rokowania. Pogromca Zwierząt spokojnie odmówił. Chłopak zatrzymał się jeszcze chwilę, wsiadł na tratwę i powoli powiosłował ku zaroślom na brzegu, oddalonym od zamku o niecałe pół mili. Pogromca siadł na stołku i odprowadził wzrokiem ambasadora. Przez jakiś czas przyglądał się bacznie brzegom jeziora, gdzie tylko mógł sięgnąć wzrokiem, aż wreszcie oparł się łokciem o kolano, a ręką podparł brodę i w takiej pozycji przez długą chwilę pozostawał w bezruchu.

W czasie rozmowy Pogromcy Zwierząt 'z chłopcem w sąsiednim pokoju rozegrała się inna scena. Hetty zapytała o Delawara i gdy Judyta powiedziała jej, czemu i gdzie się schował, poszła do niego. Chingachgook przyjął gościa uprzejmie i z szacunkiem. Wiedział, z kim ma do czynienia, i dlatego starał się być dla niej miły, tym bardziej że liczył na wiadomości od narzeczonej. Dziewczyna usiadła i poprosiła Delawara, aby siadł przy niej. Potem nastąpiło milczenie, Hetty bowiem uważała, że wypada, aby on najpierw wypytał ją o narzeczoną, a dopiero potem będzie mogła powiedzieć o co jej idzie. Chingachgook nie zrozumiał jej i uprzejmie czekał, co ona zechce mu powiedzieć.

–Ty jesteś Chingachgook – Wielki Wąż Delawarów, tak? – zaczęła wreszcie Hetty ze zwykłą sobie prostotą, nie mogąc już dłużej czekać, tak się śpieszyło jej do tej rozmowy. Chciała się jednak najpierw upewnić, czy to rzeczywiście jest Chingachgook.

–Chingachgook – powiedział Delawar z powagą i godnością. – W języku Pogromcy Zwierząt nazywają mnie Wielkim Wężem.

–Tak, to jest mój język. A także Pogromcy Zwierząt, ojca, Judyty i biednego Hurry Harry'ego. Czy znasz Henryka Marcha, Wielki Wężu? Chyba jednak nie znasz, bo Hurry nic nie mówił o tobie.

–Czy jakieś usta wymówiły imię Chingachgooka, Płacząca Lilio? – tak wódz nazwał biedną Hetty. – Czy mały ptaszek u Irokezów śpiewał jego imię?

Hetty zrazu nie odpowiedziała; doznała owego nieuchwytnego uczucia, które zawsze budzi sympatię niedoświadczonej dziewczyny do mężczyzny, zwiesiła głowę i zanim odzyskała mowę, rumieniec okrył jej policzki. Zbyt słabą miała głowę, aby zdać sobie sprawę z przyczyny tego zmieszania; ale jeśli nie dostawało jej rozumu, uczucia nie zawodziły jej nigdy. Kolory pomału ustąpiły z jej twarzy, dziewczyna śmiało podniosła wzrok na Indianina, a na jej ustach pojawił się uśmiech, w którym niewinność dziecka połączyła się z kobiecą ciekawością.

–Moja siostra, Płacząca Lilia, słyszała tego ptaszka? – powiedział Chingachgook tonem pełnym słodyczy, co zdziwiłoby tych, którzy słyszeli, jak z tego samego gardła dobywały się chrapliwe okrzyki. Owe przejścia od dźwięków chrapliwych i gardłowych do głosu miłego i melodyjnego często spotykamy w mowie Indian. – Uszy mojej siostry były otwarte; czyżby zgubiła język?

–Ty jesteś na pewno Chingachgook; nie ma tu drugiego Indianina, a ona czekała na Chingachgooka.

–Chin-gach-gook – powiedział Indianin wolno i oddzielając sylaby – Wielki Wąż w języku Jengizów*[\[4\]](#).

–Chin-gach-gook – potworzyła Hetty w ten sam sposób. – Tak, Cyt tak samo wymawiała to słowo: ty jesteś Chingachgook.

–Wah-ta-Wah – poprawił Chingachgook.

–Wah-ta-Wah albo Cyt-o-Cyt. Cyt jest ładniej niż Wah i dlatego nazywam ją Cyt.

–Wah brzmi słodko w uszach Delawara!

–Wymawiasz to inaczej niż ja. Mniejsza o to, słyszałam śpiew tego ptaszka, Wielki Wężu.

–Czy moja siostra powtórzy mi słowa tej piosenki? Co śpiewa najczęściej? Jak wygląda? Czy często się śmieje?

–Najczęściej śpiewała Chin-gach-gook; uśmieła się serdecznie, gdy jej opowiedziałam, jak Irokezi skoczyli do wody i biegli za nami, ale nas nie złapali. Chyba te ściany nie mają uszu, Wężu!

–Nie bój się pani, uważaj na siostrę w tamtym pokoju. Nie bój się Irokeza: Pogromca Zwierząt pasie jego oczy i uszy dziwnym zwierzem]

–Rozumiem cię, Wężu, jak rozumiałam Cyt. Czasem zdaje mi się, że jestem znacznie mądrzejsza, niż oni uważają. A teraz popatrz na sufit – wszystko ci powiem. Ale boję się ciebie, oczy ci płoną, gdy mówię o Cyt.

Indianin przymrużył oczy i udał, że posłuchał naiwnej prośby dziewczyny.

–Cyt kazała mi powiedzieć ci po cichutku, żebyś nic nie wierzył Irokezom. Oni są bardziej podstępni niż wszyscy inni Indianie, jakich Cyt zna. Potem powiedziała, że jest duża, jasna gwiazda, która pokazuje się nad wzgórzem w godzinę po zapadnięciu zmroku – Cyt wskazała planetę Jowisza, ale nie знаła oczywiście jej nazwy. Gdy wzejdzie ta gwiazda, Cyt będzie czekała na cyplu, w miejscu, gdzie ja wyszłam na brzeg wczoraj w nocy, a ty masz przypląć po nią czołnem.

–Dobrze! Chingachgook rozumieć całkiem dobrze, ale zrozumieć lepiej, jeśli moja siostra zaśpiewać mu to jeszcze raz.

Hetty powtórzyła swe słowa i bliżej wyjaśniła Indianinowi, o jaką gwiazdę chodzi, oraz określiła miejsce, w którym ma wyjść na ląd. Następnie w zwykły sobie, naiwny sposób opowiedziała Delawarowi o swej znajomości z Cyt i powtórzyła parę jej wyrażeń i zdań, co wielce uradowało narzeczonego. Kilka razy wracała do przestrogi, aby strzegli się zdrady. Przestroga, prawdę mówiąc, nie była potrzebna, gdyż obaj mężczyźni byli niezmiernie ostrożni. Wyjaśniła też w sposób całkiem zrozumiały (w podobnych sprawach rozum dziewczyny niemal nigdy nie zawodził) obecne położenie nieprzyjaciela i ruchy, jakich dokonał od rana. Do chwili odjazdu Cyt była z nią na tratwie; teraz jest w lesie, naprzeciw zamku, i przez cały dzień nie wróci do obozu; wieczorem wracając brzegiem jeziora do domu spróbuje wymknąć się swym towarzyszkom i schować się na przylądku. Nikt, zdaje się, nie podejrzewa obecności Chingachgooka, choć Irokezi wiedzą oczywiście, że jakiś Indianin wczoraj wieczór wsiadł na arkę, i podejrzewają, że to on potem pokazał się koło zamku w ubraniu bladej twarzy. Jednakże co do tego istnieją wątpliwości, bo w tej porze roku mogą tu przybyć biali, Mingowie więc obawiają się, że w ten sposób zwiększyła się załoga zamku. Wszystko to Cyt powiedziała Hetty, gdy Indianie holowali je na tratwie; przebyły w ten sposób około sześciu mil i było dosyć czasu na rozmowę.

–Cyt sama nie wie, czy Irokezi mają wobec niej jakieś podejrzenia i czy domyślają się, że ty tu jesteś, ale uważa raczej, że o niczym nie wiedzą. A teraz, Wężu, gdy tyle przekazałam ci wiadomości od narzeczonej – mówiła Hetty, biorąc mimo woli Indianina za rękę i bawiąc się jego palcami, jak dziecko bawi się nieraz ręką ojca – pozwól, że powiem ci coś od siebie. Gdy się ożenisz z Cyt, musisz być dla niej dobry i uśmiechać się do niej tak, jak teraz uśmiechasz się do mnie, i nie patrzeć na nią spode łba, jak niektórzy wodzowie patrzą na swe squaws, przyrzekasz mi to?

–Zawsze dobry dla Wah! Zbyt krucha, aby wykręcić ręką, zaraz by się. złamać.

–Tak, i uśmiechaj się do niej; nie wiesz, jak dziewczyna czeka na uśmiech ukochanego. Ojciec może raz tylko uśmiechnął się do mnie, odkąd go znam... a Hurry... tak... Hurry zawsze głośno mówił i śmiał się, ale chyba nigdy nie uśmiechnął się do mnie. Wiesz, jaka jest różnica między śmiechem i uśmiechem?

–Śmiać – lepiej. Kto słyszeć Wah śmiać, myśleć ptaszek śpiewa!

–Wiem. Cyt ładnie się śmieje, ale ty musisz się uśmiechać. Jeszcze jedno, Wężu, nie każ jej, jak inni mężowie indiańscy, dźwigać ciężarów i okopywać kukurydzy, lecz obchodź się z nią tak, jak blade twarze traktują swe żony...

–Wah-ta-Wah nie jest blada twarz – ma czerwoną skórę i czerwone serce, wszystko czerwone. Nie blada twarz. Musi nosić papuza.

–Każda kobieta chce nosić swoje dziecko – odparła z uśmiechem Hetty. – W tym nie ma nic złego. Ale 'ty powinienes kochać Cyt, być miły i dobry dla niej, bo ona jest słodka i dobra dziewczyna.

Chingachgook poważnie kiwnął głową i pomyślał, że należałoby już poniechać tego tematu, Zanim jednak Hetty zaczęła mówić, dał się słyszeć z pierwszego pokoju głos Pogromcy Zwierząt, który wołał swego przyjaciela. Na to wezwanie Wąż wstał, a Hetty wróciła do siostry.

ROZDZIAŁ 14

Dziwniejsze bydlę niewątpliwie

Na ziemskiej nie gościło niwie.

Kadłub jaszczurki w tył się zwęża

Głowa jak ryby, język węża,

U łap potrójny, ostry pazur

I ogon długaśnego płazu.

Merrick

Delawar, ledwie wszedł do pokoju, w którym czekał na niego przyjaciel, z poważną miną uwolnił się od ubrania ludzi cywilizowanych i wrócił do stroju indiańskiego wojownika. Na protesty Pogromcy Zwierząt Chingachgook odpowiedział, że Irokezi wiedzą o obecności Indianina na zamku i że gdyby pozostał w przebraniu, mogliby się domyślić, co go tu sprowadza; łatwiej zaś odwrócić podejrzenia, jeśli jawnie wystąpi jako członek wrogiego szczepu. Pogromca Zwierząt, który dotąd sądził, że Irokezi nie widzieli, jak wódz delawarski wszedł na arkę, teraz dowiedział się prawdy, chętnie więc zgodził się na zmianę stroju, skoro dalsze udawanie białego przez Delawara nie miało już sensu. Indianin jednak pragnął ukazać się w stroju syna puszczy ze względów bardziej romantycznej natury, niżby to wynikało z tego, co mówił. Dowiedział się, że Cyt jest na brzegu. Natura mężczyzny przemówiła w nim silniej niż wszystko, co dotyczyło samego stroju, szczepu i otaczających go ludzi. Młody wojownik indiański doznał takich samych uczuć, jakie ożywiają w podobnej sytuacji najbardziej kulturalnego mieszkańca miasta. Słowem, Indianina ogarnęła słodka nadzieja, że może zobaczy go ukochana kobieta. Gdy wychodził na pomost w skąpym stroju swego szczepu, rzekłbyś – Apollo puszczy – słodkie marzenia, od jakich zwykle roi się w głowach kochanków, obiegy jego wyobraźnię i wypełniły serce.

Tego rodzaju uczucia obce były Pogromcy Zwierząt, który niewiele wiedział o arkanach Kupidyna, a głowę miał pełną zupełnie innych zmartwień niż puste marzenia miłosne. Myśliwy szybko ściągnął przyjaciela na ziemię, wzywając go na swego rodzaju naradę wojenną, na której mieli ustalić plan dalszego postępowania. Przyjaciele najpierw opowiedzieli sobie o przebiegu rozmów, jakie przeprowadzili. Chingachgook poznał dzieje dotychczasowych rokowań w sprawie okupu; Pogromca Zwierząt zapoznał się z nowinami przyniesionymi przez Hetty i z wielką uwagą wysłuchał przyjaciela, gdy ten przedstawił mu swój plan odbicia Cyt z niewoli. Myśliwy gorąco zapewnił Delawara, że ze wszech sił poprze go w tym

przedsięwzięciu.

–To przecież, jak wiesz, Wężu, nasze główne zadanie; obrona zamku i córek starego Huttera to sprawa uboczna. Tak, tak, jak najchętniej przyjdę z pomocą małej Cyt, która jest nie jedną z najlepszych i najładniejszych dziewcząt szczepu, ale rzeczywiście najlepszą i najładniejszą. Zawsze bardzo byłem rad twej miłości, wodzu; wypada również, aby twój wielki i starożytny ród nie wygasł. Gdyby czerwonoskóra kobieta mogła stać mi się tak bliska, że chciałbym wziąć ją za żonę, szukałbym takiej jak Cyt; ale to nie jest możliwe, niestety, zupełnie niemożliwe. Cieszę się, że Hetty poznała się z Cyt, bo pierwszej trochę nie staje dowcipu i rozumu, a głowa drugiej starczy za dwie. Tak, Wężu – tu myśliwy serdecznie się roześmiał – lepszej pary dziewcząt nie znajdziesz w całej kolonii Yorku!

–Pójdę do obozu Irokezów – z powagą odparł Delawar. – Nikt, prócz Wali, nie zna tam Chingachgooka, a układ w sprawie życia i skalpów powinien zawrzeć wódz! Daj mi te dziwne zwierzęta i pozwól wziąć czółno.

Pogromca Zwierząt pochylił nisko głowę i bawił się wędką zanurzoną jednym końcem w wodzie. Siedział ze zwieszonymi nogami na skraju pomostu, zamyślony jak człowiek, który wbił sobie w głowę potężnego ćwieka, Nie odpowiedział przyjacielowi wprost, lecz zaczął mówić do siebie. Mówił prawdę jak zwykle, znany był bowiem z tego, że mówi, co myśli, bez względu na to, czy rozmawia z sobą, czy z kimś innym.

–Tak, tak, to jest miłość, tak ludzie to nazywają! Mówiono mi, że jest to uczucie, które czasem przewraca ludziom rozum do góry nogami i obezwładnia młodzieńca czyniąc go niemądrym i nieostrożnym jak dzikie, zwierzę. Pomyśleć, że Wąż mógł stracić głowę wraz z całym swym sprytem i mądrością! Oczywiście, musimy wydostać Cyt z niewoli i ożenić tych dwoje, jak tylko wrócimy do naszego szczepu, inaczej wojna ta będzie dla naszego wodza niczym więcej jak zwykłym, nieco bardziej urozmaiconym polowaniem. Tak, tak, ten człowiek nie będzie tym, kim był, póki ten kłopot nie spadnie mu z głowy i chłopiec nie wróci do zdrowych zmysłów. Wężu, chyba nie mówiłeś serio i dlatego niewiele mogę powiedzieć o twojej propozycji. Jesteś wodzem, niedługo pójdiesz ścieżką wojenną na czele oddziału. Chciałbym cię zapytać o jedno: czy chcesz oddać twych wojowników w ręce wrogów jeszcze przed bitwą?

–Wah! – krzyknął Indianin.

–Tak, Wah! Dobrze wiem, że Wah, nic tylko Wah! Doprawdy, Wężu, martwisz mnie i smucisz. Do czego to podobne, żeby wódz mówił tak nierozsądnie; i to wódz, który, mimo młodego wieku i braku doświadczenia, zdobył sobie imię mądrego człowieka. Czółna nie weźmiesz, jeśli głos przyjaciela i jego przestrogi jeszcze coś znaczą dla ciebie.

–Mój przyjaciel blada twarz ma słuszość. Chmura okryła twarz Chingachgooka, słabość zmogła głową, a oczy zaszyły mgłą. Mój brat ma dobrą pamięć do słusznych postępków, a słabą do złych. Mój brat zapomni.

–Tak, o to najłatwiej. Nie mówmy już o tym, wodzu. Ale jeśli znów nadejdzie chmura, zejdź jej z drogi. Chmury szkodzą pogodzie – lecz stokroć gorzej, jeśli zachmurzą komuś rozum. A teraz usiądź przy mnie, pomyślimy trochę o tym, co robić, gdyż niebawem albo będziemy mieli rozejm i pokój, albo nastąpi prawdziwa, krwawa wojna. Sam widzisz, że te urwipółcie umieją posłużyć się pniami drzew nie gorzej niż najlepsi przewoźnicy na rzekach i niewielka to dla nich sztuka napaść na nas całą chmarą. Myślę sobie, czy nie byłoby rozsądnie załadować cały dobytek starego Toma na arkę, zabarykadować zamek i przenieść się na statek. Podniesiemy żagiel i będziemy pływać sobie po jeziorze. W ten sposób możemy przetrwać wiele nocy i nie wpuścić kanadyjskich wilków do naszej owczarni.

Plan ten spodobał się Chingachgookowi. Jeśli rokowania z nieprzyjacielem zawiodą, najbliższa noc nie minie spokojnie i wróg przypuści szturm do zamku. Irokezi są na tyle sprytni, aby zrozumieć, że jeśli zdobędą zamek, w ręce ich wpadnie cały dobytek Toma wraz z okupem ofiarowanym przez oblężonych i wtedy nie będą musieli wydawać jeńców. Środek ostrożności, jaki zaproponował myśliwy, wydawał się konieczny, bo znając liczebność Irokezów trudno było liczyć na to, że uda się odeprzeć nocny atak na zamek. Nieprzyjaciel bez trudu mógł zdobyć czółna i arkę, ta zaś dawała mu taką samą osłonę od kul, z jakiej korzystali obrońcy domu Huttera. Przez chwilę obaj mężczyźni rozważali możliwość zatopienia arki na mieliźnie, przeniesienia czółen do domu i zdania się na siłę obronną zamku. Po namyśle doszli jednak do wniosku, że byłby to bardzo zawodny sposób obrony. Nic łatwiejszego, jak zebrać na brzegu pnie drzew i zbudować tratwę dowolnej wielkości. Dlatego Irokezi, gdy już zwrócili uwagę na ten sposób, nie zrezygnują z niego, mając pewność, że wytrwałe wysiłki muszą dać rezultaty. Po dojrzałym namyśle i rozważeniu wszystkich możliwości obaj młodzi adeptci sztuki prowadzenia wojny w puszczy zgodzili się, że tylko arka może im zapewnić bezpieczeństwo. O swej decyzji zawiadomili Judytę. Dziewczyna przyjęła plan bez zastrzeżeń, wobec czego wszyscy czworo zabrali się do dzieła.

Czytelnik zgodzi się z nami, że dobra doczesne Pływającego Toma nie stanowiły wielkiego bogactwa. Dwa łóżka, odzież, broń i amunicja, trochę naczyń kuchennych i skrzynia, która zachowała część swych tajemnic – oto niemal cały majątek Huttera. Wszystko to szybko przenosili na arkę, którą przeciągnęli na wschodnią stronę zamku, aby przeprowadzki nie było widać z brzegu jeziora. Cięższych i pospolitych mebli w ogóle nie ruszali, gdyż ani nie były potrzebne na arce, ani nie przedstawiały żadnej wartości. Przeprowadzka trwała dwie do trzech godzin, odbywała się bowiem z zachowaniem niezwyklej ostrożności, a większość przedmiotów podawano sobie przez okno, aby nieprzyjaciel nie zobaczył, co się tu dzieje. Ledwie skończyli pracę, ukazała się tratwa, płynąca od brzegu ku zamkowi. Pogromca Zwierząt natychmiast

chwycił lunetę i ujrzał na tratwie dwóch wojowników, zdaje się, nie uzbrojonych. Tratwa posuwała się wolno. Widać było, że gdyby w przyszłości doszło do starcia między tratwą a arką, statek Huttera miałby wielką przewagę, był bowiem znacznie szybszy i stosunkowo lekki. Ludzie na zamku mieli dość czasu, aby się przygotować na przyjęcie niebezpiecznych gości, toteż wszystko było gotowe, zanim tratwa zbliżyła się na odległość głosu. Wąż i dziewczęta wycofali się do domu, Indianin stanął pod drzwiami z kilkoma strzelbami pod ręką, Judyta zaś przez otwór strzelniczy obserwowała, co się dzieje na zewnątrz. Pogromca Zwierząt wyniósł z domu stółek, postawił go na skraju pomostu, w miejscu, do którego zmierzała tratwa, i usiadł ze strzelbą między kolanami, niedbale opartą o podłogę.

Gdy tratwa zbliżyła się do zamku, cała jego załoga wytężyła oczy starając się zobaczyć, czy goście mają ze sobą broń palną. Ani Pogromca Zwierząt, ani Chingachgook niczego nie dostrzegli. Judyta, nie dowierzając swym oczom, wysunęła przez otwór strzelniczy lunetę i skierowała ją na gałęzie jodły, które leżały między dwoma pniami tratwy, tworząc coś w rodzaju podłogi, a zarazem siedzenia dla wiosłarzy. Kiedy wolno poruszający się statek zbliżył się na odległość pięćdziesięciu stóp, Pogromca Zwierząt zawołał, żeby przestali wiosłować, bo i tak nie pozwoli im wysiąść. Dwaj posępni Huroni musieli oczywiście usłuchać polecenia Pogromcy, natychmiast też powstali. Tratwa, pchana siłą rozpędu, zbliżała się do pomostu.

–Czy jesteście wodzami? – zapytał Pogromca Zwierząt z wielką powagą. – Czy jesteście wodzami – powtórzył – czy też Mingowie przysłali mi jako posłów wojowników bez imion? Jeśli tak – im prędzej wróćcie, tym prędzej przybędzie tu ktoś, z kim taki wojownik jak ja będzie mógł mówić.

–Hugh! – zawołał starszy z dwóch wojowników na tratwie, świdrując iskrzącymi się oczami zamek i jego otoczenie tak przenikliwie, że na pewno nic nie uszło jego uwagi. – Mój brat jest bardzo dumny, ale Rozdarty Dąb (podajemy jego imię w dosłownym tłumaczeniu) to imię, na które blednie twarz Delawara.

–To albo prawda, albo kłamstwo, Rozdarty Dębie, na dwoje babka wróżyła. Ja, uważasz, nie zblednę, bo się już urodziłem błądy. Co was sprowadza i czemu się pchacie między lekkie czółna na pniakach, których nie chciało się wam wydrążyć?

–Irokezi nie kaczkę, żeby spacerowali po wodzie! Niech blade twarze dadzą im czółno, to wrócą i przyjadą na czólnie.

–Mówisz rzeczy rozsądne, ale mało prawdopodobne. Mamy tylko cztery czółna, jest nas cztery osoby, w sam raz po jednym czólnie dla każdego. Dziękujemy za pamięć, ale pozwolimy sobie nie skorzystać z waszej propozycji. Witamy, Irokezi na pniaczkach!

–Dzięki, młody, bladolicy wojownika. On chyba ma imię... jak na niego wołają wodzowie?

Pogromca Zwierząt zawahał się i nagle ogarnęła go duma, zwykła słabość ludzka. Uśmiechnął się, coś tam mruknął, podniósł wzrok dumnie i powiedział:

–Słuchaj, Mingo, jak wszyscy młodzi i mężni, w różnych czasach znany byłem pod różnymi imionami. Pewien wasz wojownik, którego duch wybrał się na pola szczęśliwych łowów nie dalej jak wczoraj rano, uznał, że zasługuję na to, abym był znany pod imieniem Sokolego Oka. Moje oko okazało się bowiem bystrzejsze niż jego, gdy doszło między nami do walki na śmierć i życie.

Chingachgook, który pilnie nadstawiał ucha, zrozumiał, że jego przyjaciel uległ chwilowej próżności, i przy najbliższej okazji wypytał go o szczegóły zdarzenia na cyplu, kiedy to myśliwy po raz pierwszy pozbawił życia człowieka. Gdy poznał całą prawdę, nie omieszkał zawiadomić szczepu o tym zdarzeniu i od tej pory młody myśliwy znany był wśród Delawarów pod nowym imieniem, zdobytym w przekonaniu Indian w sposób tak zaszczytny. Mając jednak na względzie, że nastąpiło to po wydarzeniach, które stanowią treść tego opowiadania, będziemy dalej nazywali młodego myśliwego imieniem, pod jakim przedstawiliśmy go naszemu czytelnikowi. Irokeza nie mniej niż Delawara zadziwiły przechwałki białego człowieka.

Wiedział o śmierci rodaka i od razu zrozumiał aluzję Pogromcy. Świadcami spotkania między białym zwycięzcą i pokonanym Indianinem było wielu dzikich, którzy znajdowali się wówczas na brzegu jeziora, rozstawieni na skraju zarośli z zadaniem śledzenia płynących samopas czółen; gdy zobaczyli, co się dzieje, zwycięzca wycofał się, zanim zdążyli dobiec na miejsce walki. Słowa Pogromcy zrobiły na nieokrzesanym mieszkańcu lasów takie wrażenie, że aż krzyknął ze zdziwienia, po czym nastąpił uśmiech i gest – godne azjatyckiego dyplomaty. Dwaj Irokezi porozumieli się między sobą, po cichu i wyszli na skraj tratwy od strony pomostu.

–Mój brat, Sokole Oko, przesłał Huronom wiadomość – podjął Rozdarty Dąb – która wielce uradowała ich serca. Dowiedzieli się bowiem, że mój brat ma figury zwierząt o dwóch ogonach! Czy on zechciałby pokazać je swym przyjaciółom?

–Nieprzyjaciółom ściślej mówiąc – odparł Pogromca Zwierząt – ale nie będziemy się spierać o słowa, zresztą nieszkodliwe. Oto jedna z tych figur. Rzucam ją wam – mam nadzieję, że dobra wiara będzie towarzyszyć naszym układom. Jeśli jednak figura do mnie nie wróci, spór między nami rozstrzygnie strzelba.

Irokez zgodził się na te warunki. Pogromca Zwierząt wstał i rzucił jednego słonia na tratwę. Obie strony uważały, aby figurka nie wpadła do wody. Rzut był celny, Indianin zręczny – figurka z kości słoniowej bezpiecznie przeszła z rąk do rąk. Teraz

na tratwie rozegrała się scena, w której zdziwienie i zachwyty wzięły górę nad indiańską obojętnością. Dwaj posępni, starzy wojownicy oglądając misternie rzeźbioną figurę szachową okazali znacznie więcej podziwu niż chłopak, który widział ją pierwszy. Młody Indianin bowiem zbyt dobrze pamiętał nauki, jakie niedawno wpoila mu indiańska szkoła panowania nad sobą, mężczyźni zaś, jak to bywa z ludźmi pewnymi swego wyrobionego charakteru, nie wstydziło się okazać swych uczuć. Na chwilę zapomnieli, gdzie się znajdują, wpatrzni w niezwykle zwierzę, świetnie zrobione z tak pięknego materiału. Z tego, co można ujrzeć w puszczy amerykańskiej, chyba tylko warga łosia przypomina trochę trąbę słonia; jest to jednak podobieństwo tak odległe, że słon pozostawiał dla obu Indian stworzeniem zupełnie im obcym, do żadnego ze znanych im zwierząt niepodobnym. Im więc bardziej mu się przyglądali, tym większe było ich zdziwienie. Synowie puszczy nie brali jednak wieży na grzbiecie słonia za organiczną część tego zwierzęcia. Znali konie i woły, widzieli w Kanadzie wieże, a zwierzę dźwigające ciężary nie było dla nich czymś niezwykłym. Ale – przez naturalne skojarzenie – uważali, że figurka przedstawia zwierzę, które może udźwignąć na grzbiecie wieżę forteczną, co niebywale zwiększyło ich zachwyty.

–Czy mój bladolicy brat ma więcej takich zwierząt? – zapytał wreszcie starszy Irokez tonem uprzejmej prośby.

–Jest ich więcej tam, skąd pochodzą, Mingo – brzmiała odpowiedź – ale jedno wystarczy, żeby wykupić pięćdziesiąt skalpów.

–Jeden z mych jeńców jest wielkim wojownikiem... rosły jak sosna... silny jak łoś... rączy jak jeleni... dziki jak pantera. Kiedyś będzie wielkim wodzem i stanie na czele wojsk króla Jerzego!

–Trele, morele, mój Mingo. Harry Hurry to Harry Hurry – nie zrobicie z niego więcej jak kaprala i to już będzie wielka sztuka. Jest wysoki, wiadomo, ale co mu z tego.– tyle, że gdy idzie lasem, zawadza głową o gałęzie. Jest także silny, ale to nie znaczy, że głowę ma tęgą, a generałów królewskich nie dobiera się wedle ich mięśni. Jest chyży, niech ci będzie, ale kula jest szybsza. Jest dziki, powiadasz, ale nie jest to zaleta żołnierza – wielu zuchów daje nogę przy pierwszej sposobności. Nie, braciszku, nie uda ci się sprzedać skalpu Hurry'ego drożej niż szopę kędzierzawych włosów na czasce pustej jak bęben!

–Mój stary jeniec bardzo mądry... król jeziora... wielki wojownik... mądry do rady!

–Popatrz, popatrz, Mingo. Znalezliby się jednak tacy, którzy i temu by zaprzeczyli. Mądry człowiek nie dałby się złapać w tak głupi sposób, jak to się przytrafiło panu Hutterowi. Może innym daje dobre rady, ale sam tym razem posłuchał rady bardzo kiepskiej. Jest tylko jeden król tego jeziora, ale mieszka daleko i pewnie nigdy nie zobaczy tych stron. Pływający Tom jest tutaj takim samym królem jak wilk, który

grasuje w lasach, jest królem puszczy. Zwierzę z dwoma ogonami to aż nadto za takie dwa skalpy!

–Ale mój brat ma jeszcze jedno takie zwierzę. Da dwa – podniósł dwa palce – za starego ojca.

–Pływający Tom nie jest moim ojcem, ale to nie ma znaczenia. Dać za jego skalp dwa zwierzęta, i to jeszcze obydwu z dwoma ogonami, byłoby bzdurą, jakich mało. Będziesz szczęśliwy, Mingo, nawet jeśli zrobisz znacznie gorszy interes.

Tymczasem Rozdarty Dąb przewyciężył zachwyty i odzyskał panowanie nad sobą; jął się więc swych zwykłych sztuczek, aby podbić cenę skalpów. Nie będziemy tu powtarzać szczegółów beładnej rozmowy, jaka się teraz wywiązała między obu stronami. Indianin wykazał w niej niemało sprytu starając się odzyskać teren stracony pod wpływem zdziwienia. Oświadczył nawet, że wątpi, czy zwierzę takie w ogóle istnieje, i zapewniał, że najstarsi Indianie nic o nim nie słyszeli. Ani jednemu, ani drugiemu nie mogło przyjść wówczas do głowy, że w niecałe sto lat później postęp cywilizacji sprowadzi w te strony zwierzęta znacznie dziwniejsze i rzadziej spotykane (wielką uciechę dla gapiów), a zwierzę, o które się teraz spierali, będzie można wtedy oglądać kąpiące się i pływające po tym samym jeziorze*[\[5\]. Jak to bywa w toku dyskusji, jedna strona nieco się rozgrzała. Podniecił się Irokez, ponieważ Pogromca Zwierząt wszystkie argumenty i chytre matactwa swego zręcznego przeciwnika odparł z chłodną szczerością i niczym niewzruszoną prawdomością.](#)

O słonię wiedział tyle co Indianin, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że figurki z kości słoniowej mają dla Irokeza taką wartość jak worek złota czy paczka skór bobrowych dla kupca. W takiej sytuacji uznał za rozsądne nie odstępować od razu, tym bardziej że nawet po uzgodnieniu warunków układu jego wykonanie nasuwało trudności niemal nie do pokonania. Pamiętając o tym trzymał w rezerwie pozostałe figury, aby w razie potrzeby rzucić je na szalę i w ten sposób uporać się z trudnościami wykonania układu.

W końcu dziki oświadczył, że nie ma po co dalej prowadzić rokowań, bo nie może być tak niesprawiedliwy wobec swego szczepu, żeby, zrezygnować z zaszczytu i zysku, jaki mogą im dać dwa świetne skalpy dorosłych mężczyzn, dla takiej drobnostki jak zabawka, którą tu oglądał. Po czym zaczął przygotowywać się do odjazdu. Obie strony doznały uczuć ludzi zdających sobie sprawę, że umowa, na której bardzo im zależało, nie dojdzie do skutku, bo zbyt się upierali w toku pertraktacji. Zawód ten jednak na każdego z nich podziałał inaczej. Pogromca Zwierząt był przygnębiony i pełen żalu, współczuł bowiem nie tylko jeńcom, ale może jeszcze więcej obu dziewczętom. Dziki natomiast pod wpływem klęski zapragnął zemsty. Rozgniewał się i oświadczył, że nie ma ochoty mówić dalej. Był wściekły na siebie i na swego chłodnego przeciwnika o to, że on, wódz indiański, pozwolił, aby

blada twarz okazała więcej obojętności i opanowania. Gdy odpychał trawę od pomostu, nachmurzył czoło, a w jego oczach błysnął gniew, chociaż uśmiechał się przyjaźnie i uprzejmie skinął ręką Pogromcy na pożegnanie.

Pokonanie siły bezwładności ciężkich pni wymagało trochę czasu. Kiedy milczący Indianin nawracał tratwę, Rozdarty Dąb z posępnym i okrutnym wyrazem twarzy wszedł na gałęzie jodły, które leżały między pniami, i bystrym spojrzeniem ogarnął dom, pomost i osobę swego przeciwnika. Coś szepnął swemu towarzyszowi i zaczął kopać nogami gałęzie, jak narowisty koń. Czujność Pogromcy Zwierząt trochę osłabła, gdyż rozmyślał właśnie, jakby tu wznowić rokowania nie ustępując zbyt wiele stronie przeciwnej. Na jego szczęście, bystre i szeroko otwarte oczy Judyty czuwały jak zwykle. Gdy młody myśliwy przestał się mieć na baczności, a jego wróg stał się jak najbardziej czujny, Judyta w ostatniej chwili ostrzegła Pogromcę wołając:

–Uważaj, Pogromco Zwierząt! Widzę przez lunetę strzelby pod gałęziami jodły, Irokez chce je wykopać!

Widocznie wróg tak dalece posunął swą przebiegłość, że wysłał posła rozumiejącego po angielsku. (Poprzednia rozmowa odbyła się w jego języku ojczystym). Nogi Indianina zaniechały zdradzieckich ruchów, a na twarzy Rozdartego Dęba miejsce posępnego okrucieństwa zajął uprzejmy uśmiech: najwidoczniej zrozumiał ostrzeżenie Judyty. Dał znak towarzyszowi, aby wstrzymał się z odjazdem, wyszedł na tył tratwy, przed pomost i powiedział:

–Czemu chmura miałaby pozostać między Rozdartym Dębem a jego bratem? Obaj są mądrzy, obaj dzielni, obaj szlachetni – powinni rozstać się przyjaciółmi. Niech jedno zwierzę będzie ceną jednego skalpu.

–Ach, Mingo – odparł myśliwy wielce rad, że układy zostały wznowione na łatwych do przyjęcia warunkach, i zdecydowany dobić targu dodając coś z własnej woli – zobaczysz, że biada twarz umie zapłacić pełną cenę, gdy handel odbywa się z człowiekiem otwartego serca i otwartej ręki. Zatrzymaj zwierzę, które odjeżdżając zapomniałeś mi zwrócić. Nie przyszło mi do głowy poprosić o jego zwrot, tak byłem zmartwiony, że rozstajemy się w gniewie. Pokaż je waszym wodzom. Gdy przywieziesz tu naszych przyjaciół, dodam ci jeszcze dwa zwierzęta, a... – zawahał się, czy słusznie czyni tak wielkie ustępstwo, lecz uznał, że słusznie – a gdy ujrzymy ich, zanim słońce zajdzie, może znajdziemy czwarte zwierzę, żeby rachunek był równy.

To załatwiło sprawę. Ostatni ślad niezadowolenia zniknął z ciemnej twarzy Irokeza. Uśmiechnął się tak wdzięcznie i niemal tak słodko jak sama Judyta Hutter. Jeszcze raz przyjrzał się figurce, którą trzymał w ręce. Okrzyk radości świadczył, jak bardzo cieszy go nieoczekiwane zakończenie targów. Dąb i Pogromca w toku układów tak się rozpalili, że zapomnieli o właściwym przedmiocie ich sporu. Nie zapomniał o

figurce towarzysz Rozdartego Dęba. Zatrzymał słonia i był gotów, gdyby stanowczo zażądano jego zwrotu, upuścić figurkę do wody, w nadziei, że w parę dni później znajdzie ją na dnie jeziora. Teraz ten rozpaczliwy krok już nie był potrzebny. Dwaj Indianie powtórzyli warunki układu i zapewnili, że dobrze je zrozumieli, po czym ruszyli w drogę powrotną. Judyta i Hetty wyszły na pomost, stanęły obok Pogromcy Zwierząt i śledziły wzrokiem wolno oddalającą się, tratwę.

–Czy można w ogóle wierzyć tym hultajom? – zapytała Judyta. – Czy nie zatrzymają zabawki w swych rękach i nie przyślą nam krwawych dowodów, że nas wywiedli w pole? Mieliby dopiero powód do przechwałek! Słyszałam o nich takie straszne historie.

–Tak, Judyto, niechybnie tak by zrobili, gdyby to było zgodne z naturą Indian. Ale nie mam zielonego pojęcia o dzikich, jeśli to zwierzę o dwóch ogonach nie narobi w ich obozie takiego ruchu jak kij wetknięty do ula! Wąż na przykład to człowiek o nerwach ze stali, który sprawom codziennym okazuje tyle ciekawości, na ile pozwala rozsądek. No i co? Na widok kościanego zwierzęcia tak się zapomniał, że musiałem, się za niego wstydzić! Taka jest ich natura. Pytam się, czy można mieć. pretensje do człowieka, który postępuje zgodnie ze swą naturą, jeśli ona nie jest zła? Chingachgook szybko otrząśnie się z chwilowej słabości, przypomni sobie, że jest wodzem, że pochodzi ze słynnego rodu i musi dbać o swe wielkie imię. Ale te powsinogi nie uspokoją się, póki nie zdobędą wszystkich kawałków rzeźbionej kości, jakie można" znaleźć na składzie u Tomasza Huttera!.

–Wiedzą tylko o słoniach, nie mogą więc ostrzyć sobie apetytu na inne rzeczy.

–To prawda, Judyto, ale chciwość jest uczuciem nienasyconym. Powiedzą sobie tak: Jeśli blade twarze mają dziwne- zwierzę z dwoma ogonami, kto wie, czy nie mają zwierząt z trzema albo nawet z czterema ogonami! Nauczyciele nazywają nauką rachunków to, co niechybnie nie da im teraz chwili spokoju. Nie spoczną, póki nie dowiedzą się prawdy.

–Czy sądzisz, Pogromco Zwierząt – zapytała jak zwykle naiwna i niewinna Hetty – że Irokezi nie uwolnią ojca i Hurry'ego? Przeczytałam im przecież parę najlepszych wersetów z całej Biblii i sam widzisz, jak to pomogło.

Pogromca Zwierząt wysłuchał Hetty jak zwykle uprzejmie, a nawet z sympatią. Potem pomyślał chwilę w milczeniu. Lekki rumieniec pojawił się na jego policzkach, gdy odpowiedział:

–Nie wiem, czy biały człowiek powinien się wstydzić, gdy przyjdzie mu wyznać, że nie umie czytać. Ale, widzisz, Judyto, tak jest ze mną. Ty, jak widzę, znasz się na tych rzeczach, a ja czytałem tylko z ręki Boga: widziałem jej ślady na wzgórzach i w dolinach, na szczytach górskich, w puszczy, strumieniach i źródłach. Wiele się

można nauczyć w ten sposób, podobnie jak z książek, a przecież myślę sobie czasem, że sztuka czytania odpowiada naturze białego człowieka. Kiedy z ust braci morawian słyszę te same słowa, o których mówi Hetty, budzą one we mnie tęsknotę i chciałbym sam to przeczytać. Ale letnie polowanie, a zimą słuchanie ustnych podań, nauka sztuki wojennej i inne jeszcze zajęcia – wszystko to sprawiło, że zostałem w tyle.

–Czy chcesz, Pogromco Zwierząt, bym nauczyła cię czytać? – z powagą zapytała Hetty. – Mówią, że mam słabą głowę, ale umiem czytać tak samo jak Judyta. Możesz ocalić swe życie, jeśli będziesz umiał przeczytać dzikim Biblię, a na pewno zbawisz duszę; mówiła mi to wiele razy mamusia!

–Dzięki, Hetty, serdeczne dzięki. Idą, zdaje się, czasy bardzo niespokojne, nie pora to na odpoczynek i zabawę. Gdy jednak nadejdzie pokój, znów przyjdę tu do was i zabierzemy się do dzieła przyjemnego i pożytecznego. Może to wstyd, Judyto, ale to prawda. Wracając do Irokezów, nie wierzę, aby z powodu jednego czy dwóch kawałków z Biblii zapomnieli o zwierzęciu o dwóch ogonach. Przypuszczam, że raczej uwolnią jeńców licząc na jakiś nowy podstęp, który pomoże im znów wziąć do niewoli obie blade twarze razem z nami, całym zamkiem i arką na dodatek. W każdym razie musimy politykować z tymi włóczykijami, aby wydostać z ich rąk ojca i Hurry'ego, a potem utrzymać pokój do chwili, gdy Wężowi uda się odbić im swą przyszłą żonę. Jeśli znów ogarnie ich gniew i okrucieństwo, zaraz spędzą wszystkie kobiety i dzieci do obozu. Gdy zaś uspimy ich czujność, może uda nam się spotkać z Cyt w miejscu, które sama nam wskazała. Nie możemy teraz dopuścić do zerwania układów, wołałbym raczej dorzucić im pół tuzina figurek żołnierzy z łukami i strzałami, których tyle mamy w skrzyni.

Judyta chętnie się na to zgodziła. Wyrzekłaby się nawet kwiecistej sukni brokatowej, byle tylko wykupić ojca z niewoli i przypodobać się Pogromcy Zwierząt.

Pomyślne widoki na najbliższą przyszłość znacznie podniosły ducha obrońców zamku. Nie przestali jednak bacznie śledzić ruchów nieprzyjaciela. Tymczasem godziny mijały, słońce chyliło się już ku szczytom wzgórz na zachodzie, a tratwy wciąż nie było widać. Wreszcie Pogromca Zwierząt, który posługując się lunetą, przeszukiwał brzegi jeziora, odkrył w gęstym i ciemnym lesie liczne zgrupowania Irokezów. Było to niedaleko zarośli, z których przedtem wynurzyła się tratwa. Mały strumyk, który spływał tam do jeziora, wskazywał na bliskość źródła. Dzicy zapewne zebrali się tutaj na naradę, która miała rozstrzygnąć o życiu lub śmierci jeńców. Mimo zwłoki Pogromca Zwierząt nie uważał sytuacji za beznadziejną i swymi przypuszczeniami podzielił się z zaniepokojonymi dziewczętami. Wydawało mu się znacznie prawdopodobniejsze, że Indianie zostawili jeńców w obozie, niż że zabrali ich z sobą, skoro oddział, który wyruszył do lasu, miał wkrótce wrócić: jeńcy tylko zawadzaliby im w drodze. Jeśli tak sprawa się miała, trzeba było sporo czasu, aby posłaniec pobiegł do obozu i sprowadził obu białych na miejsce, w którym mieli

wsiąć na tratwę. Te uwagi Pogromcy dodały ducha obu siostram. Z nowym zapasem cierpliwości i z mniejszym niepokojem patrzyły teraz na chylące się ku zachodowi słońce.

Niebawem fakty potwierdziły domysły Pogromcy Zwierząt. Nim słońce schowało się zupełnie, z zarośli wynurzyła się tratwa. Gdy się zbliżyła do zamku, Judyta obwieściła, że ojciec i Hurry, obaj skrępowani, leżą na podściółce z gałęzi na środku tratwy. Jak przedtem – wiosłowali Indianie. Najwidoczniej zdawali sobie sprawę, że jest późno i trzeba dobrze się wysilić, gdyż – mimo znanej odrazy Indian do pracy – tego przykładali się do swych prymitywnych wiosł. Dzięki ich gorliwości tratwa przybyła do mety w czasie dwa razy krótszym, niż przy pierwszej wizycie.

Chociaż warunki wydania jeńców były dokładnie ustalone i sprawa daleko się posunęła, wykonanie układu napotykało na znaczne trudności. Irokezi musieli zaufać dobrej wierze swych wrogów, uczynili to jednak niechętnie i tylko dlatego, że nie było innego wyjścia. Wiedzieli, że po zwolnieniu Huttera i Hurry'ego stosunek sił obrońców zamku do załogi tratwy wyniesie dwa do jednego. O ucieczce nie mogło być mowy, gdyż biali mieli kilka lekkich czólen nie mówiąc już o przewadze, jaką im dawały zamek i arka. Wiedziały o tym obie strony i prawdopodobnie układ skończyłby się na niczym, gdyby, jak zwykle, pocziwa twarz i otwarte postępowanie Pogromcy Zwierząt nie wywarły dużego wrażenia na Rozdartym Dębie.

–Mój brat wie, że mam do niego zaufanie – powiedział wódz podchodząc z Hutterem, któremu zdjął więzy, z nóg, aby mógł wejść na pomost. – Jeden skalp – jeszcze jedno zwierzę.

–Zaczekaj, Mingo – przerwał mu myśliwy – zatrzymaj swego jeńca jeszcze chwilę. Muszę iść po okup.

W wymówce tej było więcej sprytu niż prawdy. Pogromca Zwierząt wszedł do domu i polecił Judycie zebrać broń i ukryć w jej pokoju. Potem z poważną miną powiedział coś Delawarowi, który przyczał się za drzwiami, włożył do kieszeni pozostałe trzy wieże i wrócił.

–Serdecznie witamy pana Huttera w jego grodzie – powiedział pomagając staremu wleźć na pomost, a równocześnie niepostrzeżenie wetknął wieżę w rękę Rozdartemu Dębowi. – Zobaczysz, jak córki ucieszą się z twego powrotu. Oto Hetty w swej własnej osobie, sam zobaczysz jej radość.

Tu myśliwy przerwał i parsknął śmiechem. Właśnie Indianie zdjęli Hurry'emu więzy z nóg i pomogli mu wstać. Był jednak tak mocno skrępowany, że nie od razu odzyskał władzę w członkach. Olbrzym wyglądał doprawdy bezradnie i pociesznie. Ten niezwykle widok, a zwłaszcza zdziwiona twarz Hurry'ego rozweseliły Pogromcę.

–Wyglądasz jak sosna na polanie, obdarta z kory i miotana wiatrem – powiedział do Hurry'ego starając się pohamować niestosowną wesołość więcej przez wzgląd na świadków niż z szacunku dla wyzwolonego jeńca. – Cieszę się jednak, że w czasie wizyty w obozie nie byłeś ze swą czupryną u irokezkiego fryzjera.

–Słuchaj, Pogromco Zwierząt- odparł tamten ze złością – lepiej byś zrobił, gdybyś był mniej dowcipny, a bardziej serdeczny w takiej chwili. Zachowaj się raz jak prawdziwy chrześcijanin i nie figluj jak mała śmieszka w wiejskiej szkole za plecami nauczyciela. Powiedz mi, na czym stoję i czy mam jeszcze stopy pod sobą. Zdaje mi się, że je widzę, ale ich nie czuję; może są tutaj, a może na brzegu Mohawku.

–Wyszedłeś z tego cało, Hurry, a to nie byle co – odparł myśliwy, dyskretnie wręczając Indianinowi resztę okupu i równocześnie dając mu stanowczy znak, by ruszał w drogę. – Wyszedłeś z całymi nogami i nic ci się nie stało, trochę tylko zdrętwiałeś, bo cię za mocno skrępowali. Krew za chwilę sama zacznie krążyć, będziesz mógł tańczyć i radować się z najbardziej nieoczekiwanego i cudownego, jakbym to nazwał, ocalenia z jaskini wilków.

Pogromca Zwierząt uwolnił z więzów ręce przyjaciół. Obydwaj przytupywali i kuśtykali po pomoście, starając się wśród pomruków i przekleństw pobudzić krążenie krwi. Zbyt długo jednak byli skrępowani, aby od razu mogli odzyskać władzę w członkach. Tymczasem Indianie wracali do domu równie skwapliwie, jak tu przyjechali. Tratwa była już dobre sto jardów od zamku, gdy Hurry odwróciwszy się w tamtą stronę ujrzał, jak szybko wróg uchodzi jego zemście. Mógł się już jako tako poruszać, choć mięśnie miał ciągle zdrętwiałe i ciężkie. Nie zważając na nic, zerwał Pogromcy z ramienia strzelbę, odwiódł kurek i złożył się do strzału. Ale myśliwy nie dał się zaskoczyć. Chwycił strzelbę i wyrwał ją z rąk olbrzyma. W czasie szamotania się, w chwili, gdy lufa skierowana była w górę, strzelba wypaliła. W walce z olbrzymem Pogromca Zwierząt mógł zwyciężyć dzięki temu, że Hurry nie odzyskał jeszcze pełnej władzy nad swymi członkami. Do starcia jednak nie doszło, gdy bowiem padł strzał, Hurry ustąpił i pokuśtykał do domu. Za każdym krokiem podnosił nogi za wysoko, gdyż ciągle jeszcze nie panował nad nimi. Uprzedziła go Judyta: całą broń Huttera, którą pozostawiono w domu na wypadek nagłego ataku Indian, dziewczyna, na polecenie Pogromcy, dobrze schowała. Dzięki temu środkowi ostrożności March musiał poniechać swych zamiarów.

Gdy zemsta spaliła na panewce, zawiedziony Hurry usiadł; przez pół godziny wraz z Hutterem starał się pobudzić krążenie krwi w zeszywniałych kończynach, o niczym innym nie myśląc. Tymczasem tratwa zniknęła im z oczu. Nadchodząca noc rzucała już cienie na wodę i lasy. Zanim zrobiło się zupełnie ciemno, gdy dziewczęta zajęte były przyrządzaniem kolacji, Pogromca Zwierząt opowiedział pokrótce Hutterowi, co zaszło w czasie jego nieobecności i jakie środki podjął w obronie jego dzieci i majątku.

ROZDZIAŁ 15

Dopóki Edward krajem włada.

Złorzeczyć będziesz dniom.

Polegną ojce, synom biada

I potok spłynie krwią.

Prawegoś króla rzucił zdraźnie,

Gdy przyszła dola zła –

Teraz, choć głowa w boju spadnie,

Spraw jego broń, jak ja.

Chatterton

Cisza wieczoru stanowiła tak osobliwy kontrast z uczuciami ludzi na zamku, jak dziwnie odpowiadały tym uczuciom wzrastające ciemności. Słońce zaszło. Ostatnie jego promienie wyłocili brzegi obłoków rozproszonych po niebie, na którym pomału bladło światło dnia. Nad jeziorem rozpostarł się ciężki i gęsty baldachim zmierzchu, zapowiedź ciemnej nocy. Delikatne zmarszczki okryły powierzchnię jeziora. Wiał wiatr tak słaby, że ledwie zasługiwał na to, aby go nazwać wiatrem. Był ciężki od wilgoci, i to dodawało mu siły. Ponure milczenie przyrody udzieliło się ludziom na zamku. Dwaj byli jeńcy czuli się upokorzeni i zhańbieni – pałali żądzą zemsty. Nie poczuwali się do wdzięczności za to, że w niewoli traktowano ich łagodnie, pamiętali tylko, jak niegodnie dzicy obeszli się z nimi w ciągu kilku ostatnich godzin. Sumienie, ten przenikliwy sędzia ludzkich postępów, mówiło im, że ponieśli zasłużoną karę. Zamiast jednak przyznać się do winy myśleli o odwecie. Reszta obecnych siedziała w milczeniu, jedni martwili się, inni cieszyli. Najsmutniejsi byli Pogromca Zwierząt i Judyta; każde z innych powodów. Hetty była szczęśliwa jak nigdy. Nadzieja rychłego odzyskania narzeczonej roztaczała przed Delawarem obrazy przyszłego szczęścia. W takim nastroju towarzystwo zasiadło do kolacji.

–Wiesz co, stary? – zawołał nagle Hurry rycząc ze śmiechu.– Pysnie wyglądałeś rozciągnięty na gałęziach jodły, całkiem jak niedźwiedź na łańcuchu, szkoda tylko, żeś więcej nie mrucał. No, ale przeszło, minęło, nie ma czego wzdychać i biadolić! Ten zbój, Rozdarty Dąb, który nas tu przywiózł, ma piękny skalp. Sam dałbym za niego tyle, ile płaci kolonia. Tym razem czuję się równie bogaty jak rządca kolonii i za skalp tego łotra też dałbym złotego dukata. Judyto, kochanie, czy bardzo rozpaczałaś, gdy byłem w rękach Philipsteinów?

Philipsteinowie była to rodzina niemieckiego pochodzenia, mieszkająca w osadzie nad Mohawkim. Harry nie cierpiał Philipsteinów, a teraz pomylił ich z Filistynami, nieprzyjaciółmi Judei.

–Jezioro przybrało od naszych łez, panie March, co mogłeś sam zobaczyć z brzegu! – odparła Judyta, choć wcale nie było jej wesoło. – Nie trudno domyślić się, że Hetty i ja bardzo żałowałyśmy ojca. A za ciebie, naturalnie, wylałyśmy całe potoki łez.

–Było nam bardzo żal biednego Hurry'ego tak samo jak ojca, Judyto! – wtrąciła niewinna i niedomyślna siostra.

–Naturalnie, moja droga. Żal nam każdego, kogo spotkała zła przygoda – odparła Judyta żywo, lecz cichym głosem i z nutą wymówki. – W każdym razie cieszymy się, że pana widzimy i żeś się wyrwał z rąk tych Philipsteinów, panie March.

–O, to złe plemię; paskudni ludzie wylęgli się z niego nad dolnym Mohawkim. Słuchaj, Pogromco Zwierząt, nie mogę zrozumieć, jakim sposobem wydostałeś nas z niewoli. Za tę drobną przysługę daruję ci, żeś nie pozwolił mi wymierzyć sprawiedliwości temu dziadowi. Musisz zdradzić nam twą tajemnicę, abyśmy w razie czego mogli ci odpłacić pięknym za nadobne. Jak to zrobiłeś – za pomocą kłamstwa czy pochlebstw?

–Ani jedno, ani drugie, Hurry. Zapłaciliśmy za was okup, i to wysoki; Uważajcie więc, żebyście znów nie dostali się do niewoli, bo nasz zapas towarów bardzo się skurczył.

–Okup! To znaczy, że tym razem stary Tom zapłacił za muzykę, bo to, co ja mam, nie wystarczyłoby na wykup samych włosów, a gdzie skóra? Nie myślałem, że takie zuchy jak te hultaje mogą wypuścić z rąk faceta, którego zdrowo przycisnęli do podłogi. Ale pieniądze to pieniądze i jakoś nikt nie może mu się oprzeć. Indianin czy biały, wszystko jedno. Trzeba przyznać, Judyto, że na ogół ludzie mają ludzką naturę.

Hutter wstał i dał znak Pogromcy Zwierząt. Wyszli do drugiego pokoju i tam stary po raz pierwszy usłyszał, co kosztowała jego wolność. Nie okazał zdziwienia ani niezadowolenia z powodu zamachu na skrzynię, był tylko ciekaw, jak daleko posunęli się w poszukiwaniach. Zapytał również, gdzie znaleźli klucz. Pogromca Zwierząt odpowiedział mu jak zwykle szczerze i otwarcie, rozmowa więc szybko się skończyła i obaj mężczyźni wrócili do izby służącej za salon i kuchnię.

–Chciałbym wiedzieć, czy między nami i dzikimi jest teraz pokój czy wojna! – zawołał Hurry. Pogromca Zwierząt, który przez chwilę milczał nadstawiając ucha, nagle wyszedł na pomost. – Wydanie jeńców wygląda mi na krok przyjazny. Ludzie, którzy dobili targu między sobą na uczciwych i godziwych warunkach, winni rozstać się przyjaciółmi, przynajmniej do następnego spotkania. Chodź no tu, Pogromco,

Zwierząt, i powiedz nam, co o tym myślisz. Nieźle sobie ostatnio poczynales i zyskales nieco w mych oczach.

–Oto odpowiedź na twoje pytanie, Hurry, skoro tak się rwiesz do bitki.

Mówiąc to Pogromca Zwierząt rzucił na stół, za którym siedział Hurry podpierając się łokciem, małą wiązkę chrustu, składającą się z tuzina patyków, mocno związanych rzemykiem z jeleniej skóry. March porwał wiązkę i przysunawszy ją do polana sosny, które płonęło na kominku, stanowiąc jedyne oświetlenie izby, ujrzał, że końce patyków umoczone były w krwi.

–To nie jest język angielski – powiedział beztroski mieszkaniec pogranicza – ale zupełnie rozumiały indiański! W kolonii Jorku, Judyto, nazywają to wypowiedzeniem wojny. Skąd wzięłeś to wyzwanie, Pogromco Zwierząt?

–Zwyczajnie. Wiązka leżała przed chwilą na pomoście – podwórzu Pływającego Toma, jakbyś ty powiedział. – Skąd się tam wzięła? Na pewno nie spadła z nieba, co się czasem zdarza ropuchom, prawda, Judyto? Przecież deszcz nie pada. Jeśli Pogromca Zwierząt nie powie, skąd się wzięły te pogróżki, będziemy musieli podejrzewać, że chce nastraszyć ludzi, którzy dawno postradaliby zmysły, gdyby byli lękliwi.

Pogromca Zwierząt podszedł do okna i popatrzył na okryte mrokiem wody jeziora. Wyraźnie zadowolony z tego, co ujrzał, podszedł do Hurry'ego, wziął wiązkę z jego ręki i uważnie ją obejrzał.

–Tak, to jest indiańskie wypowiedzenie wojny, ani chybi – powiedział. – Oto dowód, Harry, żeś jeszcze, nie dorósł do ścieżki wojennej, którą przebyła ta wiązka. Dostała się tu, a ty zupełnie nie wiesz, w jaki sposób. Dzicy zostawili ci skalp na głowie, ale pewnie obcięli ci uszy. Inaczej słyszałbyś plusk wody, gdy płynął tu na tratwie indiański chłopak. Polecono mu rzucić tę wiązkę pod nasze drzwi, co oznacza: handlowaliśmy z wami, ale teraz bijemy w bęben wojenny, a potem będziemy bić was.

–Zgraja wilków! Dawaj strzelbę, Judyto, pošlę tym łapserdakom odpowiedź przez ich własnego posła.

–Nie, póki ja tu jestem, panie March – chłodno powiedział Pogromca Zwierząt dając Judycie znak, żeby broni nie dawała. – Słowo jest słowem, czy się dało czerwonoskóremu, czy chrześcijaninowi. Chłopak zapalił pochodnię i przy jej świetle jawnie tu przybył, aby doręczyć nam wyzwanie. Posłowi nie wolno zrobić nic złego. Zresztą, co tu gadać, chłopak był na tyle sprytny, że po wykonaniu zadania zgasił pochodnię, a noc jest tak ciemna, że nie ma co strzelać.

–Co do strzelby, może masz rację, ale jest jeszcze czólno – odparł Hurry, wielkimi krokami zmierzając ku drzwiom, ze strzelbą w rękach. – Nie ma na świecie takiego,

co by mógł mnie powstrzymać, dogonię padalca i przywiozę tu jego skalp. Im więcej wydusi się takich szczeniaków, tym mniej łotrów napadać nas będzie po lasach!

Judyta zadrżała jak osika nie bardzo wiedząc, dlaczego. Zanosilo się na bójkę. Hurry, pewny swej ogromnej siły, był gwałtowny i zuchwały, Pogromca Zwierząt górował nad nim spokojem i zdecydowaniem, można więc było oczekiwać, że będzie walczył wytrwale i skutecznie. Obawy Judyty wzbudziło raczej stanowcze i groźne spojrzenie Pogromcy niż hałaśliwa gwałtowność jego przeciwnika. Nim Hurry dotarł do miejsca, gdzie przywiązane było czółno, Pogromca szybko powiedział coś Wężowi po delawarsku. Młody wódz pierwszy usłyszał szmer wiosel, wyszedł więc na pomost i pilnie nadśluchiwał. Gdy ujrzał światło pochodni, zrozumiał, że płynie poseł indiański, kiedy więc chłopak rzucił mu wiązkę do stóp, ani go to nie rozgniewało, ani zdziwiło. Stał tylko na straży, ze strzelbą w ręce i baczył, aby za wypowiedzeniem wojny nie kryła się zdrada. Gdy Hurry wybiegł z domu, Delawar na polecenie Pogromcy jednym susem znalazł się w czółnie i zabrał wiosła. Hurry spostrzegłszy, że w ten sposób uniemożliwiono mu pościg, wpadł w straszny gniew. Najpierw obsypał Indianina pogrózkami. Nawet Pogromca Zwierząt zadrżał na myśl, do czego to może doprowadzić. March potrząsając pięściami jak młoty i wymachując rękami szedł na Indianina. Widać było, że będzie chciał powalić Delawara na podłogę. Pogromca Zwierząt dobrze wiedział, że jeśli Hurry porwie się na Węża, krew się poleje. Na widok groźnej postawy wodza Hurry nieco się pomiarkował, wiedział bowiem, że zniewaga wodza nie ujdzie na sucho i że skutki mogą być straszne. Zwrócił się więc ku Pogromcy, by na nim wyładować swój gniew. Jakby się to skończyło, nie wiemy, bo ostatecznie do napaści nie doszło.

–Hurry – dał się słyszeć miły i łagodny głos tuż obok napastnika – to grzech tak się gniewać, Bóg ci tego nie przebaczy. Irokezi obchodzili się z wami dobrze i nie zdjęli wam skalpów, choć ty i ojciec chcieliście im to zrobić.

Wiadomo, jak łagodne obejście uspokaja namiętności. Poza tym Hetty ostatnio okazała tyle poświęcenia i odwagi, że wszyscy odnosili się do niej z większym niż dotąd szacunkiem. Liczyli się z nią tym bardziej, że znali jej tępotę umysłową i nie było obawy, aby chciała się rządzić w domu. Cokolwiek można by powiedzieć o przyczynach wpływu Hetty na otoczenie, interwencja jej okazała się skuteczna. Hurry zamiast chwycić za gardło swego towarzysza podróży, odwrócił się do Hetty i przed nią ulżył, już nie swej złości, lecz niezadowoleniu, dziewczyna zaś pilnie wysłuchiwała skarg awanturnika.

–Jakie to smutne, Hetty! – wołał – smutne jak prowincjonalny kryminał, smutne jak brak skórek bobrowych. Zwierz już wlaź w twoje sidła, ale wyplątał się i widzisz, jak ucieka. Na tej nędznej tratwie odpłynęło sześć skór pierwszej jakości – taka jest wartość skalpu. Dwadzieścia dobrych uderzeń wiosłem wystarczyłoby, żeby dogonić młodzieniaszka. Mówię o wartości skalpu, bo cóż może być wart sam chłopak?! Pogromco Zwierząt, okazałeś się złym przyjacielem pozwalając, aby taka okazja

przeciekła nam przez palce.

Pogromca Zwierząt odparł spokojnie, lecz stanowczo. Odpowiedź bowiem podyktowało mu serce bez trwogi i sprawiedliwe.

–Nie mogłem postąpić wbrew temu, co uważam za słuszne. Ani ty, ani nikt inny nie ma prawa żądać ode mnie, abym zadał gwałt własnemu sumieniu. Chłopak przybył tu jako poseł i nawet najpodlejszy Indianin włączący się po lasach wstydziłby się zrobić mu krzywdę. Ale już go nie dosięgniesz, panie March, i nie będziemy teraz gadać jak dwie baby, bo nie ma o czym.

Mówiąc to Pogromca Zwierząt odwrócił się na znak, że nie myśli przelewać z pustego w próżne. Hutter pociągnął Hurry'ego za rękaw i zaprowadził na arkę. Odbyli tam długą, tajemniczą rozmowę. Indianin i jego przyjaciel też odbyli poufną naradę. Wprawdzie gwiazda miała wejść dopiero za dwie lub trzy godziny, ale Wąż chciał już teraz omówić szczegóły wyprawy i pilno mu było otworzyć serce przed przyjacielem. Judyta w przystępie czułości wobec siostry wysłuchała jej przydługiego i naiwnego opowiadania o tym, co się wydarzyło od chwili, gdy wyszła na brzeg jeziora. Las nie był straszny ani jednej, ani drugiej. Tutaj się wychowały, co dzień widziały niezmiernie obszary leśne i były oswojone z gęstym mrokiem puszczy. Ale Judyta wiedziała, że bałaby się sama wejść do obozu Irokezów, jak to zrobiła jej młodsza siostra. Hetty mało i niechętnie mówiła o Cyt. Opowiedziała o tym, jak spotkała Indiankę w lesie, wspomniała, jaka Cyt była dobra i miła dla niej, ale tajemnicy Chingachgooka strzegła pilnie i wiernie – lepiej niż niejedna znacznie mądrzejsza od niej dziewczyna.

Rozmowy przerwało pojawienie się na pomoście Huttera. Stary zebrał wszystkich i zawiadomił ich o swych zamiarach, przy czym powiedział im tyle, ile uważał za właściwe. Bez zastrzeżeń zgodził się z Pogromcą, że w nocy trzeba opuścić zamek i schronić się na arkę. Jak inni uznał, że jest to jedyny skuteczny sposób uniknięcia zagłady. Jeśli dzicy zabrali się już do budowy tratw, niezawodnie będą chcieli wziąć zamek szturmem. Przysłanie krwawej wiązki jest dostatecznym dowodem, że są pewni zwycięstwa. Słowem, starzec uważał, że tej nocy grozi im wielkie niebezpieczeństwo, wezwał więc wszystkich, aby czym prędzej przygotowali się do opuszczenia zamku – na jakiś czas, a może i na zawsze.

Po tej odprawie wszystko poszło szybko i sprawnie... Zamknęli i zabarykadowali zamek w sposób już przez nas opisany. Czółna wyciągnęli z przystani i przywiązali do arki obok przyczepionej już do niej łodzi. Resztę niezbędnych przedmiotów, jakie pozostawiono w domu przy przeprowadzce, przenieśli teraz do kajuty. Zgasili ogień i wszyscy przeszli na arkę.

Na jeziorze osłoniętym wzgórzami, które pokrywały sosnowe lasy, w ciemną noc nic nie było widać. Jednakże i tej nocy, jak zwykle, środkiem jeziora biegł wąski pas

bladej poświaty, ściśnięty z obu stron gęstym, czarnym cieniem, którym nadbrzeżne góry przytłaczały jezioro. Zamek stał właśnie w tym słabym świetle, noc jednak była dostatecznie ciemna, aby osłonić odjazd arki, i ktokolwiek by patrzył z brzegu, nie mógłby dostrzec jej ruchów. Nad jeziorami w tych stronach przeważa wiatr zachodni, jednakże dzięki pobliżu gór powstają tu prądy powietrzne. Kierunek tych prądów trudno określić, gdyż zmieniają się na krótkich odcinkach i w krótkich odstępach czasu. Uwaga ta dotyczy zwłaszcza nieregularnych, lekkich podmuchów powietrza, mniej zaś stałych wiatrów; chyba że przejdą w huragan; powszechnie bowiem wiadomo, że w górach i nad wąskimi wodami kierunek, gwałtownych wiatrów jest niepewny i zmienny. W tej chwili nawet Hutter (odpychał właśnie arkę od pomostu zamku) nie mógł określić kierunku wiatru. Zazwyczaj na to pytanie odpowiedź dawały chmury, które, płynąc wysoko ponad szczytami wzgórz, były posłuszne, rzecz jasna, prądom powietrznym. Dziś jednak sklepienie niebieskie zamurowane było zwartą masą czarnych chmur. Nie widać było ani skrawka nieba, Chingachgook więc drżał na myśl, że gwiazda się nie ukaże i narzeczona nie będzie mogła punktualnie przyjść na spotkanie. W takich warunkach Hutter wciągał żagiel na maszt. Mogło się wydawać, że chodzi mu tylko o to, aby oddalić się od zamku, dalsze bowiem pozostanie w jego pobliżu groziło niebezpieczeństwem. Lekki wiatr wydał żagiel, arka ruszyła poddając się sterowi. Nastawili żagiel. Okazało się, że prom płynie w kierunku południowym z lekkim odchyleniem ku wschodniemu brzegowi jeziora. Nic bardziej nie odpowiadało ich zamiarom, pozwolili więc arce płynąć w tym kierunku. Po upływie godziny wiatr, się zmienił i arka skierowała się ku obozowi Indian.

Pogromca Zwierząt pilnie śledził wszystkie ruchy Huttera i Harry'ego. Zrazu nie wiedział, czy kurs statku można przypisać przypadkowi, czy też Hutter świadomie zmierza do jakiegoś celu. Teraz zaczął podejrzewać, że Hutter ma określone zamiary. Stary był tak obyty z jeziorem, że przez jakiś czas nie trudno mu było, jeśli idzie o właściwy kierunek arki, zwieść myśliwego, niedoświadczonego w tych sprawach. Jakiegokolwiek były jego intencje – zanim minęły dwie godziny, stało się jasne, że arka znajduje się już o sto prętów od brzegu, i to właśnie naprzeciw obozu Irokezów. Znacznie wcześniej Hurry, który znał nieco język algonkwiński, odbył poufną naradę z Indianinem. Wyniki tej rozmowy Wąż obwieścił Pogromcy Zwierząt, który z zimną krwią – a trzeba dodać – i nieufnie obserwował wszystko, co działo się na arce.

–Mój stary ojciec i mój młody brat, Wysoka Sosna – tak Delawar nazwał Marcha – chcą ujrzeć przy swoich pasach skalpy Huronów – powiedział Chingachgook do przyjaciela. – Wąż też ma u swego pasa miejsce na parę skalpów, a jego bracia chcieliby je zobaczyć, gdy Wąż wróci do swojej wioski. Ich oczy nie mogą być długo, we mgle, muszą zobaczyć to, co chciałyby ujrzeć. Wiem, że mój brat ma białą rękę. Nie uderzyłby nawet zmarłego. Niech zaczeka na nas. Gdy wróci do Delawarów, nie będzie odwracał twarzy ze wstydu za swego przyjaciela. Wielki Wąż Mohikanów będzie godzien iść ścieżką wojenną z Sokolim Okiem.

–Tak, tak, Wężu, już wiem, jak będzie – imię to przylgnie do mnie i nadejdzie czas,

że będę znany jako Sokole Oko. No cóż, imię to bardzo zaszczytne i nawet najskromniejszy z nas nie oparłby się takiej pokusie. Co się zaś tyczy wyprawy po skalpy, taka już jest twoja natura i nie widzę w tym nic złego. Bądź jednak miłosierny, Wężu, bardzo cię proszę. Na pewno odrobina litości nie przyniesie ujmy czerwonoskóremu. Co innego stary Tom, ojciec dwóch sióstr, które mogłyby wzbudzić w jego sercu inne, lepsze uczucia, i co innego też Harry March – jest wprawdzie tylko sosną, ale przecież mógłby wydać owoce bardziej chrześcijańskiego drzewa. Obu od daję w ręce Boga ludzi białych. Gdyby nie krwawa wiązka, nikt nie miałby prawa napaść dziś w nocy na Mingów, bo byłoby to wbrew dobrej wierze i naszemu dobremu imieniu. Ale kto łaknie krwi, niech nie ma pretensji, że krew się poleje, skoro sam tego chciał. Bądź [jednak miłosierny, Wężu. Nie zaczynaj kariery wojownika od jęków kobiet i płaczu dzieci. Spraw się tak, aby Cyt nie płakała, lecz uśmiechała się, gdy cię spotka. Idź tedy i niech cię Manitou strzeże!

–Mój brat zostanie na arce. Niebawem Wah będzie czekała mnie na brzegu, Chingachgook musi się śpieszyć.

Indianin przyłączył się do obu towarzyszy awanturniczej wyprawy. Opuścili żagiel, wsiedli do czółna i odbili od arki. Ani Hutter, ani March nie powiedzieli Pogromcy, co zamierzają zrobić, ani jak długo ich nie będzie. Poruczyli to Indianinowi, który wywiązał się z tego zadania z właściwą sobie zwięzłością. Po kilkunastu uderzeniach wiosel czółno zniknęło z oczu Pogromcy. Młody myśliwy, jak umiał najlepiej, osadził prom na miejscu, po czym usiadł z tyłu statku i pogrążył się w gorzkich rozmyślaniach. Nie trwało to długo, gdyż w chwilę potem przyszła Judyta, która korzystała z każdej sposobności, aby być przy nim i przypuszczać ataki do jego serca. Robiła to ze zręcznością urodzonej zalotnicy, mającej niemałe doświadczenie na tym polu. Zalotności dziewczyny neodpartej i niebezpiecznej siły dodawało uczucie, dzięki któremu jej zachowanie się, głos, intonacja, myśli i postęпки tchnęły niezwykłym urokiem szczerzej czułości. Niech więc panna zarzuca zdradliwe sieci na młodego myśliwego, a my tymczasem podążajmy wraz z trójką mężczyzn ku brzegowi, bo ich wyprawą w tej chwili bardziej nas interesuje.

Głównym powodem drugiej wyprawy Huttera i Harry'ego na obóz indiański były te same pobudki, jakie skłoniły ich do pierwszej wycieczki. Teraz jednak do chęci zysku dołączyła się żądza odwetu. Obaj ci prostacy – tak bezwzględni, gdy w grę wchodziły prawa i interesy Indian, choć w ogóle nie pozbawieni uczuć ludzkich – ulegli przemożnej i okrutnej żądzy zysku. Hurry co prawda po wyjściu z niewoli wpadł w gniew pod wpływem bólu, lecz uczucie to szybko ustąpiło żądzy złota, którego pragnął z beztroską i doraźną chciwością utracjusza bez grosza przy duszy, a nie jak skąpiec bez przerwy pochłonięty myślą o pieniądzu. Słowem, tak szybko na drugą wyprawą przeciw Huronom pchnęła ich pogarda do Indian i chciwość pieniędzy. Pewną rolę przy powzięciu planu wyprawy odegrały większe niż przedtem widoki powodzenia. Wiedzieli, że znaczna część wojowników, jeśli nie wszyscy, rozbiła na noc obóz naprzeciw zamku, liczyli więc na skalpy bezbronnych ofiar. Prawdę

mówiąc, przede wszystkim Hutter – choć sam zostawił na arce dwie córki – spodziewał się, że w obozie oprócz kobiet i dzieci może być najwyżej paru wojowników. W rozmowie z Hurry'm napomknął o tym mimochodem, Chingachgookowi jednak ani słowem nie wspomniał o swych rachubach. Co o tym myślał Delawar, pozostało, jego tajemnicą.

Hutter sterował czółnem, Hurry mężnie wysunął się na czoło, Chingachgook stał w środku. Właściwie stali wszyscy, bo dla żadnego z nich „kruche czołno nie było pierwszozną i wszyscy trzej doskonale trzymali się na nim, mimo że nic nie było widać. Z niezwykłą ostrożnością podpłynęli do brzegu. Wylądowali bezpiecznie, opatrzyli broń i jak tygrysy zaczęli się skradać do obozu. Prowadził Indianin, obaj biali stąpali jego śladem, ostrożnie i niemal bez szmeru. Czasem tylko zatrzeszczała sucha gałązka pod ogromnym ciężarem potężnego Marcha lub pod niepewną nogą ociężałego starca. Indianin szedł lekko, jakby płynął w powietrzu... Wpierw trzeba było odnaleźć ognisko, wiedzieli bowiem, że znajduje się w środku obozu. Wreszcie przenikliwe oko Chingachgooka dostrzegło ten ważny punkt orientacyjny. Niedaleko wśród drzew ukazało się słabe światło. Ognisko już wygasło i tylko jedna głownia jeszcze się tliła, jak zwykle o tej porze, dzicy bowiem wstają i kładą się do snu wraz ze słońcem.

Dogasające ognisko prowadziło ich teraz do celu, awanturnicy szli więc szybciej i pewniejszym krokiem. W ciągu, paru minut dotarli do skraju obozowiska, złożonego z chatek stojących kołem. Zatrzymali się, aby rozpoznać teren i uzgodnić dalsze działania. Było tak ciemno, że zaledwie mogli rozróżnić jarzącą się głownię, pnie najbliższych drzew i- olbrzymią kopułę listowia przesłaniającą widok zachmurzonego nieba. Dostrzegli najbliższą chatkę i Chingachgookowi przypadło w udziale zbadanie jej wnętrza. Indianin począł skradać się do miejsca, w którym spodziewał się zastać nieprzyjaciół, w sposób przypominający przyczajone ruchy kota polującego na ptaka. Gdy znalazł się przed chatką, ukląkł i oparł się na rękach, wejście bowiem było tak niskie, że inaczej nie można było wejść. Zanim jednak wsunął głowę do środka, długo nasłuchiwał oddechu śpiących. Nic nie było słyhać, wobec czego ten wąż w ludzkim ciele wetknął głowę do środka, zupełnie – jakby prawdziwy wąż zajrzał do ptasiego gniazda. Niebezpieczna ta próba skończyła się jednak na niczym. Delawar ostrożnie macał ręką w ciemności tak długo, aż stwierdził, że nikogo tu nie ma.

Z zachowaniem tych samych ostrożności Indianin zbadał jeszcze parę chatek. Wszędzie to samo. Wrócił więc do przyjaciół i zawiadomił ich, że Huroni opuścili obóz. Dalsze próby potwierdziły ten fakt i nie pozostawało nic innego, jak wrócić do czółna. Awanturnicy w różny sposób przyjęli zawód, jaki ich spotkał. Może warto powiedzieć o tym w paru słowach. Wódz, który wyszedł na brzeg po to tylko, aby zdobyć sławę, stał nieruchomo, oparty o drzewo i czekał, co powiedzą towarzysze wyprawy. Był co prawda zmartwiony i nieco zaskoczony, ale niepowodzenie znosił z godnością, pocieszając się słodką nadzieją spotkania, jakie czekało go jeszcze tego wieczoru. Oczywiście, nie będzie już mógł pokazać narzeczonej dowodów swej

odwagi i zręczności, niemniej zobaczy Wah i może liczyć na uznanie, jakie należy się wojownikowi, który zrobił wszystko, aby spotkać się z wrogiem. Natomiast Hutter i Hurry, których przywiódł fu. jeden z najniższych instynktów ludzkich, mianowicie: żądza zysku, zupełnie nie panowali nad sobą. Przetrzęsali chatki w nadziei, że może znajdą tam zapomniane dziecko lub wojownika, który po prostu zasnął w obozie. Kilkakroć rzucali się na Boga ducha winne szalasy. Kilka z nich rozerwali na drobne kawałki i rozrzucili po obozie. Do tego pokłócili się i robili sobie srogie wyrzuty. Nie wiadomo, do czego by doszło, gdyby nie wtrącił się Delawar zwracając im uwagę, że postępują bardzo nieostrożnie i że pora wrócić na arkę. To położyło kres kłótni. W parę minut później już wiosłowali, pochmurni i milczący, w kierunku, w którym spodziewali się odnaleźć arkę.

Wspomnieliśmy już, że po opuszczeniu arki przez awanturniczą trójkę Judyta usiadła przy Pogromcy Zwierząt. Dziewczyna milczała i myśliwy zrazu nie wiedział, która to siostra, aż poznał pełny i żywy głos starszej córki Huttera,

–Straszne jest takie życie dla kobiet, Pogromco Zwierząt! – zawołała. – Dałby Bóg, żeby to się raz skończyło!

–Życie nie jest złe, Judyto. Nie trzeba go tylko nadużywać. Czego pani by chciała?

–Byłabym sto razy szczęśliwsza, gdybym mieszkała bliżej ludzi cywilizowanych, gdzie są farmy, kościoły i domy wzniesione rękami chrześcijan i gdzie w nocy mogłabym spać spokojnie. Wolałabym mieszkać w pobliżu fortu niż na tym strasznym odludziu!

–Nie, Judyto, nie zgodziłbym się z tobą. Forty chronią przed napastnikiem, ale nie chronią przed naszymi nieprzyjaciółmi, którzy tam mieszkają. Nie wyszłoby to na dobre ani tobie, ani Hetty, gdybyście mieszkały w pobliżu fortu. Jeśli mam być szczery, obawiam się, że mieszkacie jeszcze za blisko garnizonu. – Pogromca mówił jak zwykle stanowczo i poważnie. Było tak ciemno, że nie mógł dostrzec szkarłatnego rumieńca na twarzy Judyty, która całym wysiłkiem woli starała się opanować, aby myśliwy nie dostrzegł, jak ciężko dyszy. – Cóż farmy? Na pewno są potrzebne, wiele ludzi lubi życie na roli. Ale czegoż szukać na polanie, skoro wszystko możemy znaleźć w lesie. Kto spragniony jest powietrza, przestrzeni i światła, znajdzie je nad rzekami, a jeśli mu mało, ma jeszcze jeziora. Czy znajdziesz w dolinie tyle cienia, roześmianych źródeł, strumieni skaczących ze skał, sędziwych drzew tysiącletnich? Nie, zobaczysz tylko obdarte z gałęzi pnie drzew, rozrzucone po ziemi jak nagrobki na cmentarzu. Zdaje mi się zawsze, że ludzie, którzy tam żyją, nieustannie myślą o własnej śmierci i powszechnej zagładzie; nie tej, którą przynosi czas i natura, lecz jaką przynoszą sami ludzie siejąc gwałt i zniszczenie. Mówisz: kościoły. Dobre są kościoły, inaczej zacni ludzie nie dawaliby pieniędzy na ich budowę. Ale nie są wcale potrzebne. Powiadają, że są to świątynie Boga. A przecież, Judyto, dla człowieka sprawiedliwego cała przyroda jest świątynią Pana. Ani fort, ani

ani kościoły nie przynoszą ludziom szczęścia. Co więcej, w osadach nie ma tej zgody i spokoju, jakie panują w lasach. Forty i kościoły prawie zawsze występują razem, choć jedne są zaprzeczeniem drugich – kościoły są dla pokoju, a forty dla wojny. Nie, nie, stokroć wolę fortece, jakie tworzą drzewa w puszczy, i kościoły wzniesione w lasach rękami natury.

–Kobieta nie jest stworzona do tego, co się tu dzieje, Pogromco Zwierząt, a to się nie skończy, dopóki będzie wojna.

–Jeśli myślisz o białych kobietach, masz chyba słuszość, dziewczyno. Natomiast walka odpowiada naturze Indianki. Cyt, przyszła żona naszego Delawara, byłaby szczęśliwa, gdyby wiedziała, że Wąż teraz krąży wokół obozu swych wrogów w poszukiwaniu skalpu.

–Zapewne, Pogromco Zwierząt, nie byłaby jednak kobietą, gdyby się nie martwiła na myśl, że jej ukochany jest w niebezpieczeństwie.

–Wah nie myśli o niebezpieczeństwie, tylko o zaszczycie, Judyto, a jeśli czyjeś serce wypełniła wielka ambicja, nie ma w nim miejsca na obawy. Cyt jest istotą

miłą, łagodną i uśmiechniętą, ale – jak żadna inna dziewczyna delawarska – pragnie, aby jej wybrany zdobył sławę. Za godzinę ma spotkać się z Wężem na cyplu, w miejscu gdzie Hetty wyszła na brzeg, i na pewno z niepokojem czeka tej chwili, jak każda kobieta, lecz byłaby o wiele szczęśliwsza, gdyby wiedziała, że jej miły czyha teraz na Minga, aby mu zedrzeć skalp z głowy.

–Jeśli rzeczywiście tak myślisz, Pogromco Zwierząt, rozumiem teraz, czemu przypisujesz takie znaczenie naturze człowieka. Jestem pewna, że biała dziewczyna byłaby przerażona, gdyby wiedziała, że niebezpieczeństwo grozi życiu jej narzeczonego. Sądzę, że nawet ty, zawsze taki spokojny, czułbyś się nieswojo, gdybyś wiedział, że twoja Cyt jest w niebezpieczeństwie.

–To całkiem co innego, Judyto. Kobieta jest istotą zbyt słabą i delikatną, aby się narażała na takie niebezpieczeństwa, mężczyzna więc musi o niej myśleć. Tak jest u białych i czerwonoskórych. Tylko że ja nie mam swej Cyt i chyba nie będę miał. Jestem przeciwny mieszaniu kolorów wyjąwszy przyjaźń i wzajemne przysługi.

–Oto nareszcie pogląd godny białego człowieka! Tak sobie myślę, że Hurry Harry wziąłby za żonę równie dobrze indiańską squaw, jak córkę rządcy kolonii, byle była niebrzydką i dbała o jego nienasycony żołądek.

–Jesteś niesprawiedliwa wobec Marcha, Judyto. Biedak stracił głowę dla ciebie, a jeśli ktoś zakocha się w tobie, nie odda cię nigdy za dziewczynę irokezką czy delawarską. Możesz wyśmiewać się z mężczyzn takich jak Hurry i ja, prostaków i nieuczonych w książkach i w ogóle, ale my też mamy swoje zalety. Zacnym sercem

nie należy gardzić, dziewczyno, choćby należało do kogoś, kto nie umie się przypodobać kobiecie.

–Ach, Pogromco Zwierząt! Czy... czy myślisz, że mogłabym cię porównać z Harry Marchem? Nie, nie jestem taka niemądra. Nikt – ani mężczyzna, ani kobieta – nie mógłby ciebie, mężczyznę zacnego i szczerego, porównać z Henrykiem Marchem, krzykliwym egoistą, chciwym na pieniądze, zarozumiałym i okrutnym. Największa pochwała Marcha zawarta jest w jego przezwisku – Hurry Skurry, ale i ono nie oznacza nic szczególnie dobrego. Nawet mój ojciec, choć daje mu czasem posłuch, jak na, przykład dzisiaj, widzi różnicę między wami. Wiem o tym, bo sam mi to wyraźnie powiedział.

Judyta była dziewczyną o gorącym sercu i nie ukrywała swych uczuć – jak to się często zdarza dziewczętom wychowanym w obyczajach życia cywilizowanego – i nieraz okazywała je z prostotą i szczerością, o wiele szlachetniejszą niż zimna i wyrachowana zalotność panien z miasta. W tej chwili wzięła w swe dłonie szorstką rękę myśliwego i ścisnęła ją z zapalem, świadczącym, jak szczerze były jej słowa. Na szczęście, nadmierne wzruszenie powstrzymało ją od wyznania wszystkiego, co jej powiedział ojciec. Stary bowiem nie tylko porównał obu młodzieńców w sposób bardzo niekorzystny dla Hurry'ego, lecz z brutalną szczerością, wprost, radził córce, aby rzuciła Marcha i pomyślała o Pogromcy jako mężu. Judyta nigdy by tego nie wyznała innemu mężczyźnie, lecz naiwna prostota Pogromcy budziła takie zaufanie, że dziewczyna, z natury szczerą i porywcza, miała ogromną ochotę przekroczyć granice przyjętych zwyczajów. Nie posunęła się jednak tak daleko. Puściła rękę myśliwego i powściągnęła swe uczucia, jak przystało osobie jej płci i wrodzonej skromności.

–Dzięki, Judyto, z całego serca – odparł myśliwy. Był tak skromny, że ani zachowanie się, ani słowa dziewczyny nie wbiły go w dumę, – Dziękuję, chociaż nie zasłużyłem na tak pochlebne zdanie. Hurry jest piękny jak najbardziej wyniosła sosna górską, tak też nazwał go Wąż. Pewnie, jedni wolą urodę, inni wolą zacnego człowieka. Hurry jest przystojny, od niego samego zależy, czy będzie dobrym człowiekiem... Czekaj! słyszę głos twego ojca, zdaje się, że coś go bardzo rozeźliło.

–Niech Bóg nas zachowa od nowej awantury! – zawołała Judyta schylając głowę ku kolanom i zatykając sobie uszy, aby nie słyszeć ochryplego głosu ojca. – Czasem chciałabym nie mieć ojca!

Powiedziała to z goryczą wywołaną przykrymi wspomnieniami. Trudno przewidzieć, co by jeszcze powiedziała, gdyby tuż przy niej nie odezwał się miły i cichy głos.

–Judyto, szkoda, że nie przeczytałam ojcu i Hurry'emu jednego rozdziału Biblii – powiedziała wystraszona Hetty. – To by ich powstrzymało od tej wyprawy. Zawołaj ich, Pogromco Zwierząt, i powiedz im, że chcę, aby wrócili, że dobrze zrobią, jeśli

wrócą i posłuchają mych słów.

–Daj spokój, biedna Hetty! Nic nie wiesz o żądzy złota i odwetu, jeśli myślisz, że tak łatwo można ich powstrzymać. Ale, coś musiało się stać, Judyto. Słyszę tylko głos twego ojca i Hurry'ego – mruczą jak niedźwiedzie, a zupełnie nie słychać młodego wodza. Nie muszą już zachowywać się ostrożnie, a jednak Delawar milczy i nie słychać okrzyku wojennego, który wedle przyjętego zwyczaju winien już zabrzmieć i odbić się echem w górach.

–Może dotknęła go ręka sprawiedliwości boskiej i jego śmierć ocaliła życie niewinnych.

–Nie, nie Węża dotknęłaby ręka sprawiedliwości, Pewnie nie mogli napaść na Indian, bo obóz był pusty, i teraz wracają zawiedzeni w swych nadziejach. Dlatego Hurry warczy, a Wąż milczy jak zaklęty.

W tej chwili usłyszeli, jak wiosło upadło na dno czółna, widocznie March był tak zły, że nie uważał. Teraz Pogromca Zwierząt nabrał pewności, że jego domysły były słuszne. Żagiel był spuszczone i arka niewiele oddaliła się od miejsca, w którym, się zatrzymali. W kilka minut później usłyszeli, że Chingachgook cichym i spokojnym głosem daje wskazówki Hutterowi, jak ma sterować, aby dopłynąć do arki. Zanim zdążyliśmy o tym powiedzieć, czółno dotknęło arki i trzech awanturnicy weszli na pokład. Hutter i Hurry nie pisnęli ani słowa o tym, co zaszło. Tylko Delawar przechodząc powiedział do przyjaciela: „Ogień zgasł”. Nie było to może najściślejsze określenie faktu, ale myśliwi dobrze rozumiał, o co chodzi.

Należało teraz postanowić, jaki ma być kurs statku. Po krótkiej naradzie i dość cierpkiej wymianie zdań, Hutter oświadczył, że najrozsądniej byłoby utrzymać arkę w ruchu, gdyż to jest najskuteczniejsza obrona przed niespodziewanym atakiem, i dodał, że on i March idą spać, aby powetować sobie bezsenne noce w niewoli. Wiał ciągle lekki i zmienny wiatr, postanowili więc poddać się jego wpływowi, byleby tylko nie pchnął arki ku brzegowi. Byli jeńcy pomogli podnieść żagiel i pozostawili troskę o statek Pogromcy Zwierząt i jego przyjacielowi, sami zaś rzucili się na sienniki i zasnęli. Dwaj przyjaciele nie mieli zamiaru kłąć się ze względu na spotkanie z Cyt. Wszyscy więc byli zadowoleni z podziału ról. Nocna zmiana była tym przyjemniejsza, że Judyta i Hetty również nie spały.

Przez jakiś czas prom płynął z lekkim wiatrem południowym wzdłuż zachodniego brzegu. Posuwał się wolno, z szybkością nie większą niż dwie mile na godzinę. Młodzieńcy zauważyli, że płyną ku upragnionemu cyplowi. Widać było, że przy tej szybkości zdążą na czas umówiony z Cyt. Mówili mało, milczały nawet dziewczęta. Zamienili zaledwie parę zdań na temat wydostania Cyt z rąk Huronów. Indianin był na pozór spokojny, lecz coraz głębiej nurtowała go tęsknota, aż doprowadziła do takiego stanu wewnętrznej gorączki, że nawet najbardziej wymagająca kochanka

byłaby zachwycona tym dowodem miłości. Pogromca Zwierząt prowadził statek zatokami, tak blisko brzegu, jak na to pozwalała ostrożność, z dwóch powodów: krył się w ten sposób w cieniu drzew i mógł zauważyć na brzegu ślady wskazujące na bliskość obozu. Minęli niski przylądek i znaleźli się w zatoce, którą na północy zamykał cypel – cel ich wyprawy. Byli o ćwierć mili od cypla, gdy Chingachgook podszedł do przyjaciela i bez słowa pokazał mu punkt na wybrzeżu naprzeciw arki; Na południowym brzegu przylądka na skraju zarośli płonęło małe ognisko. Nie ulegało już wątpliwości, że Indianie, nagle przenieśli swój obóz właśnie na przylądek, który Cyt wskazała jako miejsce spotkania.

ROZDZIAŁ 16

Dolinie szepczesz o parowie,

Słońcu i kwiecie, co się rodzi –

A mnie przynosisz z pól opowieść

O czarze fantastycznych godzin.

Wordsworth

Odkrycie, o którym wspomnieliśmy na końcu poprzedniego rozdziału, miało ogromne znaczenie dla Pogromcy Zwierząt i jego przyjaciela. Po pierwsze, należało się obawiać, a nawet można było mieć pewność, że Hutter i Harry będą chcieli raz jeszcze napaść na Indian, gdy tylko przebudzą się i zobaczą, gdzie się znaleźli. Po drugie, wyprawa na ląd była teraz połączona ze znacznie większym ryzykiem. Wreszcie fakt, że nieprzyjaciel zaczął zmieniać miejsce postoju, czynił sytuację białych bardziej niepewną i niebezpieczną. Delawar, wiedząc że zbliża się chwila, w której ma się stawić na spotkanie z Cyt, nie myślał już o zdobyciu na wrogu trofeów. Postanowili przede wszystkim nie budzić śpiących, by ci nie wyprawili się na obóz i nie pokrzyżowali planu porwania Wah. Arka posuwała się wolno i trzeba było dobrego kwadransa, aby przy tej szybkości zbliżyła się do cypla, mieli więc trochę czasu do namysłu. Indianie sądząc, że biali są jeszcze na zamku, chcieli ukryć ognisko przed ich oczami, rozpalili je tedy tak blisko południowego brzegu przylądka, że z tej strony było słabo osłonięte zaroślami... Dlatego też Pogromca Zwierząt, by ukryć arkę, musiał Ustawicznie zmieniać jej kierunek i kluczyć w prawo i lewo.

–To, że ognisko jest tak blisko wody, ma jedną dobrą stronę, Judyto – powiedział manewrując arką. – Mingowie są najwidoczniej przekonani, że jesteśmy w zamku, i nie spodziewają się nas z tej strony. Całe szczęście, że Harry March i ojciec śpią, inaczej znów wyprawiliby się po skalpy. O! teraz krzaki zasłaniają ognisko tak, że go zupełnie nie widać.

Pogromca zaczekał chwilę, by się upewnić, że wreszcie znalazł się w miejscu dobrze ukrytym, po czym dał umówiony znak Chingachgookowi, który zarzucił kotwicę i ściągnął żagiel.

Obecne położenie arki miało zarówno dobre, jak i złe strony. Ognisko zniknęło, gdy prom przysunął się do brzegu może trochę za blisko. Wiadomo jednak było, że nieco dalej od brzegu woda jest bardzo głęboka, w sytuacji zaś, w jakiej się znajdowali, należało unikać zakotwiczenia na głębini. Wiedzieli, że w promieniu kilku mil nie ma żadnej tratwy. W ciemności zdawało się, że gałęzie drzew rosnących na brzegu zwisają tuż nad arką, bez łodzi jednak trudno byłoby dostać się na statek. Blisko lasu

panował mrok tak gęsty, że byli ukryci jakby za czarną zasłoną, nie groziło im niebezpieczeństwo wykrycia przez Mingów, jeśli tylko zachowają bezwzględną ciszę.

O tym wszystkim Pogromca Zwierząt powiedział Judycie i pouczył ją, jak ma postąpić w razie niebezpieczeństwa. Uważał bowiem, że śpiących należy obudzić tylko w ostateczności.

–Teraz, Judyto, wiesz już wszystko. Wężowi i mnie pora wsiąść w czółno. Co prawda gwiazda jeszcze nie wzeszła, ale lada chwila powinna się pokazać, choć niebo jest tak zachmurzone, że może jej dzisiaj nie ujrzymy. Zresztą Cyt jest dziewczyną bystrą i należy do ludzi, którzy widzą nie tylko to, co mają pod nosem. Ręczę, że przyjdzie punktualnie co do minuty i stanie dokładnie w tym miejscu, które wskazała, chyba że te podejrzliwe łapserdaki, Mingowie, zmiarkują, co się święci, i wystawią ją jak gołębia na przynętę, żeby nas złapać w sidła, albo też zatrzymają dziewczynę pod strażą, aby się zdecydowała wyjść za Hurona zamiast za Delawara.

–Pogromco Zwierząt – przerwała mu wzburzona Judyta – bardzo to ryzykowne przedsięwzięcie, dlaczego ty masz brać w nim udział? – Ba! Wiesz dobrze, że chcemy porwać Cyt, narzeczoną Węża, dziewczynę, z którą się ożeni, gdy tylko wrócimy do naszego szczepu.

–Rozumiem Indianina, ale ty przecież nie masz zamiaru ożenić się z Cyt nie jesteś jej narzeczoną. Po cóż dwóch ma ryzykować życie i wolność, jeśli może to zrobić jeden?

–Aha, teraz dopiero zrozumiałem. Uważasz, że jeśli Cyt jest, jak to mówią, panną Węża, a nie moją, to co mnie ona obchodzi. Jeden człowiek da sobie radę z czółnem, niechże więc Wąż sam szuka swej dziewczyny! Tak uważasz. Ale zapominasz, że po to właśnie przybyliśmy nad jezioro i że nie wypada wycofać się przy pierwszych trudnościach. Widzisz niektórzy, a zwłaszcza młode kobiety, uważają miłość za coś wielkiego, inni zaś są zdania, że przyjaźń też coś znaczy. Pewnie, Delawar mógłby sam czółnem podpłynąć i porwać Cyt i do tego może nie byłbym mu potrzebny; ale trudno wywieść w pole Mingów, przyczać się i walczyć, a równocześnie wykraść pannę jeśli nie ma się przy boku wiernego przyjaciela, choćby był tak mało wart jak ja. Nie, nie, Judyto, ty też nie opuściłabyś w takiej chwili przyjaciela, który by liczył na ciebie. Dlatego na pewno dobrze mnie zrozumiesz,

–Myślę... myślę, że masz słuszość, Pogromco Zwierząt. A jednak chciałabym, żebyś został! Jedno musisz mi przyrzec: że nie będziesz narażał się więcej, niż trzeba, aby porwać Cyt. To i tak jest wiele i powinno ci wystarczyć.

–Bóg zapłać, dziewczyno. Zdawałoby się, że to mówi Hetty, a nie Judyta Hutter, dzielna i wspaniała dziewczyna! Ze strachu mądry głupieje, a mocny staje się słaby. Nieraz się już o tym przekonałem. Twoja troska o mnie dowodzi, że masz dobre

serce, Judyto. Zawsze będę mówił,' że jesteś miła i szczerą, choćby ludzie, którzy zazdroszczą ci urody, wygadywali o tobie niestworzone rzeczy.

–Pogromco Zwierząt! – przerwała mu gwałtownie Judyta zdławionym głosem. – Czy wierzysz w to, co ludzie mówią o biednej sierocie? Czy podły jęzor Hurry Harry'ego ma zatruć całe moje życie?

–Ależ nie, Judyto. Powiedziałem Hurry'emu, że nie godzi się mężczyźnie oczerniać kobiety, której serca nie udało mu się zdobyć w uczciwy sposób, i że nawet Indianin szanuje dobre imię kobiety.

–Gdybym miała brata, Hurry nie odważyłby się mówić źle o mnie! – zawołała Judyta z ogniem w oczach. – Wie, że nie mam obrońcy prócz starego ojca, któremu słuch przytępił się tak, jak mu serce ochłodziło i dlatego pozwala sobie zbyt wiele.

–Nie, Judyto, rzecz ma się nieco inaczej. Żaden mężczyzna, nie tylko brat, ale nawet obcy, nie mógłby słuchać, jak ktoś ujada na taką piękną kobietę, i nie stanąć w jej obronie. Hurry poważnie myśli o tym, żeby się z tobą ożenić, i jeśli coś na ciebie mówi, robi to z zazdrości, a nie z innych pobudek. Uśmiechnij się do niego, gdy się obudzi, i ściśnij mu rękę, choćby nie tak mocno, jak przed chwilą ścisłaś moją, a głowę daję, że biedny chłopak zapomni o wszystkim i będzie widział tylko twą piękną buzię. Gniewne słowa czasem pochodzą z żółci, nie zawsze z serca. Spróbuj, Judyto, uśmiechnąć się do niego, gdy się przebudzi, zobaczysz, ile można w ten sposób działać.

Pogromca Zwierząt zaśmiał się po swojemu i oświadczył Chingachgookowi, który mimo spokojnej miny bardzo się niecierpliwił, że jest gotów do drogi. Gdy młody myśliwy wsiadał do czółna, dziewczyna stała na pokładzie nieruchoma jak posąg z kamienia i zamyślona nad tym, co powiedział Pogromca. Prostota myśliwego zupełnie zbiła ją z tropu. Jak dotąd, Judyta świetnie radziła sobie z mężczyznami, choć nie znała ich wielu. Teraz we wszystkim, co mówiła lub robiła, kierowała się nie wyrachowaniem, lecz szczerym uczuciem. Nie przeczymy, że myśli Judyty żegnającej Pogromcą były gorzkie. Czytelnik z dalszego ciągu opowiadania dowie się, jak wielkie i czy zasłużone były jej cierpienia.

Chingachgook i jego bladolicy przyjaciel wybierali się na niebezpieczną i niełatwą wyprawę z zimną krwią i rozwagą, które przyniosłyby zaszczyt mężczyznom na dwudziestej, a nie jak oni – pierwszej ścieżce wojennej. Jak przystało narzeczonemu pięknego zbiega, Chingachgook siadł na przedzie czółna, Pogromca Zwierząt zaś zajął miejsce przy sterze. W ten sposób Wąż mógł pierwszy wysiąść i powitać swą pannę. Młody myśliwy siadł u steru bez słowa, lecz w duchu rad był z tego, gdyż Indianin zbyt się gorączkował, by mógł tak pewną ręką i sprawnie kierować czółnem, jak jego towarzysz, który lepiej panował nad sobą. Gdy tylko odbili od arki, zaczęli zachowywać się jak dwaj świetnie wyszkoleni żołnierze, którzy po raz pierwszy mają

się spotkać z nieprzyjacielem na polu walki. Jak dotąd, Chingachgook nie miał jeszcze okazji strzelić do człowieka. Pierwszy krok Pogromcy Zwierząt na ścieżce wojennej jest już znany czytelnikowi. Indianin co prawda, kiedy przybył w te strony, krążył przez parę godzin koło obozu nieprzyjaciela, a ostatnio nawet wszedł na jego teren, o czym była mowa w poprzednim rozdziale, ale z obydwu prób nic nie wynikło. Teraz można się było spodziewać albo wielkiego zwycięstwa, albo upokarzającej klęski. Od wyniku wyprawy zależało ocalenie Cyt albo jej dalsza niewola. Słowem, była to pierwsza wyprawa dwóch młodych i ambitnych żołnierzy leśnych. Jeden działał pod wpływem uczuć, jakie zwykle popychają" mężczyźni do ryzykownych przedsięwzięć, ale obaj wiedzieli, że stawką w tej grze jest ich męska ambicja.

Pogromca Zwierząt, zamiast sterować prosto na cypel, odległy od arki około ćwierć mili, skierował czołno ukosem na środek jeziora, chciał bowiem w ten sposób znaleźć się w miejscu, z którego mógłby się zbliżyć do brzegu mając nieprzyjaciela przed sobą. Miejsce, gdzie Hetty wyszła na brzeg, wyznaczone przez Cyt na spotkanie, znajdowało się na krańcu przylądka. Gdyby nie manewr Pogromcy, musieliby przepłynąć wzdłuż przylądka blisko brzegu. Było to tak oczywiste, że Chingachgook bez słowa dalej wiosłował, choć Pogromca nie zapytał go o zdanie sterował w kierunku oddalającym ich od miejsca, do którego tak rwało się serce wodza. W ciągu kilku minut czołno znalazło się w dostatecznej odległości od brzegu, a młodzieńcy, jakby wiedzeni wspólnym instynktem, przestali wiosłować. Łódź stanęła.

Mrok nie tylko się nie przerzedzał, lecz jeszcze wzrastał. Jednakże dwaj łowcy przygód z miejsca, gdzie się zatrzymali, mogli rozróżnić zarysy gór. Na próżno Delawar odwracał głowę i patrzył na wschód, szukając na niebie gwiazdy, umówionego sygnału spotkania. Chociaż chmury na horyzoncie w tej stronie nieba nieco się rozpięzły, zasłona była ciągle tak gęsta, że nic za nią nie było widać. Przed nimi w odległości około tysiąca stóp majaczył cypel przylądka. Zamek był niewidoczny; z tej strony żaden szmer nie dobiegał ich uszu: może dlatego, że kilka mil dzieliło ich od domu Huttera, a może nic się nie działo w tamtej części jeziora. Arka, chociaż znajdowała się nie dalej od czołna niż cypel, tak utonęła w przybrzeżnym cieniu, że nie byłoby jej widać, nawet gdyby było znacznie jaśniej.

Przyjaciele rozmawiali po cichu, zastanawiając się, która może być godzina. Pogromca był zdania, że gwiazda wzejdzie dopiero za chwilę, wodzowi zaś tak się śpieszyło, iż zdawało mu się, że jest już znacznie później i narzeczona czeka na brzegu. Jak łatwo się domyślić, przeważało zdanie kochanka i jego przyjaciel począł sterować ku miejscu spotkania. Musieli teraz manewrować czołnem z największą zręcznością i ostrożnością. Podnosili i zanurzali wiosła zupełnie bez szmeru. Kiedy znaleźli się w odległości stu jardów od brzegu, Chingachgook odłożył wiosło i pochwycił strzelbę. Płynąc pasem ciemności biegnącym wzdłuż lasu zauważyli, że wysunęli się za bardzo na północ, zmienili więc kierunek. Zdawać się mogło, że łódka kieruje się własnym instynktem, tak ostrożne były jej ruchy. Wreszcie piasek zazgrzytał pod dziobem czołna. Przybili dokładnie w tym samym miejscu, gdzie

wczoraj w nocy wylądowała Hetty i skąd słyszeli jej głos, gdy arka mijala cypel. Brzeg tutaj, jak wszędzie nad jeziorem,, był wąski. Las podszyty był zaroślami, gałęzie krzaków zwisały nad wodą.

Chingachgook wyskoczył z czołna i pilnie badał brzeg po obu stronach łódki. Musiał przy tym wejść po kolana do wody. Nie spotkała go jednak żadna nagroda – Cyt nie przyszła. Gdy wrócił, spotkał na brzegu Pogromcę Zwierząt. Naradzali się szeptem. Indianin uważał, że pomylili się co do miejsca spotkania. Pogromca Zwierząt był zdania, że zaszła pomyłka raczej co do godziny. Mówiąc to, młody myśliwy nagle chwycił Delawara za ramię i gdy przyjaciel odwrócił głowę ku jezioru, pokazał mu szczyty gór na wschodzie. Chmury rozstały się w jednym miejscu, raczej za górami niż ponad nimi, i gwiazda Cyt zamigotała poprzez gałęzie sosny. Był to w każdym razie dobry znak. Młodzieńcy oparli się na strzelbach i nasłuchiwali szelestu zbliżających się kroków. Dobięły ich głosy ludzkie, a wśród nich stłumiony płacz dzieci i cichy, wdzięczny śmiech kobiet indiańskich. Wiedzieli, że tubylcy amerykańscy są bardzo ostrożni i rzadko rozmawiają głośno.

Zrozumieli więc, że znajdują się blisko obozu. Z odbłasku światła na górnych gałęziach drzew łatwo było wywnioskować, że w lesie pali się ognisko, ale z miejsca, w którym stali, nie mogli dokładnie określić, jak daleko znajduje się obóz. Raz czy dwa razy zdawało się im, że jacyś ludzie odeszli od ognia i zdążają w ich stronę; jednakże albo ulegli złudzeniu, albo też Indianie w połowie drogi zawrócili do obozu. Tak wśród pilnego oczekiwania i żywego niepokoju minął kwadrans, po czym Pogromca Zwierząt zaproponował, żeby opłynąć czołnem cypel i z miejsca, z którego widać obóz, przeprowadzić bliskie rozpoznanie położenia nieprzyjaciela i w ten sposób ustalić, z jakich powodów Cyt nie przyszła na spotkanie. Delawar jednak za nic w świecie nie chciał ruszyć się z miejsca, z, pewną dozą słuszności uzasadniając swój opór zawodem, jakiego doznałaby dziewczyna, gdyby nadeszła tutaj i nie zastała go na umówionym miejscu. Pogromca Zwierząt zrozumiał przyjaciela i zaproponował, że sam popłynie wzdłuż brzegu, a wódza zostawi tutaj, aby ukryty w krzakach czekał na spełnienie się jego nadziei. Chingachgook przystał na propozycję przyjaciela i z tym się rozstali.

Pogromca Zwierząt wrócił na swoje miejsce w tyle czołna i odbił od brzegu tak samo ostrożnie i cicho, jak przyplłynął. Tym razem trzymał się blisko lądu i płynął pod osłoną nadbrzeżnych zarośli. Trudno byłoby znaleźć lepszy sposób spenetrowania obozu Indian. Cypel można było okrążyć wodą, czołno zaś płynęło tak cicho, że nie było obawy, aby szmer wiosła zaalarmował wroga. Najbardziej wprawna i ostrożna stopa mogła po ciemku wejść na stos liści lub złamać zeszlą gałązkę, natomiast czołno z kory sunęło po gładkiej wodzie jakby z instynktowną ostrożnością i bez szmeru – niczym ptak wodny. Gdy Pogromca znalazł się między obozem a arką, ujrzał ognisko. Ukazało się tak nagle i niespodziewanie, że młody myśliwy zrazu zląkł się, czy aby nie zapędził się nieostrożnie w jasny, krąg światła. Ponowny rzut oka na obóz upewnił go jednak, że nie grozi mu wykrycie przez Indian, gdyż siedzą blisko

ogniska, w miejscu najjaśniej oświetlonym. Zatrzymał czołno w pozycji dogodniejszej do obserwacji i zaczął przyglądać się obozowi.

Nie mało napisaliśmy już o tym przedziwnym człowieku, a wszystko chyba na próżno, jeśli musimy teraz powiedzieć czytelnikowi, że ten prostak, niewykształcony i nieobyty w świecie, któremu obce były subtelności smaku ludzi cywilizowanych – doznawał silnych i naturalnych wzruszeń poetyckich. Uwielbiał świeżą zieleń, uroczystą pustkę i rozległe obszary lasów. Często, idąc lasem, przystawał, aby z zachwytem przyjrzeć się szczególnie pięknemu widokowi, chociaż rzadko zastanawiał się, skąd wzięło się to zjawisko przyrody. Nie przeżył dnia bez duchowej komunii – wolnej od form zewnętrznych – z nieskończonym źródłem wszystkiego, co widział i czuł. Nic więc dziwnego, że człowiek o takim obliczu moralnym, tak nieustraszony i odporny na ciosy z wielką przyjemnością przyglądał się obrazowi, jaki roztoczył się przed jego oczami, i na chwilę zapomniał, po co tu przybył. Wypada nam opisać obraz, jaki ujrzał Pogromca.

Czołno znajdowało się naprzeciw otwartej przestrzeni, która – wolna nie tylko od krzaków rosnących na brzegu, lecz również od drzew – odsłaniała widok na obozowisko Indian. Przez tę właśnie naturalną przesiekę w lesie ujrzeli ognisko z arki. Indianie niedawno zmienili miejsce postojów i nie mogli jeszcze udać się na spoczynek do swych chat, gdyż urządzenie nowego obozu, a potem przygotowanie wieczerzy przeciągnęło się do późnego wieczoru. Rozpalili ognisko, które oświetlało obóz jak wielka pochodnia. Kobiety ugotowały przy nim prostą strawę. Właśnie dorzucono spore naręcze suchych gałęzi i buchnął wysoko jasny ogień". Zajaśniało w górze zielone sklepienie listowia, a w całym obozie zrobiło się tak widno, jakby zapalono w nim setki świeczek. Indianie przerwali pracą i zjedli sutą wieczerzą – nawet nagłodniejsze dziecko najadło się dzisiaj. Słowem, nadeszła chwila gnuśnego odpoczynku, jaka następuje po obfitym posiłku, spożytym po całodziennym znoju. Zarówno myśliwym, jak rybakom powiodło się dzisiaj i żywności, która stanowi największą troskę w życiu dzikich, było w bród, wszystkie więc inne zmartwienia ustąpiły miejsca radości z tego powodu.

Pogromca Zwierząt od razu zauważył, że w obozie jest mało wojowników. Był jednak jego znajomy, Rozdarty Dąb. Siedział na pierwszym planie obrazu, który mógłby wyjść spod pędzla Salvatora Rosy, ku wielkiej uciechu tego malarza. Śniade oblicze wojownika jaśniało zarówno z zadowolenia, jak i od blasku ogniska, kiedy pokazywał swemu rodakowi figurkę słonia, która wywołała takie poruszenie wśród jego ludu. Malowniczą grupę uzupełniał chłopiec przez ramię Dęba wybałuszonymi oczami patrzący na słonia. Nieco dalej ośmiu czy dziesięciu wojowników na pół leżało lub opierało się o drzewa. Każdy z nich przedstawiał nieco inną odmianę gnuśnego wypoczynku. Broń mieli przy sobie. Strzelby oparte były o te same drzewa co ich panowie lub porzucone przez nich leżały na ziemi. Pogromcą najwięcej zainteresowała grupa kobiet i dzieci. Wyglądało na to, że zebrano razem wszystkie kobiety. Dzieci, oczywiście, trzymały się matek. Indianki śmiały się i rozmawiały, jak

zwykle przyciszonym głosem. Kto jednak znał zwyczaje dzikich, mógł poznać, że nie wszystko tu szło, jak należy. Większość młodych kobiet była w dość dobrym humorze, ale z boku siedziało stare babsko z kwaśną miną i jakby czegoś pilnowało. Pogromca Zwierząt od razu domyślił się, że wodzowie powierzyli jej jakieś nieprzyjemne zadanie.

O co tutaj szło, nie wiedział, lecz domyślał się, że zadanie dotyczy osoby płci żeńskiej, gdyż starszych kobiet na ogół nie używano do czego innego.

Rzecz jasna, Pogromca Zwierząt pilnie wypatrywał Cyt. Nie było jej widać, chociaż światło ogniska sięgało daleko i we wszystkich kierunkach. Raz czy dwa razy zadrżał, gdyż zdawało mu się, że poznał śmiech Delawarki: słuch zawiódł go tym razem, był to bowiem tak często spotykany u kobiet indiańskich miły i melodyjny głos jakiejś Huronki. Wreszcie starucha powiedziała coś głośno i gniewnie. Pogromca ujrzał w głębi, na tle drzew, kilka ciemnych postaci, które, widocznie złajane przez starą, posłusznie odwróciły się i podeszły bliżej ogniska. Najpierw ukazała się w świetle postać młodego wojownika, za nim szły dwie młode kobiety. Jedną z nich była Delawarka. Teraz Pogromca Zwierząt zrozumiał, wszystko. Cyt była strzeżona, prawdopodobnie przez swą młodą towarzyszkę, na pewno przez staruchę. Młodzieniec był zapewne zakochany w Cyt lub jej towarzyszce i dlatego odnoszono się doń nieufnie i nie pozostawiono mu swobody ruchów. Huroni wiedzieli, że ludzie, których można uważać za przyjaciół Wah, znajdują się niedaleko, przybycie zaś obcego Indianina nad jezioro skłoniło ich do jeszcze większej czujności. Dlatego dziewczyna nie mogła wymknąć się spod dozoru i przyjść na spotkanie. Pogromca Zwierząt zauważył, że Cyt niepokoi się, gdyż parę razy podniosła wzrok i popatrzyła poprzez gałęzie drzew na niebo, widocznie szukając gwiazdy, którą sama wybrała na sygnał spotkania. Nic więcej jednak nie mogła zdziałać. Przybrała obojętną minę i wraz z towarzyszką przeszła się po obozie, po czym zostawiły eskortującego je młodego wojownika i przysiadły się do grupy kobiet. Stara natychmiast usiadła wygodniej, co było niezbitym dowodem, że do tej chwili pełniła straż przy Delawarce. Pogromca Zwierząt naprawdę nie wiedział, co robić. Zdawał sobie sprawę, że nie uda mu się nakłonić Chingachgooka do powrotu na arkę i że młody wódz porwie się teraz na jakiś rozpaczliwy krok, aby odbić z niewoli swą pannę. Szlachetny Pogromca gotów był pomóc przyjacielowi w tym przedsięwzięciu. Odniósł wrażenie, że kobiety za chwilę udadzą się na spoczynek. Jeśli zostanie tutaj, a ognisko nie zgaśnie, zobaczy, w którym szalasię spi Cyt. Wiadomość ta może okazać się niezmiernie cenna w najbliższej przyszłości. Gdyby jednak zatrzymał się tu dłużej, należałoby się obawiać, że niecierpliwy narzeczony popełni jakieś wielkie głupstwo. Spodziewał się ujrzeć ladą chwilą śniadą postać Delawara czyhającego w głębi lasu jak tygrys na stado owieczek. Po rozpatrzeniu tego wszystkiego doszedł do wniosku, że lepiej wrócić i chłodną rozwagą pohamować porywcze zapędy przyjaciela. Jak postanowił, tak i zrobił – w piętnaście minut od opuszczenia brzegu był z powrotem.

Wbrew oczekiwaniu zastał Indianina na stanowisku. Wąz nie ruszył się z miejsca,

obawiając się, że narzeczona może przyjść w czasie jego nieobecności. Odbyli naradę, w czasie której Chingachgook dowiedział się o sytuacji w obozie. Cyt wyznaczając tutaj spotkanie sądziła, że ucieknie z dość odległego obozu i schroni się w miejscu nie zajęтым przez Mingów; nagła zmiana miejsca postoju przez wroga obróciła wniwecz jej plany. Trzeba teraz zachować znacznie większą ostrożność; Fakt, że Cyt znajduje się pod strażą staruchy, jest również bardzo niepokojący. Wszystko to i wiele innych szczegółów, które czytelnik z łatwością sobie dośpiewa, młodzi ludzie omówili pokrótce, zanim podjęli decyzję. Sytuacja wymagała jednak nie słów, lecz czynów, szybko więc powzięli plan dalszego działania.

Ustawili łódź tak, aby Cyt musiała ją zobaczyć, gdyby przyszła tu przed ich powrotem, sprawdzili broń i weszli w las. Cały przylądek miał około dwóch akrów powierzchni, z czego połowę zajmował cypel, na którym Indianie rozbili obóz. Rosły tu przeważnie dęby, które, jak to bywa w puszczy amerykańskiej, wznosiły wysoko strzeliste pnie i dopiero w górze ich gałęzie tworzyły gęste zielone sklepienie. Tylko brzegiem jeziora biegł las gęstych zarośli, poza tym las był słabo podszyty. Drzewa – dzięki temu, że na dole nie miały gałęzi, a także dlatego, że w tych stronach rzadko odzywała się siekiera – rosły gęsto i podobne były do wysokich, prostych, naturalnych kolumn, na których opierało się sklepienie z liści. Teren był prawie płaski, tylko środkiem przylądka biegło lekkie wzniesienie, dzielące go na część północną i południową. Na południowym zboczu Huroni rozpalili ognisko wykorzystując naturalne ukrycie przed wrogiem znajdującym się, ich zdaniem (jak czytelnik sobie przypomina), w zamku, to znaczy na północ od przylądka. Koło obozu szumiał strumyk, spływający do jeziora z pobliskich wzgórz. Wyłobit sobie tutaj głębokie koryto i dzisiaj, gdy dotarła w te strony cywilizacja, kręte i cieniste jego brzegi przydają niemało uroku temu pięknemu zakątkowi. Strumyk płynął i wpadał do wielkiego rezerwuaru tych okolic po zachodniej stronie obozu, tuż obok ogniska, Wszystkie te szczegóły Pogromca Zwierząt zapamięta! i objaśnił swemu przyjacielowi.

Czytelnik z łatwością zrozumie, że lekkie wzniesienie terenu wielce sprzyjało skrytemu podejściu naszych dwóch ryzykantów na tyły obozu Indian. Pagórek osłaniał tyły obozu od światła, jakie rzucało ognisko. Teren opadał ku jezioru w ten sposób, że lewe, to znaczy wschodnie, skrzydło obozu było odsłonięte. Powiedzieliśmy „odsłonięte”, co nie jest ścisłym określeniem, skoro pagórek za chatkami i ogniskiem osłaniał nie Indian, lecz tych, którzy właśnie skradali się do obozu. Wzniesienie znajdowało się w pewnej odległości od krańca przylądka, aby więc nie znaleźć się nagle w świetle ogniska, Pogromca nie przedzierał się przez zarośla wprost ku obozowi, lecz poszedł północnym brzegiem niemal do nasady przylądka. W ten sposób ukrył się w cieniu po drugiej stronie pagórka,

Przyjaciele wyszli z zarośli i zatrzymali się, aby przeprowadzić rozpoznanie. Za wzniesieniem ujrzeli płomień ogniska oświetlający wierzchołki drzew, co było miłe dla oka, ale nie przynosiło pożytku. Blask ognia działał jednak na korzyść napastników:

przy ognisku było jasno jak w dzień, natomiast druga strona pagórka tonęła w ciemnościach – dzicy wystawieni byli na widok, a ich wrogowie kryli się w cieniu. Korzystając z osłony młodzieńcy ostrożnie podchodzili ku wzniesieniu. Pierwszy szedł Pogromca Zwierząt. Delawarowi kazał iść z tyłu, obawiał się bowiem, aby zakochany wódz nie zrobił jakiegoś głupstwa. Szybko znaleźli się u stóp pagórka. Teraz nastąpiła bardzo niebezpieczna część wyprawy. Myśliwy posuwał się naprzód z największą ostrożnością. Strzelbę ciągnął za sobą tak, aby nie było widać lufy i aby w każdej chwili był gotów do strzału. Szedł krok za krokiem, aż znalazł się tak wysoko, że mógł spojrzeć zza grzbietu pagórka, wystawiając na światło jedynie głowę. Gdy Chingachgook znalazł się przy nim, zatrzymali się, aby dokładnie obejrzeć obóz. Na wypadek, gdyby ktoś kręcił się za nimi, zabezpieczyli się w ten sposób, że plecami oparli się o pień dębu rosnącego najbliżej ogniska.

Pogromca ujrzawszy dokładnie to samo, co widział z czółna, tylko z drugiej strony. Wojownicy, których niewyraźne sylwetki na tle pagórka dostrzegł z jeziora, znajdowali się teraz bardzo blisko. Na pniach wokół jasno płonącego ogniska siedziało ich trzynastu – ci sami, których widział z czółna. Żywo o czymś rozprawiali, a figurka słonia krążyła z rąk do rąk. Przeszedł im już pierwszy, dziki zachwyt nad niezwykłym zwierzęciem i zastanawiali się teraz, czy zwierzę to rzeczywiście istnieje, jak wygląda i jakie są jego zwyczaje. Nie mamy czasu na to, aby przedstawić tutaj poglądy tych pierwotnych ludzi w sprawie tak bliskiej ich życiu i doświadczeniu; nie przesadzimy jednak, jeśli powiemy, że ich opinie były tak samo prawdopodobne, a o wiele bardziej wnikliwe niż połowa domysłów, jakie zazwyczaj poprzedzają wyniki badań naukowych. Choć niektóre wnioski Indian były niesłuszne, nie można zaprzeczyć, że roztrząsali zagadnienie słonia z wielkim zapalem i nieustrudzoną uwagą. W tej chwili dzicy zapomnieli o wszystkim innym – dwaj przyjaciele nie mogli więc wybrać lepszej pory na swą wyprawę.

Kobiety siedziały zwartą gromadką w tym samym miejscu, w którym myśliwy ujrzawszy je z czółna – między jego obecnym stanowiskiem a ogniem. Odległość od dębu, o który opierali się nasi młodzieńcy, do miejsca, gdzie siedzieli wojownicy, wynosiła około trzydziestu jardów. Kobiety siedziały w połowie drogi, tak blisko, że trzeba było bardzo uważać na każdy ruch i wystrzegać się najmniejszego szelestu. Choć rozmawiały półgłosem, w głębokiej ciszy lasu można było usłyszeć fragmenty ich rozmowy, a beztronski śmiech dziewcząt dobiegał aż do czółna. Pogromca Zwierząt zauważył, że przyjaciel zadrżał na całym ciele, gdy usłyszał słodki głos płynący z pięknych, świeżych ust Cyt. Położył rękę na ramieniu wodza przypominając mu w ten sposób, aby panował nad sobą. Właśnie rozmową kobiet ożywiła się, dwaj przyjaciele wyciągnęli więc szyje i nasłuchiwali.

–Huronie mają ciekawsze zwierzęta – powiedziała jedna z dziewcząt pogardliwym tonem. Podobnie jak mężczyźni i kobiety rozmawiały o słoniu i jego właściwościach. – Delawarzy uważają to zwierzę za cudowne, a u nas jutro żadne usta hurońskie nie będą o nim mówiły. Nasi młodzi wojownicy złapią tego zwierza, jeśli odważy się

podejść do naszych wigwamów.

Słowa te były wypowiedziane właściwie pod, adresem Wah-ta-Wah, chociaż mówiąca nie miała odwagi spojrzeć na Delawarkę.

–Delawarzy nie wpuścili tego zwierzęcia do swego kraju – odparła. Cyt – i żaden z nich nie widział nawet takiej figurki. Młodzieńcy delawarscy wystraszyliby nie tylko te zwierzęta, ale nawet ich figurki;

–Młodzieńcy delawarscy, to dobre! Przecież to babski naród. Nawet jeleń nie przyśpiesza kroku, gdy słyszy, że nadchodzą delawarscy myśliwi. Czy słyszał kto imię młodego wojownika delawarskiego?

Było to powiedziane ze śmiechem, ale żart był jadowity. Odpowiedź Cyt dowiodła, że dobrze zrozumiała zaczepkę.

–Czy słyszał kto imię młodego wojownika delawarskiego? – powtórzyła zapalczywie. – Tamenund, dziś tak stary jak sosny na wzgórzu lub orły w powietrzu, kiedyś był młody. Imię jego było znane od wielkiego słonego jeziora po słodkie wody na zachodzie. A rodzina Unkasów? Gdzież jest ród większy od Unkasów, choć blade twarze zryły ich groby i zdeptały kości. Czy orły lecą tak wysoko, czy jeleń jest tak rączy, czy pantera jest taka odważna? Czy nie ma już ani jednego młodego wojownika z tego szczepu? Niechaj dziewczęta hurońskie szerzej otworzą oczy, a ujrzą kogoś, kto się nazywa Chingachgook i jest smukły jak młody jesion, a mocny jak orzech.

Gdy dziewczyna, mówiąc obrazowo, zwróciła się do Huronek, aby szerzej otwały oczy, a zobaczą młodego wojownika, Pogromca Zwierząt trącił swego przyjaciela i cicho się zaśmiał. Delawar też się uśmiechnął. Ale słowa Cyt zbyt mu pochlebiali, a głos zbyt miły był jego sercu, aby zwrócił uwagę na zabawny zbieg okoliczności. Huronki nie czekały z odpowiedzią i wywiązała się sprzeczka gorąca i dość hałaśliwa, ale utrzymana w tonie wesołym, bez pospolitych i gwałtownych krzyków i gestów, które tak często pozbawiają wdzięku kobiety w świecie uważanym za cywilizowany. Delawar dał znak przyjacielowi, aby się schylił i ukrył za pagórkiem, po czym wydał głos tak świetnie naśladowujący świst malutkiej wiewiórki amerykańskiej, że nawet Pogromca Zwierząt, który wiele razy słyszał, jak inni naśladowali wiewiórkę, myślał, że rzeczywiście zwierzątko to skacze po drzewie nad jego głową. Głos wiewiórki jest tak znany w lasach, że nie zwrócił uwagi Huronów. Cyt jednak natychmiast przestała mówić i znieruchomiała. Była na tyle opanowana, że nie odwróciła głowy. Usłyszała znak, którym kochanek często wywoływał ją z wigwamu na potajemne schadzki. Zmysły i serce dziewczyny ogarnęło uczucie podobne do tego, jakie w krainie pieśni wywołuje serenada. Od tej chwili Chingachgook miał pewność, że Cyt wie o jego obecności. Fakt ten miał duże znaczenie, gdyż młody wódz mógł liczyć na to, że jego panna będzie teraz poczynać sobie śmieiej, niż gdyby nie wiedziała, co się z nim

dzieje. Niewątpliwie będzie starała się pomóc mu w wydostaniu jej z niewoli. Gdy Chingachgook zagwizdał naśladując wiewiórkę, Pogromca Zwierząt wstał i od razu zauważył wielką zmianę w zachowaniu się dziewczyny (sam nigdy nie doznał owej rozkosznej jedności myśli, jaka łączy zakochanych). Cyt udawała wobec towarzyszek, że dalej spiera się z nimi, nie była jednak tak śmiała i dowcipną jak przedtem, a to, co mówiła, miało raczej przynieść łatwe zwycięstwo jej przeciwniczkom. Jeszcze parę razy wrodzona bystrość podsunęła jej odpowiedź lub argument, które wywołały śmiech i przyniosły jej chwilową przewagę, lecz te wypadki dowcipu miały jedynie ukryć jej prawdziwe uczucia i uczynić zwycięstwo strony przeciwniej" bardziej naturalnym. Wreszcie spór znużył dziewczęta i wszystkie naraz wstały, jakby miały się rozejść na spoczynek. Dopiero teraz Cyt odważyła się odwrócić głowę w kierunku, skąd usłyszała sygnał. Zrobiła to w sposób naturalny, lecz ostrożny. Przeciągnęła się i ziewnęła, jakby była bardzo senna. Znowu dał się słyszeć świst wiewiórki. Dziewczyna wiedziała już, gdzie ukrywa się jej kochanek, choć sama stała w jasnym świetle, a młodzieńcy w cieniu, i dlatego nie mogła widzieć ich głów wystających zza pagórka. Drzewo, o które się opierali, znajdowało się w gęstym cieniu, rzucanym przez olbrzymią sosnę, rosnącą bliżej ogniska. Było tam tak ciemno, że nawet z bliska nic nie było widać. Dobrze wiedział o tym Pogromca Zwierząt i dlatego właśnie tutaj ukrył się z przyjacielem.

Zbliżała się chwila, kiedy Cyt musiała się na coś zdecydować. Miała spać w małym szałasie, stojącym niedaleko od niej, w towarzystwie starej jędzy, Gdy znajdzie się w szałasie, a stara legnie u wyjścia i jak zwykle przez całą noc nie zmruży oka, trzeba się będzie pożegnać z nadzieją ucieczki. Lada chwila, stara może zapędzić ją do szałasu. Na szczęście, jeden z wojowników zawołał staruchę i kazał jej przynieść wody do picia. Na północnej stronie przylądka było źródło znakomitej wody. Stara zdjęła z gałęzi tykwę, zawołała Cyt i ruszyła w górę, zmierzając do źródła – na drugą stronę przylądka. Dwaj przyjaciele wszystko to ujrzeli i właściwie ocenili, szybko więc wycofali się i ukryli w cieniu drzew, aby przepuścić obie kobiety. Stara trzymała Cyt mocno za rękę. Gdy przechodziła koło drzewa, za którym się schowali, Chingachgook chwycił tomahawk i chciał Jej rozplatać głowę. Pogromca Zwierząt zrozumiał w lot ryzyko takiego przedsięwzięcia: jeden krzyk starej mógł im sprowadzić na karki wszystkich wojowników z obozu, a poza tym myśliwy przeciwny był zabójstwu ze względów czysto ludzkich. Ręka Pogromcy powstrzymała więc ramię przyjaciela. Gdy kobiety przeszły, znowu dał się słyszeć świst wiewiórki. Huronka stanęła i odwróciła się ku drzewu, skąd dobiegł ją głos. Stała o sześć stóp od swych wrogów. Dziwiła się, że o tak późnej porze zwierzątko jeszcze nie śpi, uważając jego głos za złą wróżbę. Cyt odparła, że w ciągu ostatnich dwudziestu minut trzy razy słyszała tę wiewiórkę, która widocznie czeka na resztki wieczerzy. Stara uspokoiła się i poszły dalej. Tuż za nimi skradali się obaj mężczyźni. Nappełniły tykwę u źródła i stara szybko poszła z powrotem, mocno trzymając Cyt za rękę. Nagle ktoś złapał ją za gardło. Stara puściła rękę branki. Nie mogła krzyknąć, dusiła się i charczała. Wąż objął swą pannę w pól i rzucił się z nią w zarośla, w kierunku

północnym. Dopadli brzegu, skręcili w lewo i pobiegli do czółna. Mogli oczywiście wybrać krótszą drogę, ale to znowu ułatwiłoby Irokezom odnalezienie czółna.

Tymczasem Pogromca Zwierząt grał palcami na gardle starej baby jak na organach – co chwilę zwalniał nieco uścisk, aby mogła zaczerpnąć powietrza, i zaraz tak ścisnął, że omal jej nie udusił. Baba skorzystała jednak z przerwy na oddech, krzyknęła i zaalarmowała obóz. Pogromca usłyszał tupot nóg wojowników, którzy zerwali się od ogniska. Trzech czy czterech ukazało się już na szczycie wzniesienia. Oświetleni z tyłu, wyglądali jak zjawy nie z tego świata. Czas był ostatni wziąć nogi za pas. Pogromca Zwierząt podstawił starej nogę i na pożegnanie ścisnął jej gardło: po pierwsze – za karę, że zaalarmowała obóz, a po drugie – żeby się uspokoiła. Zostawił ją na ziemi i ze strzelbą w ręku pobiegł w stronę zarośli, oglądając się jak lew ścigany przez myśliwych.

ROZDZIAŁ 17

Hej, mądrzy święci! Patrzcie na swe aureole!

Wystrychnięci na dudka, wywiedzeni w pole!

Macie dosyć? – Czy może, dopóki lęk dreszczem

Drży w waszych sercach, mam was oszukiwać jeszcze?

Moore

Ognisko, czołno i źródło, od którego Pogromca Zwierząt rozpoczął swój odwrót, stanowiły wierzchołki niemal równobocznego trójkąta. Najdalej było od ogniska do źródła, czołno natomiast znajdowało się w jednakowej odległości od ogniska i od źródła. Tak było w linii prostej, uciekający jednak musieli nałożyć drogi – biegli pod osłoną zarośli łukiem wybrzeża. Myśliwy rozpoczynając odwrót wiedział, że z tych względów jego położenie jest gorsze niż ścigających, znając zaś zwyczaje Indian, zdawał sobie sprawę, że dzicy w przypadku nagłego alarmu zawsze, a zwłaszcza w lesie, starają się oskrzydlić nieprzyjaciela, aby zaatakować go ze wszystkich stron i w miarę możliwości odciąć mu odwrót. O tym, że Huroni zastosowali taką taktykę, mówiły mu odgłosy kroków. Jedni biegli za nim, drudzy w kierunku wzgórza na zachód od obozu, inni pędzili na brzeg, w kierunku przeciwnym niż biegł myśliwy. Należało się bardzo śpieszyć, by grupy ścigających nie spotkały się na brzegu, zanim myśliwy dotrze do czołna.

Choć każda chwila była droga, Pogromca przystanął na skraju zarośli. Był bardzo podniecony tym, co zaszło, i jak nigdy gotów do śmiałych decyzji. W jasnym blasku ogni ska na pagórku ukazały się cztery ciemne postaci – można było z miejsca położyć trupem jednego wroga. Indianie zatrzymali się i wypatrywali w mroku. staruchy, której krzyk sprowadził ich tutaj. Mężczyzna mniej opanowany nie zawahałby się pozbawić życia jednego Minga. Na szczęście Pogromca był człowiekiem rozsądnym. Wprawdzie strzelbę opuścił nieco w kierunku Minga, który wysunął się na czoło pościgu, nie zmierzył się jednak ani nie strzelił, lecz skoczył w zarośla i zniknął. Brzegiem dobiegł do czołna, w którym niespokojnie czekali na niego Chingachgook i Cyt. Położył strzelbę na dnie i już pochylił się, aby silnie odepchnąć czołno od brzegu, gdy z krzaków wypadł olbrzymi Indianin i jak pantera skoczył mu na plecy. Wszystko teraz zawisło na włosku. Jeden fałszywy krok mógł ich zgubić. Pogromca Zwierząt zachował się tak wspaniałomyślnie, że gdyby był Rzymianinem, zdobyłby sławę po wsze czasy, ale wypadek ten zdarzył się w życiu człowieka prostego i skromnego, pozostałby więc nie znany światu, gdyby nie nasze (bezpretensjonalne) opowiadanie. Pogromca Zwierząt nadludzkim wysiłkiem tak mocno odepchnął czołno od brzegu, że odplynęło na odległość stu stóp, sam zaś

wpadł do wody głową na dół, pociągając za sobą napastnika.

Tuż przy brzegu, gdzie dwaj zapaśnicy wpadli, woda sięgała zaledwie piersi – głębia zaczynała się parę jardów dalej. Niemniej położenie Pogromcy było bardzo ciężkie. Mając na karku Indianina, mógł utonąć. Ale ręce miał wolne, a dziki musiał go puścić, aby móc stanąć i wystawić głowę ponad powierzchnię wody. Wywiązała się błyskawiczna i rozpaczliwa walka. Indianin rzucał się jak aligator, który dopadł zawzięcie broniącego się zwierza. Wreszcie obaj stanęli naprzeciw siebie. Trzymali się za ręce nie pozwalając jeden drugiemu dobyć w ciemności morderczego noża. Nie wiadomo, jakby się skończyła ta walka na śmierć i życie, gdyż przerwało ją zjawienie się pół tuzina dzikich, którzy skoczyli do wody na pomoc swemu rodakowi. Pogromca Zwierząt poddał się z godnością równą jego poświęceniu dla przyjaciela.

W niespełną minutę Indianie doprowadzili nowego jeńca do ogniska. Byli do tego stopnia pochłonięci walką i jej wynikiem, iż nie dostrzegli czółna, które znajdowało się tak blisko brzegu, że Delawar i jego narzeczona wszystko słyszeli. Brzeg opustoszał, część Indian pobiegła szukać Cyt, większość wróciła do ogniska. Tutaj dopiero przeciwnik Pogromcy złapał oddech i odzyskał pamięć, niewiele bowiem brakowało, żeby myśliwy go udusił. Opowiedział, w jaki sposób Delawarka uciekła. Na pościg było już za późno, gdy bowiem Pogromca zniknął w zaroślach pod eskortą Indian, Delawar zanurzył wiosło w wodzie i lekkie czółno pomknęło bez szmeru ku środkowi jeziora. Chingachgook, znalazłszy się na odległość strzału od brzegu, ruszył na poszukiwanie arki.

Gdy Pogromca Zwierząt podszedł do ogniska, otoczyło go ośmiu groźnych wojowników, wśród których znajdował się jego stary znajomy, Rozdarty Dąb. Wódz spojrzał na twarz myśliwego i powiedział coś na boku swym towarzyszom. Wszystkim wyrwał się cichy okrzyk radości i zdziwienia. Dowiedzieli się, że wpadł im w ręce ten, który zabił ich przyjaciela do drugiej stronie jeziora, i że zdany jest na ich łaskę lub zemstę. W gniewnych spojrzeniach, jakie rzucali jeńcowi, nie brak było podziwu, wywołanego zarówno jego obecną postawą, jak i poprzednimi czynami. Trzeba powiedzieć, że scena ta stanowiła początek wielkiej i pełnej grozy sławy, jaką Pogromca Zwierząt, później zwany Sokolim Okiem, zdobył sobie wśród szczepów kolonii Nowy York i Kanady. Sława ta objęła swoim zasięgiem mniejszy obszar i mniej ludzi niż rozgłos niektórych sławnych mężów w krajach cywilizowanych, ale za to była bardziej zasłużona i nie powstała dzięki mistyfikacji albo innym sprytnym zabiegom.

Indianie odebrali Pogromcy nóż pozostawiając wolne ręce. Środki ostrożności ograniczyły się do tego, że nie spuszczała go z oka i że nogi związała mu, w kostkach mocnym sznurem uplecionym z kory. Mógł więc poruszać się swobodnie, nie mógł natomiast rzucić się do ucieczki. Ten dodatkowy środek ostrożności Irokezi zastosowali dopiero wtedy, gdy przyprowadzili jeńca do ogniska i w blasku ognia przyjrzeni się jego twarzy. Skrępowanie myśliwego było wyrazem uznania dla jego

męstwa, z czego jeniec był bardzo dumny. Sądził, że go skrępują, gdy wojownicy będą szli spać, ale nałożenie więzów w chwili ujęcia świadczyło, że już zdobył sobie imię. Gdy młodzi wojownicy nakładali mu pęta na nogi, pomyślał sobie, czy Chingachgooka też by tak potraktowano, gdyby dostał się w ręce nieprzyjaciół. Sława młodej bladej twarzy opierała się nie tylko na zwycięstwie w pierwszej walce i na umiejętnym i spokojnym prowadzeniu układów. Uznanie dla Pogromcy znacznie wzrosło dzięki wydarzeniom ostatniej nocy. Irokezi, nie wiedząc nic o ruchach arki i przypadkowym ujrzeniu przez Pogromcę ogniska, przypisywali odkrycie ich nowego obozu czujności i sprytowi myśliwego. Odważne wejście na brzeg przylądka, porwanie Cyt, a nade wszystko poświęcenie i przytomność umysłu, z jaką odepchnął czółno od brzegu – stanowiły ważne ogniwa w łańcuchu faktów, które uzasadniały jego sławę. Wiele tych faktów sami widzieli, niektórych się domyślili, wszystkie dobrze rozumieli.

Pogromca Zwierząt mimo podziwu i szacunku, jakim otoczyli go Mingowie, nie uniknął pewnych przykrości związanych z sytuacją jeńca. Pozwolono mu usiąść na skraju pnia przy ognisku, aby mógł wysuszyć ubranie. Niedawny przeciwnik myśliwego stał naprzeciw niego, trzymając przy ogniu części, swego skąpego odzienia i dotykając ręką szyi, na której widoczne były jeszcze ślady palców. Obok naradzali się pozostali wojownicy. Ci, którzy pobiegli zbadać okolicę, wrócili z meldunkiem, że nie znaleźli dalszych śladów wroga w pobliżu obozu. Starucha (nazywała się Niedźwiedzica) podeszła do Pogromcy Zwierząt z zaciśniętymi pięściami. Z oczu starej sypały się iskry gniewu. Do tej pory darła się wniebogłosy i trzeba przyznać, że rolę swą wykonała z niemałym powodzeniem. Gdy zaalarmowała już wszystkich w promieniu działania płuc, dobrze zaprawionych do krzyku, zwróciła uwagę na straty, jakie sama poniosła w walce. Właściwie nie ucierpiała wiele, ale wystarczyło to, aby rozjuszyć kobietę, której wdzięki dawno przestały zwracać na siebie uwagę i która, pałając chęcią odwetu za tyle lat niedoli pomiatanej żony i matki-Indianki, tylko czekała, by ktoś wpadł jej w ręce. Pogromca Zwierząt nie okaleczył starej, ale zadał jej ból, ona zaś nie należała do osób przebaczących doznaną krzywdę ze względu na pobudki, jakie kierowały winowajcą.

–Śmierdzący skunksie bladych twarzy – rozpoczęła swą piekielną tyradę, potrząsając pięścią pod nosem niewzruszonego Pogromcy – nie jesteś nawet kobietą. Twoi przyjaciele, Delawarzy, to tylko baby, ty zaś jesteś ich baranem. Ludzie biali nie przyznają się do ciebie i żaden szczep czerwonoskórych nie chce cię mieć w swoim wigwamie. Kryjesz się wśród wojowników w spódnicach! Zabiłeś, powiadasz, mężnego wojownika, który odszedł od nas? O, nie, szlachetna dusza wzgardziła walką z takim jak ty i wołała opuścić jego ciało, niż splamić się zarżnięciem barana! Ziemia nie wypila krwi, którą przelałeś, kiedy duch wojownika z pogardą odwrócił się od ciebie. Krew tę zmażemy twoimi jękami! Ach, słyszę już tę muzykę! Nie jest to zawodzenie czerwonoskórego! Czerwony wojownik nie chrząka jak wieprz. To głos z gardła bladej twarzy, z piersi Jankesa, cienki głosik śpiewającej dziewczynki. Ty

psie... skunksie... łasiczko... tchórzcu... jeżu... świni... ropucho... pająku... ty Jankesie...

Starej zabrakło tchu i wyzwisk, musiała więc przerwać na chwilę, potrząsała tylko pięściami przed, nosem jeńca, a pomarszczona jej twarz wyrażała straszliwą odrazę.

Pogromca Zwierząt patrzył na te nieudolne próby wyprowadzenia go z równowagi tak obojętnie, jak w społeczeństwie cywilizowanym dżentelmen przyjmuje wyzwiska ulicznika. Wiedział, że język starej kobiety nie może znieważać wojownika, jak dżentelmen' wie, że kłamstwa i grubiaństwa godzą tylko w tego, kto się nimi posługuje. Na razie jednak oszczędzono jeńcowi dalszych ataków. Przyszedł mu z pomocą Rozdarty Dąb. Odsunął babę na bok i kazał jej odejść, sam zaś siedł obok Pogromcy. Stara poszła, myśliwy jednak wiedział, że jak długo pozostanie w rękach wroga, jędrza będzie mu dokuczać na wszelkie sposoby, jeśli nie zdoła mu zrobić większej krzywdy. Nic bowiem więcej nie jątrzy jak świadomość, że próba rozniewiania przeciwnika spotkała się z pogardą, najbardziej biernym uczuciem, jakie może się zrodzić w ludzkiej piersi. Rozdarty Dąb usiadł, jak mówiliśmy, obok Pogromcy i po krótkim milczeniu pierwszy zaczął rozmowę. (Podajemy ją w tłumaczeniu, mając na względzie tych czytelników, którzy nie zgłębili narzeczy Indian z Ameryki Północnej).

–Serdecznie witam mego przyjaciela, bladą twarz – powiedział Indianin z przyjaznym skinieniem głowy i uśmiechem tak niedostrzegalnym, że trzeba było wielkiej bystrości myśliwego, aby dostrzec ten uśmiech, i niemało filozofii życiowej, aby zachować obojętną minę – witam serdecznie. Huroni rozpalili wielkie ognisko, aby biały człowiek mógł osuszyć swe ubranie.

–Dziękuję, Huronie, czyli Mingo, jak wolałbym cię nazywać – odparł Pogromca – dzięki za powitanie i dzięki za ogień. Jedno i drugie jest dobre po swojemu, a ogień bardzo się przyda temu, który skąpał się w tak zimnym źródle jak Lśniące Zwierciadło. W takiej chwili ciepło hurońskiego ogniska jest miłe nawet temu, co serce ma delawarskie.

–Blada twarz... ale mój brat ma chyba jakieś imię? Tak wielki wojownik nie mógł przecież żyć bez nazwiska.

–Mingo – odparł myśliwy, a błysk oka i rumieniec na twarzy zdradziły zwykłą ludzką słabość – Mingo, wasz mężny wojownik, nazwał mnie Sokolim Okiem, pewnie dlatego, że strzał mój był szybki i celny. Stało się to wtedy, gdy jego głowa spoczywała na mych kolanach, a duch wojownika nie uleciał jeszcze na pola szczęśliwych łowów.

–Dobre to imię. Cios sokoła jest celny. Sokole Oko nie jest babą, czemu żyje z Delawarami?

–Rozumiem cię, Mingo. My jednak uważamy te opowieści za wymysł przewrotnych diabłów hurońskich. Zarzut jest niesłuszny, Delawarzy nie są babami. Gdy byłem chłopcem, Opatrzność boska umieściła mnie wśród Delawarów. Zachowując zwyczaje chrześcijańskiego białego człowieka będę żył i umrę wśród tego szczepu. Nie wyrzekam się praw białego człowieka i będę się starał spełnić obowiązki bladej twarzy w społeczeństwie indiańskim.

–Dobrze! Huron jest tak samo czerwonoskóry jak Delawar. Sokole Oko jest bardziej Huronem niż babą.

–Myślę, Mingo, że wiesz, do czego zmierzasz. Jeśli nie, to chyba jeden szatan wie, o co ci chodzi. Chcesz coś ze mnie wydobyć, mów jaśniej, bo z zamkniętymi oczami i zawiązanymi językami nie zrobimy żadnego interesu.

–Dobrze! Sokole Oko nie ma rozwidlonego języka i lubi mówić, co myśli. Jest znajomym Piżmoszczura (tak Indianie nazywali Huttera) i mieszkał w jego wigwamie. Ale nie jest jego przyjacielem. Nie szuka skalpów jak biedny Indianin, lecz walczy jak mężna blada twarz. Piżmoszczur nie jest ani biały, ani czerwony, ni to zwierzę, ni ryba. To wąż wodny – raz w źródle, raz na łądzie.

Szuka skalpów jak żebrak. Sokole Oko może wrócić do Szczura i powiedzieć mu, że zmylił, czujność Huronów i uciekł. Kiedy oczy Szczura zajdą mgłą i nie będzie widział lasów ze swej chaty... wtedy Sokole Oko otworzy drzwi Huronom. Jak podzielimy łupy? No cóż, Sokole Oko zabierze najwięcej, Huroni wezmą to, co on zostawi. Skalpy mogą pójść do Kanady, bo blada twarz nie ma na nie ochoty.

–Aha, Rozdarty Dębie – tak cię bowiem nazywają, jak słyszę – rozumiem cię dobrze, chociaż mówisz po irokezku. Dobrze cię zrozumiałem i muszę przyznać, że plan jest jeszcze bardziej szatański niż sami Mingowie. Pewnie, nic prostszego jak wrócić i powiedzieć Piżmoszczurowi, że uciekłem stąd, i jeszcze pochwalić się bohaterskim czynem.

–Dobrze! Oto, czego oczekuję od bladej twarzy.

–Tak, tak, sprawa jest jasna. Wiem, czego chcesz ode mnie, ani słowa więcej. Gdy znajdę się w domu Piżmoszczura i będę jadł jego chleb, śmiał się do jego pięknych córek i rozmawiał z nimi, mam okryć jego oczy taką mgłą, żeby nie tylko nie widział brzegu, ale nawet drzwi.

–Dobrze! Sokole Oko powinien był urodzić się Huronem! Tylko połowa jego krwi jest biała!

–Trafiłeś kulą w płuco, Huronie, całkiem tak, jakbyś wziął wilka za lamparta. Mam krew, serce i naturę białego człowieka, choć nabrałem trochę zwyczajów czerwonoskórych. Kiedy oczy starego Huttera zajdą mgłą, jego piękne córki

pograżone będą we śnie, a Hurry Harry'emu, Wielkiej Sośnie – jak wy go nazywacie – przyśni się, czy ja wiem, wszystko, tylko nie zdrada, kiedy wszyscy zasną spokojni, że wierny Sokole Oko czuwa, nic innego nie będę miał do roboty, jak zatknąć w widocznym miejscu pochodnię – hasło dla wroga, a potem otworzyć drzwi i wpuścić Huronów, aby śpiącym dali po głowie.

–Mój brat na pewno się pomylił – mój brat n i e może być białym! Jest godzin być wielkim wodzem Huronów!

–Tak by było, gdyby Sokole Oko zrobił to, czego chcesz. Posłuchaj, Huronie, a przynajmniej raz usłyszysz parę uczciwych słów z ust szczerego człowieka. Urodziłem się chrześcijaninem, ludzie zaś mego pochodzenia, którzy słuchali tych samych słów wiary co ich ojcowie, nigdy nie będą zdolni do takiej podłości. Na wojnie wolno chwycić się podstępów, ale podstępu, zdrady i oszustwa wobec przyjaciół mogą się dopuścić tylko diabły bladych twarzy. Wiem, że wielu jest białych, których postępowanie mogło wprowadzić cię w błąd co do naszej natury, ale tacy ludzie gwałcą prawa białego człowieka i są wyrzutkami społeczeństwa i hultajami. Żadna uczciwa blada twarz nie zrobi tego, czego chcesz ode mnie. Pozwól, że szczerze ci powiem – moim zdaniem nie zrobi tego także uczciwy Delawar. Inna sprawa, jeśli chodzi o Minga.

Huronowi odprawa Pogromcy wyraźnie nie przypadła do smaku. Miał jednak na oku pewien cel i nie dawał jeszcze za wygraną, a był za sprytny, aby nie pohamować swej niechęci. Uśmiechał się nawet i pilnie słuchał, a potem chwilę pomyślał.

–Czy Sokole Oko lubi Piżmoszczura? – nagle zapytał. – A może kocha jego córki?

–Ani jedno, ani drugie, Mingo. Stary Tom nie jest człowiekiem, który mógłby zyskać mą przyjaźń. Co się tyczy córek – dziewczęta są tak ładne, że podobają się każdemu młodzieńcowi. Coś jednak stoi na przeszkodzie zbyt wielkiej miłości do nich. Hetty to zacna dusza, ale natura położyła ciężką rękę na jej głowie. Biedna dziewczyna!

–A Dzika Róża?! – zawołał Huron. Sława pięknej Judyty znana była nie tylko białym mieszkańcom pogranicza, lecz dotarła również do tych, którzy wędrują puszcza, drogami orlich gniazd, skał i zwalonych, drzew – słowem, również dzicy słyszeli o pięknej dziewczynie. – A Dzika Róża? Czy nie jest dość słodka, aby zabiło dla niej serce mego brata?

Pogromca Zwierząt był zbyt prawym człowiekiem, aby rzucić cię na dobre imię bezbronnej dziewczyny. Nie chcąc skłamać milczał. Huron nie zrozumiał powodu milczenia Pogromcy i myślał, że przyczyną niechęci jest zawiedziona miłość. Nie tracąc nadziei, że zdoła jeńca przekupić i że zdobędzie skarby, jakimi jego wyobraźnia wypełniała zamek, nacierał dalej.

–Sokole Oko mówi z przyjacielem. Wie, że Rozdarty Dąb ma swoje słowo, bo handlował z nim, a handel otwiera duszę. Mój przyjaciel przyszedł tu, gdyż pewna dziewczyna trzymała w ręce sznurek, który może przyciągnąć najmocniejszego wojownika, prawda?

–Od chwili, gdy zaczęliśmy rozmawiać, teraz dopiero zbliżyłeś się do prawdy, Huronie. Tak. Tylko że jeden koniec tego sznurka nie był przywiązany do mojego serca, a drugi nie był w ręku Dzikiej Róży.

–To dziwne! Czyżby mój brat kochał głową a nie sercem? Czy Słaba Głowa może tak silnie ciągnąć na sznurku takiego mocnego, wojownika?

–Masz tobie. Raz trafisz, a dwa razy się pomylisz! Sznurek jest przywiązany do serca pewnego wielkiego Delawara, właściwie Mohikanina z pochodzenia, który żyje z Delawarami od czasu, kiedy jego szczep poszedł w rozsypkę. Mówię o Chingachgooku, czyli Wielkim Wężu z rodziny Unkasów. Przybył tu, idąc za sznurkiem, a ja za nim, a właściwie przyszedłem przed nim: ciągnęła mnie tu nić przyjaźni. Nić to dość mocna dla tych, co nie skąpią swych uczuć i żyją nie tylko dla siebie, ale i dla swych bliźnich.

–Každy sznur ma dwa końce – jeden jest przywiązany do serca Mohikanina, a drugi?...

–Ba, drugi był tu, przy ognisku jeszcze pół godziny temu. Wah-ta-Wah trzymała go w ręce, jeśli nie przyciskała do serca.

–Rozumiem, co mój brat chce powiedzieć – z powagą odparł Indianin, który teraz dopiero znalazł klucz do wydarzeń tej nocy. – Wielki Wąż jest bardzo silny, pociągnął mocno i Cyt musiała nas opuścić.

–Nie sądzę, aby trzeba było ciągnąć zbyt mocno – odparł myśliwy i jak zwykle zaśmiał się cicho i tak ochoczo, jakby nie był jeńcem pod grozą tortur i śmierci. – Niechże cię Bóg ma w swej opiece, Huronie! Toć on ją kocha, a dziewczyna jest mu wzajemna. Na nic się zdały podstępny Huronów – rozłaka musiała się skończyć, gdy dwa serca tak bardzo do siebie Ignęły.

–Sokole Oko i Chingachgook tylko w tym celu przyszli do naszego obozu?

–To jest pytanie i odpowiedź, Mingo. Gdyby pytanie mogło mówić, samo by ci odpowiedziało i wszystko byś wiedział. A po cóż jeszcze mielibyśmy tu przychodzić? A jednak nie jest to ścisła prawda, bo wcale nie byliśmy w waszym obozie, doszliśmy tylko do tej sosny, którą widzisz po drugiej stronie pagórka. Staliśmy tam sobie i obserwowaliśmy was tak długo, jak nam się żywnie podobało. Kiedy byliśmy gotowi, Wąż dał znak i wszystko poszło jak z płatka do chwili, gdy ten oto łapserdak wskoczył mi na plecy. Oczywiście, przyszliśmy tylko po to i po nic innego –

osiągnęliśmy swój cel, nie przeczę. Cyt uszła z mężczyzną, który jest prawie jej mężem i cokolwiek stanie się ze mną, jedna sprawa dobrze została załatwiona.

–Jaki znak powiedział dziewczynie, że jej kochanek jest blisko? – zapytał stary Huron z większą ciekawością niż zwykle.

Pogromca Zwierząt roześmiał się z wielkim zadowoleniem z powodzenia wyprawy, jakby sam nie padł jej ofiarą. – Wasze wiewiórki to prawdziwe nocne Marki, Mingo! – zawołał, wciąż się śmiejąc. – I to jakie! Kiedy inne wiewiórki dawno już są w domu i śpią, wasze biegają jeszcze po drzewach i podśpiewują w taki sposób, że nawet delawarska dziewczyna rozumie ich piosenkę. Otóż są wiewiórki czworonożne i są dwunogie. Nie masz pojęcia, co się dzieje, jeśli te na dwóch nogach mają związane serca mocnym sznurem. Gdy się spotykają, jedna mówi drugiej, kiedy ma mocno pociągnąć za sznurek.

Huron czuł się pogwałcony, ale udało mu się zdusić w sobie gwałtowny gniew, który go ogarnął. W chwilę potem zostawił jeńca, wrócił do reszty wojowników i pokrótce powtórzył im wszystko, czego się dowiedział. Podobnie jak Dąb, inni też doznali mieszanych uczuć podziwu i gniewu, że nieprzyjaciele byli tak mężni i odnieśli wielkie zwycięstwo. Trzech czy czterech wyszło na pagórek, gdzie obejrzeni drzewo, pod którym, jak słyszeli, ukryli się napastnicy, a jeden z wojowników zbadał nawet odciski stóp wokół korzeni drzewa, aby się upewnić, czy zeznania jeńca odpowiadają prawdzie. Wyniki badań potwierdziły słowa myśliwego. Wszyscy wrócili do ogniska z jeszcze większym podziwem i szacunkiem dla Pogromcy. Przed chwilą, kiedy jeszcze dwaj przyjaciele śledzili obóz, przybył tu goniec z jakąś wiadomością od oddziału Mingów, stojącego bardziej na północ. Teraz wysłano go z odpowiedzią; niewątpliwie zaniósł też wiadomość o ostatnich wydarzeniach.

Do tej chwili młody Indianin, którego Pogromca widział w towarzystwie Cyt i drugiej dziewczyny, nie okazywał chęci do rozmowy z myśliwym. Trzymał się z dala nawet od swych przyjaciół, przechadzając się koło gromadki młodych kobiet, które skupiły się jak zwykle, na boku i po cichu rozmawiały o ucieczce swej niedawnej towarzyszki. Będziemy najbliżsi prawdy, jeśli powiemy, że dziewczęta i cieszyły się, i martwiły tym, co się stało. Ich sympatie kobiece były po stronie kochanków, a uczucie dumy rodowej żądało zwycięstwa szczepu. Być może, że uroda Cyt była niebezpieczna dla młodszych kobiet hurońskich i te na pewno się nie martwiły, że Delawarka nie stanie już na drodze ich powodzenia. W sumie przeważała sympatia do Wah-ta-Wah. Ani bowiem prymitywne warunki ich życia, ani klanowe przesady plemienne, ani ciężki los kobiet indiańskich nie zmogły zupełnie ich tęsknot kobiecych. Jedna z dziewcząt podśmiewała się nawet z nieszczęśliwej miny kawalera, który widocznie uważał się za porzuconego kochanka. To dodało mu energii i skłoniło do tego, że podszedł do pnia, na którym siedział jeńiec i suszył swe ubranie.

–Oto Lampart – powiedział Indianin uderzając się chępliwie w nagą pierś, co

świadczyło, że imię swe uważa za coś niezmiernie cennego.

–Oto Sokole Oko! – spokojnie odparł Pogromca Zwierząt przyjmując imię, pod którym miał być w przyszłości znany przez wszystkie szczepy irokezkie. – Mój wzrok jest bystry, a czy skok mego brata jest długi?

–Stąd do wiosek delawarskich. Sokole Oko ukradł mi żonę, niech ją odda, bo inaczej jego skalp zawiśnie na palu i będzie się suszył w mym wigwamie.

–Sokole Oko niczego nie ukradł, Huronie. Nie pochodzi ze złodziejskiego szczepu i nie umie kraść. Twoja żona, jak nazywasz Wah-ta-Wah, nigdy nie będzie żoną czerwonoskórego z Kanady. Jej myśl jest w chacie pewnego Delawara, a jej ciało poszło teraz połączyć się z myślą. Lampart jest szybki, wiem o tym, ale jego nogi nie dotrzymają kroku pragnieniom kobiety.

–Wąż Delawarów jest psem. Jest nędzną minogą, która chowa się w wodzie. Wąż boi się stanąć na ubitej ziemi, jak przystało dzielnemu Indianinowi.

–Ejże, Huronie, bezczelny to ty jesteś. Przecież nie minęło pół godziny, jak Wąż stał o sto stóp od ciebie. I kiedy mu cię pokazałem, byłby kulą zmierzył, czy masz grubą skórę, gdybym na jego ramieniu nie położył ręki cięższej o odrobinę rozwagi. Lamparcim miauczeniem możesz napędzić pietra strachliwym dziewczętom z osady – uszy mężczyzny potrafią odróżnić prawdę od kłam. stwa.

–Wab śmieje się z niego! Widzi, że to kuternoga i nędzny myśliwy, który nigdy nie był na ścieżce wojennej. Wyjdzie za mężczyznę, a nie za osła.

–Skąd wiesz o tym, Lamparcie? – zapytał śmiejąc się Pogromca Zwierząt. – Widzisz, poszła na jezioro, bo woli pstrąga niż wyleniałego kota. Zarówno Wąż jak i ja przyznajemy, że nie mamy wielkiego doświadczenia na ścieżce wojennej. Jeśli uważasz, że dziś nie weszliśmy na ścieżkę wojenną, zgódź się, że jeden z nas wszedł na drogę do małżeństwa, jak to nazywają dziewczęta z osad. Posłuchaj mej rady, Lamparcie, i poszukaj sobie żony wśród Huronek. Żadna Delawarka nie wyjdzie za ciebie z dobrej woli.

Lampart sięgnął po tomahawk. Gdy dotknął rękoności, palce zadrżały mu, jakby się wahał między rozwagą i gniewem. W tej krytycznej chwili nadszedł Rozdarty Dąb i władczym gestem nakazał młodzieńcowi odejść, sam zaś jak przedtem usiadł na pniu obok Pogromcy Zwierząt. Chwilę milczał z godnością i powagą indiańskiego wodza.

–Sokole Oko ma słuszność – zaczął wreszcie. – Wzrok jego jest tak silny, że widzi prawdę w mroku nocy. My byliśmy ślepi. On jest sową, nic nie ukryje się przed nim w ciemności. Nie powinien bić swych przyjaciół. On ma rację.

–Cieszy mnie, że tak myślisz, Mingo. W mych oczach zdrajca jest gorszy niż tchórz.

Piżmoszczur obchodzi mnie nie więcej niż każdy inny biały człowiek, ale nie mógłbym go zdradzić, tak jak tego chciałeś. Krótko mówiąc uważam, że każda zdrada – z wyjątkiem forteli w otwartej wojnie – sprzeciwia się prawu i temu, co biali nazywają Ewangelią.

–Mój bladolicy brat ma słuszość. Nie jest Indianinem i nie powinien zapominać o swym Manitou i swym kolorze skóry. Huroni wiedzą, że ich jeniec jest wielkim wojownikiem, i tak też go potraktują. Jeśli poddadzą go torturom, będą to męczarnie, jakich zwykły człowiek by nie zniósł. Jeśli uznają za przyjaciela, zyska przyjaźń wodzów.

Huron wygłaszając to osobliwe zapewnienie o szacunku dla jeńca spojrzał ukradkiem na twarz słuchacza, chciał bowiem wiedzieć, jak został przyjęty jego komplement. Mówił z taką powagą i dobrze udaną szczerością, że tylko człowiek obyty z indiańskimi sztuczkami mógł się domyślić jego właściwych intencji. Pogromca Zwierząt nie należał do ludzi podejrzliwych, ale wiedział, co Indianie uważają za szacunek do jeńców i dlatego oświadczenie Dęba zmroziło mu krew w żyłach. Zachował jednak tak niewzruszone oblicze, że jego bystry wróg nie zauważył na nim śladu słabości.

–Bóg oddał mnie w wasze ręce, Huronie – odparł wreszcie – i zrobicie ze mną, co będziecie chcieli. Nie będę się chwalił, jak zachowam się w czasie tortur, bo nie przeszedłem jeszcze tej próby, i nie należy uprzedzać faktów. Ale postaram się usilnie nie zrobić zawodu tym, którzy mnie wychowali. Cokolwiek się stanie, biorę cię za świadka, że jestem białym człowiekiem i że taka też jest moja natura. Jeśli więc ulegnę i zapomnę się w czasie tortur, proszę, abyście winę przypisali mnie, a w żadnym razie nie Delawarom lub ich sprzymierzeńcom i przyjaciołom, Mohikanom. Każdemu z nas przyrodzone są te lub inne słabości. Obawiam się, że blada twarz może nie znieść ciężkich męczarni, podczas gdy czerwonoskóry będzie śpiewał i chwalił swe czyny na pohybel swym wrogom.

–Ano zobaczymy, Sokole Oko ma tęgą minę i jest zahartowany. Ale dlaczego mielibyśmy go torturować, kiedy go lubimy? Nie urodził się wrogiem Huronów. Śmierć jednego wojownika nie może rozdzielić nas chmurą na zawsze.

–Tym lepiej, Huronie, tym lepiej. Nie chciałbym jednak niczego zawdzięczać nieporozumieniu. Cieszę się bardzo, że nie żywicie do mnie urazy o stratę wojownika, który padł na wojnie. Ale nie jest prawdą, że nie ma między nimi nieprzyjaźni – sprawiedliwej wrogości. Jeśli żywię uczucia indiańskie, są to uczucia delawarskie. Sam więc osądź, czy mogę być przyjacielem Mingów...

Pogromca Zwierząt urwał nagle, gdyż wydało mu się, że ujrzał upiora, i na chwilę zwątpił w swój wzrok, z którego, tak był dumny. Hetty Hutter stała przy ognisku z miną tak spokojną, jakby należała do szczepu Huronów.

Kiedy przed chwilą myśliwy i Indianin śledzili wzajemnie uczucia, jakie zdradzały ich twarze, dziewczyna niepostrzeżenie podeszła do ogniska. Wylądowała zapewne na południowym brzegu przylądka w miejscu położonym najbliżej arki i podeszła do ogniska z naiwną ufnością, co prawda usprawiedliwioną sposobem, w jaki obeszli się z nią Indianie w czasie jej pierwszego pobytu w obozie. Rozdarty Dąb od razu poznał Hetty, zawołał więc paru młodych wojowników i wysłał ich na zwiady, aby sprawdzili, czy pojawienie się Hetty nie jest zapowiedzią nowej napaści na obóz. Następnie dał dziewczynie znak, aby podeszła.

–Sądzę, że twoje przybycie tutaj, Hetty, oznacza, że Wąż i Cyt uszli bezpiecznie – powiedział Pogromca, gdy dziewczyna spełniła polecenie Hurona. – Nie przypuszczam, abyś po raz drugi przybyła tu w tym samym celu.

–Tym razem kazała mi tu przyjść Judyta – odparła Hetty. – Sama przywiozła mnie czółnem, gdy tylko Wąż przedstawił jej Cyt i opowiedział, jak to było. Cyt jest dziś taka ładna, Pogromco Zwierząt, i wygląda na bardzo szczęśliwą, jakże inaczej niż w obozie Huronów.

–Taka jest natura ludzka, dziewczyno. Jest ze swym narzeczoną i już się nie obawia, że zostanie żoną Minga. Myślę, że nawet uroda Judyty by zbladła, gdyby dziewczyna miała przypaść Mingowi. Zadowolenie podnosi urodę, a ręczę, ci, że Cyt bardzo jest rada, że wyrwała się z rąk tych łajdaków i znów jest ze swym ulubionym wojownikiem. Powiedziałaś, zdaje się, że przysłała cię tutaj siostra, prawda. Co ją do tego skłoniło?

–Prosiła mnie, żebym cię odwiedziła i namówiła dzikich, aby wzięli więcej figurek szachowych za twoją wolność. Ale ja wzięłam ze sobą Biblię, która na pewno więcej zdziała niż wszystkie słonie z tatusiowej skrzyni.

–Czy ojciec i Hurry wiedzą o twojej wyprawie, moja dobra, mała Hetty?

–Nic nie wiedzą. Obaj śpią. Judyta i Wąż uważali, że lepiej ich nie budzić, bo znów chcieliby się wyprawić po skalpy, gdyż Cyt powiedziała im, jak mało wojowników jest w obozie, a jak dużo kobiet i dzieci. Judyta nie dawała mi spokoju, musiałam więc przybyć tutaj i zobaczyć, co się z tobą dzieje.

–Hm, to dziwne! Czemu Judyta tak się o mnie niepokoi? Aha, już wiem, już wszystko rozumiem. Trzeba ci wiedzieć, Hetty, że widocznie twoja siostra boi się, by Hurry March się nie obudził i znów nie dał się głupio złapać Mingom, gdy strzeli mu do głowy, że jako mój towarzysz podróży powinien przyjść mi z pomocą. Hurry często robi głupstwa, muszę to przyznać. Ale nie sądzę, aby dla mnie narażał się na takie niebezpieczeństwo.

–Judyta nie dba o Hurry'ego, choć on ją kocha – odparła Hetty z niewinną miną,

lecz bardzo stanowczo.

–Już raz mi to mówiłaś, dziewczyno, ale to nieprawda. Kto mieszkał w wiosce indiańskiej, musiał widzieć, jak miłość rozwija się w sercu kobiety. Choć sam wcale się nie chcę żenić, napatrzyłem się u Delawarów różnych spraw sercowych. Wiem, że serca kobiety bladolicej i czerwonoskórej są do siebie podobne. Gdy młoda kobieta się zakocha, chodzi zamyślona i nie chce widzieć ani słyszeć

nikogo, tylko wojownika, który wypełnia jej marzenia. Potem jest smutna, wzdycha i tak dalej. A potem, zwłaszcza jeśli nie dojdzie do szczerzej rozmowy, dziewczyna wygaduje na młodzieńca i wymawia mu różne wady, które zresztą raczej jej się podobają. Niektóre młode stworzenia w ten sposób okazują swą miłość. Zdaje mi się, że Judyta jest właśnie taka. Widzisz, słyszałem, jak twoja siostra twierdziła, że Hurry nie jest przystojny. Dziewczyna, która mogła to powiedzieć, musi być bardzo zakochana.

–Młoda kobieta, która by kochała Hurry'ego, musiałaby przyznać, że jest ładnym chłopcem. Ja uważam, że Hurry jest bardzo przystojny i każdy, kto ma oczy do patrzenia, musi być tego samego zdania. Judyta nie kocha Harry Marcha i dlatego widzi tylko jego wady.

–Dobrze, już dobrze, moja dobra, mała Hetty niech ci będzie. Możemy tak mówić do zimy i każdy zostanie przy swoim – szkoda każdego słowa. Jestem święcie przekonany, że Judyta świata nie widzi poza Hurry'm i że. prędzej czy później wyjdzie za niego. Upewnia mnie w tym przekonaniu fakt, że źle o nim mówi. Wiem – zdaje ci się, że jest wprost przeciwnie. Ale uważaj, co ci teraz powiem, i zachowaj się, jakby nigdy nic. – Tak mówił ten człowiek dziwnie niepojętny w sprawach, w których mężczyźni okazują zwykle aż nadto domyślności. Bił za to wszystkich na głowę swą przenikliwością w innych sprawach. – Widzę, co knują te łapserdaki. Rozdarty Dąb, uważasz, odszedł i teraz rozmawia tam z młodymi wojownikami. Choć nie mogę dosłyszeć jego głosu, widzę, co im mówi. Chłopcy otrzymali rozkaz śledzenia twych ruchów i wykrycia czółna, które będzie czekało na ciebie. Gdy zaś znajdą czółno, mają łapać kogo i co się da. Żałuję, że Judyta przysłała cię tutaj, i chcę, żebyś zaraz wróciła na arkę.

–Wszystko jest przygotowane, Pogromco Zwierząt – odparła dziewczyna po cichu i tonem poufnym. – Możesz być pewny, że oszukam najmądrzejszego z nich wszystkich. Wiem, że nie jestem zbyt mądra, ale mam trochę oleju w głowie i sam zobaczysz, jaki zrobię z niego użytek, żeby się dostać na arkę, niech tylko załatwię sprawę, w której tu przybyłam.

–Niestety, moje dziewczę, łatwiej to powiedzieć, niż zrobić. To są żmije jadowite, bardzo rozdrażnione po utracie Cyt. Ale cieszę się, że właśnie Wężowi udało się umknąć z Cyt. Teraz przynajmniej ci dwoje są szczęśliwi. Gdyby Wąż wpadł w ręce

Mingów, dwie osoby byłyby nieszczęśliwe, a trzecia też czułaby się kiepsko i nie jak prawdziwy mężczyzna.

–Przypomniałeś mi teraz, Pogromco Zwierząt, o jeszcze jednym celu mej wyprawy, o którym byłabym zapomniała. Judyta kazała mi zapytać się, jak uważasz, co Huroni zrobią z tobą, jeśli nie uda nam się wykupić cię z niewoli, i w jaki sposób mogłaby ci pomóc. Tak, to było moje najważniejsze zadanie – zapytać, co Judyta mogłaby zrobić dla ciebie.

–Dobrze, żeś sobie o tym przypomniała, Hetty, ale nie ma o czym mówić. Młode kobiety przejmują się pewnymi sprawami, bo mają dobre serca. Ale wszystko to głupstwo. Róbcie, jak uważacie, a nade wszystko dobrze pilnujcie czółna, aby nie dostało się w ręce tych łazęgów. Gdy wrócisz, powiedz im, aby byli ostrożni i nie stali w miejscu, szczególnie w nocy. W ciągu najbliższych godzin oddziały wojska, stojące nad rzeką, muszą się dowiedzieć o tym zagonie, indiańskim i przyjść wam na ratunek. Od najbliższego garnizonu dzieli nas zaledwie jeden dzień marszu, a prawdziwi żołnierze nie będą się wylegiwać, gdy wróg jest tak blisko. Radzę więc wam trzymać się jeszcze dzień, a poza tym powiedz ojcu i Hurry'emu, że polowanie na skalpy przestało się opłacać, odkąd Mingowie mają się na baczności, i że do chwili nadejścia wojska jedynym dla nich ratunkiem jest otoczyć się szerokim pasem wody i w ten sposób uchronić się przed napaścią Indian.

–Co mam powiedzieć Judycie o tobie, Pogromco Zwierząt? Wiem że odeśle mnie tu z powrotem, gdy nie przywiozę jej prawdy o tobie,

–Więc powiedz jej prawdę: Dlaczego Judyta nie miała by dowiedzieć się o mnie prawdy? Jestem jeńcem w rękach Indian i jedna Opatrzność wie, jak to się skończy. Słuchaj, Hetty – tu zniżył głos – masz słabą główkę, ale wiesz coś niecoś o Indianach. Jestem w rękach Huronów, zabiłem jednego z ich najdzielniejszych wojowników. Dzicy grożąc mi zemstą usiłowali nakłonić mnie, abym zdradził twego ojca i wszystkich, którzy schronili się na arce. Zrozumiałem tych łotrów tak, jakby mówili bez ogródek. Chcieli wziąć mnie we dwa ognie – wzbudzić we mnie chęć zysku i nastraszyć. Myśleli, że w ten sposób skruszą moją uczciwość. Powiedz jednak ojcu i Hurry'emu, że nie dadzą mi rady. Wąż już o tym wie.

–Ale co mam powiedzieć Judycie? Na pewno odeśle mnie tutaj, jeśli nie uspokoję jej obaw.

–No cóż, powiedz jej to samo – żeby się nie bojała. Na pewno dzicy uciekną się do tortur, aby mnie złamać i pomścić stratę wojownika, ale muszę to wytrzymać i będę się starał przewyciężyć wrodzoną słabość. Możesz powiedzieć Judycie, żeby nie martwiła się o mnie. Będzie to ciężka próba, bo biały człowiek nie umie chwalić się i śpiewać w czasie tortur i traci ducha, gdy cierpi – ale powiedz Judycie, aby nie przejmowała się moim losem. Myślę, że wytrzymam to wszystko. Gdybym się nawet

załamął i okazał niczym więcej, tylko białym człowiekiem – lamentował, wył, a nawet płakał, jednego Judyta może być pewna: nigdy nie upadnę tak nisko, abym miał zdradzić swych przyjaciół. Kiedy dojdzie do przypiekania rozpalonymi w ogniu stemplami od strzelb, siekania nożami mego ciała i wrywania włosów, może zwycięży we mnie natura białego człowieka – będę jęczał i biadał, ale na tym skończy się zwycięstwo tych zbójów. Uczciwego człowieka nic bowiem nie zmusi do zdrady swej rasy i swych obowiązków, chyba że Bóg go opuści i szatanom odda jego duszę.

Hetty słuchała z wielką uwagą, a na jej łagodnej, lecz pełnej wyrazu twarzy malowało się głębokie współczucie dla przyszłych cierpień Pogromcy. Zrazu nie wiedziała, co począć, potem ujęła myśliwego za rękę i nalegała, aby wziął Biblię i czytał ją, gdy dzicy wezmą go na męki. Kiedy młodzieniec skromnie wyznał, że nie umie czytać, ofiarowała się pozostać z nim i osobiście czytać mu Biblię, Pogromca łagodnie odmówił. Rozdarty Dąb szedł ku nim, myśliwy więc poprosił dziewczynę, by odeszła, i jeszcze raz przypomniał, żeby zapewniła wszystkich na arce o jego wierności. Hetty podeszła do grupy kobiet z taką ufnością i pewnością siebie, jakby urodziła się Huronką. Dąb znów przysiadł się do jeńca i zadawał mu pytania z chytrą kutego na cztery nogi Indianina, który zasiadał już na niejednej naradzie wodzów. Pogromca gromił Indianina w sposób najskuteczniejszy nawet wobec perfidnej dyplomacji cywilizowanego świata – mówił po prostu prawdę.

ROZDZIAŁ 18

Tak żyła i tak zmarła. Już jej smutki
I wstyd nie dotkną. Nie była stworzona,
Aby przecierpieć niebaczości skutki,
Od których serce trzeźwiejsze nie kona
I starych dojdzie lat. Jej żywot krótki,
Ale rozkoszny, bo nie przeznaczona
Rozkoszy starości słodko śpi w mogile
Na brzegu, który ukochała tyle.

Byron „Don Juan”

Młodzi wojownicy, wysłani na zwiady po nagłym pojawieniu się Hetty w obozie, wrócili z meldunkiem, że nic nie znaleźli. Jeden z nich doszedł nawet brzegiem do miejsca naprzeciw arki, ale jej nie ujrzał, tak dobrze była ukryta w gęstym mroku. Inni wojownicy zbadali teren w różnych kierunkach. Wszędzie głusza i pustka lasów spowite były ciszą nocy. Indianie doszli do przekonania, że dziewczyna przybyła sama, tak jak za pierwszym razem, i widocznie w podobnym celu. Nie wiedzieli, że arka opuściła zamek. W związku z tym mieli pewne plany, które, być może, w tej chwili były już wykonywane. To jeszcze bardziej umacniało ich poczucie bezpieczeństwa. Wystawili więc strażę i poszli spać.

Irokezi podjęli środki, które uniemożliwiały jeńcowi ucieczkę, lecz nie narażały go na zbędne cierpienia. Hetty pozwolili udać się na spoczynek wraz z dziewczętami indiańskimi i postać sobie możliwie wygodne legowisko. Nie było już Cyt, aby zaopiekowała się białą dziewczyną, ale stan umysłowy Hetty nie tylko chronił ją od wszelkich przykrości niewoli, lecz zapewniał szacunek i opiekę, dzięki czemu mogła urządzić się w obozie niegorzej niż dzikie, lecz miłe jej towarzyszki. Otrzymała skórę i postawiła sobie legowisko na stosie liści, w pewnej odległości od irokezkich chatek. Szybko pograżyła się w głębokim śnie, jak zresztą cały obóz indiański.

W obozie było trzynastu wojowników. Trzech z nich stało na warcie. Jeden stał w cieniu niedaleko ogniska. Miał strzec jeńca i pilnować ognia, aby nie wygasł ani nie płonął zbyt jasno i nie zdradzał ich stanowiska. Wartownikowi temu powierzono też pieczę o całość obozu. Drugi strażnik przechadzał się u nasady przyłądka, od brzegu do brzegu trzeci chodził wolnym krokiem po cyplu, aby nie powtórzyła się

niespodzianka, jaka już raz zdarzyła się tej nocy. Dzicy rzadko uciekali się do tego rodzaju środków bezpieczeństwa, gdyż więcej ufali maskowaniu swych ruchów niż wystawianiu posterunków. Szczególna jednak sytuacja, w jakiej teraz się znajdowali, zmuszała ich do większej niż zwykle ostrożności. Nieprzyjaciel wiedział, gdzie rozbili obóz, nie łatwo zaś było zmienić miejsce postoju w porze przeznaczony na odpoczynek. Poza tym uważali się za bezpiecznych ze względu na to, co jak przypuszczali, dzieje się teraz w północnej części jeziora, gdzie wszystkie znajdujące się na wolności blade twarze i ich jedyny indiański sprzymierzeniec mają dość innych zmartwień. Zapewne Rozdarty Dąb zdawał też sobie sprawę, że ma w rękach najbardziej groźnego ze swych nieprzyjaciół.

Punktualność, z jaką budzą się ludzie przywykli do czuwania lub wstawania w nocy, jest jednym z najciekawszych zjawisk niezbadanego życia ludzkiego. Za ledwie położyłeś głowę na poduszce, już zasnąłeś i zapomniałeś o wszystkim, a jednak o z góry określonej godzinie umysł nagle budzi twe ciało, jakby przez cały czas nad nim czuwał. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że przebudzenie w podobnych wypadkach następuje dzięki wpływowi myśli na materię, ale w jaki sposób to się dzieje, pozostanie zagadką do chwili, w której umysł nasz przeniknie tajemnicę bytu ludzkiego, jeśli chwila taka w ogóle nadejdzie. Tak właśnie obudziła się Hetty Hutter. Aczkolwiek umysł jej był dość słaby, wystarczyło mu sił, aby otworzyć oczy dziewczyny o północy. Hetty obudziła się, wstała z legowiska ze skóry i liści, podeszła swobodnie do ogniska i poruszyła dogasające głownie, noc bowiem była chłodna i dziewczyna w lesie, skąpo okryta na nędznym pościeliu, nieco zmarzła. Płomień strzelił w górę i oświetlił śniadą twarz hurońskiego wartownika, którego ciemne oczy błyszczały w blasku ognia jak ślepią pantery ściganej przez myśliwych z pochodniami aż do jej legowiska. Hetty jednak nie przejęła się i podeszła do Indianina. Ruchy jej. były tak naturalne i niczym nie przypominały skradania się osoby podstępnej i zdradliwej, że wartownik wcale się nie zdziwił. Pomyślał tylko, że dziewczyna wstała, bo przejął ją chłód nocy i chce się zagrzać, co na biwaku jest rzeczą tak naturalną, że nie może wzbudzić podejrzeń. Hetty przemówiła do niego – nie rozumiał po angielsku. Popatrzyła chwilę na śpiącego jeńca i wolno odeszła z bardzo smutną miną.

Szła śmiało i wcale nie starała się ukryć. Nie była zdolna do chytrych podstępów, stąpała jednak jak zwykle lekko i ledwie było słyhać jej kroki. Skierowała się ku skrajowi przylądka, tam gdzie wylądowała w czasie swej pierwszej wyprawy i gdzie Cyt wsiadła z Wężem do czółna. Wartownik ujrzał, jak jej smukła sylwetka niknie w mroku, ale wcale go to nie zaniepokoiło i nie ruszył się z miejsca. Wiedział, że jeszcze dwóch wojowników stoi na warcie, i nie podejrzewał, aby dziewczyna, która dwa razy dobrowolnie przybyła do obozu, a raz jawnie go opuściła, teraz chciała uciekać. Słowem, Indianin nie zwrócił na zachowanie Hetty większej uwagi, niż w społeczeństwie cywilizowanym zwraca się na osoby upośledzone umysłowo, miał tylko do niej więcej szacunku, niż my okazujemy tego rodzaju osobom.

Hetty nie bardzo orientowała się w terenie, ale trafiła na południowy brzeg przylądka. Idąc nad wodą na zachód, doszła do cypla i natknęła się na wartownika, który spacerował po brzegu. Był to młody wojownik. Gdy usłyszał chrzęst żwiru pod lekkimi stopami dziewczyny, podbiegł do niej, ale najwyraźniej bez żadnych złych zamiarów. Było tak ciemno, że w cieniu drzew nie łatwo było zauważyć sylwetkę ludzką na odległość dwudziestu stóp, a kto to jest – można było rozpoznać na odległość ramienia. Młody Huron był wyraźnie zawiedziony, gdy ujrzał Hetty. Trzeba bowiem powiedzieć, że czekał na swą miłą, która obiecała przyjść o północy, aby mu się nie nudziło na posterunku. Młodzieniec też nie znał angielskiego, ale bez trudu zrozumiał, czemu dziewczyna nie śpi o tak późnej porze. Był to normalny objaw we wsi czy obozie indiańskim, gdzie sen, podobnie jak posiłki, nie jest regularny. Niedorozwój umysłowy Hetty i tym razem przyszedł jej z pomocą. Zły, że doznał zawodu, i chcąc jak najprędzej pozbyć się nieproszonego gościa, młody wojownik dał Hetty znak ręką, żeby sobie poszła dalej wzdłuż brzegu. Hetty usłuchała. Odchodząc przemówiła do wartownika po angielsku. Jej miły głos słychać było w ciszy nocy dość daleko.

–Jeśli wzięłeś mnie za Huronkę, wojowniku – powiedziała – nic dziwnego, żeś się rozczarował. Jestem Hetty Hutter, córka Tomasza Huttera, i nigdy nie spotkałam się z mężczyzną w nocy, bo mamusia zawsze mówiła, że to bardzo nieładnie i że skromna panienka nigdy tego nie robi, skromna blada twarzyczka, oczywiście. Wiem, że w różnych częściach świata różne bywają zwyczaje. Nie, nie. Jestem Hetty Hutter i nie spotkałabym się nawet z Hurry Harry'm, choćby błagał mnie o to na kolanach. Mamusia mówiła, że to brzydko.

Mówiąc to Hetty doszła do miejsca, gdzie przedtem czółna przybiły do lądu. Dzięki łukowi brzegu i zaroślom miejsce to byłoby niewidoczne dla wartownika nawet w jasny dzień. Ucho kochanka złowiło szelest innych kroków. Nie mógł już słyszeć srebrzystego głosu Hetty. Hetty jednak, w wiadomym sobie celu, mówiła dalej cichym głosem, który nie docierał w głąb lasu, za to biegł dalej po powierzchni wody.

–Jestem tutaj, Judyto – mówiła Hetty – nikogo nie ma w pobliżu. Wartownik huroński poszedł na schadzkę ze swoją ukochaną, wiesz, Indianką, która nie miała mamusi chrześcijanki i nie wie, że to bardzo brzydko w nocy spotykać się z chłopcem.

Przerwało jej „pst”, które dobiegło od strony jeziora. Hetty ujrzała niewyraźny' zarys czółna, zbliżającego się bez szmeru do brzegu. W chwilę potem dziób czółna zaszeleścił po piasku. Hetty wsiadła i czółno natychmiast odbiła w tył, nie nawracając, jakby samo wiedziało, o co chodzi, i bardzo się śpieszyło. Kiedy znalazło się w odległości stu jardów od brzegu, nawróciło i zataczając szeroki łuk, aby nałożyć drogi i znaleźć się poza zasięgiem głosu ludzkiego, skierowało się ku arce. Przez jakiś czas cisza panowała w czólnie. Gdy już znalazły się tak daleko od brzegu, że można było swobodnie rozmawiać, Judyta, która siedziała przy sterze i dawała

sobie radę z czólnem niewiele gorzej niż mężczyzna, pierwsza przemówiła, od chwili bowiem spotkania z Hetty pilno jej było do tej rozmowy.

–Tu jesteśmy bezpieczne, Hetty – powiedziała – i możemy mówić bez obawy, że ktoś nas usłyszy. Mów jednak cicho, bo w spokojną noc woda daleko niesie głos. Byłam chwilami tak blisko w czasie twego pobytu w obozie, że słyszałam głosy wojowników, a gdy nadchodziłaś, zanim się odezwałaś, słyszałam, jak szłaś po żwirze.

–Huroni chyba nie wiedzą, że uciekłam, Judyto.

–Pewnie nie wiedzą, bo zakochany wartownik źle widzi, chyba że wypatruje swej panny. Ale mów, Hetty – widziałas Pogromcę Zwierząt i rozmawiałaś z nim?

–O tak, siedział przy ognisku ze związanymi nogami, ale ręce zostawili mu wolne i mógł nimi ruszać, jak chciał. – No tak, a co ci powiedział, siostrzyczko? Mów prędko; umieram z ciekawości, co kazał mi powiedzieć.

–Co mi powiedział? Hm, wyobraź sobie, Judyto, powiedział mi, że nie umie czytać. Pomyśl tylko, biały człowiek i nawet nie umie przeczytać Biblii! Widocznie nigdy nie miał ani matki, ani siostry!

–To głupstwo, Hetty. Nie wszyscy muszą umieć czytać. Nasza matka dużo wiedziała i wiele nas nauczyła, ale ojciec, jak wiesz, nie bardzo wyznaje się na książkach i ledwie czyta Biblię.

–Też coś! Nigdy nie uważałam, że ojcowie powinni umieć dobrze czytać, ale matki muszą, inaczej, jakże uczyłyby swe dzieci? Wierz mi, Judyto, Pogromca Zwierząt nigdy nie miał matki, jeśli dziś nie umie czytać.

–Czy powiedziałaś mu, że to ja cię posłałam i że się bardzo o niego niepokoję? – niecierpliwie zapytała Judyta.

–Chyba tak, Judyto. Ale wiesz, że mam słabą głowę, mogłam zapomnieć. Powiedziałam mu, że ty przywiozłaś mnie czólnem. Kazał mi powtórzyć ci dużo różnych rzeczy. Wszystko dobrze zapamiętałam, bo zimny dreszcz mnie obleciał, gdy go słuchałam. Kazał mi to powiedzieć przyjaciółom – a ty chyba należysz do jego przyjaciół, siostro?

–Jak możesz tak mnie męczyć, Hetty! Oczywiście, należę do najlepszych przyjaciół, jakich. Pogromca ma na świecie.

–Męczyć! Tak, teraz wszystko mi się przypomniało. Dobrze, żeś użyła tego słowa, bardzo mi pomogło. Powiedział, że dzicy mogą go wziąć na męki, lecz postara się znieść je tak, jak przystoi białemu człowiekowi i chrześcijaninowi, i żebyście i się nie

bojali... Czemu Pogromca Zwierząt mówi: „bojali”? Mamusia zawsze mówiła: „bali się”. –

–Dajże spokój, droga Hetty, nie o to teraz chodzi! – zawołała Judyta, nie mogąc złapać tchu ze wzruszenia. – Czy na pewno Pogromca Zwierząt powiedział, że dzicy mogą go wziąć na męki? Dobrze sobie przypomnij, Hetty, to bardzo ważne i to byłoby straszne.

–Tak, na, pewno. Przypomniało mi się, gdyś powiedziała, żebym cię nie męczyła. Och, bardzo mi go było żal. Zachował się przy tym z takim spokojem i wcale nie krzyczał! Pogromca, Judyto, nie jest taki przystojny jak Hurry Harry, ale jest spokojniejszy.

–Wart jest miliona takich jak Hurry! Tak, wart jest więcej niż wszyscy młodzieńcy, jacy kiedykolwiek pokazali się nad naszym jeziorem – powiedziała Judyta tak stanowczo, że aż zdziwiło to jej siostrę, – Jest szczery. Nie ma -w nim odrobiny fałszu. T y nie wiesz, co to znaczy, gdy mężczyzna jest szczery, a gdy się dowiesz... Nie, nigdy się nie dowiesz. Nie, ty nigdy nie zaznasz goryczy kłamstwa i nienawiści.

Judyta ukryła twarz w dłoniach i załkała. Było jednak tak ciemno, że tylko oko Wszechmocnego mogło ją widzieć. Dziewczyna szybko opanowała wzruszenie i mówiła dalej spokojnie. Wobec siostry, była szczerą, wiedziała bowiem, że Hetty ją zrozumie, i miała do niej zaufanie. Głos Judyty jednak nie był już tak czysty i żywy jak przed chwilą – mówiła głosem niskim i ochrypłym.

–Źle to bardzo, jeśli ktoś lęka się prawdy, Hetty – powiedziała.– a przecież więcej boję się prawdy z ust Pogromcy, niż się obawiam wrogów. Na nic się zdadzą wykręty wobec szczerości, uczciwości, surowej prawości tego człowieka. Ale czy mogłabym porównać się z Pogromcą? Powiedz, siostro, czy on jest znacznie lepszy ode mnie?

Judyta nie miała zwyczaju zniżać się do poziomu swej siostry i pytać jej o zdanie. Nieczęsto też nazywała Hetty siostrą, zazwyczaj bowiem w ten sposób zwraca się tylko młodsza siostra do starszej, nawet wtedy gdy pod każdym innym względem są sobie równe. Drobne odstępstwa od przyjętych form bardziej zwracają uwagę niż znaczna zmiana w czyimś postępowaniu. Dlatego Hetty zauważyła zmianę tonu Judyty i przyjęła ją z naiwnym zdziwieniem. Pytania starszej siostry pochlebiali jej ambicji. Odpowiedziała w sposób równie niezwykły, jak nieoczekiwane były pytania. Biedactwo jednak chciało dać odpowiedź przekraczającą jej siły umysłowe.

–Lepszy od ciebie, Judyto! – zawołała z dumą. – Pod jakim względem Pogromca Zwierząt miałby być lepszy od ciebie? Czy ty nie miałaś matki?... Czy on umie czytać?... Czy na całym kontynencie amerykańskim znalazłaby się kobieta równa naszej mamie? Pogromcy nie tylko daleko do ciebie, ale wątpię, czy mógłby uważać się za coś lepszego ode mnie. Ty jesteś ładna, a on jest brzydki...

–Nie, nie brzydki – przerwała Judyta. – Nie jest tylko piękny. Ale jego zacna twarz to więcej niż uroda. W moich oczach Pogromca Zwierząt jest przystojniejszy niż Hurry Harry.

–Judyto Hutter! Ty mnie przerażasz. Hurry jest najprzystojniejszym człowiekiem w świecie – nawet ładniejszym od ciebie, bo widzisz, uroda mężczyzny więcej znaczy niż uroda kobiety.

Niewiniątko zdradziło tutaj, swój gust, co wcale nie spodobało się starszej siostrze, która nie myślała ukrywać, co o tym sądzi.

–Hetty, mówisz głupstwa i lepiej zostaw już ten temat w spokoju. Hurry wcale nie jest najprzystojniejszym mężczyzną w świecie. W najbliższym gar... – Judyta zająknęła się -...nizonie są oficerowie bez porównania przystojniejsi od Marcha. Ale czemu uważasz, że jestem równa Pogromcy Zwierząt? Mów o tym, nie mogę słuchać twoich zachwyków nad takim człowiekiem jak Hurry Harry – gburem, bez serca i bez sumienia. Ty, jesteś za dobra dla niego i trzeba mu to powiedzieć.

–Jak! Co ty mówisz! Przecież nie jestem ładna i mam słabą głowę.

–Ty jesteś dobra, czego nie można powiedzieć o Henryku Marchu który może ma ładną twarz i piękną postawę, ale nie ma serca. Dość o tym na dziś. Powiedz mi, dzięki czemu jestem równa Pogromcy Zwierząt?

–Mnie o to pytasz, Judyto! Pogromca nie umie czytać, ty umiesz.

–To prawda, jestem bardziej wykształcona, raczej ładniejsza od niego – moje ambicje mogłyby sięgać wyżej, ale jego szczerość, niezwykle umiłowanie prawdy stwarza przepaść między nami. Nie mówmy już o tym. Zastanówmy się, jak wydostać go z rąk Huronów. Mamy na arce skrzynię ojca, może znajdziemy więcej słoni i uda nam się skusić dzikich. Boję się jednak, że te zabawki nie mogą stanowić ceny wolności takiego mężczyzny jak Pogromca Zwierząt. Obawiam się również, że ojciec i Hurry nie będą tacy skorzy do wykupienia Pogromcy, jak skory był on, gdy szło o ich skórę.

–Dlaczego nie, Judyto? Przecież Hurry i Pogromca są przyjaciółmi, a przyjaciele winni sobie pomagać.

–Niestety, biedna Hetty, nie znasz ludzi! Fałszywi przyjaciele są często bardziej niebezpieczni niż jawni wrogowie, zwłaszcza dla kobiet. Rano znów wyjdiesz na brzeg i zobaczysz, w jaki sposób można by pomóc Pogromcy. Torturować go nie będą – póki żyje Judyta Hutter i może temu zapobiec:

Nastąpiła teraz bezładna rozmowa, która trwała tak długo, aż starsza siostra wyciągnęła z młodszej wszystko, co nie bardzo mądra dziewczyna pamiętała i umiała

powtórzyć. Gdy ciekawość Judyty została zaspokojona – chociaż, prawdę mówiąc, nigdy by to nie nastąpiło, tak bardzo zajmował ją ten temat, powiedzmy więc inaczej – gdy Judyta wyczerpała już wszystkie pytania i mogła je tylko powtarzać, skierowała czółno ku arce. W gęstym mroku nocy i w ciemnościach, jakie panowały przy brzegu, trudno było odnaleźć arkę, zakotwiczoną tak blisko przylądka, jak na to pozwalały względy ostrożności. Judyta doskonale radziła sobie z lekkim czółnem, które wymagało więcej zręczności niż siły. Gdy po skończeniu rozmowy z Hetty postanowiła wrócić do swoich, łódka pomknęła jak strzała po gładkiej powierzchni jeziora. Ale arki jakoś nie było widać. Kilka razy siostrom zdawało się, że prom wynurza się z mroku jak niska, czarna skała – były to jednak albo przywidzenia, albo kontury zarośli na brzegu. Po półgodzinnych poszukiwaniach dziewczęta doszły do smutnego wniosku, że arka odpłynęła.

Inne dziewczęta, gdyby się znalazły w takiej sytuacji jak obie siostry, poczułyby się nieswojo. Judyta jednak nic sobie z tego nie robiła, a nawet Hetty więcej martwiła się, co takiego skłoniło ojca i Hurry'ego do ucieczki, niż bała się o własną osobę.

–To niemożliwe, Hetty – powiedziała Judyta, gdy po dokładnym poszukiwaniu stwierdziły, że arka zniknęła – to chyba niemożliwe, żeby Indianie podплыnęli na tratwach lub wplaw i zaskoczyli naszych przyjaciół we śnie.

–Nie wierzę, aby Cyt i Chingachgook mogli zasnąć, zanim opowiedzą sobie wszystko po tak długiej rozłące, prawda, siostro?

–Może. Mieli wiele powodów, żeby nie spać... Ale Indianina można zaskoczyć nawet gdy czuwa, jeśli co innego mu w głowie. Gdyby się coś stało, usłyszałybyśmy hałas, bo w taką noc przekleństwa Hurry Harry'ego odbiłyby się echem o wzgórze na wschodzie jak łoskot pioruna.

–Hurry jest grzesznik, nie zważa na to, co mówi – z łagodnym smutkiem odparła Hetty.

–Nie, to niemożliwe, żeby dzicy zdobyli arkę i żeby nie słyszała hałasu. Nie ma jeszcze godziny, jak opuściłam arkę, a przez cały czas dobrze nastawiałam uszu. A jednak trudno uwierzyć, żeby ojciec dobrowolnie porzucił swe dzieci.

–Może ojciec myślał, że śpimy w naszej kajucie, i odpłynął do domu. Wiesz sama, że często pływamy na arce w nocy.

–To prawda, Hetty, chyba tak się stało, jak przypuszczasz. Wietrzyk z południa wzmógł się nieco – pewnie popłynęli na pół...

Judyta urwała w pół słowa, gdyż nagle jakby błyskawica oświetliła jezioro. Rozległ się huk wystrzału, który potoczył się echem po górach na wschodzie. Niemal równocześnie rozdarł powietrze przeraźliwy, przeciągły krzyk kobiety. Potem zapadło

straszne milczenie, jeszcze bardziej przerażające niż nagły krzyk, który przerwał głęboką ciszę północy. Nawet Judyta, której wrodzoną odwagę zahaftowało życie w puszczy, nie mogła złapać tchu, a biedna Hetty ukryła twarz w dłoniach i drżała na całym ciele.

–To był krzyk kobiety – powiedziała z przejęciem Judyta – to był krzyk przerażonej kobiety! Jeśli arka ruszyła się z miejsca, mogła popłynąć z wiatrem tylko na północ. Krzyk i strzał słyhać było od strony cypla. Czyżby stało się coś Cyt?

–Podpłynmy tam i zobaczmy, co się stało, Judyto. Może Cyt potrzebuje naszej pomocy, na arce są sami mężczyźni.

Nie było czasu do namysłu. Judyta mówiąc ostatnie słowa zanurzała wiosło w wodzie. W linii prostej do cypla nie było daleko, dziewczęta zaś zbyt niepokoily się o Delawarkę, aby tracić czas i nakładać drogi. Ruszyły więc prosto na cypel nie bacząc na niebezpieczeństwo.

Dzicy na brzegu zbyt jednak byli podnieceni tym, co się stało, aby mogli zauważyć czółno. Przez lukę w nadbrzeżnych zaroślach Judyta ujrzała światło, tak więc sterowała czółnem, aby nie stracić go z oczu, i w ten sposób zbliżyła się do brzegu na odległość, na jaką pozwalały względy ostrożności.

Dziewczęta ujrzały teraz w lesie na zboczu wzniesienia, o którym kilkakrotnie już wspominaliśmy, następującą scenę: Zbiegli się tutaj wszyscy mieszkańcy obozu. Ośmiu mężczyzn niosło pochodnie z drzewa sosnowego, które rzucały na las pod sklepieniem listowia jaskrawe i niesamowite blaski. Oparta plecami o drzewo siedziała dziewczyna, na którą przedtem czekał wartownik i przez to tak zaniedbał się w służbie, że dopuścił do ucieczki Hetty. Młody winowajca stał teraz pod drzewem i podtrzymywał dziewczynę. W blasku pochodni, którą ktoś oświetlał jej twarz, widać było, że Indianka walczy ze śmiercią. Z obnażonej piersi dziewczyny sączyła się krew wskazując, gdzie ugodziła ją kula. W ciężkim, nasyconym wilgocią powietrzu unosił się jeszcze charakterystyczny ostry zapach prochu. Nie było wątpliwości, że dziewczyna padła ofiarą kuli. Jedno spojrzenie, wystarczyło, aby Judyta zrozumiała wszystko. Błysk strzału ujrzała na jeziorze niedaleko cypla – strzał padł więc albo z czółna, które krążyło koło brzegu, albo z arki, gdy mijała przylądek. Indiankę zgubił zapewne nieostrożny krzyk lub śmiech, było bowiem tak ciemno, że napastnik nic nie mógł widzieć i musiał kierować się tylko słuchem. Po chwili skutki strzału stały się jeszcze bardziej widoczne. Głowa ofiary opadła, ciało obsunęło się – nie żyła. Indianie zgasili wszystkie pochodnie z wyjątkiem jednej; był to zwykły środek ostrożności. W migotliwym świetle jednej pochodni ukazał się wśród drzew kondukt żałobny, niosący ciało zmarłej do obozu.

Judyta westchnęła głęboko i zadrżała na całym ciele.

Zanurzyła wiosło – czółno ostrożnie minęło cypel. Ujrzała przed chwilą widok, który nie dawał jej spokoju; widok jeszcze bardziej przykry niż przedwczesna śmierć i krótka agonia młodej Indianki. Ujrzała w jaskrawym świetle wszystkich pochodni smukłą sylwetkę Pogromcy Zwierząt. Stał obok umierającej, a na jego twarzy malowało się współczucie i – jak się zdawało Judycie – wstyd. Pogromca nie zdradzał trwogi lub niepokoju. Ale spojrzenia, jakie rzucali mu wojownicy, świadczyły, że w piersiach ich wre żądza zemsty. Jeniec nie zwracał na to uwagi. Judytę jednak widok ten prześladował przez całą noc.

Siostry nie spotkały żadnego czółna w pobliżu cypla. Nad przylądkiem, nad czarną wodą, w lasach pogrążonych we śnie – aż po mroczne niebo panowała taka cisza, jakby nic nigdy jej nie zmąciło, i było tak ciemno, jakby słońce nigdy nie świeciło nad tym głuchym zakątkiem. Dziewczętom nie pozostało nic innego, jak zatrzymać się w bezpiecznym miejscu, to znaczy na środku jeziora. W milczeniu dopłynęły tam, odłożyły wiosła i gdy czółno dryfowało na północ, próbowały zasnąć, ale w ich położeniu i po tym, co przeżyły, nie przyszło im to łatwo.

ROZDZIAŁ 19

U drzwi niech stanie straż – wszystko stracone,

Chyba że straszny dzwon przestanie dzwonić!

Dowódca drogę pomyli! czy rozkaz

Albo natrafił na jakąś przeszkodą...

Anselmo – proszę – wraz z twoją kompanią

Idź wprost ku wieży... Reszta razem ze mną.

Marino Faliero

Judyta Hutter na ogół trafnie domyśliła się, w jaki sposób poniosła śmierć młoda Indianka. Po kilku godzinach snu jej ojciec i March obudzili się i wstali. Chwilę przedtem Judyta opuściła arkę udając się po Hetty. Oczywiście, Chingachgook wraz z narzeczoną byli już na pokładzie statku. Od Delawara stary dowiedział się, gdzie jest obóz i co się tam stało, a także usłyszał

o nieobecności córek. Ostatnia wiadomość wcale go nie zmartwiła, poległ bowiem na sprycie starszej córki i wiedział, że młodszej Indianie nic złego nie zrobią. Zresztą stałe obcowanie z niebezpieczeństwem przytępiło jego wrażliwość. Wiadomość o niewoli Pogromcy. Zwierząt przyjął też dość obojętnie. Wiedział wprawdzie, że pomoc młodego myśliwego obronie była nieoceniona, ale różnice poglądów moralnych sprawiały, że wcale nie byli przyjaciółmi. Starego bardzo ucieszyłaby wiadomość o położeniu obozu, gdyby ją otrzymał, zanim ucieczka zaalarmowała Indian – teraz zbyt niebezpiecznie byłoby pchać się na ląd, dlatego choć niechętnie, zrezygnował na tę noc z okrutnych zamiarów, jakie żywił pod wpływem niewoli i żądzy zemsty. W takim nastroju Hutter siadł na przedzie arki, gdzie zaraz przysiadł się do niego Hurry pozostawiając rufę statku w niczym nie zakłóconym posiadaniu Węża i Cyt.

–Pogromca Zwierząt okazał się smarkaczem włączając między dzikich o tej porze i pchając im się w ręce jak jeleń, który lezie w pułapkę – mruknął stary, który, jak ta bywa, widział słomkę w oku bliźniego, a w swoim nie zauważył belki. Jeśli teraz własnym mięsem zapłaci za swoją głupotę, niech ma o to pretensje do samego siebie.

–Taki jest świat, mój stary – odparł Hurry. – Każdy musi płacić swe długi i odpowiadać za swe grzechy. Dziwi mnie jednak, że Pogromca Zwierząt, bądź co bądź sprytny i bystry chłopak, tak głupio dał się złapać w potrzask. Czy nie miał już nic lepszego do roboty, tylko musiał o północy niuchać pod obozem Huronów nie mając

innego odwrotu prócz jeziora? A może zdawało mu się, że jest jeleniem, wskoczy do wody, która zatrze ślad po nim, a on sobie popłynie i tak. się wykaraska? Wyznam, że miałem go za bardziej rozsądnego chłopca. Trzeba jednak patrzeć przez palce na brak doświadczenia życiowego u takiego żółtodzioba. Ale, ale, panie Hutter, nie wiesz pan czasem, co się stało z pańskimi córkami? Przeszukałem całą arkę, a Judyty i Hetty ani widu, ani słyhu.

Hutter w paru słowach powtórzył Hurry'emu to, co wiedział od Delawara o wyprawie córek, powrocie Judyty po wysadzeniu na brzeg Hetty i o jej ponownym odjeździe.

–Tak się dzieje, gdy kawaler jest wygadany, mój Pływający Tomie – zawołał Hurry zgrzytając zębami ze złości – a głupią dziewczuchę ciągnie do złego. Powinieneś lepiej na nie uważać! Gdy ty i ja byliśmy w niewoli – Hurry uważał za stosowne powołać się teraz na ten smutny fakt – Judyta nawet palcem nie kiwnęła, żeby nam pomóc. Widzisz, ten Pogromca. Zwierząt, skóra i kości, zawrócił głowę dziewczynie. On... ona... ty... my wszyscy powinniśmy mieć się na baczności! Ja nie jestem z tych, co dadzą sobie grać na nosie, i uważasz, niech się wszyscy mają na baczności! Nawracaj, mój stary, podpłyniemy do brzegu i zobaczymy, co się tam dzieje.

Hutter nie miał nic przeciw temu. Podnieśli kotwicę i wciągnęli żagiel starając się zachować jak najciszej. Południowy wiatr dął w żagiel łodzi, która szybko płynęła na północ. Wkrótce w mroku ukazały się niewyraźne kontury drzew rosnących na brzegu przylądka. Sterował Pływający Tom. Prowadził arkę tak blisko lądu, jak tylko pozwalała na to głębokość wody i gałęzie drzew zwisające z brzegu. W ciemnościach, jakie panowały na lądzie, z arki nic nie było widać, ale młody wartownik na brzegu dostrzegł kontury żagla i kajuty. Tak go to zaskoczyło, że krzyknął coś po indiańsku, głosem zdławionym ze zdziwienia. Hurry, z natury porywczy i okrutny, bez namysłu zmierzył się i strzelił. Ślepy przypadek, a może ręka Opatrzności, która rządzi losami ludzkimi, poniosła kulę. – dziewczyna padła śmiertelnie raniona. Nastąpiła scena z pochodniami, którą już opisaliśmy.

Kiedy Hurry dopuścił się tego bezmyślnego i okrutnego czynu, czołno Judyty znajdowało się w odległości stu stóp od miejsca, w którym jeszcze przed chwilą arka stała na kotwicy. Opisaliśmy już drogę, jaką odbyło potem czołno Judyty, teraz wypada nam pośpieszyć za starym Tomem i jego towarzyszami.. Krzyk dziewczyny powiadomił Marcha, że strzał, oddany na chybił trafił, był celny i że jego ofiarą padła kobieta. Hurry zadrżał na myśl o nieprzewidzianym skutku swego postępku. Przez chwilę miotaly nim sprzeczne uczucia. Najpierw zaczął się śmiać z bezmyślną i chamską radością, potem sumienie – którego ziarno, zasiane przez Boga w naszych duszach, wschodzi i rozwija się w zależności od tego, jak uprawiano glebę naszej natury w dzieciństwie – ścisnęło mu serce. Przez chwilę w tym człowieku na pół cywilizowanym, a na pół barbarzyńcy burzyły się sprzeczne uczucia, i sam nie wiedział, co sądzić o swym postępku; w końcu jednak uparta natura pyszałka wzięła górę nad wyrzutami sumienia. Stuknął kolbą strzelby o pokład, przybrał wyzywającą

minę i pogwizdywał udając, że nic sobie nie robi z tego, co się stało. Arka przez cały czas płynęła i teraz znajdowała się już w zatoce, coraz bardziej oddalając się od przylądka.

Towarzysze Hurry'ego nie odnieśli się do jego postępków pobłażliwie, choć on sam nie był skłonny do skruchy. Hutter pomrukiwał, wyraźnie niezadowolony z postępków, który nie mógł przynieść korzyści, a groził jeszcze większym rozjątreniem Indian – nikt zaś surowiej nie sądzi tych, którzy bez powodu naruszają zasady sprawiedliwości, jak ludzie wyrachowani i bez skrupułów. Stary jednak powściągnął swój gniew, bo gdy Pogromca Zwierząt dostał się do niewoli, ramię zbrodniarza miało dla niego podwójną wartość. Chingachgook zerwał się z miejsca. Delawar na chwilę zapomniał o starej nienawiści między obu szczepami – odezwało się w nim uczucie wspólnoty rasowej. Ale w porę się pohamował i stłumił w sobie chęć krwawego odwetu na białym człowieku. Inaczej postąpiła Cyt. Przebiegła przez kajutę i stanęła obok Hurry'ego w chwili, gdy oparł kolbę strzelby o pokład. Z godną uznania odwagą i z uniesieniem szlachetnej kobiety Cyt napiętnowała postępek Marcha:

–Po coś strzelał? Co ci zrobiła Huronka, żeś ją zabił? Jak myślisz, co na to powie Manitou? Co Manitou czuje? Co zrobią Irokezi? Ty nie zyskasz zaszczyt... Nie pójdziesz do obozu... Nie wzięć jeńca... Nie walczyć... Nie zdjąć skalp... Nic nie zdobyć. Krew dla krwi! Co byś czuł, gdyby ktoś zabił twoja żona? Kto by cię żałował, gdybyś płakał po twoja matka lub siostra? Ty wielki jak wysoka sosna – huronka dziewczyna mała, smukła brzoźka. – czemu ty spadł na brzoźka i złamał małe drzewko? Ty myślisz, że Huroni o tym zapomną? Nie! Czerwonoskóry nigdy nie zapomni. Ani przyjaciela, ani wroga. Taki też jest Manitou czerwonoskórych. Czemu ty taki podlec, ty wielka blada twarz?

Nikt jeszcze tak śmiało nie zwymyślał Hurry'ego. Trzeba przyznać, że indiańska dziewczyna miała potężnego sprzymierzeńca w sumieniu winowajcy. Atakowała go namiętnie, ale po kobiecemu, co powstrzymywało go od gniewu niegodnego mężczyzny. Miły i słodki głos dziewczyny świadczył o czystości pobudek, tchnął prawdą i dodawał siły zarzutom. Hurry, jak wszyscy prostacy, Indian uważał tylko za nieokrzesanych dzikusów. Nigdy nie przyszło mu na myśl, że każdy człowiek doznaje uczuć ludzkich i że ludziom żyjącym w stanie dzikim nie obce są wzniosłe zasady moralne, dostosowane tylko do ich zwyczajów i przesądów, i że wojownik, okrutny na polu walki, staje się łagodny i delikatny w ciszy domowego ogniska. Słowem, przywykł patrzeć na Indian jak na stworzenia stojące niewiele wyżej od dzikich zwierząt, które zamieszkują lasy, i dlatego odnosił się do nich tak, jak nakazywał mu jego własny interes, lub po prostu, jak mu się podobało. Gorzkie wyrzuty Cyt zbiły z tropu tego dorodnego barbarzyńcę, ale nie znaczy to wcale, aby okazał skruchę. W każdym razie karcący głos sumienia nie pozwolił mu rozgniewać się na Delawarkę, a być może, March czuł również, że to, co zrobił, wcale nie było czynem godnym mężczyzny. Hurry ani się nie rozgniewał, ani nie odpowiedział na pełne naturalnej prostoty przemówienie Cyt, lecz odszedł z miną mężczyzny, który nie myśli spierać

się z kobietą.

Tymczasem arka wciąż płynęła i zanim zgasły pochodnie płonące pod sklepieniem drzew, znalazła się na otwartym jeziorze. Pływający Tom chciał być jak najdalej od brzegu, instynktownie bowiem obawiał się odwetu Indian. Godzinę trwało ponure milczenie, nikt bowiem nie miał ochoty do rozmowy. Cyt poszła spać do kajuty, Chingachgook zasnął na przednim pokładzie. Czuwali tylko Hutter i Hurry: pierwszy – przy wiosle sterowym, drugi zaś rozmyślał o swym postępkach z uporem człowieka nie lubiącego przyznać się do winy, ale wewnątrz toczył go bez przerwy robak sumienia. W tym samym czasie Judyta i Hetty znalazły się na środku jeziora, położyły się w dryfującym czólnie i usiłowały zasnąć.

Noc była spokojna, choć czarne chmury okryły niebo. Burze o tej porze roku nie były częstym zjawiskiem, te zaś, które w czerwcu nawiedzały jezioro położone w kotlinie, bywały gwałtowne, ale szybko przechodziły. Ponad wierzchołkami drzew wiał, jak zwykle, ciężki, wilgotny wiatr nocny, który zniżał się nad jeziorem, lecz rzadko muskał szklistą jego taflę. Wiatr ten nasycony był wilgotnymi oparami lasów i często zmieniał kierunek. Na powstawanie prądów powietrznych wpływało, rzecz jasna, ukształtowanie wzgórz, które sprawiało, że nawet rześkie bryzy miały oddech nieregularny, a słabe wiatry nocne nie były – niczym więcej jak kapryśnymi westchnieniami lasów. Dziób statku często zwracał się na wschód, a raz nawet skręcił prosto na południe; na ogół jednak arka posuwała się ku północy, przy czym Hutter, jak tylko mógł, korzystał z wiatru (jeżeli nocne podmuchy można nazwać wiatrem), aby utrzymać statek w ruchu i w ten sposób zniweczyć wszelkie zdradzieckie knowania nieprzyjaciela. Stary odczuwał teraz lekki niepokój o los córek, a na pewno żał mu było czólna, ale nie martwił się, gdyż ufał inteligencji Judyty.

Była to pora najkrótszych nocy, rychło więc gęsty mrok, jaki zwykle poprzedza świt, zaczął ustępować powracającemu blaskowi dnia. Przyroda nie może ukazać zmysłom ludzkim obrazu, który by lepiej uśmierzał namiętności i łagodził okrutne popędy niż widok, jaki roztoczył się przed oczami Huttera i Hurry'ego w chwili, gdy noc zmieniała się w czerwcowy poranek. Niebo oblekły owe łagodne barwy świtu, które towarzyszą chwili, gdy czerń nocy już pierzchła, a złoty blask dnia jeszcze nie wzeszedł. W barwach jutrzeńki świat nabrał wyglądu bardziej nieziemskiego niż o jakiegokolwiek innej porze dnia. Setki poetów opiewało już urok łagodnej ciszy wieczoru, a przecież zmierzch nie przynosi owych wzniosłych myśli, jakie rodzi chwila, która poprzedza wschód letniego słońca. Wieczorem krajobraz powoli niknie nam w oczach, o świcie przedmioty wynurzają się z rosnącego krajobrazu, wprawdzie niewyraźne i mgliste, potem rysują się ostro na uroczystym tle przyrody; widzimy je wtedy w cudownym blasku nadchodzącego dnia, bez porównania piękniejszego niż zmierzch wieczorny, aż wreszcie świat ukazuje się w soczystych, jaskrawych i radosnych barwach – gdy już powietrze wypełni się światłem słońca. Wieczorny śpiew ptaków, kiedy siadają na gałęziach drzew lub lecą na noc do swych gniazd, jest tylko echem ich rannych

hymnów, którymi witają nadejście dnia, zanim pojawi się słońce, i jak mówi poeta:

„Ziemią i morze napoi weselem”.

Hutter i Hurry patrzyli jednak na to wszystko bez owej błogiej rozkoszy, jaką przynosi świt ludziom dobrej woli. A przecież byli świadkami świtu, któremu blasku i uroku przydawało naturalne piękno okolicy. W świetle nadchodzącego dnia ujrzeli tylko jeden samotny przedmiot, któremu kształt i przeznaczenie nadały ludzkie pragnienia i upodobania, jedną z wzniesionych przez człowieka budowli, które tak często mącą piękno krajobrazu. Był to zamek. Poza tym wszystko, co widzieli, było dziełem natury i zachowało postać nadaną ręką Boga. Ale nawet osobliwy dom Huttera był w zgodzie z resztą krajobrazu i wynurzał się z mroku jak dziwna, malownicza ozdoba jeziora. Piękno nadchodzącego dnia nie zrobiło żadnego wrażenia na tych ludziach, gdyż obca im była poezja, a od zrozumienia przyrody oddaliło ich życie upartych i zasklepionych w sobie samolubów, których natura interesuje o tyle, o ile służy zaspokojeniu ich pospolitych potrzeb.

Kiedy zrobiło się już tak jasno, że widać było jezioro i można było przyjrzeć się brzegom, Hutter skierował dziób arki prosto na zamek. Hurry'emu powiedział, że chce wziąć zamek w posiadanie przynajmniej na ten dzień, gdyż jest to najbardziej dogodnie miejsce do spotkania się z córkami i podjęcia dalszej walki z dzikimi. Chingachgook był już na nogach, a Cyt krzątała się w kuchni. Znajdowali się zaledwie o milę od celu, wiał wiatr pomyślny i mogli dopłynąć do zamku pod żagle, bez pomocy wiosł. Nadzieję, że wszystko dobrze się skończy, zwiększyło ukazanie się na północy, tam gdzie jezioro jest najszersze, czółna Judyty, które w nocy, płynąc z wiatrem, minęło arkę. Hutter wziął lunetę i długo, pilnie przypatrywał się czółnu chcąc sprawdzić, czy są tam jego córki. Lekki okrzyk radości wyrwał się staremu, gdy ujrzął rąbek sukni Judyty na krawędzi czółna. Właśnie sama Judyta stanęła w łódce i rozglądała się, jakby chciała ustalić, gdzie się znajduje. W chwilę potem ujrzeli na drugim końcu łódki Hetty odmawiającą na klęczkach modlitwy, jakich nauczyła ją w dzieciństwie matka – kobieta, która zbłądziła, lecz okazała skruchę. Gdy Hutter odłożył lunetę, nastawioną na ostrość, Wąż podniósł ją do oczu i skierował na czółno. Delawar po raz pierwszy miał w rękach taki przyrząd. Z okrzyku „hugh!”, wyrazu twarzy i całej jego postawy Cyt domyśliła się, że jakiś cudowny widok wywołał podziw wodza. Wiadomo, że amerykańscy Indianie, a zwłaszcza ich wodzowie, umieją panować nad sobą i zachować obojętność wobec istnej powodzi cudów, z jakimi spotykają się w czasie swych nieczęstych wizyt w siedliskach cywilizacji. Chingachgook przyswoił już sobie sztukę panowania nad wzruszeniami i nie okazał zdziwienia, niegodnego mężczyzny. Natomiast Cyt nie obowiązywały żadne ograniczenia, kiedy więc przyłożyła, oko do okularu lunety, którą narzeczony wycelował na czółno, najpierw odskoczyła wystraszona, a potem zaczęła klaskać w dłonie i śmiać się, wyrażając w ten sposób swój naiwny zachwyty.

W ciągu paru minut bystra dziewczyna nauczyła się sama używać lunety i oglądała

za jej pomocą, co tylko wpadło jej w oko. Oboje oparli lunetę o okno i oglądali jezioro, brzegi, wzgórze, aż wreszcie uwagę ich przyciągnął zamek. Cyt długo przyglądała się zamkowi, po czym po cichu i z naciskiem powiedziała coś narzeczonemu. Chingachgook natychmiast przyłożył oko do okularu. Jeszcze dłużej i pilniej niż Cyt przyglądał się zamkowi. Narzeczeni odbyli teraz poufną rozmowę, w której podzielili się swymi wrażeniami, po czym młody wojownik odłożył lunetę i podszedł do Huttera i Hurry'ego.

Arka wolno sunęła naprzód. Znajdowała się już o pół mili od zamku, kiedy Chingachgook zbliżył się do, obu białych, stojących z tyłu statku. Zachowywał się spokojnie, lecz Hutter i Hurry, znając zwyczaje Indian, od razu poznali, że młody wódz ma im coś do powiedzenia. Hurry był zawsze gotów do gadania i tym razem także pierwszy zabrał głos:

–Różnij, Walenty! Gadaj, czerwona skóro! – zawołał jak zwykle obcesowo. – Czyś może ujrzał wiewiórkę na drzewie albo łososio-pstrąga płynącego pod arką? Widzisz teraz, Wężu, jakie oczy przyprawiają sobie blade twarze, i nie będziesz się już dziwił, że widzą ład indiański z bardzo daleka.

–Niedobrze iść na zamek – z naciskiem powiedział Chingachgook, gdy tylko Hurry dopuścił go do głosu. – Tam Huron.

–Diabeł rogaty! Gdyby to była prawda, to o mały włos nie wpakowalibyśmy głów w ładną pułapkę, Pływający Tomie! Tam Huron! Może to prawda. Ale nie widzę tam nic poza kłocami, wodą i korą na dachu – nie mówiąc o dwóch czy trzech oknach i jednych drzwiach.

Hutter kazał sobie podać lunetę i długo przyglądał się zamkowi, zanim zdecydował się wypowiedzieć swe zdanie, po czym w sposób dość grubiański oświadczył, że nie zgadza się ze zdaniem Indianina.

–Pewnie patrzyłeś w lunetę z odwrotnej strony, Delawarze – powiedział Hurry. – Ani stary, ani ja nie widzimy żadnego śladu na wodzie.

–Żadnego śladu... Na wodzie nigdy nie ma śladu – gwałtownie odparła Cyt. – Zatrzymać statek... Nie zbliżać się... Tam Huron!

–Dobrze, dobrze! Opowiadajcie we dwójkę tę samą bajkę, a wszyscy wam uwierzą. Mam nadzieję, że ty i twoja dziewczucha także i po ślubie będziecie dęli w tę samą trąbę. Tam Huron! Gdzie go widzicie? W kłódce, na łańcuchu czy między kłocami? W całej kolonii nie ma kryminału, który by lepiej był zamknięty niż buda starego Toma. A na kryminałach znam się dobrze.

–Nie widzi mokasyn – powiedziała Cyt z niecierpliwością – czemu nie patrzy i nie zobaczy?

–Daj lunetę, Hurry, i ściągnij żagiel – rzekł Hutter. – Kobieta indiańska rzadko się wtrąca do rozmowy, a jeśli to już robi, musi mieć ważne powody. Istotnie, mokasyn unosi się na wodzie koło palisady. Może to znak, że na zamku pod naszą nieobecność nie obeszło się bez gości. Ale mokasyny nie należą tutaj do rzadkości, sam je noszę, tak samo jak Pogromca Zwierząt i ty, March. Nosi je również Hetty na równi z trzewikami, nie widziałem tylko, żeby Judyta włożyła je na swe piękne nóżki.

Hurry ściągnął żagiel. Arka znajdowała się w odległości dwustu jardów od zamku i posuwała się naprzód, ale tak wolno, że nie było powodu do obawy. Wszyscy teraz po kolei brali lunetę i niezwykle uważnie przyglądali się zamkowi i jego otoczeniu. Nie było najmniejszej wątpliwości, że na wodzie unosi się mokasyn, i to tak lekki, że tylko trochę się zamoczył. Zaczepił się o korę odstającą od jednego z pali tworzących ogrodzenie zamku i dzięki temu woda nie poniosła go dalej. Można było w różny sposób tłumaczyć sobie, skąd się wziął ten mokasyn, bo wcale nie musiał zgubić go tutaj nieprzyjaciel. Może spadł z pomostu, kiedy Hutter był jeszcze na zamku, i uniesiony przez wodę trochę dalej, długo pozostał nie zauważony, aż dopiero teraz odkrył go bystry wzrok Cyt. Mógł z prądem przy płynąć z daleka i zatrzymać się na palu, może ktoś wyrzucił go przez okno, a wreszcie mógł w nocy spaść z nogi zwiadowcy lub napastnika, który musiał z niego zrezygnować, gdyż było bardzo ciemno.

Takimi domysłami podzielił się Hutter z Hurry'm. Stary uważał pojawienie się mokasyna za złą wróżbę, Hurry zaś potraktował ten wypadek ze zwykłą sobie pogardliwą beztroską. Indianin uważał, że na mokasyn należy patrzeć tak samo jak na nieznaną ślad w lesie, który zawsze może oznaczać niebezpieczeństwo, Cyt zaproponowała, że podpłynie do palisady i weźmie mokasyn, a po jego ozdobach będzie można poznać, czy pochodzi z Kanady. Obaj biali chętnie by się na to zgodzili, ale Delawar zaprotestował przeciw narażaniu się Cyt na niebezpieczeństwo, oświadczając, że jeśli to byłoby potrzebne, tylko wojownik mógłby nadstawić głowy, narzeczonej zaś zabronił ruszać się z miejsca. Powiedział to spokojnie, ale krótko i węzłowato – tak jak Indianin wydaje rozkazy swej żonie.

–Wobec tego, Delawarze, jedź sam, jeśli tak czule się troszczysz o swą squaw – powiedział bezceremonialnie Hurry. – Musimy mieć ten mokasyn, bo inaczej Pływający Tom będzie nas trzymał pod swoim domem tak długo, aż tam wygaśnie ogień na kominku. Zresztą, chodzi przecież o mały kawałek skóry jeleniej, wszystko jedno czy tak skrojonej, czy siak, a prawdziwy myśliwy nie boi się byle stracha na wróble. Co powiesz, Wężu, ty czy ja mam wsiąść w czółno?

–Niech jedzie czerwonoskóry. Lepsze mieć oczy niż blada twarz i lepiej też znać podstępny Huronów.

–Temu będę przeczył aż do godziny mej śmierci! Oczy białego, nos i uszy białego zawsze okazują się lepsze niż Indianina, kiedy się je wystawi na próbę. Przekonałem

się o tym nie faz i nie dwa, a to, co się wypróbowało w praktyce, jest pewne. Ale uważam, że najgorszy łąęga, Delawar czy Huron, może popłynąć do tej chałupki i z powrotem. Wobec czego, bierz się, Wężu, do wiosła i cześć!

Chingachgook był już w czólnie i właśnie zanurzał wiosło w wodzie, gdy Hurry przestał mleć językiem. Wah-ta-Wah patrzyła na odjazd swego wojownika w milczeniu i z uległością indiańskiej dziewczyny, ale nie bez obaw i niepokoju właściwych jej płci. Przez całą noc i rankiem, aż do chwili, gdy razem patrzyli przez lunetę, Chingachgook okazał swej narzeczonej tyle męskiej czułości, na ile może się zdobyć tylko człowiek delikatnych uczuć. Teraz z oblicza młodego wodza znikł ostatni ślad słabości – malowały się na nim surowa powaga i zdecydowanie. Gdy odbijał czólnem od arki, Cyt nieśmiało szukała wzrokiem jego oczu, ale duma wojownika nie pozwoliła Wężowi odpowiedzieć na jej czułe i pełne niepokoju spojrzenia. Łódź odplynęła i wódz nie spojrzał na swą narzeczoną.

To, co myślał Delawar ruszając na wyprawę, napawało go troską i poważnymi obawami. Jeśli nieprzyjaciel rzeczywiście zawładnął zamkiem, wystawi się na cel jego strzelb, nie mając żadnej osłony, która jest zawsze ważnym sprzymierzeńcem Indianina na wojnie. Trudno sobie wyobrazić wyprawę bardziej niebezpieczną. Gdyby Wąż był mądrzejszy o dziesięć lat doświadczenia wojennego lub gdyby był tutaj jego przyjaciel, Pogromca Zwierząt, wyprawa nie doszłaby do skutku, korzyści bowiem, jakie mogła przynieść, zupełnie nie równoważyły niebezpieczeństwa. Duma indiańskiego wodza nakazywała mu dowieść wyższości swej rasy. Należy też przypuszczać, że obecność istoty, której spojrzenia unikał, bo chciał się zachować, jak przystało wojownikowi, ale którą kochał tak gorąco, jak na to zasługiwała, w niemałym stopniu wpłynęła na jego śmiałą decyzję.

Chingachgook wytrwale wiosłował ku palisadzie nie spuszczać oka z otworów w ścianach zamku. Liczył się z tym, że w każdej chwili może ujrzeć lufę strzelby wystawioną przez otwór strzelniczy albo usłyszeć krótki huk strzału. Udało mu się jednak dotrzeć bezpiecznie do ogrodzenia. Był tutaj do pewnego stopnia osłonięty, gdyż wierzchołki pali chroniły go przed strzałem z zamku, co znacznie zmniejszało niebezpieczeństwo zamachu na jego życie. Czólno przybiło do palisady od strony południowej, niedaleko mokasyna. Zamiast jednak podplłynąć i zabrać go do czólna, Delawar wolno okrążył cały budynek i pilnie przyjrzał się wszystkiemu, co mogło zdradzić obecność nieprzyjaciół lub ślady włamania. Nie zauważył jednak nic takiego, co by potwierdzało jego podejrzenia. Głucha cisza zalegała zamek, umocnienia były nie tknięte, okna nie nosiły śladów włamania. Drzwi były zaryglowane tak, jak je zostawił Hutter, wjazd do przystani był zabarykadowany jak zwykle. Słowem, najbardziej bystre i przenikliwe oko nie mogło dostrzec żadnego śladu odwiedzin nieprzyjaciela poza unoszącym się na wodzie mokasynem.

Delawar zupełnie nie wiedział, jak ma postąpić. Kiedy znalazł się naprzeciw drzwi zamku, przyszło mu na myśl, żeby wejść na pomost, przyłożyć oko do otworu w

ścianie i osobiście sprawdzić, co właściwie dzieje się w środku. Ale zawahał się. Sam nie miał w tych sprawach wielkiego doświadczenia, lecz słyszał tyle opowiadań o indiańskich podstępach i z zapartym oddechem słuchał o wyprawach starszych wojowników, krótko mówiąc, tak dobrze teoretycznie był przygotowany do swego powołania, że nie mógł popełnić większego błędu – podobnie jak dobry uczeń nie może już źle rozwiązać zadania z matematyki, jeśli prawidłowo do niego się zabrał. Wódz wyrzekł się chwilowej chęci wejścia na pomost i dalej popłynął wokół ogrodzenia zamku. Gdy po raz wtóry zbliżył się do mokasyna, zręcznym, niemal niedostrzegalnym, ruchem wiosła wrzucił do czółna tę nie wróżącą nic dobrego część indiańskiego ubioru. Był gotów do drogi powrotnej. Ale odwrót narażał go na jeszcze większe niebezpieczeństwo niż zbliżenie się do zamku, bo teraz nie mógł już mieć na oku otworów strzelniczych. Jeśli rzeczywiście ktoś był w zamku, musiał się domyślić, że Delawar przybył tu na zwiady. Najrozsądniej tedy, choć bynajmniej nie bezpiecznie, było wycofać się swobodnie, jakby oględziny zamku zupełnie rozwiały podejrzenia Delawara. Tak też zrobił: ruszył spokojnie ku arce i ani nie przyśpieszał nerwowo ruchów swych ramion, ani się nie oglądał nawet ukradkiem.

Żadna tkliwa żona, wychowana w środowisku najwyższej cywilizacji, nie witała męża wracającego z pola bitwy z taką radością, jaką malowała się na twarzy Cyt, gdy Wielki Wąż Delawarów, cały i nie tknięty, wchodził na arkę. Opanowała jednak wzruszenie i tylko w czarnych oczach dziewczyny błyszczała radość, a uśmiech ożywił jej piękne usta. Wódz dobrze zrozumiał mowę jej spojrzenia i uśmiechu.

–No, Wężu, – zawołał Hurry, zawsze pierwszy do gadania – co nowego u piżmoszczurów? Czy pokazały ci zęby, gdyś płynął naokoło ich domu?

–Mnie się tam nie podoba – odparł zamyślony Delawar. – Za cicho. Tak cicho, aż widać milczenie!

–To mi indiańskie gadanie! Cóż jest bardziej cichego jak nic! Jeśli nie masz do powiedzenia nic mądrzejszego, niechaj stary Tom podniesie żagiel i uda się na śniadanie pod własnym dachem. Co się stało z mokasynem?

–Oto on – powiedział Chingachgook i pokazał wszystkim swą zdobycz.

Obejrzeni mokasyn i Cyt stwierdziła stanowczo, że jest pochodzenia hurońskiego, o czym świadczy sposób ułożenia na przedzie kolców jeżozwierz. Hutter i Delawar bez zastrzeżeń poparli jej opinię. Ale nie był to jeszcze dowód, że Huroni są na zamku. Mokasyn mógł przypląć z daleka albo spaść z nogi zwiadowcy, który opuścił zamek po wykonaniu zadania. Słowem, mokasyn wzbudził tylko podejrzenia, ale niczego nie wyjaśnił.

W tych warunkach, wobec tak słabych dowodów niebezpieczeństwa, Hutter i Hurry szybko wyzbyli się obaw. Podnieśli żagiel i arka popłynęła ku zamkowi. Wiał lekki

wietrzyk, statek posuwał się wolno, mieli więc dość czasu, aby uważnie przyjrzeć się zamkowi.

Grobowa cisza pasowała w domu i trudno było uwierzyć, aby znajdowało się w nim jakiegokolwiek żywe stworzenie. Jeden Wąż pod wpływem opowiadań, jakich się nasłuchał, dopatrywał się czegoś nienaturalnego w zwykłej ciszy, natomiast obaj biali nie widzieli nic strasznego w milczeniu, które istotnie oznaczało jedynie odpoczynek martwych przedmiotów. Zresztą całe otoczenie zamku nie miało w sobie nic niepokojącego, a nawet budziło zaufanie. Dzień dopiero wstawał i słońce nie weszło jeszcze ponad horyzont. Niebo, powietrze, lasy i jezioro wypełniało łagodne światło, poprzedzające ukazanie się słońca. Była to najbardziej urzekająca chwila dnia, kiedy wszystko widać wyraźnie, powietrze jest przezroczyste jak woda, barwy są szare i łagodne, zarysy przedmiotów rozszerzają się wraz z perspektywą, a obraz natury odznacza się prostotą podobną wielkim prawdom moralnym, które nie potrzebują pstrych upiększeń i pustego blasku. Słowem, była to chwila, kiedy zmysły odzyskują zdolność zwykłego i dokładnego widzenia rzeczywistości, podobnie jak umysł ludzki, gdy z mroku niepokojących wątpliwości wydostanie się na światło oczywistych dowodów. Poranny obraz przyrody może oddziaływać kojąco na ludzi zdrowych moralnie, ale nie na takich, jak Hutter i Hurry. Natomiast Cyt i Wąż, chociaż widok poranka był im dobrze znany; szczerze odczuli jego piękno. Pod wpływem tych wrażeń młody wojownik uległ nastrojom pokojowym i nigdy chyba sława Wojenna nie była mu tak obojętna jak teraz, gdy usiadł z narzeczoną w kajucie. W tej chwili arka otarła się bokiem o pomost zamku. Młodego wodza z błogiego nastroju wyrwał krzykliwy głos Hurry'ego, który wołał, żeby przyszedł i pomógł mu ściągnąć żagiel i przymocować arkę.

Chingachgook usłuchał. Gdy wyszedł na przód statku, Hurry był już na pomoście, tupał nogami, rad, że ma pod sobą to, co od biedy można by nazwać stałym lądem, i jak zwykle donośnym głosem krzyczał z wielką pewnością siebie, że mało sobie robi, z całego szczepu Huronów. Hutter wszedł do czółna, które przyholował do dziobu arki, i zabrał się do odryglowania bramy w ogrodzeniu zamku, chciał bowiem wejść do przystani pod domem. March wlaź na pomost tylko po to, żeby popisać się swą odwagą, potrząsnął więc drzwiami z całej siły, jakby chciał sprawdzić, czy dobrze się trzymają, po czym wszedł za Hutterem do czółna i pomógł mu otworzyć bramę. Czytelnik zechce sobie przypomnieć, że tylko tą drogą można się było dostać na zamek, gdyż właściciel tej dziwnej rezydencji, opuszczając ją – zwłaszcza wtedy, gdy należało obawiać się niebezpieczeństwa – barykadował wejście w sposób już przez nas opisany. Hutter, schodząc do czółna, wetknął Delawarowi w rękę koniec liny i polecił mu przymocować arkę do pomostu i ściągnąć żagiel. Chingachgook nie wykonał jednak tego polecenia – nie ściągnął żagla, a pętlę liny zarzucił na wierzchołek pala.

Dzięki temu arka odsunęła się od pomostu i zatrzymała przy palisadzie. Teraz na arkę można się było dostać albo łódką, albo idąc górą palisady, tej sztuki jednak

mógł dokonać tylko ktoś bardzo zręczny i nie na oczach takiego przeciwnika jak Wąż.

Dzięki tej zmianie pozycji – co nastąpiło, zanim Hutterowi udało się otworzyć bramę przystani – arka i zamek stały reja przy rei, jakby powiedzieli marynarze, oddalone od siebie o dziesięć do dwunastu stóp i przedzielone palisadą. Arka przylegała bokiem do ogrodzenia, które stanowiło dla niej osłonę wysokości człowieka, chroniącą przede wszystkim odsłonięte części promu, to znaczy: jego przód i tył. Delawar z wielkim zadowoleniem, ogarnął wzrokiem położenie arki. Gdy czołno Huttera wpłynęło przez bramę do przystani, Wąż pomyślał sobie, że mógłby długo bronić arki nawet przeciw licznej załodze zamku, gdyby tu był z nim jego przyjaciel, Pogromca Zwierząt. Ale nawet sam czuł się dość bezpieczny i nie lękał się już o Cyt.

Hutter wiosłem odepchnął czołno od palisady, wpłynął pod zamek i znalazł się przy luce. Wszystko zastał w porządku – kłódka, łańcuch i rygiel były nie tknięte. Otworzył kluczem i zdjął kłódkę, rozluźnił łańcuch i podniósł klapę. Hurry wsunął w lukę głowę, potem ramiona, wreszcie zniknęły jego długie nogi – wszystko to zrobił bez najmniejszego wysiłku. W chwilę potem jego ciężkie kroki dały się słyszeć na górze, w korytarzyku łączącym pokój ojca z pokojem córek. Hurry wydał okrzyk triumfu.

–Nuże, włącz tutaj, stary – wołał – twoja siedziba jest cała i zdrowa, ma się rozumieć, a pusta jak orzech, który spędził pół godziny w łapkach wiewiórki. Delawar przechwalał się, że widzi ciszę, niech tu przyjdzie, będzie mógł dotknąć jej na dodatek.

–Tam gdzie ty jesteś, Hurry Harry – odparł Hutter wkładając głowę w lukę, czego Wąż domyślił się, gdyż ostatnie słowa starego dobiegły doń stłumione – ciszę słychać z daleka, bo ładna mi to cisza.

–Chodź, chodź, staruszk, winduj się na górę. Otworzymy drzwi i okna, żeby weszło świeże powietrze i słońce. W takich niespokojnych czasach wystarczy parę słów, aby zostać najlepszymi przyjaciółmi. Powiedziałbym, że twoja córka, Judyta, zachowuje się źle. To, co zrobiła ostatnio, tak rozluźniło moje więzy z całą jej rodziną, że wystarczyłaby mi rozmowa nie dłuższa od dziesięciu przykazań i poszedłbym sobie nad rzekę, zostawiając ciebie, twoje sidła, arkę, dzieci, służących, kuchty, woły i osły, żebyście się wszyscy razem sami bili z Irokezami. Otwórz to okno, Pływający Tomie, a ja pójdę po omacku i otworzę drzwi.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem hałas, jakby ciężkie ciało zważyło się na podłogę. Hurry zaklął siarczyście i cały dom jakby nagle ożył. Nagle i nieoczekiwanie, na wet dla Delawara, podniósł się w domu piekielny rwetes. Nie mogło już być żadnych wątpliwości, co się stało. Słychać było tumult tak straszliwy, jakby rzuciły się na siebie tygrysy zamknięte w klatce. Raz czy dwa dał się słyszeć okrzyk wojenny

Indianina, ale głos był stłumiony, jakby dobywał się z gardła bez tchu lub zduszonego. Raz tylko straszne przekleństwo padło z ust Hurry'ego. Słysząc było, jak Hurry raz po raz rzuca wściekle przeciwnikami o podłogę, a oni zrywają się i znów wskakują na niego. Chingachgook nie wiedział, co robić. Hutter i Hurry poszli bez strzelb; cały zapas broni znajdował się na arce. Nie było sposobu użycia broni ani podania jej walczącym. Walka odbywała się w klatce. Nie można było wydostać się z zamku ani też wejść do środka. Prócz tego Cyt krępowała jego ruchy i była mu kulą u nogi. Chcąc uwolnić się od tej przeszkody kazał jej wsiąść w drugie czółno i popłynąć na spotkanie córek Huttera, które właśnie nieostrożnie zbliżały się do zamku. W ten sposób sama ujdzie niebezpieczeństwu i ostrzeże dziewczęta. Ale Cyt stanowczo odmówiła posłuszeństwa. W tej chwili żadna siła ludzka prócz przemocy fizycznej nie skłoniłaby jej do opuszczenia arki. Czas naglił, Chingachgook tedy, nie widząc żadnej możliwości przyjścia z pomocą przyjaciółom, odciął linę i z całej siły odepchnął arkę od palisady na jakieś dwadzieścia stóp. Chwycił wiosła i za ich pomocą zdołał, płynąc pod wiatr, oddalić się od zamku na odległość stu jardów, ale nie bardzo dawał sobie radę z wiosłami i po chwili zaniechał wysiłków. Po drodze, kiedy odpłynął około pięćdziesięciu jardów na południe od zamku, ściągnął żagiel. Judyta i Hetty zauważyły, że dzieje się coś niedobrego, i stanęły w odległości tysiąca stóp na północ od arki.

Przez cały ten czas w zamku toczyła się zaciekle walka. W podobnych sytuacjach wydarzenia następują znacznie szybciej, niż można o nich opowiedzieć. Od chwili gdy w domu dał się słyszeć pierwszy upadek ciała na podłogę, do chwili zaniechania przez Delawara nieudolnych manewrów wiosłami minęło trzy do czterech minut, ale wystarczyło to, aby siły zapaśników osłabły. Nie słysząc było klątw i przekleństw Hurry'ego, a walka straciła na sile i gwałtowności, choć trwała dalej. Nagle drzwi się, otwały i walka przeniosła się na pomost – na światło dzienne i świeże powietrze.

Oto jednemu Huronowi udało się otworzyć drzwi, za nim wybiegło na platformę trzech czy czterech wojowników, szczęśliwych, że uszli przed straszną sceną, jaka rozgrywała się w środku. Przez drzwi wyleciał głową na dół jeszcze jeden wojownik, wyrzucony ze straszliwą siłą. Za nim ukazał się wściekły jak osaczony lew March, który na chwilę otrząsnął się z całej sfory napastników. Hutter, wzięty do niewoli, leżał już związany. Nastąpiła przerwa w walce, podobna do chwili ciszy w czasie burzy. Wszyscy zapaśnicy musieli zaczerpnąć powietrza. Stali mierząc się wzrokiem, jak brytany, które ktoś rozpędził i tylko patrzą, aby znowu się rzucić na siebie. Skorzystamy z tej przerwy, aby opowiedzieć, jak Indianie zawładnęli zamkiem. Tym bardziej wypada nam to uczynić, skoro musimy wyjaśnić czytelnikowi, dlaczego w tej zażartej walce wręcz obyło się bez większego przelewu krwi.

Rozdarty Dąb i jego towarzysz, szczególnie ten drugi, choć był prostym wojownikiem i tylko obsługiwał tratwę, w czasie swych odwiedzin dokonali najbardziej dokładnych obserwacji zamku. Chłopak też zebrał szczegółowe i cenne informacje. W ten sposób Huroni dowiedzieli się, w jaki sposób zbudowany jest dom

Huttera, jak jest zabezpieczony przed napadem, i znali go z opowiadań tak dobrze, że mogli orientować się po ciemku. Mimo że w czasie przeprowadzki Hutter ustawił arkę po wschodniej stronie zamku, przez cały czas był śledzony i na nic nie zdała się jego ostrożność. Zwiadowcy czatowali zarówno na zachodnim, jak i na wschodnim brzegu jeziora i wszystko, widzieli. Gdy zapadł mrok, z obu brzegów ruszyły na zwiady tratwy, podobne do tej, którą już opisaliśmy. Koło jednej z nich przepłynęła arka w odległości pięćdziesięciu stóp, ale nikt nie zauważył tratwy, gdyż wojownicy leżeli wyciągnięci na pniach tak, że ani ich, ani wolno płynących tratw nie można było dostrzec. Obie wyprawy spotkały się niedaleko zamku, wojownicy podzielili się swymi obserwacjami i bez wahania ruszyli na zamek. Jak się spodziewali, dom Huttera był pusty. Tratwy natychmiast wróciły na brzeg po posiłki. Na pomoście zostało dwóch Indian, którzy mieli wykorzystać okazję. Udało im się dostać na dach, usunąć kilka kawałków kory stanowiącej pokrycie domu i wejść na strych (jeśli tak można to nazwać). Tam znaleźli ich przybyli później towarzysze. Teraz w belkach tworzących sufit wyrąbali za pomocą siekier otwór, przez który nie mniej niż ośmiu najmocniejszych wojowników skoczyło do izby. Tutaj się zatrzymali, dobrze zaopatrzeni w broń i żywność i gotowi wytrzymać oblężenie lub zrobić wypad, zależnie od sytuacji. Noc przespali, jak to bywa w zwyczaju u Indian, gdy nie mają nic do roboty. O świcie ujrzeli arkę zbliżającą się do zamku. Ujrzeli ją przez otwory strzelnicze: jedyne szczeliny, przez które powietrze i światło miały dostęp do środka, gdyż okna były zakryte okiennicami, prymitywnymi, lecz dobrze dopasowanymi. Gdy zauważyli, że dwaj biali chcą wejść przez lukę, wódz, stojący na czele oddziału, wydał odpowiednie rozkazy. Odebrał swym ludziom broń, nie pozostawiając im nawet noży, obawiał się bowiem, że pod wpływem razów rozjuszają się i dopuszczają okrucieństwa wobec białych. Broń dobrze schował. Następnie przygotowali powrozy z kory i przyczaili się w trzech pokojach, aby na znak wodza rzucić się na białych i wziąć ich żywcem. Gdy w nocy weszli do środka, ich towarzysze ułożyli korę na dachu, starannie zatarli ślady odwiedzin i wrócili na brzeg. Jeden z nich zgubił mokasyn i w ciemnościach nie mógł go znaleźć. Gdyby obecna załoga zamku wiedziała o śmierci dziewczyny na przylądku, Hutter i Hurry nie uszliby z życiem, ale dziewczyna zginęła, gdy Huroni byli już w domu Huttera, a z przylądka do obozu naprzeciw zamku było kilka mil.

W taki to sposób doszło do walki, której dalszy ciąg opiszemy w następnym rozdziale.

ROZDZIAŁ 20

Zrobiłem wszystko – próżny znój –

Co człowiek zrobić może...

Zegnaj, ojczysty kraju mój,

Mnie trzeba dziś na morze.

O, kraju mój,

Mnie trzeba dziś na morze!

Szkocka Ballada

W poprzednim rozdziale zostawiliśmy zapaśników ciężko dyszących na wąskim pomoście. Hurry uprawiał brutalne zapaśnictwo (sport ten był wówczas szeroko rozpowszechniony w Ameryce, a zwłaszcza na pograniczu), co w połączeniu z jego olbrzymią siłą czyniło walkę mniej nierówną, niżby to wynikało ze znacznej przewagi liczebnej jego przeciwników. Tylko dzięki temu mógł tak długo odpierać ataki Indian, którzy na ogół nie wyróżniają się ani zręcznością, ani siłą w zapasach atletycznych. Jak dotąd, nikt nie był poważnie ranny, chociaż Hurry kilkoma Huronami grzotnął już o podłogę, ten zaś, którego wyrzucił na pomost, był na razie niezdolny do dalszej walki. Kilku kulało, sam March oberwał parę guzów, a wszystkim brakło tchu i to było przyczyną przerwy w walce.

W sytuacji, w jakiej znalazły się strony walczące, rozejm, cokolwiek byłoby jego powodem, nie mógł trwać długo. Arena walki była zbyt mała, a obawa podstępów przeciwnika zbyt wielka, aby walczący długo odpoczywali. Wbrew temu, czego należało oczekiwać w takiej sytuacji, Hurry pierwszy ruszył do ataku. Czy szło mu o przewagę, jaką mógł zyskać napadając z nienacka na swych przeciwników, czy też odezwał się w nim gniew i zadawniona nienawiść do Indian – trudno byłoby powiedzieć. W każdym razie rzucił się na Huronów z taką furją, że zrazu zmusił ich do odwrotu. Najbliższego Hurona chwycił w pól, podniósł i jak małe dziecko rzucił do wody. W ciągu pół minuty za Huronem poleciało do wody dwóch następnych, z których jeden ciężko się potłukł, gdyż wpadł na drugiego. Na pomoście pozostało jeszcze czterech Indian. Hurry był pewny, że w walce wręcz, bez użycia broni, świetnie sobie z nimi poradzi.

–Hura! Stary Tomie! – zawołał – te łajdaki skaczą do wody jeden za drugim, za chwilę wszyscy będą pływać! – Mówiąc to potężnym kopniakiem w twarz znów wepchnął do wody rannego Hurona, który chwycił się krawędzi pomostu i chciał się wdrapać na górę. Indianin już nie wstał. Gdy walka się skończyła, widać było przez

przeźroczywą wodę Lśniącego Zwierciadła ciemne ciało zabitego. Leżał z rozwartymi ramionami, rozciągnięty na mieliźnie, na której stał zamek, rękami trzymał się kurczowo piasku i wodorostów, co robiło wrażenie, jakby chciał schwycić uchodzące życie. Drugi wojownik otrzymał cios w dołek i zgiął się we dwoje jak rozdeptany robak. Pozostało jeszcze dwóch przeciwników Hurry'ego zdolnych do walki. Jeden z nich był nie tylko największym i najsilniejszym Huronem, ale najbardziej doświadczonym wojownikiem z całego oddziału. Jego mięśnie rozwinęły się wspaniale w walkach i marszach ścieżką wojenną. Wojownik ten zdawał sobie sprawę z ogromnej siły Hurry'ego i oszczędzał sił własnych. Strój Hurona świetnie nadawał się do walki, Indianin miał bowiem na sobie tylko spodenki. Wyglądał jak naga i piękna statua, wyobrażająca zręczność i siłę. Zapaśnik, który chciałby go chwycić w uścisk, musiał być niezwykle silny i zwinny. Hurry nie zawahał się ani chwili. Natychmiast po wrzuceniu do wody Hurona, który już więcej nie wstał, zwał się ze swym groźnym przeciwnikiem i natężył wszystkie siły, aby go zepchnąć do wody. Wywiązała się naprawdę straszliwa walka. Zapaśnicy starli się z taką zaciekłością, a ich ruchy były tak błyskawiczne, że drugi Indianin, nawet gdyby chciał, nie mógł wziąć udziału w tej walce i stał jak wryty ze zdziwienia i strachu. Był to niedoświadczony młodzik. Krew w żyłach mroził mu widok ścierających się w zażartej walce namiętności ludzkich, widok, jakiego nigdy jeszcze nie oglądał.

Hurry najpierw usiłował powalić przeciwnika. Chwycił go jedną ręką za gardło, a drugą za ramię i równocześnie podstawił mu nogę tak zręcznie i silnie, jak umie to zrobić tylko mieszkaniec amerykańskiego pogranicza. Zamach się jednak nie udał, gdyż Huron zręcznie chwycił się ubrania Hurry'ego, a nogi Indianina okazały się nie mniej zwinne niż nogi napastnika. Teraz zakotłowało się, jeśli można tak nazwać walkę dwóch zapaśników. Nie widać było poszczególnych ciosów, członki walczących raz po raz zmieniały pozycję i tak się skłębily, że nie można już było śledzić ich ruchów. Ta dzika i bezładna bójka trwała już około minuty, gdy Hurry, wściekły, że zwinny i nagi przeciwnik nic sobie nie robi z jego siły, rozpaczliwym wysiłkiem oderwał go od siebie i gwałtownie rzucił nim o ścianę domu. Wstrząs był tak duży, że na chwilę oszołomił Hurona, który głucho jęknął z bólu, co czerwonoskórym w zapale walki rzadko się zdarza. Zerwał się jednak i ruszył na przeciwnika, wiedział bowiem, że tylko w ten sposób może ocalić życie. Hurry chwycił go wpół, podniósł i powalił na deski przygniatając go całym ciężarem swego ciała. Ten nowy cios tak ogłuszył nieszczęśnika, że biały olbrzym mógł już zrobić z nim, co chciał. Obiema rękami chwycił Hurona za gardło i trzymając jak w kleszczach, ze straszliwą siłą dusił swą ofiarę. Głowa Hurona opadła na krawędź pomostu, tak że tylko podbródek sterczał do góry. Skutki nie dały długo na siebie czekać – oczy ofiary wyszły z orbit, język wylazł na wierzch, a nozdrza rozdęły się, jakby miały pęknąć. W tej chwili Indianie zręcznie założyli Hurry'emu na ramiona powróż z kory, z tyłu przełożyli jego koniec przez pętlę i ciągnąc za oba końce związali mu ręce na plecach tak mocno, że nawet jego olbrzymia siła nic tu nie pomogła. Hurry'm tak o władnęły najniższe instynkty i tak był rozjuszony, że choć

ręce miał skrępowane i musiał je cofnąć, nie chciał puścić gardła swej ofiary z śmiertelnego uścisku. Niemal równocześnie Indianie w podobny sposób skrępowali mu nogi w kostkach i jak kłodę drzewa brutalnie zaciągnęli na środek pomostu. Gdy uratowany od śmierci Indianin odzyskał oddech, nie od razu się podniósł, lecz leżał jakiś czas z głową zwieszoną z krawędzi pomostu i zdawało się, że Hurry złamał mu kark. Bardzo wolno wracał do siebie i dopiero po kilku godzinach zaczął chodzić. Jedną nogą był na tamtym świecie i nigdy już nie odzyskał swych sił fizycznych i umysłowych – tak przynajmniej twierdzili jego przyjaciele.

Hurry poniósł klęskę i dostał się do niewoli przez zaślepienie, z jakim nastawał na życie powalonego przeciwnika. Tak go to pochłonęło, że nie zauważył, co się święci. Otóż dwaj Indianie, których wrzucił do wody, wdrapali się na palisadę, przeszli po niej i przyłączyli się do młodego wojownika na pomoście. Ten na tyle ochłonął już ze strachu, że przyniósł powrozy. Właśnie w tej chwili przyszli mu na pomoc dwaj towarzysze. Opisaliśmy już, w jaki sposób Huroni posłużyli się powrozami, aby obezwładnić białego. Hurry całym ciężarem swego ciała przygniatał przeciwnika do podłogi i tak był pochłonięty straszną żądzą uduszenia go, że nic nie zauważył. W ten sposób w jednej chwili odwróciła się karta. Był o krok od zwycięstwa, które wieść podawana z ust do ust sławiłaby w całym kraju przez setki lat – a teraz leżał bezbronny i związany powrozami. Ale tak wiele dokonał w czasie walki i dał dowody tak niezwykłej siły, że nawet, gdy leżał związany jak baran, Indianie patrzyli nań z szacunkiem i lękiem... Najdzielniejszy wojownik huroński leżał jeszcze bez ruchu na pomoście. W zamieszaniu walki Huroni stracili z oczu towarzysza, którego Hurry tak brutalnie wrzucił do wody. Teraz rozejrzeli się za nim i na dnie jeziora zobaczyli martwe ciało wojownika. Wszystko to sprawiło, że zwycięstwo Huronów było niemal tak smutne jak klęska;

Chingachgook i Cyt z arki obserwowali przebieg walki. Gdy trzech Huroni skradali się do Hurry'ego, aby założyć mu powróż na ramiona, Delawar sięgnął po strzelbę. Zanim jednak zdążył strzelić, biały leżał związany i już nie można było go ocalić. Wąż mógł wprawdzie położyć trupem jednego wroga, ale nie sposób było zdobyć skalp. Młody wódz chętnie by naraził swe życie, gdyby miał widoki na taką zdobycz, ale zawahał się zabić wroga, któremu nie mógł zdjąć skalpu. Jedno spojrzenie na Cyt oraz myśl o skutkach nierozważnego kroku stłumiły przelotną chęć odwetu. Czytelnik wie już, że wódz nie dawał sobie rady z wielkimi wiosłami arki, choć w czółnie był doskonałym wiosłarzem. W żadnej chyba pracy rąk ludzie nie okazują się tacy nieporadni jak przy pierwszych próbach posługiwania się wiosłem, a nawet doświadczony marynarz lub przewoźnik nigdy nie dorówna zręczności słynnego gondoliera włoskiego. Każdy nowicjusz przez jakiś czas nie umie poradzić sobie nawet z jednym wiosłem. Wąż zaś musiał manewrować dwoma, i to bardzo dużymi. Początkującemu łatwiej jest jednak posługiwać się dużymi wiosłami niż małymi i dlatego Delawarowi udało się ruszyć arkę z miejsca. Ale pierwsza próba wystarczyła, aby stracił wiarę w swe możliwości na tym polu. Zdawał więc sobie sprawę, jakie

niebezpieczeństwo groziłoby im obojgu, gdyby Huroni wsiedli w czółno stojące w przystani i puścili się w pościg za arką. Była chwila, że myślał o ucieczce z Cyt czółnem na wschodni brzeg, przejściu przez góry i przedostaniu się do wiosek delawarskich. Po zastanowieniu zrezygnował jednak z tego nierozważnego kroku. Było niemal pewne, że ukryci na wzgórzach zwiadowcy pilnują obu brzegów jeziora i muszą zauważyć czółno zbliżające się do lądu. Śladu nie ukryje się przed Indianami, a Cyt jest zbyt słaba, aby mogła ująć pościgowi wprawionych w marszach wojowników. (W tej części Ameryki Indianie nie posługiwali się końmi i dlatego powodzenie każdej ucieczki zależało wyłącznie od siły fizycznej zbiegów). Wreszcie nie miały wpływ na rezygnację z ucieczki miała troska o Pogromcę Zwierząt, Wąż nie mógł bowiem zostawić przyjaciela na łasce losu.

Cyt co do pewnych szczegółów nie zgadzała się z narzeczonym i inne ożywiały ją uczucia, ale ostatecznie doszła do tych samych wniosków. Mniej się obawiała o siebie niż o siostry Hutter, które bardzo lubiła. Kiedy skończyła się walka na pomoście, czółno dziewcząt oddalone było od zamku o trzysta jardów. Judyta teraz dopiero zorientowała się, że na pomoście rozegrała się walka, i przestała wioślować. Obie siostry stanęły w czółnie, usiłując zobaczyć, co się stało, ale niewiele widziały, gdyż dom przesłaniał im widok znacznej części pobojuwiska.

Wąż, Cyt i obie siostry jak dotąd bezpieczeństwo swe zawdzięczali wściekłym atakom Hurry'ego. Inaczej dziewczęta od razu zostałyby schwytane. Huroni mając czółno mogli to zrobić bez żadnych trudności. Ale walka na pomoście znacznie ostudziła ich zapale. Nie od razu pozbiali się po cięgach, jakie sprawił im Hurry. Siły Huronów osłabły tym bardziej, że najmężniejszy z nich najwięcej ucierpiał. Niemniej było konieczne, aby Judyta i Hetty natychmiast schroniły się na arkę, gdzie przynajmniej przez jakiś czas byłyby bezpieczne. Należało więc w jakiś sposób skłonić je do powrotu. Cyt wyszła na tył statku i za pomocą różnych gestów i znaków starała się zachęcić siostry, aby z daleka okrążyły zamek i podpłynęły do arki od strony wschodniej. Wszystko jednak na próżno. Dziewczęta nie zrozumiały tych znaków/Prawdopodobnie Judyta z daleka nie poznała Cyt i nie wiedziała, gdzie są jej przyjaciele. Zamiast więc postąpić tak, jak należało, postanowiła trzymać się z dala od arki i zamku. Popłynęła z powrotem na północ, tam gdzie jezioro jest najszersze, gdzie mogła najwięcej widzieć, i miała największe pole do ucieczki. Właśnie ponad sosnami rosnącymi na szczytach łańcucha gór na wschodzie ukazało się słońce, a wraz z nim powiał wietrzyk z południa, zwykle zjawisko o tej porze roku i tej godzinie.

Chingachgook nie tracąc czasu podniósł żagiel. Cokolwiek ich jeszcze czekało, nie ulegało wątpliwości, że należy za wszelką cenę tak się oddalić od zamku, aby wrogowie nie mogli zbliżyć się do arki inaczej jak w czółnie, które, niestety, dzięki zmiennym kolejom wojny dostało się w ich ręce. Widok rozwiniętego żagla obudził Huronów z odrętwienia. Tymczasem arka, pchnięta przez wiatr, poszła w niewłaściwym kierunku i zbliżyła się do pomostu. Cyt ostrzegła narzeczonego, żeby się ukrył przed kulami nieprzyjaciół. Tego niebezpieczeństwa należało uniknąć, tym

bardziej że Cyt sama nie chciała się schować, póki Wąż wystawiony był na cel strzelb hurońskich. Wobec tego Chingachgook zostawił prom na łasce wiatru, zaciągnął Cyt do kajuty, zaryglował drzwi i rozejrzał się za strzelbami.

Powstała teraz sytuacja, którą trzeba bliżej omówić. Arka znajdowała się sześćdziesiąt jardów na południe od zamku, wiał wiatr z południa, wiosło sterowe leżało porzucone przez Węża. To, że ster nie działa, było okolicznością pomyślną i nie miało żadnego, wpływu na wolny ruch ociężałego promu. Statek był, jak mówią marynarze, pod pełnym żaglem i choć liny żagla były umocowane, wiatr dał w luźno puszczonej reję. Wywarło to potrójny wpływ na arkę, której dno było idealnie płaskie, a zanurzało się w wodzie najwyżej na cztery cale: dziób pomału odwracał się od wiatru, równocześnie cały statek płynął z wiatrem, a woda zbierająca się po stronie zawietrznej również pchała arkę naprzód. Wszystko to odbywało się bardzo wolno, gdyż wiatr był słaby i jak zwykle zmienny. Żagiel kilka „razy zmieniał pozycję, a raz zupełnie się odwrócił.

Gdyby arka miała kil, niechybnie uderzyłaby dziobem w pomost, a wtedy nic by nie powstrzymało Huronów od wzięcia jej szturmem, tym bardziej że mogli podejść kryjąc się za żaglem. Ale stało się inaczej: statek ominął pomost. Natomiast nie udało mu się ominąć palisady, wysuniętej na kilkanaście, stóp: dziób statku wpakował się między dwa pale na jednym z ostrych rogów ogrodzenia i jakby zawisł w powietrzu. Delawar czał się za otworem strzelniczym, wypatrując celu. Huroni na zamku zachowywali się w podobny sposób. Ciężko poturbowany wojownik siedział na pomoście oparty o ścianę domu, koledzy bowiem nie zdążyli zabrać go ze sobą. Hurry leżał na środku pomostu jak kłoda albo jak związany baran w drodze do rzeźni. Chingachgook mógł z łatwością sprzątnąć wojownika, ale Huron ocaliłby skalp, młody wódz zaś gardził zabójstwem, jeśli nie mogło mu przynieść ani zaszczytu, ani pożytku. – Wystaw bosak, Wężu, jeśli jesteś Wężem! – zawołał Hurry jęcząc z bólu, jaki sprawiały mu ściśnięte więzy. – Wystaw bosak i odepchnij dziób statku od palisady, a prąd uniesie was dalej. Gdy zrobisz sobie tę przyjemność, zrób też coś dla mnie i sprzątnij tego charczącego łajdaka.

Apel Hurry'ego tyle zdziałał, że zwrócił uwagę Cyt na jego położenie. Bystrej dziewczynie wystarczyło jedno spojrzenie, aby zrozumieć, o co tu chodzi. Nogi Hurry'ego były w kostkach kilka razy okręcone mocnym powrozem z kory, ramiona zaś w podobny sposób związane mu powyżej łokci na plecach, tak że miał nieco swobody ruchów w rękach. Cyt zbliżyła usta do otworu strzelniczego i cicho, lecz wyraźnie powiedziała:

–Czemu ty nie stoczysz się z pomost, i nie spadniesz na arka? Chingachgook zastrzeli Huron, jeśli on cię gonić!

–Na Boga, dziewczyno, myśl jest przednia! Spróbujemy, jeśli tylko tył arki zbliży się do pomostu. Połóż siennik na pokładzie, abym miał na co spaść. Powiedział to w

samą porę, bo Indianie, znudzeni czekaniem, nagle wszyscy na raz dali ognia. Kilka kul przeszło przez otwory strzelnicze arki, ale nikogo nie raniły. Cyt usłyszała tylko część tego, co powiedział Hurry, gdyż huk strzałów zagłuszył jego słowa. Odryglowała drzwi prowadzące na tył statku, ale nie odważyła się wyjść na pokład. Dziób arki tkwił jeszcze między palami, ale powoli się uwalniał, tył statku bowiem zwolna zawracał i zbliżał się do pomostu. Hurry leżał teraz zwrócony twarzą ku arce, wijąc się i przewracając z boku na bok, co zresztą pod wpływem bólu robił bez przerwy od chwili, gdy go związano. Bacznie obserwując każdy ruch arki ujrzał wreszcie, że dziób jej wydostał się spomiędzy pali i statek ociera się już o palisadę. Ważył się na krok bardzo niebezpieczny, ale był to jedyny sposób uniknięcia tortur i śmierci. Sposób ten zresztą odpowiadał temperamentowi takiego ryzykanta, jakim był Hurry. Wyczekał cierpliwie, aż tył statku dotknął pomostu. Udając, że wije się z bólu, i klnąc przy tym Indian w ogóle, a Huronów w szczególności, nagle zaczął się toczyć ku rufie arki. Niestety chciało, że szerokie bary Hurry'ego zataczały szersze koła niż jego nogi, co sprawiło, że gdy dotarł do krawędzi pomostu, rozminął się z arką. Czas naglił, ruchy Hurry'ego były bardzo szybkie – skończyło się na tym, że wpadł do wody. W tej chwili Chingachgook, działając w porozumieniu z Cyt, po raz wtóry ściągnął ogień Huronów na arkę, dzięki czemu żaden z nich nie zauważył, że jeniec, tak przecież mocno przez nich związany, zniknął. Cyt bardzo leżało na sercu, aby jej śmiały plan nie spełził na niczym, śledziła więc każdy ruch Hurry'ego, podobnie jak kot pilnuje myszy. Gdy jeniec zaczął się toczyć po pomoście, od razu przewidziała, co z tego wyniknie – tym bardziej że arka właśnie pomału odbijała od zamku – pomyślała więc o środkach ratunku. Z instynktowną przytomnością umysłu otworzyła drzwi w chwili, gdy huk strzałów brzmiał jej jeszcze w uszach, i pod osłoną kajuty wybiegła na tył statku w samą porę, aby zobaczyć, że Hurry wpadł do wody. Przypadkiem stanęła na końcu liny żaglowej, przymocowanej do rufy. Chwyciła luźną część liny, co prawda nie po marynarsku, ale za to z odwagą szlachetnej kobiety, i rzuciła ją nieszczęsnemu jeńcowi. Lina upadła na głowę i ciało tonącego, któremu udało się chwycić ją w ręce, a nawet w zęby. Hurry był świetnym pływakiem i mimo więzów ratował się w sposób bardzo umiejętny i rozsądny. Upadł na plecy. Ale nawet nie próbował wstać i brnąć po wodzie, przy czym niechybnie by utonął, lecz zanurzył się cały w wodzie i tylko głowę trzymał na wierzchu. W takiej pozycji złapał linę. Rękami posługiwał się w podobny sposób jak ryba płetwami i byłby tak został w wodzie aż do chwili wyciągnięcia go przez Huronów, gdyby Cyt nie przyszła mu z pomocą. Arka oddalając się naciągnęła linę i zaczęła wolno holować Hurry'ego. Dzięki ruchowi arki łatwiej mu było utrzymać głowę nad wodą. Człowiek o jego sile i tak wytrzymały mógł w ten sposób, niezwykle, ale i prosty, przepłynąć nawet milę.

Powiedzieliśmy, że Huroni nie zauważyli nagłego zniknięcia Hurry'ego. Obecnie zasłaniał go nie tylko pomost, w miarę bowiem oddalania się arki na pełnym żaglu tę samą przysługę oddawała mu palisada. Huroni zresztą tak się zawzięli na życie delawarskiego wroga i tak pałali chęcią posłania mu kuli przez otwór strzelniczy lub inną szczelinę w ścianie kajuty, że zapomnieli o mocno skrępowanym jeńcu. Arka

ocierała się teraz o palisadę, a tarcie zmniejszało jej szybkość co najmniej o połowę. Ruch arki przykuł uwagę Huronów, którzy przebiegli na północną stronę zamku, aby wykorzystać otwory strzelnicze z tamtej strony i ostrzelać statek. Chingachgook też czyhał na wroga i nie wiedział, co się dzieje z Hurry'm. Gdy arka przepływała koło nowego stanowiska Indian, po obu stronach z otworów strzelniczych ukazały się obłoczki dymu, ale wszyscy tak się gorączkowali, że nikomu nic się nie stało. Wreszcie, ku zmartwieniu- jednych, a radości drugich, arka oderwała się od palisady i nabierając szybkości skierowała się na północ.

Teraz dopiero Chingachgook dowiedział się od Cyt o krytycznym położeniu Hurry'ego. Nie mogli wyjść na tył statku, gdyż groziło to pewną śmiercią. Na szczęście ta sama lina, której kurczowo trzymał się Hurry, prowadziła na przód statku, gdzie była przywiązana u dołu żagla. Delawarowi udało się odwiązać linę od kołka na rufie, Cyt zaś, która wyszła na przód statku, zaraz zaczęła ją ciągnąć do siebie. Hurry, holowany przez arkę, płynął w odległości około pięćdziesięciu stóp, trzymając głowę na powierzchni wody. Kiedy na tyle oddalił się od zamku, że palisada już nie zasłaniała go przed oczami Huronów, dzicy zobaczyli, co się dzieje, zawyli jak potępienci i zaczęli strzelać do Hurry'ego jak do kaczki na wodzie. W tej chwili Cyt zaczęła ciągnąć linę. Ta pomoc, a także zimna krew i zręczność Hurry'ego ocaliły mu życie. Pierwsza kula padła dokładnie w tym miejscu, gdzie w przeźroczystym żywiole widać było szeroką pierś młodego olbrzyma, i byłaby przeszła mu serce, gdyby poszła pod kątem mniej ostrym. Odbiła się jednak od gładkiej powierzchni jeziora, poszła w górę i utkwiała w ścianie arki obok miejsca; w którym przed chwilą ukazał się Chingachgook, kiedy odwiązywał linę od kołka na rufie. Druga, trzecia i czwarta poszły za pierwszą – wszystkie odbiły się od wody. Hurry odczuł wstrząs, kule bowiem padały tuż nad jego piersią. Huroni spostrzegli się, na czym polega ich błąd, zmienili taktykę i celowali teraz w odsłoniętą twarz zbiega, ale Cyt ciągnęła już linę i cel szybko uciekał strzelającym, śmiertelne pociski padały więc w wodę. W chwilę potem ciało Hurry'ego minęło rufę i ukryło się za burtą arki. Delawar i Cyt ciągnęli linę, schowani za kajutą. Prędzej, niż zdążyliśmy to powiedzieć, dociągnęli olbrzyma do miejsca, w którym stali. Chingachgook wyjął ostry nóż, wychylił się przez burtę i szybko poprzecinał więzy, którymi skrupowane były kończyny Marcha. Nie łatwo natomiast było podnieść go na wysokość burty i pomóc mu wejść na pokład, gdyż nie od razu odzyskał władzę w rękach. Ale i to się udało. Ocalony młodzieniec był tak wyczerpany, że zachwiał się i runął na pokład. Niechże sobie poleży, póki nie odzyska sił i nie wróci mu normalne krążenie krwi, a my zajmijmy się wypadkami, które potoczyły się teraz tak szybko, że nie możemy zwlekać z opowiedzeniem ich czytelnikowi.

Huroni, gdy Hurry zniknął im z oczu, zawyli z bezsilnego gniewu. Trzech najdzielniejszych wojowników pobiegło do luki i skoczyło do czółna. Nie od razu jednak – jeśli wolno nam tutaj użyć terminu fachowego – „statek odbił od przystani”. Indianie musieli zabrać z sobą broń i znaleźć wiosła. Hurry znajdował się już na arce,

a Delawar znów naładował strzelby. Prom, płynąc z wiatrem, oddalił się już o dwieście jardów od zamku i tak lekko ślizgał się po powierzchni jeziora, że ledwie widoczna bruzda znaczyła jego drogę. Czółno sióstr Hutter znajdowało się w odległości ćwierć mili od arki. Dziewczęta trzymały się z daleka, nie wiedziały bowiem, co zaszło na zamku, i obawiały się zgubnych skutków spotkania z arką. Płynęły teraz ku wschodniemu brzegowi, a równocześnie chciały z daleka minąć arkę i znaleźć się między nią a zamkiem, nie wiedziały bowiem, gdzie są ich przyjaciele, a gdzie wrogowie. Wiosłami posługiwały się z wielką wprawą. Zwłaszcza Judyta była doskonałą wiosłarką: nieraz ścigała się z młodzieńcami, którzy odwiedzali ich tutaj, i zawsze pierwsza przybywała do mety.

Kiedy trzech Huroni wypłynąwszy zza palisady znaleźli się na otwartym jeziorze i mieli – jeśli zechcą trwać w pierwotnym zamiarze – ścigać arkę, wystawieni na kule przeciwnika, ich zapał znacznie ochłodził. W czólnie byli zupełnie odstępni, a indiański rozsądek mówił im, że jeśli porwą się na nieprzyjaciela obwarowanego na arce, czeka ich pewna śmierć. Zrezygnowali więc z pościgu i skierowali się ku wschodniemu brzegowi, trzymając się w takiej odległości od arki, aby nie dosięgły ich kule Chingachgooka. Manewr Huronów był bardzo niebezpieczny dla dziewcząt, które, na domiar złego, nie orientowały się w sytuacji i obawiały się, że zostaną wzięte we dwa ognie. Judyta postanowiła umknąć z sieci – którą jak jej się zdawało, Huroni chcieli zarzucić na jej czółno – i rozpoczęła odwrót na południe, nie oddalając się zbyt od brzegu. Nie odważyła się wyjść na brzeg, ucieczkę na ląd uważała bowiem za ostateczność. Początkowo "Indianie nie zwracali uwagi na czółno dziewcząt. Wiedzieli, kto na nim płynie, i lekceważyli sobie tę zdobycz. Natomiast na arce spodziewali się znaleźć skarby i wziąć do niewoli Delawara i Hurry'ego, a sam statek dałby im dużą swobodę ruchów na wodach jeziora. Arka była więc wielką pokusą, ale przedstawiała też niemałe niebezpieczeństwo. Huroni, nie mogąc się zdecydować, przez godzinę kręcili się po jeziorze, stale w przyzwoitej odległości od strzelby Chingachgooka. Teraz nagle puścili się w pościg za dziewczętami.

Zanim Indianie nareszcie się zdecydowali, położenie arki i czółna dziewcząt znacznie się zmieniło. Arka, bez przerwy płynąc pod żaglem, znalazła się już pół mili na północ od zamku. Delawar spostrzegł, że dziewczęta unikają arki; sam nie umiał manewrować ciężkim statkiem i zdawał sobie sprawę, że w razie pościgu nie ujdzie przed lekkim czólnem, opuścił żagiel w nadziei, że skłoni to dziewczęta do schronienia się na arce. Dziewczęta tego nie zrozumiały, natomiast dzięki manewrowi Delawara prom stanął i jego załoga mogła z dość bliska obserwować przebieg pościgu. Czółno Judyty znajdowało się ćwierć mili na południe (z lekkim odchyleniem ku wschodniemu brzegowi) od czółna Huronów i w tej samej mniej więcej odległości na południe od zamku. W takiej sytuacji rozpoczął się pościg.

Czółno Indian nienajlepiej było przygotowane do wyścigów. Mieli tylko dwa wiosła, a trzeci wojownik stanowił niepotrzebne obciążenie. Różnica wagi sióstr i Indian, zwłaszcza na tak lekkich łódkach, niemal równoważyła przewagę sił mężczyzn.

Zapowiadała się tedy walka wcale nie taka nierówna, jakby się zdawało. Judyta odczekała, aż Indianie zbliżyli się na tyle, że nie było już wątpliwości co do ich zamiarów. Potem wezwała Hetty, aby jej pomogła, wyężyła swe siły i wiosłowała, jak umie najlepiej.

–Po cóż uciekać, Judyto? – zapytała Hetty. – Huroni nie zrobią mi nic złego.

–Tobie może nie zrobią krzywdy, ale nie zapominaj o mnie. Ukłęknij i zmów pacierz, a potem wstań i pomóż mi w ucieczce. Pomódl się także za mnie, kochana Hetty.

Judyta powiedziała tak z dwóch powodów: wiedziała, że siostra, ilekroć znajdzie się w biedzie, prosi Boga o pomoc, a poza tym dumna dziewczyna sama poczuła się słaba i bezradna, gdy wystawione na ciężką próbę, mogły liczyć tylko na własne siły. Hetty szybko odmówiła modlitwę i łódka poderwała się z miejsca. Obie strony oszczędzały się wiedząc, że czeka je długa i ciężka walka. Załogi czółen, niczym załogi dwóch statków wojennych, które przygotowują się do spotkania, chciały najpierw sprawdzić, jaka jest szybkość przeciwnika, aby móc odpowiednio rozłożyć swe wysiłki, zanim nastąpi rozstrzygający wyścig. Po paru minutach Huroni przekonali się, że dziewczęta są świetnymi wiosłarkami i że aby je dogonić, będą musieli wyężyć wszystkie swe siły i doskonale wiosłować.

Judyta zrazu skierowała się ku wschodniemu brzegowi z myślą o wyjściu na brzeg i ucieczce do lasu jako ostatniej desce ratunku. W miarę jednak zbliżania się do brzegu, zupełnie odeszła ją ochota do lądowania, skoro pewne było, że każdy ich ruch śledzą ukryci tam zwiadowcy. Zresztą, była świeża i wypoczęta i miała nadzieję, że uda jej się zmęczyć prześladowców. W tej myśli, w chwili gdy miała już schować się w cieniu rosnących na brzegu jodeł, mocno uderzyła wiosłem i zawróciła ku środkowi jeziora. Huroni uznali, że teraz należy zaatakować dziewczęta, gdyż kiedy znajdą się między lądem a ściganymi, będą mieli przed sobą najszerszą część jeziora, a tym samym – dogodne pole do pościgu. Czółna ruszyły z niezwykłą szybkością. Judyta brak siły nadrabiała zręcznością i przytomnością umysłu. Łodzie zrobiły już pół mili, a Indianie wcale nie zbliżyli się do czółna Judyty. Nadmierny wysiłek zmęczył obie strony. Indianie uciekli się teraz do sposobu, dzięki któremu jeden z nich odpoczywał, a dwaj wiosłowali, nie osłabiając swych wysiłków, mianowicie zmieniali się przy wiosłach. Judyta, która co jakiś czas się oglądała, zauważyła, co się dzieje. Zwątpiła w zwycięstwo, wiedziała bowiem, że nie sprostają siłom trzech mężczyzn wiosłujących na zmianę. Nie ustawała jednak w wysiłku i nowa taktyka przyniosła ścigającym niewielkie rezultaty.

Jak dotąd, Indianom udało się zbliżyć do czółna dziewcząt na odległość dwustu jardów. Nie mieli się czym chwalić, gdyż był to pościg śladem, to znaczy, że czółno Indian szło prosto za czółnem ściganym i odbywało tę samą drogę. Fachowcy nazywają to „pościgiem za rufą”, który jest znany jako „długi pościg”, co znów oznacza, że zmiany położenia statków są mało widoczne do chwili, gdy ścigający

dogoni uciekającego. Choć był to „długi pościg”, Judyta, zanim dotarła do środka jeziora, zauważyła, że Huroni są coraz bliżej. Niełatwo wpadała w rozpacz. Przyszło jej jednak na myśl, żeby się poddać: mogła w ten sposób dostać się do obozu, w którym więziony był Pogromca Zwierząt. Gdy jednak pomyślała o sposobach, jakich będąc na wolności może spróbować, aby wydostać Pogromcę z niewoli, zebrała wszystkie siły i wiosłowała dalej. Gdyby ktoś obserwował ruchy obu czołen, musiałby zauważyć, że nagle Judyta zaczęła szybko umykać Huronom, szlachetny bowiem zapal dziewczyny dodał jej nowych sił. W ciągu następnych pięciu minut czołno Judyty tak wysunęło się naprzód, że Huroni doszli do wniosku, iż muszą się zdobyć na największy wysiłek albo spotka ich haniebna klęska z rąk kobiet. Tak się tym przejęli, że zaczęli wiosłować jak opętani, aż najsilniejszy z nich złamał wiosło w chwili, gdy przejął je od towarzysza. To od razu rozstrzygnęło walkę: czołno z trzema mężczyznami i jednym wiosłem w żadnym razie nie mogło dogonić córek Tomasza Huttera.

–Patrz, Judyto! – zawołała Hetty, która zobaczyła, co się stało. – Teraz chyba sama przyznasz, że warto się modlić! Huroni złamali wiosło i nigdy nas nie dogonią.

–Wcale nie mówiłam, że nie warto się modlić, kochana Hetty. Czasem z goryczą myślę, że powinnam była więcej się modlić, a mniej myśleć o mej urodzie. Masz słusność, jesteśmy uratowane, popłyniemy jeszcze kawałek na południe i trochę odetchniemy.

Tak też zrobiły. Niczym statek, który stracił główny maszt, czołno nieprzyjacielskie zaniechało pościgu natychmiast po stracie wiosła. Gdy czołno Judyty mknęło na południe, Huroni zawrócili na zamek i wysiedli na pomoście. Dziewczęta obawiając się, że Indianie mogą znaleźć na zamku zapasowe wiosła, zatrzymały się tak daleko, że w razie ponowienia pościgu ucieczka ich miała wszelkie widoki powodzenia. Dzikim odechciało się jednak uganiania za dziewczętami i po godzinie siostry ujrzały, jak czołno pełne wojowników opuściło zamek i popłynęło ku brzegowi. Nie miały z sobą żywności, zbliżyły się więc do zamku i arki. Z zachowania się arki w czasie pościgu wywnioskowały, że na jej pokładzie znajdują się przyjaciele.

Choć zamek robił wrażenie pustego, Judyta zbliżała się doń z największą ostrożnością. Arka, o milę na północ, płynęła w kierunku zamku. Judyta po ruchach statku poznała, że sterem kieruje pewna ręka białego człowieka. Kiedy znalazły się o sto jardów od domu, okrążyły go, by się upewnić, że nikogo nie ma w środku. Nie było widać czołna, to dodało im odwagi. Zbliżały się pomalutku, aż w końcu, po okrążeniu zamku wzdłuż palisady, zatrzymały się przy pomoście.

–Wejdz do domu, Hetty- powiedziała Judyta – i zobacz, czy wszyscy Indianie się wynieśli. Tobie nic złego nie robią. Jeśli jest tam jeszcze ktoś, ostrzeżesz mnie. Nie zechcą chyba strzelać do biednej, bezbronnej dziewczyny i będę mogła uciec; a jak będzie trzeba, sama, z własnej woli przyjdę do nich.

Hetty usłuchała. Gdy wyszła na pomost, Judyta cofnęła się parę jardów, gotowa do ucieczki. Ale nie było to potrzebne, gdyż przed upływem minuty Hetty wróciła i powiedziała, że na zamku wszystko jest w porządku.

–Byłam we wszystkich pokojach, Judyto – powiedziała z powagą – wszędzie pusto, tylko ojciec jest w swoim pokoju i śpi, ale jakoś niespokojnie.

–Może mu się coś stało? – żywo zapytała Judyta wchodząc na pomost. Jej nerwy były jeszcze napięte po przygodzie na jeziorze. Hetty, zmieszana, nieufnie rozejrzała się, jakby z obawy, aby ktoś obcy nie usłyszał tego, co może powiedzieć tylko siostrze. Trochę zwlekała z zawiadomieniem Judyty o tym, co się stało.

–Wiesz, jak bywa z tatusiem – powiedziała. – Gdy wypije za dużo, nie zawsze wie, co mówi i co robi. Dziś, zdaje się, też wypił za dużo.

–To dziwne! Czyżby dzicy z nim pili i potem zostawili go tutaj? Smutny to widok dla dziecka patrzeć na ojca w tak żalnym stanie. Pójdziemy do niego, dopiero jak się obudzi.

Z drugiego pokoju dały się słyszeć jęki. Dziewczęta zdecydowały się wejść do pokoju ojca, którego nieraz już widziały w takim stanie, że niczym nie różnił się od zwierzęcia. Stary siedział w kącie, oparty plecami o ścianę, głowa ciężko opadła mu na pierś. Judyta tknięta złym przeczuciem, podbiegła do ojca i zdjęła mu płócienny kaptur, naciśnięty tak głęboko, że zakrywał całą głowę i szyję aż po ramiona. Dziewczęta ujrzały drgające żywe mięso, obnażone żyły i mięśnie – odrażający obraz głowy odartej ze skóry. Hutter został oskalpowany, lecz jeszcze żył.

ROZDZIAŁ 21

O duchu, który odszedł, będą mówić lekko

I zimny proch znieważać, A jemu to tyle

Co nic... Byleby tylko miał sen pod powieką.

Byle zasnął spokojnie w ojczystej mogile!

Wolfe

Czytelnik może sobie wyobrazić przerażenie, jakie ogarnęło Judytę i Hetty, kiedy nagle ujrzały wstrząsający widok opisany przez nas w poprzednim rozdziale. Pominie my milczeniem pierwsze uczucia kochających córek, nic też nie powiemy o strasznej scenie, jaka rozegrała się w pokoju. Pozostawiając to wszystko wyobraźni czytelnika, sami przystępujemy do dalszego ciągu naszego opowiadania. Dziewczęta zabandażowały okaleczoną głowę starca, otarły krew z twarzy nieszczęśnika i zrobiły wszystko, co mogło ulżyć jego cierpieniom. Dopiero po wielu latach wyszło na jaw, jak doszło do oskalpowania. Możemy jednak podać tutaj parę szczegółów. W czasie walki Huttera pchnął nożem stary wojownik, który był na tyle ostrożny, że odebrał broń wszystkim innym, ale sam nie rozstał się z nożem. Gdy w walce krzepki starzec dobrze dał mu się we znaki, wojownik nożem przypieczętował swe zwycięstwo. Nastąpiło to w chwili, gdy drzwi się otworzyły i Hurry wypadł na pomost, o czym już mówiliśmy. Wynik rozprawy między wojownikiem a Hutterem sprawił, że żaden z nich nie wziął udziału w dalszej walce na pomoście: Hutter był już zupełnie niezdolny do walki, a zbryzgany krwią zwycięzca wstydził się młodych wojowników, których tak wymownie przekonywał, że białych trzeba wziąć żywcem. Gdy trzech Huroni po powrocie z pościgu postanowili opuścić zamek i dołączyć się do oddziału na łądzie, oskalpowali Huttera, aby zdobyć trofeum, i zostawili go na pastwę powolnej śmierci. Trzeba dodać, że okrutni wojownicy indiańscy tej części kontynentu amerykańskiego często tak postępowali. Gdyby Hutter był tylko oskalpowany, mógłby jeszcze ujść z życiem, ale rana zadana nożem okazała się śmiertelna.

Bywają chwile, w których surowa sprawiedliwość boska ukazuje się tak wyraźnie, że nie możemy odwrócić od niej oczu, choć wolelibyśmy uniknąć niemiłego nam widoku. Tak też było z Judytą i Hetty. W cierpieniach ojca, stanowiących karę za zbrodnię, której sam chciał się niedawno dopuścić wobec Irokezów, dziewczęta ujrzały surową rękę Opatrzności. Bystra i wrażliwa Judyta odczuła to bardzo silnie. Na naiwnej Hetty kara, jaka spotkała ojca, zrobiła może mniejsze wrażenie, ale za to dziewczyna nieprędko o tym zapomniała.

–Och, Judyto! – zawołała Hetty, gdy już udzieliły rannemu pierwszej pomocy. – Ojciec chodził po skalpy i czego się doczekał? Gdyby przeczytał Biblię, wiedziałby,

że czeka go straszna kara.

–Cicho! Cicho, Hetty, moja biedna siostró... Ojciec otwiera oczy, może usłyszeć i zrozumieć, co mówisz. Jest tak, jak myślisz, ale to zbyt straszne, by o tym mówić.

–Wody! – krzyknął Hutter. Uczynił to z tak wielkim wysiłkiem, że głos zabrzmiał niezwykle donośnie jak na umierającego. – Wody! Czy chcecie, smarkule, żebym umarł z pragnienia?

Przyniosły wody i podały nieszczęsnemu ojcu. Pił po raz pierwszy od kilku godzin, spędzonych w przedśmiertnych mękach. Woda zwilżyła mu gardło i przyniosła chwilową ulgę. Otworzył oczy, wzrok miał niespokojny i błędny, jak człowiek, który lada chwila rozstanie się z życiem. Chciał coś powiedzieć.

–Ojcie! – zawołała Judyta. Serce pękało jej na widok cierpienia ojca, wobec którego była bezsilna. – Ojcie, co mogłybyśmy zrobić dla ciebie? Czy Hetty i ja mogłybyśmy ulżyć twym cierpieniom?

–Ojcie? – powoli powtórzył starzec. – Nie, Judyto, nie, Hetty – nie jestem waszym ojcem. Tylko ona była waszą matką. Poszukajcie w skrzyni... wszystko tam znajdziecie... Dajcie wody.

Dziewczęta przyniosły mu wody. Judyta, która sięgała pamięcią dalej niż jej siostra i lepiej od niej pamiętała czasy dzieciństwa, gdy usłyszała słowa starca, doznała uczucia nieodpartej radości. Między nią i jej rzekomym ojcem nigdy nie było wielkiej sympatii. Judycie nieraz przychodziły do głowy bliskie prawdy podejrzenia, oparte na podsłuchanych rozmowach między Hutterem i jej matką. Nie można jednak powiedzieć, aby zupełnie nie kochała starego. Niemniej cieszyła się, że nie miała już obowiązku uważać go za ojca. Zupełnie innych uczuć doznała Hetty. Nie dorównywała Judycie inteligencją, ale była istotą o czułym sercu i kochała swego rzekomego ojca, chociaż mniej niż prawdziwą matkę. Zmartwiło ją, gdy się dowiedziała, że stary nie miał naturalnego prawa do jej miłości. Żal jej był podwójny: jakby śmierć i słowa starego dwukrotnie pozbawiły ją ojca. Nie mogąc opanować wzruszenia usiadła w kącie i płakała.

Odmienne uczucia dziewcząt miały ten sam skutek – obie pogrążyły się w milczeniu. Judyta co chwilę podawała wodę cierpiącemu, ale o nic go nie pytała, po części z uwagi na stan, w jakim się znajdował, ale – jeśli mamy być szczerzy – również z obawy, aby do swego wyznania nie dodał czegoś takiego, co by zmąciło jej radość, że nie jest córką Tomasza Huttera. Wreszcie Hetty otarła łzy, podeszła i usiadła na stołku przy umierającym, którego ułożyły na podłodze z głową opartą o stare ubrania, jakie zostały w domu.

–Ojcie – powiedziała – pozwól mi nazywać cię ojcem, choć mówisz, że nim nie

jesteś – czy mogę poczytać ci Biblię? Matka zawsze mówiła, że Biblia jest potrzebna nieszczęśliwym. Sama często była nieszczęśliwa i prosiła mnie, żebym czytała, bo. Judyta nie lubiła Biblii tak jak ja. Zawsze jej to przynosiło ulgę. Ileż razy matka zaczynała słuchać z oczami pełnymi łez, a pod koniec uśmiechała się zadowolona. Och, ojczu, nie wiesz, ile dobrego może zrobić Biblia, bo nigdy nie próbowałeś znaleźć w niej ukojenia. Przeczytam ci teraz rozdział, który wzruszy twe serce, podobnie jak wzruszył serca Huronów.

Biedna Hetty odnosiła się do Biblii z głęboką czcią i wiarą. Instynktowne wyczucie tego, co dobre, nie pozwalało jej popełnić złego uczynku i dzięki temu promieniowała pięknem moralnym i prawdą, ale nie była zdolna przeniknąć zjawisk zawiłych lub śledzić delikatnych związków między przyczyną i skutkiem, widziała bowiem tylko związki najbardziej oczywiste i niesporne; za to z tego, co rozumiała, umiała wyciągnąć słuszne wnioski. Słowem, należała do tych, którzy wiedzą, co dobre, i słusznie postępują, ale czynów swych nie umieją logicznie uzasadnić. Dlatego ustępy z Biblii wybierała w sposób naiwny, najczęściej wedle obrazów rzeczy jej znanych i dotykalnych. Jej matka, co zapewne zastanowi czytelnika, miała szczególną skłonność do księgi Hioba. Hetty nauczyła się czytać głównie na rozdziałach tego pełnego dostojeństwa i wzniosłości poematu, uważanego obecnie za księgę najstarszą w świecie. Dzisiaj biedna dziewczyna, wierna naukom matki, zwróciła się do tej dobrze jej znanej części Biblii z wprawą wytrawnego adwokata cytującego powagi wiedzy prawniczej. Na wybór rozdziału wpłynął jego nagłówek, który brzmiał: „Hiob usprawiedliwia swe pożądanie śmierci”... Przeczytała ten rozdział od początku do końca głosem miarowym, miłym, cichym i smutnym, wierząc święcie, że alegoryczne obrazy i księgi Hioba przyniosą sercu umierającego upragnioną ulgę. Już pierwsze słowa: „Izali czas nie jest zamierzony człowiekowi na ziemi?” – uderzyły umierającego. W miarę jak Hetty czytała, Hutter coraz lepiej rozumiał związek między aforyzmami i figurami języka Biblii a jego obecnym stanem fizycznym i moralnym. Gdy duch opuszcza ciało człowieka, umysł ludzki chwyta się nadziei, jeśli nie uległ jeszcze ostatecznej rozpaczce. Pełne patosu słowa: „Zgrzeszyłem. Cóż mam uczynić, o Stróże Ludzki? Czemuś mnie sobie za cel położył, abym był sam sobie ciężarem?” – zastanowiły Huttera bardziej niż inne. Słowa te były zbyt niejasne, aby człowiek, którego uczucia zwiędły i rozum stępsiał, mógł je w pełni odczuć i zrozumieć. Ale tak bezpośrednio odnosiły się do obecnego stanu Huttera, że konający zadrzał.

–Czy nie czujesz się teraz lepiej, ojczu? – zapytała Hetty zamykając Biblię. – Matce zawsze przynosiło to ulgę.

–Wody! – odpowiedział Hutter. – Daj mi wody, Judyto. Czy ten język nie przestanie mnie palić? Hetty, czy w Biblii nie ma mowy o człowieku, który smaży się w ogniu piekielnym i chce sobie ochłodzić język?

Judyta odwróciła się zgorszona. Hetty szybko znalazła w Biblii nowy ustęp i przeczytała go ofierze własnej chciwości.

–Otóż to, Hetty. Język pali mnie już teraz, a co będzie potem?

Hetty, która zawsze była dobrej myśli, zamilkła, nie znalazła bowiem odpowiedzi na pełne rozpaczy wyznanie Huttera. Siostry niewiele mogły pomóc konającemu. Pewną jednak ulgę przynosiła mu woda, którą podawały, ilekroć o to poprosił. Nawet Judyta zaczęła się modlić. Hetty, gdy nie mogła już nakłonić ojca do słuchania Biblii, uklękła przy nim i żarliwie powtarzała słowa, które Zbawiciel zostawił nam jako wzór modlitwy. Odmawiała tę modlitwę, chwilę milczała i znów do niej wracała, tak długo – póki uważała, że może to jeszcze pomóc umierającemu. Agonia trwała jednak dłużej, niż przewidywały dziewczęta, gdy ujrzały Huttera. Chwilami stary mówił zrozumiale, ale przeważnie mełł w ustach niewyraźne dźwięki, których znaczenia nie można się było domyślić. Judyta pilnie nadstawiała ucha (i rozumiała poszczególne słowa: „mąż”, „śmierć”, „korsarz”, „prawo”, „skalpy” i parę innych, ale trudno było domyślić się związku między tymi słowami i ułożyć je w zdania. Dla pilnie nadsluchującej i bystrej dziewczyny słowa te miały jednak pewien sens, gdyż obły się jej o uszy niepoehlebne pogłoski, jakie krążyły o jej rzekomym ojcu.

Minęła jeszcze jedna ciężka godzina, w czasie której dziewczęta zapomniały o Huronach i nie obawiały się ich powrotu. Mogłoby się zdawać, że smutek i ból chronią je przed niebezpieczeństwem napaści. Kiedy wreszcie dał się słyszeć plusk wiosel, nawet Judyta, jedyna, która mogła obawiać się nieprzyjaciół, nie zadrżała i od razu domyśliła się, że to arka zbliża się do zamku. Bez obawy wyszła na pomost – gdyby nawet okazało się, że nie Hurry, lecz Huroni są panami arki, i tak ucieczka była niemożliwa. Poza tym nabrała ufności, jak każdy, kogo spotkało wielkie nieszczęście. Ale nie było powodu do obaw. Na pokładzie statku stali Chingachgook, Cyt i Hurry, pilnie przyglądając się zamkowi, chcieli bowiem upewnić się, że w środku nie ma wrogów. Widzieli, jak Huroni opuścili zamek, a potem – jak podpłynęło czółno dziewcząt. Ten drugi fakt ośmielił, Marcha do zbliżenia się do pomostu. Jedno słowo Judyty upewniło ich, że nie ma powodu do obaw. W chwilę później arka była przycumowana na swym zwykłym miejscu.

Judyta ani słowem nie wspomniała o ojcu, lecz Hurry za dobrze ją znał, aby nie poznać po jej twarzy, że stało się coś bardzo złego. Wszedł pierwszy do domu, ale z miną znacznie mniej pewną siebie i mniej zuchwałą niż zwykle. W drugim pokoju ujrzał Huttera leżącego na wznak i Hetty, która siedziała obok i wachlowała go z oddaniem kochającej córki. Hurry bardzo się zmienił pod wpływem rannych przygód. Wprawdzie okazał się świetnym pływakiem i z wielką przytomnością umysłu chwycił się jedynej deski ratunku, ale fakt, że znalazł się w wodzie bezsilny, ze związanymi rękami i nogami, wywarł na nim wrażenie podobne do wpływu, jaki ma na przestępcę bliskość czekającej go kary. Słowem, nie ochłonął jeszcze z wrażenia strasznej śmierci, do której niewiele mu brakowało. Był śmiałkiem nie tyle dzięki silnej woli lub wrodzonej odwadze, ile dlatego, że ufał swej niezwykłej sile fizycznej. Takim bohaterom ubywa odwagi w miarę utraty sił. Hurry nie miał już na sobie więzów i. wróciły mu siły, ale dobrze pamiętał żaloszny stan, w jakim się znalazł tego ranka.

Choćby żył jeszcze sto lat, nie mógł zapomnieć krótkiej chwili, jaką spędził w jeziorze. Przygoda ta wywarła zbawienny wpływ na jego charakter, a po części i na zachowanie.

Widok towarzysza w tak żalonym stanie nie tylko wstrząsnął Hurry'm, ale bardzo go zdziwił. W czasie walki w domu sam był zbyt zajęty, aby mógł zwrócić uwagę na to, co się dzieje z jego towarzyszem. Zauważył, że Indianie nie chcą go zabić, lecz za wszelką cenę wziąć żywcem, sądził więc, że i Hutter po prostu uległ w walce, gdy jemu udało się uciec tylko dzięki niezwyklej sile i szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Dlatego uroczysta cisza w pokoju, zwiastująca bliską śmierć starego, zupełnie go zaskoczyła. Nieraz brał udział w krwawych bójkach, ale nigdy jeszcze nie siedział przy łóżku konającego i nie liczył wolnych uderzeń pulsu, które stają się coraz słabsze. Wprawdzie sam bardzo się zmienił, ale nie mógł wyzbyć się od razu prostackich manier i jak zwykle po swojemu zareagował na nieoczekiwany widok agonii Huttera.

–A to co, stary Tomie? Czyżby te smyki takiego dały ci łupnia, żeś nie tylko znalazł się na dole, ale i pójdziesz do dołu? Domyślałem się, że cię wzięli do niewoli, ale nie przypuszczałem, że ledwie zipiesz.

Hutter otworzył szklane i nieprzytomne oczy i wpatrywał się w mówiącego. Na widok towarzysza fala mętnych wspomnień uderzyła mu do głowy. Najwidoczniej nie mógł uporać się z obrazami, które tłoczyły mu się w głowie, i nie rozróżniał rzeczywistości od przywidzeń.

–Kto jesteś? – zapytał ochrypłym szeptem. Był już tak słaby, że nie mógł mówić. – Kto jesteś? Wyglądasz mi na mata ze „Śniegu”, który też był chłop na schwał i o mały włos nie dał nam w skórę.

–Jestem twym matem, Pływający Tomie, i twym towarzyszem, ale nic nie mam wspólnego ze śniegiem. Teraz jest lato. Z nastaniem mrozów Harry March zawsze opuszcza góry.

–Znam cię, jesteś Hurry Skurry. Sprzedam ci skalp! Dobry skalp, dorosłego mężczyzny, ile dasz?

–Biedny Tomie! Handel skalpami okazał się nic niewart. Postanowiłem rzucić ten interes i wziąć się do jakiejś spokojniejszej roboty.

–A sam masz skalp? Mój poszedł sobie. Czy to przyjemnie mieć skalp na głowie? Wiem, jak się czuje ten, co go stracił.. Ogień w głowie... Serce rozdarte... Nie nie... najpierw zabij, Hurry, a potem skalpuj.

–Czego ten stary chce, Judyto? Mówi,, jakby miał tego dość, podobnie jak ja. Czemu zawiązałyście mu głowę? Czy dzicy tomahawkiem rąbnęli go w pałkę?

–Zrobili mu to samo, co wy tak bardzo chcieliście zrobić Indianom. Zdarli mu z głowy włosy razem ze skórą, aby wziąć pieniądze od rządcy Kanady, tak – jak wy byście wzięli od rządcy Yorku za skalpy hurońskie.

Judyta starała się mówić spokojnie, ale z natury szczerą, a teraz bardzo wzburzona nie mogła opanować gniewu. Powiedziała to tak ostro, że Hetty podniosła głowę i spojrzała na nią z wyrzutem.

–Za ostre to słowa jak na córkę Tomasza Huttera, gdy on umiera na jej oczach – odparł Hurry.

–Chwała Bogu! Może to nie świadczy dobrze o mej biednej matce, ale nie jestem córką Tomasza Huttera.

–Nie jesteś córką Tomasza Huttera? Nie wypieraj się staruszka w godzinę jego śmierci, Judyto. To grzech, którego Bóg nigdy ci nie przebaczy. Jeśli Tom nie jest twym ojcem, to kto nim jest?

Pytanie to poskromiło buntowniczego ducha Judyty. Z uczuciem ulgi dowiedziała się, że ten, którego nigdy nie kochała, nie był jej ojcem, ale wyrzekając się rzekomego ojca zapomniała o jednej ważnej okoliczności -kto wejdzie na jego miejsce?

–Nie mogę ci powiedzieć, kto był mym ojcem – odparła już znacznie łagodniej. – Ale mam nadzieję, że był przynajmniej uczciwym człowiekiem.

–A myślisz, że stary Hutter nie był uczciwy? Widzisz, Judyto, nie przeczę, że przykre rzeczy opowiadano o Pływającym Tomie, ale kogóż oszczędzą podłe języki? I o mnie niektórzy mówią źle, a nawet tobie, choć jesteś taka piękna, też nieraz się oberwało. Hurry powiedział to, aby wzbudzić w Judycie uczucie solidarności. Politycy mówią w podobnych wypadkach, że dali wiele do zrozumienia. Nie wiadomo, co by z tego wynikło, Judyta bowiem krew miała gorącą, a Hurry'ego szczerze nie znosiła, ale właśnie w tej chwili stało się widoczne, że nadeszła ostatnia chwila Huttera. Judyta i Hetty, które były przy śmierci matki, teraz bez trudu poznały, że starzec umiera. Z twarzy starszej siostry zniknął ostatni ślad gniewu. Hutter otworzył oczy i macał rękami wokół siebie, co świadczyło, że nic już nie widzi. Potem zaczął ciężko dyszeć, na chwilę stracił oddech – i z głębokim westchnieniem oddał ducha. Nagły zgon człowieka, który tyle miejsca zajmował w szczupłym gronie swych najbliższych, położył kres wszelkim rozmowom i sporom. Dzień minął spokojnie. Huroni, chociaż posiadali już czółno, tak byli zadowoleni ze zdobycia skalpu, że na razie zrezygnowali z napadu na zamek. W rzeczy samej, niebezpiecznie było zbliżyć się na odległość strzału do zamku i jego obecnej załogi i to też zapewne było głównym powodem ciszy na froncie. Tymczasem poczyniono przygotowania do pogrzebu Huttera. O pochowaniu go na łądzie nie było mowy. Hetty chciała, aby

zwłoki zmarłego spoczęły obok jej matki, nadnie jeziora. Na poparcie swego życzenia przytoczyła jego własne słowa, Hutter mianowicie nazwał kiedyś jezioro „rodzinnym cmentarzem”. Decyzja zapadła bez udziału Judyty, która na pewno stanowczo by się sprzeciwiła pochowaniu ojca na dnie jeziora. Nie wtrącała się jednak do przygotowań i wszystko odbyło się bez pytania jej o zdanie.

Smutny obrządek miał się odbyć o zachodzie słońca. Nie można było wybrać lepszej pory i bardziej odpowiedniego tła dla ostatniej posługi, gdyby nawet grzebano człowieka o sercu czystym i spokojnym sumieniu. Tajemnica i dostojność śmierci nakazują żyjącym odnosić się nawet do szczątków złoczyńcy z pewnym szacunkiem. Sądy ludzkie już nie obowiązują. Ludzie nie mają prawa mówić o zmarłym ani o jego przeznaczeniu, bo nic o tym nie wiedzą. W obliczu śmierci wszyscy są równi. Chociaż nie można zrównać wielkiego człowieka z małym, a prawego z nieuczciwym, wiemy, że byłoby śmiałością nie lada rościć sobie prawo do sądzenia tych, którzy stoją już przed trybunałem boskim. Kiedy Hetty powiedziała siostrze, że wszystko już jest przygotowane, i poprosiła ją na pomost, Judyta wyszła i teraz dopiero zwróciła uwagę na to, co zrobiono. Zwłoki leżały na pokładzie arki zaszyte w prześcieradło, do którego włożono kamienie z kominka, ważące sto funtów, aby ciało poszło na dno. Wszystko było gotowe, Hetty trzymała pod pachą Biblię.

Kiedy wszyscy znaleźli się na pokładzie, arka, osobliwy dom Pływającego Toma, ruszyła, aby zawieźć jego zwłoki na miejsce wiecznego spoczynku. Hurry dzierżył wiosła i obracał nimi w swych potężnych rękach jak dwoma piórkami. Przy takim mistrzu Delawar był tylko biernym świadkiem. Wiosła uderzały miarowo, arka posuwała się wolno i statecznie, z uroczystą powagą orszaku pogrzebowego. Pod regularnymi uderzeniami wiosel woda przelewała się z szumem przypominającym miarowy szum kroków żałobnego konduktu. Ciche jezioro i lasy stanowiły piękne tło obrządku. Ani jednej zmarszczki nie było na szklistej powierzchni wody, a szeroka panorama lasów zdawała się pochylać nad jeziorem i patrzeć w smutnym milczeniu na obrządek spełniany w ciszy letniego wieczoru. Judyta płakała, a nawet Hurry był wzruszony, sam nie bardzo wiedząc, czemu. Hetty była na pozór spokojna, ale trawił ją wewnętrzny ból, znacznie większy niż smutek jej siostry, gdyż czułe serce Hetty bardziej było skłonne do przywiązania się niż do miłości z wyboru. Powstrzymywała ją pobożna nadzieja, która w jej prostym sercu zajmowała tyleż miejsca, co świeckie zainteresowania jej siostry. Spodziewała się, że w tak uroczystej chwili mogą być świadkami cudu. Myśli jej były tak czyste, że z łatwością zapominała o ziemi i myślała tylko o niebie. Cyt była poważna i skupiona. Z wielkim zainteresowaniem przyglądała się pogrzebowi. Nieraz już widziała, jak chowa się blade twarze, ale ten pogrzeb był szczególnie ciekawy. Delawar przyglądał się obrządkowi z powagą, spokojem i obojętnością.

Hetty pilotowała statek wskazując Hurry'emu drogę do miejsca na jeziorze, które nazywała „grobem matki”. Czytelnik zechce sobie przypomnieć, że zamek stał blisko południowego krańca mielizny, która sięgała około pół mili na północ. Właśnie

północny skraj tej mielizny Pływający Tom wybrał na miejsce spoczynku żony i syna. Teraz obok nich miały spocząć jego zwłoki. Hetty zwykle znajdowała to miejsce wedle punktów orientacyjnych, na łądzie, ale jeszcze więcej pomagało jej w tym położenie domu, kierunek, w którym biegła mielizna i woda tak przeźroczystą, że widać było dno jeziora. Dziś orientowała się w podobny sposób. Gdy się zbliżyli do grobu matki, podeszła do Marcha i szepnęła:

–Teraz, Hurry, przestań wiosłować. Minęliśmy kamień na dnie i jesteśmy blisko grobu matki.

March odłożył wiosła, zarzucił małą kotwicę i chwycił linę, aby zatrzymać arkę. Statek powoli obrócił się na miejscu. Gdy stanął, Hetty przeszła na rufę i pokazała palcem miejsce na dnie jeziora. Nie mogła opanować wzruszenia i łzy strumieniem polały się jej z oczu. Judyta była na pogrzebie matki, ale nigdy potem nie odwiedziła jej grobu. Unikała tego miejsca nie dlatego, żeby pamięć matki była jej obojętna. Kochała matkę i gorzko opłakała jej stratę. Ale nie znosiła myśli o śmierci, a poza tym w jej własnym życiu po stracie matki nastąpiły zmiany, które ją bardzo zasmuciły i wstrzymywały od odwiedzin tego miejsca: zbłądziła i wyrzuty sumienia w bolesny sposób przypominały jej surowe nauki moralne, jakich nie szczędziła jej matka. Inaczej było z Hetty. W jej prostym i niewinnym sercu wspomnienie matki budziło tylko uczucie łagodnego smutku. Był to jednak żal nie pozbawiony uczucia radości, przywoływał bowiem obrazy doskonałego życia na tamtym świecie. Przez całe lato Hetty, gdy noc zapadła, płynęła na grób matki. Ostrożnie zarzucała kotwicę, aby nie zmącić ciszy tego miejsca, i siedząc w czólnie rozmawiała w myślach ze zmarłą. Śpiewała hymny, które unosił łagodny wietrzyk wieczorny, i powtarzała modlitwy, jakich w dzieciństwie nauczyła ją matka, spoczywająca teraz na dnie jeziora. Spędzała swe najszcześniejsze godziny na bezpośrednim obcowaniu z duchem zmarłej. Z chrześcijańskimi naukami, jakie otrzymała w dzieciństwie, mieszały się jej barbarzyńskie zwyczaje i poglądy indiańskie. Doszło do tego, że raz pod wpływem wierzeń indiańskich chciała wykonać nad grobem matki barbarzyński rytuał czerwonoskórych, ale chwilowy nastrój rozwiął się pod wpływem łagodnego, lecz stałego światła religii chrześcijańskiej, jakie płonęło w jej zacnym sercu. Obecne wzruszenie Hetty było naturalnym wylewem, uczuć córki opłakującej stratę matki, którą niezmiernie kochała i której nauki tak wryły się jej w pamięć, że nie mogła o nich zapomnieć, tym bardziej że nie miała skłonności do złego.

Pierwotna natura zastąpiła księdza w tym osobliwym obrzędzie żałobnym na odludziu. March spojrzął w dół i przez wodę, niemal tak przeźroczystą jak powietrze, ujrzał to, co Hetty nazywała „grobem matki”. Był to niski kopczyk, usypany bez pomocy łopaty. Z mogiły wystawał rąbek białego płótna, stanowiącego całun zmarłej. Zwłoki spuszczone na sznurach, Hutter przywiózł ziemi i sypał ją tak długo, aż zupełnie okryła nieboszczkę. Grób trzymał się dobrze, choć woda trochę go podmyła.

Ceremoniał pogrzebowy uspokaja ludzi nawet najbardziej nieokrzesanych i hałaśliwych. Marchowi odechciało się pokrzykiwania i postanowił wykonać swą funkcję z przyzwoitym umiarem. Myślał zapewne o karze, jaka spadła na jego towarzysza, i strasznym niebezpieczeństwie utraty życia, jakie niedawno sam przeżył. Dał znak Judycie, że wszystko jest gotowe, dziewczyna udzieliła mu ostatnich wskazówek i siłacz sam, bez niczyjej pomocy, wziął na ręce nieboszczyka i zaniósł go do burty. Nogi i ramiona Huttera opasał sznurami tak, jak to się robi z trumną, po czym zaczął wolno spuszczać zwłoki na dno jeziora.

–Nie tutaj... Harry March... nie tu – powiedziała Judyta wzdrygając się mimo woli. – Nie tak blisko miejsca, w którym leży matka, – Czemu nie, Judyto? – żywo zapytała Hetty. – Byli razem za życia, niechaj leżą razem po śmierci.

–Nie, nie... Harry March, dalej... dalej. Biedna Hetty, sama nie wiesz, co mówisz. Zostaw to mnie.

–Wiem, Judyto, że jestem słaba na umyśle i że ty jesteś mądra... ale mąż winien leżeć koło żony. Mama nieraz mówiła, że tak chowa się małżeństwa na chrześcijańskich cmentarzach.

Siostry spierały się żywo, ale po cichu, jakby z obawy, że zmarły może usłyszeć. W takiej chwili Judyta nie chciała dłużej spierać się z siostrą, ale wymownym gestem nakazała Marchowi, żeby spuścił zwłoki trochę dalej od grobu matki. W chwilę potem Hurry wyciągnął sznury, obrządek był skończony.

–Oto koniec Pływającego Toma! – zawołał wychylając się za burtę i patrząc na zwłoki Huttera leżące na dnie. – Był dzielnym towarzyszem na tropie zwierzyny i złotą miał rękę do sideł. Nie płacz, Judyto, nie rozpaczaj Hetty, najlepsi z nas muszą umrzeć; a kiedy wybije godzina, łzy i zawodzenie nie wrócą życia nieboszczykowi. Śmierć ojca to wielka strata dla was, to całkiem naturalne, tym bardziej że nie jesteście zamężne. Ale jest na to sposób. Dwie takie młode i ładne panny wnet znajdą amatorów. Judyto, jeśli zechciałabyś posłuchać, co zacny i skromny człowiek miałby do powiedzenia, pragnąłbym zamienić z tobą parę słów w cztery oczy.

Judyta nie bardzo słuchała tych niedelikatnych słów pociechy, ale rozumiała oczywiście, do czego Hurry zmierza, i miała swe zdanie o formie, w jakiej to czyni. Szlochając myślała o tym, jaka dobra była dla niej matka. Obiegły ją bolesne wspomnienia dawno zapomnianych nauk moralnych i zlekceważonych przykazań matki. Słowa Hurry'ego przypomniały jej, gdzie się znajduje, i choć były natarczywe i nierozsądne, nie obruszyła się, jak można się było po niej spodziewać. Przeciwnie, jakby jakaś myśl przyszła jej do głowy, uważnie przyjrzała się Hurry'emu, otarła łzy i przeszła na drugą stronę arki, dając mu znak, aby poszedł za nią. Usiadła i wskazała Marchowi miejsce obok siebie. Zrobiła to wszystko z taką powagą i stanowczością, że jej towarzysz poczuł się onieśmielony, uznała więc, że sama musi zacząć

rozmowę.

–Chcesz mówić ze mną o małżeństwie, Hurry – powiedziała. – Przybyłam tu na grób moich rodziców... Nie, nie... na grób mej biednej, najdroższej matki, aby posłuchać, co masz mi do powiedzenia.

–Chciałbym powiedzieć ci coś nowego, ale ty mnie dzisiaj tak jakoś onieśmielasz, Judyto... – odparł Hurry, zmieszany jeszcze bardziej, niż się do tego przyznawał. Prawda jednak, jak oliwa, sama wyjdzie na wierzch, a potem niech się dzieje, co chce. Wiesz, że od dawna uważam cię za najpiękniejszą dziewczynę, jaką oglądały moje oczy, i wcale się z tym nie kryłem ani tutaj, ani wśród myśliwych i traperów, ani w osadach.

–Tak, tak, słyszałam już o tym i wierzę, że to prawda – odparła Judyta z gorączkową niecierpliwością.

–Jeśli kawaler opowiada takie rzeczy o pannie, nie trudno się domyślić, że mu na niej zależy.

–Pewnie, pewnie, Hurry. Mówiłeś mi to sto razy.

–Ba, miłych słów kobieta zawsze chętnie słucha i nigdy nie ma ich dosyć. Wszyscy mi mówią, że tak należy postępować z niewiastami i że one najwięcej lubią, jak im się powtarza bez końca o naszej miłości do nich albo o ich urodzie.

–Ani chybi, lubimy jedno i drugie. Ale dzisiaj nie pora na to, Hurry, i nie powinniśmy przelewać z pustego w próżne. Mów więc, proszę, do rzeczy.

–Niech będzie, jak sobie życzysz, Judyto. Zdaje mi się, że ty zawsze musisz postawić na swoim. Często mówiłem ci, Judyto, że wolę cię od innych kobiet, jakie znam, co ja mówię- od wszystkich innych w świecie. Musiałaś to zauważyć, że nigdy wyraźnie, jak to mówią – czarne na białym, nie prosiłem cię, abys została moją żoną.

–Zauważyłam to wszystko – odparła dziewczyna, a lekki uśmiech pojawił się na jej pięknych ustach, chociaż była tak wzburzona, że rumieniec okrył jej policzki, a oczy płonęły gniewem. – Zauważyłam to i dziwił mnie brak śmiałości u człowieka tak stanowczego i nieustraszonego jak Harry March.

–Były po temu powody, które nawet teraz nie dają mi spokoju... No, czemu się rumienisz, nie patrz tak brzydtko. Są myśli, którymi nabijamy sobie głowę, są słowa, które utkwily nam w gardle, i są wreszcie uczucia silniejsze od myśli i słów. Muszę poddać się tym uczuciom. Nie masz już ani matki, ani ojca, Judyto. Niesposób, abyście mogły same tu zostać, nawet gdyby był pokój i Irokezi siedzieli cicho. Tak jak dzisiaj sprawy się mają, będziecie nie tylko głodować, ale nie minie tydzień, a dostaniecie się do niewoli albo zostanieie oskalpowane. Czas pomyśleć o zmianie

losu i o mężu, jeśli więc zgadzasz się być moją żoną, zapomnimy, co było, i położymy na tym krzyżyk.

Judyta z trudem powściągała swą niecierpliwość, lecz najwidoczniej chciała usłyszeć oświadczyzny prostaka i słuchała ich tak chętnie, że mogło to wzbudzić nadzieje Hurry'ego. Ale ledwie pozwoliła mu skończyć, tak bardzo jej zależało, żeby się zdeklarował i żeby dać mu gotową odpowiedź. – Dosyć, dosyć, Hurry – powiedziała, podniesioną ręką dając mu znak, żeby milczał. – Rozumiem cię tak dobrze, jakbyś mówił bez przerwy przez cały miesiąc. Wolisz mnie niż inne dziewczęta i chcesz, bym została twą żoną.

–Powiedziałaś to lepiej, niż ja bym potrafił, Judyto. Wyobraź sobie, że wysłowiłem się tak, jak lubisz.

–Mówiłeś zupełnie wyraźnie i tak być powinno. Nie jest to miejsce, w którym można by zwodzić lub oszukiwać. A teraz posłuchaj mej odpowiedzi, która będzie pod każdym względem równie szczerą jak twoje oświadczyzny. Istnieje powód, dla którego ja nigdy...

–Zdaje się, że cię rozumiem, Judyto. Ale jeśli ja puszczę w niepamięć ten powód, nikt nic nie będzie tu miał do gadania. Dlaczego czerwienisz się jak niebo o zachodzie słońca? Nie masz się co obrażać, bo nie miałem złych intencji.

–Wcale się nie czerwienię i nie myślę się obrażać – odparła Judyta, z największym wysiłkiem starając się opanować oburzenie. – Istnieje powód, dla którego nigdy nie będę i nie mogę być twoją żoną, Hurry. Nie widzisz tego powodu, uważam więc za swój obowiązek powiedzieć ci o tym tak samo wyraźnie, jak ty mi się oświadczyłeś. Nie kocham cię i jestem pewna, że nigdy nie będę cię kochać na tyle, żeby być twoją żoną. Mężczyzna nie może się żenić z kobietą, jeśli nie jest jej miłszy niż inni. Mówię ci to otwarcie i sądzę, że podziękujesz mi za szczerłość.

–Ach, Judyto, widzę, że to te pyszałki w szkarłatnych mundurach, ci oficerkowie z fortów narobili całego kłopotu!

–Ani słowa, March. Nie znieważaj córki nad grobem jej matki. Jeśli chcę postąpić z tobą uczciwie, nie rań mi serca i nie daj powodu, abym cię przeklęła. Nie zapominaj, że jestem kobietą, a ty jesteś mężczyzną i że nie mam ani ojca, ani brata, który by pomścił zniewagę.

–Jest w tym trochę racji, nie powiem już ani słowa. Masz czas do namysłu.

–Nie potrzebuję się namyślać. Dawno powzięłam decyzję i tylko czekałam, żebyś wyraźnie powiedział, o co ci chodzi, a wtedy odpowiem równie wyraźnie. Teraz zrozumieliśmy się wzajemnie i nie ma o czym mówić.

Hurry zaniemówił, Judyta bowiem nigdy jeszcze nie była przy nim tak poważna i stanowcza. Dotychczas na jego starania odpowiadała wymijająco lub złośliwie, co brał za kobiecą zalotność, którą łatwo zmienić na zgodę. Walkę toczył z samym sobą, nie mogąc się zdecydować na oświadczyzny, natomiast nie uwierzyłby, że Judyta może odpalić najprzystojniejszego mężczyznę na całym pograniczu. Gdy teraz dostał kosza, i to w sposób tak stanowczy i ponad wszelką wątpliwość poważny, zmieszał się, zmartwił, zdziwił i stracił ochotę do nalegania, aby zmieniła decyzję.

–Już mnie nie nęci Lśniące Zwierciadło – powiedział po chwili milczenia. – Stary Tom odszedł, a Huronów jest na brzegu tyle, co gołębi w lesie. W ogóle źle się tu czuję..

–Odejdź. Wiesz, ile tu grozi ci niebezpieczeństw, a niema powodu, abys nadstawiał głowy za innych. Zresztą, nie sądzę, żebyś mógł się nam na coś przydać. Idź dziś wieczór, nigdy nie będziemy ci zarzucali, żeś był niewdzięczny lub postąpił nie po męsku.

–Jeśli pójdę, uczynię to z ciężkim sercem, Judyto. Wolałbym wziąć cię z sobą.

–Nie mówmy już o tym, Hurry. Gdy się ściemni, podwiozę cię czółnem do brzegu i puścisz się w drogę do najbliższego garnizonu. Gdy dostaniesz się do fortu, przyślij tu oddział...

Judyta zamilkła, nie chciała bowiem narazić się na upokarzające uwagi Hurry'ego, który miał niepochlebne zdanie o jej znajomości z oficerami. March jednak zrozumiał, o co jej idzie, i odpowiedział bez cienia złośliwości, której się obawiała.

–Wiem, co chciałaś powiedzieć i czemu zamilkłaś. Jeśli uda mi się dostać do fortu, oddział wojska wyruszy na spotkanie tych włóczęgów. Przyjdę tu z nimi, bo chciałbym zobaczyć was w bezpiecznym miejscu, zanim rozstaniemy się na zawsze.

–Ach, Harry March, gdybyś zawsze tak mówił i tak myślał, inne dziś byłyby moje uczucia do ciebie.

–Czy dziś już za późno, Judyto? Jestem prostak, człowiek z lasów. Ale tacy jak ja zmieniają się, jeśli ktoś zacznie się do nich odnosić inaczej, niż do tego przywykli.

–Za późno, Hurry. Już nigdy nie będziesz dla mnie tym, czym chciałbyś być. Nie istnieje też dla mnie żaden inny mężczyzna, z wyjątkiem jednego. Chyba powiedziałam ci dosyć, nie pytaj mnie o nic więcej. Gdy się ściemni, ja lub Delawar wysadzimy cię na brzegu. Pośpieszysz co sił do najbliższego garnizonu nad Mohawkim i przyślesz nam na pomoc tyle wojska, ile się da. Czy teraz, gdy już jesteśmy przyjaciółmi, mogę ci zaufać?

–Oczywiście, Judyto, choć nasza przyjaźń byłaby gorętsza, gdybyś mogła spojrzeć

na mnie tak, jak ja patrzę na ciebie.

Judyta zawahała się i- widać było, że stacza wewnętrzną walkę. Potem zebrała wszystkie siły i postanowiła spełnić swój zamiar za wszelką cenę. Mówiła już bez ogródek.

–Na najbliższej placówce spotkasz kapitana nazwiskiem Warley – powiedziała, przy czym zbladła jak płótno i zadrżała. – Prawdopodobnie kapitan Warley będzie chciał stanąć na czele oddziału, który wymaszeruje nad jezioro. Bardzo bym chciała, żeby dowództwo oddziału objął inny oficer. Będę szczęśliwa, jeśli uda ci się zatrzymać na miejscu kapitana Warley'a.

–Łatwiej to powiedzieć, niż zrobić, Judyto. Dowódcy robią, co im się podoba. Major wyda rozkaz, a kapitanowie, porucznicy i chorążowie muszą go wykonać. Tego kapitana to znam. Czerwona gęba, wesoły, pierwszy do zabawy, a maderę trąbi tak, że przez ten czas mógłby wypić Mohawk, a do tego bardzo wygadany, dziewczęta z całej doliny za nim przepadają, a słyszałem, że i kapitan bardzo lubi spódniczki. Nie dziwię się, Judyto, że go nie lubisz, bo nie wiem, jaki z niego wojak, ale że dziewcząt zawojował co niemiara, to pewne.

Judyta nic nie odpowiedziała. Wzdrygnęła się tylko, a twarz jej oblała się szkarłatnym rumieńcem, a potem zbladła jak płótno.

Niestety, biedna mamó – pomyślała – stoimy nad twym grobem i nie wiesz, jak twoje nauki poszły w niepamięć, jak twoja troska o mnie i twoja miłość na nic się zdały.

Jak robak gryzło dziewczynę sumienie. Judyta wstała i ręką dała znak Hurry'emu, że nic więcej nie ma mu do powiedzenia.

ROZDZIAŁ 22

Ten: sam ciężar nędzy.

Który odbiera do życia ochotę

Uciskanemu – czyni go zarazem

Panem żywota swego gnębiela.

Coleridge

Hetty przez cały czas siedziała na przedzie arki, smutna i wpatrzona w dno jeziora, gdzie spoczywały zwłoki jej matki i tego, którego uważała za swego ojca. Obok niej stała Cyt. Słodycz i spokój malowały się na jej twarzy. Nie szukała słów pocieszenia. Zwyczaj indiański nakazuje unikać słów w podobnych sytuacjach, a serce kobiety mówiło jej, że trzeba cierpliwie czekać chwili, kiedy będzie mogła okazać Hetty współczucie i pocieszyć ją nie słowem, lecz czynem. Chingachgook trzymał się na uboczu. Zachowując poważne milczenie i obojętną postawę wojownika, głęboko współczuł białej dziewczynie.

Judyta podeszła do siostry. Oblicze jej wyrażało rzadko u niej spotykaną powagę i godność. Gdy przemówiła do Hetty, głos jej nie zadrżał. Mówiła spokojnie, choć na jej pięknej twarzy były jeszcze widoczne ślady cierpienia. Cyt i Delawar, aby nie krępować sióstr, poszli do Hurry'ego, na drugą stronę arki.

–Siostro – zaczęła Judyta łagodnym głosem – mam ci wiele do powiedzenia. Wsiądźmy w czółno i oddalmy się nieco, aby tajemnice dwóch sierot nie doszły do uszu obcych ludzi.

–Ale rodzice mogą nas słyszeć, Judyto. Powiedz Hurry'emu, żeby podniósł kotwicę i odpłynął z arką, a nas zostawił tutaj. Porozmawiamy nad grobem ojca i matki.

–Ojca – wolno powtórzyła Judyta i po raz pierwszy od rozstania z Hurry'm krew napłynęła jej do twarzy. – Hutter nie był naszym ojcem. Sam nam to powiedział na chwilę przed śmiercią.

–Czy cieszysz się, że nie masz ojca, Judyto? Troszczył się o nas, żywił, ubierał i kochał. Rodzony ojciec nie mógł być lepszy. Nie rozumiem, dlaczego nie był naszym ojcem.

–Nie myśl o tym, kochana, zrobimy tak, jak chcesz, zostaniemy tutaj, a arka nieco się oddali. Przygotuj czółno, a ja powiem Hurry'emu i Indianom, co chcielibyśmy zrobić.

Życzeniu sióstr stało się zadość. Pod miarowymi uderzeniami wiosel arka odpłynęła około stu jardów. Siostry pozostały. Zdawało się, że unoszą się w powietrzu nad grobem, tak lekkie było czółno, a woda tak przeźroczysta.

–Śmierć Tomasza Huttera- zaczęła Judyta odczekawszy chwilę, aby Hetty skupiła uwagę – zupełnie zmieniła nasze widoki na przyszłość. Hutter nie był naszym ojcem, ale my jesteśmy siostrami, musimy się kochać i mieszkać razem.

–A może, gdyby wyszło na jaw, że nie jestem twą siostrą, ucieszyłabyś się tak samo, jak teraz jesteś rada, że Tomasz Hutter, jak go nazywasz, nie jest twym ojcem? Jestem umyślowo niedorozwinięta, a mało kto lubi mieć krewnych niespełna rozumu, nie jestem też ładna, a w każdym razie znacznie brzydsza od ciebie, ty zaś pewnie wolałabyś mieć siostrę ładniejszą ode mnie.

–Nie, Hetty. Ty i tylko ty jesteś moją siostrą. Mówi mi to moje serce i moja miłość do ciebie. Mama była moją matką, z tego też cieszę się i jestem dumna, bo można szcycić się taką matką... ale ojciec nie był naszym ojcem!

–Cicho, Judyto! Duch ojca może być blisko i zasmucił by się, gdyby usłyszał, że dzieci tak ó nim mówią nad jego grobem. Mama mówiła mi, że dzieci nie powinny sprawiać przykrości rodzicom, zwłaszcza nieżyjącym.

–Biedna Hetty! Nasi rodzice odeszli i wolni są od trosk o nas. Cokolwiek zrobią lub powiem teraz, nie mogę już zasmucić matki i to jest pewna pociecha dla mnie. Mama nie może też uśmiechnąć się jak dawniej, gdy widziała, jaka jesteś dobra.

–Nic o tym nie wiesz, Judyto. Duchy wszystko widzą, a mama jest teraz duchem. Zawsze mówiła nam, że Bóg widzi wszystkie nasze postęпки i że nie należy czynić nic takiego, co mogłoby Go obrazić. Gdy mama od nas odeszła, staram się nie robić nic takiego, co mogłoby się zmarłej nie podobać. Pomyśl, Judyto, jakby się martwił i smucił duch mamy, gdyby jedna z nas popełniła coś złego. Wierz mi, że duchy widzą, zwłaszcza duchy rodziców, troszczących się o swe dzieci.

–Hetty, Hetty, sama nie wiesz, co mówisz! – szepnęła Judyta blednąc z wrażenia. – Umarli nic nie widzą i nie wiedzą, co się tu dzieje. Ale nie mówmy już o tym. Szczątki matki i Tomasza Huttera leżą razem na dnie jeziora. Miejmy nadzieję, że dusze ich połączyły się z Bogiem. Pewne jest, że dzieci naszej matki pozostały na ziemi. Nadszedł czas, abyśmy pomyślały o naszej przyszłości.

–Jeśli nawet nie jesteśmy córkami Tomasza Huttera, nikt nie zaprzeczy naszych praw do jego majątku. Mamy zamek, arkę, czółno, lasy i jezioro – wszystko, co miałyśmy za jego życia. Co stoi na przeszkodzie, abyśmy zostały tutaj i żyły tak samo jak dotąd?

–Nie, nie, biedna Hetty. Tak być nie może. Dwie dziewczyny nie byłyby tu pewne

jutra, nawet gdyby Huronom nie udało się wziąć nas do niewoli. Jeśli ojciec nie miał tu spokojnego życia, my na pewno nie damy sobie rady. Musimy, Hetty, opuścić jezioro i przenieść się do osady.

–Przykro mi, że tak myślisz, Judyto – odparła Hetty.

Opuściła głowę na piersi i zamyślona patrzyła na grób matki. – Bardzo mi przykro, Judyto. Zostanę na jeziorze. Wprawdzie nie urodziłam się tutaj, ale spędziłam tu tyle lat. Nie lubię osad. Pełno tam ludzi złych i zawistnych, natomiast tutaj, w górach, nikt nie obraża Boga. Kocham drzewa, góry, jezioro i źródła – wszystko, co zawdzięczamy dobroci boskiej. Bardzo byłoby mi smutno, gdybym musiała stąd odejść. Jesteś ładna i mądra, nadejdzie dzień, kiedy znajdziesz męża, który będzie mi bratem. Twój mąż będzie naszym obrońcą, jeśli istotnie dwie kobiety same nie mogłyby tutaj dać sobie rady.

–Ach, Hetty, gdyby to było możliwe, byłabym teraz tysiąc razy szczęśliwsza w lasach niż wśród ludzi. Kiedyś sądziłam inaczej, dziś wiem, czego mi trzeba. Ale gdzież jest mężczyzna, który zmieni nam w raj tę piękną okolicę?

–Harry March kocha cię, siostró – odparła biedna Hetty skubiąc odruchowo korę czółna. – Jestem pewna, że byłby szczęśliwy, gdyby mógł się z tobą ożenić. W całej okolicy nie ma młodzieńca silniejszego i odważniejszego niż Hurry.

–Odbyłam już rozmowę z Harry Marchem i nie ma po co wracać do tego tematu. Jest ktoś inny... ale mniejsza z tym. Wszystko leży w ręku Opatrzności – niezadługo będziemy musiały zdecydować o naszej przyszłości. Zostać tutaj... to znaczy, zostać we dwójkę nie możemy... a nie wiadomo, czy będziemy mogły zostać we trójkę. Czas też, Hetty, abyśmy się dowiedziały czegoś o naszej rodzinie. Nie wątpię, że mamy jakichś krewnych, którzy może chcieliby nas zobaczyć. Stara skrzynia jest teraz naszą własnością, mamy prawo zajrzeć do niej i dowiedzieć się, co zawiera. Matka tak bardzo różniła się od Tomasza Huttera, że teraz, gdy wiem, że nie jesteśmy jego córkami, płonę z ciekawości, kto był naszym ojcem. Jestem pewna, że w skrzyni znajdują się papiery, które powiedzą nam wszystko o naszych rodzicach i krewnych.

–Ty wiesz lepiej, co mamy robić, bo jesteś nieprzeciętnie inteligentna – mama tak mówiła – a ja jestem nie bardzo mądra. Teraz, gdy nasi rodzice nie żyją, inni krewni poza tobą mało mnie obchodzą i wątpię, czy mogłabym kochać tak, jak powinnam, ludzi, których nigdy nie widziałam na oczy. Jeśli nie chcesz wyjść za Hurry'ego, nie wiem, kogo mogłabyś wybrać na męża, i dlatego obawiam się, że mimo wszystko musimy opuścić jezioro.

–Co myślisz o Pogromcy Zwierząt, Hetty? – zapytała Judyta opuszczając głowę, podobnie jak siostra, aby ukryć swe zmieszanie. – Czy chciałabyś mieć takiego

szwagra?

–Pogromca Zwierząt! – powtórzyła Hetty z szczerym zdziwieniem. – No cóż, Judyto, Pogromca nie jest ładny i nie nadaje się na męża dla takiej kobiety jak ty.

–Nie jest brzydki, Hetty. Zresztą mężczyzna nie musi być ładny.

–Tak myślisz, Judyto? Wiem, że w oczach Boga uroda mężczyzny czy kobiety nic nie znaczy. Mama zawsze mi tak mówiła, gdy jej się zdawało, że zazdroścę ci urody. Zresztą niepotrzebnie tym się martwiła, bo niczego ci nie zazdrościłam, ale w każdym razie mama tak mówiła. Przyjemnie jednak popatrzeć na ładną kobietę lub przystojnego mężczyznę. Gdybym była chłopcem, zapewne chciałabym być ładniejsza, niż jestem. Przystojny mężczyzna to znacznie więcej niż ładna kobieta.

–Biedne dziecko! Nie wiesz, co mówisz ani co chcesz powiedzieć. Tylko uroda kobiety coś znaczy, mężczyzna może być brzydki. Zapewne, mężczyzna powinien być wysoki – ale iluż jest takich dużych jak Hurry, powinien być mężny – znam dzielniejszych od niego, i silny – nie jest znów. takim siłaczem, i odważny – mogę wymienić kogoś odważniejszego od Marcha.

–To dziwne, Judyto. Nawet na myśl mi nie przyszło, że może być na świecie mężczyzna przystojniejszy, dzielniejszy, silniejszy i odważniejszy od Hurry Harry'ego. Nie spotkałam jeszcze takiego, który by mu dorównał bodaj w jednej z tych zalet.

–Dobrze, już dobrze, Hetty. Daj temu spokój. Nie lubię, jak mówisz w ten sposób. To się nie godzi z twoją niewinnością i szczerością. Niech już Harry March sobie pójdzie. Opuszcza nas dziś wieczór i żałuję tylko jednego: że tak długo tu był, nie wiadomo po co.

–Ach, Judyto! Tego właśnie od dawna się bałam. A jednak nie traciłam nadziei, że będzie moim szwagrem!

–Trudno, zresztą nie ma czego żałować. Mówmy lepiej o biednej mamie i Tomaszu Hutter.

–Mów o nich dobrze, siostrzo, bo może ich duchy słyszą nas i widzą. Jeśli tatuś nie był naszym ojcem, był dobry dla nas, żywił, nas i bronił, Nie możemy postawić tutaj nagrobka, który by mówił o tym ludziom, niech więc mówią to nasze usta.

–Zmarłych mało to obchodzi. Wielka to dla nas pociecha, że matka, jeśli za młodu popełniła wielki błąd, w późniejszym życiu okazała skruchę i na pewno grzechy zostały jej odpuszczone.

–Dzieci, Judyto, nie powinny mówić o błędach rodziców. Mówmy raczej o naszych grzechach.

–Twoje grzechy, Hetty! Jeśli jest na świecie istota bez grzechu, jesteś nią ty! Nie mogę tego powiedzieć lub pomyśleć o sobie! Ale jeszcze zobaczymy. Któż wie, jakich zmian w sercu kobiety może dokonać miłość do dobrego męża? Zdaje mi się, że nie lubię już pięknych strojów tak jak dawniej.

–Smutne by było, Judyto, gdybyś myślała o strojach nad grobem swych rodziców. Jeśli tak jest, zostaniemy tutaj, a Hurry niech sobie idzie, gdzie chce.

–Zgoda co do Hurry'ego. Ale nie mogę powiedzieć, czy zostaniemy tutaj. Musimy teraz rozpocząć życie, jakie przystoi pannom z dobrego domu, i dlatego nie możemy zostać tutaj i być wystawione na języki gruboskórnych i złośliwych traperów i myśliwych, którzy czasem przychodzą nad jezioro. Niech tylko Hurry odejdzie, znajdę sposób zobaczenia się z Pogromcą Zwierząt, a wtedy zadecydują się nasze losy. Wracajmy, słońce zaszło i wiatr unosi arkę. Podpłyniemy do arki i poradzimy się przyjaciół. Dziś w nocy przeszukamy skrzynię i jutro postanowię, co mamy robić dalej. Teraz gdy możemy użyć zawartości skrzyni nie obawiając się gniewu Tomasza Huttera, bez trudu przekupimy Huronów. Niech tylko wydostanę z ich rąk Pogromcę Zwierząt, a dogadam się z nim w ciągu godziny.

Judyta mówiła stanowczo i z poczuciem wyższości, jak zawsze, gdy rozmawiała z niedorozwiniętą siostrą. Jeśli jednak starsza siostra miała przewagę nad młodszą dzięki swej śmiałości i wymowie, Hetty czasem powściągała porywczą Judytę za pomocą prostych prawd moralnych, przenikających wszystkie jej myśli i uczucia. Prawdy te świeciły w niej łagodnym blaskiem, który udzielał się jej słowom i postępkom. Tym razem dziewczyna upośledzona umysłowo wywarła wpływ na swą inteligentną siostrę, zwykle tak błyskotliwą i uwielbianą.

–Zapominasz, Judyto, co nas tu sprowadziło – powiedziała tonem wymówki. – Jesteśmy nad grobem matki, obok której przed chwilą złożyliśmy zwłoki ojca. Żle postąpiłyśmy mówiąc w tym miejscu tak wiele o sobie. Powinnyśmy teraz prosić Boga, aby nam przebaczył i natchnął nas myślą, gdzie mamy iść i co czynić.

Judyta mimo woli odłożyła wiosło. Hetty uklękła i zatopiła się w szczerzej i żarliwej modlitwie. Judyta nie poszła w jej ślady, od dawna bowiem nie modliła się, chociaż z głębi niespokojnego serca nieraz wzdychała do wielkiego źródła łask o pomoc i podniesienie jej z upadku. Ale nawet kiedy tylko patrzyła na klęczącą Hetty, doznawała tkliwych wspomnień niewinnego dzieciństwa i głębokiego żalu, że serce jej umarło. Modliła się będąc małą dziewczynką i długo potem, aż do swych nieszczęsnych odwiedzin w fortach. Ale i teraz przychodziły chwile, w których oddałyby wszystko za odzyskanie ufności i wiary, czystych pragnień i słodkiej nadziei, jakimi promieniowała siostra, nie dorównująca jej urodą, W tej chwili tylko opuściła głowę przyjmując pobożną postawę, przeciw której buntowała się jej rogata dusza.

Gdy Hetty wstała z klęczek, jej twarz jaśniała pogodą, dzięki czemu była nie tylko miła jak zwykle, ale naprawdę ładna. Błogi spokój ogarnął duszę dziewczyny, a sumienie mówiło jej, że spełniła obowiązek wobec zmarłych.

–Jeśli chcesz, możemy już wracać – powiedziała. – Bóg był łaskaw dla mnie i zdjął mi kamień z serca. Mamie też nieraz było ciężko na duszy i modlitwa przynosiła jej ulgę. Sama mi o tym mówiła. Modlitwa to jedyny sposób na nasze rozterki, siostró. Rękami możesz usunąć kamień lub kłoc drzewa, ale ciężar z serca może zdjąć tylko modlitwa. Ty nie modlisz się teraz tak często jak dawniej.

–Co zrobić, trudno, kochanie – odparła Judyta zmienionym głosem. – Nie to jest teraz najważniejsze. Straciłyśmy matkę, odszedł od nas Tomasz Hutter, musimy zacząć myśleć i żyć samodzielnie.

Judyta lekko uderzała wiosłami, łódź płynęła wolno, Hetty siedziała zamyślona, jak zwykle, kiedy borykała się z jakąś myślą bardziej zawiłą i trudną.

–Nie wiem, co masz na myśli, gdy mówisz, że mamy zacząć nowe życie – powiedziała wreszcie Hetty. – Matka mówiła, że inne życie będzie w niebie, a ty, zdaje się, chcesz zacząć nowe życie od przyszłego tygodnia lub nawet od jutra.

–Przyszłość, moja kochana, to wszystko, co nas czeka na tym i na tamtym świecie. Przyszłość to słowo uroczyste, zwłaszcza dla tych, którzy najmniej o niej myślą. Dla mamy słowo to oznacza wieczność, dla nas – to, co może się zdarzyć w naszym życiu na tym świecie... Patrz, zdaje się, że jakieś czółno pokazało się z tamtej strony zamku... tam, bliżej przylądka. Teraz się schowało, ale jestem pewna, że widziałam, jak czółno skryło się za palisadą.

–Dawno widziałam to czółno – odparła Hetty spokojnie, gdyż nie obawiała się Indian-ale nie chciałam mówić o takich rzeczach nad grobem matki. Łódka płynęła z obozu, siedział w niej jeden człowiek, ale, zdaje się, nie Irokez, tylko Pogromca Zwierząt.

–Pogromca Zwierząt! – zawołała Judyta jak zwykle porywczo. – To niemożliwe! Pogromca Zwierząt jest w niewoli i właśnie myślałam o tym, jak go wydostać z rąk Huronów. Skąd przyszło ci do głowy, że to on?

–Sama zobaczysz siostró. Czółno pokazało się teraz z tej strony zamku.

Rzeczywiście, łódka minęła dom i zbliżała się do arki. Na przedzie statku wszyscy zebrali się, aby powitać gościa. Jedno spojrzenie przekonało Judytę, że siostra się nie omyli. Iła – w czółnie siedział Pogromca Zwierząt. Dziwiło ją tylko, że człowiek, który za pomocą podstępów lub siły – wydostał się z rąk nieprzyjaciół, wiosłuje z takim spokojem i namaszczeniem. Nadchodziła noc i brzegi ginęły już w mroku. Nad otwartym jeziorem unosiło się jeszcze światło dzienne, a najjaśniej było wokół

zamku, na samym środku jeziora. Odchodzący dzień rzucał tu blask, który miał coś z gorących barw zachodu; słońca we Włoszech lub Grecji. Ściany zamku i arki oblokły się purpurą, rozplywając się we wzrastającym mroku, czołno młodego myśliwego, coraz słabiej widoczne, przybierało barwy bogatsze, lecz łagodniejsze niż w słońcu. Judyta i Hetty wiosłowały tak, aby się spotkać z nieoczekiwanym gościem, zanim przybije do arki. Gdy obydwie czołna spotkały się, nawet spalona w słońcu twarz Pogromcy wyglądała na jaśniejszą w łagodnych barwach zachodu, które zdawały się tańczyć w powietrzu. Judyta pomyślała, że może widok jej osoby tak rozjaśnił oblicze myśliwego. Nie wiedziała, że sama, dzięki wzruszeniu, jakie ją ogarnęło, wyglądała jeszcze ładniej niż zwykle. Nie wiedziała też o czymś, co bardzo by ją ucieszyło: młodzieniec, gdy podpłynęła do jego czołna, pomyślał sobie, że jeszcze nie widział tak pięknej dziewczyny.

– Witaj, witaj nam, Pogromco Zwierząt! – zawołała Judyta, gdy czołna się zrównały – przeżyliśmy smutny i straszny dzień, ale twój powrót to jedno nieszczęście mniej. Czy Huroni stali się bardziej ludzcy i puścili cię wolno, czy też siłą albo podstępem wyrwałeś się z rąk tych nędzników?

– Ani jedno, ani drugie, Judyto. Mingowie to Mingowie, będą żyli i umrą Mingami. Wątpię, czy się kiedyś poprawią. Cóż, mają oni swoją naturę tak jak i my i nie wypada mówić źle o tym, co Bóg stworzył, chociaż, prawdę mówiąc, ciężko jest myśleć lub mówić dobrze o tych włóczęgach. Co się tyczy wyprowadzenia ich w pole, można to zrobić i tak się też stało, kiedy Wąż i ja przyczailiśmy się, żeby porwać Cyt – tu myśliwy przerwał i zaśmiał się cicho jak zwykle. – Ale niełatwa to rzecz wywieść kogoś w pole dwa razy. Nawet jelonki poznają się na sztuczkach myśliwych, zanim skończy się pora polowań. Indianin zaś, któremu podstęp otwarł oczy, już ich nie zamknie, przynajmniej tak długo, jak długo pozostanie w tym samym miejscu. Wiem, że zdarza się to białym, ale nigdy czerwonoskórym. Wiedzę swą zawdzięczają nie książkom, lecz doświadczeniu, którego nauki ludzie pamiętają dłużej niż to, czego dowiedzieli się od innych nauczycieli.

– Wszystko to prawda, Pogromco Zwierząt, ale jeśli nie uciekłeś, to w jaki sposób znalazłeś się tutaj?

– Słuszne pytanie i z wdziękiem wypowiedziane. Jesteś dziś niezwykle piękna, Judyto, czyli Dzika Różo, jak mówi na ciebie Wąż, a ja uważam, że zasługujesz na to imię. Możesz nazywać Mingów dzikimi, bo tacy są istotnie i tak też postępują, jeśli tylko nadarzy się sposobność do czynów okrutnych. Nie mogą przeboleć strat, jakie ponieśli w potyczce na zamku, i pałają żądzą odwety, na każdym, w kim płynie krew angielska, jeśli tylko wpadnie im w ręce. Myślę, że w braku Anglika wezmą zemstę na każdym innym białym, na przykład na Holendrze.

– Zabili ojca. To powinno nasycić ich bezecną żądzą krwi – powiedziała Hetty.

–Wiem, dziewczyno, wiem wszystko. Trochę widziałem z brzegu, gdzie Indianie przyprowadzili mnie z obozu. Reszty domyśliłem się z pogróżek pod moim adresem i z ich rozmów. No tak, życie ludzkie nigdy nie jest pewne- żeby umrzeć, wystarczy przestać oddychać. Straciliście dzielnego obrońcę, wiem o tym. Opatrzność ześle wam nowego opiekuna. Skoro poznaliśmy się w sposób tak niezwykły, moją opiekę nad wami uważam za wolę nieba i w przyszłości będę baczył, aby nie zabrakło żywności w waszym wigwamie. Nieboszczykowi życia nie wrócę, ale mogę karmić żyjących, a pod tym względem na całym pograniczu nie mam sobie równego, co mówię nie dla pustych przechwałek, ale żeby wam wyrazić współczucie i dodać ducha.

–Rozumiemy cię, Pogromco Zwierząt – śpiesznie odparła Judyta – i wiemy, że wszystko, co mówisz, płynie z dobrego i życzliwego serca. Dałby Bóg, by mowa wszystkich mężczyzn była tak szczerą, a serca tak zacne!

–Bez wątplenia, Judyto, ludzie bywają różni. Znałem takich, którym można było wierzyć, jeśli się ich nie spuszczało z oka; i takich, których słowu, przysłanemu za pomocą małego wampumu, można było zaufać tak, jakbyśmy się dogadali na gębę. Tak, Judyto, powiedziałaś wielką prawdę: jednym można wierzyć, a innym nie.

–Dziwny z ciebie człowiek, Pogromco Zwierząt – odparła dziewczyna, bardzo zdziwiona dziecinną naiwnością, tak często okazywaną przez myśliwego, uderzającą naiwnością, którą można by porównać z brakiem rozumu biednej Hetty (jak wiemy, dobroć i szczerść przenikały wszystkie słowa i uczynki nieszczęśliwej dziewczyny i to stanowiło jej siłę). – Jesteś tak dziwny, że nieraz nie mogę cię zrozumieć. Ale nie o to chodzi. Zapomniałeś nam powiedzieć, w jaki sposób znalazłeś się tutaj.

–Ja? Ach, jeśli sam jestem dziwny, jak mówisz, Judyto, to w moim powrocie tutaj nie ma nic dziwnego. Jestem na urlopie...

–Urlopie? Wiem, co to słowo oznacza w wojsku, ale nie rozumiem, co to jest urlop jeńca.

–To samo. Słusznie powiadasz, że urlopy dostają żołnierze – ja też jestem na urlopie. Urlop jest wtedy, gdy mężczyzna może opuścić obóz lub garnizon na określony czas, a potem musi wrócić i wziąć muszkiet na ramię lub poddać się mękom, zależnie od tego, czy jest żołnierzem czy jeńcem. Mnie czeka los jeńca.

–Czy Huroni pozwolili ci odejść samemu, bez dozoru, bez straży?

–Oczywiście, inaczej nie mógłbym tu przybyć, skoro nie użyłem ani siły, ani podstępu.

–Jaką mają gwarancję, że wrócisz?

–Moje słowo – z prostotą odparł myśliwy. – Tak, przyznaję się do tego. Byliby kpami nie lada, gdyby mnie puścili i nie wzięli ode mnie słowa. Bo wtedy nie miałbym obowiązku wrócić do obozu i poddać się mękom, jakie im podszeptnie piekielna nienawiść, lecz wziąłbym strzelbę na ramię i poszedł sobie do wiosek delawarskich. Mój Boże! Huroni wiedzieli o tym niegorzej od ciebie i mnie i nie pozwolili mi odejść bez przyrzeczenia powrotu, tak jak nie pozwolą wilkom wykopywać kości ich ojców.

–Czy to możliwe, abyś chciał popełnić takie, szaleństwo i samobójstwo?

–Co takiego?

–Pytam się, czy to możliwe, żebyś chciał oddać się znów w ręce okrutnych wrogów tylko dlatego, żeby dotrzymać słowa?

Pogromca Zwierząt przez chwilę patrzył na piękną dziewczynę z wyraźnym niesmakiem. Wyraz jego zacnej i szczerzej twarzy nagle się zmienił, jakby olśniła go jakaś myśl. Pogromca roześmiał się szczerze.

–Nie od razu zrozumiałem cię, Judyto. Sądzisz, że Chingachgook i Hurry Harry nie pozwolą mi wrócić do obozu. Widzę, że mało jeszcze znasz ludzi. Delawarowi nie przyszłoby do głowy, żeby sprzeciwić się spełnieniu przeze mnie obowiązku. March zaś, poza własną osobą, o nikogo innego nie dba na tyle, żeby strzepić sobie język w jego sprawie. Gdyby coś mówił, też by mnie nie przekonał, ale nic nie powie. Obchodzą go tylko własne korzyści i nawet swego słowa nie szanuje. A cóż dopiero może obchodzić go moje czy twoje przyrzeczenie? Bądź więc spokojna, dziewczyno; Nikt mnie nie zatrzyma tutaj i wrócę na czas. Gdyby jednak ktoś chciał mi przeszkodzić w dotrzymaniu słowa, nie byłbym wychowany i wykształcony w lasach, gdybym sobie z tym nie poradził.

Judyta przez chwilę nic nie mówiła. Całym sercem kobiety – kobiety, która po raz pierwszy w życiu zaczęła poddawać się uczuciu, mającemu taki wpływ na szczęście lub niedolę płci słabej – buntowała się przeciw okrutnemu losowi, jaki Pogromca Zwierząt sam ściągał na swą głowę, ale poczucie słuszności nakazywało jej podziw dla niezłomnej prawości, jaką okazał skromny myśliwy; Wiedziała, że go nie przekona. Nie chciała też, odwodząc go od zamiaru, jaki powziął, okazać braku szacunku dla wzniosłych zasad, którymi się kierował. Nie traciła nadziei, że stanie się jeszcze coś takiego, co uczyni zbędnym jego poświęcenie. Dlatego chciała się wpierv dowiedzieć wszystkiego, aby swoje stanowisko w tej sprawie oprzeć na znajomości faktów.

–Kiedy kończy się twój urlop, Pogromco Zwierząt? – zapytała, gdy czółna pod ledwie widocznymi uderzeniami wiosel wolno podływały do arki.

–Jutro w południe, ani minuty wcześniej. Możesz być pewna, iż nie opuszczę, że tak

powiem, chrześcijańskiego towarzystwa, aby oddać się w ręce tych włóczęgów, ani sekundy wcześniej, niż to będzie konieczne. Huroni zaczynają obawiać się wizyty z fortu i dlatego nie daliby mi urlopu dłuższego o minutę. Oni i ja dobrze rozumiemy, że jeśli moja misja się nie uda, zaczną tortury o zachodzie słońca, aby gdy zapadnie noc, mogli wyruszyć w drogę do domu.

Pogromca powiedział to z wielką powagą – jakby los, który go czekał, już przygniatał jego myśli – ale i z prostotą, i bez okazania bólu. Widocznie chciał uniknąć objawów współczucia Judyty.

–Czy Huroni obstają przy zamiarze odwetu za straty, jakie ponieśli? – słabym głosem zapytała Judyta. Zdawało się, że śmiałość dziewczyny uległa wpływowi spokoju, godności i czystości pobudek myśliwego.

–Obstają, jeśli umiem odczytać zamiary Indian z ich zachowania. Ale Huroni, zdaje się, myślą, że nie odgadłem ich zamiarów. Kto jednak tyle lat żył wśród czerwonoskórych, czyta w myślach Indianina, podobnie jak dobry myśliwy nie zgubi śladu zwierzyny, a dobry ogar nie zgubi jej zapachu. Uważam, że mi nie darują, bo wiem, że ucieczka Cyt rozjuszyła kobiety. Może nie powinienem o tym mówić, gdyż odegrałem poważną rolę w uwolnieniu Cyt z rąk Huronów. Następnie, wczoraj w nocy, został w obozie popełniony okrutny mord. Kula, która zabiła irokezką dziewczynę, mogła tak samo śmiertelnie ugodzić mnie. Ale cokolwiek się stanie, Wąż z żoną zostaną na wolności i to mnie cieszy.

–Och, Pogromco Zwierząt, Huroni nie będą może tacy okrutni wobec ciebie, przecież do jutra południa dali ci czas do namysłu.

–Nie, Judyto, uważam, że nie masz racji. Indianin to Indianin i kiedy idzie śladem i węszy z zadartym nosem, za nic nie zejdzie z drogi. Delawarzy są obecnie szczepem na pół chrześcijańskim. Może Delawarzy nie są lepszymi chrześcijanami niż wasi biali niedowiarkowie, ale nawet ci, którzy pod wpływem, religii stali się lepsi, nie wyrzekli się pragnienia zemsty. Żądza odwetu przyłgnęła do ich serc jak dziki bluszcz oplatający drzewo. Huroni nie mogą zapomnieć, że zabiłem jednego z ich najlepszych i najdzielniejszych wojowników. Nie można więc liczyć na to, że ujawszy sprawcę zapomną o dopiero co poniesionej stracie i będą trzymać go w niewoli. Gdyby mnie ujęli po upływie miesiąca, byliby już łagodniejsi i odnieśliby się do mnie w sposób bardziej przyjazny. Ale wiemy, że stało się inaczej. My tu jednak mówimy tylko o mnie i moich kłopotach, a przecież ty, Judyto, masz dosyć własnych zmartwień i może byś chciała przyjacielskiej rady. Czy starego Toma pochowaliście na dnie jeziora, tak jak zapewne sobie życzył? – Tak, Pogromco Zwierząt – odpowiedziała Judyta ledwie dosłyszalnym szeptem. – Właśnie oddaliśmy mu ostatnią posługę. Słusznie domyślasz się, że chcemy zasięgnąć rady przyjaciela, twojej rady, Pogromco. Hurry Harry opuszcza nas. Gdy już go nie będzie, a my ochłoniemy trochę po pogrzebie, poproszę cię o godzinę rozmowy. Nie wiemy, co z sobą zrobić.

–To całkiem naturalne. Przecież stało się to tak nagle i było tak straszne. Teraz wejdźmy na arkę, o waszej przyszłości pomówimy później.

ROZDZIAŁ 23

Ostry wiatr hula wśród szczytów i zboczy,

Życie spokojnie upływa w dolinie;

Łatwo się potknie, kto po lodzie kroczy,

A trosk ma wiele ten, kto z nauk słynie.

Kto szuka szczęścia w radości i winie,

Jest prawym mądrzem. Kto przeczy tej mowie,

Ten, mówiąc prawdę, niedobrze ma w głowie.

„Cmentarz”

Z powagą i zaniepokojeniem witali Pogromcę Zwierząt przyjaciele z arki, zwłaszcza Wąż i Cyt poznali po jego minie, że nie udało mu się uciec, a z kilku słów, jakie wybąkał, zrozumieli, co nazywa urlopem. Wąż od razu pogrążył się w myślach, Cyt zaś starała się po swojemu okazać Pogromcy współczucie, świadcząc mu owe drobne uprzejmości, jakie zazwyczaj stanowią dowód kobiecego przywiązania.

Mimo ogólnego przygnębienia w ciągu kilku minut ustalono plan postępowania na najbliższą noc. Niewtajemniczony obserwator mógłby odnieść wrażenie, że życie na arce płynie normalnym trybem. Zaczęło się ściemniać. Postanowiono więc podpłynąć arką do zamku i na noc przycumować ją na zwykłym miejscu postoju. Na decyzję tę wpłynął po części fakt, że wszystkie czółna znowu znalazły się w rękach ich właścicieli, ale o sposobie umieszczenia statku zadecydowało głównie poczucie bezpieczeństwa, oparte na wiadomościach, jakie przyniósł Pogromca Zwierząt. Na podstawie własnych obserwacji w obozie myśliwy doszedł do wniosku, że Huroni nie myślą o podjęciu w ciągu najbliższej nocy nieprzyjaznych kroków, poniesione bowiem straty odebrały im na razie ochotę do walki. Poza tym Pogromca przybył tutaj z pewnymi propozycjami Huronów; w razie ich przyjęcia wojna na jeziorze skończyłaby się natychmiast. Nie podobna przypuścić, aby Huroni z góry wykluczyli możliwość porozumienia w sprawie, która tak leży na sercu ich wodzom, i żeby przed powrotem posła uciekli się do aktów przemocy.

Po przycumowaniu arki każdy znalazł sobie jakieś zajęcie, narada bowiem nie trwała długo (wiadomo, że zarówno biali z pogranicza, jak i ich czerwonoskórzy sąsiedzi szybko się decydują). Kobiety krzątały się w kuchni. Było im smutno i markotnie, ale przygotowywały kolację wiedząc, że wszyscy są głodni.

Hurry przy świetle łuczywa naprawiał mokasyny; Chingachgook siedział zasępio; spokojny i niewzruszony Pogromca oglądał „Postrach Zwierząt”, wspomnianą już przez nas strzelbę Huttera, która miała się potem wslawić w jego rękach. Teraz myśliwy zapoznawał się z jej zaletami. Nieco dłuższa od zwykłej strzelby, wyszła niewątpliwie z warsztatu świetnego rusznikarza. W paru miejscach była ozdobiona srebrem, poza tym jednak na oko niczym się nie wyróżniała i wielu myśliwych z pogranicza wzięłoby ją za zwyczajną strzelbę. Jej wielkie zalety stanowiło precyzyjne kalibrowanie, niezwykle staranne wykończenie i najwyższy gatunek metalu, z którego ją zrobiono. Nasz myśliwy wiele razy przykładał kolbę do ramienia i patrzył przez celownik, równoważył ciało i wolno podnosił strzelbę, jak gdyby chciał się zmierzyć do jelenia, przy czym ważył w rękach jej ciężar i sprawdzał, czy jest szybka i celna. Czynił to z taką prostotą, a zarazem powagą i ciekawością, że każdego obserwatora znającego położenie Pogromcy musiałyby wzruszyć jego naiwność.

–To znakomita strzelba, Hurry! – zawołał, wreszcie Pogromca. – Naprawdę szkoda, że dostała się w ręce kobiet. Wiele o niej słyszałem od myśliwych. Powiem tylko tyle, że w doświadczonych rękach taka broń to pewna śmierć.

Posłuchaj, jak gra zamek – sidła na wilki nie mają silniejszej sprężyny. Panewka i kurek pasują do siebie jak dwaj mistrzowie śpiewu, którzy jednym głosem intonują psalmy w kościele. Możesz mi wierzyć, że w życiu nie widziałem jeszcze takiej broni.

–Tak, stary Tom nieraz ją chwalił, aczkolwiek sam nienajlepiej znał się na broni palnej – odparł March przeciągając rzemyk przez mokasyn z obojętną miną starego mistrza dratwy. – Zgodzimy się wszyscy, że nie był to strzelec wyborowy. Ale obok wad miał też i swoje zalety. Kiedyś myślałem, że Judyta mnie podaruje „Postrach Zwierząt”.

–Bogiem a prawdą, nigdy nie wiadomo, co robi kobieta. Strzelbę możesz dostać tak samo ty, jak i ktoś inny. Szkoda by jednak było, gdyby taka świetna sztuka trafiła w niepowołane ręce.

–Co chcesz przez to powiedzieć? Czy taka strzelba na moim ramieniu wyglądałaby gorzej niż na czyimś innym?

–Nie mówię, jakby to wyglądało. Oboje jesteście piękni i stanowilibyście, jak to mówią, dobraną parę. Idzie mi o pożytek z tej broni. Dobry myśliwy położy z tej strzelby więcej jeleni w jednym dniu niż ty w ciągu tygodnia. Widziałem, co umiesz. Pamiętaj, Hurry, tego jelenia?

–Teraz jest czas ochronny. Kto by strzelał jelenia w czasie ochronnym? Chciałem go tylko nastraszyć i chyba przyznasz, że bydlak najadł się strachu co niemiara.

–Niech ci będzie. W każdym razie jest to broń godna wielkiego pana. Myśliwy

pewnej ręki i bystrego oka, mając tę strzelbę, zostałyby Królem Puszczy,

–Weź ją zatem, Pogromco Zwierząt, i zostań Królem Puszczy – z powagą powiedziała Judyta. Słuchała ich rozmowy, a poza tym stale wodziła wzrokiem za zaciętą twarzą Pogromcy. – Nie mogłaby znaleźć się w rękach godniejszych niż te, które ją trzymają. Niechże więc zostanie w nich jeszcze pięćdziesiąt lat.

–Judyto, żartujesz chyba?! – zawołał Pogromca tak zdumiony, że nie mógł ukryć wzruszenia. – To dar. iście królewski i tylko król mógłby go przyjąć.

–Mówię poważnie jak nigdy dotąd, Pogromco Zwierząt Szczerze ci życzę długiego życia, a podarunek też jest od serca.

–Dobrze, już dobrze, moja miła, jeszcze o tym pomówimy. Nie martw się, Hurry. Judyta jest dziewczyną z temperamentem i szybko się decyduje. Wie, że dobre imię ojcowskiej strzelby jest pewniejsze w moich rękach niż w twoich. Nie masz więc powodu do zmartwienia. W innych sprawach, bliższych twemu sercu, jej wybór padnie na ciebie.

Hurry nic nie odpowiedział, tylko pomrukiwał ze złości. Chciał jak najprędzej opuścić jezioro i zbyt był zajęty przygotowaniami do drogi, aby się raczył odezwać. Tymczasem dziewczęta przygotowały kolację. Wszyscy jedli w milczeniu, jak to bywa w zwyczaju ludzi zasiadających do stołu tylko po to, żeby zaspokoić zwierzęcy instynkt głodu. Tym razem jednak przyczyną milczenia było ogólne przygnębienie. Pogromca bowiem tak dalece był wyjątkiem wśród ludzi swego stanu, że zazwyczaj przy stole nie tylko sam dużo mówił, ale i innych wciągał do rozmowy.

Po kolacji dziewczęta posprzątały ze stołu i całe towarzystwo zebrało się na pomoście, aby posłuchać, z czym Huroni przysłali Pogromcę. Poseł wyraźnie zwlekał z przedstawieniem sprawy, w której przybył, ale Judyta nie mogła już wytrzymać z ciekawości. Cała szóstka usiadła kołem przy drzwiach na stołkach przyniesionych z arki i zamku. Patrzyli na siebie w skąpym świetle nieba usianego gwiazdami. Wzdłuż brzegu u podnóża gór panował jak zwykle gęsty mrok. Natomiast nad otwartym jeziorem było dość jasno i tysiąc gwiazd tańczyło w przeźrocystym żywiole, lekko falującym pod tchnieniem wieczornego wietrzyku.

–Teraz, Pogromco Zwierząt – zaczęła Judyta nie mogąc już powstrzymać swej niecierpliwości – powiedz, czego Huroni chcą od nas i z jakimi propozycjami wysłali cię tutaj na parol.

–Na urlop, Judyto, tak trzeba to nazwać. Słowo to oznacza to samo dla jeńca, co dla opuszczającego pułk żołnierza. W obu przypadkach dajesz słowo, że wrócisz. Teraz mi się przypomniało, że „urlop” znaczy właściwie „słowo”, że się coś robi. Parol to chyba po holendersku, słowo to ma coś wspólnego z capstrzykiem. Ale mniejsza z

tym, idzie o sens rękojmi, a nie o nazwę. Teraz muszę wam powiedzieć, z czym przysłali mnie tutaj Huroni. Trudno, nie można dłużej zwlekać. Hurry niezadługo będzie chciał ruszyć w drogę nad Mohawk, a gwiazdy wschodzą i gasną nie zważając na Indian i ich posłów. Niestety! Moja misja nie jest miła i wiem, że bezcelowa, ale muszę ją spełnić.

–Słuchaj no, Pogromco Zwierząt – powiedział Hurry przez ramię – jesteś do rzeczy na polowaniu i tęgi z ciebie piechur, mógłbyś nawet maszerować z takim, co robi sześćdziesiąt mil na dobę, ale posłem jesteś ślamazarnym, zwłaszcza gdy przybywasz w misji, która nie może być dobrze przyjęta. Mów, bratku, co masz do powiedzenia, i nie kręć jak amerykański mecenas, który udaje, że nie rozumie Holendra mówiącego po angielsku, tylko po to, żeby wziąć od niego podwójne honorarium.

–Rozumiem cię, Hurry Skurry. Twoje przezwisko – Łapu-Capu – dziś szczególnie pasuje do ciebie, bo nie masz tu czasu do stracenia i musisz brać nogi za pas. Przystąpmy więc od razu do sprawy, nad którą mamy radzić. Istotnie, zebraliśmy się tutaj na naradę, chociaż kobiety są między nami. Rzecz ma się tak: Po powrocie wojowników z zamku Mingowie odbyli naradę, na której panował nastrój przygnębienia, co można było poznać po ich ponurych minach. Nikt nie lubi być bity, ani biały, ani Indianin. Więc gdy wypalili mnóstwo fajek i wygłosili wiele mów, a ognisko, przy którym siedzieli, zaczęło dogasać, zapadły wreszcie decyzje. Starszyzna, zdaje mi się, uważała, że jestem godzien zaufania i można mi dać urlop. Ci Mingowie świetnie znają się na ludziach, nawet ich najwięksi wrogowie muszą to przyznać. Uznali więc, jak powiedziałem, że można mi zaufać. Nieczęsto się zdarza – ciągnął młody myśliwy, bardzo rad, że jego dotychczasowe życie usprawiedliwiało zaufanie, jakim obdarzyli go Mingowie – tak dobre mniemanie Indian o bladej twarzy. Dość na tym, że tak się stało i że Huroni bez wahania, otwarcie wyłożyli mi swe myśli. Oto co powiedzieli: Sytuacja jest jasna. Jezioro i wszystko, co się na nim znajduje – tak im się przynajmniej zdaje – leży u ich stóp. Tomasz Hutter nie żyje. Hurry zajrzał dziś w oczy kostusi i tego lata nie będzie chciał po raz drugi z nią się spotkać. Dlatego Huroni uważają, że siły obrońców zamku zmały, do Chingachgooka i dwóch dziewcząt. Delawar wprawdzie pochodzi ze znakomitego rodu i urodził się wojownikiem, ale dopiero wszedł na pierwszą ścieżkę wojenną. Dziewczęta zaś Huroni oceniają tak, jak w ogóle kobiety.

–Chcesz powiedzieć, że nami gardzą?! – zawołała Judyta, a oczy jej błysnęły ogniem, co wszyscy zauważyli.

–To się okaże za chwilę. Huroni uważają, że całe jezioro jest zdane na ich łaskę, i dlatego przysyłają przeze mnie ten pasek wampumu – Pogromca pokazał wampum Wężowi – z następującymi słowy: Wąż niech się dowie, że jak na początkującego dobrze się spisał. Może się teraz kopnąć przez góry do swej rodzinnej wioski i nikt nie pójdzie jego śladem. Jeśli zdobył skalp, niech go zabierze ze sobą. Waleczni

Huroni mają serca i rozumieją młodego wojownika, który nie chce wrócić do domu z pustymi rękami. Jeśli jest rączy, niechaj na czele oddziału Delawarów ruszy w pościg za Huronami, prosimy bardzo! Cyt jednak musi wrócić do hurońskiego obozu. Kiedy odchodziła w nocy, przez pomyłkę zabrała z sobą coś, co do niej nie należy.

–To nieprawda! – żywo zaprotestowała Hetty. – Cyt nie jest taka, każdemu odda, co mu się należy...

Mówiłaby dalej, gdyby nie Cyt, która – śmiejąc się i zasłaniając twarz ze wstydu – ręką zamknęła dziewczynie usta i w ten sposób odebrała jej głos.

–Nie rozumiesz mowy Mingów, biedna Hetty – podjął Pogromca. – Sens kryje się zwykle pod powierzchnią ich słów. Cyt zabrała z sobą serce młodego Hurona, wodzowie więc chcą, żeby wróciła, a biedny chłopak odnalazł to, co zgubił; Wąż – powiadają – jest tak obiecującym młodym wojownikiem, że na pewno znajdzie sobie, tyle żon, ile dusza zapagnie, ale tej jednej nie będzie miał. Jeśli dobrze ich zrozumiałem, tyle chcieli powiedzieć i ani słowa więcej.

–Bardzo to miłe i mądre z ich strony, jeśli uważają, że młoda kobieta może zapomnieć o własnych uczuciach, byle tylko nieszczęsny młodzian odnalazł swe serce – powiedziała złośliwie Judyta, po czym dodała z goryczą: – Moim zdaniem, kobieta – zarówno biała, jak Indianka – jest kobietą. Twój, Pogromco, wodzowie mało wiedzą o sercu kobiety, jeśli sądzą, że może ono przebaczyć krzywdę lub zapomnieć o swej prawdziwej miłości.

–Wiem, Judyto, że bywają takie kobiety, ale sam znałem inne – przebaczyły urazy i zapomniały o miłości. Następny apel Mingów jest adresowany do ciebie. Piżmoszczur, powiadają (tak nazywają twego ojca), dał nurka na dno jeziora i nigdy już nie wypłynie, a jego małe niebawem nie będą miały wigwamu, a może i pożywienia. Domki Huronów są, ich zdaniem, lepsze niż chaty w kolonii Yorku, proszą, więc, byście przyszły do nich i same się o tym przekonały. Jesteście białe, to prawda, ale dziewczęta, które tak długo żyły w lasach, zginą na wielkiej polanie, jaką jest kolonia. Jeden z ich wielkich wojowników postradał niedawno żonę i chętnie by posadził Dziką Różę przy ognisku na stołku po nieboszczce. Słaba Głowa będzie otoczona czcią i opieką przez czerwonoskórych wojowników. Majątek po waszym ojcu powinien wzbogacić szczerp huroński, natomiast twój majątek, to znaczy rzeczy osobistego użytku, przejdzie wedle zwyczaju do wigwamu męża. Huroni stracili ostatnio dziewczynę, która została zastrzelona, potrzebują więc, powiadają, dwóch bladych twarzy na miejsce jednej Indianki.

–I ty, Pogromco Zwierząt, przynosisz dla mnie taką propozycję?! – zawołała Judyta tonem, w którym więcej

było bólu niż gniewu. – Czy wyglądam na niewolnicę Indianina?

–Jeśli chcesz wiedzieć, co naprawdę o tym myślę, odpowiem, że nie' zdaje mi się, byś mogła kiedykolwiek z dobrej woli zostać niewolnicą mężczyzny, wszystko jedno białego czy Indianina. Nie myśl jednak źle o mnie, jeśli przekazuję, jak umiem najdokładniej i najdosłowniej, to, co mi polecono powtórzyć. Pod tym warunkiem otrzymałem urlop, a umowa jest umową, choćbyś ją zawarł z hurońskim nicponiem. Powtórzyłem wam, co powiedzieli Huroni, i jeszcze słowa nie rzekłem, jak winna wyglądać odpowiedź każdego z osobna i wszystkich was razem.

–Właśnie, czekamy na twoje słowo, Pogromco Zwierząt! – zawołał Hurry. – Bardzo jestem ciekaw, jak twoim zdaniem ma wyglądać rozsądna odpowiedź. Co się tyczy mojej osoby, mam już gotową odpowiedź i udzielę jej we właściwym czasie.

–Ja też mam gotowe odpowiedzi za was wszystkich, a najbardziej za ciebie, Hurry. Gdybym był tobą, powiedziałbym tak: Słuchaj, Pogromco Zwierząt, powiedz tym hultajom, że jeszcze nie znają Harry Marcha! Jest człowiekiem, ma białą skórę i naturę białego, która nie pozwoli mu opuścić białych kobiet w nieszczęściu. Bądźcie więc pewni, że odmówię zawarcia z wami traktatu, choćbyście przy tej sposobności mieli wypalić baryłkę tytoniu.

Ten docinek trochę zmieszał Marcha, został bowiem wypowiedziany z ogniem i takim tonem, że nie trudno było się domyślić, do czego Pogromca pije. Wystarczyłoby słowo zachęty ze strony Judyty, a Hurry bez wahania zostałby bronić obu sióstr. Dziewczyna jednak milczała. Przykre uczucie zawiedzionego kochanka nakazywało mu jak najrychlej rozstać się z dziewczętami. Nigdy nie był na tyle rycerski, żeby narażać się na niebezpieczeństwo, jeśli nie widział bezpośredniego związku między wynikiem walki a osobistą korzyścią. Nic więc dziwnego, że na odpowiedź Hurry'ego wpłynęły zarówno jego zamiary, jak i dufność w olbrzymią siłę, która może nie zawsze dodawała mu odwagi, ale za to najczęściej sprawiała, że w rozmowie z innymi zachowywał się arogancko.

–Szczerość prowadzi do trwałej przyjaźni, panie Pogromco Zwierząt – powiedział z odcieniem pogrożki w głosie. – Jesteś młodym smykiem i wiesz z doświadczenia, co znaczysz w rękach dorosłego mężczyzny. Skoro nie jesteś mną, tylko pośrednikiem wysłanym przez Huronów do nas, chrześcijan, możesz powiedzieć swym mocodawcom, że znają Harry Marcha, który nie jest głupszy od nich. March jest człowiekiem, ludzka zaś natura mówi mu, że szaleństwem byłoby walczyć w pojedynkę z całym szczepem. Kobiety, które go rzuciły, muszą być przygotowane, że i on je porzuci, bez względu na to, czy są białe, czy siakie lub owakie. Gdyby Judyta zmieniła zdanie, chętnie bym ją i Hetty wziął z sobą do fortu. W przeciwnym razie odejdę, gdy tylko nieprzyjacielscy zwiadowcy ułożą się do snu w nadbrzeżnych zaroślach.

–Judyta swego zdania nie zmieni i wcale się nie wprasza do twego towarzystwa, panie March – żywo odparła dziewczyna.

–Ta sprawa jest więc załatwiona – powiedział Pogromca niewiele sobie robiąc ze wzburzenia odpalonego kawalera. – Hurry Harry zajmie się własną osobą i zrobi, co będzie uważał za stosowne. Droga, którą wybrał, pójdzie mu się lekko, bo poza sumieniem nic mu ciążyć nie będzie. A teraz kolej na Cyt – jaka jest twoja odpowiedź, dziewczyno? Czy ty także zapomnisz o swoim obowiązku, wrócisz do Mingów i wyjdiesz za Hurona nie z miłości, lecz z obawy o własny skalp?

–Jak ty możesz tak mówić do Cyt? – zapytała na pół obrażona Delawarka. – Czy ty uważasz delawarska dziewczyna za oficerska dama, co się śmieje i żartuje z każdy oficer?

–Co ja myślę, Cyt, to zachowam dla siebie. Jeśli mam zanieść Mingom twoją odpowiedź, muszę ją przedtem od ciebie otrzymać. Lojalny poseł przekazuje odpowiedź wiernie co do joty.

Cyt bez wahania udzieliła wyczerpującej odpowiedzi. Podniecona wstała i w swym języku ojczystym, w którym najłatwiej było jej się wysłowić, w pięknej formie i z wielką godnością wyraziła swe myśli i zamiary.

–Powiedz Huronom, Pogromco Zwierząt, że są ślepi jak krety i nie odróżniają psa od wilka. W mojej ojczyźnie róża umiera na łodydze, na której zakwitła, lzy dziecka padają na grób rodziców, zboże rośnie tam, gdzie padło ziarno. Delawarskie dziewczęta nie są posłami, żeby je przekazywano jak pasek wampumu, z jednego szczepu do drugiego. Delawarki są jak powój, który kwitnie tylko w swym rodzinnym lesie; młodzi współplemieńcy noszą je w sercu jak kwiat powoju, słodko pachnący, gdy go zerwać z łodygi. Nawet pliszka i jaskółka, wraca ją co roku do swych gniazdek – czyżby kobieta była mniej wierna od ptaszka? Zasadź sosnę na gliniastym gruncie, a liście jej żółkną, wierzba, nie będzie rośla na górze, tamarak najlepiej się czuje na bagnie, morskie plemiona lubią słuchać szumu wiatrów wiejących nad słonymi wodami. Czymże jest młody Huron dla dziewczyny ze szczepu Leni Lenape? Może jest rączy, ale oczy delawarskiej dziewczyny nie będą śledzić jego biegu i zwrócą się ku chatom Delawarów. Może śpiewać pieśni słodkie dla uszu dziewcząt z Kanady, ale dla Wah jedna jest tylko muzyka. Jest nią melodia języka, którego słuchała od dziecka. Huron, który by nawet pochodził z plemienia mieszkającego kiedyś na brzegu wielkiego jeziora słonej wody, nic by nie był wart, gdyby nie należał do rodziny Unkasów. Młoda sosna wyrośnie i będzie tak wysoka jak jej ojcowie. Wah-ta-Wah ma jedno serce i może kochać tylko jednego męża.

Pogromca Zwierząt wysłuchał z wyraźną radością słów Delawarki, wypowiedzianych z wielkim zapałem. Kiedy dziewczyna skończyła swą płomienną mowę, myśliwy zaśmiał się jak zwykle cicho i serdecznie.

–Oto mowa warta wszystkich wampumów w całej puszczy! – zawołał. – Judyto, tyś pewnie nic z tego nie zrozumiała. Zajrzyj jednak w swe serce i wyobraź sobie, że

wróg żąda przez posła, abyś rzuciła miłego ci mężczyznę i wyszła za człowieka, którego nie kochasz, a wtedy zrozumiesz Cyt, jestem tego pewny. Nikt nie jest tak wymowny jak kobieta, która chce powiedzieć, co czuje jej serce. „Powiedzieć” nie znaczy wcale „paplać”, bo to nie sztuka. To znaczy, w celnych słowach wyrazić szczere i głębokie uczucie. Teraz, Judyto, po otrzymaniu odpowiedzi czerwonoskórej dziewczyny, chciałbym usłyszeć decyzję bladolicej, jeżeli twoją kwitnącą rumieńcami twarzyczkę można nazwać bladą. Słusznie Indianie nazwali cię Dziką Różą. Ze względu na cerę, Hetty trzeba by nazwać Powojem.

–Gdyby to powiedział któryś z garnizonowych bawidamków, wydrwiłabym pochlebcę. Wiem jednak, że ty, Pogromco Zwierząt, zawsze jesteś szczery i że można ci wierzyć – odparła Judyta, bardzo rada z niewyszukanych i naiwnych komplementów myśliwego. – Za wcześnie jednak żądasz ode mnie odpowiedzi, skoro Wielki Wąż nie zabrał jeszcze głosu..;

–Wąż? Mój Boże! Mogę zanieść Mingom jego odpowiedź, choćby nie powiedział ani słowa! Wyznam, że nie miałem zamiaru pytać go o zdanie, aczkolwiek, nie byłoby to właściwe, skoro mam przekazać Mingom tylko wasze słowa i nic więcej. Wobec tego, Chingachgook, powiedz, co myślisz i czy chcesz ruszyć do domu i zostawić Cyt Huronowi, a wodzom delawarskim powiedzieć, że jeśli dobrze się uwiną, mogą znaleźć ogon śladów Irokezów w dwa lub trzy dni po ich odejściu z tych stron.

Młody wódz, podobnie jak jego narzeczona, wstał, aby swej odpowiedzi dodać w ten sposób powagi i godności. Cyt mówiła z rękami skrzyżowanymi na piersiach, jakby chciała stłumić uczucia wypełniające jej serce. Młody wojownik wyciągnął ramię przed siebie gestem spokojnym i stanowczym, który miał dodać wagi, jego oświadczeniu.

–Na wampum trzeba odpowiedzieć wampumem – powiedział – na pytanie należy dać odpowiedź. Słuchajcie, co Wielki Wąż Delawarów ma do powiedzenia farbowanym wilkom wielkich jezior, wyjącom w naszych lasach. Przede wszystkim nie są wilkami. Te psy przybiegły tutaj po to, aby ręce Delawarów obciąły im ogony i uszy. Dobrze kradną dziewczęta, ale źle ich pilnują. Chingachgook bierze swą własność z miejsca, w którym ją znajdzie, nie pytając o zgodę kundli z Kanady. Wara Huronom do uczuć Węża! O swych uczuciach mówi tej, która pragnie jego słów. Nie będzie beczał o swej miłości w lesie, ażeby usłyszeli go ci, którzy znają tylko okrzyki przerażenia. Co się dzieje w domu Węża, nie obchodzi nawet wodzów jego własnego szczepu, a cóż dopiero takich łotrów jak Mingowie...

–Nazwij ich włóczykijami, Wężu – przerwał mu Pogromca nie mogąc ukryć swego zachwyty nad mową przyjaciela. – Tak, po prostu włóczykije od stóp do głów. Słowo to łatwo przetłumaczyć na ich język, a im uszy spuchną, bo wiedzą, że to prawda. Nie bój się, powtórzę im wszystko, co powiedziałaś, jota w jotę każdą myśl, każde szyderstwo i pogardliwe słowo, tak – jak na to zasługują. Wystarczy, że nazwiesz ich

włóczykijami raz, a potem jeszcze raz. Sok wzburzy się w Mingach od korzeni po czubki.

–...a cóż dopiero takich włóczykijów jak Mingowie – powtórzył Chingachgook, chętnie przyjmując poprawkę swego przyjaciela. – Powiedz hurońskim psom, niech głośniej wyją, jeśli chcą, żeby Delawar znalazł ich w lesie, gdzie zamiast polować, jak przystało wojownikom, chowają się po norach jak lisy. Mogłem ich tropić, kiedy mieli w obozie młodą Delawarkę, teraz zapomnę o nich, jeśli nie będą darli pysków. Chingachgookowi nie chce się iść do delawarskich wiosek po wojowników. Jeśli Huroni dadzą nogę, sam będzie im deptał po piętach aż do Kanady, chyba że wleżą pod ziemię. Wąż zatrzyma Wah-ta-Wah przy sobie, aby gotowała mu dziczyznę, którą on upoluje. We dwójkę pogonią całą hurońską zgrają aż do ich ziemi ojczystej.

–Wspaniały manifest, jakby powiedzieli oficerowie! – zawołał Pogromca. – Wzburzy się krew hurońską, a najbardziej zaboli ich ta część twego orędzia, w której powiadasz, że Cyt także będzie im deptać po piętach, aż ich wygna z naszego kraju. Niestety! Wielkim słowom nie zawsze odpowiadają wielkie czyny. Zrządzeniem boskim możemy spełnić tylko połowę naszych pobożnych zamiarów. A teraz kolej na ciebie, Judyto, te łotry bowiem oczekują odpowiedzi od każdego z was, może tylko z wyjątkiem biednej Hetty.

–Czemu z wyjątkiem Hetty, Pogromco Zwierząt? Ona często mówi wcale do rzeczy. Indianie mogą liczyć się z jej zdaniem, bo szanują osoby takie jak Hetty.

–Bystra jesteś dziewczyna i masz słuszość. Czerwonoskórzy otaczają wciąż osoby nieszczęśliwe, a zwłaszcza naszą Hetty. Wobec tego, Hetty, jeśli masz coś do powiedzenia, mów, a powtórzę to Huronom tak wiernie, jakby to były mądre słowa pana nauczyciela lub misjonarza.

Hetty namyśliła się, a potem przemówiła miłym i słodkim głosem z nie mniejszą powagą niż ci, którzy mówili przed nią.

–Huroni nie widzą różnicy między białymi a Indianami, inaczej by nie proponowali Judycie i mnie, abyśmy przyszły do nich i zamieszkały w hurońskiej wiosce. Bóg dał jeden kraj czerwonoskórym, a drugi nam, białym. Chce, byśmy żyli osobno. Mama zawsze mówiła, że powinniśmy mieszkać tylko wśród chrześcijan. Wobec tego nie możemy iść do Huronów. Jezioro należy do nas i zostaniemy tutaj, gdzie są groby naszych rodziców. Nawet najnędniejszy Indianin pragnie być blisko grobów swych bliskich. Jeśli chcą mnie zobaczyć, mogę ich odwiedzić i czytać im Biblię, ale nie odejdę od grobów rodzinnych.

–To im wystarczy, Hetty. Nie powiesz więcej, choćbyś mówiła znacznie dłużej – przerwał jej młody myśliwy. – . Powtórzę im wszystko, coś powiedziała i miała na myśli. Możesz być pewna, że będą zadowoleni. A teraz kolej na ciebie, Judyto, i na

tym skończy się moja misja.-

Judyta wyraźnie zwlekała z odpowiedzią, co oczywiście zwróciło uwagę poła. Wiedząc, że jest dumną dziewczyną, nie sądził, aby wbrew swemu przekonaniu postąpiła inaczej niż Cyt i Hetty. A jednak wahała się i to nieco zaniepokoiło Pogromcę. Nawet kiedy zwrócił się do niej bezpośrednio, milczała i dopiero gdy nastąpiła głęboka cisza, świadcząca, że wszyscy niespokojnie czekają na to, co powie, Judyta wreszcie się odezwała. Mówiła jednak niepewnie i niechętnie.

–Najpierw powiedz mi... to znaczy nam – poprawiła się – jaki wpływ będą miały nasze odpowiedzi na t w ó j los. Jeśli masz być ofiarą naszego zuchwalstwa, powinniśmy lepiej dobierać słów, jakich użyjemy wobec Mingów. Powiedz zatem, na co mogą cię narazić nasze odpowiedzi.

–Mój Boże, mogłabyś równie dobrze zapytać, jaki wiatr będzie wiał za tydzień albo ile lat będzie miał następny jeleń, którego położę. Mogę tylko tyle powiedzieć, że Huroni patrzą na mnie trochę spode łba. Ale nie z każdej czarnej chmury sypią się gromy i nie każdy powiew wiatru przynosi deszcz. Łatwo ci pytać, ale mnie trudno odpowiedzieć.

–Podobnie ma się rzecz z pytaniem, jakie zadali mi Irokezi – odparła Judyta wstając, jakby właśnie podjęła decyzję. – Odpowiedź dam po rozmowie z tobą na osobności, kiedy wszyscy udadzą się na spoczynek.

Powiedziała to tonem tak stanowczym, że Pogromca ustąpił. Uczynił to chętnie, zwłoka bowiem nie groziła żadnymi następstwami. Na tym narada się skończyła. Hurry oświadczył, że zaraz rusza w drogę. Minęła jednak godzina, zanim wyjechał, czekał, bowiem, aż zrobi się zupełnie ciemno. Wszyscy wrócili do swych zwykłych zajęć, a Pogromca przez cały ten czas badał zalety znakomitej strzelby Huttera.

O godzinie dziewiątej postanowiono, że Hurry może już wyruszyć. Zamiast pożegnać się szczerze i serdecznie uznał za stosowne powiedzieć parę słów tonem chłodnym i markotnym. Miał urazę do Judyty o to, że się niepotrzebnie uparła, i był przygnębiony niepowodzeniami, jakie go spotkały od chwili przybycia nad jezioro, Jak to bywa z ludźmi nieokrzesanymi i ograniczonymi, wolał zwalić winę na innych, niż sam się do niej przyznać. Judyta podała mu rękę bardziej zadowolona niż zmartwiona jego odjazdem. Delawarzy bynajmniej nie okazywali najmniejszego żalu z powodu tego rozstania. Jedna Hetty była wyraźnie wzruszona. Nieśmiało dziewczątko trzymało się jednak na boku i pokazało się dopiero, gdy Hurry wszedł do czółna, w którym czekał już Pogromca Zwiżąt. Hetty weszła na arkę, gdy łódka lekko i ledwie dostrzegalnie odbijała od statku. Żal z powodu rozstania przemógł jej nieśmiałość. Przemówiła głosem pełnym słodyczy:

–Żegnaj, Hurry, bądź zdrow, kochany Hurry. Uważaj w lesie na siebie, nie zatrzymuj

się po drodze, idź prosto do fortu. Wokół jeziora tyle jest Huronów, ile liści na drzewach. Jesteś prawdziwym mężczyzną i dzicy nie obeszliby się z tobą tak łagodnie jak zemną.

Wrażenie, jakie March wywarł na tej dobrej, acz nie bardzo mądrej dziewczynie, tłumaczy się prawem natury. Urzekła ją uroda Hurry'ego, nie miała zaś sposobności poznać go lepiej. Przy bliższym poznaniu Hurry wiele by stracił w oczach Hetty, której starczyłoby rozsądku, aby go właściwie ocenić. Kierował nią instynkt dobra (jeśli można tak nazwać sztukę niezawodnego odróżniania dobra od zła), dzięki czemu, gdyby się z bliska przyjrzała Hurry'emu, musiałaby odkryć w nim wiele cech odpychających. Gdy jednak rozmawiał i żartował na boku z jej siostrą, widziała tylko postawnego i przystojnego chłopca i to działało na jej naiwną wyobraźnię i czułe serce. Najczęściej nie słyszała, co mówi, i dlatego nie wiedziała, jaki to grubianin. Co prawda, uważała go za prostaka, ale taki był jej ojciec i większość mężczyzn, jakich знаła. Sądziła, że wszyscy mężczyźni są gruboskórni i dlatego dość pobłażliwie oceniała maniery Marcha. Nie była jednak zakochana w Hurry (wcale nie pragnęliśmy tak przedstawić tej sprawy czytelnikowi). Po prostu pod wpływem podziwu obudziła się w niej skłonność, która w sprzyjających warunkach – gdyby młodzieniec nie zdradził brzydkich cech charakteru i w ten sposób nie zraził do siebie dziewczyny – mogła rozwinąć się w uczucie wielkiej miłości. Słowem, żywiła dlań tkliwe uczucia, ale nie była jeszcze zakochana. Najbliższa była miłości do Hurry'ego, kiedy zmiarkowała, że młodzieniec ten ma się ku Judycie. Wówczas po raz pierwszy nierozgarnięte dziewczę, które w licznych adoratorach siostry widziało tylko znajomych, spostrzegło się, o co tu chodzi.

Wszyscy tak chłodno pożegnali się z Hurry'm, że miły głos Hetty chwycił go za serce. Zatrzymał się i potężnym uderzeniem wiosła cofnął czółno do arki. Zaskoczyło to dziewczyną. Zdobyła się na odwagę, gdy bohater jej serca już odpłynął, kiedy zaś nagle wrócił:, cofnęła się wystraszona.

–Dobra z ciebie dziewczyna, Hetty. Muszę na pożegnanie uścisnąć ci rękę – powiedział uprzejmym tonem i wskoczył na pokład arki. – Judyta, w gruncie rzeczy, nie umywa się do ciebie, choć może jest kapkę ładniejsza. Co się zaś tyczy rozumu, to jeśli uczciwe i otwarte postępowanie wobec mężczyzny świadczy o rozsądku kobiety, jesteś warta więcej niż tuzin takich Judyt i bądźmy szczerzy, innych moich znajomych.

–Harry, nie mów źle o Judycie – odpowiedziała Hetty błagalnym tonem. – Ojciec i matka odeszli od nas, zostałyśmy same. Siostry nie powinny źle mówić o sobie ani pozwolić na to obcym. Rodzice spoczywają na dnie jeziora. Bójmy się Boga, bo ktoś wie, kiedy same tam się znajdziemy. To brzmi rozsądnie, moja mała, jak niemal wszystko, co mówisz. No dobrze, jeśli się kiedyś spotkamy, znajdziesz, we mnie przyjaciela. Judyta niech sobie robi, co chce. Z twoją matką, wyznam szczerze, nie bardzośmy się lubili, ale uważasz, z ojcem, starym Tomem, pasowaliśmy do siebie

jak ułał, niczym ubranie ze skóry jeleniej na mężczyźnie zbudowanym jak się patrzy. Zawsze jednogłośnie twierdziłem, że stary Hutter, czyli Pływający Tom, w gruncie rzeczy jest dobry chłop i będę go bronił przed językami wrogów z miłości do nieboszczyka i do ciebie, Hetty.

–Do widzenia, Hurry – odparła Hetty, która chciała teraz jak najprędzej rozstać się z nim, tak jak przed chwilą pragnęła go zatrzymać, choć przez cały czas nie zdawała sobie sprawy z pobudek, jakie nią kierowały – do widzenia! Uważaj na siebie w lesie. Nie zatrzymuj się po drodze. Zanim pójdę spać, przeczytam dziś rozdział z Biblii na twoją intencję i pomodłę Się za ciebie.

Był to temat niemiły Marchowi, bez słowa więc ścisnął serdecznie rękę dziewczyny i wrócił do czółna. W ciągu minuty młodzieńcy oddalili się o sto stóp od arki, a po chwili zniknęli z oczu Hetty. Westchnęła głęboko i poszła do siostry i Cyt.

Przez jakiś czas Pogromca i jego towarzysz wiosłowali w milczeniu. Postanowili, że Hurry wyjdzie na brzeg w tym samym miejscu, w którym widzieliśmy ich. wsiadających do czółna na początku naszego opowiadania. Przemawiało za tym, nie tylko małe prawdopodobieństwo, aby Huroni pilnowali tego miejsca, ale i fakt, że Hurry tutaj najlepiej znał teren i najłatwiej mógł znaleźć drogę w ciemnościach nocy. W tym więc kierunku pomknęło lekkie czółno, tak popędzane przez dwóch silnych i zręcznych wiosłarzy, że niemal unosiło się nad wodą. W ciągu niespełna kwadransa znaleźli się w cieniu górzystego brzegu jeziora, niedaleko miejsca, do którego zmierzali. Tutaj przestali wiosłować, chcieli bowiem odbyć pożegnalną rozmowę w takiej odległości od brzegu, aby żaden Huron, który by się tam wałęsał, nie mógł ich podsłuchać.

–Zaraz po przybyciu do fortu postaraj się przekonać oficerów, żeby wysłali oddział wojska przeciw tym włóczęgom – zaczął Pogromca. – Najlepiej sam się zgłoś na przewodnika. Znasz drogę, jezioro i jego okolicę, poprowadzisz więc lepiej niż zwykły zwiadowca., Maszerujcie na obóz Huronów, a jeśli ich już nie będzie, idźcie ich śladem. Po drodze do obozu rzucisz okiem na zamek i arkę i zorientujesz się, co jest z Delawarem i dziewczętami. Cokolwiek się tu stanie tymczasem, będziecie mogli puścić się w pościg za Mingami i tak się zakarbować w pamięci tych hultajów, żeby mieli nauczkę na dłuższy czas. Mnie to już nie pomoże, mój los bowiem rozstrzygnie się jutro przed zachodem słońca, ale wasza pomoc może zadecydować o życiu i lepszej przyszłości Judyty i Hetty.

–A ty, Natanielu? – zapytał Hurry z większym zainteresowaniem, niż zwykł okazywać dla cudzych losów. – Jak myślisz, co będzie z tobą?

–Bóg jeden wie, Henryku March! Czarne i groźne chmury zebrały się na horyzoncie. Jestem przygotowany na najgorsze. Żądza zemsty pożera serca Mingów. Wystarczy, aby przypomnieli sobie, że nie ograbili zamku, oddali jeńców i że uciekła im Cyt, od

razu wezmą mnie na męki. Los mój, podobnie jak i twój, jest w ręku Wszechmocnego.

–Marny twój widok. Coś jednak trzeba by zrobić, albo tak, albo siak – odparł Hurry nie myśląc wcale, jak każdy samolub i prostak, co w przypadku Pogromcy byłoby słusznym postępkim. – Nie mogę odżałować, że nie oskalpowaliśmy wszystkich Mingów, kiedy z Hutterem wyprawiliśmy się w nocy do ich obozu. Gdybyś poszedł z nami, na pewno by się udało i nie byłbyś teraz w tak opłakanym położeniu.

–Lepiej powiedz, że żałujesz czynu niegodnego białego człowieka. Gdybyście nie poszli po skalpy, nie dostalibyśmy w skórę, Tomasz Hutter byłby wśród żywych, a serca dzikich nie płonęłyby żądzą odwetu. Nie była też potrzebna śmierć irokezkiej dziewczyny, która teraz co najmniej plami nasze dobre imię, jeśli nie ciąży ci na sumieniu.

Była to prawda tak oczywista nawet dla Hurry'ego, że nic nie powiedział, tylko zanurzył wiosło w wodzie i popędził czółno ku brzegowi, jakby chciał jak najprędzej ująć przed palącymi wyrzutami sumienia. Pogromca poparł swym ramieniem gorączkowy wysiłek towarzysza i w chwilę potem dziób czółna otarł się lekko o żwir brzegu. Hurry wyskoczył z łódki i spiesznie zarzucił na ramię torbę podrózną i strzelbę. Mruknął: „Bywaj” i ruszył w drogę, lecz po paru krokach widocznie coś go ukłuło w serce, gdyż zatrzymał się i zawrócił.

–Nie masz chyba zamiaru oddać się W ręce tych krwawych dzikusów, Pogromco Zwierząt? – powiedział z gniewnym wyrzutem, ale i z nutą współczucia. – Byłby to czyn szaleńca lub durnia!

–Jedni uważają dotrzymanie słowa za szaleństwo, inni nie podzielają tego zdania, mój Hurry Harry. Ty należysz do pierwszych, ja do drugich. Nie pozwolę, by przeze mnie Indianie mogli powiedzieć, że Mingo więcej ceni swe słowo niż biały. Huroni udzielili mi urlopu i jeśli będę żył i nie stracę rozumu, jutro w południe stawię się w obozie.

–Cóż to jest Indianin? Co znaczy słowo dane dzikusowi albo urlop uzyskany od stworzenia, które nie ma duszy ani nazwiska?

–Jeśli nawet Indianin nie miałby duszy ani imienia, my jesteśmy ludźmi. odpowiadamy za siebie. Mój urlop nie jest, jak ci się zdaje, sprawą między mną a Mingami – dałem uroczyste słowo w Obliczu Boga. Kto uważa, że jeśli znalazł się w opałach, może mówić, co chce, i że to, co powiedział w lesie Indianom, wcale się nie liczy, ten nic nie wie o sobie i swych obowiązkach. Wszechmocny' słyży jego słowa. Wiatr jest oddechem Boga, a promień słońca jego spojrzeniem. Żegnaj, Harry. Może już się nigdy nie spotkamy. Ale nie chciałbym, abyś urlop lub inne uroczyste przyrzeczenie, przy którym wezwałeś na świadka twego chrześcijańskiego Boga,

uważał za zobowiązanie tak błahe, że możesz o nim zapomnieć pod wpływem pragnień twego ciała, a nawet ducha.

March pragnął teraz uciec stąd jak najprędzej. Nie mógł zrozumieć szlachetnych uczuć swego towarzysza, szybko więc odszedł, klnąc w duchu głupotę człowieka, który z własnej woli szedł na pewną śmierć. Pogromca zachował niewzruszony spokój. Znajdując oparcie w zasadach, które wyznawał, gotów wytrwale stosować je w życiu, wolny od obaw niegodnych mężczyzny, patrzył na to, co go czekało, jak na rzecz całkiem naturalną, i nie myślał opierać się losowi, podobnie jak muzułmanin nie śmie sprzeciwić się wyrokowi przeznaczenia. Stał na brzegu, słuchając, jak Hurry z hałasem przedziera się przez zarośla. Pokiwał głową niezadowolony z jego nieostrożności, a kiedy kroki piechura umilkły, spokojnie wrócił do czółna. Zanim zanurzył wiosło, spojrzął na widok, jaki w blasku gwiazd roztaczała noc. Kiedyś, z tego samego miejsca ujrzał po raz pierwszy Lśniące Zwierciadło. Błyszczało wówczas w jasnym świetle południa, teraz, spowite w mroku nocy, przedstawiało widok smętny i pełen melancholii. Góry czarnym sklepieniem zwisały nad jeziorem odgradzając je od reszty świata. Błada poświata na środku jeziora mogła oznaczać słabe i mgliste nadzieje Pogromcy na przyszłość. Myśliwy ciężko westchnął, odepchnął czółno od lądu i śmiało powiosłował w kierunku zamku.

ROZDZIAŁ 24

Twe skryte grzeszki okrzyczano w Rzymie,

A post publiczny przyniosły biesiady,

Zszarganą szmatą stało się twe imię,

A słodki język – złym językiem zdrady

Z próżności został jedynie cień blady.

„Porwanie Lukrecji”

Judyta stała na pomoście, niecierpliwie oczekując powrotu Pogromcy. Cyt i Hetty spały już smacznie na łóżku sióstr Hutter. Delawar w sąsiednim pokoju rozciągnął się na podłodze, strzelbę położył obok, nakrył się kocem i śnił o wydarzeniach ostatnich dni. Na arce paliła się lampa. Na zbytek ten pozwalano sobie tylko w wielkie święta, zresztą sama lampa była przedmiotem cennym i zapewne z tego tytułu przez dłuższy czas spoczywała w skrzyni jak w skarbcu.

Judyta wielkimi krokami mierzyła pomost arki. Gdy ujrzała czółno, zatrzymała się, aby powitać młodzieńca, o którego już się zaczęła niepokoić. Pomogła. Pogromcy przywiązać czółno i złożyć wiosła, dając mu w ten sposób do zrozumienia, jak bardzo jej się śpieszy do rozmowy w cztery oczy. Potem, odpowiadając na pytanie, poinformowała go, gdzie ułożyły się do snu pozostałe osoby. Słuchał uważnie, domyślając się z zachowania dziewczyny, że ma jakieś większe zmartwienie.

–Widzisz, Pogromco Zwierząt – powiedziała – że zapaliłam lampę i postawiłam ją w kajucie. U nas lampę zapala się tylko w najbardziej uroczystych chwilach. Wiedz, że uważam tę noc za najważniejszą w moim życiu. Chodź ze mną, proszę, i zechciej obejrzyć to, co ci pokażę, i wysłuchać tego, co ci powiem.

Myśliwy trochę się zdziwił. Nie opierał się jednak i w chwilę potem znaleźli się w kajucie oświetlonej lampą. Obok skrzyni stały dwa stołki, na trzecim Judyta postawiła lampę, przysunęła też stół, aby układać na nim przedmioty wyjęte ze skrzyni. Przygotowań tych dokonała, by jak najrychlej przystąpić do zbadania zawartości skrzyni, paliła ją bowiem gorączkowa ciekawość. Nawet kłódki były już zdjęte. Wystarczyło więc podnieść ciężkie wieko i wyjąć ze skrzyni skarby, które tak długo leżały w ukryciu.

–Zaczynam się domyślać, o co chodzi – powiedział Pogromca. – Ale czemu nie ma przy tym Hetty? Po śmierci Tomasza Huttera jest właścicielką połowy tych cudów, powinna więc być obecna przy otwarciu skrzyni i zobaczyć, co się stanie z jej

zawartością.

–Hetty śpi – śpiesznie odpowiedziała Judyta. – Na szczęście, nie nęca jej piękne suknie i inne bogactwa. Poza tym dziś wieczór zrzekła się swego udziału na moją rzecz i wyraziła zgodę, abym zrobiła z tym, co zechcę.

–Czy biedna Hetty jest na tyle rozumna, by mogła rozporządzać swym majątkiem? – zapytał zacny młodzieniec. – Istnieje słuszna zasada, że nie przyjmuje się podarunków od osób, które nie znają ich wartości. Istoty upośledzone na umyśle przez Boga należy otaczać opieką na równi z dziećmi, które nie doszły jeszcze do rozumu.

Wymówka dotknęła Judytę, tym bardziej że pochodziła od Pogromcy. Odczułaby ją znacznie boleśniej, ale była w zgodzie z własnym sumieniem, nie miała bowiem zamiaru skrzywdzić upośledzonej i darzącej ją zaufaniem siostry. Poza tym nie czas było dąsać się i obrażać, stłumiła więc przelotny gniew, byle jak najprędzej przystąpić do dzieła.

–Nie skrzywdzę Hetty – odparła łagodnym tonem. – Wie nie tylko, co zamierzam zrobić, ale i dlaczego tak postępuję. Siądź więc i podnieś wieko skrzyni. Tym razem przeszukamy ją do dna. Byłabym niepokieszona, gdybyśmy nie znaleźli bliższych wiadomości o dziejach Tomasza Huttera i mojej matki.

–Czemu, Judyto, Tomasza Huttera, a nie twojego ojca? Zmarłych winniśmy szanować nie mniej niż żywych.

–Od dawna podejrzewałam, że Tomasz Hutter nie jest moim ojcem, chociaż mógł być ojcem Hetty. Teraz, wiemy, że nie był ojcem żadnej z nas. Wyznał to w godzinę swej śmierci. Jako starsza, pamiętam, że kiedyś żyliśmy lepiej niż tutaj. Ale są to wspomnienia tak słabe, że moje dzieciństwo wydaje mi się, snem.

–Sen jest kiepskim przewodnikiem w życiu, Judyto – powiedział Pogromca. – Nie wierz snom i niczego się po nich nie spodziewaj. Muszę jednak powiedzieć, że znałem wodzów indiańskich, którzy przywiązywali wagę do tego, co im się śniło.

–Niczego nie chcę od snów, mój przyjacielu, ale nic nie poradzę na to, że pamiętam, co było w rzeczywistości. Nie traćmy jednak czasu. Pół godziny wystarczy, aby skrzynia powiedziała nam wszystko, a może nawet więcej, niżbym pragnęła.

Pogromca, rozumiejąc niecierpliwość Judyty, usiadł na stołku i po raz drugi w życiu zabrał się do opróżniania skrzyni. Oczywiście, przedmioty, które obejrzeni za pierwszym razem, znajdowały się na swoim miejscu i nie wywołały już większego wrażenia ani uwag na ich temat. Nawet Judyta z obojętną miną odłożyła na bok bogatą suknię brokatową, chodziło jej bowiem o coś znacznie ważniejszego niż zaspokojenie kobiecej próżności, i chciała jak najprędzej dotrzeć do nie znanych jej

jeszcze skarbów, ukrytych na dnie skrzyni.

–Wszystko to już widzieliśmy – powiedziała – i nie warto jeszcze raz oglądać tych rzeczy. Ale paczka, którą trzymasz w ręku, to coś nowego, trzeba do niej zajrzeć.

Dałby Bóg, abyśmy znalazły w niej odpowiedź, kim właściwie jesteśmy.

–Tak, niejedno zawiniątko, gdyby umiało mówić, ujawniłoby niezwykle tajemnice – rzekł młody myśliwy, pomału rozwijając na kolanach grube płótno, aby się dostać do owiniętego nim rulonu. – Ale tym razem chyba niewiele się dowiemy, gdyż jest to po prostu jakaś flaga, chociaż nie mam pojęcia, jakiej narodowości.

–Ta flaga musi coś znaczyć! – gwałtownie zawołała Judyta. – Rozwiń ją, Pogromco Zwierząt, abyśmy mogli zobaczyć jej barwy.

–No tak. Nie zazdroszczę chorążemu, który musiał dźwigać ten sztandar i paradować z nim na polu walki. Popatrz, Judyto, można by z niego wykroić tuzin owych chorągwi, do których królewscy oficerowie przywiązują takie znaczenie. To jest chyba chorągiew generalska.

–A może jest to flaga okrętowa? Wiem, że statki mają swoje flagi. Czy nigdy nie słyszałeś strasznych pogłosek, wedle których Tomasz Hutter miał kiedyś coś wspólnego z korsarzami?

–Kosiarzami? Nie, nigdy nie słyszałem, żeby był kosiarzem. Hurry Harry coś mi mówił, że chodzą słuchy, jakoby Hutter swego czasu zadawał się z rozbójnikami morskimi; ale na miłość boską, chyba nie byłoby ci przyjemnie, gdybyś się dowiedziała, że mąż twej matki był opryskiem, nawet jeśli nie był twoim ojcem?

–Będzie mi miło, jeśli dowiem się, wszystko jedno w jaki sposób, kim jestem i co znaczą moje wspomnienia z dzieciństwa. Mąż mojej matki! Tak, pewnie był jej mężem. Ale jakim cudem taka kobieta wyszła za człowieka pokroju Huttera, to już nie mieści mi się w głowie. Nigdy nie widziałeś mej matki i nie możesz wiedzieć, jaka przepaść dzieliła tych dwoje ludzi.

–Zdarzają się jednak takie rzeczy, zdarzają, chociaż nie bardzo wiem, czemu Opatrzność na to pozwala. Znałem małżeństwa okrutnych wojowników z kobietami najśłodszymi pod słońcem i okropne sekutnice, które przypadły w udziale Indianom o gołębim sercu, istnym misjonarzom.

–Tutaj było na pewno inaczej. Och, gdyby się okazało... nie, nie wolno mi pragnąć, aby matka nie była jego żoną. Córka nie może życzyć tego swej matce! Szukajmy dalej. Zobaczymy, co zawiera ta kwadratowa paczka.

Pogromca Zwierząt zdjął płótno i ukazała się mała skrzynka pięknej roboty. Była

zamknięta. Zaczęli szukać klucza, a gdy go nie znaleźli, postanowili rozbić zamek. Pogromca zrobił to za pomocą żelaznego dłuta, – po czym okazało się, że skrzynka pełna jest papierów. Najwięcej było tam listów, poza tym w skrzynce znajdowały się części jakichś rękopisów, zapiski, rachunki itp. Sokół nie spada na kurczę drapieżniej, niż Judyta rzuciła się na tę kopalnię tajemnej wiedzy. Była – jak to czytelnik zapewne zauważył – znacznie bardziej wykształcona, niż można by sądzić z jej pozycji życiowej, przebiegała więc wzrokiem listy z wprawą osoby biegłej w sztuce czytania i chciwie pochłaniała ich treść. Zrazu na twarzy dziewczyny malowało się zadowolenie, dodajmy od siebie, że nie bez powodu, czytała bowiem listy dwóch kobiet – niewinnych i czułych. Listy te napełniały dziewczynę dumą, że zapewne łączą ją bliskie więzy krwi z obu tymi szlachetnymi kobietami. Nie będziemy tutaj przytaczać tych listów, gdyż nie mieści się to w naszych planach autorskich, i tylko pokrótce zapoznamy czytelnika z ich treścią. Uczynimy to w ten sposób, że opiszemy, jak wpłynęły na zachowanie, wygląd i uczucia tej, która tak chciwie je czytała.

Mówiliśmy już, że z pierwszych listów Judyta była zadowolona. Zawierały one korespondencję tkliwej i mądrej matki z córką. Listy tak nawiązywały do odpowiedzi córki, że można było z grubsza domyślić się, co pisała do matki. Matka między innymi udzielała swej pocieszę upomnień i ostrzeżeń. Judycie krew uderzyła do głowy i ciarki ją przeszły, kiedy przeczytała list, w którym matka dość cierpko wypowiedziała swój sąd o niestosownej poufałości, na jaką córka pozwoliła oficerowi, „który przybył z Europy i niezawodnie nie ma uczciwych zamiarów wobec amerykańskich panien”. O niefortunnym wydarzeniu matka wiedziała zapewne z listów otrzymywanych od córki. Rzecz dziwna, wycięto podpisy, a ilekroć w tekście listów przytoczone było jakieś imię lub nazwisko, wymazano je tak dokładnie, że nic nie można było odczytać. W owych czasach używało się powszechnie kopert. Tutaj widocznie ktoś je zniszczył, aby zataić adresy. Same listy natomiast przechowywane były z pietyzmem. Niektóre z nich nosiły ślady łez. Judyta przypomniała sobie, że skrzynkę z listami widziała w rękach matki, przypuszczała więc, że schowała ją w skrzyni, wraz z innymi zapomnianymi lub ukrytymi przedmiotami, dopiero wtedy, kiedy listy już jej zobojętniały.

Następna paczka zawierała listy miłosne, pisane niewątpliwie pod wpływem gorącego uczucia, ale utrzymane w owym uwodzicielskim tonie, który mężczyźni często uważają za rzecz naturalną w stosunkach z płcią słabą. O ile nad pierwszą partią listów Judyta płakała, o tyle teraz od łez powstrzymywała ją obrażona duma. Jednakże ręka zadrżała dziewczynie i przeszedł ją zimny dreszcz, gdy zauważyła uderzające podobieństwo niektórych listów do korespondencji, jaką sama otrzymywała. Raz nawet odłożyła plik listów, opuściła głowę i spazmatycznie zapłakała. Przez cały czas Pogromca Zwierząt nic nie mówił i tylko bacznie obserwował Judytę. Dziewczyna każdy, list po przeczytaniu oddawała Pogromcy i zaraz zabierała się do następnego. W ten sposób jednak myśliwy niczego nie mógł

się dowiedzieć, gdyż nie umiał czytać. Niemniej nie był ślepy na gwałtowne uczucia, jakie miały sercem siedzącej przy nim pięknej istoty, a z jej okrzyków i szeptów domyślał się tak wiele, że gdyby o tym wiedziała, bardzo by się zmieszała.

Judyta zaczęła od listów najdawniejszych i dzięki temu we właściwej kolejności poznała zawarte w tej korespondencji dzieje miłości rodziców. Listy bowiem ułożone były w porządku chronologicznym i każdy, kto by zadał sobie trud ich przeczytania, poznałby smutną historię zaspokojonych namiętności, potem chłodu i wreszcie niechęci. Dziewczyna, gdy już rozumiała, o co chodzi, nie miała cierpliwości do czytania i tylko przeglądała listy starając się znaleźć w nich to, co ją najwięcej interesowało. W ten sposób (stosowany zawsze przez tych, którzy chcą się czegoś dowiedzieć nie zaprzatając sobie uwagi szczegółami) Judyta szybko poznała smutną prawdę o błędach popełnionych przez jej matkę i karze, jaką poniosła za swe winy. Znalazła też listy, w których była mowa o jej przyjsciu na świat, i dowiedziała się, że imię Judyty otrzymała na życzenie ojca, o którym zachowała wspomnienie tak mgliste, jakby знаła go tylko ze snów. Imię Judyty nie zostało wymazane z listów, widocznie uznano to za niepotrzebne. Była tam również wzmianka o urodzeniu się Hetty. Imię nadała jej matka. Przedtem jeszcze stosunki między rodzicami znacznie ochłodziły. Na listy padał jakby cień bliskiego już porzucenia matki przez ojca. Nieszczęśliwa kobieta zaczęła wtedy robić odpisy swych listów do ojca. Nie było ich wiele, ale stanowiły wymowne świadectwo gasnącej miłości i skruchy matki. Judyta łkała. Kilka razy musiała odłożyć listy; nic nie widziała, gdyż oczy zaszyły jej łzami. Potem wracała do lektury z tym większą ciekawością, aż wreszcie skończyła na liście, który najwidoczniej zamykał korespondencję między rodzicami.

Trwało to dobrą godzinę. Judyta przejrzała w tym czasie około stu listów, a jakieś dwadzieścia przeczytała uważnie. Bystra dziewczyna знаła już całą prawdę o tym, w jakich okolicznościach siostry Hutter przyszły na świat. Była złamana. Zdawało jej się, że nie ma już czego szukać w świecie. Miała teraz o jeden powód więcej, aby resztę życia spędzić na jeziorze, gdzie przeżyła już tyle jasnych i smutnych dni.

Jeszcze jedna paczka listów pozostała do przejrzania. Okazało się, że była to korespondencja matki z Tomaszem Hoveyem. Oryginały listów i odpowiedzi były ułożone w porządku chronologicznym. Zawierały początek historii źle dobranego małżeństwa, opowiedziany dokładniej, niżby Judyta sobie życzyła. Z wielkim zdziwieniem (żeby nie powiedzieć – wielką zgrozą) Judyta dowiedziała się, że propozycja małżeństwa wyszła od matki. Doznała ulgi, kiedy już w pierwszych listach nieszczęsnej kobiety odkryła ślady pomieszania zmysłów, a co najmniej skłonności do tej strasznej choroby. Listy Hoveya wyszły spod ręki człowieka niewykształconego i prostaka. Wyrażały one ochotę poślubienia pięknej kobiety, której Hovey gotów był przebaczyć jej wielki błąd życiowy, chciał bowiem mieć za żonę panią przewyższającą go pod każdym względem i najwidoczniej nie pozbawioną pieniędzy. Skąpa korespondencja kończyła się rzeczowymi, listami, w których nieszczęsna kobieta ponaglała Hoveya, aby przyspieszył ich ucieczkę od świata,

gdzie życie stało się dla niego równie niebezpieczne, jak dla niej niemiłe. Jedno zdanie, które wymknęło się matce, naprowadziło Judytę na ślad pobudek, jakie skłoniły ją do poślubienia Hoveya, alias Huttera. Nieszczęsna kobieta działała pod wpływem głębokiej urazy, jaką żywiła do tego, który ją oszukał. Uczucie to często skłania pokrzywdzonych do zadawania sobie nowych cierpień, aby jeszcze bardziej obciążyć sumienie krzywdziciela. Judyta pod tym względem wdała się w matkę i dlatego łatwo jej przyszło zrozumieć pobudki nieszczęśliwej kobiety. Ale równocześnie zdała sobie sprawę, że szaleństwem jest mścić się w ten sposób na osobach, które wyrządziły nam krzywdę.

Na tym skończyła się historyczna, jeśli można to tak nazwać, partia listów. Wśród luźnych papierów Judyta znalazła jeszcze starą gazetę z obwieszczeniem, wyznaczającym nagrodę za ujęcie wymienionych po nazwisku korsarzy, a wśród nich również Tomasza Hoveya. Zwróciła na to uwagę, ponieważ obwieszczenie zakreślono na marginesie czarnym atramentem, a nazwisko Tomasza Hoveya było w ten sam sposób podkreślone. Poza tym nic już nie znalazła, co by wskazywało, jak się nazywała i gdzie mieszkała jej matka, zanim wyszła za Huttera. Daty, podpisy i adresy zostały wycięte z listów, każde zaś słowo, które mogłoby naprowadzić na ślad pochodzenia matki Judyty, było starannie wyskrobane. Dziewczyna musiała więc porzucić nadzieję odnalezienia rodziny, a tym samym w przyszłości liczyć tylko na siebie. Własnymi wspomnieniami o sposobie bycia matki, o tym, co mówiła, i o jej cierpieniach – uzupełniła luki korespondencji. Znała już tyle prawdy o swym pochodzeniu, że wcale nie pragnęła wiedzieć więcej. Wyprostowała się na stołku i poprosiła Pogromcę, żeby przejrzał resztę zawartości skrzyni, gdyż może jeszcze znajdzie coś interesującego.

–Chętnie to zrobię – odparł cierpliwy młodzieniec – ale jeśli znów będą listy, nie zdążymy przeczytać ich do białego ranka. Przez bite dwie godziny oglądałaś te papierki!

–Dowiedziałam się z nich dziejów mych rodziców, Pogromco, Zwierząt. Listy te zadecydowały o mojej przyszłości. Nie gniewaj się na mnie o to, że czytałam listy, z których nareszcie dowiedziałam się czegoś o moich rodzicach. Przepraszam, że tak długo cię tutaj trzymałam.

–Nie ma o czym mówić. Nic mi się nie stanie, jeśli posiedzę nieco dłużej. Miło jest spojrzeć na ciebie, jesteś bardzo ładna, Judyto, ale bardzo przykro jest siedzieć tak długo i patrzeć, jak płaczesz. Wiem, że od łez nikt jeszcze nie umarł i że płacz czasem przynosi ulgę, zwłaszcza niewiastom, ale wolałbym patrzeć, jak się uśmiechasz, Judyto.

Dziewczyna uśmiechem słodkim, choć smutnym podziękowała za pełne kurtuazji słowa Pogromcy, po czym poprosiła go, by dokończył badania zawartości skrzyni. Trwało to jeszcze chwilę; tymczasem Judyta zdążyła zebrać myśli i odzyskać spokój.

Nie brała już udziału w poszukiwaniach, zdając się całkowicie na Pogromcę. Tylko od czasu do czasu rzucała obojętne spojrzenie na przedmioty, które wyciągał ze skrzyni. Nie znalazł już jednak nic ciekawego ani cennego. Dwie szpady, jakie nosiła wówczas szlachta, klamry srebrne, a może tylko bogato posrebrzane i parę pięknych strojów kobiecych – oto, co było godnego uwagi wśród znalezionych przedmiotów. Obojgu przyszło na myśl, że niektóre rzeczy ze skrzyni mogły się przydać jako okup dla Irokezów. Pogromca jednak obawiał się trudności, których Judyta nie widziała. Właśnie na ten temat wywiązała się między nimi rozmowa.

–A teraz, Pogromco Zwierząt – zaczęła Judyta – możemy pomówić o tobie i o sposobie wydostania cię z rąk Huronów. Hetty i ja z największą przyjemnością oddamy za cenę twojej wolności część tego, co widziałeś w skrzyni, a choćby i wszystko.

–O, to bardzo szlachetnie... to dowód wielkiego serca... jesteście hojne i wspaniałomyślnie. Takie są kobiety; jeśli już kogoś polubią, oddadzą mu wszystko, co mają, nie oglądając się na wartość podarunków. Dziękuję wam obu tak, jakby wymiana już nastąpiła, jakby był tutaj Rozdarty Dąb albo inny łapserdak i dobił z nami targu, ale niestety, są dwa ważne powody, dla których traktat nie zostanie zawarty. Od razu powiem, co ta za przeszkody, abyś nie liczyła na rzeczy niemożliwe i abym sam nie miał próżnych nadziei.

–Jakież mogą być przeszkody, jeśli my obie chcemy się pozbyć tych rupieci, a dzicy chętnie je wezmą?

–Otóż to, Judyto. Myśl jest dobra, ale nie bardzo. To jest tak, jakby pies szedł tropem zwierzyny, ale w przeciwnym kierunku. Można się zgodzić, że Mingowie chętnie wezmą prezenty, które chcesz im dać, a nawet i więcej. Ale czy zechcą zapłacić, to już inna sprawa. Sama powiedz, Judyto, czy gdyby ktoś cię zapytał, azali za taką, a taką cenę chciałybyście dostać tę skrzynię wraz z całą jej zawartością – czy zwracałabyś sobie głowę pertraktacjami?

–Przecież ta skrzynia już jest naszą własnością. Po kiego licha miałybyśmy kupować to, co do nas należy?

–To samo myślą Mingowie! Powiadają, że skrzynia już należy do nich, obejdą się więc bez klucza i nie myślą go kupować.

–Rozumiem, Pogromco Zwierząt. Ale jeszcze jesteśmy panami na jeziorze i możemy się utrzymać do chwili, gdy przyjdzie tu wojsko przywołane przez Hurry'ego i przepędzi nieprzyjaciela. To nam się uda, jeśli oczywiście zostaniesz z nami i nie wrócisz do niewoli, jak do tej chwili zamierzałeś.

–Gdyby Hurry Harry tak mówił, byłoby to jasne i zgodne z jego naturą. Nie stać go

na nic więcej i dlatego ani nie pomyśli, ani nie zrobi nic lepszego. Ale czy ty, Judyto – odwołuję się do twego serca i sumienia – mogłabyś zachować pochlebne zdanie, jakie masz, zdaje się, o mnie, gdybym zapomniał, że jestem na urlopie, i nie wrócił do obozu?

–Nie łatwo byłoby mieć zdanie bardziej pochlebne od mojej opinii o tobie, Pogromco Zwierząt. Ale mam wrażenie, że nie zmieniałabym mego sądu o tobie. Za nic w świecie bowiem nie chciałabym nakłaniać cię do postępku, który by mógł rzucić cień na twoje dobre imię.

–Wobec tego nie kuś mnie do złamania słowa, moja panno! Urlop to święta rzecz dla wojowników i ludzi, którzy noszą w rękach swe życie, to znaczy myśliwych. Jakże bolesnego zawodu doznaliby stary Tamenund, Unkas, ojciec Węża, i inni moi delawarscy przyjaciele, gdybym okrył się hańbą na mojej pierwszej ścieżce wojennej? Rozumiesz mnie chyba, Judyto, chociaż nic nie mówiłem o mojej naturze, obowiązkach białego człowieka ani o sumieniu, moim panu i władcy, którego nakazom nigdy się nie sprzeciwiam.

–Zdaje mi się, że masz słuszość, Pogromco Zwierząt – po chwili namysłu powiedziała ze smutkiem Judyta. – Ty nie możesz postępować tak, jak ludzie samolubni i nieuczciwi. Ty rzeczywiście musisz wrócić do Mingów. Nie

mówmy już o tym. Gdybym nakłoniła cię do postępku, którego byś potem żałował, byłoby mi tak samo przykro jak tobie. Inaczej mógłbyś kiedyś powiedzieć: Judyto Hu... sama nie wiem, jak się nazywam!

–Dlaczegoż to tak, Judyto? Dzieci biorą nazwiska po rodzicach, to całkiem naturalne. Czemuż więc ty i Hetty, nie miałybyście wstąpić w ślady innych? Stary nazywał się Hutter i to samo nazwisko powinny nosić jego córki. Przynajmniej do chwili, gdy wstąpicie w legalne i święte związki małżeńskie.

–Nazywam się Judyta i nic więcej – stanowczym tonem odparła dziewczyna – póki nie uzyskam prawa do nazwiska. Już nigdy nie będę używała nazwiska Tomasza Huttera i nie pozwolę na to Hetty! Zresztą on wcale się tak nie nazywał. Ale nawet gdyby miał do tego tysiąc praw, mnie nic po tym: Hutter nie był moim ojcem, Bogu niech będzie za to chwała, chociaż z tego, który był moim ojcem, też nie mogę być dumna.

–To dziwne – powiedział Pogromca Zwierząt, pilnie przyglądając się wzburzonej dziewczynie. Chętnie dowiedziałby się czegoś więcej, ale nie chciał pytać o sprawy, które nie dotyczyły jego osoby. – Tak, to bardzo dziwne i niezwykle! Tomasz Hutter nie był Hutterem, a jego córki nie były jego córkami! Kim więc mógł być i kim wy jesteście?

–Czy nigdy nie słyszałeś, co szeptano o przeszłości tego osobnika? – zapytała Judyta, – Chociaż uważano mnie za jego córkę, dochodziły i mnie te pogłoski.

–Nie przeczę, Judyto, nie przeczę, że coś tam mówiono, o czym zresztą już ci wspomniałem, Ale ja nie bardzo wierzę ludzkiemu gadaniu. Jestem jeszcze młody, a jednak życie już mnie nauczyło, że każdy człowiek ma dwie opinie. Jedną zyskuje swymi postępkami, drugą zaś zawdzięcza ludzkim językom. Dlatego wolę wierzyć własnym sądom, niż opierać się na tym, co miały cudze języki. Gdyśmy szli tutaj, Hurry Harry mówił bez ogródek o całej waszej rodzinie i coś tam wspomniał, że Tomasz Hutter za młodu używał sobie na morzu, co zrozumiałem w ten sposób; że używał sobie nie na morzu, ale na cudzym mieniu.

–Powiedział ci, że Hutter był korsarzem. Między przyjaciółmi nie należy niczego owijać w bawełnę, Pogromco Zwierząt. Przeczytaj sobie to obwieszczenie, a przekonasz się, że Hurry mówi' prawdę. Ów Tomasz Hovey to Tomasz Hutter, którego znałeś. Wynika to wyraźnie z tych listów.

Judycie płonęły policzki, a oczy błyszczały z podniecenia. Podała Pogromcy gazetę, pokazując palcem (wspomniane już przez nas) obwieszczenie rządu kolonii.

–Na zdrowie, Judyto! – zawołał śmiejąc się myśliwy. – Równie dobrze mogłabyś mnie poprosić, bym to wydrukował albo na ten przykład, napisał. Szkoły ukończyłem w lesie. Jedną tylko książkę umiem i lubię czytać. To księga, którą Bóg otworzył przed wszelkim stworzeniem: wyniosłe lasy, rozległe jeziora, bystre rzeki, błękit nieba, wiatry, burze, blask słońca i inne wspaniałe cuda natury. Z tej księgi umiem czytać i uważam ją za pełną mądrości i wiedzy.

–Wybacz mi, Pogromco Zwierząt – powiedziała Judyta, bardziej niż kiedykolwiek zmieszana, zrozumiała bowiem, że swym niebacznym postępkami mogła zranić ambicję Pogromcy. – Zapomniałam, jaki wiesz tryb życia, ale doprawdy nie chciałam cię urazić.

–Urazić? Nie mogłaś mnie dotknąć prosząc, abym przeczytał gazetę, chociaż nie umiem czytać. Jestem myśliwym i zaczynam być wojownikiem, nie jestem zaś misjonarzem

i dlatego nie mam nic wspólnego z książkami i innymi papierami. Nie, Judyto – tutaj Pogromca roześmiał się serdecznie – nie używam papieru nawet na przybitkę do strzelby, bo – uważasz – dobry myśliwy używa w tym celu skóry jelonka, a jeśli jej nie ma, kawałek innej, dobrze wyprawionej skóry. Niektórzy powiadają, że co drukowane, to prawda. Jeśli, tak jest, przyznaję, że człowiek nieuczony jest nieco stratny. Jednakowoż drukowane nie może być prawdziwsze od tego, co Bóg własnoręcznie wypisał na niebie, w lasach, rzekach i źródłach.

–No tak. Hutter czy tam Hovey był korsarzem. Ale nie był moim rodzicem, nie mogę więc nazywać go ojcem ani posługiwać się jego nazwiskiem.

–Jeśli nie chcesz być panną Hutter, to może odpowiadałoby ci nazwisko matki?

–Nie wiem, jak się nazywała. Przeglądałam te papiery w nadziei, że uda mi się ustalić, kim była matka. Ale nie ma w nich śladu wiadomości w tej sprawie, podobnie jak w powietrzu nie znajdziesz śladu po ptaku, który przeleciał.

–To jest niezwykle i niezrozumiałe. Rodzice mają obowiązek dać dzieciom nazwisko, jeśli już nic więcej nie mogą im po sobie zostawić. Ja, widzisz, pochodzę z ubogiej rodziny, chociaż rodzice byli biali. Ale nie byliśmy znów tak biedni, żebyśmy nie mieli nawet nazwiska. Zwiemy się Bumpo. Słyszałem – na policzkach myśliwego pojawił się rumieniec ludzkiej próżności – słyszałem, że swego czasu Bumpowie cieszyli się większym poważaniem niż dzisiaj.

–Nigdy nie zasługiwali na większy szacunek niż obecnie, Pogromco Zwierząt. Bumpo to dobre nazwisko. Hetty i ja sto razy wolałybyśmy nazywać się Bumpo niż Hutter.

–To fizyczna niemożliwość – z uśmiechem odparł myśliwy. – Chyba, żeby jedna z was zniżyła się do mojego poziomu i wyszła za mnie.

Judyta nie mogła wstrzymać się od uśmiechu widząc, że rozmowa w sposób naturalny sama zesłała na tory, na które chciała ją sprowadzić. Daleka od nie licującej kobiecie pochopności uczuć i agresywności wobec mężczyzn, chciała jak najprędzej wyjaśnić swą sytuację życiową. Podniecie do tego znajdowała w poczuciu niezupełnie zasłużonych krzywd, jakich doznała, i niepewności jutra (dziewczynie zdawało się, że nie ma już dla niej miejsca na święcie). Przede wszystkim zaś uległa przemożnemu wpływowi nie znanych jej dotąd, gorących uczuć. Słowa Pogromcy były zbyt dobrą przygrywką do rozmowy o małżeństwie, aby nie skorzystała z tej sposobności. Uczyniła to ostrożnie i z rozbijającym kobiecym sprytem.

–Wątpię, aby Hetty kiedykolwiek wyszła za mąż, Pogromco Zwierząt – powiedziała. – Gdyby jedna z nas miała nosić twoje nazwisko, byłaby to tylko Judyta.

–Słyszałem, że wśród Bumpów też były ładne kobiety. Gdybyś więc przyjęła to nazwisko, ci, którzy znają moją rodzinę, nie byliby zdziwieni, chociaż jesteś niezwykle piękna.

–Nie trzeba tak mówić, Pogromco Zwierząt. Jeśli mężczyzna i kobieta rozmawiają na podobny temat, powinni mówić serio i z głębi serca. Chociaż nieśmiałość nakazuje kobiecie milczeć, póki mężczyzna pierwszy nie zacznie mówić o małżeństwie, będę wobec ciebie zupełnie szczerą, gdyż wiem, że takie postępowanie odpowiada twej szlachetnej naturze. Czy mógłbyś być szczęśliwy, gdybyś ożenił się z kobietą mego

pokroju?

–Z kobietą taką jak ty, Judyto! Po co te niewczesne żarty? Kobieta, która mogłaby wyjść nawet za kapitana, bo jest ładna, elegancka i – o ile mi wiadomo – wykształcona, nie zechciałaby zostać moją żoną. Obawiam się, że panny, które wiedzą, że są inteligentne i ładne, znajdują przyjemność w drwinach z mężczyzn pozbawionych tych zalet, na przykład z biednego myśliwego, żyjącego wśród Delawarów.

Powiedział to dobrodusznie, ale w jego głosie zabrzmiała nuta zdraśniętej ambicji. Judycie zrobiło się przykro. Szlachetna dziewczyna postanowiła więc wyznać Pogromcy wszystko. Podtrzymała ją w tym zamiarze szczerą chęć naprawienia złego wrażenia. Przeprosiła Pogromcę w sposób tak uroczy i naturalny, że udało jej się zatrzeć niemiłe wrażenie śmiałości nie licującej kobiecie.

–Wyrządzasz mi krzywdę posądzając mnie o podobne myśli lub zamiary – powiedziała z zapalem. – Nigdy w życiu nie mówiłam tak serio i na niczym tak mi jeszcze nie zależało jak na spełnieniu się tego, co teraz wspólnie postanowimy. Wielu mężczyzn ubiegało się już o moją rękę, Pogromco Zwierząt – ba, w ciągu ostatnich czterech lat niemal każdy traper i myśliwy, który pojawił się nad jeziorem, chciał mnie wziąć z sobą, jeśli był kawalerem, chociaż podejrzewam, że wśród mych wielbicieli byli również ludzie żonaci...

–O, to pewne – przerwał jej Pogromca – jak dwa razy dwa jest cztery! Na ogół są to ludzie najbardziej samolubni pod słońcem, którzy nie oglądają się ani na Boga, ani na prawa ludzkie.

–Żadnego z nich nie chciałam ani nie mogłam słuchać. Może to moje szczęście, że tak było. A trzeba ci wiedzieć, że nie brakło wśród nich przystojnych młodzieńców, o czym mogłeś się przekonać na przykładzie twojego znajomego, Henryka Marcha.

–Tak, z wyglądu Harry może się podobać, chociaż poza tym nie zasługuje na pochlebny opinię. Widzisz, Judyto, z początku zdawało mi się, że chcesz wyjść za niego, ale zanim stąd odszedł, nie trudno było zrozumieć, za każdy wigwam byłby za mały dla was dwojga.

–Przynajmniej pod tym względem oddałeś mi sprawiedliwość, Pogromco Zwierząt. Nigdy bym nie wyszła za takiego, jak Hurry, żeby nawet był dziesięć razy przystojniejszy i sto razy dzielniejszy.

–Czemuż to, Judyto? Wyznam, że chciałbym wiedzieć, dlaczego taki młodzieniec jak Hurry nie znalazł łaski w twoich oczach.

–Zaraz się dowiesz, Pogromco Zwierząt – odparła dziewczyna, chętnie korzystając ze sposobności, by podnieść zalety swego rozmówcy, które zrobiły na niej tak

wielkie wrażenie. Miała przy tym nadzieję, że w ten sposób niepostrzeżenie zbliży się do. tematu drogiego jej sercu. – Po pierwsze, kobieta nie przywiązuje wagi do wyglądu mężczyzny, jeśli tylko ma męską postawę i nie jest szpetny ani kaleka.

–Pod tym względem wcale się z tobą nie zgadzam – odparł zmartwiony Pogromca, który bardzo ujemnie oceniał własny wygląd. – Zauważyłem, że na ogół najbardziej przystojni wojownicy biorą za żony najładniejsze dziewczęta. A taki Wąż – gdy się cały wymaluje, wygląda przepięknie i delawarskie dziewczęta głowy dla niego tracą, on zaś upodobał sobie piękną Cyt i świata poza nią nie widzi.

–Może tak jest u Indian, białe dziewczęta są inne. Jeśli młodzieniec jest prosty i ma męską postawę, jeśli zatem może być obrońcą kobiety i odpędzić biedę od progu ich domu, biała dziewczyna nie będzie grymasić, że nie jest piękny. Taki olbrzym jak Hurry jest dobry do grenadierów, ale wzrost i siła nie stanowią jeszcze o wartości w oczach kobiety. Zacny wyraz twarzy, który mówi o sercu mężczyzny, więcej jest wart niż piękne rysy, cera, oczy, zęby i inne drobiazgi. To się może podobać u dziewczyny, ale nic nie znaczy u myśliwego, wojownika i męża. Jeśli są głupie kobiety, Judyta do nich nie należy.

–A to dopiero! Zawsze myślałem, że złoto ciągnie do złota, a bogaty kocha się w bogactwach.

–Może tacy jesteście wy, mężczyźni. Kobiety są inne.

Lubimy mężczyzn nieustraszonych, ale niech będą skromni. Niech będą pierwsi na polowaniu i na ścieżce wojennej, gotowi umrzeć za prawdę, nieustępliwi wobec tego, co złe. Nade wszystko cenimy mężczyzn uczciwych – których język nie kłamie ich myślom, a serce czułe jest dla innych i nie zasklepia się w sobie. Dobra dziewczyna da się zabić za takiego męża! Jeśli zaś nasz wybrany jest samochwałem i człowiekiem fałszywym, wnet stanie się równie wstrętny naszym oczom, jak nienawistny jest sercu.

Mówiła jak zwykle z przekonaniem, ale i z goryczą. Pogromca wszakże nie zwrócił na to uwagi, zbyt bowiem był zajęty nieznanymi sobie uczuciami, jakich doznawał. Skromny młodzieniec z wielkim zadowoleniem słuchał pochwał swych własnych zalet z ust najpiękniejszej kobiety, jaką spotkał w swym życiu. Doznał przelotnego i zrozumiałego uczucia dumy. Teraz dopiero przyszło mu do głowy, że istota tak piękna mogłaby zostać jego żoną. Ta miła i niespodziewana perspektywa tak go pochłonęła, że na chwilę zapomniał o pięknej dziewczynie, która siedziała naprzeciw i przyglądała się jego szczerzej twarzy z bystrością pozwalającą jej odgadnąć, o czym myślał. Nigdy jeszcze młody myśliwy nie oglądał oczyma duszy widoku równie miłego sercu. Był jednak przyzwyczajony chodzić po ziemi i nie poddawać się marzeniom, chociaż w obliczu przyrody doznawał wzruszeń poetyckich. Szybko więc ochłonął i wrócił po rozum do głowy. Kiedy obraz wymarzonego szczęścia pomału bladł w jego

wyobraźni, Pogromca uśmiechał się z politowaniem nad własną słabością. Wracał do rzeczywistości. Oto znów siedzi – prosty, niewykształcony, prawy człowiek – na arce Tomasza Huttera, o północy. Piękne oczy rzekomej córki zmarłego właściciela statku błyszczą w jasnym świetle lampy i przyglądają mu się uważnie.

–Jesteś niezwykle piękna i powabna. Miło jest patrzeć na ciebie, Judyto! – zawołał ze zwykłą sobie prostotą, kiedy już rzeczywistość wzięła górę nad zjawami wyobraźni. – Jesteś cudowna! Nie widziałem dziewczyny tak pięknej, nawet wśród Delawarek. Nic dziwnego, że Hurry Harry odszedł zawiedziony i z goryczą w sercu.

–Czy chciałbyś, Pogromco Zwierząt; abym została żoną takiego człowieka jak Henryk March?

–Pewne względy przemawiają za nim, a inne przeciw niemu. Na mój gust Hurry nie byłby najlepszym mężem, ale sądzę, że wiele młodych kobiet nie sądziłoby go tak surowo.

–Nie, nie, Judyta Bezimienna nigdy nie zgodzi się zostać Judytą Marchową! Wszystko dobrze, byle nie to!

–Judyta Bumppo brzmi gorzej. Wiele jest nazwisk, które są mniej miłe dla ucha niż March.

–Ach! Pogromco Zwierząt! Dźwięk słodki sercu miły jest uszom. To jest przyjemne, co jest nam drogie. Gdyby Natty Bumppo i Henryk March zamienili się nazwiskami, podobałoby mi się nazwisko March, a Bumppo brzmiałoby dla mnie okropnie!

–Otóż to – w tym sęk. Ja, uważasz, mam na przykład naturalny wstręt do węzów i nawet tego słowa nie cierpię. Odraza ta, jak słyszałem od misjonarzy, jest zakorzeniona w naturze ludzkiej od czasu, kiedy – po stworzeniu świata – pewien wąż wywiódł w pole pierwszą niewiastę. Aliści, odkąd Chingachgook zdobył miano, które nosi obecnie,, słowo: „wąż” miłe jest moim uszom jak świergot ptaków w cichy wieczór. Uczucie stanowi o wszystkim, Judyto, a więc i o tym, jak słuchamy dźwięków i jak się nam podoba czyjś wygląd zewnętrzny- To, coś teraz powiedział, jest tak słuszne, że nie rozumiem, dlaczego dziwisz się dziewczynie, która, choć sama ładna, od swego męża wcale nie wymaga urody, czy też tego, co wy, mężczyźni, uważacie za urodę. Moim zdaniem, mężczyzna jest piękny, jeśli jego oblicze wyraża to, co czuje zacne serce.

–Tak, na dłuższą metę uczciwość jest największym przymiotem człowieka. Kto o tym zapomni na początku, przypomni sobie u schyłku życia. A jednak wielu jest takich, co gonią za doraźną korzyścią, i nie chcą czekać na pożytek, który przychodzi z czasem. Wolą bowiem to, co im się wydaje bliskie i niewątpliwe, niż – co dalekie i niepewne. W każdym razie cieszy mnie, że właściwie patrzysz na te sprawy i

nie oszukujesz się jak tyłu innych.

–Tak jest, Pogromco Zwierząt – z naciskiem odparła Judyta, której kobieca wstydlivość wciąż jeszcze nie pozwalała ofiarować Pogromcy swej ręki. – Zapewniam cię z głębi serca, że wolę zawierzyć swe szczęście osobiste mężczyźnie, do którego mam zaufanie, aniżeli kłamcy i fałszywemu nędznikowi, choćby miał skrzynie złota, domy i ziemie... tak, chociażby siedział na tronie!

–Pięknie to powiedziałaś, Judyto. Czy jednak jesteś pewna, że gdybyś miała wybrać sobie męża, uczucia dotrzymałyby kroku tym słowom? Gdyby przed tobą stanął wesoły elegant w szkarłatnym mundurze, za którym unosi się miły zapach jak za jeleniem, elegant, który lico ma gładkie i błyszczące urodą jak twoje, ręce białe i delikatne, jakby Bóg nie dał ich człowiekowi po to, aby żył w pocie czoła, a krok ma lekki jak nauczyciel tańca i młodzieniec o sercu wolnym od trosk – i gdyby z drugiej strony stanął człowiek, co tyle czasu spędził na świeżym powietrzu, że słońce spaliło mu policzki i czoło, brodził po bagnach i przedzierał się przez zarośla, aż ręce stały się szorstkie jak kora dębu, pod którym sypiał, człowiek, który kroczył śladem zwierza tak długo, aż jego krok stał się tak ostrożny jak skradanie się lamparta, i za którym nie snuje się żaden miły zapach, poza wonią świeżego powietrza i lasów – otóż, gdyby ci dwaj mężczyźni stanęli teraz przed tobą jako zalotnicy, którego obdarzyłabyś względami?

Rumieniec okrył piękną twarz Judyty. Nakreślony przez Pogromcę wizerunek młodego i wesołego oficera był kiedyś szczególnie miły jej sercu, później jednak gorzkie doświadczenie nie tylko zmroziło jej uczucia, ale nawet wywołało odrazę do garnizonowych bawidamków. Przelotne wspomnienie szybko ustąpiło, rumieniec zniknął z twarzy i dziewczyna zbladła jak płótno.

–Bóg mi świadkiem – powiedziała uroczystym tonem – że gdyby ci dwaj stanęli przede mną, tak jak jeden z nich jest tutaj obecny, wybór mój padłby na drugiego albo sama nie znam siebie. Nie chcę mieć męża pod jakimkolwiek względem lepszego ode mnie.

–Miło mi to usłyszeć. Może ten młodzieniec zapomniałby z czasem, że nie jest wart ciebie, Judyto! A jednak sama nie wiesz, co mówisz. Jestem mężczyzną zbyt nieokrzesanym i ciemnym na męża dziewczyny, którą wychowała taka kobieta jak twoja matka. Próżność to naturalne uczucie, ale taka próżność z mej strony byłaby brakiem rozumu.

–Widzę, że nie wiesz, do czego jest zdolne serce kobiety! Nie jesteś nieokrzesany, Pogromco Zwierząt! Nie można też nazwać ciemnym człowiekiem człowieka, który tak głęboko jak ty studiował przyrodę. Gdy serce dochodzi do głosu, wszystko widzimy w różowych barwach, a na drobiazgi nie zwracamy uwagi albo b nich zapominamy. Kiedy słońce świeci w czyimś sercu, nic nie wydaje nam się ciemne i

nawet rzeczy najbardziej pospolite stają się wesole i jasne. Tak też ułożyłoby się wszystko między tobą i żoną, która by cię kochała, nawet jeśli w oczach świata byłaby czymś lepszym od ciebie.

–Judyto, jesteś wyższego stanu niż ja. Nierówne małżeństwo, podobnie jak i przyjaźń, rzadko dobrze się kończy. Mówię o tym ogólnie, bo małżeństwo między nami jest zwykłym urojeniem. Nie podobna przecież przypuścić, abyś ty mogła mówić o naszym małżeństwie jak o czymś, co może się zdarzyć.

Judyta utkwiała szafirowe oczy w szczerym i otwartym obliczu Pogromcy, jak gdyby chciała zajrzeć do jego serca.

Nie znalazła w nim śladu nieszczerości i w duchu musiała przyznać, że myśliwy uważał to co mówili, za ogólne rozważania na temat małżeństwa, które nie dotyczą go bezpośrednio, i nie przyszło mu do głowy podejrzewać ją o osobiste zainteresowanie wynikiem tej rozmowy. Zrazu czuła się dotknięta zachowaniem Pogromcy, potem zrozumiała jednak, że pokory i skromności nie można mu poczytywać za złe. Ta nowa trudność zwiększyła jej zainteresowanie zarówno grą, którą prowadziła, jak i osobą Pogromcy. W krytycznej chwili błyskawicznie zmieniła swe plany. Niewiele myśląc, jak zwykle osoby bystre i dowcipne, powzięła plan, który miał związać z nią Pogromcę. Plan ten dowodził niezwykłej pomysłowości i śmiałości decyzji. Aby jednak rozmowa nie urwała się nagle, a myśliwy nie przejrzał, do czego zmierza, odpowiedziała na jego ostatnie słowa z taką powagą i tak otwarcie, jakby w jej zamiarach nie zaszła żadna zmiana.

–Doprawdy, nie mogłabym chwalić się swym pochodzeniem po tym, czego się dziś dowiedziałam – zaczęła smutnym głosem. – Miałam matkę, to prawda. Ale nie znam nawet jej nazwiska. Co się zaś tyczy ojca, może i lepiej, że nigdy nie dowiem się, kim był, i tym samym nie będę mogła źle o nim mówić.

–Judyto – odparł Pogromca biorąc dziewczynę za rękę tak delikatnie i serdecznie, że ujęło ją to za serce – lepiej dzisiaj nie mówmy już o tym. Prześpij to, coś dzisiaj przeżyła; co teraz wydaje ci się smutne, jutro rano może wyglądać weselej. Przede wszystkim nie rób nic w rozgoryczeniu ani też nie próbuj mścić się na sobie samej za cudze winy. Wszystko, cośmy tutaj mówili, i robili, to twoja tajemnica i nikomu tego nie powtórzę, nawet: Wężowi. Możesz być pewna, że jeśli nawet Wąż niczego nie dowie się ode mnie, tym bardziej nikomu innemu nie pisnę ani słowa. Jeśli twoi rodzice popełnili błędy, niech przynajmniej ich córka uważa na to, co robi. Pamiętaj, że jesteś młoda i że przyszłość należy do młodych; jesteś nieprzeciętnie bystra, a tacy zawsze jakoś sobie poradzą; jesteś niezwykle piękna i to ogromnie zwiększa twoje widoki. Czas jednak nieco odpocząć, bo niektórych z nas czeka jutro ciężki dzień.

Mówiąc to Pogromca Zwierząt wstał. Judycie nie pozostało nic innego, jak pójść w

jego ślady. Zamknęli skrzynię i rozstali się w milczeniu. Judyta poszła spać razem z Cyt i Hetty. Pogromca legł na podłodze kajuty i nakrył się kocem. Nie minęło pięć minut, a spał już jak zabity. Dziewczyna długo nie mogła zasnąć. Nie wiedziała, czy martwić się, czy cieszyć, że nie została zrozumiana: nie zdrażnięto jej delikatnych uczuć kobiecych, ale z drugiej strony nadzieje dziewczyny doznały zawodu, a co najmniej ich spełnienie się uległo zwłóce, przyszłość zaś była niepewna i zapowiadała się niepomyślnie. Powzięła wreszcie nową, śmiałą decyzję na dzień następny. Kiedy więc sen zmorzył powieki Judyty, ujrzała obraz powodzenia i szczęścia, który w głowie pełnej pomysłów wywołała żywa wyobraźnia i pogodne usposobienie dziewczyny.

ROZDZIAŁ 25

Tak oto, matko, upadł cień

Na mych najśłodszych marzeń roje.

Nadciąga chmura, kryjąc dzień,

A z nim i krótkie życie moje.

Ni ech ni pieśni jam niegodna,

Perliste źródło wyschło do dna.

Margaret Davidson

Cyt i Hetty wstały o świcie, nie budząc Judyty pogrążonej w głębokim śnie. Indianka w ciągu minuty ukończyła poranną toaletę. Długie, czarne jak smoła włosy zebrała w prosty węzeł, mocno ścisnęła paskiem bawełnianą sukienkę przylegającą do jej smukłej sylwetki, a drobne nóżki ukryła w bogato zdobionych mokasynach. Ubrawszy się zostawiła przyjaciółkę przy zajęciach domowych, a sama wyszła na pomost zaczerpnąć świeżego, porannego powietrza. Zastała tam Chingachgooka, który przyglądał się brzegom jeziora, górom i niebu z przenikliwością mieszkańca lasów i powagą Indianina. Powitanie dwojga kochanków pełne było serdecznej prostoty. Wódz zachował się z męską czułością, wolną od młodzieńczego zapału i pochopności w okazywaniu uczuć; dziewczyna uśmiechem i spojrzeniami, rzucanymi Wężowi z ukosa, wyraziła nieśmiałą tkliwość kobiecego serca. Milczeli oboje, ale wymowę swych spojrzeń rozumieli tak dobrze, jakby użyli całego słownika zaklęć miłosnych. Cyt rzadko wyglądała tak ładnie jak dzisiaj. Wypoczęta i umyta miała w sobie dużo dziewczęcej świeżości, nieczęsto spotykanej nawet u młodych i ładnych Indianek, strudzonych życiem w lasach. Poza tym Judyta, w czasie ich krótkiej znajomości, nie tylko dała Cyt lekcję elegancji, ale nawet podarowała jej z własnego dobytku parę dobrze dobranych ozdób kobiecego stroju, które podniosły naturalne wdzięki indiańskiej dziewczyny. Nie uszło to uwagi Węża i radość opromieniła oblicze młodego wodza. Szybko jednak przybrał wyraz powagi, smutku i niepokoju. Na pomoście stały jeszcze stołki pozostawione po wczoraj- szej naradzie. Wąż postawił dwa stołki pod ścianą domu, usiadł na jednym i ręką wskazał Cyt miejsce obok siebie. Chwilę siedział zamyślony i milczący zachowując godność wojownika, któremu z urodzenia należało się miejsce przy ognisku na radzie. Cyt, cierpliwa i uległa, jak przystało Indiance, śledziła spod oka wyraz twarzy młodego wodza. Wąż wyciągnął ramię przed siebie i powolnym ruchem wskazał jezioro, wzgórze i niebo – wspaniałą, urzekającą panoramę, skąpaną w barwach wczesnego poranka. Dziewczyna z radością i zachwytem podążała oczyma za ruchem ręki młodego wodza i uśmiechem witała każdy nowy fragment pięknego krajobrazu.

–Hugh! – zawołał wódz, zachwycony niezwykłym widokiem jeziora, pierwszego, jakie widział w swym życiu. – Oto kraina Manitou! Zbyt piękna dla Mingów, a jednak gromady psów tego szczepu wyją tutaj po lasach. Myślą, że Delawarzy śpią za górami.

–Wszyscy są tam, Wężu, z wyjątkiem jednego; który jest tutaj. Płynie w nim krew Unkasów!

–Cóż znaczy jeden wojownik przeciw całemu szczepowi! Długą i krętą ścieżką wiedzie do naszych wiosek. Będziemy szli do domu pod niebem zakrytym chmurami. Obawiam się, Górski Kwiecie Powoju, że pójdziemy sami. Cyt zrozumiała tę aluzję do losu Pogromcy Zwierząt i posmutniała. Miło jednak zabrzmiało jej w uszach, gdy ukochany wojownik porównał ją do najbardziej wonnego i pięknego z kwiatów rosnących w ich lasach ojczystych. Milczała, jak przystało Indiance, wspomniawszy bowiem o poważnych sprawach, należących wyłącznie do mężczyzn, ale wbrew wpojonym jej zasadom, nie mogła ukryć uśmiechu, jaki na jej piękne usta przyniosła radość, że Wąż ją kocha.

–Gdy słońce znajdzie się tam – mówił dalej Delawar wskazując palcem na zenit – wielki myśliwy naszego szczepu wróci do Huronów. Te psy obejdą się z nim jak z niedźwiedziem, którego obdzierają ze skóry i pieką nawet wtedy, gdy mają pełne żołądki.

–Wielki Duch może zmiękczy serca Huronów i odwiedzie ich od krwawych zamiarów. Żyłam wśród Huronów i znam ich dobrze. Mają oni serca i nie zapomną, że ich własne dzieci mogą wpaść w ręce Delawarów.

–Wilk zawsze wyje, świnia zawsze żre. Huroni stracili wojowników. Nawet ich kobiety będą wołały o zemstę. Błada twarz ma orli wzrok i widzi serca Mingów – nie dostrzega w nich. litości. Chmura okryła ducha Pogromcy Zwierząt, chociaż oblicze zachował pogodne.

Nastąpiła długa chwila milczenia. Cyt nieśmiało wzięła wodza za rękę, jakby szukała u niego oparcia. Raz tylko ukradkiem spojrzała na twarz Węża. Rysy stężyły mu w okrutnym wyrazie. Burza uczuć miotła sercem wojownika. Rodziła się w nim surowa decyzja.

–Co zrobi syn Unkasa? – zapytała wreszcie nieśmiało. – Jest wodzem, który mimo młodego wieku zdobył już sławę na radzie. Co mądrego radzi mu serce? Czy głowa mówi to samo, co serce?

–Co powie Wah-ta-Wah w chwili, gdy memu najdroższemu przyjacielowi grozi niebezpieczeństwo? Najśłodziej brzmi śpiew małych ptaszków; miło jest słuchać ich pieśni. Chciałbym w moim zmartwieniu posłuchać Leśnego Mysikrólika; jego głos

dociera głębiej niż do ucha.

Cyt znów doznała owej wielkiej radości, jaką budzą w nas pochwały z ust kochanej osoby. Młodzież delawarska często nazywała ją Górskim Powojem, a imię to najśłodziej brzmiało w jej uszach, kiedy wymawiał je Chingachgook. On jeden nazywał ją także Leśnym Mysikrólikiem. Imię to było jej szczególnie miłe, gdyż oznaczało, że przyszły mąż tak samo liczy się ze zdaniem i szanuje uczucia narzeczonej, jak lubi słuchać jej głosu. Była to najwyższa pochwała, jaka mogła spotkać Indiankę z ust ukochanego, wyrażała bowiem podziw dla urody i uznanie dla rozumu dziewczyny. Uścisnęła rękę wodza, którą trzymała w swych dłoniach, i odpowiedziała:

–Wah-ta-Wah mówi, że ani ona, ani Wielki Wąż nigdy już nie będą mogli się uśmiechnąć i że co noc będą im się śnili Huroni, jeśli Pogromca Zwierząt zginie pod tomahawkim Minga, a dwoje Delawarów nic nie zrobi, aby go ocalić. Ona woli wrócić do domu i sama wejść na długą ścieżkę życia, aniżeli pozwolić, aby czarna chmura przecięła drogę jej szczęścia.

–Dobrze! Mąż i żona jedno mieć będą serce i jedną patrzeć parą oczu.

Nie powtórzymy tutaj dalszego przebiegu rozmowy Delawarów. Wiemy już, że mówili o losach Pogromcy Zwierząt, natomiast, co postanowili -okaże się w dalszym ciągu naszego opowiadania. Rozmawiali jeszcze, kiedy słońce ukazało się nad wierzchołkami sosen, a strumienie jasnego blasku zalały dolinę, „pojąc weselem” (jak mówi poeta) jezioro, lasy i zbocza gór. Właśnie z kajuty wyszedł Pogromca Zwierząt i stanął na pomoście. Najpierw popatrzył na niebo bez chmurki i jednym spojrzeniem objął panoramę wody i lasów. Potem przyjaźnie skinął głową Delawarom i uśmiechnął się do Cyt.

–No tak – powiedział miłym głosem i jak zwykle spokojnie- kto widział, jak słońce zaszło na zachodzie, i na drugi dzień wczesnie wstanie, wie na pewno, że znów ujrzy na wschodzie powrót słońca, które krąży jak kozioł ścigany w kółko. Otóż, śmiem twierdzić, Cyt, że chociaż widziałaś tyle wschodów i zachodów, nigdy nie przyszło ci do główki zapytać, dlaczego tak się dzieje.

Chingachgook i jego narzeczonea popatrzyli na wielkie źródło światła z minami świadczącymi, że bardzo się zadziwili. Potem spojrzeli na siebie, jakby wzajemnie się pytali o rozwiązanie zagadki. Wrażliwość nasza przytępia się na to, co oglądamy codziennie, nawet jeśli w grę wchodzi wspaniałe zjawiska przyrody. Tym się tłumaczy, że para indiańskich prostaczków nigdy dotąd nie zastanawiała się nad codziennie oglądanymi ruchami słońca, chociaż zjawisko jest niezwykle dla tych, którzy chcieliby je zrozumieć. Zagadnienie słońca, niespodziewanie postawione przez Pogromcę przed Indianami, poruszyło ich tak żywo, jak uczonym wstrząsnęłoby nowe, błyskotliwe odkrycie w dziedzinie nauk przyrodniczych... Chingachgook

jednak nie dał za wygraną.

–Blade twarze wiedzą wszystko – powiedział – czy wobec tego mogą nam powiedzieć, czemu słońce chowa swe oblicze i nocą wraca na wschód?

–A to mi wiedza indiańska! – odparł śmiejąc się Pogromca, który tym razem nie odmówił sobie przyjemności wykazania wyższości rasy białej i rozwiązał zagadkę słońca na swój sposób, z powagą, prostotą i bez mędrkowania. – Słuchaj, Wężu – powiedział – zjawisko to można wyjaśnić znacznie łatwiej, niżby się zdawało indiańskiej mózgownicy. Kiedy nam się zdaje, że słońce wędruje po niebie, ono nie rusza się z miejsca, a za to ziemia kręci się w kółko. Każdy to zrozumie, jeśli usiądzie, dajmy na to, na obracającym się kole młyńskim: raz zobaczy niebo, a raz będzie pod wodą. Podobnie jest z ziemią. Żadnej wielkiej- tajemnicy w tym nie ma, po prostu – natura. Jedyna trudność polegała na ruszeniu ziemi z miejsca.

–Skąd mój brat wie, że ziemia się kręci? – zapytał Indianin. – Czy on może to zobaczyć?

. – Z tym jest gorzej, wyznam ci szczerze. Nieraz próbowałem to sprawdzić, ale się nie udało. Już mi się zdawało, że czuję ruch ziemi, ale potem musiałem przyznać, że nie da rady. W każdym razie – fakt, że się obraca. Tak mówią wszyscy biali i trzeba im wierzyć, bo potrafią przepowiedzieć zaćmienie słońca i inne cuda przyrody, które sięją postrach wśród szczepów indiańskich, co jak wiadomo, wypływa z waszych podań o tych zjawiskach.

–Dobrze! To prawda, której żaden czerwonoskóry nie zaprzeczy. Ale kiedy koło się obraca, widzę to na własne oczy, a gdy ziemia się kręci, nie widzę nic.

–A widzisz, ja to nazywam uporem zmysłów. Zobaczyć – znaczy uwierzyć, mówią uparci i za nic nie uwierzą w rzeczy, których nie widzieli. Atoli, wodzu, nie jest to wcale takie słuszne, jakby się zdawało. Wiem, że wierzysz w Wielkiego Ducha. A przecież byłbyś, twierdząc, w kłopotcie, gdybyś miał powiedzieć, gdzie Go widziałeś.

–Chingachgook widzi Go wszędzie – wszędzie tam, gdzie jest to, co dobre. Złego Ducha widzi w złych istotach. Widzi Wielkiego Ducha tutaj, na jeziorze, tam, w lesie, hen, w chmurach, w Cyt, w synu Unkasa, w Tamenundzie, w Pogromcy Zwierząt. Zły Duch mieszka w Mingach. To wiem. Ale nie widzę, żeby ziemia się kręciła.

–Nie dziwię się, że nazywają cię Wielkim Wężem, Delawarze. Nie dziwię się, zaiste! W twoich słowach zawsze jest dużo rozsądku i rozumna myśl maluje się na twojej twarzy. A jednak twoja odpowiedź niezupełnie mnie zadowala. Można się zgodzić, że Boga widzimy we wszystkim, co istnieje w naturze, ale nie widzimy Go tak, jak ja to myślałem. O tym, że jest Wielki Duch, wiesz z Jego, dzieł. Podobnie blade twarze domyślają się, że ziemia się kręci, sądząc po skutkach jej ruchu. To jest jądro

sprawy, natomiast szczegółowo nie umiałbym ci tego wyjaśnić. Wiem, że ziemia się kręci, i wszyscy biali- w to wierzą, a jeśli oni w coś wierzą, to jest prawda.

–Kiedy jutro słońce ukaże się nad wierzchołkiem tej sosny... gdzie będzie mój brat, Pogromca Zwierząt?

Myśliwy wstał i przez chwilę Wpatrywał się w przyjaciela nie okazując jednak zaniepokojenia. Potem dał mu znak, by poszedł za nim, i sam skierował się na arkę, gdzie mogli pomówić na temat poruszony przez Węża, bez obawy, że będą ich słyszeć osoby, które pod wpływem współczucia mogłyby zachować się nieroztropnie. Pogromca zatrzymał się w kajucie i ściszym głosem podjął rozmowę.

–Postąpiłeś, nie bardzo roztropnie, Wężu – powiedział – poruszając ten temat przy Cyt. Na domiar złego, mogły cię słyszeć białe dziewczęta. Tak, postąpiłeś trochę nierozsądniej niż zwykle. Mniejsza z tym. Cyt nie zrozumiała, a tamte nie słyszały. Ale, widzisz, łatwiej o to zapytać, niż dać odpowiedź. Żaden śmiertelnik nie umie powiedzieć, gdzie będzie jutro o wschodzie słońca. Zapytam się ciebie, Wężu, o to samo i ciekaw jestem, co mi na to odpowiesz.

–Chingachgook będzie ze swoim przyjacielem, Pogromcą Zwierząt. Jeśli Pogromca Zwierząt znajdzie się w kraju duchów, Wielki Wąż będzie pętał u jego boku. Jeśli będzie pod tym słońcem – jego jasne i ciepłe promienie będą padały na obu przyjaciół.

–Rozumiem cię, Delawarze – odparł Pogromca, wzruszony pełnym prostoty, bezgranicznym oddaniem przyjaciela. – Mowa twoja byłaby jasna w każdym języku. Płynie z serca i trafia do serca. Piękna to rzecz myśleć w ten: sposób i dobrze, żeś to powiedział, ale źle byłoby, gdybyś tak postąpił, mój Wężu. Nie jesteś już sam na świecie. Wprawdzie musisz jeszcze zmienić chatę i spełnić inne obrządków i dopiero wtedy Cyt zostanie twą prawną żoną, ale już dziś powinniście uważać się za małżeństwo, dzielicie bowiem swe serca, radości i smutki. Nie, stanowczo, nie. Nie możesz opuścić Cyt dlatego, że nagle rozdzieliła nas chmura ciemniejsza, niż mogliśmy się spodziewać.

–Cyt jest córką rodu Mohikanów. Będzie posłuszna swemu mężowi. Pójdzie za nim. Oboje będą z Wielkim Myśliwym Delawarów, kiedy jutro słońce ukaże się ponad sosną.

–Niechaj Bóg ma cię w swej opiece! Wodzu, toż to istne szaleństwo. Czy jedno z was albo nawet oboje zmienicie naturę Minga? Czy twoje groźne spojrzenia, czy łyzy i uroda Cyt mogą zmienić wilka w wiewiórkę, a lamparta w niewinnego jelonka? Nie, Wężu, jeśli pomyślisz nad tym, zostawisz mnie w rękach Boga. Zresztą, wcale nie jest pewne, że te łotry mają zamiar wziąć mnie na męki. Może jeszcze serca im

zmiękną. Może sami się opamiętają i cofną z bezpiecznej drogi. Chociaż może lepiej nie ludzić się, że Mingo zejdzie ze złej drogi i litość zapanuje w jego sercu. Niemniej, nikt nie wie na pewno, co go czeka, i dlatego nie wolno nam narażać na niebezpieczeństwo takich młodych istot, jak Wah-ta-Wah. Małżeństwo jest czymś zupełnie innym, niż to się zdaje pewnym młodzikom. Gdybyś był sam, spodziewałbym się po tobie czynów walecznych, liczyłbym na to, że od wschodu do zachodu słońca będziesz krążył wokół obozu tych żebraków, knuł podstępny i chytre sztuczki, niezmordowany jak ogar na tropie – że zrobisz wszystko, aby przyjść mi z pomocą, a nieprzyjaciela wystrychnąć na dudka. Ale dwie osoby są czasem słabsze niż jedna. Musimy widzieć wszystko takim, jakim jest, a nie – jakim chcielibyśmy, żeby było.

–Słuchaj, Pogromco Zwierząt – odparł Indianin z naciskiem świadczącym, że do swych słów przywiązuje ogromną wagę. – Gdyby Chingachgook znalazł się w rękach Huronów, jakby postąpił mój bladolicy brat? Czy pobiegłby chyłkiem do wioski delawarskich i powiedział wodzom, starcom i młodym wojownikom: – Spójrzcie! Oto Wah-ta-Wah, cała, tylko trochę zmęczona. A oto syn Unkasa, nie tak zmęczony jak Powój, bo jest silniejszy. Ale tak samo cały i zdrow. – Czy biały brat tak by postąpił?

–No tak, świetnie to powiedziałaś, nawet Mingo sprytniej by tego nie zrobił. Jeden Bóg na niebie wie, skąd ci przyszło do głowy takie pytanie. Co ja bym zrobił? Hm, po pierwsze – Cyt nie byłaby ze mną, boby się trzymała jak najbliżej ciebie. Dlatego gdybym mówił do Delawarów o Cyt, byłyby to. zwykłe koszałki-opałki. Nie mógłbym również powiedzieć, że jest zmęczona, jeśli w ogóle nie byłoby jej ze mną. Ani jedno słowo z całej twej mowy nie wyszłoby z moich ust. Sam widzisz, Wężu, rozsądek jest przeciw tobie, lepiej więc ustąpić, walczyć bowiem z rozsądkiem nie przystoi wodzowi twej sławy.

–Nie poznaję mego brata. Zapomina on, że mówi do kogoś, kto zasiadał przy ognisku na radzie swego narodu – uprzejmię odparł Chingachgook. – Gdy głos zabierają mężczyźni, nie powinni mówić takich rzeczy, które wchodzi jednym uchem, a drugim wychodzą. Słowa nie mogą być piórkami, unoszonymi nawet przez wiatr tak lekki, że nie marszczy powierzchni wody. On nie odpowiedział na moje pytanie. Kiedy wódz o coś pyta, jego przyjaciel nie powinien mówić o byle czym.

–Rozumiem cię, Delawarze. Nie przeczę, że rozumiem dobrze, co chcesz powiedzieć. A jednak odpowiedź nie jest. tak, łatwa, jak ci się zdaje, z tej prostej przyczyny, że... – Chcesz wiedzieć, co bym zrobił, gdybym miał, tak jak ty, narzeczoną tutaj, na jeziorze, a tam, w obozie Huronów, przyjaciela, któremu grożą męki. Tak?

Indianin bez słowa kiwnął głową, zachowując niewzruszoną powagę, i tylko zmrużył oko widząc zakłopotanie przyjaciela.

–Cóż, nigdy nie miałem narzeczonej, nigdy nie doznawałem wobec dziewczyny uczuć, jakie ty żywisz dla Cyt, chociaż lubię dziewczęta, Bóg mi świadkiem. Do tej pory jednak serce moje, jak to mówią, pozostało nie tknięte i dlatego nie mogę powiedzieć, jakbym postąpił, gdybym miał narzeczoną. Przyjaciel ciągnie nas mocno do siebie, wiem o tym z doświadczenia, Wężu. Z tego jednak, co sam widziałem i co słyszałem o miłości, wnoszę, że narzeczona ciągnie jeszcze mocniej.

–To prawda. Tylko narzeczona Chingachgooka nie ciągnie do wiosek delawarskich, lecz do obozu Huronów.

–Szlachetna dziewczyna. Nóżki i rączki ma drobne jak. dziecko, a głos miły jak ptaszek, który przekomarza się ze swymi braćmi, ale wielkie i szlachetne ma serce, godne. jej przodków. O cóż więc chodzi, Wężu? Nie sądzę, aby zmieniawszy zdanie, chciała się poddać i zostać żoną Hurona. Co zamierzacie zrobić?

–Wah-ta-Wah nigdy nie zamieszka w wigwamie Irokeza – oschle odparł Delawar. – Drobne nóżki mogą ją zanieść do wiosek ludu delawarskiego; małe ma rączki, ale rozum duży. Gdy nadejdzie czas, mój brat zobaczy, co zrobimy i czy pozwolimy mu umrzeć w męczarniach.

–Nie zróbcie tylko głupstwa, Delawarze – powiedział z powagą Pogromca. – Sądzę, że postawicie na swoim i trzeba przyznać, że macie do tego prawo. Bylibyście niepokieszeni, gdybyście nic nie przedsięwzięli. Ale nie popełnijcie czynu nierozważnego. Wiedziałem, że zostanieie tutaj, póki mój los się nie rozstrzygnie. Pamiętaj jednak, Wężu, że najstraszliwsze męczarnie, jakie tylko Mingowie mogą wymyślić, tortury, obelgi, przypiekanie na ogniu, wyrywanie paznokci i inne nieludzkie męki – nie złamią mego ducha tak jak wiadomość, żeście oboje dostali się w ręce nieprzyjaciela, kiedy chcieliście przyjść mi z pomocą.

–Delawarzy są roztropni. Pogromca Zwierząt nie ujrzy ich wchodzących z zamkniętymi oczami do nieprzyjacielskiego obozu.

Na tym rozmowa się skończyła. Hetty oznajmiła, że śniadanie jest gotowe, i za chwilę całe towarzystwo siedziało za stołem zastawionym skromnymi i niewybrednymi daniami, jak zwykle u mieszkańców pogranicza. Ostatnia przyszła bladą i milczącą Judyta, z wyraźnymi śladami źle spędzonej, jeśli nie bezsennej, nocy. Nikt ani słowem nie odezwał się podczas śniadania. Kobiety nie miały apetytu, natomiast obaj mężczyźni jedli dużo jak zwykle. Było jeszcze bardzo wcześnie, kiedy wstali od stołu. Jeniec na urlopie miał przed sobą kilka godzin wolności. Wszyscy

o tym wiedzieli i współczuli Pogromcy, zebrali się więc na pomoście, aby mu towarzyszyć, słuchać, co powie,

i uprzedzając jego życzenia, okazać mu swą sympatię. Pogromca Zwierząt był,

przynajmniej dla oczu ludzkich, zupełnie spokojny, rozmawiał wesoło i naturalnie, unikał tylko bezpośredniej wzmianki o wielkim wydarzeniu, które miało dzisiaj nastąpić. O tym, że jego myśli wracają do bolesnego tematu, świadczyło to, co mówił o śmierci, tej ostatniej wielkiej zmianie w życiu człowieka.

–Nie martw się, Hetty – powiedział. Pocieszając dziewczynę po stracie rodziców, zdradził swe własne uczucia. – Z woli boskiej wszyscy musimy umrzeć. Twoi rodzice czy też niby-rodzice, co na jedno wychodzi, odeszli stąd przed tobą. Taki jest porządek rzeczy, moja miła; najpierw odchodzą starsi, młodszy idą za nimi. Kto miał taką matkę jak ty, Hetty, może być pewny, że zmarłej na tamtym świecie wszystko ułoży się jak najlepiej. Ten oto Delawar i Cyt wierzą w pola szczęśliwych łowów, które wyobrażają sobie po swojemu. Biali mają inny pogląd na te sprawy. Mam wrażenie, że nasz raj i ich kraina duchów to jedno i to samo i że ludzie wszystkich kolorów skóry wędrują tam po społu jedną ścieżką. Oczywiście, zły człowiek tam się nie dostanie. Ale przyjaciele nie będą rozdzieleni, choćby na ziemi należeli do różnych ras ludzkich. Nie smuć się, biedna Hetty, i czekaj dnia, w którym spotkasz matkę tam, gdzie nie ma bólu i troski.

–Wierzę, że zobaczę się z mamą – odparło dziewczę. – Ale co będzie z ojcem?

–Masz babo placek, Delawarze – powiedział myśliwy po delawarsku. – Sam nie wiem, co jej powiedzieć! Piżmoszczur nie był świętym za życia i nie trudno zgadnąć, że nie zostanie świętym na tamtym świecie. Widzisz, Hetty – z łatwością wrócił do języka angielskiego – musimy być dobrej myśli. Nakazuje nam to rozsądek. Ulgi dozna, kto w to uwierzy. Radzę ci ufać Bogu i nie poddawać się złym przeczuciom i obawom. Czy to nie dziwne, Judyto, jak różnie ludzie wyobrażają sobie życie po śmierci, jedni tak, a drudzy inaczej, nieprawdaż? Znałem białych nauczycieli, którzy głosili, że po śmierci będziemy duchami; inni znów wierzyli, podobnie jak Indianie, że przejdziemy na tamten świat razem z ciałem, będziemy spacerowali pod własną postacią, będziemy się znali wzajemnie, rozmawiali z sobą i przyjaźnili się tak jak na ziemi.

–Który z tych dwóch poglądów bardziej ci odpowiada, Pogromco Zwierząt? – zapytała Judyta chcąc rozproszyć jego smutek, chociaż i jej nie było wesoło. – Czy przykra byłaby ci myśl, że na tamtym świecie spotkasz wszystkich, którzy siedzą teraz na pomoście? Czy też miałeś nas dosyć tutaj i byłbyś rad, gdybyś nas więcej nie zobaczył?

–Przykro by mi było umierać z tą myślą. Minęło bitych osiem lat od chwili, gdy zacząłem polować z Wężem. Ciężko by mi było na duszy, gdybym wiedział, że już się więcej nie zobaczymy. Wąż czeka czasów, kiedy będzie ze mną polował na duchy jeleni na gładkich równinach bez cierni i kolców, gdzie nie będzie bagnisk i innych przeszkód na drodze myśliwego. Ja się z tym wszystkim nie mogę zgodzić, bo to jest niemądre. Duchy nie jedzą i nie potrzebują odzienia. Na zwierza zaś wolno polować,

jeśli chce się go zabić, zabić zaś można tylko wtedy, gdy potrzebujemy mięsa lub skóry. Otóż, trudno przypuścić, aby szczęśliwe duchy polowały bez powodu i męczyły nieme zwierzęta tylko dla własnej przyjemności i zabawy. Nigdy jeszcze nie strzeliłem do kozła lub łani, Judyto, jeśli nie potrzebowałem pożywienia lub skóry na ubranie.

–Pewnie miło ci teraz wspomnieć o tym, Pogromco Zwierząt?

–Myśl o tym, że byłem uczciwym myśliwym, zachęca mnie teraz, moi drodzy, do dotrzymania słowa. Mógłbym, co prawda, wrócić do obozu i bez tych wspomnień. Nawet najgorsi Indianie wywiązują się czasem z tego rodzaju zobowiązań. Ale uczciwa przeszłość sprawia, że ciężki obowiązek staje się lżejszy, a czasem nawet miły. Nic tak nie hartuje serca jak czyste sumienie.

Judyta zbladła, ale udało jej się opanować zmieszanie. Po walce wewnętrznej, jaką stoczyła z sobą, straciła ochotę do dalszej rozmowy, wobec czego zastąpiła ją Hetty.

–Byłoby okrucieństwem zabić biednego jelenia, jeśli się nie potrzebuje dziczyzny albo skóry. Żaden dobry, biały czy też Indianin tak nie postąpi. To grzech, kiedy chrześcijanin mówi o polowaniu w niebie. Nie robi się takich rzeczy w obliczu Boga, a misjonarz, który opowiada bezbożne historie, nie jest prawdziwym misjonarzem. To wilk w owczej skórze. Wiesz chyba, Pogromco Zwierząt, co to jest owca?

–Ma się rozumieć, moja droga. Jest to pożyteczne stworzenie, zwłaszcza dla tych, którzy na zimę wolą włożyć na siebie wełniane ubranie i nie lubią chodzić w skórach. Znam naturę owiec, choć niewiele miałem z nimi do czynienia. Znam też naturę wilków, mogę więc wyobrazić sobie wilka w owczej skórze, aczkolwiek sądzę, że w lecie byłoby mu za gorąco w tym przebraniu.

–W ubraniu z grzechu i obłudy też jest gorąco, o czym wiedzą ci, którzy okrywają się bezceństwem – odparła Hetty stanowczym tonem. – Wilkowi więc nie byłoby gorzej niż grzesznikowi. Duchy nie polują, nie łapią zwierząt w sidła, nie łowią ryb i nie zajmują się czczymi zajęciami ludzkimi, gdyż nie odczuwają żadnych pragnień ziemskich. Och! Mama tak dawno mi o tym mówiła. Nie chcę, aby temu zaprzeczano.

–Wobec tego, moja Hetty, nie zaczynaj rozmowy na ten temat z Cyt, kiedy jesteście same i Delawarka ma ochotę porozmawiać o religii. Cyt bowiem jest święcie przekonana, że dobrzy wojownicy na tamtym świecie nie robią nic innego, tylko polują i łowią ryby. Zdaje mi się jednak, że Cyt nie wierzy, aby stawiali sidła, gdyż jest to zajęcie niegodne męznego wojownika. Natomiast łowów i rybołówstwa zmarli wojownicy mają ile dusza zapagnie. Polowania odbywają się na niezwykle pięknych terenach łowieckich, nie ma tam okresu ochronnego, zwierzyna jest rącza i czujna – rozkosz zabijać. Tak głosi wiara Indian. Wobec tego nie radzę ci wdawać się z Cyt w rozmowę na ten temat.

–Cyt nie jest złą dziewczyną, żeby wierzyła takie rzeczy – gorąco zaprotestowała Hetty. – Żaden Indianin nie poluje po śmierci.

–Zły Indianin na pewno nie poluje możesz być b to spokojna. Musi nosić amunicję, dbać o broń, rozpalać ogniska, gotować i wykonywać inne, nie męskie posługi. Pamiętaj jednak, że to są poglądy Cyt, a nie moje. Dlatego, jeśli ci miły spokój, w rozmowach z Delawarką unikaj tego tematu.

–A co się, twoim zdaniem, dzieje z Indianinem na tamtym świecie? – zapytała Judyta, która wreszcie odzyskała mowę.

–Ach, dziewczyno, w każdym razie w niebie nie polują. Jestem chrześcijaninem i nie wierzę w opowieści o polowaniu i łowieniu ryb po śmierci. Nie wierzę również, by istniał jeden Manitou dla czerwonoskórych, a drugi dla białych twarzy. Możesz ujrzeć na ziemi wiele kolorów skóry – to każdy wie – ale natura ludzka jest jedna. Różne dary, ale natura zawsze ta sama.

–Czym dar różni się od natury? Czyż natura ludzka nie jest darem nieba?

–Zapewne. Myśl twoja jest bystra i zdawałoby się słuszna, Judyto, ale w gruncie rzeczy jest błędna. Natura – to samo stworzenie, jego pragnienia; potrzeby, myśli i uczucia, to, co jest mu wrodzone. Natura niewielkim ulega zmianom, choć może się trochę poprawić lub zepsuć. Otóż, dary człowieka mają swe źródło w okolicznościach. Kto znajdzie się w mieście, nabiera darów miejskich, w osadzie – darów kolonistów, w lesie – ludzi leśnych. Bywają też dary żołnierskie, misjonarskie i inne. Wszystkie one rosną, nabierają siły i wspierają naturę stanowiąc o naszych czynach i myślach. Ale w głębi pozostaje wciąż ta sama natura, podobnie jak pod mundurem pułkowym czy pod skórą jest ten sam nagi człowiek. Strój może różnie wyglądać, może też mieć pewien wpływ na nasze postępowanie, ale człowieka nie zmieni. Ludzie przywiązują wagę do strojów i czego innego oczekują od człowieka odzianego w jedwabie i atłasy niż od ubranego w prosty samodział. Bóg jednak nie szył ubrań, lecz stworzył samych ludzi i patrzy tylko na własne dzieło. To, co mówię, nie jest nauką misjonarzy, ale jest jej bliskie, są to bowiem poglądy białego człowieka. A to dopiero! Kto by pomyślał, że będę dziś mówił o tych sprawach, ale człowiek jest istotą słabą i nigdy nie wie, co mu się zdarzy. – Judyto, chodź ze mną na arkę, chciałbym z tobą pomówić.

Judyta słuchała z nie ukrywaną radością. Poszła za myśliwym do kajuty i usiadła na stołku. Młodzieniec wziął z kąta „Postrach Zwierząt”, położył go na kolanach i usiadł obok Judyty. Przez chwilę obracał strzelbę na wszystkie strony i z zapalem oglądał zamek, po czym położył ją na podłodze i przystąpił do rzeczy.

–Powiedziałaś, Judyto, że dajesz mi tę strzelbę – zaczął. – Zgodziłem się przyjąć ten podarunek, gdyż broń palna nie bardzo jest potrzebna młodej kobiecie. Ta strzelba

zdobyła wielką i zasłużoną sławę. Wypada więc, aby dostała się w znane i pewne ręce, skoro niedbałe i bezmyślne postępowanie może zaszkodzić najlepszemu imieniu.

–Czy mogłaby się znaleźć w lepszych rękach, Pogromco Zwierząt? Tomasz Hutter rzadko chybiał z tej strzelby. W twoich rękach okaże się...

–...pewną śmiercią! – dokończył śmiejąc się myśliwy. Znałem pewnego myśliwego (polował na bobry), który tak sarno nazwał swą strzelbę, ale były to czcze przechwałki, znałem bowiem Delawarów, którzy równie celnie, na krótki dystans, strzelali z łuku. Wracając do rzeczy nie przeczę, że pod tym względem jestem obdarzony talentem – oto, Judyto, dar, a nie natura! – i przyznasz, że strzelba znalazła się teraz we właściwych rękach. Ale jak długo w nich zostanie? My możemy być szczerzy między sobą, nie chciałbym natomiast, żeby Wąż i Cyt dowiedzieli się o tym, co ci powiem. Tobie wyznam prawdę, bo dla ciebie nie będzie tak bolesna jak dla tych, którzy dłużej i lepiej mnie znali. Jak długo będę posiadał tę lub jakąkolwiek inną strzelbę? Oto poważne pytanie, które musimy sobie postawić. Jeśli bowiem stanie się to, co się stać może, „Postrach Zwierząt” zostanie bez właściciela.

Judyta słuchała z pokornym spokojem, ale straszny ból targał jej sercem. Znając jednak spokój Pogromcy starała się opanować i rzeczywiście nie dała po sobie nic poznać. Gdyby wszakże uwaga młodzieńca nie była zwrócona wyłącznie na strzelbę, tak bystry obserwator musiałby zauważyć niepokój, z jakim dziewczyna słuchała jego słów. Była jednak do tego stopnia opanowana, że pokryła zmieszanie i myśliwy nic nie zauważył; gdy mu odpowiedziała.

–Co mam robić z tą strzelbą – zapytała – gdyby stało się to, czego się obawiasz?

–Właśnie o tym chciałem z tobą pomówić, Judyto. Otóż, Chingachgook, chociaż daleko mu do doskonałości – czerwonoskóry rzadko jest świetnym strzelcem – zasługuje na wyróżnienie i stale robi postępy. Poza tym jest moim przyjacielem, i to najlepszym. Polubiliśmy się chyba dlatego, że nie może być między nami zawiści, on bowiem ma zalety czerwonoskórego, a ja białego. Widzisz, Judyto, chciałbym zostawić „Postrach Zwierząt” Wężowi na wypadek, gdybym sam nie mógł dbać o sławę i honor twego cennego daru.

–Zostaw go, komu ci się podoba, Pogromco Zwierząt. Strzelba jest twoja, możesz z nią zrobić, co chcesz. Gdybyś nie wrócił, niech ją weźmie Chingachgook.

–Czy pytałaś Hetty o zdanie w tej sprawie? Majątek po ojcu przechodzi na dzieci, a nie na jedną córkę.

–Gdyby trzymać się prawa, żadna z nas nie byłaby spadkobierczynią Huttera. Nie był bowiem naszym ojcem. Jesteśmy, naprawdę, Judyta i Estera Bezimienne.

–To, co mówisz, może jest zgodne z prawem, ale sensu w tym jest niewiele, moja miła. Wedle zwyczaju majątek należy do was i nie ma tutaj nikogo, kto by mógł podważyć wasze prawa. Jeśli tylko Hetty powie, że się zgadza, będę zupełnie spokojny. To prawda, że twoja siostra nie dorównuje ci ani urodą, ani inteligencją, ale właśnie dobro osób upośledzonych na umyśle powinno nam szczególnie leżeć na sercu.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała, tylko podeszła do okna i zawołała siostrę. Zapytana o zdanie prostoduszna i poczciwa Hetty chętnie zgodziła się, żeby przelać na Pogromcę nieograniczone prawa do cennej strzelby. Myśliwy był uszczęśliwiony, przynajmniej na parę godzin. Jeszcze raz jak najdokładniej obejrzał swą zdobycz, po czym oświadczył, że chciałby przed odjazdem wypróbować jej zalety. Prostoduszny mieszkaniec lasu chciał się popisać swą strzelbą, niczym mały chłopiec, który pokazuje wszystkim, jaki ma łuk i jaką wspaniałą trąbkę. Pogromca wyszedł na pomost, wziął na bok Delawara i zawiadomił go, że słynna strzelba przejdzie w ręce Wielkiego Węża, jeśli jej właścicielowi stanie się coś złego.

–Oto jeszcze jeden powód, Wężu, abyś był ostrożny i nie naraził się lekkomyślnie na niebezpieczeństwo – dodał myśliwy. – Taka strzelba to wielkie zwycięstwo całego szczepu. Mingowie pękną z zazdrości. Co więcej, nie pokażą nosa w pobliżu wioski, w której będzie się znajdowała ta strzelba. Strzeż jej więc jak oka w głowie, Delawarze, i pamiętaj, że będziesz pilnował rzeczy, która ma wszystkie zalety istoty żyjącej, a nie ma jej przywar. Cyt jest i powinna ci być droga, ale „Postrach Zwierząt” będzie przedmiotem miłości i czci całego szczepu. – Strzelba jak strzelba, Pogromco Zwierząt – odparł Indianin po angielsku, gdyż w tym języku myśliwy zwrócił się do niego. Czuł się nieco dotknięty, że przyjaciel przyrównał jego narzeczoną do strzelby. – Wszystkie zabijają, wszystkie z drzewa i żelaza. Żona droga sercu, strzelba dobra do strzelania.

–A czym jest człowiek w lesie, jeśli nie ma broni palnej? W najlepszym razie nędznym traperem albo popychadłem, które wyrabia miotły i plecie koszyki. Może uprawiać ziemię i jakoś pchać biedę, ale nigdy nie zje smacznego kęsa dziczyzny i nie będzie wiedział, jaka jest różnica między szynką niedźwiedzią a szynką dzika. A więc do dzieła, mój miły! Może już nigdy nie nadarzy nam się taka okazja... Muszę koniecznie spróbować tej słynnej broni. Przynieś swoją strzelbę,... a ja wezmę „Postrach Zwierząt” i będę celował byle jak, abyśmy tym lepiej mogli poznać ukryte cnoty tej sztuki.

Wszyscy chętnie przystali na propozycję Pogromcy, gdyż zapowiadała zabawę, która mogła odwrócić ich uwagę od smutnych myśli, a niczym nie groziła. Dziewczęta ochoczo i niemal z radością wyniosły strzelby na pomost. Arsenał Huttera był dobrze zaopatrzone. Znajdowało się w nim kilka strzelb, stale nabitych, aby można było w;razie potrzeby zrobić z nich natychmiastowy użytek. Wystarczyło więc odświeżyć proch na panewkach, aby strzelby były gotowe do strzału. Uwinęli

się szybko, w przygotowaniach bowiem wzięli udział wszyscy, nie wyłączając kobiet, które z bronią obeznane były niegorzej niż mężczyźni.

–A teraz, Wężu, zaczniemy skromnie od zwykłych strzelb starego Toma, a skończymy na twojej fuzji i „Postrachu Zwierząt” – powiedział Pogromca, szczęśliwy, że znów stoi z bronią w rękę i będzie mógł popisać się swą zręcznością; – Ptactwa jest tutaj w bród, pływa to, lata nad wodą i krąży wokół zamku na odległość strzału. Powiedz, Delawarze, którego ptaka chciałbyś spłoszyć. Oto masz nurka. Tutaj, bliżej, bardziej na wschód. Stworzenie to na błysk strzału chowa się pod wodą. W sam raz cel, który pozwoli nam sprawdzić strzelbę i proch.

Chingachgook nigdy wiele nie mówił, był bowiem człowiekiem czynu. Gdy tylko Pogromca wskazał mu ptaka, zmierzył się i strzelił. Kaczor, jak było do przewidzenia, na błysk strzału dał nurka. Kula nie zrobiła mu nic złego. Musnęła wodę o parę cali od miejsca, w którym ptak dał nurka, i poszła dalej, skacząc po powierzchni jeziora. Pogromca Zwierząt śmiał się szczerze i serdecznie, równocześnie jednak przygotował się do strzału i pilnie śledził nieruchomą taflę jeziora. Niebawem ukazała się nad wodą ciemna plama. To kaczor wynurzył się, aby zaczerpnąć powietrza i otrząsnąć skrzydła. Nagle kula przeszła mu pierś. Martwy ptak padł na grzbiet. Pogromca Zwierząt oparłszy kolbę strzelby o pomost stał spokojnie, jakby nic się nie stało, i tylko śmiał się jak zwykle cichym głosem.

–To jeszcze o niczym nie stanowi!– powiedział, jakby się obawiał zbyt pochlebnej oceny swego strzału! – Nie, strzał ten nie świadczy ani za, ani przeciw strzelbie.

Po prostu szybka ręka i bystre oko, nic więcej. Wykorzystałem chwilę, w której ptak wynurzył się z wody, inaczej byłby znowu dał nurka i wyprzedził kulę. Ale Wąż jest zbyt mądry, żeby wziął mi za złe sztuczkę, którą zna od bardzo dawna. Czy pamiętasz, wodzu, tę dziką gęś? Byłeś pewny, że będziesz ją miał, a ja sprzątnąłem ci ją sprzed nosa, bo ptak spłoszył się na widok dymu z mej strzelby. Takie kawały uchodzą między przyjaciółmi i dobrze, że młodzi lubią żarty, Judyto. O! Oto ptak, jakiego nam trzeba, dobry na rożnie i dobry na cel. Nigdy nie należy wyrzekać się właściwego pożytku z ptaka. Tam, bardziej na północ, Delawarze.

Chingachgook spojrział w kierunku wskazanym przez Pogromcę i zobaczył dużą, czarną kaczkę, majestatycznie płynącą na jeziorze. W owych czasach, kiedy człowiek rzadko zakłócał spokój pustkowi, wszystkie małe jeziora, jakich jest mnóstwo w głębi stanu New York, stanowiły miejsce spotkań wędrownego ptactwa wodnego. Lśniące Zwierciadło podobnie jak inne jeziora było licznie odwiedzane przez najrozmaitsze odmiany dzikich kaczek, gęsi, mew i nurków. Gdy w tych stronach zjawiał się Hutter, ptaki przeniosły się stąd na dalsze i bardziej zaciszne jeziora. Ale przedstawiciele różnych gatunków ptactwa dalej się tutaj pojawiali. Zwyczaj ten zachował się wśród ptaków do naszych czasów. W tej chwili z zamku widać było około setki ptaków; jedne spały na wodzie, inne pluskały skrzydłami, kąpiąc się w

przeźroczyście żywił. Żaden z nich jednak nie przedstawiał, sobą lepszego celu niż ten, który Pogromca pokazał przyjacielowi. Chingachgook jak zwykle bez słowa przystąpił do dzieła. Tym razem celował staranniej i wynik też był odpowiednio lepszy. Ptak miał strzaskane skrzydło, z krzykiem podlatywał nad wodą i coraz bardziej oddalał się od swych nieprzyjaciół.

–Trzeba położyć kres jego cierpieniom! – zawołał Pogromca widząc, jak ptak próbuje wzbic się w powietrze. – Zrobi to ta strzelba i to oko.

Ptak trzepotał jeszcze skrzydłami nad wodą, kiedy dosięgnęła go śmiertelna kula, oddzielając gładko, jakby siekierą ciął, głowę od szyi. Cyt, która cichym okrzykiem podziwu powitała celny strzał młodego Indianina, teraz dowód znacznie większej zręczności jego przyjaciela przyjęła zmarszczeniem brwi i niechętną miną. Wódz, wprost przeciwnie, wydał okrzyk radości, a jego uśmiech świadczył, jak bardzo podziwiał Pogromcę i jak daleki był od zazdrości.

–Nie zważaj na te grymasy, Wężu. Zazdrość Cyt nie udusi, nie utopi i nie uśmierci nikogo, a piękności szkodzi – śmiejąc się powiedział Pogromca Zwierząt. – Naturalna to rzecz, że kobieta dzieli zwycięstwa i klęski męża, a wy jesteście już małżeństwem, jeśli idzie o uprzedzenia lub uczucia przyjaźni. Oto ptak nad naszymi głowami, na którym wypróbujemy strzelby. Wzywam cię na pojedynek – nad nami cel ruchomy. Będzie to prawdziwa próba celności strzelby i oka myśliwego.

Orzeł z gatunku tych, które żyją nad wodami i żywią się rybami, unosił się wysoko nad zamkiem, chciwie wypatrując żeru. Zgłodniałe orlątka wyciągały dzioby z gniazda na nagim wierzchołku uschłej sosny. Chingachgook wziął drugą strzelbę, zmierzył się bez słowa, wyczekał stosownej chwili i strzelił. Ptak zatoczył szersze koło, co dowodziło, że posłaniec śmierci przeleciał niedaleko celu. Pogromca, który mierzył równie szybko jak pewnie, strzelił, gdy tylko się upewnił, że jego przyjaciel chybił. Orzeł runął w dół i przez chwilę nie było wiadomo, czy Pogromca trafił, czy nie. Kiedy jednak strzelec ujrzał, że ptak znów się wznosi i zabiera się do ucieczki, sam obwieścił, że spudłował, i wezwał przyjaciela, by wziął inną strzelbę.

–Orzeł tylko zmrużył oko, Wężu. Dmuchałem mu w piórka, ale farby nie puścił. Ta stara kołatka nie da tutaj rady. Nuże, wodzu, masz teraz lepszą strzelbę. Judyto, przynieś mi „Postrach Zwierząt”. Trafia się okazja sprawdzenia, czy sława tej strzelby jest zasłużona.

Zrobił się ruch na pomoście i w chwilę potem zawodnicy stanęli gotowi do strzału, a dziewczęta niecierpliwie czekały na wynik pojedynku. Orzeł zatoczył szerokie koło i wzniósł się nad zamek jeszcze wyżej niż przedtem. Chingachgook spojrzął i oświadczył, że z tak wielkiej odległości niesposób zestrzelić ptaka unoszącego się niemal prosto nad głową strzelca. Cyt chrząknęła. Na ten znak Wąż strzelił. Okazało się, że wycelował nienajlepiej, orzeł bowiem nie tylko nie zmienił kierunku lotu, lecz

dalej żeglował w powietrzu, zataczając koła, i zdawał się z wyraźną pogardą patrzeć na swych nieprzyjaciół na dole.

–Teraz, Judyto – zawołał Pogromca śmiejąc się z błyszczącymi oczami – zobaczmy, czy „Postrach Zwierząt” jest również postrachem orłów! Odsuń się, Wężu, i patrz, jak będę celował, wszystkiego bowiem można się nauczyć.

Zmierzył się bardzo starannie i powtarzał ten manewr kilka razy, a ptak tymczasem wznosił się coraz wyżej. Wreszcie nastąpił błysk ognia i huk strzału. Lotny poseł śmierci frunął w górę i w tejże chwili ptak przewrócił się na bok i zaczął spadać, bijąc rozpaczliwie to jednym, to drugim skrzydłem i robiąc młynki w powietrzu, aż wreszcie uderzył skrzydłami, jakby zrozumiał, że rana jest śmiertelna, zatoczył kilka kół i runął na pokład arki. Oględziny wykazały, że kula przeszła ptaka między skrzydłem a kością piersiową.

ROZDZIAŁ 26

Na obu płytach przed nią rozpostartych

Oparła piersi twardsze od kamienia.

Tu drzemał sędzia, co sprawując warty

Nad ziem i dobrem – waży i ocenia.

Obok tablica, gdzie barwnymi znaki

Wymalowano czyn i grzech wszelaki,

A kiedy sędzia będzie czytał listę,

Zadrży ze zgrozy nawet serce czyste.

Giles Fletcher

Postąpiliśmy bezmyślnie, Wężu, tak, Judyto, postąpiliśmy bezmyślnie, pozbawiając niewinne stworzenie życia tylko po to, by dogodzić własnej próżności! – zawołał Pogromca Zwierząt, kiedy Delawar, wzięwszy olbrzymiego ptaka za skrzydła, podniósł go i wszyscy ujrzeli oczy konającego orła, patrzące na swych wrogów tak wymownie, jak zwykle bezsilna ofiara patrzy na swego oprawcę. – Takie bezmyślne zaspokojenie własnych zachcianek prędzej by uszło dwom chłopcom niż wojownikom na ścieżce wojennej, choćby nawet pierwszej w ich życiu. Trudno. Za karę zaraz was pożegnam i kiedy znajdę się sam wśród żądnych krwi Mingów, będę zapewne miał okazję zrozumieć, jak słodkie jest życie zwierzętom w lasach i ptakom na niebie. Judyto, weź „Postrach Zwierząt” i zachowaj tę strzelbę dla rąk, które bardziej są jej godne.

Nie znam rąk godniejszych od twoich, Pogromco Zwierząt – żywo zaprotestowała Judyta. – „Postrach” powinien zostać przy tobie.

–Gdyby to zależało od zręczności, miałabyś rację, dziewczyno, ale powinniśmy wiedzieć nie tylko, jak używać broni palnej, ale i kiedy wolno nam z niej skorzystać, a tego drugiego obowiązku myśliwego jeszcze sobie nie przyswoiłem. Zatrzymaj więc strzelbę, póki się tego nie nauczę. Widok umierającego nieszczęsnego stworzenia, choćby tylko ptaka, budzi zbawienne myśli w człowieku, który nie wie, kiedy wybije jego godzina, ale jest niemal pewny, że nastąpi to, zanim słońce zajdzie. Oddałbym całą pustą radość i dumę z mej ręki i oka, gdyby ten biedny orzeł znalazł się znowu w gnieździe i mógł ze swymi małymi chwalić Pana za to, że – o ile wiemy – dał mu zdrowie i siłę.

Słuchacze byli niezmiernie zdziwieni tą nagłą skruchą myśliwego z powodu postępków tak zwyczajnego, że na ogół ludzie w podobnych wypadkach nie zastanawiają się nad skutkami swego czynu i nie myślą o cierpieniu, jakie zadali niewinnemu, bezbronniemu stworzeniu. Delawar zrozumiał przyjaciela, ale nie pojmował jego pobudek. Aby jednak skończyć z tym, wyjął ostry nóż i odciął głowę ofierze myśliwego.

–Co to znaczy mieć władzę! – podjął Pogromca – mieć władzę i nie umieć z niej korzystać. Czy można się dziwić, Judyto, że wielcy często uchybiają swym obowiązkom, jeśli maluczkiemu tak trudno uniknąć złego i czynić dobrze? Widzisz, jak jeden zły uczynek pociąga za sobą dalsze. Gdybym nie był na urlopie i nie musiał zaraz wracać do obozu, znalazłbym, gniazdo tego ptaka, choćbym miał przez dwa tygodnie szukać go w lesie – chociaż kto zna naturę orła, szybko znajdzie jego gniazdo – w każdym razie szukałbym tak długo, aż bym znalazł i położył kres mękom orlątek.

–Cieszy mnie to, co mówisz, Pogromco Zwierząt – powiedziała Hetty. – Bóg przyjmie twą skruchę, a zapomni o grzechu, jaki popełniłeś. Kiedy miałeś strzelić, pomyślałam sobie, że to wielki grzech zabijać niewinne ptaki, i chciałam ci to powiedzieć. Sama nie wiem, jak się to stało, byłam bardzo ciekawa, czy trafisz orła unoszącego się tak wysoko, zapomniałam języka i – stało się.

–Otóż to, droga Hetty., Widzimy nasze błędy i omyłki, kiedy już jest za późno, aby im zapobiec. Może jednak dobrze, żeś nic nie powiedziała, bo wątpię, by jedno czy dwa słowa mogły mnie wtedy powstrzymać. Przynajmniej nie zwiększa mojej winy fakt, że nie posłuchałem ostrzeżeń. Gorzkie wyrzuty sumienia zawsze są przykre, ale bywają chwile, kiedy ciążą naszemu sercu jak kamień.

Kiedy Pogromca Zwierząt gorzko żałował swego postępków (czyńił to z głębi serca, kierując się swymi prostymi zasadami sprawiedliwości), nie wiedział jeszcze, że zrzędzeniem niezbadanych wyroków Opatrzności, która w sposób dla nas niezrozumiały wszystko okrywa swym płaszczem, błąd tak surowo przez niego potępiony miał zdecydować o jego losie. Nie możemy jeszcze powiedzieć, kiedy i jak się to stało, okaże się to dopiero w następnych rozdziałach naszego opowiadania. Młody myśliwy ze zmartwioną miną, wolnym krokiem przeszedł z arki na pomost i tam usiadł. Tymczasem słońce wzniosło się już wysoko. Widząc to, a także pod wpływem skruchy, Pogromca postanowił przygotować się do drogi. Delawar, gdy się dowiedział, że myśliwy już się wybiera, natychmiast oporządził czółno, Cyt zaś zajęła się przygotowaniem rzeczy, które mogły się przydać jeńcowi. Zrobili to w sposób zupełnie naturalny, ale na oczach Pogromcy, który dobrze rozumiał ich serdeczne intencje. Gdy wszystko było gotowe, Indianie wrócili na pomost, gdzie Judyta i Hetty nie odstępowały myśliwego.

–Najlepsi przyjaciele też czasem muszą się rozstać – zaczął Pogromca, gdy ujrzał,

że wszyscy zebrali się wokół niego. – Tak, nawet przyjaźń nie zmieni zarządzenia Opatrzności i choćbyśmy chcieli, żeby było inaczej – musimy się rozstać. Nieraz myślałem sobie, że bywają szczególne chwile i że wypowiedziane wtedy słowa i udzielone rady długo pozostają w pamięci, bo padły z ust, które potem już nigdy do nas nie przemówią. Nikt nie zna swego losu i dlatego przyjaciele, którzy się rozstają, powinni liczyć się z tym, że rozłąka potrwa długo, i powiedzieć sobie parę miłych słów – na pamiątkę. Przejdźcie teraz wszyscy na arkę – będę rozmawiał tutaj z każdym z was po kolei. Każdemu coś powiem i rzecz jasna, wysłucham go, zły to bowiem doradca, który sam mówi, a nie słucha drugiego.

Dwoje Indian natychmiast przeszło na arkę. Siostry Hutter zostały z Pogromcą. Myśliwy spojrzał na Judytę, która powiedziała porywczo:

–Hetty możesz udzielić rad w drodze. Uważam, że powinna pojechać z tobą.

–Nie wiem, czy byłoby to mądre, Judyto. To prawda, że na ogół Słaba Głowa nie ma się czego obawiać ze strony Indian. Ale kiedy dzicy są podrażnieni i płoną żądzą zemsty, trudno przewidzieć, co się stanie... Zresztą...

–Zresztą?... Co chciałeś powiedzieć, Pogromco Zwierząt? – zapytała Judyta głosem tak miękkim, że niemal czułym, chociaż starała się nie zdradzić, co się dzieje w jej sercu.

–Chciałem po prostu powiedzieć, że w obozie Huronów mogą się zdarzyć takie rzeczy, których widoku może lepiej oszczędzić Hetty, nawet jeśli ma słabą głowę i pamięć. Pozwól więc, że pojedę sam, a Hetty zatrzymaj z sobą.

–O mnie się nie bój, Pogromco Zwierząt – powiedziała Hetty, która mniej więcej rozumiała, o czym mówią. Mam słabą głowę i dzięki temu mogę iść wszędzie. Gdyby to nie wystarczyło, znajdę obronę w Biblii, którą zawsze noszę ze sobą. To wprost cudowne, Judyto, jak wszyscy – traperzy i myśliwi, czerwono skorzy i biali, Mingowie i Delawarzy – szanują Biblię i boją się jej słów.

–Nie ma chyba najmniejszego powodu do obaw, że Mingowie zrobią ci krzywdę – odparła Judyta. – Dlatego nalegałabym na ciebie, żebyś poszła z naszym przyjacielem do obozu Huronów. Nic ci się tam nie stanie, a możesz wiele pomóc Pogromcy Zwierząt.

–Nie czas na spory, Judyto, niech więc będzie, jak sobie życzysz – odparł młody myśliwy. – Przygotuj się do drogi, Hetty, i usiądź w czólnie. Chcę na pożegnanie powiedzieć twej siostrze parę słów, które nie dotyczą ciebie.

Judyta i myśliwy milczeli, póki Hetty nie odeszła. Wówczas Pogromca zabrał głos w sposób tak naturalny i spokojny, jakby mówił dalej po przerwie wywołanej jakimś błahym wydarzeniem.

–Nie zapomina się łatwo słów wypowiedzianych przez przyjaciela w chwili rozstania, jeśli mogą to być jego ostatnie słowa. Chciałbym więc, Judyto, mówić z tobą jak brat, skoro za młody jestem, abym mógł być twoim ojcem. Przede wszystkim muszę cię przestrzec przed twymi nieprzyjaciółmi, z których dwaj, że tak powiem, nie odstępują cię ani na krok i depczą ci po piętach. Pierwszym wrogiem jest twoja niezwykła uroda. Dla pewnych młodych niewiast jest to wróg nie mniej groźny niż cały szczerp Mingów. Trzeba stale mieć się przed nim na baczności. Nie mówię o zachwytach i pochwałach urody, mam na myśli czujność na podstępny wroga. Tak, tak, uroda też może być wystawiona na podstępny i paść ofiarą oszukaństwa. Aby ustrzec się zdrady, musisz pamiętać, że uroda topnieje jak śnieg i że nigdy nie wraca. Pory roku odchodzą i wracają, Judyto. Jeśli mamy zimę, burzliwą i mroźną, a na wiosnę przymrozki i drzewa огоłocone z liści, przychodzi potem lato i świeci słońce na wspaniałym błękitnym niebie. Jesień przynosi owoce i zarzuca na lasy płaszczy, jakiego piękna kobieta z miasta nie znajdzie, choćby przetrząsnęła wszystkie sklepy całej Ameryki. Świat toczy się kołem, a dobroć nieba przynosi nam przyjemności, jeśli już dość mamy rzeczy przykrych. Inaczej jest z urodą. Otrzymujemy ją na krótki czas młodości, abyśmy z niej korzystali, ale jej nie nadużywali. Nigdy w moim życiu nie spotkałem jeszcze młodej niewiasty, którą by natura obdarzyła wdziękami tak hojnie jak ciebie, Judyto. Dlatego ostrzegam cię, a może są to moje ostatnie słowa do ciebie: strzeż się tego wroga. Uroda bowiem może być naszym przyjacielem lub wrogiem, zależnie od tego, jak z niej korzystamy.

Judyta z taką przyjemnością słuchała tych słów niewątpliwego uznania dla jej wdzięków, że wiele by wybaczyła każdemu, kto by je wypowiedział. Zresztą, Pogromca miał jak najlepsze intencje i trudno by mu było naprawdę obrazić Judytę. Słuchała go cierpliwie. Jeszcze tydzień temu bardzo by się oburzyła, gdyby jej ktoś przepowiedział, że stanie się tak wyrozumiała.

–Rozumiem cię, Pogromco Zwierząt – odparła łagodnym i pokornym tonem, co nieco zdziwiło młodzieńca – i mam nadzieję, że potrafię skorzystać z twojej rady. Ale wymieniłeś tylko jednego z wrogów, których powinnam się wystrzegać. Kto lub co jest moim drugim wrogiem?

–Drugi ustępuje drogi twemu rozsądkowi. Widzę, Judyto, że nie jest to przeciwnik tak groźny, jak mi się zdawało. Ale skoro poruszyłem już ten temat, muszę powiedzieć ci wszystko. Pierwszym wrogiem, którego powinnaś się wystrzegać, jest – jak już powiedziałem – niepospolita uroda. Drugim jest to, że sama wiesz doskonale, jak jesteś piękna. Jeśli pierwszy wróg jest niebezpieczny, drugi wcale nie jest lepszy, gdyż nie daje ci spokoju.

Trudno powiedzieć, jak daleko by zaszedł młody myśliwy w swych prostych, szczerych i serdecznych naukach, gdyby nie wybuch płaczu Judyty, której łzy przerwały tany z tym większą siłą, że od dłuższej chwili dziewczyna zawzięcie walczyła z ich naporem. Judyta rozplakała się tak gwałtownie i serdecznie, że

Pogromca złąkł się i gorzko żałował swych słów, zrobiły bowiem znacznie większe wrażenie, niż się spodziewał. Nawet ludzie surowi i wymagający miękną na widok skruchy. Pogromca Zwierząt miał serce tak czułe, że nawet bez przekonywających dowodów wzruszenia Judyty z łatwością doznałby równie szczerzej skruchy jak ona. Zerwał się, jakby ukłuła go żmija, i łagodnym tonem matki pocieszającej córeczkę wyraził żal, że za daleko posunął się w swych radach.

–Chciałem jak najlepiej, Judyto – powiedział – i nie miałem zamiaru sprawić ci przykrości. Widzę teraz, że przeholowałem, tak, i przesoliłem. Bardzo przepraszam. A to dopiero z tą przyjaźnią! Raz uczucie przyjaźni wyrzuca nam, że zrobiliśmy za mało, a drugi raz strofuje nas, że zrobiliśmy za dużo dla przyjaciela. W każdym razie przyznaję, że grubo przesadziłem. Naprawdę bardzo cię szanuję i cieszę się z tego, co zaszło, gdyż okazało się, że jesteś o wiele lepsza, niż się zdawało mej pustej głowie.

Judyta, która ukryła twarz w dłoniach, teraz ją odsłoniła. Przystając płakać i ukazała twarzyczkę urzekająco piękną, opromienioną radosnym uśmiechem. Młodzieniec patrzył na nią w niemym zachwycie.

–Nie mówmy już o tym, Pogromco Zwierząt! – zawołała. – Przykro mi słuchać, jak sam robisz sobie wyrzuty. Dzięki tobie lepiej zdałam sobie sprawę z mych wad. Twych nauk nigdy nie zapomnę, choć zrazu twoje słowa sprawiły mi wielką przykrość. Nie mówmy już na ten temat. Brak mi odwagi, a nie chcę, aby Wąż i Cyt lub nawet Hetty ujrzeli mnie w chwili słabości. Żegnaj, Pogromco Zwierząt, niech Bóg cię prowadzi i strzeże, jak na to zasługuje twoje zacne serce. Wierzę, że Bóg cię nie opuści.

Judyta dzięki swemu wykształceniu i śmiałości, którą zwiększała jeszcze jej niepospolita uroda, zupełnie odzyskała panowanie nad sobą i udało jej się stłumić uczucia, jakim na chwilę uległa. Koniec- rozmowy był równie niezwykły jak jej początek. Młody myśliwy postanowił nie sprzeciwiać się Judycie, kiedy więc ujęła jego dłoń w obie ręce i ścisnęła ją, przyjął ten hołd z takim spokojem i w sposób tak naturalny, jak monarcha raczy przyjmować wyrazy czci ze strony poddanych lub jak kochanka pozwala się uwielbiać swemu rycerzowi. Miłość okryła rumieńcem i opromieniła twarz Judyty. Uroda dziewczyny jaśniała niezwykłym blaskiem, kiedy żegnała Pogromcę ostatnim spojrzeniem, pełnym niepokoju, życzliwości i serdecznego współczucia. Dziewczyna uciekła do kajuty i więcej się nie pokazała; Przez okno powiedziała Cyt, że czeka na nią Pogromca Zwierząt.

Znasz dobrze naturę i zwyczaje czerwonoskórych, Wah-ta-Wah, rozumiesz więc moją sytuację jeńca na urlopie – zaczął myśliwy w języku delawarskim, kiedy cicha i uległa Indianka podeszła do niego. – Zapewne zdajesz też sobie sprawę, że nie ma widoków, abym mógł jeszcze raz przemówić do ciebie. Parę słów, które chciałbym ci powiedzieć, dyktuje mi wieloletnie współżycie z Delawarami i znajomość ich

zwyczajów. Życie kobiety w ogóle nie jest łatwe, ale – choć wcale bym się nie upierał, że biali są lepsi od czerwonoskórych – dola Indianki jest znacznie cięższa niż życie białej kobiety. Pod tym względem biali mieliby się czym pochwalić, gdyby duma była uczuciem godnym chrześcijanina, a sądzę, że nie jest. W każdym razie los nie jest łaskaw dla kobiet, bez względu- na kolor ich skóry. Niedola Indianki jest jej niejako wrodzona, a znowuż ciężki los białej kobiety zależy od warunków, w jakich żyje. Musisz więc dźwigać swe brzemie i w ciężkich chwilach pamiętać, że twoje życie jest znacznie lżejsze niż los większości Indianek. Znam dobrze Węża i mogę powiedzieć, że jestem z nim w zażyłych stosunkach. Nigdy nie będzie on tyranem dla' kobiety, którą kocha, chociaż wymaga, aby odnosiła się do niego z szacunkiem należnym mohikańskiemu wodzowi. Sądzę, że w waszym wigwamie będą również pochmurne dni – to się zdarza zawsze i wszędzie. Jeśli jednak otworzycie okna waszych serc, zawita w nie słońce. Oboje pochodzicie ze znakomitych rodów. Na pewno nie zapomnicie o tym i nie zrobicie wstydu swym przodkom. Miłość wszakże jest rośliną bardzo delikatną, i wędnie, jeśli podlewać ją łzami. Niechaj tedy rosa tkliwych uczuć użyźnia ziemię waszego szczęścia małżeńskiego.

–Mój bladolicy brat jest bardzo mądry. Cyt zachowa w pamięci wszystko, co rozum mówi przez usta Pogromcy Zwierząt.

–Oto słowa rozsądnej kobiety, Cyt. W pilnym słuchaniu i wytrwałym przestrzeganiu dobrych rad kobieta znajdzie zawsze niezawodną obronę. A teraz poproś Węża na krótką rozmowę ze mną. Przyjmij ode mnie najserdeczniejsze życzenia szczęścia. Będę się modlił za ciebie. Cokolwiek ze mną się stanie, nie zapomnę o was obojgu. Jeszcze raz życzę wam szczęścia na ziemi i po śmierci – czy znajdziecie się na polach szczęśliwych łowów, czy W niebie chrześcijańskim.

Rozstając się z Pogromcą Cyt nie płakała. Podtrzymała ją na duchu stanowcza decyzja, jaką powzięła. Tylko w czarnych oczach Indianki płonął ogień uczucia, a jej piękna i zazwyczaj łagodna twarz jaśniała teraz blaskiem odwagi. W niespełna minutę potem Delawar lekkim i cichym krokiem podszedł do swego przyjaciela.

–Chodź tutaj, Wężu, ukryjmy się przed oczami kobiet – zaczął Pogromca. – Chcę ci coś powiedzieć w tajemnicy przed dziewczętami, tak żeby mnie nie słyszały ani niczego się nie domyśliły. Zbyt dobrze wiesz, co to jest urlop i jacy są Mingowie, abyś nie wiedział, co się ze mną stanie po powrocie do obozu. Dlatego nie będę się nad tym rozwodził Natomiast pragnę powiedzieć ci parę słów o Cyt i o tym, jak wy, czerwonoskórzy, obchodzicie się z żonami. Uważam za rzecz naturalną, że Indianki pracują, a wojownicy zajmują się polowaniem, we wszystkim jednak należy zachować umiar. Nie widzę powodu, abyś ograniczał się w polowaniu, ale Cyt zbyt dobrego jest pochodzenia, by miała harować jak pierwsza lepsza kobiecina. Jesteś człowiekiem zamożnym i nigdy nie braknie ci zboża, kartofli czy innych płodów ziemi. Mam przeto nadzieję, że nigdy nie wetkniesz motyki w ręce swej żony. Wiesz, że i ja nie należę do najbiedniejszych. Wszystko, co mam, amunicję, skóry, brońi bawełnę, oddaję Cyt –

jeśli do zimy nie wrócę do naszej wioski i nie upomnę się o te rzeczy. To wystarczy, aby na dłuższy czas zwolnić ją od pracy. Nie potrzebuję cię namawiać, żebyś ją kochał, wiem bowiem, że ją miłujesz, jeśli zaś mężczyzna kocha kobietę, to i okazuje jej serce. Trzeba jednak powiedzieć, iż miłe słowo nigdy nie zaboli, a gorzkich słów przykro słuchać. Wiem, Wężu, że jesteś mężczyzną, który woli mówić na radzie przy ognisku niż we własnym domu. Ale każdy z nas może się zapomnieć. Pamiętaj więc, że grzeczność w słowach i uczynkach jest świetnym sposobem utrzymania pokoju zarówno w domu, jak i na polowaniu z przyjacielem.

–Moje uszy są otwarte – z powagą odparł Delawar. – Słowa mego brata zapadły tak głęboko, że nigdy ich nie zgubię. Są jak łańcuch z pierścieni, który nie ma końca i nie może spaść z szyi. Niech mówi dalej. Śpiew mysikrólika i głos przyjaciela nigdy się nam nie znudzą.

–Będę mówił nieco dłużej. W imię naszej starej przyjaźni wybac mi, wodzu, jeśli będę teraz mówił o sobie. Gdyby sprawy przyjęły najgorszy ' obrót, pozostanie po mnie garstka popiołu, nie będę więc potrzebował grobu, który byłby tylko dowodem mojej próżności. Nie przy. wiążuję do tego wagi, choć może by nie zawadziło, gdyby ktoś spojrzął na zgliszcza stosu i jeśli znajdzie kości, zebrał je i zakopał jak należy, aby wilki nie ogryzały mych kości i nie wyły nad moimi szczątkami. Wszystko to w gruncie rzeczy nie ma większego znaczenia, ale – widzisz – biali lubią mieć groby po śmierci.

–Będzie tak, jak chce mój brat – z powagą odparł Indianin. – Jeśli on głowę ma pełną myśli, niech, sobie ulży i odda te myśli sercu przyjaciela.

–Dziękuję, Wężu. Spokojna jest moja głowa, tak, całkiem spokojna. To prawda, że nękają mnie niezwykle myśli. Z jednymi walczę, inne wypowiadam i tak pomału robię porządek w mej głowie. Jest jednak coś, co wydaje mi się sprzeczne z rozsądkiem i przeciw naturze, chociaż misjonarze mówią, że to prawda. Jako biały i chrześcijanin, muszę jednak im wierzyć. Otóż, mówią oni, że Indianie mogą zamęczyć człowieka, oskalpować, pokrajać, w pasy

i spalić, słowem, popełnić tysiąc wymyślnych okrucieństw, aż z ich ofiary zostanie garstka popiołu, którą posieje się na cztery wiatry – a jednak, gdy zabrzmią trąby anielskie, człowiek powstanie i będzie miał to samo ciało, a może i te same uczucia, co wtedy, gdy zginął w mękach.

–Misjonarze to dobrzy ludzie i czyste są ich zamiary – uprzejmie odparł Delawar. – Ale nie są wielkimi czarodziejami. Tak myślą, jak mówią, Pogromco Zwierząt, ale to jeszcze nie powód, by wojownicy i mówcy mieli od razu zamieniać się w słuch. Gdy Chingachgook ujrzy ojca Tamenunda umalowanego, z własnym skalpem i czubem wojennym na głowie – da wiarę opowieściom misjonarzy.

–Zobaczyć, znaczy uwierzyć, zapewne. Niektórzy z nas, niestety, zobaczą to wcześniej, niżby chcieli. Wiem, Wężu, dlaczego wspomniałeś o ojcu Tamenunda. Tamenund to starzec, ma dobrą osiemdziesiątkę – ani dnia mniej. Gdy nasz prorok był młody, wrogowie oskalpowali jego ojca, wzięli na męki i spalili. Kto więc zobaczy ojca Tamenunda w jego własnym ciele, musi dać wiarę misjonarzom. Ale ja już dziś nie jestem przeciwny ich naukom. Trzeba ci bowiem wiedzieć, Wężu, że pierwszą zasadą mojej religii Jest wierzyć nie widząc, a każdy powinien postępować zgodnie z zasadami swej religii, bez względu na to, co one głoszą.

–Dziwna zasada jak na mądrość białych – z naciskiem odparł Delawar. – Indianin stara się zawsze zobaczyć i zrozumieć.

–To jest słuszne i miłe ludzkiej pysze, ale nie tak głębokie, jakby się zdawało. Gdybyśmy, mój Wężu, mogli zrozumieć wszystko, co widzimy, musielibyśmy odrzucić to, czego nie rozumiemy. Ale jest przecież tyle rzeczy, o których nic nie wiemy. Widzisz, Delawarze, ja – kiedy szedłem tropem zwierzyny lub czekałem ukryty w zasadzce – myślałem nie tylko o polowaniu. Wiele godzin spędziłem, i to wcale miło, na tym, co biali nazywają kontemplacją. W takich chwilach głowa pracuje, chociaż ciało jest beczynne. Polana na zboczu góry, z której można zobaczyć rozległy widok nieba i ziemi, oto miejsce, gdzie człowiek może zrozumieć potęgę Manitou i własną nicość. Wówczas nie myślimy o drobnych wątpliwościach, bo przesłaniają je wielkie tajemnice świata – wówczas łatwo mi wierzyć w to, czego nie rozumiem. Jeśli Bóg stworzył człowieka z ziemi, jak mówią ci, którzy czytali Biblię, a po śmierci obraca go w proch, z łatwością może wskrzesić ciało ludzkie, choćby została po nim tylko garstka popiołu. Rozumem tego nie ogarniesz, ale są to sprawy bliskie naszemu sercu. Z wszystkich tych nauk najwięcej niepokoi mnie, Wężu, ta, która głosi, że blada twarz idzie do jednego nieba, a czerwonoskóry do drugiego; w ten sposób śmierć może rozłączyć tych, którzy żyli razem i bardzo się kochali.

–Czy tego uczą misjonarze bladych twarzy? – zapytał Indianin z wielką powagą. – Delawarzy wierzą, że dobrzy ludzie i dzielni wojownicy będą polowali w tych samych pięknych lasach, choćby za życia należeli do różnych szczepów. A źli ludzie i tchórze będą szukać pożywienia razem z psami i wilkami.

–Zaiste, jakże różne poglądy mają ludzie na szczęście i cierpienia po śmierci! – zawołał Pogromca, który tak się zapalił, że zapomniał o wszystkim innym. – Jedni wierzą, że będą się smażyli w ogniu piekielnym, inni uważają, że za karę będą jedli z wilkami i psami. Ci wyobrażają sobie, że w niebie zaspokoją wszystkie ziemskie pragnienia, tamci wierzą, że niebo to tylko mnóstwo złota i olśniewającego światła. Otóż, mam własny pogląd na tę sprawę. Posłuchaj, Wężu. Ilekroć postąpiłem źle, zawsze okazywało się, że winna była ślepotą mego rozumu, która nie pozwoliła mi ujrzeć tego, co słuszne. Gdy odzyskiwałem wzrok, ogarniał mnie wstyd i skrucha. Otóż, uważam, że po śmierci, gdy pozbędziemy się własnego ciała (a jeśli będziemy się nim posługiwać, to będzie ono wolne od pragnień ziemskich), duch nasz ujrzy

wszystko takim, jakim jest, i nigdy nie będzie ślepy na to, co prawdziwe i słuszne. Zobaczymy więc nasze postęпки za życia tak wyraźnie, jak widzimy słońce w południe, i będziemy się cieszyć z dobrych uczynków, a martwić złymi. Nie ma w tym nic sprzecznego z rozsądkiem i niezgodnego z naszym doświadczeniem.

–Zdaje mi się, że blade twarze wszystkich uważają za złych. Któż więc dostanie się do nieba białych?

–Mądrze mówisz, ale nie tak uczą misjonarze. Kiedyś na pewno przyjmiesz chrzest i wtedy wszystko zrozumiesz. Musisz wiedzieć, mój Wężu, że grzechy ludzkie zostały odkupione przez Boga, dzięki czemu ludzie mogą uzyskać przebaczenie swych niecnym postępków. Na tym polega istota religii białego człowieka. Ale nie mogę więcej powiedzieć ci na ten temat, bo Hetty czeka już na mnie w czólnie, a urlop mój dobiega końca. Mam jednak nadzieję, że sam kiedyś odczujesz te rzeczy, które łatwiej odczuć, niż zrozumieć. No dobrze, Delawarze. Oto moja ręka. Uściśnij rękę twego przyjaciela, która nie zrobiła ani połowy tego, co jej właściciel chciał zrobić dla ciebie.

Indianin przyjął wyciągniętą rękę Pogromcy i uściśnął ją serdecznie. Potem znów przybrał obojętną postawę indiańskiego wojownika, którą wielu niesłusznie uważa za zwykłą obojętność. Z niewzruszonym spokojem i wielką godnością Delawar czekał na odjazd przyjaciela. Pogromca Zwierząt zachował się bardziej naturalnie i byłby dał upust swym uczuciom, gdyby po ostatniej rozmowie z Judytą nie nabrał obawy, że dojdzie do sceny rozpacz. Był zbyt skromnym młodzieńcem, aby domyślić się miłości pięknej dziewczyny, ale był na tyle byстрыm obserwatorem, że musiał zauważyć, jak zmagala się z sobą i jak bliska była wyznania swych uczuć. Zdawał sobie sprawę, że Judyta ukrywa coś bardzo niezwykłego, ale przez delikatność, jaka przyniosłaby zaszczyt mężczyźnie na wysokim szczeblu kultury, starał się nie dopuścić do wyznania, którego sama potem pewnie by żałowała. Postanowił więc odjechać zaraz i uniknąć objawów czułości.

–Niechaj Bóg ci błogosławi, Wężu! – zawołał już z łódki, odepchnąwszy ją od pomostu. – Tylko twój Manitou i mój Bóg wiedzą, kiedy i gdzie znów się spotkamy. Będę uważał za szczególną łaskę nieba i hojną nagrodę za parę dobrych uczynków, jakich może dokonałem w mym życiu, jeśli będzie nam dane spotkać się i żyć razem na tamtym świecie, podobnie jak tyle lat żyliśmy w przyjaźni w tych oto pięknych lasach.

Chingachgook skinął mu ręką. Potem nakrył twarz wełnianą chustą (jak Rzymianin, który w chwili bólu ukrywał twarz w szatach) i wolnym krokiem poszedł na arkę, by w samotności pogrążyć się w bólu i rozmyślaniach. Przez pół drogi Pogromca nie powiedział ani słowa. Hetty pierwsza przerwała milczenie; na dźwięk miłego i melodyjnego głosu myśliwy przestał wiosłować.

–Czemu wracasz do Huronów, Pogromco Zwierząt? – zapytała. – Mówią, że mam słabą głowę, a takim osobom oni nigdy nie zrobią nic złego. Ale ty masz tyle rozumu, co Hurry Harry, a może i więcej. Tak uważa Judyta – ja tego nie widzę.

–Ach, Hetty, zanim wyjdziemy na brzeg, muszę z tobą pomówić, przede wszystkim o twoich własnych sprawach. Przestań wiosłować... albo nie, żeby Mingowie nie pomyśleli, że my tutaj coś knujemy, i nie potraktowali nas kulką, lekko zanurzaj wiosło i niech łódka płynie sobie pomalutku. O, dobrze, właśnie tak. Widzę, że dobrze umiesz udawać i że mogłabyś się przydać, gdyby trzeba było chwycić się podstępny i gdyby nam teraz wypadało tak postąpić. Wiosłuj dalej! Zdrada i kłamstwo to nic dobrego, a jedno i drugie nie przystoi białemu. Ale wielka to przyjemność przechytryć Indianina w czasie otwartej wojny. Moja ścieżka wojenna była krótka i chyba niezadługo się skończy. Widzę jednak, że wojownik nie zawsze musi przedzierać – się przez kolczaste krzaki i że nie tylko niewygody spotyka na ścieżce wojennej. Wojna ma też swoje jasne chwile, jak zresztą wszystko na tym świecie, trzeba tylko być mądrym, by je ujrzeć, i mieć szlachetne serce, aby z nich skorzystać.

–A czemu twoja, jak powiadasz, ścieżka wojenna zbliża się już ku końcowi?

–Po prostu, moja miła, urlop mi się kończy. W ten sposób widać już kres i mojej ścieżki wojennej, bo jeden koniec, uważasz, depta po piętach drugiemu.

–Nic z tego nie rozumiem, Pogromco Zwierząt – odparła Hetty ze zdziwioną miną. – Mama zawsze mówiła, że do mnie trzeba mówić jaśniej niż do innych, bo mam słabą główkę. Osoby słabe na umyśle nie są takie pojętne jak ludzie rozumni.

–No, tak, Hetty. Chodzi po prostu o to, że – jak wiesz – jestem w niewoli u Huronów, a jeńcy nie mogą robić, co zechcą...

–Jak możesz być jeńcem – niecierpliwie przerwała mu Hetty – skoro jesteś tu, na jeziorze, w czólnie tatusia, a Indianie są w lesie i w ogóle nie mają łódek? To coś nie tak Pogromco Zwierząt!

–Z całego serca bym chciał, żeby było, jak mówisz, Hetty, i żeby nie miał racji, ale niestety, jest inaczej. Zdaje ci się, że jestem wolny, a w istocie mam związane ręce i nogi.

–A to bieda z tym brakiem rozumu! Nie widzę, żebyś był jeńcem i do tego miał skrępowane ręce i nogi. Czym jesteś związany?

–Urlopem, moja droga. Oto rzemień, który mocniej wiąże, niż gdyby cię zakuto w dyby. Łańcuchy można zerwać – urlopu nie można. Postronki przetniesz nożem, od łańcuchów możesz się uwolnić zręcznym sposobem. Urlopu nie przetniesz, nie wyślizniesz się z niego i żadna sztuka nic ci tu nie pomoże.

–Cóż to znowu takiego ten urlop, silniejszy od konopi i żelaza? Nigdy nie widziałam czegoś podobnego.

–I nie ujrzysz, dziewczyno. Człowiek na urlopie jest związany moralnie. Odczuwa więzy, choć ich nie widzi. Czy wiesz, moja maleńka, co. znaczy przyrzeczenie?

–Pewnie. Przyrzekamy wtedy, gdy obiecujemy, że coś zrobimy. Wtedy musimy dotrzymać słowa. Mama zawsze dotrzymywała swych obietnic i mówiła, że byłoby grzechem, gdybym nie postępowała tak samo wobec niej. i innych.

–Twoja mama była dobrą kobietą, przynajmniej pod pewnymi względami. Urlop polega na przyrzeczeniu, którego należy dotrzymać. Wczoraj w nocy wpadłem w ręce Mingów. Potem uzyskałem od nich zezwolenie na wyjście z obozu, abym mógł odwiedzić przyjaciół i przekazać im propozycje Indian. Otrzymałem ten urlop pod warunkiem, że wrócę dziś w południe i poddam się mękom, jakie podsunie im nienawiść i żądza odwetu za życie wojownika, który zginął od mojej kuli, za życie dziewczyny zastrzelonej przez Hurry'ego i inne klęski, jakie Mingowie ponieśli w tych stronach. To, co twoja mama i ty nazywałyście obietnicą lub przyrzeczeniem, w osadach nazywają urlopem. Jest to przyrzeczenie dane na ścieżce wojennej przez jednego żołnierza drugiemu. Teraz już chyba wiesz, jak sprawy stoją?

Hetty przez chwilę milczała. Przestała wiosłować. Widocznie to, czego się dowiedziała, tak ją pochłonęło, że nie była już zdolna do żadnej innej czynności. Wreszcie przemówiła z wielką powagą i przejęciem.

–Czy myślisz, że Huroni postąpią tak okrutnie? Dla mnie byli bardzo dobrzy i nie zrobili mi nic złego.

–Dla ciebie mogli być dobrzy. Ale inaczej postąpią ze swym jawnym wrogiem, który ma wcale niezłą strzelbę. Nie twierdzę, że Indianie żywią do mnie nienawiść z powodu czynów, jakich dokonałem, bo byłyby to przechwałki niegodne człowieka stojącego nad grobem. Ale nie przesadzę, jeśli powiem, że jeden z ich najdzielniejszych i najbardziej przebiegłych wodzów padł z mej ręki, o czym Mingowie też dobrze wiedzą. Jeśli tak się stało, cały szczerp miałby do nich żal, gdyby nie wysłali ducha bladej twarzy, aby dotrzymał towarzystwa duchowi ich czerwonoskórego brata. Nie spodziewam się po nich litości. Najwięcej martwi mnie, że klęska ta spotka mnie na pierwszej ścieżce wojennej. Każdy bowiem żołnierz wie, że prędzej czy później musi zginąć.

–Huroni nie zrobią ci nic złego, Pogromco Zwierząt! – zawołała Hetty, bardzo wzburzona. – Byłby to postępek okrutny i grzeszny. Pokażę im Biblię i powiem, że nie wolno tak postępować. Czy sądzisz, że towarzyszę ci po to, żeby być świadkiem twych męczarni?

–Nie, dobra Hetty. Dlatego też, gdy nadejdzie chwila tortur, powinnaś wyjść z obozu i nie patrzeć na przykry widok, wobec którego będziesz bezradną. Ale przestaliśmy wiosłować nie po to, bym mówił o własnych kłopotach i zmartwieniach, lecz żeby z tobą, Hetty, szczerze porozmawiać o twoich sprawach.

–Cóż ty mi możesz powiedzieć? Po śmierci matki z nikim nie rozmawiałam o sobie.

–Tym gorzej, moje biedactwo. Osoba, która ma taką słabą główkę, powinna często radzić się innych, jak uniknąć sideł i podstępów podłego świata. Nie zapomniałaś jeszcze Hurry Harry'ego, co?

–Ja? Miałabym zapomnieć o Henryku Marchii?! – z oburzeniem zawołała Hetty. – Jakże mogłabym zapomnieć o naszym przyjacielu, z którym rozstaliśmy się wczoraj? Kiedy Hurry wsiadał do czółna, wielka, jasna gwiazda, którą mama tak lubiła, świeciła właśnie nad tamtą wysoką sosną na wzgórzu. Gdy wysadziłeś go na cyplu, niedaleko od zatoki wschodniej, gwiazda wzniosła się ponad sosnę na długość najpiękniejszej wstążki Judyty.

–Skąd wiesz, dokąd się udałem i gdzie wysadziłem Hurry'ego na brzeg? Przecież nie było cię z nami, kiedy w ciemną noc pojechaliśmy daleko.

–Och, już ja dobrze wiedziałam. Różne są sposoby liczenia czasu i mierzenia odległości. Myśl jest pewniejsza niż zegarek. Moje myśli są wątle, ale nie zawiodą mnie, jeśli idzie o Hurry Harry'ego. Judyta nigdy nie wyjdzie za niego, Pogromco Zwierząt.

–Otóż to, Hetty. Właśnie o tym chciałem, z tobą pomówić. Wiesz chyba, że młodzi ludzie doznają czasem serdecznych uczuć, zwłaszcza jeśli rzecz się ma między chłopcem a dziewczyną. Młoda zaś osoba w twoim wieku i do tego nietęgiej głowy, sierota bez ojca i matki, która mieszka na odludziu, gdzie czasem bywają myśliwi i traperzy, musi strzec się przed niebezpieczeństwami, o jakich nawet jej się nie śniło.

–Cóż złego w tym, że ktoś dobrze myśli o swym bliźnim? – zapytała Hetty z prostotą, a rumieniec zakradł się na jej policzki, choć była tak niewinna, że nie wiedziała, dlaczego się czerwieni. – Biblia powiada, że należy miłować nieprzyjaciół, czemu więc nie mielibyśmy kochać tych, którzy nie są naszymi wrogami?

–Ach, Hetty, mam na myśli miłość inną od tej, o ja kiej mówią misjonarze. Odpowiedz mi, córeczko, na jedno pytanie: czy sądzisz, że masz tyle rozumu, byś mogła zostać żoną i matką?

–Nie przystoi zadawać takich pytań panience, Pogromco Zwierząt, i dlatego nic ci nie odpowiem – odparła Hetty tonem wymówki, jakim matka strofuje niegrzeczne dziecko. – Jeśli chcesz coś powiedzieć o Hurry'm, chętnie posłucham, ale nie mów o nim źle. Nie ma go tutaj, a brzydko jest mówić źle o nieobecnym.

–Matka wychowała cię tak dobrze, że nie boję się już o ciebie, Hetty. Niemniej, sierota nie bardzo mądra i wcale niebrzydka w takich dzikich okolicach narażona jest na różne niebezpieczeństwa. Nie powiem nic złego o Hurry'm, który jak na trapera nie jest najgorszy, ale musisz zdać sobie sprawę z jednej rzeczy, choćby ci to było niemiłe. March jest na umór zakochany w twej siostrze.

–No i co z tego? Wszyscy uwielbiają Judytę, bo jest śliczna. Hurry mówił mi wiele razy, że gorąco pragnie ożenić się z Judytą. Ale nigdy do tego nie dojdzie, gdyż ona go nie chce. Kocha innego i mówi o nim przez sen. Nie pytaj się jednak, kto to jest, bo za całe złoto z korony króla Jerzego i za wszystkie skarby świata – nie powiem. Któż dochowa cudzej tajemnicy, gdyby siostra miała zdradzić siostrę?

–Naturalnie. Nie chcę znać waszych tajemnic, zresztą na nic nie zdałyby się człowiekowi, który stoi w obliczu śmierci. Poza tym ani głowa, ani serce nie odpowiadają za to, co mówi język, gdy śpi nasz rozum.

–A ja bym chciała wiedzieć, czemu Judyta tyle mówi przez sen o oficerach, kłamliwych językach i zacnych sercach. Pewnie nie chce mi powiedzieć, bo jestem niemądra. Czy to nie dziwne, Pogromco Zwierząt, że Judyta nie kocha Hurry'ego, który ze wszystkich młodzieńców, jacy tu byli, ma najbardziej męską postawę, a piękny jest jak sama Judyta? Ojciec mówił, że to będzie najładniejsza para w całym kraju, ale matce Hurry wcale się nie podobał. A w ogóle to nie należy nic mówić i niczego przesądzać, lecz poczekać, co powie przyszłość.

–Niestety, biedna Hetty, nie należy mówić do osób, które nas nie rozumieją. Ja też nic więcej nie powiem, choć pewna sprawa wciąż leży mi na sercu. Weź wiosło, Hetty, popłyniemy ku brzegowi. Słońce zbliża się do zenitu: już po moim urlopie.

Łódka pomknęła ku cyplowi, na którym Huroni czekali na jeńca. Pogromca nie był pewny, czy przybędzie na czas i ściśle dotrzyma słowa. Hetty zauważyła, że jej towarzysz niecierpliwi się i chociaż nie bardzo go rozumiała, zdwoiła wysiłki – po chwili nie było już wątpliwości, że się nie spóźnią. Teraz młody myśliwy zwolnił tempo. Hetty coś jeszcze mówiła, jak zwykle naiwnie i szczerze, ale nic takiego, co trzeba by tutaj powtórzyć.

ROZDZIAŁ 27

Sporo dziś miałaś pracy, o Śmierci, lecz dziełu

Do końca brak polowy! U piekielnych bram

Czekają duchy dwukroć dziesięciu tysięcy,

Gotowe zrzucić szalą ciepłych, zdrowych ciał

I zanim jeszcze słońce schowa się za górę,

Wkroczyć w świat utrapienia.

Southey

Ktoś dobrze obeznany z ruchami ciał niebieskich zauważyłby, że słońce za dwie lub trzy minuty znajdzie się u zenitu, kiedy Pogromca wysiadł na brzegu przylądka, na którym, niemal wprost naprzeciw zamku, znajdował się obóz Huronów. Miejsce to było podobne do opisanego przez nas poprzednio, z tą różnicą, że teren był tutaj równiejszy i mniej zalesiony, dzięki czemu przypominał łąkę porośniętą drzewami i doskonale nadawał się na obozowisko. Położenie tego miejsca i znajdujące się w pobliżu źródło sprawiały, że dzicy i myśliwi często tu obozowali. Tam gdzie palili ogniska, wyrosła potem bujna trawa. Powstały w ten sposób wysepki murawy, ozdoby rzadko spotykanej w dziewiczej puszczy. Brzeg przylądka tylko z rzadka porastały krzaki, gdy więc stanęło się na lądzie, można było jednym spojrzeniem ogarnąć cały przylądek.

Jeśli sprawą honoru indiańskiego wojownika było dotrzymanie słowa, gdy zobowiązał się wrócić do niewoli i ponieść śmierć, szczególna ambicja nakazywała mu powściągnąć niegodną mężczyzny niecierpliwość i zjawić się punktualnie o oznaczonej godzinie. Nie wypadało się spóźnić i w ten sposób nadużyć przywileju wspaniałomyślnie przyznanego przez wroga, ale też nie należało wrócić za wcześnie. Amerykańscy tubylcy lubią rytuał, a przy tym mają skłonność do efektów dramatycznych, które – jak i podobne zamiłowania ludów stojących na wyższym szczeblu cywilizacji – trzeba przypisać naturze człowieka. Wszyscy lubimy rzeczy niezwykle, gdy zaś towarzyszy im poświęcenie godne rycerza i surowe przestrzeganie zasad honoru, zachwyt nasz nie ma granic. Pogromca Zwierząt był dumny z tego, że jest białym, i często odstępował od indiańskich zwyczajów, ale też nierzadko im ulegał. Najczęściej bowiem, choć nie zdawał sobie z tego sprawy myślał i czuł jak Indianin, niewiele bowiem wiedział o innych poglądach i upodobaniach.

Dzisiaj pragnął uniknąć zbytniego pośpiechu i nie chciał wrócić za wcześnie, gdyż oznaczałoby to milczące przyznanie, że prosił o urlop dłuższy, niż było mu to

potrzebne Z drugiej jednak strony, gdyby o tym pomyślał, byłby się pośpieszył, aby uniknąć dramatycznej sceny powrotu w ostatniej chwili. Przypadek zrzucił, że jednak tak właśnie się stało. Kiedy Pogromca wyszedł z czołna i pewnym krokiem ruszył ku grupie starszyny, z wielką powagą siedzącej rzędem na pniu zwalonego drzewa, najstarszy z zebranych spojrział w górę przez lukę w gałęziach drzew i zwrócił uwagę wodzów na znamienne fakt: słońce znajdowało się u zenitu. Z ust Indian wyrwał się cichy okrzyk zdziwienia i zachwytu. Posępni wojownicy wymienili między sobą spojrzenia, które wyrażały bądź zawiść i rozczarowanie, bądź też zdumienie z powodu punktualnego powrotu ich ofiary, bądź wreszcie uczucia bardziej szlachetne i życzliwe dla jeńca. Amerykański Indianin zawsze najwyżej cenił zwycięstwo moralne i dlatego bardziej go cieszyły jęki i skargi dręczonej ofiary niż jej skalp, a to trofeum wojenne miało znów większą wartość niż sama śmierć wroga. Uważał, że zabić przeciwnika i nie zdobyć skkalpu jako dowodu zwycięstwa – to czyn, który nie przynosi wojownikowi zaszczytu. Dzicy i okrutni mieszkańcy puszczy (podobnie jak w krajach cywilizowanych dworzanie i rycerze) mieli swoje urojone, ale bezwzględnie obowiązujące zasady honoru, które zastępowały im zasady słusności i rozsądku.

Zdania Huronów co do powrotu jeńca były podzielone. Większość wojowników uważała za wykluczone, by blada twarz dobrowolnie wróciła i poddała się strasznym torturom. Paru starszych wojowników spodziewało się jednak, że myśliwy, który okazał już tyle zimnej krwi, męstwa i rzetelności, również i tym razem dobrze się spisze. Rada postanowiła w końcu udzielić Pogromcy urlopu nie tyle z przekonania, że dotrzyma słowa, ile w nadziei, że będzie można zarzucić Delawarom haniebne wiarołomstwo popełnione, przez wojownika, który wychował się w ich wioskach. Woleliby, oczywiście, aby ich jeńcem był Chingachgook i żeby złamał słowo, ale gdy nie udało im się dostać w ręce wodza Delawarów, hańba bladoliciego wychowanka znienawidzonego szczepu też stanowiła wcale niezłą gratkę. Gdyby myśliwy nie wrócił do godziny pierwszej, Huroni chcieli uczcić zwycięstwo w obecności wszystkich członków szczepu i w tym celu ściągnęli do obozu wysunięte oddziały i zwiadowców. Na przyłasku zebrali się więc wszyscy mężczyźni oraz kobiety i dzieci, aby cały obóz mógł ujrzeć hańbę Pogromcy Zwierząt. Zamek znajdował się niedaleko i za dnia łatwo go było obserwować. Huroni wiedzieli, że nie ma tam nikogo poza Hurry'm, Delawarem i dziewczętami. Nie było też najmniejszej obawy, by ktoś niepostrzeżenie wymknął się z zamku. Indianie zbudowali dużą tratwę zaopatrując ją na dziobie w osłonę z pni. Trzymali ją w pogotowiu na wypadek, gdyby – po przypiecętowaniu losu Pogromcy Zwierząt – trzeba było zaatakować arkę lub zamek. Przygotowań tych dokonano, gdy starszyna hurońska doszła do wniosku, że byłoby niebezpiecznie odwlekać powrót do Kanady i że najpóźniej dziś w nocy należy ruszyć w drogę. Słowem, Irokezi chcieli najpierw rozprawić się z Pogromcą i załogą zaniku, a potem rozpocząć odwrót ku dalekim wodom jeziora Ontario.

Pogromca ujrzał przed sobą wspaniały widok. Na pniu zwalonego drzewa siedzieli

wodzowie czekając na niego z poważnymi i dostojnymi minami. Po prawej stronie stała uzbrojona młodzież, po lewej kobiety i dzieci. Otaczali w podkowę dość dużą polanę, u góry nakrytą listowiem drzew, a na dole starannie oczyszczoną z krzaków i suchych gałęzi. Gęsta murawa świadczyła, że miejsce to nieraz już służyło za obozowisko Indianom i białym myśliwym. Sklepienie z gałęzi drzew, nawet w południe rzucało mroczny cień na polanę. Tu i ówdzie przez zieloną zasłonę przedzierały się promienie słoneczne, dzięki czemu na dole było dość jasno. Podobny widok podsunął zapewne człowiekowi myśl o grze światła i cieni w gotyckim kościele, pod tym bowiem względem świątynia zbudowana przez naturę przypomina znane nam kościoły wzniesione rękami człowieka.

Zgodnie ze zwyczajami szczepów i wędrownych grup tubylców, władzę nad tymi dziećmi puszczy sprawowali po społu, w sposób zresztą dość prymitywny, dwaj wodzowie. Wojowników, którzy mieli prawo do tytułu wodza, było sporo, ale tylko dwóch spośród nich zdobyło takie znaczenie, że gdy byli jednego zdania, nikt im się nie sprzeciwiał. Dopiero kiedy opinia ich była podzielona, reszta wojowników wahała się, jak to bywa z ludźmi, którzy stracili orientację. Zwyczaj wymagał (a my możemy dodać, że było to zgodne z naturalnym porządkiem rzeczy), aby jeden z wodzów zawdzięczał swe wpływy rozumowi, a drugi wyróżniał się zaletami natury fizycznej. Jeden z dwóch wodzów hurońskich był starcem znanym z wymowy, mądrości i rozwagi, czego dowody dawał w czasie narad. Drugim przywódcą i w pewnej mierze rywalem pierwszego był wojownik, który odznaczył się na wojnie i znany był z okrucieństwa, a chociaż umysłem nie dorównywał swemu towarzyszowi – celował w pomysły, podstępach, i sztuczkach na ścieżce wojennej. Pierwszy nazywał się Rozdarty' Dąb; mieliśmy już sposobność przedstawić go czytelnikowi. Drugiego Kanadyjczycy nazywali Panterą. Zgodnie ze zwyczajem Indian imię to oznaczało zalety walecznego wodza: był okrutny, podstępny i biegły w zdradzie. Nazwisko, nadane mu przez Francuzów, było wysoko cenione, czerwonoskórzy bowiem w tych sprawach liczą się bardzo ze zdaniem swych białych sprzymierzeńców. Jak dalece Pantera zasłużył sobie na ten przydomek – zobaczymy w dalszym ciągu naszego opowiadania.

Kiedy Pogromca Zwierząt stanął na brzegu, Rozdarty Dąb i Pantera siedzieli obok siebie i czekali na powrót jeńca. Żaden z nich nie poruszył się ani nic nie powiedział, póki młody myśliwy nie stanął na środku polany i nie obwieścił swego powrotu. Pogromca uczynił to w sposób męski i z właściwą sobie prostotą. – Oto jestem, Mingowie – powiedział w narzeczu Delawarów, znanym większości obecnych – spójrzcie na słońce, które jest równie posłuszne prawom natury, jak Pogromca Zwierząt dotrzymuje słowa. Jestem waszym jeńcem, możecie teraz zrobić ze mną, co chcecie. Pożegnałem się z ludźmi i z tym światem. Pozostało mi połączyć się z moim Bogiem, jak przystoi białemu człowiekowi.

Szmer uznania, nawet z ust zapalczywych kobiet, powitał krótką mowę Pogromcy. Niemal wszystkich ogarnęło pragnienie przyjęcia do szczepu nieustraszonego

białego wojownika. Były jednak osoby odmiennego zdania w tej sprawie. Należeli do nich przede wszystkim Pantera i jego siostra, Sumak, która swe imię zawdzięczała licznej gromadzie dzieci i była wdową po Rysiu, wojownikowi zabitym przez Pogromcę. Pantera kierował się wrodzonym okrucieństwem, Sumak pałała żądzą odwetu, tłumiącą głos uczuć bardziej szlachetnych. Inaczej Rozdarty Dąb. Sędziwy wódz powstał, wyciągnął rękę przed siebie na znak powitania jeńca i przemówił ze swobodą i godnością, jakiej mógłby mu pozazdrościć nawet książę udzielny. W całym szczepie nikt nie dorównywał Dębowi rozumem i wymową, wiedział – więc, że to właśnie jemu wypada odpowiedzieć na mowę białego.

–Blada twarz jest uczciwa – zaczął huroński mówca. – Mój szczep cieszy się ogromnie, że wziął do niewoli mężczyznę, a nie tchórzliwego lisa. Poznaliśmy cię i potraktujemy jak męznego wojownika. Zabiłeś Rysia i pomogłeś białym uśmiercić innych wojowników hurońskich, ale gotów jesteś za to zapłacić własnym życiem. Niektórzy moi młodzi wojownicy myśleli, że krew bladej twarzy jest zbyt cienka i że nie będzie chciała się toczyć pod nożem hurońskim. Pokażesz im, że jest inaczej, że masz krew równie krzepką jak ciało. Wielka to przyjemność wziąć do niewoli takiego jeńca. Jeśli moi wojownicy powiedzą, że nie wolno nam zapomnieć o śmierci Rysia, bo zmarły nie może wędrować sam do krainy duchów, i trzeba posłać za nim jego Wroga, by go dogonił – to jednak Indianie będą pamiętali, że Ryś padł z mężnej ręki, i poślą cię za nim z takimi znakami naszej przyjaźni, że jego duch nie będzie musiał wstydzić się twego towarzystwa. Skończyłem. Wiesz, co powiedziałem.

–Wszystko to prawda, Mingo, święta prawda – odparł myśliwy. – Skończyłeś i wiem, nie tylko coś powiedział, ale co miałeś namyśli, a to chyba ważniejsze. Śmiem twierdzić, że twój wojownik, Ryś, miał mężne serce i wart był twej przyjaźni i szacunku, ale uważam się za godnego jego towarzystwa bez specjalnego zaświadczenia z twych rąk. Niemniej, jestem gotów przyjąć wyrok, jaki wyda wasza rada, jeśli, oczywiście, decyzja nie zapadła już przed moim powrotem.

–Moi wodzowie nie mieli ochoty zasiąść na radzie w sprawie bladej twarzy, zanim nie ujrzeli jej tutaj – odparł Rozdarty Dąb patrząc wokół ze złośliwym uśmiechem. – Powiedzieli, że byłaby to narada nad sprawą wiatru w polu, który lata sobie, gdzie chce, i wraca, gdy mu się tak podoba, a poza tym gwizdże na wszystko. Był jeden głos za tobą, Pogromco Zwierząt, głos samotny jak mysikrólik, którego połowica zginęła w szponach jastrzębia.

–Dziękuję temu głosowi, mój Mingo, choć nie wiem, do kogo należał. Powiem, że był to głos prawdy, a inne były kłamliwe. Urlop wiąże bladą twarz, jeśli jest uczciwa, tak samo jak czerwonoskórego. Nawet gdyby było inaczej, nie ważyłbym się splamić imienia Delawarów, wśród których, że tak powiem, wychowałem się i wykształciłem. Nie ma zresztą o czym mówić, bo słowa prowadzą do przechwałek: Oto jestem, zrobicie ze mną, co wam się spodoba.

Rozdarty Dąb skinieniem głowy przytaknął myśliwemu, po czym wodzowie odbyli krótką, poufną naradę. Po jej zakończeniu trzech czy czterech młodych wojowników wystąpiło ze zbrojnych szeregów i zniknęło w lesie. Jeńca zawiadomiono, że może się swobodnie poruszać po przylądku, a tymczasem odbędzie się narada nad jego losem. Wolność Pogromcy była pozorna i nie świadczyła wcale o zaufaniu Huronów, gdyż kilku młodych wojowników (wspomnieliśmy już o tym) zaciągnęło wartę wzdłuż nasady przylądka, ucieczka zaś w innym kierunku nie była możliwa. Czółno Pogromcy umieszczono poza linią straży, w miejscu dosyć odległym i zabezpieczonym przed nagłym wypadem jeńca. Te środki ostrożności nie wypływały z braku zaufania do myśliwego. Przesądził o nich fakt, że teraz, kiedy jeńiec dotrzymał słowa, ucieczka z niewoli byłaby czynem męskim i godnym uznania. Poglądy dzikich na te sprawy są bardzo subtelne – często dają oni swym ofiarom możliwość ucieczki przed torturami. Uważają bowiem, że zaszczyt przynosi zwycięzcy, jeśli złapie zbiega i okaże się bardziej przebiegły od tego, którego niebezpieczeństwo grożące jego życiu zmusza do niezwykłych czynów. Ale równocześnie chlubę w ich oczach przynosi, jeśli zmyli czujność gęsto rozstawionych straży.

Pogromca Zwierząt znał swoje prawa i pamiętał o nich, a jednocześnie zdawał sobie sprawę z niewielkich możliwości ucieczki. Gdyby była bodaj jedna możliwość, rokująca widoki powodzenia, natychmiast by z niej skorzystał. Wszystko jednak wskazywało, że jego położenie jest beznadziejne. Wiedział o linii posterunków i zdawał sobie sprawę, jak trudno byłoby przerwać się przez nią bez szwanku. Mógł dopaść jeziora i bez trudu dopłynąć do zamku, ale plan ten nie rokował powodzenia, skoro Huroni z największą łatwością dogoniliby go czółnem. W czasie przechadzki rozglądał się za miejscem, w którym mógłby się ukryć, ale i ten sposób odpadł, przylądek bowiem był niewielki, słabo zarośnięty, a poza tym sto par czujnych oczu udając, że go nie widzą, śledziło każdy ruch jeńca. Nie doznawał uczucia strachu ani nie krępował go wstyd, na jaki by się naraził w razie nieudanej ucieczki. Myślał o tym jak biały, a nie jak Indianin. Uważał, że honor białego człowieka wymaga, aby uczynił wszystko (wyjawszy odstępstwa od zasad moralnych) w obronie swego życia. Do tej chwili nie podjął próby ucieczki i wahał się tylko dlatego, że chciał mieć, bodaj słabe, widoki powodzenia.

Tymczasem w obozie wszystko szło normalnym trybem. Wodzowie naradzali się na boku. Do narady dopuszczono tylko Sumak, gdyż w podobnych przypadkach wdowie po zabitym wojowniku przysługiwało prawo wypowiedzenia się wobec wodzów. Młodzi wojownicy wałęsali się gnuśni i obojętni, z indiańską cierpliwością czekając na wynik narady, a kobiety przygotowywały ucztę, która miała uświetnić zakończenie sprawy Pogromcy, bez względu na to, czy będzie pomyślne, czy zgubne dla bohatera naszej powieści. Nikt nie okazywał podniecenia. Ktokolwiek by z boku obserwował obóz, nie zauważyłby – poza szczególną czujnością posterunków – śladu ożywienia, świadczącego o tym, co się tu święci. Parę starych kobiet pochyliło do siebie głowy

w poufnej rozmowie, a ich spojrzenia pełne pogardy rzucane Pogromcy i gniewne gesty nie wróżyły nic dobrego. Grupa dziewcząt żywiła inne uczucia, o czym świadczyły ich ukradkowe spojrzenia w jego kierunku, wyrażające żal i współczucie. W takim nastroju minęła godzina.

Niepewność jest chyba uczuciem najbardziej trudnym do zniesienia. Pogromca Zwierząt, kiedy wyszedł na brzeg, był gotów zaraz poddać się torturom i mężnie znieść swój los. Oczekiwanie okazało się próbą cięższą niż bliska groza tortur. Przyszła ofiara zaczęła więc poważnie myśleć o rozpaczliwej ucieczce, aby po prostu skończyć z męką oczekiwania na swój smutny koniec. Nagle po raz drugi wezwano Pogromcę przed oblicze sędziów, którzy znów usiedli na pniu drzewa, zebrali i ustawili cały obóz jak przedtem czekali, gotowi na przyjęcie białego.

–Wielki Myśliwy! – zaczął Rozdarty Dąb, gdy Pogromca stanął przed nim – moi starsi wojownicy wysłuchali mądrych słów i mogą już mówić. Jesteś jednym z tych, których ojcowie przybyli z kraju leżącego za miejscem, gdzie wschodzi słońce. My jesteśmy dziećmi zachodzącego słońca. Kiedy chcemy spojrzeć w stronę naszych wiosek, odwracamy twarze ku wielkim jeziorom słodkich wód. Kraj w okolicy poranka jest może mądry i bogaty, ale kraj wieczornych okolic jest miły naszym sercom. Ku niemu najchętniej zwracamy nasze oczy. Kiedy zaś patrzymy na wschód, ogarnia nas lęk, albowiem jedno za drugim wielkie czółna przybywają ze stron, z których przychodzi słońce, i przywożą coraz to więcej i więcej ludzi, jakby ich kraj był pełny po brzegi i przelewał się ludźmi jak garnek. Mało już jest czerwonoskórych. Potrzebują ludzi. W jednym z naszych najlepszych wigwamów opustoszało miejsce po zmarłym panu domu. Dużo czasu upłynie, nim syn zmarłego wyrośnie i będzie mógł zająć miejsce po ojcu. Oto wdowa. Zbraknie tej kobiecie dziczyzny dla siebie i dzieci, gdyż jej synowie są jeszcze jak małe ptaszki, rudziki, zanim opuszczą gniazdo. Z twojej ręki spotkało ją wielkie nieszczęście. Sumak ma teraz dwa obowiązki – pomścić śmierć Rysia i wyżywić swe dzieci. Skalp za skalp, śmierć za śmierć, krew za krew – oto nasze prawo; a drugie nasze prawo nakazuje żywić dzieci. Znamy cię, Wielki Myśliwy. Jesteś uczciwy, mówisz prawdę. Masz jeden język, nie rozwidlony na końcu jak żądło żmii. Nigdy nie chowasz głowy w trawie, każdy może ją zobaczyć. Jak powiesz, tak i zrobisz. Jesteś sprawiedliwy. Jeśli wyrządzisz komuś krzywdę, pragniesz jak najrychlej ją naprawić. Oto Sumak. Sama jest w swoim wigwamie. Ale wdowę otaczają dzieci, które wołają, żeby dała im jeść. Oto strzelba. Nabita i gotowa do strzału. Weź strzelbę, idź i zabij jelenia. Przynieś go i połóż u stóp wdowy. Będziesz żywił dzieci wdowy i nazywał ją żoną. Serce twe przestanie być delawarskie i będzie irokezkie. Uszy Sumak nie usłyszą płaczu głodnej dziatwy. Mojemu szczepowi przybędzie nowy wojownik na miejsce zmarłego.

–Tego właśnie się obawiałem, Rozdarty Dębie – odparł Pogromca Zwierząt, gdy wódz skończył.– Tak, bałem się, że dojdzie do tego. Ale zaraz usłyszysz prawdę, która położy kres twym nadziejom. Mingo, jestem biały i urodziłem się chrześcijaninem. Nie przystoi mi brać za żonę czerwonoskórej poganki. Czego bym

nie uczynił w czasie pokoju i kiedy świeci słońce, tym bardziej nie zrobię w dzień pochmurny – po to tylko, aby ujść z życiem. Może nigdy się nie ożenię. Najwidoczniej Opatrzność, kiedy kazała mi żyć w puszczy,, chciała, abym był samotny i nie miał domu. Gdyby to miało się zmienić, tylko biała kobieta mogłaby stanąć w drzwiach mego wigwamu. Sieroty po zmarłym wojowniku żywiłbym chętnie, gdybym mógł to uczynić bez ujmy dla siebie. Niestety, nie mogę zamieszkać w hurońskiej wiosce. Twoi młodzi wojownicy muszą zaopatrzyć Sumak w dziczyznę, Kiedy zaś wdowa będzie po raz wtóry wychodziła za mąż niechże weźmie wojownika, który nie ma za długich nóg i nie zapędza się na nich do cudzego kraju. Nasza walka była uczciwa. Ryś padł. Stało się to, na co musi być przygotowany każdy wojownik. Jeśli zaś chcesz poznać moje serce – prędzej chłopiec osiwieje, a jeżyny pojawią się na sośnie, niż moje serce stanie się hurońskie. Nie i nie, wodzu huroński. Jestem biały, gdy idzie o kobiety, a co się tyczy Indian – jestem Delawarem.

Ledwie to powiedział, dał się słyszeć ogólny szmer niezadowolenia. Starsze kobiety głośno wyrażały swe oburzenie, a leciwa Sumak, która mogła być matką naszego bohatera, nie żałowała mu wyzwisk. Ale wszystkie objawy niechęci i niezadowolenia zbladły wobec wybuchu dzikiej nienawiści Pantery. Okrutny wódz uważał małżeństwo siostry z bladolicym Jankesem za coś bardzo poniżającego. Na sposób załatwienia sprawy, zresztą dość często praktykowany przez Indian, zgodził się ulegając natarczywym naleganiom wdowy. Teraz do żywego zabolalo Panterę, że Pogromca zlekceważył jego łaskawą zgodę i wzgardził zaszczytem, z bólem serca przyznanym mu przez hurońskiego wodza. Pantera, zwierzę, od którego przybrał swe imię, nie wpatruje się w swą ofiarę ślepiami straszniejszymi i bardziej okrutnymi niż wzrok, jakim patrzył na jeńca. Ramię wodza poszło za głosem ślepej nienawiści, palącej mu serce.

–Ty psie bladych twarzy! – krzyknął po irokezku. – Idźże wyć z białymi psami w lasach, w których nie ma zwierzyny.

Wódz czynem poparł obelgę. Nim skończył, podniósł ramię i rzucił tomahawk. Na szczęście, słysząc podniesiony głos, Pogromca spojrział na Panterę – inaczej byłaby to ostatnia chwila w jego życiu. Niebezpieczna broń została rzucona tak zręcznie i z tak morderczym zamiarem, że rozplatałaby czaszkę jeńca, gdyby nie wyciągnął przed siebie ręki i nie chwycił za rękojeść młynkującego w powietrzu tomahawka, dając w ten sposób dowód przytomności umysłu, która dorównywała zadziwiającej celności, z jaką cios został wymierzony. Siła uderzenia była tak wielka, że ramię Pogromcy zatoczyło łuk nad głową, odchyliło się w tył i zatrzymało w pozycji dogodnej dla odplacenia wrogowi pięknym za nadobne. Trudno powiedzieć, czy do odwetu zachęcił młodzieńca fakt, że niespodziewanie znalazł się z bronią w ręku i w pozycji groźnej dla nieprzyjaciela, czy też nagle ogarnęło go uczucie nienawiści, które wzięło górę nad zimną krwią i rozsądkiem. W każdym razie Pogromca błysnął oczyma, czerwone plamy wystąpiły mu na policzkach, całą swą siłę skupił w podniesionym ramieniu i – cisnął tomahawkiem w napastnika. Cios był niespodziewany i dzięki temu

skuteczny – Pantera nie zdążył podnieść ręki ani pochylić głowy, aby uniknąć uderzenia. Ostra siekierka trafiła nieszczęśnika między oczy, równolegle do linii nosa, i dosłownie rozłupała mu czaszkę na dwie części. Jak wąż, śmiertelnie ranny rzuca się na swego wroga, tak skoczył olbrzym huroński – i padł na środku polany w przedśmiertnych drgawkach. Wszyscy rzucili się na ratunek. Pogromca na krótką chwilę znalazł się sam. Nadeszła pora rozpaczliwej próby ocalenia życia – myśliwy rzucił się do ucieczki i pognął przed siebie z szybkością jelenia. Huronom aż dech zaparło w piersiach, po czym wszyscy, starzy i młodzi, kobiety i dzieci, zostawili martwego Panterę, rozciągniętego na ziemi, i ze strasznym wrzaskiem puścili się w pościg za zbiegiem.

Chociaż wypadek, który skłonił Pogromcę do rozpaczliwego wyścigu na śmierć i życie, nastąpił tak nagle, jeniec był na to przygotowany. W ciągu ostatniej godziny rozważył widoki powodzenia tego kroku i dokładnie przemyślał wszystkie szczegóły ucieczki. Od pierwszego skoku nie zrobił jednego niepotrzebnego ruchu i ani na sekundę się nie zawahał. Dobremu startowi zawdzięczał pierwszy wielki sukces: nie tknięty minął linie straży. Zrobił to całkiem po prostu, ale w sposób, który warto opisać.

W miejscu tym często zatrzymywali się myśliwi i rybacy. Dlatego brzegi przylądka były ogołoczone z krzaków. Gęste zarośla zaczynały się od nasady przylądka i biegły daleko na północ i południe. Ku nim skierował swe kroki Pogromca. Posterunki stały przed skrajem zarośli. Zanim zostały zaalarmowane, zbieg dopadł osłony. Nie mógł jednak biec wśród zarośli, wszedł więc do wody i brnąc po kolana, przebył w ten sposób około pięćdziesięciu jardów. Posuwał się wolno, ale i pościg musiał pokonać tę samą przeszkodę. Gdy trafił na dogodne miejsce, przedarł się przez krzaki i wszedł w las.

Kiedy brodził wodą, padło kilka strzałów, gdy zaś znalazł się w odsłoniętym lesie, posypało się ich więcej. Uciekał jednak w kierunku, w którym trudno było strzelać, Huroni celowali gorączkowo i w wielkim zamieszaniu, jakie ogarnęło obóz – dość na tym, że nic mu się nie stało. Kule gwizdały za nim, ścinały gałązki z prawej i lewej strony, ale nie tknęły nawet jego ubrania. Zwłoka wywołana tą strzelaniną wielce pomogła zbiegowi, który wyprzedził czoło pościgu o dobre sto jardów, zanim Huroni zdążyli wprowadzić porządek do bezładnej gonitwy. Nie mogli ścigać zbiega z bronią w ręku, gdy więc wystrzelali amunicję i nie udało im się zranić Pogromcy, najlepsi biegacze rzucili strzelby i krzyknęli na kobiety i dzieci, żeby je podniosły i natychmiast nabiły.

Pogromca Zwierząt doskonale wiedział, jak rozpaczliwą podjął walkę, i nie tracił ani sekundy drogiego czasu. Zdawał też sobie sprawę, że cała jego nadzieja była w biegu na przelaj, gdyby bowiem zaczął kluczyć, Indianie, którzy mieli ogromną przewagę liczebną, musieliby go złapać. Zmierzał więc prosto przed siebie, ukosem wspinając się na zbocze góry, niezbyt wysokie ani strome, ale dostatecznie trudne, aby.

wyczerpać siły zbiega, uciekającego przed śmiercią. Pogromca zwolnił nieco, aby złapać oddech. W miejscach bardziej uciążliwych szedł dużymi krokami, potem znów biegł wolnym kłusem. Huroni, krzycząc przeraźliwie, podążali za nim, skacząc wielkimi susami. Nic sobie z tego nie robił, wiedział bowiem, że zanim znajdą się tutaj, muszą pokonać przeszkody, które miał już za sobą. Gdy podszedł do szczytu wzniesienia, zorientował się w ukształtowaniu terenu: wzgórze to od następnego wzniesienia dzielił głęboki wąwóz. Pogromca rozglądał się pilnie na wszystkie strony szukając kryjówek. Sam teren nie dawał żadnych możliwości, ale wzrok zbiega padł na leżące drzewo. W sytuacji bez wyjścia trzeba było chwycić się rozpaczliwego sposobu. Drzewo leżało na szczycie, wzgórza, równoległe do wąwozu. W okamgnieniu myśliwy wskoczył na pień i schował się za nim w ten sposób, że legł na ziemi i wśliznął się w zagłębienie pod drzewem. Zanim zniknął z oczu swym prześladowcom, stanął na szczycie wzgórza i wydał okrzyk triumfu, niby z radości na widok stoku, którym z łatwością mógł zbiec do wąwozu – po czym znów ukrył się pod drzewem.

Dopiero teraz zawrotny puls uprzytomnił mu, jak wielkiego dokonał wysiłku. Serce waliło mu jak młot i zdawało się, że rozbija klatkę piersiową, a oddech przypominał gwałtowne sapanie miechów kowalskich. Po chwili jednak oddychał już spokojniej. Słyszał, jak Huroni wspinają się na wzgórze, aż bliskie głosy i tupot nóg powiedziały mu, że pogoń osiągnęła już szczyt wzniesienia. Ci, którzy pierwsi dopadli szczytu, wzniesli okrzyki radości, po czym – w obawie, że ścigany może szybko zbiec w wąwóz i że dzięki temu ujdzie pogoni, jeden za drugim wskakiwali na drzewo i rzucali się w dół, licząc na to, że ujrzą zbiega, zanim dotrze do dna wąwozu. Natty'emu zdawało się, że pościg już przeszedł, ale wciąż nadbiegali nowi wojownicy, aż wreszcie czterdziestu przeskoczyło przez drzewo. Pogromca liczył ich i dzięki temu orientował się, gdy go mijali, ilu jeszcze mogło zostać w tyle. Huroni szybko znaleźli się na dnie wąwozu, w odległości stu stóp od Pogromcy. Część wspinała się już na drugie wzgórze. Myśliwy zauważył, że Huroni zatrzymali się i szukają jego śladów. Nastąpiła krytyczna chwila. Ktoś o słabszych nerwach i niedostatecznie wyszkolony zerwałby się teraz do ucieczki. Pogromca Zwierząt tego nie zrobił. Leżał cichutko, bacznie śledził każdy ruch na dole i szybko odzyskiwał regularny oddech.

Huroni przypominali teraz zbitą z tropu sforę ogarów. Prawie nic nie mówili, lecz biegali wkoło, oglądali liście leżące na ziemi i jak psy węszyli za zgubionym śladem. Wielka ilość mokasynów, które tędy przeszły, utrudniała im zadanie, chociaż odcisk stopy indiańskiej z wielkim palcem zwróconym do środka, łatwo było odróżnić od śladu białego, który stąpa swobodniej i szerszym krokiem. Wiedząc, że wszyscy Huroni już go minęli i że teraz uda mu się umknąć niepostrzeżenie, Pogromca szybko przeskoczył przez pień i schował się za nim. Nikt nie zauważył jego manewru; otucha wstąpiła w serce zbiega. Przez chwilę nasłuchiwał odgłosów z wąwozu, chcąc sprawdzić, czy ktoś przypadkiem go nie ujrzał, po czym podpełznął do szczytu wzniesienia – to znaczy około dziesięciu jardów. Wiedział, że jeśli schowa się za

szczytem wzgórza, Huroni nie będą mogli go ujrzyć. Po drugiej stronie pagórka podniósł się i dużymi krokami zaczął schodzić na dół, wracając drogą swej ucieczki. Wtem Huroni w wąwozie podnieśli wrzawę. Zbieg poczuł się niepewnie, podbiegł więc szybko na szczyt pagórka, aby zobaczyć, co się stało. Ledwie się pokazał, Huroni go zauważyli i pościg zaczął się na nowo. Pogromcą zmienił teraz kierunek, nie schodził już na dół, lecz biegł szczytem, gdzie droga była łatwiejsza. Huroni, orientując się w terenie, wiedzieli, że nieco dalej wzgórze opada w dolinę, tam się więc skierowali, aby wyprzedzić zbiega. Poza tym kilku z nich pobiegło na południe, a kilku podążyło jego śladem w stronę jeziora – w ten sposób zmierzali do odcięcia mu odwrotu we wszystkich kierunkach.

Położenie Pogromcy stało się nad wyraz trudne. Był właściwie okrążony z trzech stron – przed sobą miał jezioro. Biegąc co sił, zachował zimną krew i spokojnie rozważył wszystkie możliwości. Jak każdy mieszkaniec pogranicza, miał w sobie tyle sił, że nie dogoniłby go żaden z biegnących jego śladem Indian. Pościg groził mu jednak wielkim niebezpieczeństwem ze względu na ogromną przewagę liczebną Huronów i możliwość okrążenia. W linii prostej umknąłby im bez trudu. Gdy więc spostrzegł, że wzgórze opada ku wąwózowi, skręcił pod kątem prostym i z szaloną szybkością puścił się ku brzegowi jeziora. Część jego prześladowców ciężko dysząc, wybiegła za nim na wzgórze, większość jednak pozostała w wąwozie, aby go złapać, gdy zbiegnie na dół. Pogromca powziął teraz nowy plan, równie zresztą szalony jak pierwszy. Porzucił myśl ucieczki lasem i biegł co sił ku łódce. Gdzie znajduje się czółno, dobrze wiedział – jeśli go dopadnie, wystarczy, że ujdzie cało spod ostrzału kilku strzelb i będzie ocalony. Żaden z wojowników nie zatrzymał w rękach broni palnej, gdyż przeszkadzałyby mu w biegu. Niebezpieczeństwo groziło z niepewnych rąk kobiet i wyrostków. Większość chłopców jednak brała już udział w gonitwie śladem zbiega. Wszystko tedy zdawało się sprzyjać jego zamiarom. Młody myśliwy biegł w dół z szybkością rokującą rychły koniec jego niewoli.

Znalazłszy się znów na przylądku, Pogromca minął grupę niewiast i dzieci. Kobiety rzuciły mu pod nogi gałęzie, ale nie ośmieliły się zaatakować go z bliska, zgroza bowiem ogarniała je na wspomnienie śmiałej odprawy, jaką dał krwawemu wodzowi, Panterze. Nasz bohater przedelfilował przed kobietami i dotarł do zarośli. Przedarł się na brzeg i znów skoczył do wody, o pięćdziesiąt stóp od czółna. Przystanął wiedząc, jak wielkie znaczenie w podobnych sytuacjach ma oddech. Zrobił parę kroków, zaczerpnął ręką wody, zwilżył spieczone wargi i trochę wypił. Czas jednak naglił – w chwilę potem stał już przy czółnie. Jedno spojrzenie i zrozumiał wszystko: Huroni zabrali wiosła! Był to bolesny zawód po tylu wysiłkach. Już chciał zawrócić, wyjść na spotkanie wrogom i z podniesioną głową wkroczyć do środka obozu. Ale w tej chwili usłyszał piekielny wrzask, jaki mogą podnieść tylko amerykańscy tubylcy. Najwidoczniej czoło pościgu było już niedaleko. Instynkt samozachowawczy zwyciężył. Pogromca skierował dziób czółna na środek jeziora, zebrał wszystkie siły i zaczął biec, pchając czółno przed sobą, a gdy nabrało rozpędu, wskoczył i położył

się na dnie tak zręcznie, że nie zahamował jego biegu. Leżał na plecach, co pozwalało mu nabrać tchu, a równocześnie zapewniało osłonę przed strzałami Huronów. Lekkość czółna, która kiedy indziej ułatwiała wiosłowanie, teraz działała niepomyślnie. Lekka jak piórko łódka nie mogła nabrać większego rozpędu. Gdyby zaś, sunąc po gładkiej tafli jeziora, sama dostatecznie oddaliła się od brzegu, Pogromca mógłby bezpiecznie wiosłować rękami. Jeśli to się uda – myślał – wypłynie tak daleko, że Chingachgook i Judyta muszą go zauważyć i czólnami pośpieszą na pomoc – będzie ocalony. Leżąc na dnie, Pogromca obserwował wierzchołki drzew na zboczu góry i wedle ich pozycji oraz upływu czasu wnioskował o ruchach czółna i odległości od brzegu. Z łądu dobiegały teraz liczne głosy Huronów. Pogromca usłyszał, że mówią coś o tratwie. Na szczęście, tratwa znajdowała się dość daleko, po drugiej stronie przylądka.

Sytuacja zbiega stała się bardziej niepomyślna niż przedtem, a w każdym razie jego nerwy wystawione były na ciężką próbę. Przez kilka minut leżał bez ruchu, zamieniony w słuch – musiałby usłyszeć szmer wody, gdyby ktoś płynął wplaw. Raz czy dwa zdawało mu się, że woda drgnęła, jakby poruszona ramionami ostrożnego pływaka, ale wnet zrozumiał, że jest to szmer wody obmywającej piaszczysty brzeg (trochę naśladując ocean, owe małe jeziora rzadko bywają tak spokojne, aby ich fale nie wznosiły się lekko i nie opadały na brzegu). Nagle głosy Huronów zamilkły i nad jeziorem zapanowała grobowa cisza, jakby nie było tu żywej duszy, a przyroda pogrążyła się w głębokim śnie. Tymczasem czółno zawędrowało daleko od brzegu. Pogromca nic nie widział poza błękitem nieba i jasnym blaskiem, świadczącym, że słońce wznosi się niemal nad jego głową. Nie mógł już dłużej znieść niepewności. Dobrze wiedział, że ta głęboka cisza nie wróży nic dobrego i że dzicy zawsze przed zadaniem wrogowi ciosu milczą jak zakłęci, i że w takich chwilach przypominają panterę, która skrada się jak cień, zanim skoczy na swą ofiarę. Wyjął nóż i już chciał wyciąć otwór w korze i zobaczyć, co się dzieje na brzegu, ale wstrzymał się z obawy, aby Huroni nie spostrzegli, co robi, i nie wzięli na cel otworu w burcie. Wtem huknął strzał. Kula przeszła na wylot obydwie boki łodzi i przeleciała tuż nad głową myśliwego. Strzał padł z bliska, lecz nasz bohater nic sobie z tego nie robił – przed chwilą uciekał pod znacznie bliższym ostrzałem. Leżał bez ruchu jeszcze chwilę, aż nagle w jego wąskim polu widzenia ukazał się wierzchołek dębu.

Pogromca nie rozumiał tej zmiany swego położenia i nie mógł już dłużej powstrzymać zaniepokojenia. Z największą ostrożnością przesunął się i przystawił oko do otworu po kuli. Udało mu się zobaczyć spory kawałek przylądka. Czółno, pod wpływem niedostrzegalnego wiatru czy też prądu (takie drobnostki – obok zwykłego biegu spraw – często decydują o losach ludzkich), wolno spływało na południe. Na szczęście, Pogromca, ruszając w drogę, pchnął je tak silnie, że minęło koniec przylądka, zanim skręciło na południe, inaczej bowiem wróciłoby teraz do brzegu. Przeszło jednak tak blisko łądu, że myśliwy ujrzał wierzchołki paru drzew rosnących na cyplu przylądka. Znów tedy znalazł się w dość niebezpiecznym położeniu, niewiele

dalej jak sto stóp od brzegu. Jednakże, na całe szczęście, lekkie podmuchy południowo-zachodniego wiatru znów zaczęły spychać czołno, ku środkowi jeziora.

Pogromca pomyślał, że trzeba by teraz zrobić coś takiego, co by go oddaliło od Huronów, a równocześnie dało znać przyjacielom o jego położeniu. Pierwszy jego zamiar podyktowany był palącą koniecznością. Drugi trudno było wykonać ze względu na odległość, jaka dzieliła zbiega od zamku. Jak zwykle w podobnych czołnach, na jednym i na drugim końcu łódki leżał duży, okrągły i gładki kamień. Służyły one jako balast i zarazem siedzenie. Pogromca mógł dotknąć stopami kamienia leżącego w tyle czołna. Zręcznie manewrując nogami przyciągał go do rąk, a potem przetoczył do drugiego kamienia, co zrównoważyło łódkę, gdy sam, ile tylko się dało, przesunął się ku jej tyłowi. Zanim opuścił brzeg – gdy tylko zorientował się, że Huroni zabrali wiosła – wrzucił do czołna suchą gałąź. Miał ją teraz pod ręką. Zdjął z głowy czapkę i zatknął ją na gałąź, którą podniósł nad burtę, jak mógł najwyżej i najdalej od siebie. Ledwie dokonał tego fortelu, przekonał się, że nie doceniał sprytu swych wrogów. Padł strzał, lecz Indianie widocznie drwili sobie z prostego i oklepanego podstępu myśliwego, gdyż kula przebiła burtę czołna z drugiej strony i zadrasnęła go w rękę. Natychmiast opuścił czapkę i jako osłonę trzymał ją nad głową. Huroni jednak albo tego nie zauważyli, albo – co prawdopodobniejsze – byli pewni, że wezmą go żywcem.

Pogromca leżał bez ruchu, z okiem przy otworze po kuli. Ucieszył się ogromnie, gdy zobaczył, że łódź, dryfując, coraz bardziej oddala się od brzegu. Spojrzał w górę – wierzchołki drzew zniknęły. Potem zauważył, że czołno pomału skręca, i po chwili przez otwory obserwacyjne po obu stronach widział już tylko obydwa krańce jeziora. Pomyślał więc o swej zakrzywionej gałęzi, którą mógł, leżąc na dnie, poruszać niby wiosłem. Eksperyment udał się lepiej, niż przypuszczał, nie łatwo jednak było utrzymać kierunek łódki. Okazało się, że Huroni zauważyli manewr Pogromcy. Świadczyła o tym wrzawa, jaka podniosła się na brzegu. Dalszym dowodem zaniepokojenia Huronów była kula, która przebiła rufę, gwizdnęła między ramionami naszego bohatera, poszła wzdłuż czołna i wyszła przodem łodzi. Zbieg domyślił się, że łódź nabiera szybkości i znów oddala się od brzegu, zdwoił więc swe wysiłki. Obracał gałęzią, jak mógł najlepiej, gdy padł jeszcze jeden strzał. Kula wytrąciła mu z ręki gałąź i pozbawiła go wiosła. Głosy na wybrzeżu jakby, się oddalały, Pogromca postanowił tedy zdać się na los szczęścia i czekać, aż prąd zanieśie go poza zasięg hurońskich strzelb. Wystawiał w ten sposób na próbę swoje nerwy, ale nic rozsądniejszego nie mógł uczynić. Poczuł na policzkach orzeźwiający powiew. Widocznie wietrzyk przybrał nieco na sile. Nowa otucha wstąpiła w serce zbiega.

ROZDZIAŁ 28

Ani płacz sierot, ni wzdychania wdowie

Nie powstrzymają furii napastników.

Ani ryk morza z chmurnym niebem w zmowie

Strasznym piratom nie pomiesza szyku.

Każdy z nich wie, że życie samoluba.

Mord i rabunek to największa chluba.

Ani na chwilę myśl, że są nieprawi.

Ich nieprawości ostrza nie pozbawi.

Łasi na władzę i majątność cudzą –

Niecą trwogą wśród bliźnich lub nienawiść budzą.

Congreve

Pogromca Zwierząt od dwudziestu minut leżał na dnie czółna i już zaczynał się niecierpliwie, że nic nie wskazuje, by przyjaciele ruszyli mu na ratunek. Położenie czółna uniemożliwiało obserwację: widział tylko w kierunku południowym i północnym. Sądził, że linia jego widzenia biegnie o jakieś sto jardów od zamku. W rzeczywistości czółno zwrócone było bardziej na zachód. Niepokoila go głęboka cisza na brzegu, nie wiedział bowiem, czy należy przypisać ją zwiększającej się odległości między nim a Indianami, czy też jakiemuś ich nowemu podstępowi. Wreszcie, znużony bezowocnym czuwaniem, znów odwrócił się na wznak, zamknął oczy i postanowił spokojnie czekać, co będzie dalej. Jeśli dzicy mogli tak opanować żądzę odwetu – myślał sobie – on też musi zachować spokój i zdać się na łaskę prądów i powiewów wiatru.

Tak minęło jeszcze dziesięć minut. Obydwie strony zachowały zupełny spokój. Wtem Pogromca usłyszał lekki szmer, jakby coś ocierało się o dno czółna. Natychmiast otworzył oczy. Sądził, że ujrzy, jak z wody wynurza się twarz lub ramię Indianina. Zobaczył tuż nad głową baldachim z listowia. Zerwał się na równe nogi i ujrzał nad sobą oczy Rozdartego Dęba, który pomagał czółnu przybijającemu do brzegu i wciągał je na przylądek. Łódź ocierała się dnem o piasek wybrzeża i ten właśnie szelest zaalarmował zbiega. Jak się okazało, łódka zmieniła kierunek pod wpływem kapryśnych, podmuchów powietrza, do których dołączyły się wiry wodne.

–Chodź – powiedział Huron, spokojnym i władczym gestem wzywając jeńca, by wyszedł na brzeg. – Mój młody przyjaciel popływał sobie do woli, aż się zmęczył. Oduczy się biegać, jeśli nie będzie używał nóg.

–Wygrałeś, Huronie – odparł Pogromca Zwierząt, pewnym krokiem wychodząc z czołna, po czym posłusznie poszedł za Dębem ku otwartej przestrzeni w głębi przylądka; – Nieoczekiwanie przyszła ci z pomocą Opatrzność. Jestem znów twoim jeńcem. Przyznasz jednak, że uciekam nie gorzej, niż dotrzymuję słowa.

–Mój przyjaciel to łoś! – zawołał Huron.:- Ma bardzo długie nogi. Narobiły one niemało kłopotu mojej młodzieży Ale on nie jest rybą, nie znalazł swej ścieżki na jeziorze. Nie zastrzeliliśmy go, bo ryby łowimy w sieci, a nie zabijamy kulą. Gdy znów stanie się łośiem, potraktujemy go jak łośia. – Tak, gadaj zdrów, Rozdarty Dębie, chełp się swym zwycięstwem. Masz do tego prawo, a wiem, że lubisz przechwałki. Nie będziemy się o to spierać. Kiedy jednak twoje niewiasty zaczną mnie lżyć i dręczyć, co na pewno nastąpi za chwilę, powiedz im, że blada twarz uczciwie i po męsku walczy o swe życie, ale umie się poddać, gdy przyjdzie na to czas. Jestem twym jeńcem, rób ze mną, co ci się podoba.

–Mój brat dużo biegał po górach, a potem zażył przejażdżki po jeziorze – odrzekł Rozdarty Dąb tonem nieco łagodniejszym i z uśmiechem, dając w ten sposób do zrozumienia, że żywi pokojowe zamiary wobec jeńca. – Widział lasy i widział wodę. Gdzie mu się bardziej podobało? Może widoki, jakie zobaczył, wpłynęły na zmianę jego decyzji, może pójdzie za głosem rozsądku?

–Mów, co ci leży na sercu, Huronie. Jakaś myśl nie daje ci spokoju – im wcześniej ją wypowiesz, tym prędzej otrzymasz odpowiedź.

–Ty idziesz prostą drogą! Mowa twoja nie zna wykrętów, chociaż mój bladolicy przyjaciel w biegu kluczy jak lis. Chcę przemówić do niego. Teraz lepiej nadstawi uszu i nie będzie zamykał oczu. Sumak jest bardzo bied na. Było tak, że miała brata i męża. Miała też dzieci. Przyszła chwila, że jej mąż wyruszył na pola szczęśliwych łowów i nawet się z nią nie pożegnał. Zostawił ją samą z dziećmi. Nie jego to wina – Ryś był zawsze dobrym mężem. Miło było spojrzeć, ile jeleniego mięsa, dzikich kaczek i gęsi, a także niedźwiedzich szynek wisiało zimą w jego wigwamie. Teraz wszystko stracone, a ciepłe dni nie potrwają już długo. Któż pomoże wdowie? Byli tacy, którzy uważali, że brat nie zapomni o siostrze i będzie. baczył, aby w nadchodzącą zimę spiżarnia jej nie była pusta. Myśmy tak właśnie myśleli. Ale Pantera padł i poszedł ścieżką śmierci za mężem Sumak. Teraz jeden chce wyprzedzić drugiego i pierwszy stanąć na polach szczęśliwych łowów. Jedni twierdzą, że Ryś jest bardziej rączym biegaczem, a drudzy mówią, że Pantera ma dłuższy skok. Sumak mówi tak: „Obydwaj będą szli szybko i zajdą daleko – żaden z nich tutaj nie wróci”. Któż jednak będzie żywił wdowę i jej dzieci? Ten, który kazał mężowi i bratu Sumak wyjść z jej mieszkania, aby było tam dosyć miejsca dla niego.

Wielki to myśliwy. Wiemy, że wdowa nie zazna biedy.

–No tak, Huronie. Szybko i po swojemu rozstrzygnąłeś tę sprawę. Ale to się nie da pogodzić z uczuciami białego człowieka. Słyszałem o takich, którzy w ten sposób uratowali swe życie, ale znałem też takich, co woleli śmierć niż podobną niewolę. Jeśli idzie o mnie, nie szukam ani śmierci, ani żony.

–Błada twarz zastanowi się nad tym, gdy moi wodzowie zbiorą się na naradę. On będzie zawiadomiony o naszej decyzji. Niechaj pamięta, jak ciężka jest strata brata i męża. Niech odejdzie. Gdy będziemy go chcieli zobaczyć, wywołane zostanie nazwisko Pogromcy Zwierząt.

Rozmowa odbyła się bez świadków. Z całej gromady, która jeszcze niedawno tłoczyła się tutaj, pozostał tylko Rozdarty Dąb. Wydawało się, że reszta Huronów opuściła obóz. Sprzęt, odzież, broń i całe wyposażenie obozu – wszystko to zniknęło. Po hurońskiej ciżbie zostały tylko dogasające ogniska, miejsca po wigwamach i zdeptana ziemia, na której widniały jeszcze ślady indiańskich stóp. Ta nagła i niespodziewana zmiana bardzo zdziwiła i nieco zaniepokoiła jeńca. W czasie pobytu u Delawarów nigdy mu się coś podobnego nie zdarzyło. Podejrzewał (i słusznie), że Huroni chcą zmienić miejsce postoju i że przyczyną ich tajemniczego postępowania jest chęć napędzenia mu strachu.

Rozdarty Dąb zniknął w lesie. Pogromca został sam. Ktoś niedoświadczony mógłby sądzić, że jeńcowi pozostawiono zupełną swobodę ruchów. Młody myśliwy – chociaż zdziwiony tajemniczym postępowaniem Indian – zbyt dobrze znał swych wrogów, by ludzić się, że jest wolny. Nie wiedział jednak, jak daleko Huroni posunęli się w swych sztuczках, i postanowił, jeśli się uda, sprawdzić, o co tu chodzi. Z obojętną miną (w gruncie rzeczy był trochę zaniepokojony) przechadzał się po polanie, podchodząc coraz bliżej do miejsca, w którym wyszedł na brzeg. Nagle przyśpieszył kroku, zachował się jednak w ten sposób, żeby nie wyglądało to na ucieczkę. Przepchnął się przez zarośla i wszedł na brzeg. Czółno zniknęło. Poszedł w kierunku północnym, a potem południowym, i rozejrzał się uważnie – łódki ani śladu! Huroni widocznie zabrali ją i chcieli, żeby o tym wiedział.

Teraz lepiej zrozumiał swe położenie. Był jeńcem na wąskim skrawku lądu, niewątpliwie pilnie strzeżonym. Uciec mógł tylko w jeden sposób: wplaw jeziorem. Myślał o tym, ale pewność, że Huroni będą go ścigali czółnem, wobec czego ucieczka nie ma żadnych widoków powodzenia, odwiodła go od tego zamiaru. Podeszedł do miejsca, w którym ścięto krzaki i ułożono niski stos gałęzi. Odgarnął parę gałęzi, z wierzchu i ujrzał na dole zwłoki Pantery. Wiedział, że schowano je tutaj chwilowo, zanim zostaną pochowane w bezpiecznym miejscu, w którym nikt nie oskalpuje zmarłego wojownika. Spojrzał tęsknym wzrokiem w stronę zamku. Panowała tam głucha cisza. Poczul się samotny i opuszczony, ogarnęły go posępne myśli.

–Niech się dzieje wola boska – szepnął przygnębiony Pogromca. Opuścił brzeg i wszedł pod sklepienie lasu. – Bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi. Nie spodziewałem się, że dni moje tak prędko dobiegną końca. Trudno, nie ma rady. Jeszcze kilka zim i parę lat i byłoby po wszystkim – tak chce natura. Niestety! Ludzie młodzi i dzielni rzadko myślą o śmierci, aż kostusia wyszczerzy do nich zęby i powie, że przyszła krysa na Matyska.

Z tymi słowami na ustach myśliwy wszedł na polanę, gdzie ku swemu zdziwieniu ujrzał Hetty, która wyraźnie czekała tutaj na niego. Trzymała pod pachą Biblię, a jej twarz, zwykle osnuta cieniem, łagodnej melancholii, wyrażała smutek i przygnębienie. Pogromca podszedł do dziewczyny i powiedział:

–Biedna Hetty, tyle miałem ostatnio kłopotów, że całkiem zapomniałem o tobie. Spotykamy się teraz zgnębieni tym, co ma nastąpić za chwilę. Co się dzieje z Chingachgookiem i Wah?

–Czemu zabiłeś Hurona. Pogromco Zwierząt? – z wyrzutem zapytała Hetty. – Czy nie znasz przykazania, które powiada: „Nie zabijaj!” Słyszałam, że zabiłeś męża i brata tej kobiety.

–Wszystko to prawda, moja Hetty, święta prawda, nie przeczę. Nie zapominaj jednak, moja droga, że na wojnie uchodzi wiele rzeczy, które są występkiem w czasie pokoju. Mąż zginął w otwartej walce, przynajmniej ja byłem odsłonięty, on zaś był ukryty lepiej, niż trzeba. Brat sam stał się sprawcą swej śmierci rzucając tomahawkim w bezbronnego jeńca. Czy byłaś przy tym, Hetty?

–Widziałam, co się stało, i wstyd mi było za ciebie, Pogromco Zwierząt.,Nie sądziłam, że oddasz wet za wet, myślałam, że dobrem odpłacisz za złe.

–Ach, Hetty. To jest dobre w ustach misjonarzy, ale w lasach zginie, kto będzie się trzymał ich słów. Pantera pragnął mej krwi, ale był głupi, gdyż chcąc mnie zgładzić, dał mi do ręki broń. Byłoby wbrew naturze nie podnieść nań ręki w takiej chwili i tylko źle świadczyłoby o moim wyszkoleniu i mojej sprawności. Nie, nie mogłem postąpić inaczej. Poza tym chętnie oddam każdemu, co mu się należy. Sądzę, że i ty będziesz sprawiedliwa i gdy cię zapytają (co jest prawdopodobne), jak to było – powiesz prawdę.

–Pogromco Zwierząt, czy ty ożenisz się z Sumak? Straciła męża i brata i nie ma kto jej żywić.

–Czyżbyś tak wyobrażała, sobie małżeństwo? Czy młody ma się żenić ze starą kobietą, blada twarz z czerwonoskórą, chrześcijanin z poganką? To jest wbrew rozsądkowi i przeciw naturze. Zgodzisz się ze mną, jeśli trochę nad tym pomyślisz.

–Mama zawsze mówiła – odparła Hetty i odwróciła głowę, więcej ulegając kobiecemu

instynktowi niż uczuciu wstydu – że dwoje ludzi nie powinno się pobierać, jeśli nie kochają się więcej niż rodzeństwo. Pewnie to chciałeś powiedzieć. Sumak jest stara, ty jesteś młody.

–Tak, Sumak to Indianka, ja jestem biały. Zresztą, Hetty, wyobraź sobie, że byłaś mężatką i wyszłaś za młodzieńca w twoim wieku, białego i z twojej sfery, dajmy na to za Hurry Harry'ego. – Wybrał ten przykład tylko dlatego, że Hurry był jedynym wchodzącym w grę ich wspólnym znajomym. – Otóż, twój mąż ginie na ścieżce wojennej. Czy chciałabyś wziąć w objęcia jako męża tego, który go zabił?

–Nie, nie, nie! – zawołała, wzdrygając się, dziewczyna. – Byłby to grzech i trzeba by nie mieć serca, żeby tak postąpić. Chrześcijanka nigdy tego nie robi. Wiem, że nie będę żoną Hurry'ego. Gdyby jednak tak było, nie wyszłabym za mąż po jego śmierci.

–Wiedziałem, że sama do tego dojdiesz, gdy zrozumiesz, o co tu chodzi. Nie może być mowy o tym, żebym ożenił się z Sumak. Chociaż ślub indiański odbywa się bez księdza i nie jest aktem religijnym, biały, który zna swe obowiązki moralne, nie skorzysta z tego i po ślubie nie ucieknie przy pierwszej sposobności. Uważam śmierć za coś bardziej naturalnego i miłego niż małżeństwo z tą niewiastą.

–Ciszej! – przerwała mu zaniepokojona Hetty. – Myślę, że nie byłoby jej przyjemnie, gdyby to usłyszała. Jestem pewna, że Hurry już by wolał ożenić się nawet ze mną, niż pójść na męki – chociaż jestem słaba na umyśle. Zabiłaby mnie myśl, że Hurry woli umrzeć, niż zostać moim mężem.

–Ejże, dziewczyno! Nie jesteś Sumak, tylko młoda i ładna chrześcijanka. Masz dobre serce, miły uśmiech i oczy pełne słodyczy. Hurry mógłby być dumny z takiej żony, nie tylko w nieszczęściu, ale nawet wtedy, gdyby mu się najlepiej powodziło. Posłuchaj jednak mej rady i nigdy nie mów z nim na ten temat. Hurry – to nieokrzesany mieszkaniec pogranicza i nic więcej.

–Nie powiedziałabym mu tego za skarby świata! – zawołała wystraszona Hetty rozglądając się wokół. Twarzyczkę, jej okrył rumieniec, sama nie wiedziała dlaczego. Mama zawsze mówiła, że młoda kobieta nie powinna być śmiała wobec mężczyzny i mówić, co czuje jej serce, zanim ją o to zapytają. O, nigdy nie zapomnę nauk mamusi. Wiesz, Pogromco Zwierząt, szkoda, że Hurry jest taki przystojny. Miałby mniejsze powodzenie u dziewcząt i prędzej by się na coś zdecydował. – Biedna, biedna Hetty. Widzę, co się dzieje. Bóg nie zapomni o twym prostym i dobrym sercu. Nie mówmy już o tym. Gdybyś miała nieco więcej rozumu, żałowałabyś, że obcy człowiek poznał twą tajemnicę. Powiedz, Hetty, co się stało z tymi Huronami i czemu błądasz się tutaj, jakbyś też była jeńcem?

–Nie jestem jeńcem, Pogromco Zwierząt. Jestem wolną dziewczyną i chodzę, gdzie mi się podoba! Nikt nie śmie zrobić mi krzywdy. Bóg bardzo by się gniewał, gdyby mi

się stało coś złego – mogę im to pokazać napisane w Biblii. Nie, Hetty Hutter niczego się nie boi, Hetty jest w dobrych rękach. Huroni są tam, w lesie, i pilnie nas, śledzą, głowę dają za to, że wszystkie kobiety i dzieci stoją na warcie. Mężczyźni grzebią zwłoki biednej dziewczyny, zastrzelonej przez Hurry'ego. Chcą ją tak pochować, żeby ani wróg, ani dzikie zwierzęta nie mogły jej znaleźć. Powiedziałam im, że ojciec i matka leżą na dnie jeziora, ale nie mówiłam gdzie, bo Judyta i ja nie życzymy sobie pogan na naszym cmentarzu.

–Widzisz, Hetty. Straszna to rzecz. Stoimy sobie tułaj, żywi, pełni sił, radości i zapału, a za godzinę zanoszą jedno z nas, wrzucą do dołu i nikt go więcej nie zobaczy. Któż wie, co nas może spotkać na ścieżce wojennej?

Rozmowę ich przerwał szelest liści pod stopami zbliżających się ludzi i trzask łamanych gałęzi. Pogromca wiedział, że nadchodzą jego wrogowie. Huroni kołem otoczyli miejsce przygotowane na mające się odbyć widowisko. Zbrojnych wojowników tak rozstawiono wśród słabszych członków gromady, że jeniec nie mógłby cało przerwać się przez pierścień tłumu. Ale Pogromca nie myślał już o ucieczce. Był pod świeżym wrażeniem próby wyrwania się z niewoli, która go przekonała, że niepodobieństwem jest umknąć, kiedy się ma na karku taką gromadę ścigających. Natomiast zebrał wszystkie siły, by los, jaki go czekał, przyjąć ze spokojem, który by przyniósł zaszczyt białemu mężczyźnie, i znieść tortury bez tchórzliwego strachu i bez indiańskich przechwałek.

Zjawił się Rozdarty Dąb. Wszedł do środka koła i jak przedtem usiadł na honorowym miejscu najstarszego wodza. Stańto przy nim kilku starych wojowników. Po śmierci brata Sumak nie było już w obozie męża, który by cieszył się takim uznaniem, że mógłby zagrozić wpływowi i powadze stanowiska Dęba. Wiadomo, że w ustroju, jakim rządziły się szczepy Ameryki Północnej, nie było tendencji monarchistycznych ani zapędów despotycznych.

Ale pierwsi koloniści przywieźli z sobą na tę półkulę pojęcia i poglądy polityczne swych krajów. Oni to, pochlebając wodzom pierwotnych ludów, podnosili ich do rangi królów lub książąt. Niewątpliwie poważanie szczepu przechodziło z ojca na syna. Wszystko jednak wskazuje na to, że samo urodzenie nie dawało uprzywilejowanego stanowiska. Znaczenie zdobywało się dzięki własnym zasługom, które, inna rzecz, często powtarzały się w jednej rodzinie i jakby przechodziły z ojca na syna. Rozdarty Dąb nic nie zawdzięczał urodzeniu. Wpływy zdobył wyłącznie dzięki swym talentom i rozumowi oraz – jak powiada Bacon mając na myśli wybitnych mężów stanu – „dzięki połączeniu wielkości z miernością” (najlepszą ilustracją tej maksymy była kariera sławnego Anglika, tegoż Bacona). Obok oręża, wymowa jest skutecznym sposobem zyskania popularności. Tak jest: zarówno u ludów cywilizowanych, jak i u dzikich plemion. Rozdarty Dąb zdobył uznanie dzięki temu, że (jak wielu innych przed nim) umiał swym słuchaczom równie dobrze wmówić nieprawdę, jak w sposób głęboki i mądry przedstawić prawdę lub przekonać

ich niezbitymi argumentami. Tak czy inaczej, posiadał wpływ, na które w pełni zasługiwał. Jak wszyscy, którzy kierują się więcej rozumem niż sercem, wódz Huronów nie był skłonny do folgowania okrutnym namiętnościom swych współplemieńców. Odkąd doszedł do władzy, zawsze był za okazaniem litości wrogowi, wtedy gdy mściwi wojownicy dyszeli żądzą odwetu i tortur. Także i dziś przeciwny był okrucieństwu, mimo że postęпки białego wołały o pomstę, ale zupełnie nie wiedział, w jaki sposób można by zapobiec ostatecznej rozprawie z 'Pogromcą. Sumak bardziej bolała odmowa małżeństwa ze strony białego niż śmierć męża i brata. Mało było prawdopodobne, aby wdowa przebaczyła mężczyźnie, który stanowczo wołał umrzeć, niż znaleźć się w jej objęciach. Jeśli Sumak nie daruje życia Pogromcy, szczep nie puści w niepamięć strat, jakie poniósł. Rozdarty Dąb, sam życzliwie usposobiony względem Pogromcy, zdawał sobie sprawę, że nic nie wskóra, i uważał los naszego bohatera właściwie za przypieczętowany.

Gdy już wszyscy Huroni ustawili się wokół jeńca, polanę zaległa uroczysta cisza, tym groźniejsza, że nie zmałona najłżejszym szmerem. Pogromca zauważył, że kobiety i chłopcy przynieśli smolne drzazgi z korzeni sosnowych. Znał dobrze ich przeznaczenie: będą te drzazgi wbijali mu w ciało, a potem je podpalą. Paru młodych wojowników trzymało powrozy z kory, którymi mieli go związać. Dym ogniska płonącego w głębi lasu świadczył, że przygotowuje się głównie. Starsi wojownicy głaskali palcami ostrza tomahawków, sprawdzając, czy się nie stępiły. Zdawać się mogło, że noże same wychylają się z pochew, niecierpliwie oczekując krwawej i bezlitosnej rzezi. – Wielki Myśliwy! – zaczął Rozdarty Dąb, tym razem bez śladu sympatii i litości w głosie, ale spokojnie i z godnością. – Czas już ostatni, aby mój lud wiedział, czego ma się trzymać. Słońce już zeszło znad naszych głów. Znużone czekaniem na Huronów, zaczęło pochylać się ku sosnom rosnącym po tamtej stronie doliny. Szybko podążyła ku krajowi naszych ojców, Francuzów. Ostrzega w ten sposób swe dzieci, że ich wigwamy stoją puste i że pora już wrócić do domu. Wilk, który się włóczy po lasach, ma własne legowisko i wraca do niego, kiedy chce zobaczyć swe wilczki. Irokezi nie są biedniejsi od dzikich zwierząt. Mają swoje wioski, wigwamy, swoje łany zboża. Dobre duchy, które pilnują ich dobytku, zostały same i bardzo się nudzą. Mój lud musi wrócić do domu i do swych zajęć. Jakaż to radość zapanuje w wigwamach, kiedy z lasu dadzą się słyszeć nasze okrzyki. Najpierw rozlegnie się okrzyk bólu. Gdy nasi go usłyszą, smutek ogarnie wioskę. Potem będzie okrzyk na cześć jednego skalpu, ale tylko jednego. Mamy futerko Piżmoszczura. Jego ciało jest z rybami. Pogromca Zwierząt niechaj nam powie, czy drugi skalp będzie na naszym palu. Dwa wigwamy są puste – skalpy, żywe lub martwe, muszą się znaleźć w drzwiach tych wigwamów.

–Weź skalp martwy, Huronie! – odparł jeniec tonem stanowczym, ale bez dramatycznej pozy. – Przyszła na mnie pora, niech się stanie, co się ma stać. Jeśli chcecie, bym zmarł w męczarniach, postaram się wytrzymać ból bez skargi, chociaż nikt nie może powiedzieć, ile potrafi znieść, póki nie będzie wystawiony na próbę.

–Bładolicy pies już podwija ogon pod siebie! – zawołał młody Indianin, znany pyskacz, noszący odpowiednie dla siebie imię: Czerwony Kruk. Przewisko swe otrzymał od Francuzów za to, że był nieprzyzwoicie hałaśliwy i miał brzydki zwyczaj wsłuchiwania się we własny głos. – A to mi wojownik! Zabił Rysia, ale strzelając odwrócił głowę, żeby nie widzieć ognia własnej strzelby. Już chrząka jak wieprz. Gdy kobiety hurońskie zaczną zadawać mu męki, będzie miauczał jak młode lamparciątko. Toż to delawarska baba w skórze Jankesa!

–Mów dalej, synu, mów – powiedział Pogromca niewzruszony tymi zaczepkami. – Nic więcej nie umiesz, a mnie to nie grzeje ani ziębi. Takie gadanie może rozgniewać kobietę, ale od tego ani nóż się nie naostry, ani ogień nie rozgrzeje, ani i strzelba nie będzie celniejsza.

Tutaj wkroczył Rozdarty Dąb i zganiał Czerwonego Kruka za to, że niepotrzebnie się wyrwał, po czym kazał wojownikom, wyznaczonym do tej funkcji, związać Pogromcę. Użył tego środka nie z obawy, aby jeniec uciekł, ani dlatego, że biały, jeśli nie skrępuje mu się członków, mógłby nie wytrzymać tortur. Przebiegły wódz pragnął po prostu, by Pogromca poczuł się bezbronny – chciał skruszyć jego wolę oporu. Pogromca wcale się nie bronił. Dobrowolnie i niemal z radością poddał więzom ręce i nogi. Z polecenia wodza związano go w sposób najmniej bolesny. Dąb wydał w tej sprawie poufne rozkazy. Miał nadzieję, że jeniec ratując się przed dotkliwymi cierpieniami fizycznymi zgodzi się wziąć Sumak za żonę. Wojownicy tak dokładnie związali ciało myśliwego, że musiał żywo odczuć swą bezradność, potem przeniesiono go pod drzewko i przytroczono doń w taki sposób, że nie mógł się ani ruszyć, ani upaść. Ręce przyłożono mu do ud i znów przywiązano go do drzewa, wyglądało to tak, jakby myśliwy do niego przyrósł. Teraz wojownicy zdjęli mu z głowy czapkę. Pogromca na pół stał, a na pół wisiał na powrozach. Ożywiało go mocne postanowienie, żeby znieść tortury, jak będzie umiał, najlepiej.

Rozdarty Dąb chciał – zanim dojdzie do ostateczności- jeszcze raz wystawić na próbę upartego jeńca i nakłonić go do ustępstw. Dogadać się z Pogromcą można było tylko pod warunkiem, że Sumak zechce się wyrzec przysługującego jej prawa odwetu. W tym też celu Dąb wezwał wdowę, aby wyszła na środek i osobiście poparła swą sprawę, nikt bowiem nie może jej zastąpić w pertraktacjach z białym winowajcą. Indiańskie dziewczęta to istoty łagodne i potulne, lubią śmiać się beztrosko, a głos ich brzmi miło i melodyjnie. Ale ciężka praca i troski zwykle odzierają je z wdzięków, zanim osiągną wiek, który Sumak już dawno przekroczyła. Częste wybuchy gniewu sprawiają, że z czasem głos Indianki staje się chrapliwy, ale nawet zanim to nastąpi, czerwonoskóra kobieta potrafi tak otworzyć buzię, że uszy puchną – wiadomo, że i pod tym względem nie ustępują białym przedstawicielkom płci słabej. Sumak swego czasu nie była pozbawiona wdzięków i (zdawałoby się) tak niedawno jeszcze współplemieńcy uważali ją za ładną, że mogła nie zdawać sobie sprawy, jak czas i trudy życia wpływają na wygląd nie tylko mężczyzn, ale i kobiety. Rozdarty Dąb postarał się, aby kilka kobiet nie poskapiło trudu i czasu na

przekonanie niepokieszanej wdowy, że może jeszcze uda się nakłonić Pogromcę Zwierząt, aby miał wejść w krainę duchów, wszedł do jej wigwamu, chociaż (przyznawały) jak dotąd nie zdradzał zbytnej skłonności do przedłużenia swego życia. Wszystkie te zabiegi wyływały z zamiarów wodza Huronów co do osoby Pogromcy Zwierząt. Dąb chciał bowiem użyć wszystkich środków, aby pozyskać dla szczerpu myśliwego, który w całym kraju nie miał równego sobie. Wódz również nie był od tego, żeby dać męża kobiecie, z którą może być niemało kłopotów, jeśli nie uczyni się zadość jej pretensjom do opieki i względów ze strony szczerpu.

Idąc za podszeptem Rozdartego Dęba, kobiety poradziły na boku wdowie, żeby wystąpiła na środek i odwołała się do poczucia sprawiedliwości jeńca, zanim gromada, ostatecznie z nim się rozprawi. Wdowa nie dała się prosić. Zostać żoną słynnego myśliwego – było dla Indianki czymś równie ponętnym, jak w życiu bardziej cywilizowanym marzeniem niejednej niewiasty jest oddać swą rękę bogatemu mężczyźnie. Wszyscy byli przekonani, że Sumak kieruje się przede wszystkim, uczuciami matki, wdowa więc nabrała śmiałości, jakiej może zabrakłoby u nas nawet kobiecie, która poluje na majątek przyszłego męża. Wystąpiła na środek, trzymając za ręce swe dzieci, co miało świadczyć o pobudkach, jakimi się kieruje.

–Widzisz mnie przed sobą, okrutna blada twarzy – zaczęła wdowa – i dobrze wiesz, o co mi chodzi. Ciebie znalazłam, a Rysia i Pantery nie mogę znaleźć. Szukałam ich na jeziorze, w lesie i w chmurach. Nie wiem, gdzie poszli.

–Nikt nie wie, moja droga, nikt – odparł jeńiec. – Gdy duch opuszcza ciało, udaje się na tamten świat, o którym nic nie wiemy. Ci, którzy zostali po zmarłym, najlepiej uczynią, jeśli będą dobrej myśli. Twoi dwaj wojownicy poszli z pewnością na pola szczęśliwych łowów. Przyjdzie czas, że zobaczysz się z nimi i dowiesz się, że jest im lepiej niż na tym świecie. Żona i siostra mężnych wojowników powinna była liczyć się z takim kresem ich ziemskiej wędrówki.

–Okrutna blada twarzy, co ci zrobili moi wojownicy, żeś ich zabił? Byli to najlepsi myśliwi i najmężniejsi młodzieńcy z całego szczerpu. Wielki Duch chciał, żeby żyli tak długo, aż uschną jak jodła i zwałą się pod własnym ciężarem.

–Daj spokój, moja droga – przerwał jej Pogromca, którego umiłowanie prawdy było tak nieposkromione, że nie mógł słuchać krasomówczych zapędów wdowy, choć wiedział, jak wielki jest jej ból. – Daj spokój, to za wiele nawet jak na Indiankę. Żaden z nich nie był młodzieńcem, podobnie jak nikt nie powie, że ty jesteś młodą kobietą. Mówisz, że Wielkiemu Duchowi podobało się, aby obaj wojownicy umarli inną śmiercią, niż to się stało. Wielki to błąd z twej strony, bo jak Wielki Duch czegoś chce, na pewno spełni się jego wola. Natomiast prawdą jest, że żaden z nich nie zrobił mi nic złego. Podniosłem na nich rękę z powodu tego, co chcieli uczynić. Każdy ma prawo zabić w obronie własnego życia.

–Prawdę mówisz. Sumak ma tylko jeden język i nie powie tego, czego nie było. Błada twarz zadała cios Huronom, aby nie odebrali mu życia. Huroni są sprawiedliwym narodem, zapomną o jego postępkach. Wodzowie zamkną oczy i będą udawali, że nic nie widzieli. Młodszy wojownik uwierzy, że Pantera i Ryś poszli daleko, daleko na polowanie. Sumak weźmie swą dziatwę za rączki, pójdzie do wigwamu bladej twarzy i powie: „Spójrz! Oto twoje dzieci, twoje i moje. Będziesz nas żywił, a my zamieszkamy z tobą”.

–Twoje warunki są nie do przyjęcia, niewiasto. Poniosłaś wielką stratę, na pewno ciężko ją znieść, współczuję ci – ale warunków przyjąć nie mogę. Co się tyczy zaopatrzenia was w dziczyznę, gdybyśmy mieszkali niedaleko siebie, nie byłoby to trudne. Ale, żeby zostać twoim mężem i ojcem twych dzieci – na to, wyznam szczerze, nie mam najmniejszej ochoty.

–Spójrz na tego chłopaka, okrutna bladej twarzy. „Nie ma on ojca, który by go nauczył, jak zabijać jelenie i zdejmować skóry. Popatrz na tę dziewczynkę. Którego młodzieniec przyjdzie po żonę do wigwamu, gdzie nie ma głowy domu? Resztę dzieci zostawiłam w mej wiosce rodzinnej. Wielki Myśliwy znajdzie tam tyle mięsa do żywienia, ile dusza zapagnie.

–Mówię ci, kobieto – zawołał Pogromca Zwierząt, którego wyobraźnia wcale nie podążała za głosem serca Sumak i który w miarę roztaczania przez wdowę obrazów przyszłości nabierał do niej coraz większej niechęci. To wszystko mam za nic! O sieroty powinna się troszczyć rodzina i współplemieńcy. Bezdzielnych kawalerów należy pozostawić ich własnej samotności. Ja nie mam potomka i nie chcę się ożenić. Odejdź więc, Sumak, niechaj wodzowie rozstrzygną o moim losie. Wszystko się we mnie buntuje na myśl, że ty mogłabyś zostać moją połowicą.

Nie ma potrzeby rozwodzić się nad tym, jakie wrażenie wywołała stanowcza odpowiedź myśliwego na propozycję wdowy. Jeśli Sumak żywiła jeszcze w sercu tkliwe uczucia (chyba żadna kobieta nie jest od nich wolna) – to zgasły one natychmiast, gdy usłyszała jego słowa. Urażona dumą, gniew i wściekłość – wybuchnęły wulkanem nienawiści. Jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, wdowa dostała nagle ataku szału. Nie raczyła odpowiedzieć Pogromcy. Ale w całym lesie zagrzmiął nieopisany wrzask, jaki podniosła. Rzuciła się na jeńca, chwyciła go za włosy, najwidoczniej gotowa wydrzeć je z korzeniami. Nie od razu udało się uwolnić ofiarę ze szponów Sumak. Na szczęście, gniew wdowy był ślepy. Gdyby bowiem lepiej wymierzyła swój atak, bezbronny jeńiec wydany na jej pastwę wyzionąłby ducha, zanimby przyszła pomoc. Skończyło się na tym, że pozbawiła go paru garści włosów, po czym młodzi wojownicy oderwali ją od jeńca.

Zniewagę, która spotkała Sumak, Huroni uznali za obrazę całego szczepu. Nie tyle ze względu na szacunek, jakim mogła się cieszyć ta kobieta, ile dlatego, że Pogromca uraził dumę plemienną Huronów. Sumak uważano powszechnie za osobę

nie mniej cierpką od jagody, od której przybrała swe imię. Teraz gdy obydwaj jej wielcy opiekunowie, mąż i brat, odeszli z tego świata, nikt już nie starał się ukryć swej niechęci do wdowy. Ale sprawą hurońskiego honoru było wymierzyć karę bladej twarzy, która wzgardziła Huronką. Bładolicy myśliwy zasługiwał na karę tym bardziej, że z zimną krwią wybrał śmierć, byle nie ulżyć szczepowi w opiece nad wdową i jej dziećmi. Młodzież najwyraźniej paliła się do tortur. Rozdarty Dąb dobrze to rozumiał. Gdy zaś członkowie rady również nie okazywali ochoty do odłożenia tortur, Dąb musiał dać znak, żeby wojownicy zaczęli piekielne dzieło.

ROZDZIAŁ 29

Zły sen o widłach nie trapił niedźwiedzia

Ani o zębcach rozjuszzonej psiarni;

Ukryty jeleni gdzieś w zaroślach siedział,

Dzik się nie trwożył, że wnet zginie marnie. –

Puszczą czekała, aż sen ją ogarnie.

Lord Dorset

Indianie zwykle przed rozpoczęciem tortur starali się złamać moralnie swą ofiarę. Sprawą zaś honoru jeńca było nie poddać się uczuciu strachu i nie okazać bólu, lecz sprowokować wrogów do aktów gwałtu, aby śmierć nastąpiła jak najprędzej. Często zdarzało się, że wojownik przyśpieszał koniec swych cierpień, uciekając się do szyderstw i lżenia oprawców. Czynił tak, gdy nie mógł już wytrzymać mąk, jakie – trzeba dodać – dzicy zadawali z istic szatańską pomysłowością, która zaćmiewała wszystko, co wiemy o piekielnych sposobach inkwizycji. Ta ucieczka przed wyrafinowanym okrucieństwem wrogów w objęcia ich niepoohamowanego gniewu była jednak sposobem, z którego Pogromca Zwierząt nie mógł skorzystać, gdyż – jak wiemy – miał szczególny pogląd na obowiązki białego człowieka. Myśliwy tedy mocno postanowił znieść najcięższe męki i nie splamić honoru swej rasy.

Ledwie młodzi wojownicy dowiedzieli się, że można już przystąpić do dzieła, od razu na arenę, wyskoczyło kilku śmiałków z tomahawkami w ręku i zaczęli przygotowywać się do rzutów tą straszną bronią. Zadanie polegało na tym, aby trafić w drzewo jak najbliżej głowy ofiary, ale nawet jej nie zadrasnąć. Było to bardzo ryzykowne przedsięwzięcie i dlatego pozwolono stanąć do zawodów tylko wojownikom najbardziej biegłym we władaniu tą bronią, inaczej bowiem, przedwczesna śmierć jeńca popsułaby okrutną zabawę. Jednak, nawet wówczas, gdy w zawodach brali udział sami mistrzowie, rzadko zdarzało się, żeby ofiara wyszła bez szwanku. Często śmierć następowała wbrew intencjom zawodników. Tym razem Rozdarty Dąb i starszyzna obawiali się, aby którejś zapalanej głowie na wspomnienie losu Pantery nie przyszła nagle ochota rozprawienia się ze zwycięzcą w podobny sposób, a nawet tym samym tomahawkim, od którego padł wódz huroński. Próba tomahawka była więc w dwójnasób niebezpieczna dla Pogromcy Zwierząt.

Zdawało się jednak, że wszyscy, którzy (nazwijmy to tak) wstąpili w szranki, bardziej chcą popisać się zręcznością, niż pomścić śmierć swych towarzyszy. Zawodnicy przygotowywali się tedy do wystąpienia, a osoba jeńca interesowała ich w tej chwili nie więcej niż żywy cel, w grę bowiem wchodziła tutaj ambicja zwycięstwa w

zawodach, a nie okrutna żądza odwetu. Rozdarty Dąb nie tracił nadziei, że ocali życie jeńca, gdy młodzież zaspokoi już swą próżność, jeśli, oczywiście, myśliwy przedtem nie padnie ofiarą niebezpiecznych popisów.

Pierwszy wystąpił młodzieniec imieniem Kruk, który nie miał dotąd sposobności uzyskania bardziej wojowniczego przezwiska. Kruk raczej odznaczał się zadzieraniem nosa, niż się odznaczył zręcznością lub bohaterskimi czynami. Gdy młody zuch zajął stanowisko i zaczął ważyć w rękę tomahawk, ci, którzy dobrze go znali, wiedzieli, że życie jeńca znalazło się w- poważnym niebezpieczeństwie. Był to jednak dobry chłopak i szło mu tylko o to, by jego rzut zaćmił wyniki współzawodników. Pogromca Zwierząt widząc, że seniorzy podeszli do Kruka i pouczają go, jak trzeba rzucać tomahawkiem, domyślił się, że młodzian nie cieszy się sławą miotacza. Wodzowie, istotnie, nie dopuściliby Kruka do zawodów, gdyby nie wpływy ojca, starego, wielce zasłużonego wojownika, który został w domu. Mimo swych obaw, bohater nasz zachował pozory spokoju. Pomyślał sobie, że wybiła jego godzina i że jeśli padnie pod pierwszym ciosem, nie będzie w tym nieszczęścia, tylko po prostu łaska boska. Tymczasem Kruk nie żałował sobie rozmachów i pięknych gestów, które zapowiadały znacznie więcej, niż mógł zdziałać. Wreszcie wypuścił z ręki tomahawk, który wykonał w powietrzu kilka młynków, odłupał kawałek drzewa, do którego przywiązany był jeniec, w odległości kilku cali od jego twarzy, i utkwiał w szerokim dębie rosnącym parę jardów dalej. Rzut był zupełnie

do niczego i został przyjęty szyderstwami zebranych, co wielce stropiło młodzieńca. Równocześnie ogólny, choć stłumiony szmer podziwu powitał męstwo, z jakim jeniec wytrzymał tę próbę. Pogromca mógł poruszyć tylko głową, którą umyślnie pozostawiono nie skrępowaną, aby jego oprawcy mieli uciechę, a on najadł się wstydu, gdy to tu, to tam będzie uchylał głowę przed ciosem. Jeniec wszakże sprawił im zawód, gdyż tak opanował swe nerwy,

że całe jego ciało było równie nieruchome jak drzewo, do którego przywiązali go Huroni. Nawet – co byłoby rzeczą zupełnie naturalną – nie przymknął oczu. Odmówił sobie tego z pogardy dla swych prześladowców, jakiej mogliby mu pozazdrościć najstarsi i najmężniejsi wojownicy indiańscy.

Po nieudanej dziecinnej próbie Kruka wystąpił Łoś, wojownik, w kwiecie wieku, mistrz nie lada w rzucie tomahawkiem. Widzowie wiele się po nim spodziewali. Pod żadnym względem nie przypominał pocziwego. Kruka i żywił do białych tak zażartą nienawiść, że z przyjemnością zabiłby jeńca, gdyby bardziej nie zależało mu na pokazaniu swej sztuki władania krótką bronią. Spokojnie, ale z pewną miną zajął stanowisko, krótko ważył swą siekierkę – nagle wysunął nogę i cisnął tomahawkiem. Pogromca ujrzał, jak ostrze siekiery, lecąc prosto na niego, mignęło parę razy w powietrzu. Był pewny, że już po wszystkim. Ale tomahawk nawet go nie zadrasnął, wbił się tylko głęboko w miękką korę drzewa wraz z garścią włosów jeńca i unieruchomił w ten sposób jego głowę. Zachwyceni widzowie podnieśli wrzawę.

Serce Łosia zmiękło nieco dla jeńca, którego niezwykle mu opanowaniu zawdzięczał, że mógł się. tak popisać niepospolitą zręcznością.

Po Łosiu wystąpił Skoczek. W podskokach wybiegł na środek areny. Przypominał rozbawionego psa lub rozbrykaną kozę. Był to jeden z tych zwinnych i giętkich chłopców, których mięśnie znajdują się w nieustannym ruchu. Trochę udawał, ale właściwie tak przywykł do swych hopków, że nie mógł już chodzić normalnie. Poza tym był to dzielny i zręczny chłopak, który swymi czynami na wojnie i łowach zdobył uznanie szczepu. Dawno już przypadłoby mu w udziale imię znacznie godniejsze, gdyby nie pewien Francuz, wyższy oficer, który niebacznie nazwał go Skoczkiem. Chłopak z czcią niemal religijną zachował to przezwisko, pochodzące, jak mówił, od jego wielkiego ojca, który mieszka za dużym, słonym jeziorem. Skoczek w płasach podbiegł do jeńca i raz, z prawa, raz z lewa, to znów z przodu zamierzał się nań tomahawkiem, chcąc w ten sposób wydobyć z niego oznaki strachu. Ale cała ta bufonada spaliła na panewce. Wreszcie wyczerpała się cierpliwość Pogromcy Zwierząt i przemówił – po raz pierwszy od początku widowiska.

–Rzuć tomahawkiem, Huronie! – zawołał. – Inaczej twoja siekiera zapomni, do czego służy. Po kiego diabła podrygujesz jak jelonek, który chce pokazać swej mamie, jak ślicznie nauczył się skakać? Jesteś już dorosłym wojownikiem. Prawdziwy mężczyzna gwizdże na ciebie i twoje głupie łamańce. Rzucaj, inaczej dziewczęta hurońskie w nos będą ci się śmiały.

Chociaż myśliwy wcale nie chciał wyprowadzić wojownika z równowagi, ostatnie jego słowa wywołały wściekłość Skoczka. Ta sama nerwowa pobudliwość, której zawdzięczał swą niezwykłą ruchliwość, sprawiła, że nie potrafił teraz zapanować nad sobą. Zaledwie padły słowa jeńca, Indianin cisnął tomahawkiem. Uczynił to w wielkim gniewie, z okrutnym zamiarem położenia trupem Pogromcy. Gdyby intencje Skoczka były mniej krwiożercze, niebezpieczeństwo jeńca byłoby większe. Wojownik źle wycelował. Tomahawk błysnął tuż obok twarzy myśliwego i lekko ranił go w ramię. Skoczek pierwszy spośród biorących udział w zawodach nie myślał o nastraszeniu jeńca i popisaniu się zręcznością, lecz chciał go zabić. Natychmiast sprowadzono go z areny. Otrzymał surową naganę za to, że niepotrzebnie się wyrwał i o mały włos nie popsuł innym zabawy.

Po popędliwym młodzieńcu wystąpili inni wojownicy, którzy z niedbałą obojętnością rzucali nie tylko tomahawkami, ale i nożami, bronią znacznie niebezpieczniejszą. Wszyscy wszakże okazali tyle zręczności, że jeńcowi nic się nie stało. Doznał kilku zadraśnień, których w żadnym razie nie można by nazwać ranami. Niezlomne męstwo, z jakim zniósł ataki, zwłaszcza w czasie pośmiewiska, które zakończyło próbę jego wytrzymałości, wywołało głęboki 'szacunek widzów. Kiedy wodzowie obwieścili, że jeniec wytrzymał próbę noża i tomahawka, z całej gromady nikt nie żywił już wrogich uczuć do niego – z wyjątkiem Sumak i Skoczka. Faktem jest, że nastąpiło porozumienie między dwojgiem zwarzonych umysłów, i że ta para

wzajemnie podsycala swój gniew. Na razie zachowywali dla siebie znaczną część swej nienawiści, ale istniało niebezpieczeństwo, że wkrótce uda im się podniecić innych i wprowadzić ich w stan jakby opętania, który zazwyczaj towarzyszył scenom znęcania się nad ofiarami.

Rozdarty Dąb oznajmił obecnym, że blada twarz okazała się mężczyzną. Pogromca Zwierząt żył wprawdzie z Delawarami, ale nie dał zrobić z siebie baby. Wódz oświadczył, że pragnie wiedzieć, czy Huroni życzą sobie, dalszego torturowania jeńca. Ale nawet najdelikatniejsze z kobiet zbyt wiele znalazły przyjemności w śledzeniu zawodów, aby wyrzekły się teraz tak dobrze zapowiadającego się dalszego ciągu widowiska. Wszyscy tedy jak jeden mąż zażądali podjęcia tortur. Wódz był tęgim politykiem i tak bardzo chciał przyjąć do swego szczepu słynnego myśliwego, jak europejski minister finansów pali się do nowych i łatwo uchwytnych źródeł opodatkowania. Myślał więc, jakby tu w porę zatrzymać próby wytrzymałości jeńca. Dobrze wiedział, że jeśli próby posuną się za daleko i dopuści do wezbrania fali nienawiści, to wszystkie późniejsze wysiłki zmierzające do zatrzymania rodaków w ich krwawym galopie będą równie bezowocne, jak próba postawienia tamy przeciw wodom wielkich jezior w jego ojczyźnie. Wezwał tedy czterech czy pięciu najlepszych spośród strzelców wyborowych i kazał im poddać jeńca próbie strzelby, ale zarazem przykazał zawodnikom, aby jak oka w głowie strzegli swego dobrego imienia i nie zapominali, że mają tylko popisać się swą zręcznością.

Kiedy Pogromca Zwierząt ujrzał, że na środek występują wyborowi strzelcy z gotową do strzału bronią w ręku, doznał uczucia ulgi, podobnie jak nieszczęśliwy chory, który po długich i ciężkich cierpieniach czuje, że zbliża się chwila śmierci. Najmniejsze odchylenie tej strasznej broni od celu mogło spowodować śmierć. Zadanie polegało na tym, by kula musnęła zaledwie głowę, jeńca – różnica więc jednego lub dwóch cali stanowiła o jego życiu.

W próbie strzelby nie było dopuszczalne nawet tak nieznaczne odchylenie, na jakie można było sobie pozwolić w znanym wypadku z jabłkiem Gesslera; wyborowy strzelec indiański mógł się pomylić o włos, ale ani trochę więcej. Próba często kończyła się przestrzeleniem na wylot głowy ofiary, gdy ręka strzelca okazała się zbyt pochopna lub nie dość zręczna. Nierzadko zdarzało się również, że wojownik, doprowadzony do rozpaczy męstwem i drwinami jeńca, w przystępie niepohamowanego gniewu świadomie pozbawiał go życia. O tym wszystkim dobrze wiedział Pogromca Zwierząt, gdyż właśnie opowiadaniem podobnych historii z dziejów walk i zwycięstw szczepu starzy wojownicy wypełniali długie wieczory zimowe w delawarskich wigwamach. Oczekiwał więc kresu swej ziemskiej wędrówki i doznawał smętnej radości na myśl, że zginie od swej ulubionej broni. Zanim jednak wodzowie pozwolili na rozpoczęcie próby strzelby, nastąpiła krótka przerwa.

Hetty Hutter widziała wszystko. Na biednej dziewczynie widok tortur wywarł takie wrażenie, że zrazu zupełnie ją sparaliżował. Pomału jednak wracała do siebie.

Ogarniało ją coraz większe oburzenie na Indian zadających jej przyjacielowi męki, na które wcale nie zasłużył. Zazwyczaj nieśmiała i wstydliwa jak młoda sarenka, Hetty była nieustraszona, gdy w grę wchodziły względy ludzkości. Nauki matki i porywy jej serca – można by rzec: podszepty niewidzialnego dobrego ducha, który strzegł Hetty i kierował jej postępkami – sprawiały, że wyzbywała się kobiecej nieśmiałości, nabierając odwagi i hartu ducha. Wyszła na środek koła. Twarzyczka jej, słodka i nieśmiała jak zwykle, wyrażała powagę. Słowa jej również pełne były godności.

Brzmiało w nich przekonanie, że sam Bóg udziela jej swego poparcia.

–Czemu męczycie Pogromcę Zwierząt, Indianie? Cóż wam zrobił, że igracie z jego życiem? Jakim prawem chcecie go sądzić? Niechby któryś nóż lub tomahawk zranił

Pogromcę – kto z was, Indianie, umiałby leczyć ranę, jaką byście mu zadali? A poza tym, robiąc krzywdę Pogromcy Zwierząt, krzywdzicie swego przyjaciela. Kiedy tatuś i Hurry Harry szli po skalpy, on odmówił udziału w tej wyprawie i został sam w czóźnie. Męcząc tego młodzieńca torturujecie swego przyjaciela!

Huroni w skupieniu wysłuchali Hetty. Wojownik, rozumiejący po angielsku, przetłumaczył jej słowa na język irokezki. Rozdarty Dąb zapoznawszy się z treścią apelu Hetty, udzielił jej odpowiedzi w swym języku ojczystym. Tłumacz przełożył na angielski słowa wodza.

–Bardzo było nam miło wysłuchać mowy mej córki – zaczął stary mówca łagodnym tonem i uśmiechając się dobrotliwie, jakby mówił do dziecka. – Huroni radzi słuchali jej głosu i dali ucho jej słowom. Wielki Duch często językiem takich osób przemawia do ludzi. Ale tym razem jej oczy nie były dość szeroko otwarte i nie ujrzały, co się stało. Pogromca Zwierząt nie przyszedł po nasze skalpy, to prawda, ale kto mu tego bronił? Oto skalpy, na naszych głowach, z czubami, które czekają, żeby ktoś chwycił je w rękę. Odważny wróg powinien ręką sięgnąć po czub wojenny. Irokezi są narodem zbyt wielkim, by karać tych, którzy biorą ich skalpy. Irokezi lubią patrzeć, jak inni robią to samo, co oni. Niechaj moja córka rozejrzy się wokół i policzy mych wojowników. Gdybym miał tyle rąk co cztery wojownicy, naliczyłbym mniej palców, niż miałem ludzi, kiedy przybyliśmy na wasze tereny łowieckie. A teraz brak mi całej ręki. Gdzie są jej palce? Dwa odcięła ta blada twarz. Moi Huroni pragną się przekonać, czy bladolicy uczynił to, bo serce jego było mężne, czy też postąpił w sposób zdradziecki – czy był szczwany jak lis, czy skoczył jak pantera.

–Sam wiesz, Huronie, w jaki sposób padł jeden z twych wojowników. Widziałam to i wyście wszyscy widzieli. Nie mogłam patrzeć na krwawy czyn Pogromcy Zwierząt, ale nie było w tym jego winy. Twój wojownik nastawał na życie Pogromcy, a on tylko się bronił. Nie wiem, czy moja dobra książka uważa taki uczynek za sprawiedliwy, ale wiem, że każdy by tak postąpił. Słuchaj, jeśli chcesz wiedzieć, kto tu strzela najlepiej, daj strzelbę Pogromcy Zwierząt, a zobaczysz, że zapędzi w kozi róg każdego z twych

wojowników z osobna i wszystkich razem, tak!

Gdyby znalazł się tutaj ktoś postronny i mógł obojętnie przyglądać się tej scenie, wielce by go ubawiła powaga, z jaką dzicy słuchali tłumaczenia niezwykle propozycji Hetty. Ani słowo drwiny, ani jeden uśmiech nie zmąciły ich zdziwienia. W oczach tych pierwotnych i okrutnych ludzi Hetty była istotą świętą i nigdy by się nie ośmielili szydzić z jej słabej głowy. Dlatego też wódz odpowiedział jej z wielkim szacunkiem.

–Moja córka nie zawsze mówi jak wódz na radzie przy ognisku – zaczął Rozdarty Dąb – i właśnie dała tego dowód. Dwaj moi wojownicy padli, pod ciosami tego oto jeńca. Ich mogiła jest za mała, aby zmieścić się w niej trzeci wojownik. Huroni nie lubią, żeby ich zmarli tłoczyli się w grobach. Jeśli trzeba jeszcze kogoś wyprawić w daleką krainę, nie może to być duch Hurona. Będzie to duch bladej twarzy! Idź, córko, i siądź przy Sumak, kobiecie pogrążonej w żałobie. Niech wojownicy hurońscy pokażą, jak potrafią strzelać, a blada twarz niechaj nam udowodni, że nie dba o nasze kule.

Umysł Hetty nie był zdolny do dłuższej utarczki słownej. Przyzwyczajona do słuchania starszych, postąpiła, jak jej przykazał Dąb. Usiadła cicho na pniu obok Sumak i odwróciła głowę, aby nie widzieć strasznej sceny, jaka się teraz miała rozegrać.

Natychmiast po przerwie, wywołanej wystąpieniem Hetty, wojownicy wrócili na swe stanowiska i przygotowywali się do popisów zręczności. Miały one, po pierwsze, wystawić na próbę męstwo jeńca, a po drugie, dowieść, że ręce strzelców wyborowych nie zadrżą, mimo ich wielkiego podniecenia. Cel był bliski i trafić nie było trudno. Ale zmniejszając odległość do celu, dręczyciele Pogromcy wystawiali jego nerwy na tym cięższą próbę. Twarz myśliwego znajdowała się w takiej odległości od wylotów strzelb, że wprawdzie ogień nie mógł jej osmalić, ale jeniec widział tuż przed sobą ich lufy, z których za chwilę mieli wylecieć posłańcy śmierci. Był to oczywiście jeszcze jeden podstęp Huronów. Każdy wojownik, zanim podniósł strzelbę do strzału, najpierw przykładął ją do czoła jeńcowi, w nadziei, że odwaga opuści białego, i hurońska gromada odniesie zwycięstwo: ujrzy, jak nieszczęśnik załamie się pod ciężarem wyrafinowanego okrucieństwa. Niemniej wszyscy zawodnicy pilnie baczyli, żeby nie zranić jeńca, gdyż cios przedwczesny byłby hańbą dla wojownika niewiele mniejszą niż chybienie celu. Rozpoczęła się kanonada. Kule padały tuż obok głowy Pogromcy. Nikt jednak nie ujrzał, by jeniec drgnął lub choćby zmrużył oko. Nieujarzmiony hart ducha Pogromcy, bez porównania przewyższający wszystkie znane obecnym przykłady męstwa, należy przypisać trzem wpływom. Pierwszą przyczyną postawy myśliwego było to, że poddał się losowi z właściwym sobie męstwem. Bohater nasz postanowił umrzeć, gdyż uważał to za najlepsze wyjście z sytuacji. Drugą przyczynę stanowiło to, że strzelba była rodzajem broni bardzo mu bliskim, dzięki czemu nie budziła w nim lęku, jakim broń palna napawa innych. Trzecią wreszcie przyczyną nieustraszonej postawy Pogromcy było tak

bliskie obeznanie ze strzelbą, że gdy patrzył teraz w wymierzoną weń lufę, mógł z dokładnością do jednego cala powiedzieć, gdzie padnie kula. Wyniki tak ściśle zgadzały się z jego przewidywaniami, że w końcu uczucie dumy wyparło uległość, i kiedy pięciu czy sześciu strzelców wpakowało kule w pobliskie drzewa, nie wytrzymał i w pogardliwy sposób zarzucił wojownikom, że ręce im się trzęsą, a oczy źle widzą.

–Mingowie! – zawołał. – Możecie nazywać to strzelaniem, ale my mamy wśród Delawarek squaws, a poza tym sam znałem młode Holenderki, do których wy się nie umywacie. Zdejmijcie mi więzy z ramion i dajcie strzelbę do rąk, a najcieńszy czub wojenny na głowie jednego z was przygwoźdź, kulą do drzewa, które sami wskażecie – i to z odległości stu jardów, niech wam będzie – dwustu, byle tylko cel był widoczny. Ręczę za dziewiętnaście strzałów na dwadzieścia, a nawet za wszystkie dwadzieścia, jeśli strzelba jest godna zaufania.

Huroni głuchym, groźnym pomrukiem przyjęli te kpiny w żywe oczy. Gniew ogarnął wojowników, gdy usłyszeli zarzut niedołęstwa z ust człowieka, który do tego stopnia gardził ich popisami, że nawet nie raczył zmrużyć oka, kiedy strzelali do niego z tak bliska, że gdyby się jeszcze trochę przysunęli, ogień osmaliłby mu twarz. Rozdarty Dąb rozumiał, że nadeszła krytyczna chwila, ale nie wyrzekł się nadziei przyjęcia do swego szczepu słynnego myśliwego. Mądry stary wódz wkroczył w samą porę, by powstrzymać wojowników od przejścia do tortur, które musiałyby skończyć się śmiercią ofiary i to, najprawdopodobniej, wśród strasznych męczarni. Wszedł między wzburzonych wojowników. Przemówił do nich tak chytrze i przekonywająco, że wszystkich sobie zjednał i od razu pohamował okrutne zapędy.

–Widzę, co się dzieje – powiedział. – Postąpiliśmy jak blade twarze, które z obawy przed czerwonoskórymi zamykają drzwi na noc. Potrafią oni tak się zaryglować, że jak przyjdzie ogień, spali ich, zanim zdążą wydostać się z domu. Zbyt mocno związaliśmy Pogromcę Zwierząt. Powrozy nie pozwalają drzeć jego członkom ani zamknąć się oczom. Rozluźnijcie więzy – zobaczymy, z czego ulepione jest ciało Pogromcy.

Często się zdarza, że kiedy miły naszemu sercu plan spali na panewce, chętnie chwytny się każdego sposobu, choćby bardzo niepewnego, byle tylko nie zrezygnować całkowicie z naszego projektu. Tak było i z Huronami. Z miejsca przyjęli propozycję, wodza. Wiele rąk wyciągnęło się, by poprzecinać więzy i uwolnić od nich naszego bohatera. W pół minuty potem Pogromca Zwierząt stał nie skrzepowany i wolny jak przed godziną, kiedy uciekając biegł pod górę. Władzę w członkach mógł jednak odzyskać dopiero po chwili, mocno bowiem ściśnięte więzy krępowyły obieg krwi. Sprytny wódz dał jeńcowi czas na powrót do sił pod pozorem, że jego ciało łatwiej podda się uczuciu lęku, gdy nie będzie tak naprężone. W gruncie rzeczy Dębowi szło o to, aby tymczasem opadła fala okrutnej nienawiści, jaką wezbrały piersi młodych wojowników. Podstęp się udał. Pogromca nacierał członki, przytupywał i kręcił się w miejscu, póki nie wrócił mu normalny obieg krwi. W ten

sposób szybko odzyskał siły fizyczne i czuł się tak, jakby nic mu się nie zdarzyło.

Ludzie rzadko myślą o śmierci wtedy, gdy mogą się pochwalić najlepszym zdrowiem i pełnią sił fizycznych. Nastrój jeńca też od razu się zmienił. Przed chwilą był związany tak beznadziejnie i znajdował się jedną nogą na tamtym świecie, teraz stanął wolny i w pełni sił. Gdy więc jeszcze odzyskał władzę w członkach, odczuł to, jakby powrócił do życia. Odżyła też w nim nadzieja, którą był już porzucił. Od tej chwili zmianie uległy również jego plany. Po prostu poszedł za głosem natury. Jeśli poprzednio stwierdziliśmy, że nasz bohater poddał się swemu losowi, wcale nie chcieliśmy przez to powiedzieć, że pragnął śmierci. Gdy zatem odzyskał poczucie siły, od razu zaczął z zapałem snuć rozmaite plany wyrwania się z rąk nieprzyjaciół. Był znowu mieszkańcem lasów, bystrym, pełnym pomysłów i zdecydowanym na wszystko, gotowym skorzystać ze swej siły i zapasów energii. Zmiana położenia fizycznego jeńca była tak wielka, że i umysł odzyskał swą giętkość – Pogromca myślał już nie o poddaniu się, losowi, lecz o podstępach, jakich można by użyć w sytuacji, w której się znalazł.

Po uwolnieniu jeńca z więzów, Huroni otoczyli go zwartym kołem. W miarę jak rósł hart i opór białego, dzikich ogarniało coraz gorętsze pragnienie złamania jego ducha. Szło teraz o honor Huronów. Nawet kobiety wyzbyły się reszty współczucia dla cierpień jeńca, tak bardzo zależało im na uratowaniu dobrego imienia szczepu. Głosy dziewcząt, z natury swej łagodne i melodyjne, wtórowały pogrożkom mężczyznom, Nagle krzywdy Sumak stały się obrazą wszystkich Huronek. Wrzawa wszczęta przez kobiety wciąż rosła, mężczyźni więc trochę się cofnęli, dając w ten sposób do zrozumienia niewiastom, że na chwilę zostawiają jeńca w ich rękach. Dzicy często postępowali tak w czasie tortur: kobiety starały się szyderstwami i obelgami rozsierdzić ofiarę, by potem nagle oddać ją w ręce mężczyznom w stanie rozdrażnienia, w którym trudniej było znieść męki fizyczne. I naszej gromadzie hurońskiej nie brakowało skutecznych środków w tej mierze. Sumak była aż nadto znana jako jędza. Poza tym z Huronami wyruszyło parę straszycieli pokroju Niedźwiedzicy, zapewne po to, aby strzec dobrych obyczajów (pod tym względem życie dzikich plemion niczym się nie różni od zwyczajów ludów cywilizowanych). Nie ma potrzeby przytaczać tutaj wszystkich wyzwisk, jakie może wymyślić okrutna i ciemna baba. Jedyna różnica między potokiem obelg miotanych przez rozgniewaną Indiankę a wyzwiskami kobiety białej polega na odmienności obrazów mowy i epitetów: Huronka, wymyślając jeńcowi, posługuje się nazwami najpodlejszych i najbardziej pogardzanych zwierząt, jakie zna.

Pogromcy jednak co innego było w głowie i nic sobie nie robił z obelg, jakimi obsypywały go rozwydrzone baby. Ich wściekłość rosła wraz z jego obojętnością i – na odwrót – jeniec był coraz obojętniejszy. Furie hurońskie w takich warunkach rychło wyczerpały swe możliwości i opadły z sił. Widząc, że atak zawiódł na całej linii, wojownicy wkroczyli i położyli kres babskim urąganiom. Mieli tego dość, tym bardziej że przygotowywali się już do prawdziwych tortur, które miały poddać próbie

wytrzymałość jeńca na dotkliwy ból fizyczny. Jednakże przygotowania zostały nagle przerwane. Przybył bowiem niespodzianie zwiadowca, chłopak lat około jedenastu, i przyniósł jakąś wiadomość.

Mając jednak na względzie, że pojawienie się zwiadowcy pozostaje w ścisłym związku z zakończeniem naszej powieści – co się stało, opowiemy już w następnym rozdziale.

ROZDZIAŁ 30

I ty nie jesteś wcale skory,

Żeby za prawdę brać pozory.

O, tutaj inne plony Niż te co chłopska kosa siecze,

Zebrała twarda ręka mieczem

i nożem wyostrzonym.

Scott

Pogromca Zwierząt nie mógł się dowiedzieć, co spowodowało nagłą przerwę w działaniach wojennych nieprzyjaciela – wyszło to na jaw dopiero w dalszym biegu wypadków. Zauważył natomiast wielkie poruszenie wśród niewiast. Wojownicy zaś opierali się o strzelby w postawie pełnego godności oczekiwania. Jasne było, że nie stało się nic takiego, co by ich zaniepokoiło, ale też nic nie wskazywało, by nastąpiła jakaś pomyślna dla nich zmiana. Rozdarty Dąb najwidoczniej wiedział, co się stało. Dał ręką znak, aby każdy pozostał na swym miejscu. Gest ten oznaczał, że stojąc w kole otaczającym jeńca należy czekać na dalszy rozwój wypadków. Wyjaśnienie tej dziwnej i tajemniczej sprawy nastąpiło w niespełna dwie minuty potem. Za Huronami otaczającymi jeńca ukazała się Judyta. Natychmiast wpuszczono ją do środka koła.

Jeśli Pogromca Zwierząt był zdumiony nieoczekiwanym przybyciem Judyty, bo dobrze wiedział, że aż nadto mądra dziewczyna nie mogła liczyć na wolność osobistą, jakiej tak chętnie udzielono jej niemądrej siostrze, nie mniej zadziwił go strój, w jaki się przebrała. Porzuciła swą prostą sukienkę mieszkanki lasów, schludną zresztą i przyzwoitą, i włożyła (znaną czytelnikowi) brokatową suknię, w której już raz wywarła tak wielkie wrażenie. Ale to jeszcze nie wszystko. Nieraz przecież widziała garnizonowe panie wystrojone na przyjęcia i sama dobrze знаła tajniki ówczesnej mody damskiej. Dołożyła więc starań, by jej strój był pod każdym względem nienaganny i aby nawet w szczegółach mógł zadowolić oko wytrawnego znawcy. Głowa, stopy, ramiona, ręce, biust i upięcie sukni – wszystko to harmonizowało z sobą (oczywiście wedle ówczesnych pojęć o elegancji i wdzięku kobiecej toalety). Chciała przepychem swego stroju tak oszołomić dzikich, aby uwierzyli, że jest wielką panią. Ale nawet bywalcy salonów, z łatwością odróżniający damę od prostej kobiety, byliby oczarowani jej wyglądem. Judyta nie tylko była kobietą rzadko spotykanej urody, ale miała nadto wiele osobistego wdzięku. Matka, kobieta światowa, nauczyła ją manier tak gładkich, że w obejściu dziewczyny nie było nic wyzywającego lub rażącego. Nie znalazłbyś, zaiste, damy bardziej godnej tej wspaniałej sukni. W każdej stolicy na tysiąc kobiet, które by się pokazały w toalecie Judyty, może jednej byłoby lepiej w tych barwnych, olśniewających atłasach i bogatych koronkach, niż

dziewczynie, której urodzie przydawały w tej chwili blasku. Wrażenie, jakie wywołało pojawienie się Judyty, nie zawiodło jej oczekiwań. Zaledwie znalazła się w środku koła, ogromne zdziwienie i ogólny zachwyt Indian w znacznym stopniu wynagrodziły jej straszne niebezpieczeństwo, na jakie się naraziła. Posępni starzy wojownicy wydali swój ulubiony okrzyk: „hugh!” Młodzież męska nie posiadała się z zachwytu, a nawet kobiety nie omieszkały głośno wyrazić swego uznania. Huroni – pierwotne dzieci puszczy – niezmiernie rzadko spotykali białe kobiety, nie należące do nizin społecznych, a oczu ich nigdy dotąd nie olśnił blask stroju tak wspaniałego jak suknia. Judyty. Najbarwniejsze mundury Francuzów i Anglików bledły w porównaniu z lśniącym przepychem brokatu. Niepospolita uroda właścicielki sukni dodawała blasku jej barwom, ale i strój podnosił wdzięki swej pani w sposób, który przeszedł jej najśmielsze oczekiwania. Pogromca Zwierząt też był zdumiony – zarówno wspaniałym wyglądem Judyty, jak i pogardą niebezpieczeństwa, na które narażała się, podejmując krok tak zuchwały. Wszyscy więc niecierpliwie czekali, co gość powie o celu swej wizyty, który dla większości obecnych wydawał się co najmniej tak niepojęty, jak samo zjawienie się Judyty.

–Który z tych wojowników jest najstarszym wodzem? – zapytała Judyta Pogromcę Zwierząt, gdy zauważyła, że wszyscy czekają, by pierwsza zabrała głos. – Sprawa, która mnie tutaj sprowadza, zbyt jest ważna, bym mogła przedstawić ją wodzowi niższego stopnia. Najpierw powtórz Huronom, co powiedziałam, potem odpowiedz na moje pytanie.

Myśliwy spokojnie wykonał polecenie Judyty. Zebrani chciwie słuchali tłumaczenia pierwszych słów, jakie padły z ust, niezwyklej zjawy. Żądanie wydało im się zupełnie uzasadnione, gdyż gość wyglądał na ważną osobistość. Odpowiedzi udzielił Rozdarty Dąb. Stał przed pięknym gościem z tak godną miną, że nie mogło być najmniejszej wątpliwości, iż ma pełne prawo do szacunku, jakiego dla siebie wymaga.

–Chętnie w to wierzę, Huronie – podjęła Judyta grając swą rolę śmiało i z godnością, co jak najlepiej świadczyło o jej zdolnościach aktorskich. Starła się nadać swemu obejściu znamiona łaskawej uprzejmości, podpatrzonej kiedyś u żony pewnego generała w sytuacji podobnej, choć nie tak groźnej. – Chętnie wierzę, że jesteś tutaj pierwszą osobą. Twoje oblicze mówi mi, żeś jest człowiek myślący i pełen rozważli. Tobie więc powiem, o co mi chodzi.

–Niech Leśny Kwiat mówi – uprzejmie odparł stary wódz, gdy Pogromca przetłumaczył słowa Judyty i wszyscy je zrozumieli. – Jeśli słowa Leśnego Kwiatu są tak miłe jak jego wygląd, nigdy nie opuszczą moich uszu. Będę je słyszał wtedy, gdy zima położy trupem kwiaty i zmrozi mowę lata.

Judyta lubiła przyjmować hołdy i z przyjemnością wysłuchiwała słów Dęba, które pochlebając próżności pięknej dziewczyny dodały jej pewności siebie. Choć chciała zachować się z rezerwą, mimo woli uśmiechnęła się, po czym przystąpiła do rzeczy.

–A teraz posłuchaj, Huronie, co ci powiem. Twe oczy mówią ci, że nie masz do czynienia ze zwykłą kobietą. Nie twierdzą, że jestem władczynią tej krainy. Królowa przebywa w dalekim kraju. Ale miłościwie nam panujący monarchowie nadają niektórym swym poddanym różne wysokie godności – ja piastuję jedną z nich. Na czym polega mój urząd, nie powiem, bo i tak byś tego nie zrozumiał. Musisz uwierzyć swym oczom. Sam widzisz, kim jestem. Trzeba też, byś zrozumiał, że mówi do ciebie osoba, która może być twym przyjacielem lub wrogiem, zależnie od tego, jak się wobec niej zachowasz.

Judyta bardzo dobrze wypowiedziała swą mowę. Poparła ją wytwornym gestem, mówiła zaś tonem pewnym siebie, co wcale nie było łatwym zadaniem, jeśli zważymy, w jakiej sytuacji się znajdowała. Przemówienia Judyty, wiernie przełożonego przez Pogromcę Zwierząt na język irokezki, Huroni wysłuchali w skupieniu, co było dobrą wróżbą dla jej misji. Wiemy jednak, że nie łatwo jest zajrzeć w duszę Indianina i odczytać jego myśli. Judyta więc niecierpliwie czekała na odpowiedź. Była dobrej myśli, ale nie miała pewności, jak Indianie przyjmą jej przemówienie. Rozdarty Dąb był ciętym mówcą i mógł jej z miejsca odpowiedzieć. Zabrał jednak głos dopiero po chwili. Wymagały tego indiańskie zasady przyzwoitości. Dziwni ci ludzie uważają bowiem krótką zwłokę w udzieleniu odpowiedzi za objaw szacunku dla rozmówcy. Chwila milczenia ma oznaczać, że dobrze zważyło się usłyszane słowa.

–Moja córka piękniejsza jest niż dzikie róże w Ontario. Głos jej miłszy jest uchu niż śpiew mysikrólika – odpowiedział chytry i podejrzliwy wódz, który jedyny z całej gromady nie doznał zawrotu głowy na widok wspaniałej kobiety. Dąb był zachwycony Judytą, ale jej wcale nie ufał. – Koliber niewiele jest większy od pszczoły, a piórka ma pstre jak ogon pawia. Wielki Duch czasem w barwne sukienki przystraja całkiem małe zwierzątka, a za to wielkiego łosia okrył grubą sierścią. Są to sprawy niepojęte dla biednych Indian, którzy rozumieją tyle, ile sami widzą i słyszą. Zapewne moja córka ma wielki wigwam w tych stronach. Czy Huroni nie zauważyli go, bo są na to za głupi?

–Mówiłam ci już raz, że nie ma sensu, bym ci tłumaczyła, kim jestem i gdzie mieszkam, gdyż i tak nic z tego nie zrozumiesz. Musisz wierzyć własnym oczom. Chyba żaden z obecnych tu czerwonoskórych nie jest ślepy? Strój, który mam na sobie, nie jest podobny do chustki, jaką zwykła squaw zarzuca na ramiona. W takich bogatych szatach pokazują się tylko żony i córki wodzów. Teraz nadstaw ucha i posłuchaj, czemu przybyłam do was sama, a potem dowiesz się, co mnie tu sprowadziło. Jankesi, tak jak Huroni, mają swoją młodzież, mnóstwo młodzieży. Sam dobrze o tym wiesz.

–Jankesów jest tyle, ile liści w lesie! Każdy Huron to wie i rozumie.

–Widzisz, wodzu, gdybym przyszła tu z moim wojskiem, mogłoby być źle. Moja młodzież i twoja młodzież krzywo patrzyłyby na siebie, zwłaszcza gdyby moi chłopcy

zobaczyli, że chcecie wziąć na męki tę bladą twarz. Wielki to myśliwy, bardzo lubiany we wszystkich garnizonach, bliskich i dalekich. O tę właśnie bladą twarz poszłoby tutaj na ostre – Irokezi krwią by naznaczyli swą drogę powrotną do Kanady.

–Tyle już krwi znaczy nasze ślady – posępnie odparł wódz – czerwony kolor oślepił nasze oczy. Moja młodzież wie, że tylko hurońska krew się poląła.

–Ani chybi. I znów Huroni by się skrwawili, gdybym tu przyszła w otoczeniu bladych twarzy. Słyszałam o Rozdartym Dębie i pomyślałam sobie, że lepiej odesłać go w pokoju do wioski rodzinnej, aby zostawił tam kobiety i dzieci. Jeśliby potem miał ochotę przyjść po nasze skalpy, moglibyśmy wyjść mu na spotkanie. On kocha się w zwierzętach z kości słoniowej i małych strzelbach. Patrz! Przyniosłam trochę tego, żeby mu pokazać. Jestem jego przyjaciółką. Jeśli zapakuje moje prezenty razem ze swym dobytkiem i ruszy w drogę do swej wioski, moi młodzi wojownicy go nie dogonią. Rozdarty Dąb pokaże swym rodakom w Kanadzie, jakie bogactwa mogą tu znaleźć. Wiadomo zaś, że nasi wielcy ojcowie z tamtej strony słonego jeziora posłali sobie topory wojenne. Wobec tego wezmę z sobą wielkiego myśliwego, który jest mi potrzebny – będzie zaopatrywał mój dom w dziczyznę.

Judyta, dostatecznie obeznana z indiańskimi obrazami mowy, starała się wyrażać swe myśli w sposób sentencjonalny, właściwy dzikim plemionom. Zrobiła to lepiej, niż się spodziewała. Pogromca Zwierząt tłumaczył jej słowa, wiernie i tym chętniej, że dziewczyna pilnie unikała jawnego kłamstwa. Uszanowała w ten sposób znaną jej odrazę młodzieńca do fałszu, jako rzeczy niecnej i niegodnej białego człowieka. Zaofiarowanie Huronom jeszcze dwóch słoni i pistoletów (jeden z nich, jak wiemy, uległ nieszczęśliwemu wypadkowi i do niczego już się nie nadawał) wywołało ogólne poruszenie. Tylko Rozdarty Dąb oziębło odniósł się do propozycji Judyty, acz za pierwszym razem ogarnął go zachwyty, gdy się dowiedział, że istnieje zwierzę z dwoma ogonami. Słowem, ten zimny i bystry Indianin nie dał się omamić tak łatwo jak jego towarzysze. Z dumą, którą w świecie cywilizowanym uważano by za przesadną, odmówił przyjęcia okupu, nie miał bowiem zamiaru w zamian za te podarunki uczynić zadość życzeniom ofiarodawczyni.

–Niech moja córka zatrzyma swego dwuogoniastego wieprzka. Będzie miała co jeść, gdy zabraknie jej dziczyzny – odparł z przekąsem. – Nie chcę też małej strzelby z dwoma lufami. Huroni, gdy będą głodni, zabijają jelenia. Na wroga mają długie strzelby. Ten myśliwy nie może teraz rozstać się z moją młodzieżą, która chce sprawdzić, czy jest taki mężny, jak się przechwała.

–Temu muszę zaprzeczyć, Huronie – gorąco zaprotestował Pogromca Zwierząt. – Stanowczo wypraszam sobie, byś mówił o mnie rzeczy nieprawdziwe i niemądre. Nikt jeszcze nie słyszał, żebym się przechwalał, i nikt nie usłyszy, choćbyście żywcem obdarli mnie ze skóry i przypiekali drgające mięso, dopuszczając się przy tym wymyślnych i szatańskich okrucieństw. Może los mój jest godny pożałowania, jestem

przecież waszym nieszczęsnym jeńcem. Ale nie ma we mnie ani krzty samochwalstwa.

–Moja młoda blada twarz przechwala się, że się nie przechwala – powiedział cięty wódz. – Chyba ma rację. Słyszę tu śpiew dziwnego ptaka. Jest tak bogaty w piórka, że żaden Huron nie widział jeszcze równie pięknego upierzenia. Wstyd byłoby Huronom wrócić do wioski rodzinnej i powiedzieć swym braciom, że puścili wolno jeńca, bo oczarował ich śpiew niezwykłego ptaka, ale, niestety, nie mogą powiedzieć, jak się nazywa to stworzenie. Nie wiedzą, czy to mysikrólik, czy rajski ptak. Wstydu byłoby co niemiara. Młodym wojownikom nie pozwolono by samym chodzić do lasu – szłyby z nimi mamusie i uczyły ich nazw ptaków.

–Zapytaj się jeńca o moje imię – odparła dziewczyna. – Nazywam się Judyta. O Judycie wiele się mówi w najlepszej książce bladych twarzy, w Biblii. Mam nie tylko piękne pióra, mam także swoje imię.

–Nie – odrzekł chytry Huron przechodząc na język angielski, którym władał nienajgorzej. (Dopiero teraz wydał się podstęp, jakim wódz tak długo się posługiwał). – Ja nie spytam jeńca. On zmęczony. Jemu trzeba odpoczynku. Spytam moją córkę, co ma słabą głowę. Ona mówi prawdę. Chodź no tutaj, córko. Ty odpowiesz. Twoje imię Hetty, nieprawdaż?

–Tak, tak mnie wołają – odpowiedziała Hetty. – Ale w Biblii imię to brzmi – Estera.

–Popatrz w Biblii. Wszystko mają w Biblii. To nic – mów, jakie imię tamtej kobiety!

–Judyta, tak jak w Biblii. Ale tatuś czasem mówił na nią: Judytka. To moja siostra, Judyta, córka Tomasza Huttera, tego samego, którego wy nazywaliście Piżmoszczurem, chociaż był człowiekiem niegorszym od was – po prostu żył na wodzie, a wy od razu: Piżmoszczur.

Uśmiech triumfu rozjaśnił poorane, zmarszczone oblicze wodza, kiedy okazało się, że słusznie postąpił, zwracając się z pytaniem do prawdomównej Hetty. Judyta, gdy tylko Dąb zapytał Hetty o jej imię, wiedziała, że wszystko stracone, gdyż ani znak, ani wyraźna prośba nie nakłoniłyby jej siostry do kłamstwa. Zdała sobie sprawę, że córka Piżmoszczura na próżno starałaby się wmówić Indianom, że jest księżniczką albo wielką damą. Jej śmiały i dowcipny pomysł uwolnienia jeńca z niewoli zawiódł z przyczyny tak błahej i zwyczajnej. Rzuciła Pogromcy błagalne spojrzenie, żeby zrobił coś dla uratowania ich obojga.

–Nie da rady, Judyto – odpowiedział młodzieniec na jej wymowne spojrzenie. – Szkoda gadać. Myśl była śmiała, godna pani generałowej, ale ten Mingo – Dąb odszedł na bok i nie mógł słyszeć słów myśliwego – to niezwykły człowiek i nie da się nabrać na kawał. Żeby go oszukać, wszystko musi być łądząco podobne do

prawdziwego – wtedy chmura przesłoni mu oczy. Ale takiemu jak on w żaden sposób nie wmówisz, że królowa czy wielka dama mieszka tutaj, w górach. Dąb pewnie domyśla się, że twoje piękne suknie pochodzą z rozboju uprawianego przez starego Huttera, twego tatusia – albo tego, który długo uchodził za waszego ojca. A z suknią prawdopodobnie tak było, jeśli prawdą jest, co ludzie mówili o nieboszczyku.

–W każdym razie, Pogromco Zwierząt, moja obecność tutaj może na jakiś czas uchronić cię przed torturami. Nie mogą dręczyć cię na moich oczach!

–Czemuż by nie, Judyto? Czy sądzisz, że do bladolicej kobiety odniosą się lepiej niż do Indianek? Twoja płeć może co prawda uchronić cię od tortur, ale nie zapewni ci wolności i może nie ocali twego skalpu. Żałuję bardzo, żeś tu przyszła, moja miła. Mnie to nie uratuje, a ciebie może zgubić.

–Podzielę twój los – odparła dziewczyna z szlachetnym uniesieniem. – Nie zrobią ci nic złego, póki tu jestem. Uczynię, co będzie w mej mocy, aby ich odwieść od tego. Zresztą...

–Zresztą co, Judyto? W jaki sposób chcesz zapobiec indiańskim okrucieństwom i ich szatańskim wymysłom?

–Nie wiem, Pogromco Zwierząt – odparła Judyta. – Ale mogę podzielić cierpienia moich przyjaciół... i jeśli zajdzie potrzeba, umrzeć wraz z nimi.

–Ach, Judyto! Możesz cierpieć, ale umrzesz dopiero wtedy, gdy tak się spodoba Panu. Wątpię, żeby kobietę tak młodą i piękną mogło spotkać coś gorszego niż wyjście za któregoś z wodzów hurońskich, jeśli tylko, jako biała, zgodziłabyś się na takie małżeństwo. O ileż lepiej byłoby, gdybyś została na arce lub w zamku. Ale co się stało, to się nie odstanie. Zdaje się, żeś chciała coś powiedzieć i urwałaś na słowie „zresztą”.

–Boją się o tym mówić, Pogromco Zwierząt – spieszenie odparła Judyta, po czym z niewinną miną podeszła do niego i zniżyła głos. – Pół godziny to dla nas wszystko. Twoi przyjaciele nie próżnują.

Myśliwy odpowiedział tylko pełnym wdzięczności spojrzeniem. Potem odwrócił się do swych wrogów, dając w ten sposób znak, że gotów jest poddać się mękom... Starszyzna odbyła tymczasem krótką naradę i powzięła już decyzję. Nieudany podstęp Judyty mógł wywołać następstwa zgoła przeciwne jej intencjom, a w każdym razie podważył plany Rozdartego Dęba, zmierzające do ułaskawienia jeńca. Rzecz to zupełnie naturalna. Nienawiść Indian do Pogromcy Zwierząt podsyciło przekonanie, że niewiele brakowało, by niedoświadczona dziewczyna wystrychnęła ich wszystkich na dudków. Wiedzieli już dobrze, kim jest Judyta. Dopomogła im w tym szeroka sława jej urody. Niezwykły strój wiązała jakoś z niezgłębioną tajemnicą zwierząt z

dwoma ogonami i w tej chwili nie przywiązywali już większej wagi do tej sprawy.

Dlatego gdy Rozdarty Dąb znów stanął przed jeńcem, wyraz jego twarzy bardzo się zmienił. Zrezygnował z chęci ocalenia myśliwego i nie myślał już o odwlekaniu dalszego ciągu tortur – bardziej okrutnych niż dotąd. Nowe uczucia wodza udzieliły się młodym wojownikom, którzy krzatali się z zapalem, przygotowując straszliwe widowisko. W pośpiechu ułożyli stos suchych gałęzi pod drzewem, zebrali drzazgi, które miało się wbijać w ciało ofiary i zapalać, gotowe też były powrozy z kory. Wszystko odbyło się w głębokiej ciszy. Judyta z zapartym oddechem śledziła przygotowania Indian. Pogromca Zwierząt stał nieruchomy jak sosna na wzgórzu. Gdy jednak podeszli wojownicy, aby go związać, spojrzeniem zapytał Judytę, co radzi: stawić opór czy poddać się oprawcom. Dziewczyna wymownym gestem poradziła mu, żeby się nie bronił. W ciągu minuty przywiązano myśliwego do drzewa. Był znów bezbronną ofiarą, wystawioną na zniewagi i męki. Wojownicy tak się uwijali, że nie padło ani jedno słowo. Natychmiast podpalili stos. Wszyscy niecierpliwie czekali końca okrutnego widowiska.

Ale Huroni bynajmniej nie chcieli spalić jeńca. Zamierzali jedynie wytrzymałość fizyczną białego poddać próbom tak okrutnym, żeby ledwie uszedł z życiem. Chcieli w końcu zabrać z sobą skalp Pogromcy, ale wpieryw pragnęli złamać jego opór i tak go zgnębić, żeby głośno biadał nad swym losem. W tym celu ułożyli stos w takiej odległości od ofiary, aby żar był nie do zniesienia, a jednak nie spalił go na śmierć. Jak to bywa w podobnych wypadkach, Huroni źle obliczyli odległość. Rozwidlone języki ognia zaczęły lizać twarz ofiary. Ogień byłby spalił Pogromcę, gdyby nie Hetty, która, uzbrojona w kij, przedarła się przez hurońską ciżbę i rozrzuciła płonący stos. Ręce Huronów podniosły się. Chcieli powalić na ziemię zuchwałego intruza. Wodzowie powstrzymali jednak wzburzonych wojowników, przypominając im, że Hetty, jako osoba słaba na umyśle, jest nietykalna. Hetty nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa, na jakie się naraża. Teraz, gdy już dokonała śmiałego czynu, stała w tłumie Huronów, rozglądając się wokół niechętnie i marszcząc brwi, jakby Indianom, patrzącym na nią uważnie, chciała dać burę za to, że są tak okrutni.

–Niech Bóg ci błogosławi za twą przytomność umysłu i odwagę, najdroższa siostrze – szepnęła Judyta, sama nieprzytomna z przerażenia. – Niebo przysłało cię tutaj w świętej misji.

–Dobrze, świetnie to Hetty zrobiła, Judyto – powiedział Pogromca – i w samą porę, choć może nie warto już odwlekać końca mych tortur. Jeśli, rozumiesz, coś ma się stać, musi nastąpić prędko, inaczej będzie za późno. Gdybym łyknął ognia, żadna siła ludzka już by mi nie uratowała życia. Jak widzisz, tym razem tak mi czoło przywiązali do drzewa, że zupełnie nie mogę poruszyć głową. Tak, Hetty miała dobre intencje, ale może lepiej byłoby dla mnie, gdyby ogień zrobił swoje.

–Okrutni Huroni, ludzie bez serca! – zawołała oburzona Hetty. – Chcecie spalić

człowieka, chrześcijanina, jak. kawał drzewa? Czy nigdy nie czytacie Biblii? I wy myślicie, że Bóg wam to przebaczy?

Rozdarty Dąb dał znak, żeby zebrać rozrzucone głównie. Wojownicy znów przynieśli drzewa. Nawet kobiety i dzieci gorliwie zbierały chrust. Właśnie ogień pomału się rozpałał, gdy nagle jakaś Indianka przecisnęła się przez tłum, podeszła do stosu, zdeptała podpałkę i w ten sposób zgasła ogień, zanim rozpałił się na dobre. Huroni okrzykami wściekłości przyjęli ten drugi przykry zawód. Kiedy jednak winowajczyni odwróciła się do nich i ujrzeli twarz Cyt, powitali ją okrzykami radości i zdziwienia. Na chwilę Indianie zapomnieli o torturach i wszyscy, starzy i młodzi, cisnęli się do dziewczyny, chcąc się czym prędzej dowiedzieć, dlaczego wróciła tak nagle i niespodziewanie. W chwili ogólnego zamieszania Cyt powiedziała po cichu parę słów do Judyty i ukradkiem wetknęła jej do ręki jakiś mały przedmiot, po czym podeszła do serdecznie witających ją dziewcząt hurońskich, które bardzo polubiły młodą Delawarkę. Judyta odzyskała zimną krew. Nie traciła czasu. Mały, ostry nóż, otrzymany od Cyt, oddała Hetty, jako najpewniejszej i najmniej podejrzanej pośredniczce, która mogła zanieść go Pogromcy Zwierząt. Ale rozum Hetty nie dopisał i dziewczyna zawiodła pokładane w niej nadzieje. Zamiast przeciąć więzy na rękach Pogromcy, a potem włożyć mu nóż do kieszeni, aby mógł użyć go w stosownej chwili, sama z wielką powagą i naiwnością przystąpiła do dzieła. Zaczęła przecinać powrozy otaczające czoło jeńca. Chciała, żeby mógł poruszać głowę i nie nalykał się ognia. Oczywiście Huroni natychmiast zauważyli ten jawny postępek Hetty i chwycili ją za ręce, gdy już przecięła więzy krępujące głowę i pierś Pogromcy, a nie zdążyła jeszcze oswobodzić jego rąk poniżej łokci. Ujawniona zdrada od razu wzbudziła podejrzenia względem Cyt. Nieustraszona Delawarka, zapytana przez Huronów, ku wielkiemu zdziwieniu Judyty, wcale się nie wyparła udziału w zamachu dokonanym przez Hetty.

–Czemu nie miałabym pomóc Pogromcy Zwierząt? – zapytała odważnie. – To brat wodza Delawarów. Moje serce jest na wskroś delawarskie. Wystąp, nędzny Cierniu Głogu, zmyj z twarzy irokezkie malowidło. Pokaz się Huronom taką wroną, jaką jesteś. Ty byś żarł ścierwo własnych braci, byle nie cierpieć głodu. Wodzowie i wojownicy! Postawcie go twarzą w twarz z Pogromcą Zwierząt. Pokaże wam, jakiego łotra trzymaliście wśród siebie.

Te śmiałe słowa, wypowiedziane przez Cyt w narzeczu irokezkim z wielką pewnością siebie, wywołały ogromne poruszenie wśród Huronów. Zdrada zawsze pociąga za sobą nieufność. Chociaż delawarski odszczepieniec, Cierń Głogu, wysługiwał się wrogom swego szczepu i jak mógł zabiegał p ich względy, zyskał tyle, że ledwie go cierpiano. Chęć poślubienia Cyt sprowadziła go na drogę gwałtu i zdrady własnego szczepu. Ale wśród swych nowych przyjaciół znalazł niebawem poważnych rywali, starających się o względy Cyt, co jeszcze bardziej zwiększyło niechęć Huronów do zdrajcy. Słowem, pozwolono mu wprawdzie przebywać w obozie, ale nie spuszczano go z oka, podobnie jak Cyt. Cierń rzadko pokazywał się na oczy wodzom i skrzętnie

unikął spotkania z Pogromcą Zwierząt, który do tej chwili nie wiedział, że zdrajca ukrywa się tutaj. Alą, wywołany po imieniu przez Cyt, Cierń nie mógł już chować się za plecami Huronów. „Zmyj z twarzy irokezkie malowidło” – łatwo jej się powiedziało. Myć się – Cierń wcale nie miał ochoty. Wyszedł na środek tak dobrze umalowany na Irokeza, że myśliwy zrazu go nie poznał. Z wyzywającą miną zdrajca zapytał wyniośle, kto tu miałby coś do powiedzenia przeciw Cierniowi Głogu.

–Zapytaj o to samego siebie – żywo odparła Cyt. W jej zachowaniu jednak dało się odczuć jakby wahanie i roztargnienie. Nie uszło to uwagi Pogromcy i Judyty, a może i innych. – Odpowiedź znajdziesz we własnym sercu, ty łasico, która wysliznęła się od Delawarów. Nie rób miny niewiniątka. Idź przejrzeć się w źródle – a na swej obleśnej gębie zobaczysz kolory twych nieprzyjaciół. Potem wróć tutaj i pochwal się, jak uciekłeś od własnego szczepu i nakryłeś się francuskim kocem. Możesz się wymalować pstro jak koliber – i tak pozostaniesz czarną wroną.

Cyt w czasie swego pobytu w obozie była zawsze tak miła i łagodna, że Huroni z niemałym zdziwieniem słuchali teraz jej słów. Zdrajcy krew zawrzała w żyłach. Piękna oskarżycielka miała szczęście, że nie mógł wyładować na niej żądzy zemsty, jaką zapalał teraz do przedmiotu swej niefortunnej miłości.

–Kto chce poznać Ciernia? – zapytał groźnie. – Jeśli blada twarz jest zmęczona życiem, jeśli przelękała się indiańskich tortur – powiedz słowo, Rozdarty Dębie, a pošlę ją za wojownikami, których żeśmy stracili.

–Nie, wodzu, nie, Rozdarty Dębie! – zawołała Cyt, – Pogromca Zwierząt nie lęka się niczego, a najmniej wrony! Przetnij więzy, które go krępują – postaw go twarzą w twarz z tą kraczącą wroną. Zobaczymy, kto tu zmęczony jest życiem.

Cyt zrobiła krok naprzód. Chciała wziąć nóż z ręki młodego wojownika i przeciąć więzy jeńca. Ale na znak Rozdartego Dęba jeden ze starszych wojowników zatrzymał Delawarkę. Wódz ani trochę nie ufał Cyt i pilnie śledził każdy jej ruch, gdyż nawet kiedy przemawiała z wielką dufnością, było coś niepewnego w jej zachowaniu i jakby na coś czekała. Nie uszło to uwagi bystrego obserwatora, jakim był wódz Huronów. Mimo że Cyt dobrze grała swą rolę, poza Dębem jeszcze paru innych starych wojowników spostrzegło się, że dziewczyna chce ich wywieść w pole. Dlatego starszyzna odrzuciła propozycję Delawarki. Zawiedzioną w swych nadziejach Cyt wojownicy odciągnęli od drzewa w chwili, gdy już myślała, że jej podstęp się udał. Indianie, którzy przez chwilę zbiegli się koło jeńca, teraz stanęli kołem – porządek znów został przywrócony. Rozdarty Dąb obwieścił, że starszyzna postanowiła wznowić tortury, gdyż zwłoka trwała już długo, a nic nie przyniosła.

–Czekajcie, Huroni! Słuchajcie, wodzowie! – zawołała Judyta, sama nie wiedząc, co mówi. Wiedziała tylko, że trzeba zyskać na czasie. – Na miłość boską, jeszcze chwilę...

Nie dokończyła, gdyż słowa jej przerwało nowe, jeszcze bardziej niezwykle wydarzenie. Jakiś młody Indianin przedarł się przez szeregi Huronów i wskoczył w środek koła. Czyn jego świadczył albo o wielkim zaufaniu do Huronów, albo o zuchwalstwie graniczącym z szaleństwem. Pięciu lub sześciu wartowników pilnowało brzegów jeziora w różnych punktach, mniej lub więcej odległych od obozu. Pierwszą myślą Rozdartego Dęba było, że jeden z nich przybiegł z ważną wiadomością. Ruchy przybysza były tak błyskawiczne, a jego strój wojenny (miał na sobie niewiele więcej okrycia niż starożytna statua) tak się niczym nie wyróżniał, że w pierwszej chwili niesposób było orzec, czy to przyjaciel czy wróg. W trzech skokach przybysz znalazł się przy Pogromcy Zwierząt i w okamgnieniu przeciął więzy. Uczynił to tak dokładnie, że jeniec znów stał się panem swych członków. Do tej chwili Indianin nie zwracał uwagi na nikogo poza Pogromcą. Teraz odwrócił się i okazał zdumionym Huronom wyniosłe czoło, orle oko i piękną postawę młodego wojownika w malowidłach i pełnej zbroi Delawara. W obu rękach trzymał strzelby, opierając ich kolby o ziemię. Przy jednej z nich wisiał mieszek na kule i róg na proch. Był to „Postrach Zwierząt”. Indianin, zuchwale mierząc wzrokiem otaczający go tłum Huronów, wręczył „Postrach Zwierząt” jego właścicielowi. Na widok dwóch uzbrojonych mężczyzn Huroni zadrżeli, chociaż otaczali kołem swych wrogów. Własne strzelby oparli o drzewa w głębi lasu. W rękach mieli jedynie noże i tomahawki. Ale byli zbyt opanowani, aby okazać przerażenie. Zresztą trudno było przypuścić, że dwaj wojownicy zaatakują tak liczny oddział Huronów. Wszyscy spodziewali się, że po śmiałym kroku Delawara padnie teraz z jego ust jakaś niezwykła propozycja. Obcy nie zawiódł tych oczekiwań i zabrał głos.

–Huroni! – powiedział. – Ziemia jest wielka. Jeziora też nie są małe. Z tamtej ich strony dosyć jest miejsca dla Irokezów, z tej strony – mogą się zmieścić Delawarzy. Jestem Chingachgook, syn Unkasa, potomek Tamenunda. Oto moja narzeczona. Ta blada twarz – to mój przyjaciel. Ciężko było memu sercu, gdy zabrakło mi przyjaciela. Wszystkie delawarskie dziewczęta czekają na powrót Cyt i dziwią się, że tak długo nie ma jej w domu. Słuchajcie, powiemy sobie „do widzenia” i każdy pójdzie swoją ścieżką.

–Huroni! To wasz śmiertelny wróg, Wielki Wąż Delawarów, do których pałacie nienawiścią! – zawołał Cierń Głogu. – Jeśli ujdzie stąd żywy, krew wypełni ślady waszych mokasynów – stąd aż do Kanady. Ja od stóp do głów jestem Huronem.

Mówiąc to, zdrajca cisnął nożem w nagą pierś Delawara. Cyt, która stała obok Ciernia, szybkim ruchem podbiła mu rękę. Ostrze niebezpiecznej broni wbiło się w sosnę. W okamgnieniu ta sama broń błysnęła w ręku Węża i zadrgała utkwivszy w piersi zdrajcy. Zaledwie minuta upłynęła od chwili, gdy Chingachgook wyskoczył na środek koła, do chwili gdy Cierń Głogu jak kłoda zwałił się na ziemię. Wypadki tak szybko nastąpiły po sobie, że Huroni stali jak wryci. Ale po śmierci Ciernia zrozumieli, że nie ma na co czekać Podnieśli krzyk, powstało zamieszanie. Wtem dały się słyszeć odgłosy nie spotykane w lesie. Wszyscy Huroni, mężczyźni i kobiety,

zatrzymali się i w milczeniu nadstawili uszu, a twarze ich nabrały wyrazu oczekiwania. Odgłosy powtarzały się regularnie, dudniąc głucho, jakby kilofy waliły w ziemię. Coś mignęło w głębi lasu. Ukazał się oddział wojska, maszerujący miarowym krokiem. Szli do ataku. Szkarłatne mundury królewskiego pułku błyszcząły wśród jasnej zieleni leśnego listowia.

Co się działo potem, trudno opisać. Powstał dziki zamęt i wywiązała się zażarta, rozpaczliwa walka – wszystko tak się skłębilo, że mowy być nie mogło o jakimś jednolitym działaniu. Otoczeni Huroni zawyli – odpowiedziały im dziarskie okrzyki Anglików. Muszkiety i strzelby milczały, słyhać było tylko ciężki, miarowy krok wojska. Przed oddziałem, liczącym około sześćdziesięciu ludzi, połyskiwały bagnety. Huroni znaleźli się w pułapce bez wyjścia. Z trzech stron otaczała ich woda, z czwartej odwrót odciął straszny wróg, dobrze obeznany z wojennym rzemiosłem. Wojownicy pobiegli po broń, po czym wszyscy – mężczyźni, kobiety i dzieci – zaczęli się chować, gdzie kto mógł. W czasie największego zamieszania i popłochu Pogromca Zwierząt zachował niczym niezmacony spokój i rozwagę. Pierwszą jego troską było ukryć za drzewami Judytę i Cyt, potem rozejrzał się na Hetty. Ale biedną dziewczynę porwała gromada Huronek. Teraz Pogromca rzucił się na skrzydło uciekających Huronów, którzy zmierzali ku południowemu brzegowi przylądka w nadziei, że może wpław uda im się ujść z życiem. Myśliwy szukał okazji do odwetu. Nagle ujrział dwóch swych oprawców, biegnących jeden za drugim. Strzelba Pogromcy pierwsza przerwała straszne milczenie. Jedną kulą położył trupem obu wrogów. Wywołało to strzelaninę ze strony Huronów. W ogólnej wrzawie dał się słyszeć strzał Węża i jego wojenny okrzyk. Zdyscyplinowane wojsko nie odpowiedziało salwą Huronom. Z tej strony słyhać było tylko krzyki Hurry'ego, huk jego strzelby, krótkie, urywane słowa komendy i ciężki, miarowy, groźny krok żołnierzy. Wnet jednak rozległy się krzyki, jęki i przekleństwa, jakie zwykle towarzyszą atakowi na bagnety. Straszna, śmiertcionośna broń spłynęła krwią Huronów. Rozgrywała się jedna z tych scen, jakich tak wiele zdarzyło się również w naszych czasach, kiedy to w walce z dzikimi ani wiek, ani płeć nie chroniły przed śmiercią.

ROZDZIAŁ 31

I najpiękniejszy kwiat

Zwiędnie w godzinie –

To, co byś wstrzymać rad,

Nęci i ginie.

Czymże są szczęsne dni?

Błyskiem, co z nocy drwi,

Choć krótko lśni.

Shelley

Chyba nie trzeba ukazywać czytelnikowi widoku, jaki w chwilę potem przedstawiał przylądek, na którym nieszczęśni Huroni rozbili swoje ostatnie obozowisko. Na szczęście, pnie drzew, listowie i dym ukryły znaczną część tego, co się tam działo przed oczami ludzi o czułych i trwożliwych sercach. Krótco potem noc rzuciła swą zasłonę na jezioro i bezkresną puszcę, która wówczas rozciągała się (z nielicznymi i małymi przerwami) od brzegów Hudsonu aż po Ocean Spokojny. Gdy podejmujemy nasze opowiadanie, jest już następny dzień, który wstał tak słoneczny i uśmiechnięty, jakby wczoraj nie zdarzyło się nic niezwykłego.

Gdy słońce weszło na niebie, w dolinie Lśniącego Zwierciadła nie było już ani śladu zgiełku i trwogi bitewnej. Wstrząsające wydarzenia dnia wczorajszego" bynajmniej nie zmąciły gładkiej jak lustro tafli jeziora. Niestrudzone godziny cicho następowały po sobie w porządku ustalonym przez wszechmocną rękę, która nadała im bieg. Ptaki znów muskały skrzydłami powierzchnię wody lub wisiały wysoko nad wierzchołkami olbrzymich sosen na wzgórzach, gotowe spaść na swą zdobycz – posłuszne nieodpartym prawom natury. Słowem, nic się tutaj nie zmieniło – z wyjątkiem ożywienia, jakie zapanowało na zamku, gdzie zaszły takie zmiany, że nawet oko najmniej bystrego obserwatora musiałoby je zauważyć. Wartownik w mundurze królewskiego pułku lekkiej piechoty przechadzał się miarowym krokiem na pomoście, około dwudziestu żołnierzy z tego samego pułku wylegiwało się, na zamku i arce. Ich broni, ustawionej w kozły, pilnował kolega pełniący wartę. Na pomoście stali dwaj oficerowie i przez dobrze znaną czytelnikowi lunetę okrętową przyglądali się brzegom jeziora. Skierowali wzrok ku nieszczęsnemu przylądkowi, gdzie gołym okiem widać było szkarłatne mundury migające wśród drzew, a przez powiększające szkła lunety można było ujrzeć łopaty przy robocie i żołnierzy spełniających smutny obowiązek grzebania zmarłych. Na zamku kilku prostych żołnierzy nosiło ślady

świadczące, że nieprzyjaciel został pobity nie bez oporu z jego strony. Młodszy z dwóch oficerów stojących na pomoście trzymał rękę na temblaku. Jego towarzysz, dowódca oddziału, miał więcej szczęścia. On też dzierżył w ręku lunetę.

Podszedł sierżant z meldunkiem. Zwrócił się do starszego oficera nazywając go kapitanem Warleyem. W czasie rozmowy, jaka się wywiązała, padło nazwisko drugiego oficera, chorążego. Nazywał się Thornton. Pierwszy, jak czytelnik zapewne sobie przypomina, był właśnie tym, o którym z takim zakłopotaniem wspomniała Judyta w czasie pożegnalnej rozmowy z Hurry'm... Kapitan istotnie był osobą, z którą garnizonowa plotka w sposób niedwuznaczny łączyła nazwisko pięknej, lecz lekkomyślnej dziewczyny. Lat około trzydziestu pięciu, rysy twarzy miał ostre, a policzki czerwone. Ale wojskowa postawa i swoista elegancja mogły zrobić wrażenie na dziewczynie, która tak mało знаła świat i ludzi.

–Craig błogosławi nas tam nielicho – powiedział ten pan z obojętną miną do młodego chorążego. Zamknął lunetę i wręczył ją ordynansowi. – Między nami mówiąc klnie nas nie bez racji. Niewątpliwie przyjemniej jest czekać tutaj na pannę Judytę Hutter, niż grzebać Indian na przylądku, cokolwiek można by powiedzieć o jego romantycznym wyglądzie i naszym wspaniałym zwycięstwie. Ale co to chciałem powiedzieć, Wright, czy Davis żyje jeszcze?

–Umarł przed chwilą, panie kapitanie – odparł zapytany sierżant. – Wiedziałem, co się święci, gdy zobaczyłem, że dostał kulą w brzuch. Jeszcze nie widziałem takiego, co by długo pociągnął z dziurą w brzuchu.

–Nie, nie tędy droga, jeśli chcemy sobie ulżyć, gdy się dobrze podjadło – ziewając zauważył kapitan. – Wiesz, Artur, dwie noce pod rząd na nogach – diabła zje, kto to wytrzyma! Czuję się tak głupio jak te cymbały, holenderscy pastorzy nad Mohawkim. Mam nadzieję, że ramię cię nie boli, mój chłopcze, co?

–Muszę czasem robić grymasy, jak to pan, zdaje się, zauważył, sir – odparł młodzieniec z uśmiechem, krzywiąc się z bólu. – Ale można wytrzymać. Sądzę, że Graham znajdzie chwilę czasu, żeby opatrzyć mi ranę.

–Wiesz co, Thornton, a jednak to śliczne stworzenie ta Judyta Hutter! Nie moja to wina, że towarzystwo londyńskie nie może jej zobaczyć i podziwiać w stołecznych parkach – mówił dalej Warley nie przejmując się zbyt raną młodego kolegi, – Twoje ramię, co? Właśnie. Sierżancie, pójdziecie na arkę i powiecie doktorowi Grahamowi, że chciałbym, aby obejrzał ranę chorążego Thorntona, jak się załatwi z tym nieborakiem, co złamał nogę. Śliczne stworzenie! Gdyśmy ją zobaczyli, wyglądała niczym królowa w tej brokatowej sukni. Wszystko się tutaj zmieniło. Ojciec i matka poszli sobie na tamten świat, siostra umierająca, a może już skoła – z całej rodziny została tylko ślicznotka! Krótko mówiąc, udała się nam ta wyprawa i można oczekiwać, że lepiej się skończy niż inne potyczki z Indianami.

–Czy wolno mi obawiać się, sir, że zamierza pan zdradzić barwy wielkiego korpusu kawalerów i zakończyć tę wyprawę małżeństwem?

–Co takiego? Tom Warley żonkosiem! Słowo daję, mój chłopcze, pojęcia nie masz o naszym korpusie, jeśli coś podobnego przyszło ci do głowy. Mam wrażenie, że są w koloniach kobiety, którymi kapitan lekkiej piechoty może by nie pogardził. Ale nie znajdziesz ich ani tutaj, nad jeziorem ukrytym w górach, ani nawet nad tą holenderską rzeką, nad którą stoi nasz pułk. Swego czasu, co prawda, mój wujek, generał, był łaskaw znaleźć w hrabstwie Yorkshire kandydatkę na moją żonę. Ale nie była ładna, a ja nie ożenię się nawet z księżniczką, jeśli nie będzie skończoną pięknnością.

–A czy ożeniłby się pan z piękną dziadówką?

–No tak, oto poglądy godne chorążego! Miłość w chacie, nic tylko drzwi i okna. Historia stara jak świat. Dwudziesty pułk w ogóle się nie żeni, to nie dla nas, mój chłopcze. Weźmy naszego pułkownika, starego lorda Edwina... który lada dzień zostanie generałem. Żona nawet mu się nie śniła. A mężczyźni, który dochrapał się stopnia generała i pozostał kawalerem, nic już nie grozi. A dalej, nasz podpułkownik otrzymał już starokawalerskie święcenia, jak kiedyś powiedziałem do mego kuzyna, biskupa. Major jest wdowcem. W młodości zakosztował małżeństwa, przez dwanaście miesięcy był żonaty – uważamy go obecnie za jednego z naszych najpewniejszych ludzi. Z dziesięciu kapitanów tylko jeden wpadł. Stale trzyma się go, nieboraka, w kwaterze głównej pułku jako groźną przestrożę dla świeżo upieczonych oficerów. Co się tyczy poruczników, jak dotąd, żaden z nich nie ośmielił się napomknąć, że chciałby wprowadzić żonę do naszego pułku. Ale ciebie boli ręka. Chodźmy zobaczyć, co się stało z Grahamem.

Chirurg, który przybył tutaj z oddziałem, zajęty był czym innym, niż przypuszczał kapitan. Kiedy po bitwie zebrano zabitych i rannych, znaleziono wśród nich ciężko ranną Hetty. Kula przeszła ją na wylot. Wystarczyło spojrzeć, aby stwierdzić, że rana jest śmiertelna. Jak to się stało, nikt nie wiedział. Najprawdopodobniej był to jeden z tych nieszczęśliwych wypadków, jakie zawsze zdarzają się w potyczkach podobnych do opisanej przez nas w poprzednim rozdziale. Sumak, wszystkie starsze kobiety i kilka młodych Huronek – zginęły przeszyte bagnietami czy to w zamieszaniu potyczki, czy dlatego, że trudno było odróżnić płeć z uwagi na skąpe odzienie Indian. Większość wojowników padła na miejscu. Kilku uciekło, a dwóch czy trzech wzięto całych i nie tkniętych do niewoli. Rannych żołnierze dobili bagnietami, oszczędzając w ten sposób trudu lekarzowi. Rozdarty Dąb uszedł z życiem, ale był ranny i dostał się do niewoli. Kiedy kapitan Warley i młody chorąży wstąpili na arkę, przeszli koło niego: siedział na pokładzie z godną miną i milczał. Głowę i nogę miał obwiązaną, ale nie widać było po nim rozpaczki lub przygnębienia. Był pogrążony w żałobie po stracie swego szczepu, lecz zachowywał się przy tym, jak przystało indiańskiemu wojownikowi i wodzowi. Dwaj oficerowie znaleźli chirurga w większej izbie arki.

Właśnie odchodził od łóżka Hetty. Na surowej ospowatej twarzy Szkota malował się wyraz rzadko u niego spotykanego głębokiego smutku. Nic nie pomogły jego starania i musiał pogodzić się z tym, że dziewczyna umrze w ciągu kilku godzin. Doktor Graham był tak obyty ze śmiercią, że nie robiła już na nim większego wrażenia. W sprawach religii doktor należał do umysłów, które wiele i logicznie myślą o rzeczach materialnych, nic więc dziwnego, że stał się niedowiarkiem. Graham wiarę religijną uważał za objaw słabości człowieka. Gdy jednak ujrzał teraz, jak w chwili śmierci wiara podtrzymuje na duchu to miłe młode stworzenie, gdy niedorozwinięta umysłowo dziewczyna okazała siłę moralną, godną męznego wojownika, a nawet bohatera – widok ten zrobił na nim ogromne wrażenie (choć może wstydziłby się do tego przyznać). Trzeba dodać, że brytyjscy lekarze wojskowi często w tych czasach (jak zresztą i dzisiaj) pochodzili z Edynburga lub Aberdeen. Doktor Graham, jak na to wskazywało jego nazwisko i fizjonomia, też pochodził ze Szkocji.

–Oto niezwykle okaz dziewczyny z puszczy i do tego niespełna rozumu – powiedział Graham z wyraźnie szkockim akcentem, gdy wszedł Warley z chorążym. – Chciałbym, moi panowie, abyśmy wszyscy trzej, kiedy zostaniemy odwołani z naszego dwudziestego pułku – z taką rezygnacją poszli w odstawkę na tamten świat jak to biedne, niemądre dziewczątko.

–Czy nie ma żadnej nadziei, że będzie żyła? – zapytał Warley zwracając wzrok ku Judyście, której na bladej twarzyczce wystąpiły dwie czerwone plamy, gdy tylko kapitan wszedł do izby.

–Sprawa jest beznadziejna jak los Karolka Stuarta. Zechcą panowie podejść bliżej, a zobaczycie sami. Ujrzycie przykład niezwyklej wiary. W głowie tej bieduli toczy się walka między życiem a śmiercią, dzięki czemu mogłaby w tej chwili stać się ciekawym przedmiotem badań filozofa. Panie Thornton, jestem teraz do pańskiej dyspozycji. Przejdziemy do tamtej izby i zobaczy się pańskie ramię. Będziemy też mogli do woli pomyśleć o czynnościach i krętych ścieżkach ludzkiego umysłu.

Chirurg, i chorąży wyszli. Warley mógł teraz rozejrzeć się swobodniej i lepiej zobaczyć tych, którzy zebrali się przy umierającej, mógł też domyślić się, jakie ożywiają ich uczucia. Hetty położono w pozycji na pół siedzącej na jej własnym łóżku. Na twarzy dziewczyny widoczne już były oznaki zbliżającej się śmierci, ale tłumił je bijący z jej oblicza dziwny blask, w którym skupiła się cała inteligencja umierającej. Przy chorej czuwała Judyta i Cyt. Judyta siedziała pogrążona w głębokim smutku, Indianka stała, gotowa usłużyć przyjaciółce, gdy tylko zajdzie potrzeba. U stóp łóżka, oparty na „Postrachu Zwierząt”, stał Pogromca. Był cały i zdrow. Wspaniała zapal bojowy, którym tak niedawno jeszcze jaśniało oblicze myśliwego, znikł zupełnie. Na twarzy młodzieńca malowały się teraz, jak zawsze, prostota i dobroduszość, do których przyłączył się wyraz męskiego współczucia i smutku. Wąz stał w głębi tego obrazu, wyprostowany i nieruchomy jak posąg, ale tak bystro obserwował wszystko, że nawet zmrużenie oka nie mogło ujść jego uwagi. Dopełniał grupy Hurry. Siedział

na stołku przy drzwiach, jakby czuł się tutaj obco, ale nie śmiał wyjść bez powodu.

–Kto jest ten w szkarłatach? – zapytała Hetty, kiedy ujrzała mundur kapitana. – Powiedz mi, Judyto, czy to przyjaciel Hurry'ego?

–To jest oficer, dowódca oddziału, który nas uratował przed Huronami – odpowiedziała po cichu Judyta.

–Czy ja też jestem uratowana? Słyszałam, jak mówili, że zostałam zastrzelona i muszę umrzeć. Matka i ojciec umarli. Ty żyjesz, Judyto, i Hurry też nie zginął. Bałam się, że go zabiją, gdy usłyszałam, jak krzyczał, idąc wśród żołnierzy.

–Daj spokój, kochana Hetty – przerwała jej Judyta obawiając się, by tajemnica siostry nie wydała się w chwili jej śmierci. – Hurry, Pogromca Zwierząt, Delawar – wszyscy mają się dobrze.

–Jak mogli strzelać do mnie, biednej dziewczyny, a tylu mężczyznom nie zrobili nic złego? Nie wiedziałam, Judyto, że Huroni są tacy źli.

–To był przypadek, Hetty, nieszczęśliwy przypadek! Nikt nie chciał zrobić ci krzywdy.

–Bardzo mnie to cieszy – od razu wydawało mi się to dziwne. Jestem słaba na umyśle i czerwonoskórzy nigdy dotąd mnie nie skrzywdzili. Przykro by mi było, gdyby się zmienili. Cieszę się też, Judyto, że nie zranili Hurry'ego.

O Pogromcę się nie bałam, Bóg zawsze go ocali. Wielkie to szczęście, że wojsko przyszło w ostatniej chwili, bo ogień byłby go spalił.

–Tak, wielkie szczęście, siostró. Bóg się nad nami zlitował.

–Zdaje mi się, Judyto, że spotkałaś znajomych wśród oficerów. Znałaś ich tak wielu.

Judyta nie odpowiedziała. Ukryła twarz w dłoniach

i załkała. Hetty patrzyła na nią ze zdziwieniem. Sądząc, że sama jest powodem zmartwienia Judyty, co byłoby całkiem naturalne, zacna dziewczyna zaczęła pocieszać siostrę.

–Nie martw się o mnie, droga Judyto. Jeśli umrę, nie stanie mi się nic złego. Widzisz, tatuś i mamusia umarli oboje, mnie może spotkać to samo. Wiesz, że z całej naszej rodziny ja się najmniej liczę. Dlatego kiedy zostawią mnie na dnie jeziora, szybko o mnie zapomną.

–Nie, nie, biedna, kochana, najdroższa Hetty! – zawołała Judyta wybuchając

placzem. – Ja na pewno nigdy cię nie zapomnę. Byłabym szczęśliwa, o! jak szczęśliwa, gdybym się mogła z tobą zamienić, gdybym była istotą tak czystą, bez wad i bez grzechu jak ty!

Do tej chwili kapitan Warley stał oparty o drzwi. Gdy z piersi pięknej dziewczyny wydarł się ten okrzyk bólu, a może i skruchy, kapitan wyszedł z izby. Szedł wolno i tak zamyślony, że minął chorążego, który właśnie wił się z bólu w rękach doktora, i nawet go nie zauważył.

–Mam z sobą Biblię, Judyto! – powiedziała Hetty z triumfem w głosie. – Ale, niestety, nie mogę czytać. Coś się stało z moimi oczami... Zdaje mi się, że stoisz daleko i jakby za mgłą... To samo Hurry... Patrzę teraz na niego. To nie do wiary, żeby Henryk March tak się rozpląwał w powietrzu. Czemu, Judyto, tak źle dzisiaj widzę? Mama zawsze mówiła, że mam najlepsze oczy z całej rodziny. Tak, tak było, głowa mi nie dopisywała – ludzie mówili, że jestem niespełna rozumu – ale wzrok miałam świetny.

Judyta znów załkała. Tym razem uczucia bólu doznała już nie na myśl o sobie i nie na wspomnienie przeszłości. Ból jej płynął z czystej i serdecznej miłości siostrzanej do tej pełnej pokory istoty, która ponad wszystko umiłowała prawdę. Byłaby szczęśliwa, gdyby mogła poświęceniem własnego życia uratować Hetty przed śmiercią. Wiedziała, że to przekracza siły ludzkie – pozostał jej tylko bezsilny ból. W tej chwili wrócił Warley. Sprowadził go tutaj jakiś głos wewnętrzny, któremu nie mógł się oprzeć. Był gotów natychmiast wyjechać na zawsze z Ameryki, gdyby to było możliwe. Nie stanął już jak przedtem przy drzwiach, lecz podszedł do łóżka umierającej. Hetty jeszcze trochę widziała i dostrzegła kapitana.

–Czy pan jest oficerem, który przyszedł tu z Hurry'm? – zapytała. – Jeśli tak, powinniśmy wszyscy podziękować panu. Bo tylko ja jestem ranna, inni uszli z życiem. Czy to Harry March powiedział panu, gdzie jesteśmy i jak bardzo potrzebujemy pańskiej pomocy?

–Wiadomość o hurońskim zagonie przyniósł goniec indiański z zaprzyjaźnionego z nami szczepu – odparł kapitan, rad, że udzielając uprzejmych informacji może ulżyć swemu sercu. – Natychmiast wysłano mnie z zadaniem odcięcia Huronom odwrotu. Po drodze szczęśliwym trafem spotkaliśmy – jak wy go nazywacie – Hurry Harry'ego, który posłużył nam za przewodnika. Nie mniej szczęśliwą okolicznością było, że usłyszeliśmy strzały – jak się potem dowiedzieliśmy, były to tylko popisy indiańskich strzelców. W każdym razie nie tylko przyspieszyło to nasz marsz, ale od razu skierowało nas we właściwym kierunku, na drugą stronę jeziora. Delawar, zdaje się, przez lunetę zobaczył nas na brzegu jeziora. On i Cyt – jak słyszę, tak się nazywa jego squaw – oddali nam nieocenione usługi. Był to rzeczywiście szczęśliwy zbieg okoliczności, Judyto.

–Proszę nie mówić do mnie o szczęściu ani o szczęśliwym zbiegu okoliczności, sir – powiedziała ochryłym głosem Judyta i znów ukryła twarz w dłoniach. – Dla mnie życie jest jednym wielkim nieszczęściem. Bodajbym nigdy już nie słyszała o celach, strzelcach, żołnierzach i w ogóle mężczyznach.

–Czy zna pan moją siostrę? – zapytała Hetty, zanim zgromiony oficer zdobył się na odpowiedź. – Skąd pan wie, że jej na imię Judyta? Trafił pan, moja siostra jest Judyta, a ja Hetty, córki Tomasza Huttera.

–Na miłość boską, najdroższa, jeśli mnie kochasz, droga Hetty – przerwała jej błagalnym tonem Judyta – przestań!

Hetty bardzo się zdziwiła. Ale, przywykła do posłuszeństwa wobec starszych, poniechała niefortunnych, a dla Judyty bolesnych pytań. Pochyliła głowę nad Biblią, którą trzymała tak kurczowo, jak ofiara pożaru lub katastrofy na morzu ściska w rękach szkatułkę z drogimi kamieniami. Umysł umierającej zwracał się ku przyszłości, obraz tego, co było, pomału nikał jej z oczu.

–Rozstajemy się nie na długo, Judyto – powiedziała. – Gdy umrzesz, niech i ciebie pochowają na dnie jeziora, obok mamy.

–Dałby Bóg, żebym już tam leżała!

–Nie, to niemożliwe, Judyto. Wpierw trzeba umrzeć, dopiero po śmierci mogą cię pochować. Byłoby grzechem, gdyby cię pochowano za życia. Ja kiedyś chciałam się utopić, ale Bóg ustrzegł mnie od tego grzechu.

–Ty? Ty, Hetty, myślałaś o samobójstwie?! – zawołała Judyta niezmiernie zdziwiona, wiedziała bowiem, że jej prawdomównej siostrze nie przeszłoby przez usta nawet słowo, które nie byłoby świętą prawdą.

–Tak. Ale Bóg o tym zapomniał... nie, Bóg niczego nie zapomina – przebaczył mi – odparła umierająca z pokorą pełnego skruchy dziecka. – Było to po śmierci mamy. Wiedziałam, że straciłam najlepszą, a może jedyną przyjaciółkę. Ty i ojciec byliście dobrzy dla mnie, ale zdawałam sobie sprawę, że mam słabą głowę i że z tego powodu będziecie mieli ze mną dużo kłopotu. A poza tym często wstydziliście się takiej siostry i córki Ciężko jest żyć na świecie, gdy wszyscy patrzą na nas z góry. Chciałam więc pochować się sama obok mamy, gdzie byłabym szczęśliwsza niż w domu.

–Przebacz, daruj mi, najdroższa Hetty. Na kolanach błagam cię, siostrzyczko, o przebaczenie, jeśli choć jedno słowo lub jakiś mój postępek przywiódł cię do tej szalonej i strasznej myśli.

–Powstań, Judyto, uklęknij przed Bogiem, nie przede mną. To samo było ze mną,

gdy umierała mama. Przypomniało mi się wszystko, czym ją zmartwiłam, i chciałam całować jej stopy, aby mi przebaczyła. Tak jest chyba zawsze, gdy ktoś umiera. Ale, kiedy teraz o tym myślę, nie pamiętam, abym doznała podobnych uczuć, gdy ojciec rozstawał się z życiem.

Judyta wstała i ukryła twarz w fartuszkach. Płakała. Nastąpiło długie milczenie, które trwało ponad dwie godziny. W tym czasie Warley raz po raz wchodził i wychodził z izby. Najwidoczniej źle się czuł na zewnątrz, ale i tutaj było mu nieswojo. Wydawał różne rozkazy i żołnierze je wykonywali. W oddziale nastąpiło pewne ożywienie, zwłaszcza gdy porucznik Craig uporał się z niewdzięcznym zadaniem grzebania zabitych i przysłał z brzegu gońca, prosząc o dalsze rozkazy i zapytując, co ma zrobić ze swym oddziałem. W tym czasie Hetty trochę spała, a Pogromca Zwierząt i Chingachgook opuścili arkę i naradzali się we dwójkę. Wreszcie, po upływie dwóch godzin, na pomost przyszedł lekarz i ze wzruszeniem, jakiego koledzy nigdy dotąd u niego nie widzieli, oznajmił, że dziewczyna lada chwila umrze. Na tę wiadomość wszyscy znów zebrali się u łóżka Hetty. Jedni ciekawi byli jej śmierci, innymi kierowały uczucia szlachetniejsze niż zwykła ciekawość. Zebrali się ci, którzy niedawno sami brali żywy udział w potyczce, wydarzeniu, zdawałoby się, znacznie ważniejszym niż śmierć prostej dziewczyny. Judyta, zupełnie złamana, siedziała bez ruchu. Cyt z kobiecym oddaniem wykonywała drobne posługi przy umierającej. W stanie Hetty nie zaszła żadna widoczna zmiana, poza ogólnym osłabieniem, które wskazywało, że zbliża się koniec. Zachowała jasność umysłu nie mniejszą niż zwykle, a może nawet była przytomniejsza.

–Nie martw się o mnie, Judyto – powiedziała Hetty po dłuższym milczeniu. – Niezadługo zobaczę mamę. Zdaje mi się, że już ją widzę. Twarz ma pogodną i uśmiecha się jak dawniej. Może, jak umrę, Bóg da mi rozum i będę bardziej odpowiednią towarzyszką matki, niż byłam za jej życia.

–Będziesz aniołem w niebie, Hetty – powiedziała łkając Judyta. – Nie ma duszy, która by bardziej zasłużyła na zbawienie.

–Nie bardzo to rozumiem, ale wierzę w niebo, czytałam o tym w Biblii. Ale się ściemniło! Czy to już noc? Przestaję cię widzieć. Gdzie jest Cyt?

–Ja jestem tutaj, ty, biedna dziewczyna. Co, ty mnie nie widzisz?

–Ależ tak, tylko nie wiedziałam, czy to ty, czy Judyta. Pewnie za chwilę już cię nie zobaczę, Cyt.

–Smutno mi bardzo, biedna Hetty. Bądź spokojna – blade twarze mają niebo dla wojownik i dla dziewczyna też.

–Gdzie jest Wąż? Chcę mu coś powiedzieć. Dajcie mi jego rękę – tak, dobrze.

Delawarze, kochaj tę młodą Indiankę i bądź dla niej dobry. Wiem, że ona bardzo cię kocha, bądź jej wzajemny. Nie traktuj jej tak, jak niektórzy traktują swe żony. Bądź jej prawdziwym mężem. Teraz niech przyjdzie tu Pogromca Zwierząt. Dajcie mi jego rękę.

Proście Hetty stało się zadość. Myśliwy stanął przy łóżku, z uległością dziecka spełniając życzenie umierającej dziewczyny.

–Czuję – powiedziała – nie wiem dlaczego tak się stanie, ale czuję, że my dwoje nie rozstaniemy się na zawsze. Dziwne uczucie. Nigdy tego nie miałam. Skąd się to bierze?

–To Bóg dodaje ci otuchy w ostatnich twych chwilach, Hetty. Tak, jeszcze się zobaczymy. Może nieprędko, ale spotkamy się w dalekiej krainie.

–Czy myślisz, że ciebie też pochowają na dnie jeziora? Jeśli tak, rozumiem moje przecucia.

–To mało prawdopodobne, moja miła. Ale duszom chrześcijańskim przeznaczona jest kraina, w której – jak powiadają – nie ma jezior ani lasów. Co prawda, nie rozumiem dlaczego nie miałyby być lasów, skoro ma tam panować radość i spokój. Mój grób będzie pewnie w lesie. Wierzę jednak, że nasze dusze się spotkają.

–Otóż to. Jestem zbyt niemądra, by to zrozumieć, ale czuję, że się spotkamy. Siostrze, gdzie jesteś? Zupełnie ciemno. To już noc.

–O, Hetty! Jestem tutaj, przy tobie. To moje ramiona cię obejmują – mówiła przez łyżę Judyta. – Mów, najdroższa Hetty. Czy chcesz może coś powiedzieć, czy masz jakieś życzenia... w tej strasznej chwili?

Hetty nic już nie widziała. Zbliżała się do niej śmierć, mniej straszna niż zwykle, jakby współczuła dziewczynie słabej na umyśle. Umierająca była trupioblada, ale oddychała regularnie i bez trudu, a jej głos, zniżony niemal do szeptu, pozostał czysty i wyraźny. Gdy siostra zapytała ją, czy ma może jakieś życzenie, na twarzyczce umierającej pojawił się ledwie widoczny rumieniec (bardziej przypominający ten odcień barwy róży, który uważamy za symbol skromności, niż kolor róży w pełni rozkwitu). Tylko Judyta zauważyła ten znak uczucia, delikatny wyraz kobiecej tkliwości, żywej nawet w obliczu śmierci. Zrozumiała, o co chodzi. – Hurry jest tutaj, najdroższa Hetty – szepnęła przysunąwszy się tak blisko do umierającej, żeby nie słyszały jej pozostałe osoby. – Czy powiedzieć mu, żeby podszedł tutaj? Czy chcesz się z nim pożegnać?

Hetty odpowiedziała siostrze lekkim uściskiem dłoni. Judyta przyprowadziła Hurry'ego do łóżka. Chyba nigdy jeszcze ten urodziwy, lecz gruboskórny mieszkaniec lasów nie znalazł się w tak niezręcznej sytuacji. Jednakże uczucie, jakie

żywiła do niego Hetty (nieświadome i instynktowne, a nie z popędu niepohamowanej wyobraźni), było tak czyste i niewinne, że Hurry niczego się nie domyślał. Pozwolił Judycie włożyć swą ciężką, potężną łapę w rękę Hetty i stropiony czekał w milczeniu, co będzie dalej.

–To Hurry, kochana Hetty. – Zawstydzona Judyta, nachylając się do ucha siostry szepnęła tak cicho, że ledwie sama dosłyszała własne słowa. – Powiedz coś do niego i niech odejdzie.

–Co mu powiedzieć, Judyto?

–No cóż, to, co ci mówi twoje niewinne serce, kochanie. Zaufaj sercu. Nie bój się niczego.

–Żegnaj, Hurry – wyszeptała Hetty, lekko ściskając rękę olbrzyma. – Chciałabym, żebyś starał się być taki jak Pogromca Zwierząt.

Z trudem wypowiedziała te słowa. Słaby rumieniec przewiął się po jej twarzyczce, puściła rękę Hurry'ego i odwróciła głowę do ściany, jakby na znak, że skończyła z tym światem. Skryte uczucie, skłaniające ją ku Hurry'emu, było tak wątłe i delikatne, że ledwie sama je dostrzegła, a nie powstałoby wcale, gdyby miała więcej rozumu.

Teraz uczucie to zgasło ustępując miejsca myślom znacznie wznioślejszym, choć równie czystym.

–O czym myślisz, siostrzyczko? – szeptem zapytała Judyta. – Powiedz, może będę mogła ci pomóc.

–Matka!... Widzę teraz matkę na (dnie jeziora, a wokół niej anioły. Czemu nie ma tam ojca? To dziwne, że zobaczyłam matkę, gdy przestałam widzieć ciebie... Żegnaj, Judyto.

Ostatnie słowa wymówiła po chwili milczenia. Judyta siedziała pochylona, uważnie przyglądając się Hetty, aż wreszcie zrozumiała, że siostra już nie żyje.

ROZDZIAŁ 32

Córeczka pana tak oszukana!

O, cóż za czyn straszliwy!

Z wygnańcem miłość, bliska zażyłość –

Chroń, Boże sprawiedliwy.

Lepiej, dziewczyno, nim łzy popłyną,

Rzucić rozkoszne niwy –

Niżbyś mi rzekła, żem rodem z piekła;

Że przez mój czyn straszliwy

Tyś oszukana. Więc, ukochana,

Jedną tu widzę radę:

Biedny banita ruszę z kopyta –

I ciebie precz odjadę.

„Pieśń o smagłej dziewczynie”

Reszta dnia upłynęła w smutku, chociaż ruch wielki panował w okolicy. Żołnierze, gdy pogrzebali swe ofiary, otrzymali rozkaz pochowania zabitych kolegów. Oficerowie byli jeszcze pod przygnębiającym wrażeniem śmierci Hetty. Inni – w różny sposób i z rozmaitych powodów – doznawali tych samych uczuć. Godziny wlokły się jedna za drugą, aż nadszedł wieczór, kiedy odbył się smutny obrządek pogrzebu biednej Hetty. Zwłoki dziewczyny złożono na dnie jeziora, obok matki, którą tak kochała i czciła. Chirurg, choć sam niewierzący, uszanował przyjęty zwyczaj i odczytał nad grobem Hetty modlitwę za zmarłych (przed tym spełnił ten sam obowiązek wobec zabitych żołnierzy).

Skromnemu pogrzebowi towarzyszyły łzy najbliższych zmarłej. Judyta i Cyt gorzko płakały. Pogromca Zwierząt błyszczącymi oczami wpatrywał się w przeźroczystą wodę, falującą nad zwłokami tej, której dusza była bardziej czysta niż źródło górskie. Nawet Delawar odwrócił się, by nikt nie zauważył, że uległ słabości. Prości żołnierze ze zdziwieniem i współczuciem przyglądali się obrządkowi.

Pogrzebem Hetty zakończył się ten dzień. Na rozkaz dowódcy żołnierze poszli spać

wcześniej, gdyż o świcie mieli ruszyć w drogę powrotną. Jeszcze w południe opuściła zamek część wojska zabierając z sobą rannych, jeńców i zdobycz wojenną. Hurry poszedł z nimi jako przewodnik, mieli bowiem krótszymi drogami dotrzeć do fortu. Oddział ten wsiadł na arkę i wylądował na przylądku opisanym na pierwszych, stronicach tej książki i potem często przez nas wspominanym. O zachodzie słońca maszerujący rozbili obóz na szczycie jednego ze wzgórz, które długim, rwącym się łańcuchem opadają ku dolinie rzeki Mohawk. Pierwsza kolumna uwolniła resztę wojska od znacznej części trudów. Dowódca, który wydał temu oddziałowi rozkaz wymarszu, zapewnił sobie w ten sposób większą swobodę ruchów: następnego dnia mógł ruszyć w drogę już bez bagażu i rannych.

Po śmierci Hetty Judyta przez cały dzień nie rozmawiała z nikim prócz Cyt. Wszyscy uszanowali jej ból; do chwili pogrzebu obie dziewczyny same czuwały przy zmarłej i nikt im się nie narzucał. – Natychmiast po pogrzebie ciszę nad jeziorem przerwał warkot bębna i echo capstrzyku rozległo się w górach. Wojsko poszło spać i nic już nie zmąciło spokoju dziewcząt. Gwiazda, przewodniczka Cyt, weszła nad jeziorem tak cichym, jakby nigdy namiętności ludzkie nie zakłóciły spokoju tej okolicy. Przez całą noc po pomoście przechadzał się wartownik; co kilka godzin warta się zmieniała. Werbel pobudki, jak zwykle, obwieścił powrót dnia.

Wojskowy porządek zajął na zamku miejsce dawnego bezładnego życia mieszkańców pogranicza. Żołnierze w pośpiechu zjedli proste śniadanie i oddział we wzorowym porządku, bez hałasu i zamieszania, ruszył ku brzegowi. Z oficerów tylko Warley nocował na zamku. Craig poprowadził oddział, który wymaszerował wczoraj, Thornton znajdował się wśród rannych, a Graham, oczywiście, towarzyszył swym pacjentom. Wojsko wzięło z sobą skrzynię Huttera i wszystko, co w jego dobytku przedstawiało jakąś wartość. Na miejscu pozostawiono tylko przedmioty, których nie opłacało się dźwigać. Judyta była rada, że kapitan uszanował jej żalobę i zajmąwszy się wyłącznie obowiązkami dowódcy, pozostawił ją samej sobie. Wszyscy wiedzieli, że nikt nie zostanie na zamku, ale żadnych rozmów na ten temat nie było.

Żołnierze, z kapitanem na czele, wsiedli na arkę. Warley zapytał tylko Judytę, czy chce wsiąść na arkę, czy też popłynie czółnem, gdy zaś odpowiedziała, że pragnie wraz z Cyt do ostatniej chwili zostać na zamku, na nic jej nie namawiał ani niczego nie radził. W dolinę Mohawku można było zejść tylko jedną pewną i dobrą drogą. Kapitan nie wątpił, że spotkają się na tej drodze jak dwoje bliskich, a może znów bardzo bliskich przyjaciół.

Gdy wszyscy weszli na arkę, żołnierze wzięli się do wiosel i ociężały statek ruszył z wolna ku dalekiemu przylądkowi. Pogromca wraz z Chingachgookiem wciągnęli dwa czółna do domu, zabarykadowali okna i drzwi, po czym wyszli przez lukę – w sposób już przez nas opisany. Ujrzeni Cyt siedzącą w trzecim czółnie. Delawar przyłączył się do niej i oboje odpłynęli. Judyta została sama na pomoście. Nastąpiło to tak szybko, że myśliwy nawet się nie spostrzegł, jak został sam na sam z piękną dziewczyną,

która nie mogła jeszcze wstrzymać się od płaczu. Prostopadły myśliwy niczego, oczywiście, nie podejrzewał. Podpłynął czołnem przed pomost, właścicielka łódki wsiadła. Pogromca powiosłował w ślad za swym przyjacielem.

Aby się dostać do przylądka, trzeba było przeciąć jezioro na ukos i przepłynąć niedaleko grobów. Gdy znaleźli się blisko tego miejsca, Judyta – po raz pierwszy od rana – przemówiła do swego towarzysza. Powiedziała zaledwie parę słów: zanim opuści te strony, pragnęłaby zatrzymać się tutaj na chwilę.

–Może już nigdy nie zobaczę tego miejsca, gdzie spoczywa moja matka i siostra.

Odplyń trochę dalej na wschód, Pogromco Zwierząt. Tutaj słońce świeci mi prosto w oczy i nie mogę zobaczyć grobów. To Hetty – po prawej stronie matki, prawda?

–Na pewno. Tak chciałaś. A każdy z przyjemnością spełni twe życzenia, Judyto, jeśli chcesz tego, co jest dobre.

Dziewczyna przez chwilę w milczeniu uważnie przyglądała się Pogromcy. Potem obejrzała się na zamek.

–Za chwilę pusto i głucho będzie na tym jeziorze – powiedziała – i to właśnie teraz, gdy można by tu zamieszkać bezpieczniej niż kiedykolwiek. Ostatnie wypadki będą na dłuższy czas przestrogą dla Irokezów. Nieprędko ośmielą się pokazać w tych okolicach.

–Z pewnością! Tak, można na to liczyć. Ja też chyba nie pokażę się tutaj w czasie tej wojny. Na mój rozum bowiem, na liściach, którymi usłane są te lasy, nie spotkasz śladu hurońskiego mokasy, dopóki starzy wojownicy nie przestaną opowiadać młodzieży o kłęsce i hańbie, jakie ich tutaj spotkały.

–Czyżbyś lubował się w gwałtach i przelewie krwi? Miałam lepsze zdanie o tobie, Pogromco Zwierząt. Myślałam, że mógłbyś znaleźć szczęście w spokojnym życiu rodzinnym – gdy będziesz miał oddaną ci i kochającą żonę, która by czytała w twych myślach i życzeniach, gdy otoczą cię zdrowe i posłuszne dzieci, które chciałyby pójść w twoje ślady i być ludźmi tak prawymi jak ich ojciec.

–Wielki Boże! Jakże pięknie umiesz mówić! Twój język i oczy tak się zgadzają z sobą, jak gdyby szły pod rękę. Czego język nie zdoła wyrazić, na pewno dopowiedzą twe oczy. Taka dziewczyna mogłaby w ciągu miesiąca rozbroić najdzielniejszego wojownika z całej kolonii.

–Czyżbym się myliła? Czy istotnie przenosisz wojnę nad życie domowe i serdeczne uczucia?

–Rozumiem cię, dziewczyno, tak, domyślam się, co chciałaś powiedzieć, ale zdaje

mi się, że ty nie bardzo mnie rozumiesz. Teraz mam chyba prawo nazwać się wojownikiem, walczyłem bowiem i odniosłem zwycięstwo. Nie przeczę, że czuję powołanie do wojaczki – do tego męskiego rzemiosła, które rzetelnie wykonywane, może się stać zaszczytnym zawodem. Do przelewu krwi nie mam upodobania. Młodość wszakże ma swoje prawa, a Mingo jest Mingo. Gdyby nasza młodzież miała z założonymi rękami patrzeć, jak potop hurońskich włóczęgów zalewa ten kraj, to lepiej by już było od razu przedzierzgnąć się we Francuzów – i oddać im tę ziemię razem z naszymi rodakami. Nie jestem połykaczem ognia, Judyto, ani też awanturnikiem, który bije się dla własnej przyjemności. Nie widzę też wielkiej różnicy między oddaniem wrogowi ziemi przed wojną – bo strach nas obleciał, a takim samym ustępstwem po wojnie – bo nie było innej rady. Ale chyba klęska na wojnie jest czymś bardziej męskim i honorowym, niż poddanie się nieprzyjacielowi bez walki.

–Żadna kobieta niespokojna o los męża lub brata, który poszedł na wojnę, nie zniosłaby myśli, że dał się zelżyć i sponiewierać przez wroga. Ale ty zrobiłeś już wiele: oczyściłeś te strony z Huronów. Głównie dzięki tobie bowiem odnieśliśmy tak wielkie zwycięstwo. A teraz wysłuchaj mnie cierpliwie i odpowiedz z wrodzoną ci szczerością, która jest tym większą zaletą, że tak rzadko spotykaną u mężczyzn.

Judyta zamilkła. Już miała na języku to, co chciała powiedzieć, ale ogarnęła ją wrodzona nieśmiałość, mimo że niezwykła prostota myśliwego budziła zaufanie i zachęcała do wyznań. Policzki dziewczyny, przed chwilą tak blade, spłonęły rumieńcem, a oczy odzyskały część swego dawnego blasku. Pod wpływem wzruszenia twarz jej nabrała wyrazu, a głos słodczy. Piękna Judyta, można by rzec, potroiła swe urzekające wdzięki.

–Pogromco Zwierząt – zaczęła po długim milczeniu – w takiej chwili niesposób udawać, kluczyć, być nieszczerym. Tutaj, nad grobem matki i Hetty, która nie znosiła kłamstwa i zawsze mówiła prawdę, trzeba być otwartym i nie wolno niczego ukrywać. Dlatego będę mówiła wprost i bez obawy, że mógłbyś mnie źle zrozumieć. Nie minął jeszcze tydzień od chwili, gdy cię poznałam, a zdaje mi się, że jesteś moim starym znajomym. W ciągu tych kilku dni tak wiele się stało, tyle nastąpiło ważnych wydarzeń, że nieszczęścia, jakie nas dotknęły, i niebezpieczeństwa, których uniknęliśmy, mogłyby wypełnić całe życie. Ci, co tyle wspólnie przeżyli i wycierpieli, nie mogą być sobie obcy. Wiem, że inni źle by zrozumieli to, co ci teraz powiem, ale wierzę, że człowiek tak szlachetny jak ty osądzi mnie sprawiedliwie. Jesteśmy na pustkowiu, daleko od oszukaństwa i fałszu, jakie panują w osadach – jesteśmy dwojgiem młodych ludzi, którzy nie mają najmniejszego powodu zwodzić się i oszukiwać. Czy dobrze mnie rozumiesz?

–Oczywiście, Judyto. Jesteś jak mało kto wymowna, a z nikim nie rozmawia się tak miło jak z tobą. Wymową dorównujesz swej niezwykłej urodzie.

–Otóż właśnie twe liczne pochwały mojej urody dodają mi teraz odwagi. A jednak, Pogromco Zwierząt, nie łatwo jest młodej kobiecie zapomnieć o naukach, jakie otrzymała w dzieciństwie, o swych zasadach, o wrodzonej nieśmiałości – nie łatwo szczerze wyznać, co czuje serce!

–Dlaczego, Judyto? Czemu kobiety miałyby postępować wobec swych bliźnich mniej szczerze i uczciwie niż mężczyźni? Uważam, że możesz mówić tak samo otwarcie jak ja, jeśli tylko masz do powiedzenia coś naprawdę ważnego.

Młody myśliwy miał niezwykle skromne zdanie o sobie i w tej chwili niczego się nie domyślał. Jego bierność w końcu zniechęciłaby Judytę do wyznania mu prawdy, gdyby nie to, że gorąco pragnęła bronić się rozpaczliwie przed grożącą jej przyszłością, której obraz, jaki miała przed oczyma, napawał ją lękiem i odrazą. Dlatego wzniosła się ponad przyjęte zwyczaje i wytrwała w postanowieniu wyznania Pogromcy prawdy – wytrwała ku swemu własnemu zdziwieniu, a chyba i wstydowi.

–Chciałabym... muszę mówić z tobą tak szczerze i otwarcie, jak rozmawiałabym z Hetty, gdyby to niewinne dziecko żyło – podjęła blednąc, choć powinna była się zaczerwienić. (Śmiała decyzja, jaką powzięła, wywołała odwrotny skutek niż ten, jakiego można by się spodziewać. Zwykle bowiem w podobnych sytuacjach kobiety się rumieniają). – Tak, będę słuchała teraz tylko tego uczucia, które usunęło w cień wszystkie inne. Kochasz lasy i życie, jakie pędzimy tutaj w puszczy, z dala od miast i domów białych ludzi, prawda?

–Tak jak kochałem rodziców, którzy, niestety, już nie żyją. Właśnie tutaj byłby cały mój świat, gdyby wojna nareszcie się skończyła, a osadnicy trzymali się z daleka od tych okolic.

–Po cóż więc opuszczać to miejsce? Jezioro nie należy do nikogo – przynajmniej do nikogo, kto miałby do niego większe prawa niż ja... a ja chętnie oddam ci te prawa. Gdyby szło o całe królestwo, z największą radością powiedziałabym to samo, Pogromco Zwierząt. Wróćmy więc na zamek – przedtem staniemy w forcie przed kapłanem – i nie opuszczajmy tych stron do chwili, gdy Bóg powoła nas na tamten świat.

Nastąpiła długa chwila milczenia. Judyta, kiedy już zdobyła się na te jawne oświadczenia, zakryła twarz obiema rękami, a zmartwiony i wielce zdziwiony Pogromca rozważał treść słów, które usłyszał. Wreszcie pierwszy przerwał milczenie. Starał się mówić jak najdelikatniej, by nie urazić uczuć dziewczyny. – Nie zastanowiłaś się dobrze nad tym, Judyto – powiedział. – Jesteś pod wrażeniem tego, co się stało, wiesz, że nie masz nikogo w świecie i chciałabyś jak najprędzej znaleźć kogoś, kto by ci zastąpił najbliższych, których straciłaś.

–Gdybym była otoczona tłumem przyjaciół, myślałabym... i powiedziałabym to samo

– odparła Judyta nie odsłaniając twarzy.

–Dziękuję ci, Judyto, dziękuję z całego serca. Ale nie należę do tych, którzy korzystaliby z cudzej przelotnej słabości. Zapomniałaś widocznie, jak mi daleko do ciebie, i przywidziało ci się, że cały świat jest w tym czólnie. Nie... nie, Judyto. Nie mogę postąpić nieuczciwie. Twoje życzenie nie może się spełnić.

–Może!– i nikt nie będzie tego żałował – gwałtownie odpowiedziała Judyta i odsłoniła twarz. – Powiemy żołnierzom, żeby zostawili nasze rzeczy na drodze. Wracając z fortu, zabierzemy je i bez trudu przewieziemy arką na zamek. Nieprzyjaciel nie pokaże się więcej w tych stronach, przynajmniej w czasie tej wojny. W forcie z łatwością sprzedasz wszystkie swe skóry i kupisz rzeczy najbardziej potrzebne w gospodarstwie. Pójdiesz do fortu sam, bo moja noga już nigdy tam nie postąpi. Pogromco Zwierząt – dodała Judyta z uśmiechem tak słodkim, że młody myśliwy nie mógł się oprzeć jego urokowi – żebyś wiedział, jak bardzo jestem i chcę pozostać twoją... jak gorąco pragnę być wierną i oddaną ci żoną – pierwszy ogień, jaki rozniecimy po powrocie do domu, rozpalę brokatową suknią i będę dokładać rzeczy, które uznasz za niepotrzebne twej żonie:

–Niestety! Jesteś istotą bardzo miłą i piękną, Judyto. Tak jest, skłamałby, kto by temu zaprzeczył. Obraz, jaki roztoczyłaś przede mną, jest miły memu sercu, ale rzeczywistość mogłaby mu zaprzeczyć i nie przyszłoby do nas szczęście, o którym marzysz. Zapomnij więc o tym wszystkim. Pośpieszmy za Wężem i Cyt. Postąpimy tak, jakbyśmy na ten temat w ogóle nie rozmawiali.

Judyta doznała upokorzenia, co więcej – była złamana tym niepowodzeniem. Stanowcza i spokojna odpowiedź Pogromcy Zwierząt przekreślała wszelkie nadzieje i oznaczała, że tym razem niepospolita uroda dziewczyny nie wywołała zachwyty ani uwielbienia. Mówią, że kobiety rzadko wybaczą tym, którzy zlekceważyli ich wdzięki. Judyta, jakkolwiek dumna i porywcza, nie żywiła jednak ani cienia urazy do szczerego i otwartego młodzieńca. Chciała tylko upewnić się, czy nie zaszło tu jakieś nieporozumienie. Po chwili przykrego milczenia przystąpiła do ostatecznego wyjaśnienia sprawy zadając Pogromcy pytanie tak wyraźne, że nie mogło już budzić żadnych wątpliwości.

–Nie daj Boże, byśmy kiedyś żalowali, że nie powiedzieliśmy sobie wszystkiego. Zdaje mi się jednak, że dobrze się rozumiemy. Nie chcesz wziąć mnie za żonę, czy tak, Pogromco Zwierząt?

–Lepiej będzie dla nas obojga, jeśli nie skorzystam z twej lekkomyślności. Nie możemy się pobrać – nigdy.

–Nie kochasz mnie... a może nawet, gdybyś zajrzał w swe serce, nie mógłbyś mnie szanować, Pogromco Zwierząt?

–Żywię dla ciebie uczucia serdecznej przyjaźni, Judyto, i wszystko zrobię, nawet życie oddam, tak, gotów jestem narazić swe życie dla ciebie nie mniej niż dla Cyt, a nie ma kobiety, której bardziej byłbym oddany niż narzeczonej mego przyjaciela. Ale dla żadnej z was – słyszysz, Judyto? Dla żadnej, powiadam – nie rzuciłbym ojca i matki, gdyby żyli, a wiesz pewnie, że pomarli. Ale gdyby, powiadam, żyli oboje, tobym ich nie porzucił, bo nie kocham żadnej kobiety i z żadną nie pragnę się połączyć.

–To mi wystarczy – zdławionym głosem odparła Judyta. – Rozumiem cię bardzo dobrze. Nie możesz wziąć za żonę kobiety, której nie kochasz, i dlatego nie ożenisz się ze mną. Jeśli dobrze cię rozumiałam – nic już nie mów, rozumiem twe milczenie. Będzie ono wystarczająco bolesne, nie trzeba dodawać słów.

Pogromca Zwierząt usłuchał i nic nie odpowiedział. Przez chwilę Judyta błyszczącymi oczami wpatrywała się w Pogromcę, jakby chciała zajrzeć w głąb jego duszy, on zaś siedział z miną sztubaka, który otrzymał burę, i bawił się. wiosłem. Potem dziewczyna zanurzyła wiosło w wodzie i ruszyła z miejsca z taką niechęcią, jakby na nic już nie miała ochoty. Pogromca spokojnie przyłączył się do jej wysiłków. Płynęli niewidocznym śladem Delawara.

Pogromca Zwierząt i jego piękna towarzyszka w czasie drogi ku przylądkowi nie zamienili już ani słowa. Judyta siedziała z przodu, plecami do myśliwego. Gdyby mógł ujrzeć wyraz twarzy dziewczyny, pewnie ośmieliłby się powiedzieć jej parę słów pocieszenia i zapewnić ją o swej przyjaźni i szacunku; wbrew bowiem temu, czego można by się spodziewać, Judyta nie żywiła do niego urazy. Na twarzy dziewczyny pojawiały się na zmianę to ciemne rumieńce palącego wstydu, to znów oblekała ją bladość gorzkiego rozczarowania; przeważającym uczuciem, które bez trudu można było odczytać w jej rysach – był jednak smutek, głęboki smutek i serdeczny żal.

Ani Pogromca, ani Judyta nie przykładali się zbytnio do wioseł. Gdy więc dwoje maruderów dotarło do przylądka, arka stała już przy brzegu, a żołnierze wysiedli na ląd. Chingachgook, który pierwszy przybił do brzegu, wszedł w głąb lasu i czekał na przyjaciela na rozwidleniu ścieżek, z których jedna prowadziła do fortu, a druga do wiosek delawarskich. Kolumna marszowa wojska ruszyła już w drogę. Przed tym żołnierze puścili arkę na jezioro, niewiele troszcząc się o jej dalsze losy. Judyta widziała to wszystko, ale nic jej już nie obchodziło. Lśniące Zwierciadło straciło dla niej cały swój urok. Dlatego ledwie wyszła na brzeg, z miejsca ruszyła za wojskiem i nawet się nie obejrzała. Przeszła obok Cyt i nie zauważyła młodej Delawarki. Nieśmiała Indianka, kiedy ujrzała, że Judyta przechodząc patrzy w inną stronę, zesłała jej z drogi, jak gdyby miała wobec niej nieczyste sumienie.

–Zaczekaj tu na mnie, Wężu – powiedział, mijając przyjaciela Pogromca Zwierząt, który szedł za zgnębianą Judytą. – Odprowadzę Judytę do oddziału i zaraz tu wrócę.

Kiedy znaleźli się o sto jardów od kolumny i tyleż jardów od delawarskiej pary, dziewczyna odwróciła się i powiedziała ze smutkiem w głosie:

–Wystarczy, Pogromco Zwierząt. Wiem, że chcesz być dobry dla mnie, ale nie potrzebuję już twojej opieki. Za parę minut dołączę do wojska. Jeśli nie możemy pójść razem drogą życia, nie chcę, byś teraz szedł za mną. Ale czekaj! Zanim się rozstaniemy, chciałabym zadać ci jedno pytanie. Zaklinam cię na Boga i żądam w imię prawdy, którą tak szanujesz, żebyś mnie nie okłamał. Wiem, że nie kochasz innej. Jeden tylko może być powód, że nie możesz i nie chcesz mnie kochać. Powiedz tedy, Pogromco Zwierząt... – Dziewczyna urwała, jakby słowa, które miała wypowiedzieć, uwięzły jej w gardle. Zebrała jednak całą swą odwagę i mieniąc się ze wstydu, mówiła dalej: – Powiedz tedy, Pogromco Zwierząt, czy Henryk March nie naopowiadał ci o mnie takich rzeczy, które mogły ujemnie wpłynąć na twoje uczucie?

Prawda była gwiazdą przewodnią Pogromcy Zwierząt. Zawsze widział ją przed sobą i nie mógł powstrzymać, się od wypowiedzenia prawdy nawet wtedy, gdy rozsądek nakazywał milczenie. Judytą wyczytała odpowiedź na twarzy myśliwego. Serce jej omal nie pękło. Wiedziała, że spotkała ją niezasłużona krzywda. Skinęła mu ręką na pożegnanie i zniknęła w lesie. Pogromca Zwierząt stał chwilę, nie wiedząc, co robić, w końcu jednak zawrócił i przyłączył się do Delawarów. Tej nocy trójka przyjaciół rozbiła obóz nad górnym biegiem rzeki, nad którą mieszkali, a następnego wieczoru weszli do delawarskiej wioski. Szczep triumfalnie powitał parę narzeczonych. Do Pogromcy Delawarzy odnosili się z szacunkiem i podziwem, ale dopiero po kilku miesiącach czyny, jakich dokonał, pomogły mu otrząsnąć się ze smutku.

Rozszalała gwałtowna i krwawa wojna. Wódz Delawarów zdobył sobie uznanie szczepu. Hymny pochwalne towarzyszyły jego imieniu. Jeszcze jeden Unkas – ostatni ze szczepu Mohikanów przybył do długiego szeregu wojowników, którzy nosili to sławne imię. Pogromca Zwierząt, zwany teraz Sokolim Okiem, wstawił się swymi czynami jak kraj długi i szeroki, a huk jego strzelby stał się tak straszny dla uszu Mingów jak gromy Manitou. Oficerowie królewscy szybko zwrócili na niego uwagę. W polu Pogromca szczególnie przywiązał się do jednego oficera, z którym również po wojnie długo utrzymywał bliskie stosunki, a nawet odegrał niepoślednią rolę w jego życiu.

Pogromca Zwierząt dopiero w piętnaście lat później ujrzał po raz drugi Lśniące Zwierciadło. Był pokój, ale znów wisiała w powietrzu wojna, jeszcze większa niż poprzednia. Myśliwy więc wraz ze swym nieodłącznym przyjacielem śpieszył do fortu nad Mohawkim, aby przyłączyć się do Anglików. Towarzyszył im indiański wyrostek, Cyt bowiem spała już w cieniu delawarskich sosen, a pozostała przy życiu trójka nie rozstawała się z sobą. Nad jezioro przybyli o zachodzie słońca. Nic się tu nie zmieniło. Susquehanna płynęła pod sklepieniem drzew, skała niszczała powoli pod działaniem wody trawiącej ją od setek lat, góry stały w swych naturalnych, ciemnozielonych, bogatych i tajemniczych szatach, samotna tafla jeziora błyszczała

jak klejnot wśród zieleni lasów. Na drugi dzień chłopiec znalazł na brzegu jedno z czołen, które wiele ucierpiało, ale po drobnej naprawie nadawało się jeszcze do użytku. Trzej przyjaciele wybrali się tą łódką na zwiedzanie okolicy. Chingachgook pokazał synowi miejsce, w którym znajdował się pierwszy obóz Huronów, i przylądek, na którym udało mu się wykraść narzeczoną z niewoli. Wyszli nawet na brzeg, ale nie znaleźli żadnego śladu swej wyprawy. Potem obejrzeliby pole bitwy i znaleźli tam ślady, jakie zazwyczaj pozostają w takich miejscach. Dzikie zwierzęta widocznie wygrzebały zwłoki poległych, gdyż kości ludzkie białeły w potokach słonecznego światła. Unkas patrzył na to wszystko z nabożną czcią i wzruszeniem, ale pod wpływem indiańskich opowiadań rosła już w jego sercu duma i surowa powaga wojownika.

Z przylądka łódź skierowała się ku mieliźnie, na której widniały malownicze ruiny zamku. Burze zimowe dawno już zdarły dach, a zgnilizna przeżarła kłocę drzewa, z których zbudowane były ściany. Zamki i rygle były nie tknięte, ale żywioły wszystkich pór roku hulały wewnątrz zamku drwiąc sobie z wysiłków ludzkich, które miały to miejsce uczynić niedostępnym. Gniła też palisada i słupy pod domem. Widać było wyraźnie, że jeszcze parę nawrotów zimy, jeszcze kilka huraganów i burz, a zamek zniknie pod wodą, zmieciony z powierzchni wspaniałego, odludnego jeziora... Grobów nie odnaleźli – albo zmyła je woda, albo ci, którzy ich szukali, po tylu latach zapomnieli, gdzie się znajdowały.

Na wschodnim brzegu znaleźli arkę. Wyrzuciły ją tam wiatry północno-zachodnie, przeważające nad jeziorem. Leżała na piaszczystym cyplu długiego, niskiego przylądka, odległego o dwie mile od Susquehanna i szybko kurczącego się pod naporem żywiołów. Arka była zalana wodą, drzewo przegniło, wiatr zerwał dach nad kajuty. W środku przetrwało parę masywnych mebli. Serce Pogromcy zabiło, gdy ujrzał wstążkę Judyty powiewającą ze ściany. Piękna dziewczyna stanęła mu przed oczyma, odżyło też wspomnienie błędów, jakie popełniła. Sokole Oko – tak się teraz nazywał – nigdy nie kochał Judyty, ale zachował ją w pamięci jak kogoś bardzo bliskiego. Zerwał wstążkę i przywiązał do kolby „Postrachu Zwierząt”, podarunku Judyty.

Kilka mil dalej, w północnej części jeziora, znaleźli drugie czołno, a na przylądku, na którym wylądowali opuszczając jezioro – jeszcze dwa czołna, zostawione tam przed piętnastu laty. Łódka, którą teraz płynęli, i ta, którą znaleźli na wschodnim brzegu, opadły wraz z przegniłą podłogą pod zamek, wydostały się na jezioro przez szczyrbę w palisadzie i ostatecznie, niczym resztki ładunku rozbitego statku, woda wyrzuciła je na brzeg.

Wszystkie te znaki świadczyły, że od sceny wymarszu, kończącej nasze opowiadanie, w ciągu piętnastu lat nikt nie pojawił się nad jeziorem. Dzięki przypadkowi, a zapewne i hurońskim opowiadaniom, jezioro znów stało się przybytkiem bezludnej przyrody. Liczne wojny i słabe zaludnienie kolonii sprawiły, że

osady skupiły się na stosunkowo niewielkiej przestrzeni. Chingachgook i jego przyjaciel w smętnym nastroju rozstawali się z jeziorem. Była to okolica ich Pierwszej Ścieżki Wojennej. Wspomnieli dziś dawne dzieje, dzieje miłości i zwycięstw na polu walki. W milczeniu szli nad Mohawk – po nowe przygody, nie mniej burzliwe i sławne jak przeżycia nad pięknym jeziorem na początku ich drogi życiowej. Po wielu latach jeszcze raz wrócili nad Lśniące Zwierciadło, a Indianin złożył tu swoje kości.

Czas i wydarzenia rzuciły gęstą zasłonę tajemnicy na historię Huttera i jego rodziny. Żyli, bładzili, umarli i pogrążyli się w zapomnieniu. Nikt nie zainteresował się dziejami ich niesławy i nie uchylił zasłony, rodzinnych tajemnic, Minęło sto lat i nawet nazwisko Hutterów wytarło się z pamięci ludzkiej. Potępiamy występki i mało jest, chwała Bogu, takich, którzy z upodobaniem śledzą dzieje cudzych przewinień.

Dalsze losy Judyty również osnute są mgłą tajemnicy. Sokole Oko starał się w fortach nad Mohawkim dowiedzieć czegoś o pięknej dziewczynie, która zbłądziła. Nic tam jednak o niej nie wiedzano, a nawet nie pamiętano, że w ogóle istniała. Oficerowie często się zmieniali. Po Warleyu, Craigu i Grahamie dawno nie było śladu. Jednakże pewien stary sierżant, który właśnie przybył z Anglii, powiedział naszemu bohaterowi, że sir Robert Warley żyje w swych dobrach rodzinnych, a z nim mieszka niezwyklej piękności lady, która ma wielki wpływ na sir Roberta, chociaż nie nosi jego nazwiska. Czy to była Judyta, która wróciła do swych dawnych błędów, czy inna ofiara oficera, Sokole Oko nigdy się nie dowiedział, a nawet nie chciał wiedzieć.

[\[1\] Albany – jedno z najstarszych miast w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, założone w roku 1623 przez Holendrów. Stolica stanu Nowy Jork.](#)

[\[2\] Aby oddać sprawiedliwość prawdzie, trzeba powiedzieć, że Greenbush Van Rensselaerowie uważają się za najstarszą linią tej starej i godnej szacunku rodziny \(przyp. autora\).](#)

[\[3\] Aby imię to nie wywołało nieporozumienia, wypada powiedzieć, że wspomniany tu Unkas jest dziadkiem Unkasa, który gra tak ważną rolę w Ostatnim Mohikaninie \(przyp. autora\).](#)

[\[4\] Nie rozumiem, skąd wzięły się wątpliwości co. do pochodzenia dobrze znanego przewiska „Jankesi”. Niemal wszyscy dawni pisarze, którzy mówią o Indianach poznanych przez pierwszych kolonistów, stwierdzają, że słowo „ynglysz” \(English\) wymawiali „jengiz. Nawet dzisiaj prowincjonalna wymowa w Nowej Anglii brzmi „englysz” zamiast prawidłowego „ynglysz”. Wymowa ta pokrywa się z wymową słowa „jengiz”, zwłaszcza w mowie potocznej, gdy słowo „jengiz” brzmi krótko. Nic łatwiejszego jak przejście od takiego „jengiz” do słowa „jenkiz” \(Yankees\) \(przyp. autora\).](#)

[\[5\] Właściciele karawan chętnie kąpią swe słonie w jeziorze Otsego. Już po wydaniu](#)

[tej książki autor widział parę słońi pływających po tym jeziorze \(przyp. autora\).](#)

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-12-02

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/